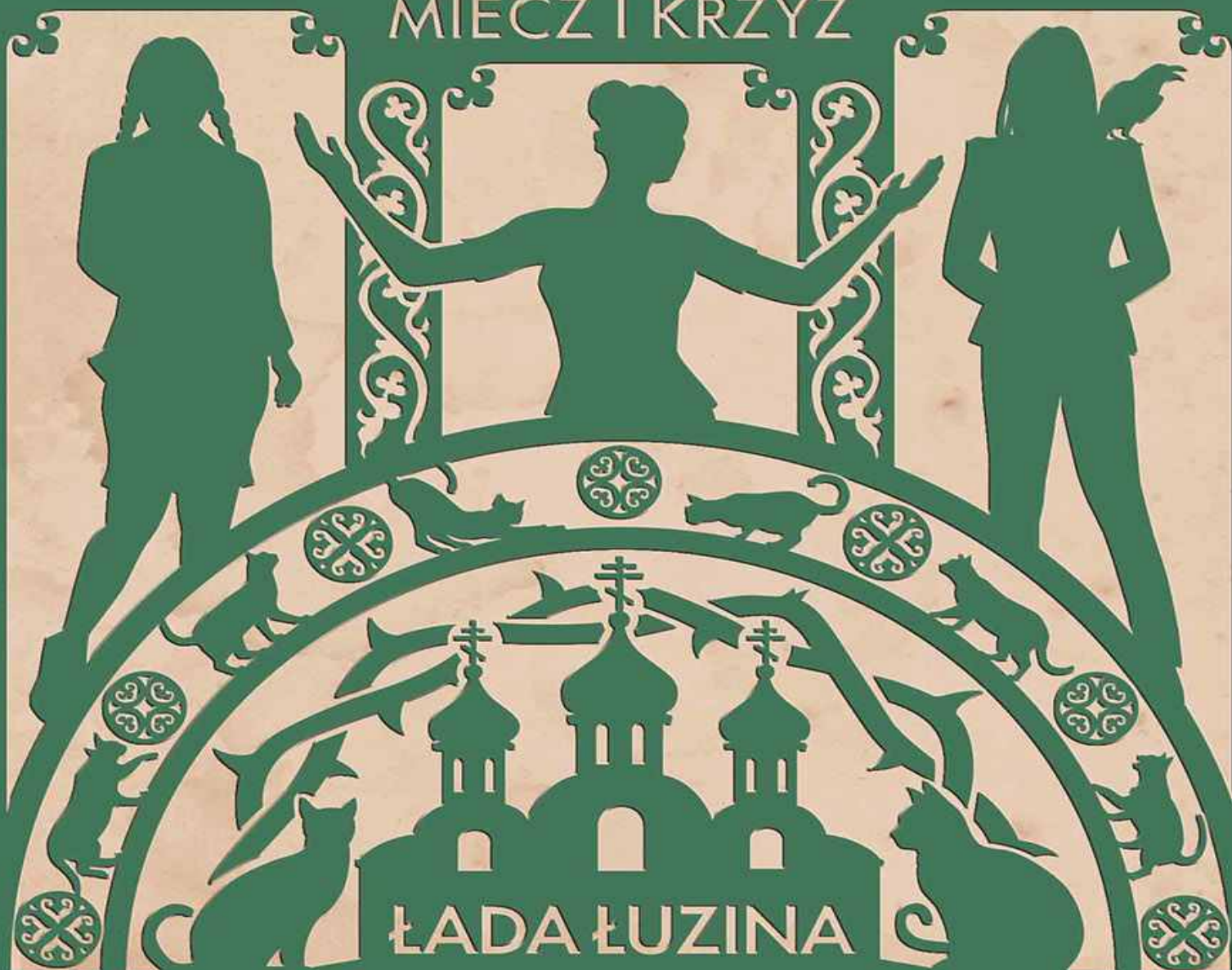




WIEDŹMY KIJOWA

MIECZ I KRZYŻ



ŁADA ŁUZINA



ŁADA ŁUZINA

WIEDŹMY KIJOWA

MIECZ I KRZYŻ

przełożyła

GABRIELA SITKIEWICZ



Tytuł oryginału

Киевские ведьмы. Меч и крест

Tekst © Лада Лузіна, 2005–2022

through Thomas Wiedling | Literary Agency

wiedling-litag.com

Przekład

Gabriela Sitkiewicz

Redakcja i korekta

Marek Stankiewicz, Joanna Rozmus

Projekt wnętrza i skład

Patrycja Wojkowska-Piłkowska

Okładka i grafika na stronie tytułowej

Piotr Sokołowski

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Źródła cytatów

s. 35: IV wydanie *Biblii Tysiąclecia*

s. 65: Michaił Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, tłum. Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski,

Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa 1993

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-67323-61-1



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

tiktok.com/insignis_media (@insignis_media)

Rozdział pierwszy

w którym pojawia się czarny kruk

Jeśli kruk kracze na cerkwi, to znaczy, że ktoś wkrótce umrze.

~ *Wróżby i wierzenia ludowe*

W pogodny lipcowy dzień, tuż przed nocą Kupały, ulicą Zjazd św. Andrzeja, wijącą się wężem w kierunku Padołu, szła wycieczka zagranicznych turystów.

Prowadziła ją piękna przewodniczka, dama apetyczna jak koszyk ciepłych ciastek, w wieku mało istotnym. W końcu – chyba się ze mną zgodzisz, drogi czytelniku — to bez znaczenia, ile lat ma kobieta, jeśli piętnastu mężczyzn nie może oderwać wzroku od jej piersi, z trudem zauważając inne, historyczne walory okolicy.

– O, *couleur locale!* – cmoknął ze smakiem jeden z nich, chudy i z nosem jak u d’Artagnana.

Pozostali ochoczo przytakiwali.

Ani trochę niezawstydzona tak baczną uwagą poświęconą dwóm narodowym rarytasom w jej dekolcie, piękność mówiła inspirująco, z łatwością i swobodą, z jaką kobiety zwykły mówić o obiektach pożądania, modzie i społeczeństwie.

– Proszę spojrzeć w lewo. Przed nami znajduje się serce Kijowa – Góra Starokijowska. To właśnie tutaj bracia Kij, Szczek i Choryw założyli miasto nazwane na cześć najstarszego z nich – Kijów, stolicę starożytnej Rusi i matkę staroruskich miast!

Jej głos zabrzmiał tak entuzjastycznie i chępliwie, jakby nie chodziło o dawnych książąt, ale o propozycję małżeństwa, którą otrzymała od prezydenta kraju zaledwie wczoraj wieczorem.

Na niebie widniały słońce i jasny księżyc, co w Kijowie zdarzało się tak często, że nikogo to specjalnie nie dziwiło. Nagle, jakby ktoś u góry potrząsnął wiecznym piórem, czarny kruk spadł z nieba, usiadł na zalanym słońcem krzyżu cerkwi św. Andrzeja i wydał przeciągłe, głośnie: „Kra-a-a-a-a-a!”. Piękność, która zdążyła już zaciekawić turystów opowieścią o zaginionej głowie Włodzimierza Wielkiego, skradzionej z jego grobu na Górze Starokijowskiej przez Piotra Mohyłę, lekko zmarszczyła brwi, ale kontynuowała wesoło:

– Po prawej widać perłę ukraińskiej architektury barokowej, cerkiew św. Andrzeja, dzieło architekta Bartolomea Rastrellego. Cerkiew została zbudowana na górze, na której, według Nestora Kronikarza, w latach czterdziestych naszej ery Andrzej Apostoł wzniósł swój krzyż na znak przyszłego nawrócenia Słowian na chrześcijaństwo. W pobliżu cerkwi, w domu nr 10, mieszkał artysta Michaił Wrubel. To tutaj namalował pierwszą wersję swojego słynnego obrazu *Demon*. – Piękność z nieznanego powodu mrugnęła.

Tłumacz bezbarwnie przełożył to, co zostało powiedziane, na język francuski.

Jeden z uczestników wycieczki zdenerwował się. Czy na pewno dobrze tłumaczy? Z tonu kobiety można było wywnioskować, że właśnie opowiedziała soczysty dowcip polityczny.

Kruk zakrakał po raz drugi, zerwał się z cerkwi i poleciał na zachód. Piękność zamarła zamyślona, odprowadzając go niespokojnym wzrokiem. I nagle, z niewiarygodną dla kobiety wprawą, pomknęła po krzywym bruku Zjazdu św. Andrzeja, stukając cieniutkimi szpilkami. Ulica gwałtownie skręciła w lewo, potem w prawo...

– Patrzymy w lewo – trąkotała przewodniczka, jakby naraz chciała wypluć z siebie zleżałą, zimną i niesmaczną informację – to góra Chorywa, czyli Chorywica, czy też Góra Zamkowa. Wielu uważa ją za jedną z Łysych Gór Kijowa. Inni się z nimi spierają. Patrzymy w prawo. Naprzeciwko Łysej Góry stoi dom nr 13 – w nim w latach 1906-1913 mieszkał pisarz Michaił Bułhakow, który unieśmiertelnił Zjazd św. Andrzeja pod nazwą „Aleksiejewskij” w powieści *Biała gwardia*. Nieco dalej widać górę trzeciego brata – Szczekawicę, zwaną też Olegówką. Na niej pochowany jest książę Oleg, którego śmierć opisał poeta Aleksander Siergiejewicz Puszkina w *Pieśni o Olegu Mądrym*. Jak mogliście zauważyć, Kijów jest niczym mozaika składająca się z legend – zakończyła pięknie i literacko, gdy zatrzymała się przy domu oznaczonym wyjątkowo dziwną tabliczką z napisem „Centrum Czarów Starokijowskich na Padole...”. Uśmiechnęła się, odsłaniając słodkie jak cukier ząbki: – To już koniec naszej wycieczki. Jakież pytania?

Francuzi rzucili się do tłumacza i otoczywszy go, przekrzykiwali się nawzajem.

– Pytają, czy mogą zrobić sobie z panią pamiątkowe zdjęcie – wyjaśnił obojętnie.

– Proszę – odpowiedziała grzecznie piękność i odruchowo poprawiła biust.

Stado d’Artagnanów, dla których ten gest był jasny bez tłumaczenia, natychmiast otoczyło ją ze wszystkich stron. Niezaproszony do zdjęcia

tłumacz wziął do ręki aparat fotograficzny i beznamiętnie wycelował.

– Proszę zwrócić uwagę – oznajmiła przewodniczka profesjonalnym tonem – robicie sobie teraz zdjęcie z główną osobliwością naszego narodu, ukraińską kobietą. Wasz krajan, francuski historyk Beauplan, podróżując po przedrewolucyjnej Ukrainie, pisał z entuzjazmem, że tylko tutaj, w tym szczególnym dniu roku, w przeciwieństwie do wszystkich innych narodów, nie chłopcy zabiegają o dziewczyny, ale dziewczyny o chłopców. I, co warto podkreślić, zawsze osiągają cel. Twierdził też, że pomagają im w tym pewne przesady na temat kobiet, które istnieją wśród Ukraińców. Ale tu nie ma żadnych przesądów. Po prostu... A tak na marginesie, jest pan żonaty? – zapytała nagle stojącego najbliżej mężczyznę.

Po wysłuchaniu tłumaczenia mężczyźni odskoczyli od swojej przewodniczki równie szybko, jak jeszcze przed chwilą się do niej przyklejali. Obok pozostał tylko jeden, ten, który otrzymał bezwstydną pytanie, przestraszony, ale z jakiegoś powodu nieuciekający.

– Nie bój się, *mon ami*, tylko żartowałam – roześmiała się bez troski dziwna przewodniczka i skrętnie poprawiwszy swoje piersi, zniknęła w drzwiach Centrum Czarów Starokijowskich na Padole...



Tymczasem kruk, który górował nad kopułą cerkwi św. Andrzeja, zdążył oblecieć pół miasta w poszukiwaniu czegoś ważnego i najwyraźniej rzadko spotykanego w naturze.

Opadłszy na parapet zwalistej chruszczowki w pobliżu pozostałości Gaju Kadeckiego, uważnie zajrzał w okno i wydał gwałtowne ostrzeżenie: „K-r-aaa!”. Postronnemu obserwatorowi trudno było zrozumieć: co mogło sprowadzić tu tak ważnego ptaka?

Za pomalowaną na optymistyczny, chabrowy kolor ramą okienną mieściła się maleńka, sześciometrowa kuchnia, gęsto zastawiona przedpotopowym sowieckim zestawem mebli „Czerwony Kapturek”. Na półkach przy suficie stały czerwone puszkę w srebrne kropki, przeznaczone do przechowywania sypkich produktów, tak gęsto pokryte lepkiem kuchennym kurzem, że było jasne, iż zostały tam umieszczone wyłącznie dla ozdoby na początku lat osiemdziesiątych i od tego czasu wyobrażenia właścicieli na temat piękna i funkcji tych puszek wcale się nie zmieniły.

Przy kuchence, z ręką wyciągniętą w stronę krzyczącego o zagotowanej wodzie czajnika w czerwone grochy, krzątała się mniej więcej czterdziestoletnia rudowłosa kobieta, wyraźnie należąca do kategorii pań, których Bóg tylko przez niedopatrzenie nie obdarzył siedmioma rękami zamiast dwóch. W zębach zaciskała ogonek czarnej kredki do makijażu, obwisłą kieszeń szlafroka wypełniały zdjęte przed chwilą wałki do włosów, a jej tryskająca energią, pełna twarz nasuwała skojarzenie z tykającą bombą. Kobieta, nawet nie patrząc, prawą ręką chwyciła wrzeszczący czajnik i naląła do filiżanki wrzątku, lewą zaś wrzuciła do niej torebkę taniej herbaty, podczas gdy jej oczy – jedno krzywo pomalowane, drugie dziewiczo zaspane – martwo wlepiły się w mały ekran telewizora.

„Dziś w nocy” – dziarsko bębnił telewizor głosem reportera zza kadru – „pękła sieć wodociągowa w dzielnicy Kureniowka. Ruch na ulicy Frunze został zablokowany...”

Kobieta pośpiesznie podsunęła czerwoną filiżankę w białe groszki swojej siedzącej przy stole córce Maszy i przystąpiła do malowania drugiego oka, nadal spoglądając na ekran.

Córka, z grubą, obłożoną gazetą książką przed talerzem, melancholijnie dojadła swoją owsiankę.

Gdyby nie charakterystyczne, okrągłe jak samowar policzki i miedzianoczerwony kolor włosów, prawie niemożliwe byłoby podejrzenie, że ta nijaka młoda dama jest córką kipiącej emocjami matki. Masza miała twarz ascetki przyzwyczajonej do niesmacznego, ale zdrowego jedzenia i nieciekawego, ale poprawnego życia, okrągłą jak tarcza zegara, który nigdzie się nie spieszy i nigdy się nie spóźnia. Bezpłciowy purytański koczek, luźny T-shirt i nieprześwitująca spódniczka do samej ziemi dopełniały obrazu idealnej prymuski.

Córka oderwała wzrok od książki i zainteresowana spojrzała na ekran z nadzieją, że zobaczy tam swojego ojca. Brzuch telewizora pstrzył się od obrazów z porannej kroniki. Zalana wodą ulica Frunze, krąg robotników przy studziencie kanalizacyjnej, wśród nich przez sekundę mignęło zatroskane czoło jakiegoś chłopaka o wyraźnych, orientalnych rysach, który nagle spojrział na Maszę czarnymi jak wilcze jagody oczami...

„Przyczyny awarii nie są jeszcze znane” – telewizor zaczął nadawać w tragicznym tonie – „ale mieszkańców dzielnicy ogarnęła panika. Niektórzy z nich do dzisiaj pamiętają apokalipsę kureniowską z 13 marca 1961 roku, kiedy to potoki płynącego błota zatopiły część mieszkalną. Poziom wody sięgał wtedy wysokości pierwszego piętra. Tysiące mieszkańców zginęło”.

– Dlaczego nie mówią, że wysłani tam ratownicy też nie żyją? – rzekła matka, która od dłuższej chwili czekała na pretekst do paniki. – Co się wyrabia? Przecież twój tata też tam teraz jest, naprawia awarię.

– Kra-a-a-a-a – skomentował żywo czarny kruk.

– Ale się rozkrakał! – Kobieta oburzyła się jeszcze bardziej i zaczęła machać rękami, próbując odgonić ptaka, który zapewne zwiastował coś złego.

– K-rr. – Kruk wypowiedział się krótko na jej temat i odleciał.

„A teraz trochę wiadomości kulturalnych” – oznajmiła wesoło prezenterka wiadomości telewizyjnych. „Dziś w Muzeum Narodowym «Kijowska Galeria Obrazów» zostanie otwarta wystawa...”

– Znów czytasz! – Bez zmiany tempa mama zaatakowała Maszę. – Co to jest? Podręcznik?

Masza z zakłopotaniem spojrzała na rodzicielkę – nie umiała kłamać.

– Co? – Matka natychmiast wpadła w furję. – Znowu?! Znowu *Mistrz i Małgorzata*? Ile można? Lepiej powtórz materiał z zajęć!

– Mamo – powiedziała cicho Masza, bez nadziei na litość – wiesz, że już dawno się wszystkiego nauczyłam. Już wszystko umiem.

– „Umiem wszystko...” Ona umie wszystko! To dlaczego jesteś tak głupia? – Matka w końcu eksplodowała i zawyła żałościwie, zgarbiwszy ramiona i zmarszczywszy twarz. – Przecież nie jesteś brzydka czy wybrakowana. Dlaczego masz takiego pecha? Dwadzieścia dwa lata i żadnego chłopaka! W twoim wieku urodziłam już ciebie! Córka Tatiany Pietrowny po raz drugi wychodzi za mąż! A ty nadal siedzisz w domu i czytasz książki o miłości. Może ktoś rzucił na ciebie zły urok, przeklął cię? Dlaczego nie pójdziesz do jakiejś szamanki? – Głos matki nagle stał się błagalny. – Adres dostałam od współpracownicy. Mówi, że ona pomaga. Idź, córko, poproś o zdjęcie wieńca staropanieństwa.

– Mamusiu – mruknęła skazana na porażkę Masza – po co ten nonsens?

Przez jedną chwilę, bolesną jak skurcz żołądka, poczuła się nieznośnie zawstydzona własną bezwartościowością i straszliwie współczuła matce, która wydała na świat taki nieużytek.

Chciała zniknąć... Albo zatkać uszy.

– No idź, córciu. Co ci szkodzi? – zapytała słodko mama. – Dam ci trochę pieniędzy. W porządku? – Z torebki zawieszanej na uchwycie lodówki wyjęła zawinięte w papier hrywny i położyła je na stole obok łokcia Maszy, nie dając jej czasu na dalsze sprzeciwy.

– W porządku – próbowała uciec bezskutecznie. – Pójdę już. W przeciwnym razie spóźnię się na egzamin...

– Nie zapomnij o pieniądzach – odpowiedziała surowo matka.

Pogodziwszy się z losem, córka wsunęła banknoty do książki i popędziła korytarzem.

– Och, mamo! – załkała żałośnie, potykając się po raz sto trzydziesty pierwszy o stary, nieużywany rower, który rodzice podarowali jej na piętnaste urodziny.

– Patrz pod nogi! – krzyknęła za nią matka.

Zgiąwszy się wpół, Masza przeczekała moment ostrego bólu i pogładziła miejsce przyszłego siniaka.

Zawsze miała problemy z koordynacją ruchów. Nie umiała tańczyć i nigdy nie nauczyła się jeździć na rowerze – po utrzymaniu równowagi przez kilka sekund natychmiast wpadała w najbliższe krzaki.

Starła się jednak o tym nie myśleć.

Zastanawiała się nad rzeczywistymi i literackimi pierwowzorami Wolanda, nad faktyczną datą założenia Kijowa, o którą spierają się liczni historycy, nad celowością łączenia świąt pogańskich i prawosławnych... Ale nie nad sobą.

Po co myśleć o rzeczach przykrych?



Po nieprzyjemnej kłótni Maszy z matką kruk wrócił na Zjazd św. Andrzeja i okrążywszy hotel „Andriejewski” z jego wieloma wieżami, wybrał jedno z okien części administracyjnej, wynajmowanej przez dyrekcję na biura firmom, które było na to stać.

– Kra-a-a-a – kraknął z uznaniem i tym razem trudno było się z nim nie zgodzić.

Dama, która siedziała za biurkiem szefa, była naprawdę piękna, ale w idealnym drogim garniturze, w wąskich okularach w złotej oprawie, które przecinały jej groźną i ostrą jak brzytwa twarz, i we wspaniałej biżuterii, nienagannej pod względem gustu, było jednak coś dziwnie bezpłciowego, jakaś niemal patologiczna pogarda dla własnego wyglądu. Wybierając ubrania i dodatki, ta dama musiała ważyć w myślach co do miligrama, jak bardzo podkreślą one jej status i klasę, nie zastanawiając się ani przez chwilę nad banalnym: „Być albo nie być?” – „A czy będą mi pasować, czy nie?”.

– Kra-a-a-a-a... – Kruk przekrzywił głowę na bok w zamyśleniu.

Ale surowa dama, która prawym policzkiem wrosła w srebrną słuchawkę telefonu, znowu go nie usłyszała. Po pierwsze szyby w jej biurze były dźwiękoszczelne. Po drugie Katerina Dobrzańska była w stu procentach przekonana, że nie ma na świecie nic ważniejszego niż ta rozmowa telefoniczna i nawet wiadomość o rychłym końcu świata nie odwróciłaby jej uwagi.

– Czy to znaczy, że decyzja jest ostateczna? – Katerina spytała groźnie przez słuchawkę. Jej twarz wyrażała ostatnie stadium mizantropii, ale głos brzmiał spokojnie i opanowanie, co z pewnością świadczyło o dużej sile woli.

Nie wiemy, co dokładnie odpowiedziała niewychowana słuchawka, ale w tej samej sekundzie Katia ze złością cisnęła srebrny aparat w okno.

Szyba dzielnie wytrzymała uderzenie, telefon rozpadł się, odsłaniając wypełnione drutami trzewia, kruk poszybował w niebo, a telefoniotaczka z wściekłością rzuciła chmurne spojrzenie swojemu flegmatycznemu zastępcy, siedzącemu w rogu kanapy.

– Już po wszystkim! – warknęła. – Pięć lat orki jak psu na budę! Jeśli wybudują swój supermarket obok naszego, jestem zrujnowana. Mają sieć sklepów, mogą sobie pozwolić na obniżenie cen. Zwabią wszystkich naszych klientów... Cholera! Cholera! Cholera! Zabiłabym! A tak na marginesie, ile może kosztować morderstwo na zlecenie?

– Katerino Michajłowna – powiedział jej zastępca głosem kojącym jak waleriana – niech się pani uspokoi, proszę.

– Co?! – Katia zdenerwowała się jeszcze bardziej. – I to mówi mój zastępca?! Jeśli się uspokoję, jutro wszyscy pójdziemy do diabła! A w tym również ty! Ile kosztuje miejsce, w którym chcą się urządzać? Może uda nam się je wykupić?

– Sprawdziłem – odrzekł ze spokojem zastępca. – Siedemset tysięcy. I to pod warunkiem, że wpłacimy pieniądze w ciągu tygodnia.

– Tydzień? To nierealne. Nie mam tylu wolnych środków!

Na sukowatej twarzy Katii rysowało się intensywne zamyślenie. To było oczywiste: w jej słowniku nie istniały słowa „poddąć się”.

– Może powinna pani pójść do Wasilija Fiodorowicza – zaproponował dyskretnie zastępca.

Katerina zmarszczyła brwi i spojrzała pytająco w lustro przy drzwiach. Gdy podeszła bliżej, przyjrzała się sobie z beznamiętnością sklepowego rzeczoznawcy. W tym spojrzeniu nie było ani odrobiny narcyzmu. Najwyraźniej Katia spoglądała w lustro tylko po to, by sprawdzić swoją gotowość do sprzedaży na spotkaniu biznesowym, prezentacji, czy jak w tym przypadku...

– Tak – podsumowała radośnie – Wasilij Fiodorowicz może mi pomóc. – Zmarszczyła nos z obrzydzeniem. – Jest on oczywiście rzadkim typem szumowiny. Ale lepsze to niż nic. Zadzwońię do niego wieczorem i zaproszę go na kolację do restauracji „Merlin”. On ciągle zaprasza... Do diabła!

W jej ciemnych, krótko strzyżonych włosach obnażył się biały sabotażysta. Katia straszliwie posiwiiała.

– Nie wolno tak często wspominać diabła. Zwłaszcza w tym miejscu. – Zastępca uśmiechnął się z ulgą, zdając sobie sprawę, że burza już minęła.

– To znaczy? – dopytywała zniecierpliwiona szefowa, skupiona na szukaniu kolejnych zdrajców na swojej głowie.

– Pani nie wiedziała, że z naszego biura rozciąga się widok na kijowską Łysą Górę?

– Przejadły mi się już te pańskie mądrości! – odparła Dobrażańska. – Trzy lata zajęło mi przyzwyczajenie się do mówienia „do diabła” zamiast „kurwa”, jeśli chce pan wiedzieć. Za każde słowo na „ka” karałam siebie grzywną w wysokości dziesięciu dolarów na rzecz ubogich. – Zdecydowanie wcisnęła przycisk połączenia z sekretarką. – Aniu, proszę zadzwonić do mojej kosmetyczki, będę u niej za dwie godziny. I znajdź proszę zdjęcie Wasilija Fiodorowicza, muszę pilnie przygotować się do spotkania... Do diabła!



– Sani, kręć tym tyłkiem! No, dalej, dalej, pracuj ogonem! – Dasza z podekscytowaniem dopingowała tancerzy baletu na scenie.

Wszyscy byli przebrani za diabły, a główna sztuczka taneczna polegała na tym, że ich ogony co jakiś czas podrywały się do góry i wiły jak wstążki gimnastyczek.

– Hej, Wstrząsająca, nie jesteś dyrektorem artystycznym, jesteś tyranem! – odrzekł kokieteryjnie tancerz o imieniu Sani.

– Dobra, dobra – rzuciła Dasza Czub, podciągając kostium kąpielowy. – Lepiej trzymaj tyłek w pionie, a ogon na poziomie!

Wstrząsająca (jak nie bez powodu ochrzcił ją jej klub) z zadowoleniem oparła bosc stopy na stole. W jej nosie błyszczał kolczyk z lśniącym kamykiem, na przedramieniu miała ozdobny tatuaż w formie bransoletki, a jej oczy emanowały absolutną pewnością: życie jest dobre!

Otwarty taras klubu „O-Yo-Yo!” (którego nazwę, zamiast pospolitego „Los Angeles”, wymyśliła dyrektorka artystyczna) wychodził bezpośrednio na plażę nad Dnieprem, więc Dasza mogła codziennie łączyć przyjemne z pożytecznym – pracować i jednocześnie smażyć się na słońcu, brązowiejąc każdego dnia. Chociaż po ciągłych i bolesnych krzykach dyrektora musiała pójść na kompromis i kupić sobie „normalny” kostium kąpielowy ze stanikiem, który w głębokim przekonaniu Daszy beznadziejnie psuł jej opaleniznę i bez którego z powodzeniem obywatela się przez ostatnie pięć lat.

Tancerze na scenie zgodnie padli na ziemię, a ich ogony stanęły dęba.

– Dobra robota! – krzyknęła entuzjastycznie Dasza. – Szóstego nasz diabelski kankan będzie najważniejszym punktem programu!

– Ochłoń! – upomniała ją miejscowa fryzjerka, Zajadła, skoncentrowana na zaplataniu białych pasemek Daszy w cienkie, afroamerykańskie warkoczyki.

– Wspaniali chłopcy, prawda? – Dasza nawet nie pomyślała o tym, żeby posłuchać rady.

– Sami kochający inaczej – fuknęła z niesmakiem fryzjerka. – Wiedzą, jak kupczyć tyłkiem i to wszystko, do czego się nadają.

– Gównu prawda! – Dasza zapaliła się w jednej chwili. – Założę się, że uda mi się uwieść Saniego. Jeszcze przed imprezą. Chcesz się założyć?

– Pewnie, że tak – zgodziła się kwaśno Zajadła. – Ale i tak niczego nie wskórasz.

– Chcesz się założyć o mój motorower?! – Dasza stanęła w płomieniach

– O twój motorower? – Zajadła była szczerze zdumiona.

– Aha! Ja stawiam motorower, a ty pierścionek, który podarował ci twój Aleks.

– Nieźle się rozpędziłaś! Wiesz, ile on kosztuje? – Fryzjerka uśmiechnęła się pogardliwie.

– Co ryzykujesz, Zajadła? – Czub zaśmiała się. – Przecież i tak nic nie wskóram. Patrz, patrz, po plaży chodzi kruk! Jaki o-o-ogromny!

Zirytowana fryzjerka szarpnęła włosy Daszy, przywracając jej niespokojną, ruchliwą głowę do właściwej pozycji.

– Dlaczego zawsze tak się ze wszystkiego cieszysz, jakby właśnie przynieśli ci wypłatę? – mruknęła.

I miała całkowitą rację.

Nazwanie charakteru Daszy nieskomplikowanym byłoby oczywistym niedopowiedzeniem – był lekki i unosił się nad wszystkim jak wielobarwny balon, co naturalnie irytowało homo sapiens, uważających się za poważnych i twardo stąpających po ziemi.

Wstrząsająca przypominała hałaśliwą imprezę albo dziecięcą piłkę bezustannie odbijającą się od podłogi. Zajadła należała natomiast do kategorii ludzi, którzy dobrze wiedzieli, że to dziecięce piłki wybijają szyby i strącają wazony z szafek, a na hucznych imprezach to dzieci zawsze kopią się po nogach i kradną torebki. Jeśli chodzi zaś o balony, lepiej ścisnąć je mocno za podstępny ogonek.

– O-o... – poinformowała Daszę nie bez satysfakcji. – Nadciąga dyrektor. Czeka cię kolejna chłosta!

Rzeczywiście, dyrektor klubu dosłownie płynął do nich, rozgniewany i lekko stopiony upalnym słońcem. Dasza zmarszczyła nos, zdjęła nogi ze stołu i wsunęła je w swoje ulubione buty w stylu Johnny'ego Deppa, które nosiła zimą i latem, odkąd wydała na nie kwotę równą wartości wszystkich swoich damskich butów, łącznie z domowymi kapciami.

– Daszeńko – zaczął dyrektor, cedząc słowa przez zęby, co nie wróżyło niczego dobrego – czy będzie pani śpiewać dziś wieczorem?

– Tak. – Uśmiechnęła się nonszalancko. – Dlaczego?

– W takim razie mam do pani osobistą prośbę: proszę nie wchodzić na salę. Uwodzi pani klientów, siada im na kolanach... A potem oni oblegają moje biuro, wtykają pieniądze i żądają pani. A przy okazji mi grożą! Co wieczór muszę bronić pani wątpliwej cnoty pod groźbą zemsty. Jest pani świetnym dyrektorem artystycznym, Daszo, więc proszę się nie zachowywać jak ostatnia...

– Piiiiiii! – Dasza zapiszczała głośno, naśladowując znany dźwięk z telewizora, zagłuszający niecenzuralną leksykę. – Przyrzekam panu, Aleksandrze Witaljewiczu, że dziś stanę na scenie jak żołnierz przed mauzoleum Lenina. – Szybko przyłożyła dłoń do skroni, salutując.

– Do pustej głowy... – burknął dyrektor z niechęcią, ale machnął ręką. – W porządku. Jak wygląda sytuacja z szóstym?

– O! – ożywiła się Dasza. – Noc Iwana Kupały będzie wstrząsająca! Prasa już to wie, wszyscy są w szoku. Tak naprawdę każdy z nas jest poganinem. Horoskopy, szamanki, seks, krótko mówiąc... Na plaży będziemy robić ogniska i skakać przez nie! Każdy mężczyzna dostanie rogi przy wejściu...

– Co masz na myśli? – Dyrektor szkoły obruszył się.

– Nie, nie to – zaśmiała się Czub, odwracając się i wyciągając z kieszeni kurtki, którą rzuciła na stół, mocno zużytą książkę. – Po prostu noc Iwana Kupały to takie nasze słowiańskie Halloween! Noc poprzedzająca uroczystość Wszystkich Świętych, lub w naszym przypadku jednego głównego świętego, kiedy to złe duchy rządzą ziemią. Diabły, czarownice, wurdalaki! – Z radością błysnęła intelektem, który, w przeciwieństwie do reszty jej jestestwa, rzadko błyszczał. – Mężczyźni otrzymają więc rogi, zęby i ogony, a kobiety – miotły i wieńce. A rano panie będą puszczać wianki ze świecami wzdłuż Dniepru, a mężczyźni je

łapać... Przeczytałam o święcie Kupały, co tylko się dało. Mam cały program!

– Tak – prychnęła sceptycznie Zajadła, wyraźnie kierując swoje wątpliwości do przełożonego. – Tylko że Halloween to Halloween, każdy je zna. A to, o czym mówisz, przypomina zabawy z czasów młodości naszych mam... I po co w ogóle ludziom dwa Halloweeny?

– Ale to jest nasze własne! – Czub była wyraźnie urażona.

– W porządku – westchnął dyrektor – do roboty. I proszę pamiętać, co mówiłem. Jeden krok poza scenę i jest pani zwolniona.



– To chyba wszystko – mruknął ojciec Maszy, mrużąc czerwone ze zmęczenia oczy. – Można się ugotować! To jest piekło.

Pod ziemią było nieznośnie duszno i gorąco, dosłownie jak w bani z rozgrzanym do czerwoności piecem. Włodzimierz Siergiejewicz niecierpliwie zdjął kurtkę i owinał ją sobie wokół pasa. Błoto chlupotało pod jego stopami, a para unosiła się w powietrzu.

– A czego się spodziewałeś, Siergieiczu, wysiadła ciepła woda – przypomniał mu jego partner. – Tam jest kolejny przeciek – wskazał palcem. – Widzisz? Ale wygląda na to, że to już ostatni... Hej, nowy, przynieś narzędzia.

Nowy, chłopak o orientalnej urodzie, jak z obrazu, zmrużył czarne niczym wilcze jagody oczy i rozejrzał się uważnie.

– Jesteśmy teraz w środku góry – powiedział dziwnie. – Prawie pod samym szczytem.

– Oczywiście. – Robotnik wzruszył obojętnie ramionami. – To dlatego ulica jest zalana, bo jest pod górą.

Okrągły tunel podziemnego kolektora kanalizacyjnego wychodził z ulicy Frunze na górę, gdzie znajdował się cieszący się złą sławą Szpital Psychiatryczny imienia Pawłowa, i biegł dalej, aż do Babiego Jaru.

Niegdyś, dwieście lat temu, szpital, w którym jeszcze nieznany nikomu Kaszpirowski pracował w latach osiemdziesiątych, był monasterem św. Cyryla, ale zmienił swój status na długo przed rewolucją, a po niej imię świętego na imię radzieckiego naukowca. Po klasztorze pozostała jedynie cerkiew, ozdobiona freskami przez młodego Wrubla, który z jakiegoś powodu panicznie się bał, że na starość zostanie zamknięty w sąsiadującym z nim szpitalu psychiatrycznym.

– Prawdziwy dom wariatów! – Który to już raz tego dnia surowy Siergiejcz wściekł się, badając „niby ostatni” przeciek. – Rury są przecież nowe. Dlaczego miałyby wybuchnąć? Nie ma rdzy, żadnych nieprawidłowości... Coś tu jest nie tak, Kolia.

– Mówię ci, że to kopacze się wygłupiają. – Partner zaczął udowadniać myśl, którą już nieraz powtarzał. – Co to za moda, żeby kręcić się po kanałach?!

– Cóż – powiedział po ojcowsku Włodzimierz Siergiejewicz – pod Kijowem jest więcej podziemnych przejść niż ulic w mieście. Mnisi kopali je od setek lat, więc młodzianie chcą sprawdzić, co tam jest. Ale nigdy nie psuli rur, bo i po co?

– Aha! – przypomniał sobie głośno Kolia. – Jaskinie św. Cyryla są tuż obok! Pewnie tam chcieli się dostać! Kanał prowadzi prosto do nich.

– Gdzie? – zapytał nowy z chłopięcym zainteresowaniem.

– Tam, po prawej stronie – powiedział dopingująco partner, a gdy zobaczył, że ciekawski chłopak poszedł już we wskazanym kierunku, dodał z udawaną rzeczowością: – Tak jest, tak jest! Sprawdź, jak to tam wygląda! Jeśli próbowali otworzyć bramę, lepiej to komuś zgłosić.

Po przejściu stu metrów nowy skręcił w boczny tunel i niemal natychmiast natknął się na zardzewiałą, wrosniętą w ziemię bramę, której

jedna z ciężkich klap była nieco uchylona, tworząc niewielką szczelinę, na tyle jednak dużą, by mógł się przez nią przecisnąć ktoś młody i gibki. Czarnooki wślizgnął się do środka i odwrócił. Promień światła z latarki na kasku czujnie omiatał dziury w ceglanym murze. Jakiś dozorca, nie zadowolając się żelaznymi drzwiami, nakazał na wieki zamurować wejście do jaskiń św. Cyryla, w których obecność groziła głośnym zawaliskiem. Teraz jednak część muru była rozebrana.

Po chwili zawahania chłopak ruszył dalej przez splątany labirynt wąskich korytarzy bezszelestnym krokiem czarnego kota, skręcając nieustraszenie to w prawo, to w lewo. Światło przedzierało się przez gliniane sklepienia wykopanej w ziemi dziury i orało zakurzoną drogę – było tam wiele śladów stóp, przeplatających się i depczących po sobie. To właśnie one doprowadziły go w końcu do ślepej kamiennej sali, przypominającej czarny otwór gębowy – małej i półokrągłej, przeciętej skośnie szarą betonową ścianą, która w porównaniu z pozostałymi dwoma mogła uchodzić za nową.

Przy tej ścianie stało coś nieprzyjemnego i niedobrego. Amatorskie *panneau* z pociętych na kawałki prawosławnych ikon, ułożonych na nowo w potworną, bluźnierczą mozaikę. Pośrodku ponurego obrazu rozproszonych i wszechwidzących oczu, smutnych ust i odciętych dłoni Jezusa wisiała przybita czterema pinezkami, wyrwana z drogiego albumu o sztuce reprodukcja obrazu Matki Bożej z ukojonym dzieciątkiem na kolanach.

Przez kilka sekund czarnooki wpatrywał się podekscytowany w twarz Marii, pomarszczoną już od wilgoci i wyrwaną z ciemności przez słabą aureolę jego latarki. Nagle z wściekłością zerwał reprodukcję prawosławnej ikony z obscenicznego ołtarza, uniósł brodę ku górze i zawył cicho, przeraźliwie.

Z dziennika N

To prawda! Wszystko się potwierdziło. Chociaż mojego geniuszu nie można podejrzewać o oszustwo – może jedynie o szaleństwo. Ale to już kwestia wiary.

Ja wierzę!

Co oznacza, że ona umrze...

Rozdział drugi

w którym Masza przejawia niebezpieczne upodobanie piękna

Ludzie tamtej epoki byli tak dumni z soboru św. Włodzimierza, jak współcześni Rafaelowi i Michałowi Aniołowi z fresków obu mistrzów w Watykanie.

~ A. Benois

Dotykając pośpiesznie dłonią kamiennych stopni, Masza niezdarnie przeżegnała się i weszła do ogromnego, pokrytego zasłonami cienia wnętrza soboru św. Włodzimierza.

Prawdziwa wiara nie była jedną z cnót Maszy. Ale od czasu, gdy nauczycielka poradziła jej, by zapalić świecę przed egzaminami wstępnymi na uniwersytet (który Masza nadal nazywała bez szacunku instytutem), ten rytuał przedegzaminacyjny stał się częścią jej życia i wrósł w nią. Chociaż wcale nie chodziło o egzaminy, a o to, że ten pretekst raz na zawsze legalizował spotkania Maszy z najpiękniejszym na świecie soborem św. Włodzimierza.

Oczywiście teoretycznie Masza Kowalowa wiedziała, że na świecie na pewno jest o wiele więcej cudownych świątyń. Ale ta abstrakcyjna wiedza nie przeszkadzała jej wierze, tak ogromnej jak sama świątynia, że nie ma

i nie będzie na całym świecie nic piękniejszego od jej soboru, zdobionego bogato ikonami i freskami Wiktora Wasniecowa (zestaw z puli egzaminacyjnej numer 14, pytanie 1: Kultura Ukrainy na przełomie XIX i XX wieku) od marmurowych paneli po kopułę centralnego „bębna” – niczym cudaczna pisanka pokryta cienkimi płatkami złota.

Zgodnie z wieloletnią tradycją, rozpoczęła jeszcze w dzieciństwie, Masza zrobiła dokładnie pięć kroków i odwróciła się gwałtownie, aby spotkać wielkie, ciemne oczy anioła *Sądu Ostatecznego* – o wąskiej twarzy, groźnych ustach i silnych skrzydłach – patrzące spod zmarszczonych brwi. Te oczy były najbardziej energetycznym punktem katedry patriarchalnej, przyciągającym Maszę jak magnes. Czarna postać anioła stała na tle wirujących czerwonych płomieni, oddzielając raz na zawsze grzeszników zmiecionych przez apokalipsę wraz z gargantuicznym wężem, który skusił Ewę po jego lewej stronie, i zastępy pełnych nadziei sprawiedliwych po prawej.

Masza gwałtownie poruszyła ramieniem, jakby przeszedł po nim dreszcz, zacisnęła powieki i potrząsnęła głową, bo, być może ze zmęczenia lub przez oczy wyczerpane całonocnym czytaniem ksiązek, przewidziało się jej, że lewa czasza zrównoważonej wagi w lewej ręce Wasniecowskiego anioła drgnęła ku dołowi.

„A jeśli?! Oczywiście, że nie...”

Wzrok Maszy odruchowo przeniósł się w prawo, gdzie nad łukiem schodów prowadzących na chór wielki oświeciciel Rusi, który wprowadził tu chrześcijaństwo, ksiązę Włodzimierz, chrzczył lud kijowski. Wydymając napompowane zachwytem usta, studentka podziwiała wzorzysty, złoty płaszcz monarchy, złotą koronę i zacięty grymas dwudziestosześcioletniego chrzciciela. I jego żonę – carycę Annę, z rękami nieśmiało złożonymi pod brzuchem, w nakryciu głowy bizantyjskiej cesarzowej. Według jednej

z wersji (zestaw z puli egzaminacyjnej numer 4, pytanie 2: Przyjęcie chrześcijaństwa na Rusi) Włodzimierz przyjął chrzest z miłości do niej („Kto to teraz sprawdzi?”). I wreszcie podziwiała też tego brodacza, niemłodego już bojara, który z niepokojem i posępnością szuka odpowiedzi na jakieś nieodgadnione pytanie („Przecież już się ochrzcił, inaczej stałby w Poczajnie, a nie na brzegu. Co tak bardzo go dręczy?”).

Masza zdecydowanie zwróciła się twarzą ku nawie głównej z uwikłanymi w bogate kwiatowo-geometryczne wzory osiemnastoma staroruskimi świętymi na pylonach i u podstaw łuków, z ewangelistami na wysokich „żaglach statku”, z trumną z tysiącsiedemsetletnim, niezniszczalnym ciałem siedemnastoletniej świętej Barbary, która dała swoje imię odległej Santa Barbarze – i z dumą pogłaskała wzrokiem znajdującą się nad ołtarzem Włodzimierską Matkę Bożą w złotym półkolu centralnej absydy, przemierzającą bezdennie złote niebo, otoczoną ośmioma sześciokrzydłymi serafinami.

Twarz Marii – w niej zakochany był siedmioletni Sasza Wiertinski, który na spotkania z nią nosił kwiaty i był zazdrosny o śpiewających dla niej w chórze chłopców i który marzył, że pewnego dnia także on będzie nosić świecę do soboru św. Włodzimierza – skryła się przed Maszą w cieniach rzucanych przez światło dnia. Mglista twarz Matki Bożej w czerwonych butach pozostawała tajemnicą, która unikała nieskończenie długich nabożeństw, jasno oświetlanych czterema żyrandolami z brązu.

„Mój Boże, jak tu pięknie!”

Studentka z radością i słodyczą wciągnęła powietrze, ciesząc się całą sobą tą chwilą nieistnienia między domem a instytutem.

Lubiła „nie być” w ogromnym, spowitym cieniem soborze św. Włodzimierza za dnia. W takich chwilach katedra była niczyja i posłusznie należała tylko do niej. Nawet gdyby brązowooki Włodzimierz

o pełnych ustach, który obalił figury pogańskich bóstw – Włodzimierz, którego pomnik na Wzgórzu Włodzimierza metropolita Filaret Amfiteatrow uznał za nową figurę bożka, oczerniając tym imię Księcia Chrzyciciela walczącego z bożkami, i stanowczo odmówił jego konsekracji, wzywając do zbudowania prawowiernego soboru Włodzimierza na przekór „pogańskiemu” pomnikowi – oderwał wzrok od nieba namalowanego przez Wasniecowa i z oburzeniem spojrzął na nową bożkoczcicielkę zbyt pięknych murów świątyni katedralnej obecnego Filareta, Masza odpowiedziała księciu: „Nic nie rozumiesz!”.

Nigdy nie przeszła dalej niż pięć kroków, a przewróciwszy oczami i otworzywszy natchnione usta, wyobrażała sobie tak nieprzebranie mocno, jakby przecięła wielowiekowe warstwy czasu, że w tym miejscu, gdzie teraz stoi, przechodzili – nie mogli nie przechodzić! – w odległości pięciu kroków od wejścia: ostatni car Rosji Mikołaj, który przybył na poświęcenie katedry 20 sierpnia 1896 roku, Wasniecow, Niestierow i Wrubel oraz Paradżanow, który sto lat później tworzył tu scenariusz do filmu o Wrublu. Achmatowa i Kuprin, Biely i Błok, Majakowski i Mandelsztam, Bierdiajew i Tairow, Wertinski i Michaił Afanasjewicz Bułhakow! I czuła, ścisnąwszy drżący z podniecenia żołądek, jak cienie tych, którzy kiedyś tędy przechodzili, teraz dosłownie przenikają jej ciało, i pomyślała, odrobinę fantazjując, że wszystkie zagadnienia egzaminacyjne są napisane zbyt powierzchownie i zbyt ogólnikowo, i że studenci kijowskiego wydziału historii powinni borykać się tylko z takimi zagadnieniami: „Historia jednej marmurowej płyty, znajdującej się pięć kroków od wejścia do nawy głównej najpiękniejszego na świecie soboru św. Włodzimierza”.

„A niech to, egzamin...” – opamiętała się Masza.

Chociaż – to tak między nami, drogi czytelniku – nie było szczególnej potrzeby, aby Masza Kowalowa przyszła na egzamin z historii punktualnie.

W odróżnieniu od innych wykładowców historyczka Wasylisa Andriejewna nie wpuszczała na egzamin całego towarzystwa jednocześnie, lecz w pięcioosobowych grupach, aby lepiej kontrolować proces myślowy każdego z osobna podczas przygotowywania się do odpowiedzi. Słyszała z tego, że na jej egzaminach ściąganie było niemal niemożliwe, a na pewno bezcelowe. Ci, którzy bezmyślnie opuszczali jej wykłady i próbowali je nadrobić przy pomocy książek – wykutych na blachę lub w postaci ściąg – mogli liczyć co najwyżej na ocenę dostateczną. Wasylisa Przemądra, znana też jako Wasia, była podgatunkiem szczególnie trudnego nauczyciela, cierpiącego na obfitość oryginalnych poglądów, odbiegających od wszelkich znanych podręczników, oraz znajomości niewyobrażalnej ilości dodatkowych, niepublikowanych informacji. Wasia wzbudzała paniczny strach. Jej piętą achillesową była słuszna duma. A student przyłapany na ściąganiu z kompletnymi notatkami z jej wykładów mógł liczyć na pieśń pochwalną. „Przynajmniej” – jak lubiła powtarzać – „masz punkt odniesienia, do którego zawsze możesz sięgnąć. Jeśli nie masz go w głowie, to chociaż na papierze”.

Mimo to Masza Kowalowa stawiała się punktualnie o wyznaczonej godzinie w wyznaczonym audytorium i z ulgą rzuciwszy na podłogę plecak pełen książek z biblioteki (Masza z uporem maniaka czytała całą literaturę, nawet tę kategorię niepolecaną przez Wasię), zdawała się czekać na coś, co było znane tylko jej i najwyraźniej nie miało nic wspólnego z historią Ukrainy. W każdym razie Masza nie próbowała dołączyć do pierwszej grupy zdających.

Pięciu dobrowolnych męczenników zniknęło za drzwiami. Poziom strachu oczekujących studentów podskoczył o dziesięć punktów – gilotyna została uruchomiona, a stojący w kolejce na szafot konwulsyjnie odliczali ostatnie minuty do egzekucji.

Dziewczyna w krótkiej spódniczce w kratę nagle boleśnie uderzyła swojego chłopaka w ramię.

– To wszystko twoja wina! – Prawie wybuchła płaczem. – To przez ciebie nie uczyłam się do egzaminu. Umówiliśmy się, że będziemy się uczyć całą noc. Ale ty i twoja miłość... Nie umiesz się powstrzymać. Wieczny napaleniec! Jeśli przez ciebie dziś nie zdam, to...

– Ożenię się z tobą – oznajmił zniecierpliwiony chłopak.

Dziewczyna w spódniczce w kratkę spuściła głowę i spojrzała na niego zdumiona. On poważnie skinął głową na potwierdzenie prawdziwości swojej deklaracji. Mimowolna obserwatorka tego happy endu, zwiesiwszy nos, chwyciła plecak za rączkę i z żalnością skierowała się pod okno na końcu korytarza.

Masza nigdy nie bała się egzaminów, nikt też nigdy nie wyznał jej miłości. W szkole często jej dokuczano, na studiach po prostu jej nie zauważano. Tutaj była tylko bezbarwnym przywidzeniem, które melancholijnie przyglądało się życiu z boku...

„Właśnie tak prawdziwy historyk powinien patrzeć na świat!” – pocieszała się rozumnie, aby zagłuszyć inne, wysoce niepragmatyczne uczucie, które wypełzło z jej piersi na widok szczęśliwego zakończenia cudzej opowieści.

Po drugiej stronie parapetu hałaśliwie odchodziły od zmysłów trzy nierozłączne psiapsióki z ich grupy – Rita, Lidia i Żenia – niezłomne piękności i imprezowiczki. Rita przewinęła się kilka razy na stronach magazynów modowych, opisujących wszelkie popularne wydarzenia, pozbawiona biustu Lidia chodziła do szkoły modelingu, a Żenia była śliczna jak cherubin i równie uroczo figlarna...

– Och, czuję, że Wasylisa Przemądra mnie zabije! – skomlała żalownie Żenia. – Wczoraj specjalnie nie umyłam włosów. Mycie włosów przed egzaminem przynosi pecha.

– Tutaj z samą brudną głową nie zaszalejesz. – Lidia zaśmiała się nerwowo. – To nie Markowna. Tamta stawia „dobry” każdej lasce, która wygląda jak Lesia Ukrainka w trumnie. Ale nasza Wasia zapyta o każdą datę. Całą noc jak głupia uczyłam się jej opowiaderek. Leszek skserował mi swoje notatki. Boże, komu to teraz potrzebne! A tak przy okazji... – ożywiła się nagle. – Wiecie, jaki liścik mi podsunął? „Brzuch twój jak stos pszenicznego ziarna, piersi twe jak dwoje koźląt”. Najwyraźniej od pierwszego roku masturbuje się na mój widok!

W odpowiedzi Żenia wydała z siebie krótki, nerwowy chichot – jej zwykle nieskrępowany śmiech zamarł na ustach ze strachu.

– Co, znowu ty? To twoja sprawka? – Lidia nawet się nie zezłościła na swoją przyjaciółkę. – Wiecznie ty i te twoje głupkowate żarty! Po jaką cholere?!

– Pamiętajcie – powiedziała Rita uroczystym głosem. – Świętujemy egzamin dziś wieczorem w klubie „O-Yo-Yo!”?

– Dokładniej mówiąc, oblejemy go i upijemy się z żalu. – Żenia już pogodziła się z losem.

– Trzeba przygarnąć jakichś chłopaków, żeby zapłacili za nasze drinki. Ooo... A oto nasza największa żmija! Przy okazji, wiecie, czego się dowiedziałam? – Ożywiona Lidia nagle wyszeptała coś do uszu przyjaciółek, które natychmiast znalazły się tuż przy niej.

Co dokładnie, Masza nie mogła usłyszeć, choć bardzo chciała.

Spojrzała pożądliwie na przybysza i natychmiast, obawiając się, że ktoś zdoła rozszyfrować jej spojrzenie, opuściła wzrok i z żywym zainteresowaniem zaczęła przyglądać się swoim palcom z krótko przyciętymi paznokciami i zadziorami.

Chłopak odpowiedzialny za to małe zamieszanie szedł korytarzem pewnym krokiem playboya przyzwyczajonego, że jego ciało nieustannie polerują dziesiątki kobiecych spojrzeń.

Był przystojny, nawet zbyt przystojny jak na mężczyznę. A ten nadmiar piękna – kapryśne usta, dumny nos, czarne włosy zebrane z tyłu w kucyk – był mimowolnie postrzegany przez otoczenie jak coś perwersyjnego, przekraczającego granice normy.

Trzy przyjaciółki automatycznie wygięły się w łuk, a trzy pary piersi – rozmiar jeden, dwa i trzy – wycelowwały w niego jak pistolety. Trzy pary oczu wbiły się w niego jak harpuny i pociągnęły zapraszająco ku sobie. Do tej pory Mir, z symptomatycznym nazwiskiem Krasawicki, był uważany za ich wspólną własność, ponieważ nie zdecydował się jednoznacznie na żadną z nich. Uśmiechając się dostojnie, przystojniak ruszył w stronę ich okna.

I wtedy wydarzyło się coś niewiarygodnego i porównywalnego niemalże z cudem, o którym Masza śniła każdej bezsennej nocy, wymyślając coraz to nowe szczegóły.

Mir mimochodem pomachał do swoich przyjaciółek, podszedł do Maszy i oparłszy się obiema rękami o parapet, zawisł nad nią całym ciałem.

– Maszeńko, jak się masz? – mruknął cicho.

Jej serce histerycznie łomotało w piersi, aż w uszach dudniło!

– Dobrze – odpowiedziała ledwo słyszalnie i wbiła wzrok w jego klatkę piersiową.

Boże, była w jego objęciach!

– Masz jakieś ściągi? – Mir zapytał czule, delikatnie unosząc palcem jej podbródek.

– Mam.

Po raz pierwszy w życiu Masza spojrzała mu w oczy!

– Z wykładów Wasi? – upewnił się, choć pytanie było czysto retoryczne. – Po co ci one, skoro już wszystko wiesz?

– Kiedy robię ściągi, powtarzam materiał i systematyzuję wiedzę – automatycznie wygłosiła maksimum ze szkolnych czasów, która sprawiała,

że wszyscy nauczyciele otwierali usta ze zdumienia, uświadamiając sobie: raj na ziemi jednak istnieje!

– Ach tak... – Nagle pochylił się nad nią tak nisko, że ich usta znalazły się w niebezpiecznej bliskości. – Gdzie je masz? – zapytał zmysłowym półszepceniem, niemal dotykając wargami jej ust.

– Pod spódnicą – odpowiedziała szczerze Masza.

– Pod spódniczką – powtórzył słodko Mir i złożył swoje wprawne dłonie na jej mocno ściśniętych kolanach. – Wymienimy się, co? Ściągi za mój wdzięczny pocałunek? Bez nich nie zdam egzaminu...

W jego ustach brzmiało to jak: „Nie sprzeciwiaj się, bo oszaleję!” i w odpowiedzi Masza tylko posłusznie skinęła głową, nie mogąc oderwać od niego zahipnotyzowanych oczu.

Przystojniak położył opiekuńczo rękę na jej ramieniu i przyciskając ją do swojego uda, na oczach wszystkich poprowadził za róg korytarza. Masza zdążyła zauważyć, jak trzy przyjaciółki z oburzeniem odprowadzały ich spojrzeniem, ale wszystkie jej myśli i uczucia przeniosły się na sparalizowany lewy bok, dotykający jego dżinsów i koszuli, która pachniała dymem, wodą kolońską i niemożliwym szczęściem.

– No i?

Teraz byli *tête-à-tête*.

Mir z rękami założonymi na piersi patrzył na nią wyczekująco, nawet nie myśląc się odwracać. Chciała go o to poprosić, ale czuła, jakby wstrzyknięto w jej język dawkę środka znieczulającego. Bolesnie zakłopotana Masza odwróciła się do niego plecami, podciągnęła niezręcznie spódnicę i wyciągnęła specjalnie uszyty fartuszek z posegregowanymi w kieszonkach odpowiedziami.

– Boże, to jest doskonale! – Chłopak uśmiechnął się szyderczo, przyjmując jej rękodzieło. – Gdzie mam to schować? – Wyciągnął rąbek koszuli ze spodni i założył niebieski fartuszek na brzuch, zawiązując

wstążki wokół szyi. – Dzięki, Marusiu, jesteś bardzo pomocną dziewczyną! – Jego usta beztrzesko cmoknęły powietrze. – Buziaki. Pa!

Zjawa Krasawickiego ulotniła się.

Masza stała, oparłszy się plecami o ścianę, a ekstaza spowodowana cudem, który właśnie się wydarzył, spływała po niej niczym topiący się śnieg z dachów.

Nagle – jakby ktoś pokazał jej to z boku – uświadomiła sobie, jak komiczna była scena uwiedzenia Maszy Kowalowej dla ściąg. Mir mógł po prostu powiedzieć „daj” i je dostać, ale to byłoby nudne. Z nadmiaru władzy i radosnej pogardy dla życia, z chęci rozbawienia czy wkurzenia swoich trzech przyjaciółek, nasycenia się jej rozmiłowanym spojrzeniem, jej trzyminutową wiarą, że ktoś taki jak on może zwrócić uwagę na kogoś takiego jak ona, Mir – leniwy bóg świata kobiet, zbyt uległych w jego rękach – w mgnieniu oka obnażył „sekret” Maszy.

A gdy wszystko się wydało, ta okazała się żalosna i śmieszna.

Masza ostrożnie wychyliła głowę zza rogu – Mir stał między trzema pięknościami, obejmując nagie ramiona Rity. Zawsze ją faworyzował. Albo ona sama się wyróżniała – była typem dziewczyny gotowej na wiele, ale przekonanej, że może absolutnie wszystko. I mimo śniadej i dorodnej romskiej urody przypominała Maszy zakochany w sobie samowar...

Jakby wyczuwając jej spojrzenie, towarzystwo odwróciło głowy w jej kierunku i roześmiało się zgodnie.

W tym momencie drzwi sali egzaminacyjnej otworzyły się, wyrzucając na korytarz pięć zaszczutych panien.

– Jednak oblewa? – przestraszyła się Żenia.

Ofiary tej historii nie miały szansy, by odpowiedzieć.

W drzwiach pojawiła się okazała postać pięknej przewodniczki.

– Następni – oznajmiła groźnie Wasylisa Andriejewna i czterokrotnie skinęła brodą w stronę zbyt wesołej czwórki.



Z miną zaciśniętą jak walcząca pięść, Katia weszła do świeżo wyremontowanej rezydencji przy ulicy Puszczyńskiej – jej fasadę zdobiła lustrzana metalowa tabliczka z czarnymi literami, które niewiele mówiły niewtajemniczonym: „KLUB KIRKE. Wstęp wyłącznie dla posiadaczy kart członkowskich klubu”.

Ale Katia nie pokazywała nikomu niczego podobnego. Spojrzała groźnie na strażnika przy wejściu, który wzdrygnął się pod ciężarem jej spojrzenia:

– Witaj, Katerino Michaj... – Kobieta w milczeniu przeszła do szatni, otworzyła kluczem swoją prywatną szafkę i wyjęła sportowy strój wraz ze starymi rękawicami bokserskimi.

– Co, znowu ktoś z tobą zadarł? – zapytała ze zrozumieniem dama zapinająca pasek pozłacanego sandałka na swojej gładkiej kostce.

– Nie to słowo – odpowiedziała ponuro Katia, odwieszając kurtkę. – Bierzesz udział w walce? – Kiwnęła głową w kierunku ogłoszenia na ścianie:

6 lipca w klubie „Kirke” odbędzie się doroczny pojedynek pomiędzy członkami klubu.

Osoby, które chciałyby wziąć w nim udział, proszone są o kontakt z administracją.

Pytanie zostało jednak zadane wyłącznie z grzeczności. Ta dama była przedstawicielką rasy dekoracyjnych „cacuszek” i chodziła do klubu bokserskiego wyłącznie dlatego, że we wszystkim pilnie naśladowała jedną

ze swoich fajnych koleżanek. Poza tym lubiła czuć, że należy do tej zamkniętej organizacji kobiecej z modną nutą skrajnego feminizmu.

– To dopiero będzie zastrzyk adrenaliny – rzekła z zapalem Cacuszko. – Ale ja jestem tylko amatorem. Dziesiątego mam zaplanowaną operację plastyczną, więc nawet gdyby rozkwasili mi całą mordę, nie miałyby to znaczenia. – Zaśmiała się z własnego żartu. – Wiele osób chce na ciebie postawić. Ja też. Ale większość jednak na Dinozaurzycę...

Twarz Katii napięła się jeszcze bardziej. W zeszłym roku Dinozaurzyca, potężna baba bojowa, rozłożyła Katię na ringu. Przez sekundę jej w głowie rozbłysnął czerwony płomień nienawiści, ale mądrze go zgasiła – w tej chwili miała większe zmartwienia.

Na sali gimnastycznej nie było nikogo poza potarganą blondynką o wąskich ustach, która niezbyt sprawnie, ale z nieukrywaną przyjemnością uderzała w gruszkę bokserską w kształcie męskiego torsu.

– Masz, a masz! – Cieszyła się blondynka. – Właśnie kończę – rzuciła przez ramię i zdjawszy rękawicę z dłoni, otarła czoło zlane potem. – Za dwadzieścia minut mam konferencję. Ulżyło mi. Szczerze!

Katia podeszła do gruszki i ostrożnie przypięła do głowy muskularnego gumowego manekina okładkę magazynu „Lider” z twarzą Wasilija Fiodorowicza i szkarłatno-czerwonym nagłówkiem: „Wesoły naczelnik Urzędu Skarbowego”. W policzkach „wesołego naczelnika” wylądowały dwie długie szpilki...

– No, chłopie, wpadłeś! W ręce profesjonalistki! – Blondynka zachichotała radośnie.



– Więc... tutaj postawimy szałas z gałęzi. Tu, tu i tam dalej. Ludzie zaczną wariować! Oszaleją!

Dasza Czub wkręciła bosc stopy w ciepły dnierprzański piasek aż po kostki. Było wspaniale. Impreza zapowiadała się genialnie. A wzdłuż brzegu wyrównywanego przybojem, na samym skraju wody przechadzał się wielki i nieporuszony czarny kruk.

– Tu i tu ogniska. Nad wodą zapalimy największe, Kupały, na środku drzewo ze wstążkami... Tolik, przynieś mi tu jakąś wierzbę albo wiśnię. Albo przynieś cokolwiek! Tylko nie tnij, bo szkoda – oznajmiła dwóm chłopcom z klubu, którzy szli za nią. – A ty, Miko, załatw koła...

– Koła? – zdziwił się, nie dając wiary temu, co usłyszał.

– Głupiś, drewniane! Od wozu! Są podpalane i staczane do rzeki. Symbolizują słońce. Kupała to przesilenie letnie, „szczyt lata”! I drugie ognisko z ogniem ofiarnym, Krađu, tam. Chłopi spalili na nim czarownicę Marenę, a my – dumnie obnosiła się ze swoją wiedzą – spalimy kukłę inkwizycji!

Wietrzyk od rzeki pędził po plaży zwichrzoną gazetę, która po drodze przeraźliwie gubiła kartki.

– Stój! Mam cię! – Doskoczywszy do niej, Dasza szybko zamachnęła nogą i roześmiała się. – Nowiutki „Bulwar”... Ciekawe, o czym piszą?

Wstrząsająca podniosła resztki podniszczonego tygodnika towarzyskiego, zerknęła z ciekawością na okładkę i zobaczywszy odpychającą twarz piosenkarki Wiki, fuknęła i ze złości przeskoczyła na ostatnią stronę.

– Co to jest?

Energicznie podrapała się bokiem dłoni po nosie.

Ten zły nawyk ujawniał się za każdym razem, gdy Dasza intensywnie o czymś myślała. A myślała znacznie częściej, niż wskazywałby na to jej styl ubierania się.

– Gdzie-gdzie? Na św. Andrzeja? A co? Dlaczego nie? – Blondynka o gogolowskim nazwisku Czub żywo dyskutowała z rzeką, którą Gogol kochał. I najwyraźniej, oceniwszy leniwe milczenie Dniepru jako znak

stuprocentowej zgody, wyciągnęła z dekoltu dwie różne skarpetki: damską różową i męską niebieską. – Słyszycie? – Wstrząsająca odwróciła się w biegu, bo już pędziła w kierunku cennych butów w stylu Johnny’ego Deppa. – Dobra, to wszystko! Jakby co, widzimy się wieczorem.

Rozdział trzeci

w którym drogi trzech bohatererek niespodziewanie się krzyżują

...wewnątrz *Białej gwardii* też czai się jej własny diabeł – Woland z „powieści kijowskiej”.

~ Miron Pietrowski, *Mistrz i miasto*

Tocząc się po stromym bruku Zjazdu św. Andrzeja, motorower podskakiwał pod Daszą jak piłka. Kocie łby – ułożone tu jeszcze za czasów generała-gubernatora Iwana Iwanowicza Funduklejewa, który na własny koszt wybrukował ulubioną ulicę – wydawały się wznosić i przeskakiwać jeden przez drugiego, zupełnie ignorując zachowanie właściwej równowagi i jednolitości drogi. A wysoko nad nimi, na pogodnym lazurowym niebie, krążył czarny kruk i nie spuszczał wzroku z pędzącej jaskrawoczerwonej plamy.

Podobnie jak słynny moskiewski Arbat, Zjazd św. Andrzeja był kijowską mekką. W ostatni wolny od pracy dzień wiosny – podczas oficjalnego Dnia Miasta – ludzie wypełniali Zjazd po brzegi, więc niebezpiecznie było się tu pakować: popchną, zdeptają, zerwą z szyi złoty łańcuszek, przetną plecak... Ale nawet w dni powszednie na słonecznej

drodze, wijącej się na wzgórzu i łączącej niezliczonymi łukami zakrętów Górne i Dolne Miasto, roiło się od pełnych energii ludzi lustrujących obrazy rozwieszane na ścianach domów, gliniane dzwoneczki i świnki, ręcznie robione ozdoby oraz stare i zdezelowane książki, rozłożone wprost na chodniku.

Z wysoka spoglądała na nich niebiańska, szmaragdowoniebieska cerkiew św. Andrzeja, w której nieszczęsna Pronia nigdy nie wyszła za mąż za frywolnego Gołochwostowa; nieco niżej wznosił się dumny i piękny zamek Ryszarda Lwie Serce, zbudowany siedemset lat po śmierci króla Ryszarda w kraju, w którym ten władca nigdy nie był; a u podnóża Uzdychalnicy stał dom o zdumiewającej konstrukcji, dwupiętrowy od ulicy i jednopiętrowy od podwórza...

Jednak po bliższym przyjrzeniu się nagle uświadamiasz sobie, że wszystko to tylko kolorowe i wesołe dekoracje. Na niemal najszynniejszej ulicy miasta połowa domów – krępych i smutnych, zbudowanych przed gorączką budowlaną lat osiemdziesiątych XIX wieku – stoi teraz pusta i niezamieszкана. Z urazą odwróciwszy się plecami do przekłetej góry, patrzą na świat przez swoje pozbawione życia czarne okna. Pusty jest drugi dom i dziewiąty, dwudziesty drugi, pokryty po sam dach zieloną siatką budowlaną, dwudziesty szósty, z przekrzywioną po wielu latach omdlenia fasadą, dwudziesty czwarty i trzydziesty czwarty... Wciąż remontowany zamek też jest pusty, podobnie nocą pustoszeje dom Turbinów i Muzeum Jednej Ulicy, mały teatr „Koło”, pustoszeją też restauracje i galerie sztuki, a handlarze, przycupnięci na wąskich i stromych chodnikach, rozchodzą się do swoich domów. Każdego, kto kiedykolwiek szedł o północy martwym Zjazdem św. Andrzeja, ogarniało nagle niecodzienne uczucie, że ta ulica jest nierealna – i to nawet nie ulica, ale jej widmo...

Zatrzymawszy się pod domem z obiecującym napisem „Centrum Czarów Starokijowskich na Padole...”, Dasza zeskoczyła z żelaznego kucyka i poklepała go z miłością po lakierowanym zadku. Zdjęła z ramion czerwoną skórzaną kurtkę i została w ledwie zauważalnym topie, który z trudem mieścił jej nader zauważalny biust, pokryty modną instalacją z drucików, paciorków, koralików i dżetów. Obfitość makijażu na dość dziecięcej twarzy Daszy mogłaby przerazić każdego estety. Jednak esteci nigdy nie byli w jej typie – Dasza wolała mężczyzn, którzy byli niekonwencjonalni!

Czub z dumą wyjęła z kieszeni wielobarwną tiubietijkę i założyła ją na dobrą setkę białych warkoczyków. Nie bez satysfakcji zauważyła sensację, jaką jej malowniczy wygląd wzbudził wśród ulicznych portrecistów i innych stałych bywalców letniego Zjazdu.

Podeszła do tabliczki przed domem i z ciekawością przestudiowała przyklejoną pod nią kartkę:

*ZAKLĘCIA MIŁOSNE I PRZECIWMIŁOSNE
ZDEJMOWANIE ZŁEGO OKA ZDEJMOWANIE
WIEŃCA STAROPANIĘSTWA
SPROWADZANIE NIESZCZĘŚCIA NA WROGÓW itp., itp.*

Chrzękając z zadowoleniem, Dasza weszła do środka, zbliżyła się do recepcji i dopytała o cenę „miłości”, by bez mrugnięcia okiem zapłacić okazałą sumę.

– Prosto do końca korytarza, potem trzy razy w lewo – wyjaśniła jej flegmatyczna pani sekretarka.

Przybyszka ruszyła we wskazanym kierunku, podziwiając architektoniczne osobliwości starego budynku. Korytarz skręcał trzy razy i kończył się drzwiami z napisem „Kyłyna”, strzeżonymi przez grupę podrapanych krzesel. Na jednym z nich siedział młodzieniec

o ognistoczerwonych włosach, pogrążony w lekturze *Mistrza i Małgorzaty* – książki bardzo odpowiedniej dla tego miasta, ulicy i miejsca.

Dasza zachichotała wesoło:

– Niezłe jaja!

Mężczyzna był ubrany w białe spodnie z lnu i koszulkę w tym samym kolorze. Jego prawą dłoń zdobił masywny srebrny pierścień z dużym niebieskim kamieniem.

– Fajna błyskotka – pochwaliła Dasza Czub, od razu zaliczając chłopaka do kategorii „swój człowiek”. – Jesteś ostatni do Kyłyny?

Mężczyzna uniósł wzrok i z nieskrywanym zainteresowaniem obejrzał Wstrząsającą Daszę od stóp do głów.

– Tak, jestem ostatnim gościem – rzekł wymownie.

– W takim razie ja będę za tobą – poinformowała go radośnie Dasza.

– Do-brze – powiedział z powagą, sylaba po sylabie, jakby zatwierdzając jej kandydaturę. – A tak na marginesie, widzę, że znasz się trochę na tych rzeczach. Tak się składa, że jedną sprzedaję. Chcesz zobaczyć? To Uroboros. – Powoli wyjął z kieszeni złoty łańcuszek i podał jej go.

– Łał – zachwycała się szczerze.

Łańcuszek o drobnym, wzorzystym splocie spodobał się jej natychmiast, i to bardzo. Wystarczająco gruby pośrodku, zwężał się na jednym końcu, zaś drugi koniec stanowił głowę węża, którego pysk był zapięciem.

– Gryzie własny ogon – domyśliła się Dasza. – To jest złoto! Chyba antyk... Ile kosztuje? – Przy ostatnim zdaniu wysoki poziom zachwyty w jej głosie natychmiast spadł poniżej zera, do cichej rozpaczki. Dasza właśnie przekazała recepcjonistce swoje przedostatnie pieniądze. A za te ostatnie, które zostały jej do wypłaty, mogła pokryć jedynie koszty benzyny

i papierosów. Za mieszkanie nie płaciła, bo go nie miała i nigdy nie myślała o tak przyziemnych sprawach jak jedzenie.

– Tylko dla ciebie sto hrywien – zaproponował śmiało chłopak. Natychmiast awansował ze „swojego człowieka” na „potencjalnego zalotnika”. Relacja z mężczyzną, który od razu daje podobającej się mu dziewczynie takie świąteczne rabaty, może być bardzo, bardzo owocna.

– Naprawdę? – zdziwiła się Dasza, by zachować pozory, i dodała kokieteryjnie: – Ale przecież to ty decydujesz. – Podawszy mu setkę pachnącą benzyną i nikotyną, natychmiast założyła nowy nabytek na szyję, pod rozległą, rozłożystą instalację naszyjników. (Zgodnie z głębokim przekonaniem Daszy Wstrząsającej, biżuterii nigdy za wiele!)

Przez kilka następnych sekund para patrzyła na siebie z zadowoleniem.

– Słuchaj, nie wiesz przypadkiem, czy ta Kyłyna może zaczarować geja? – ciągnęła rozmowę.

– Kyłyna jest w stanie zaczarować każdego – odparł „potencjalny zalotnik”, wciąż przyglądając się jej z podziwem. Ona zaś nawet w najmniejszym stopniu nie była tym faktem zakłopotana.

– To wspaniale! – wykrzyknęła. – Może powinnam się trochę zabawić i przygruchać sobie nie tylko Saniego, ale też Aleksa fryzjerki. – Wstrząsająca żartowała sama ze sobą. – Niech ta suka zjeżdża! Ha! Zadzwońię do niej i ją wkurzę...

Złapała czerwoną, dyndającą na szyi komórkę i próbowała wybrać znajomy numer, pamiętając o tym, by karmić „potencjalnego zalotnika” obiecującymi spojrzeniami.

– Nie odbiera! – Wzruszyła ramionami ze zniecierpliwieniem. – Prawdopodobnie energia Kyłyny jest zbyt silna i wszystko zakłóca – zażartowała.

Zawahała się, rozdarta między dwoma wykluczającymi się pragnieniami: kontynuować rozmowę z chłopakiem, czy natychmiast zaszokować fryzjerkę zabójczą informacją.

– W porządku – zdecydowała. – Jeśli ktoś jeszcze przyjdzie, powiedz, że jestem za tobą. Pójdę tylko zadzwonić i zaraz wracam. W każdym razie nie żegnam się. Dobrze?

– Jasne – uśmiechnął się rudowłosy.



Volvo Katii ruszyło spod hotelu „Andriejewski” i ostrożnie stoczyło się ze Zjazdu.

– Zatrzymaj się! – warknęła na kierowcę. – Znowu przejechałeś mój salon! Miałeś zatrzymać się dom wyżej, głupcze! Jeszcze jedno potknięcie i wylatujesz!

– Katerino Michajłowna... – Szofer najwyraźniej chciał się usprawiedliwić.

– Koniec tematu! – uciszyła go Katia. – Wysiadam tutaj, bo inaczej będziesz się kręcić w kółko przez kolejne trzy godziny.

– Niedługo dama będzie jeździć samochodem do sąsiedniego domu! – odmruknął złośliwie pod nosem.

Niepewnie stąpając w szpilkach po bruku Zjazdu św. Andrzeja, tak nieodpowiednim dla przechadzających się dam, Katia jak zawsze przeklinała samą siebie. Przez lata jej nerwy były napięte jak struny, a dzień po dniu bezlitośnie naciągała je coraz bardziej: wszystko kontrolowała, wszystko pamiętała, wszystkiego pilnowała. Natomiast jej szofer nie mógł nawet przyswoić, w którym domu znajduje się jej salon piękności! Dlaczego ludzie są takimi idiotami? Jak ta dziewczyna w kretyńskiej

tiubietiejce, z kolczykami i tatuażami, zaciekle gestykułująca i krzycząca na pół ulicy do swojego czerwonego telefonu komórkowego.

Nie tak dawno Katia zauważyła, że otaczający ją świat wywołuje u niej permanentną, tępą irytację. I wiedziała, że nie jest to dobry objaw.

„Jeśli dzisiejszy wieczór pójdzie dobrze” – obiecała sobie stanowczo – „od razu lecę na wakacje. Bahamy, kąpiele perełkowe, masaże... Dwa tygodnie. Będzie lepiej. W przeciwnym razie oszaleję, czuję, że naprawdę oszaleję”.

– Cholera! – Potknęła się i prawie wylądowała na bruku. – O, jesteś mi przeznaczony!

Na ścianie domu, o którą podparła się Katia, by nie upaść, centymetr od jej dłoni była przyklejona niedorzeczna kartka: „Zaklęcia miłosne i przeciwmіłosne. Zdejmowanie złych oczu...”.

– „...Sprowadzanie nieszczęścia na wrogów” – przeczytała na głos z drwiną. – Co to ma być! Chociaż... – zawahała się. – A, co tam...

Spojrzała z powątpiewaniem na zegarek i nagle, nieoczekiwanie dla samej siebie, przeszła przez wysokie dwuskrzydłowe drzwi.

Hol, w którym się znalazła, był ciemny i całkowicie opustoszały. Przy okienku recepcyjnym, zatopiona w kryminale Doncowej, siedziała przeciętna „idiotka”.

– Chodzi mi o wrogów... – Katia nerwowo zabębniła palcami w blat. Fakt, że zboczyła tutaj z obranej drogi, nie pasował do jej idealnego obrazu siebie.

– Sprowadzenie nieszczęścia na wrogów? – upewniła się beznamiętnie panna i sięgnęła do stosu formularzy. – Trzysta jeden hrywien, trzynaście kopiejek.

Katerina wykrzywiła ironicznie usta – kwota była śmieszna. Zbyt mała, by rozwiązać wielotysięczny problem i zbyt duża jak na tę rudere. Ale tak

bardzo chciała zrobić jakieś świństwo, choćby najmniejsze, człowiekowi, który dziś rano rozmawiał z nią przez telefon w sposób tak niedopuszczalnie impulsywny.

Niech chociaż rozboli go głowa!

– Imię, nazwisko, adres.

– Larisa Kosacz. Wał Jarosława 32, mieszkanie numer 5 – odpowiedziała Katia.

– Kosacz przez „a”? – spytała tępo rejestratorka. – Proszę iść do Kyłyny, przyjmuje jeszcze przez godzinę. – Oschle wskazała kierunek i z powrotem sięgnęła po lekturę. – Korytarzem trzy razy w lewo.

– I co? – prychnęła pogardliwie Katia. – Są ludzie, którzy dają się nabierać na takie bzdury?

– Cóż, pani dała się nabrać... – powiedziała znudzona dziewczyna, nie podnosząc głowy znad książki.

Katia nie miała argumentów, więc znów się rozzłościła. „Dobra, miejmy to już za sobą” – zagryzła zęby i skierowała się do gabinetu Kyłyny.

Na szczęście nie było tłumów chętnych. Katerina jeszcze raz spojrzała na zegarek, a następnie skierowała swoje wymagające spojrzenie ku młodemu człowiekowi, który czekał na swoją kolej przy drzwiach.

Na miejscu żywołowego rudego mężczyzny w pomiętym ubraniu siedział małomówny, schludny jak z obrazka blondyn o oczach koloru zimowego nieba.

Nie było w tym jednak nic dziwnego. I każdy z nas bez trudu może wytłumaczyć tę nagłą zmianę scenerii, zakładając na przykład, że rudzielec wszedł do gabinetu, a jasnowłosy przybył nieco później... Gdyby nie jeden dziwny zbieg okoliczności: na serdecznym palcu prawej ręki blondyna błyszczał ten sam pierścień, a w lewej ręce trzymał tę samą książkę, otwartą na tej samej stronie.

Generalnie warto było zastanowić się nad rachunkiem prawdopodobieństwa...

Gdyby Katia była Daszą, nie omieszkałaby się zainteresować, jak duża jest szansa na taki przypadek i czy nie równa się ona przypadkiem zeru?

Ale Katia nie była Daszą, dlatego po błyskawicznym zlustrowaniu mężczyzny w białym garniturze i oszacowaniu kosztu jego spodni i marynarki, a nawet prawdopodobnego butiku, w którym zostały zakupione jeszcze tego lata, pomyślała tylko, że ten przedstawiciel świata natury jest postacią relatywnie ludzką, a przynajmniej potrafiącą zrozumieć ludzką mowę. Chociaż książka Bułhakowa i podejrzenie duży kamień w jego pierścieniu wskazywały, że mężczyzna z pewnością nie może się z nią równać i że nie powinna się krępować.

– Pan do Kyłyny? – zapytała surowo Katerina.

Blondyn powoli podniósł wzrok i unosząc prawą brew, spojrział na nią oceniająco.

– Może przepuści pan kobietę? – W ustach Katii to nie było pytanie, raczej rozkaz.

– Proszę się nie martwić – odparł leniwie blondyn, patrząc na nią bladoniebieskimi oczami. – To potrwa tylko minutę. Muszę zadać jej pytanie i nie będę nawet czekał na odpowiedź.

– Tylko minutę? – upewniła się autorytatywnie Dobrażańska, lekceważąco puszczając mimo uszu tajemnicze zakończenie frazy.

– Dokładnie trzydzieści jeden sekund. – Blondyn uśmiechnął się zimno, odsłaniając nieskazitelnie białe zęby.

– W porządku – zgodziła się Katia. – Proszę jej przekazać, że jestem za panem. – Odwróciła się na pięcie i skierowała do wyjścia.

– Chwileczkę – zawołał nagle bladooki, a Katia spojrzała za siebie i zobaczyła, jak mężczyzna podnosi coś z podłogi.

– Chyba pani coś zgubiła... – Trzymał w ręku złoty łańcuszek.

Po chwili zastanowienia Katia cofnęła się i przyjęła od niego biżuterię. Łańcuszek w kształcie złotego węża gryzącego własny ogon, najwyraźniej zgubiony przez jednego z odwiedzających to miejsce, to ekstraklasa – stary, złoty, prawdopodobnie wyrób autorski... Katia lubiła wartościowe rzeczy: były one jedynym dowodem na to, że w tym idiotycznym świecie panuje coś więcej niż tylko głupota i chaos.

– Dziękuję – odrzekła sucho, ostentacyjnie założyła łańcuszek na szyję i wyszła na zewnątrz, w pośpiechu chowając nowy nabytek pod nieskazitelną stójkę.

Chwalenie się nim byłoby szczytem idiotyzmu: uszkodzony mózg w każdej chwili wrócić do Centrum w poszukiwaniu zguby.

Ale co spadło, pardon, to przepadło!



Masza raz jeszcze sprawdziła adres domu, naskrobany pospiesznie przez matkę na kartce, w którą starannie zawinęła „duże pieniądze” wyrwane z rodzinnego budżetu w trosce o szczęście jurodiwej* córki, i jak na ścięcie weszła do Centrum Czarów Starokijowskich na Padole.

W drzwiach wpadła na wysoką, czarnooką kobietę w garniturze, która musnęła ją niewidzącym spojrzeniem.

„Jaka piękna!” – zdumiała się szczerze Masza, mimowolnie wykręcając za nią szyję.

Na twarzy kobiety górowała ostra oprawa okularów z nadzwyczaj wąskimi, jakby cynicznie zwężonymi szklami. A bezosobowa, krótka fryzura z dystansem umywała ręce od reszty, jakby nie chcąc spotkać się

z rysami jej właścicielki, tak napiętymi i gniewnymi, że wydawało się, iż przez kości policzkowe przebiega prąd o wysokim napięciu.

W porównaniu z nią Rita, Lidia i Żenia wydawały się tylko parodiami piękna!

– Jeśli nawet taka tu przychodzi... – pocieszyła się Masza.



Katia nachyliła się do okna swojego szczęśliwie zawróconego samochodu i zastukała w szybę – kierowca natychmiast ją opuścił.

– Pojedziesz teraz do mojego salonu – zarządziła szefowa – weźmiesz moją kosmetyczkę Tanię i przywieziesz ją do mojego domu z całym niezbędnym szpejem. I przypomnij jej, żeby zabrała farbę do włosów. Ta idiotka ciągle zapomina, że muszę farbować siwiznę.

Kierowca spojrział na Katerinę ze zdumieniem i natychmiast przyjął kolejną porcję krzyków.

– Na co się gapisz? Tak, mam siwe włosy od dziewiętnastego roku życia! I lepiej żebyś za dwadzieścia minut czekał na mnie w tym właśnie miejscu!



...Gniotąc w dłoniach kwit z rejestracji, Masza Kowalowa skręciła za trzecim rogiem korytarza.

Blondyn zniknął, jakby nigdy go tam nie było – na jego miejscu, z nogą założoną na nogę, siedział ubrany w jasny dżins brunet o tatarsko-mongolskich rysach i oczach czarnych jak wilcze jagody. Masza ostrożnie

ominęła huśtający się w powietrzu but sportowy, usiadła na skrajnym krześle i grzecznie zapytała:

– Pan jest ostatni?

Brunet podniósł głowę znad książki, spojrzął na nią łagodnie i w odpowiedzi skinął milcząco głową. Na jego dłoni znajdował się duży, przyciągający wzrok pierścień z niebieskim kamieniem.

– W takim razie ja będę za panem – westchnęła Kowalowa i zaczęła intensywnie wygładzać zmiętą kartkę. Zauważyła, że kompan czyta jej ulubionego *Mistrza i Małgorzatę*. I poczuła zazdrość...

– Dlaczego pani usiadła tak daleko? – zainteresował się nieoczekiwanie brunet. – Nie lubi pani mężczyzn wschodniej narodowości?

– Nie, no co pan! – zarumieniła się zawstydzona Masza, bojąc się, że chłopak podejrzewa ją o nacjonalizm.

– Proszę się nie bać – ciągnął, przysuwając się do niej. – Jestem rodowitym Ukraińcem. Moi przodkowie mieszkali w Kijowie jeszcze przed powstaniem Rusi Kijowskiej, a później nastąpiła inwazja tatarsko-mongolska. Oczywiście odbiło się to nieco na naszym wyglądzie – zaśmiał się. Maszy podobało się, że kłamał jak człowiek wykształcony, a nie jak Abchaz na pchlim targu.

– Nie miałam nic złego na myśli... Po prostu nie chciałam panu... – usprawiedliwiała się, jękając.

– Wręcz przeciwnie – przerwał jej stanowczo. – To przyjemność spotkać tu tak wspaniałą dziewczynę.

Przyglądała mu się uważnie, próbowała wyczuć ironię ukrytą w jego słowach. „Kpi sobie ze mnie” – oceniła bezwzględnie. „Jest zbyt przystojny. Choć nie tak bardzo jak Mir. A może po prostu nudzi się, gdy tu siedzi”.

– Nie spodziewałem się spotkać tu kogoś takiego jak pani – gruchał czule brunet, przysuwając się o szerokość następnego krzesła.

I ten sugestywny ruch sprawił, że brzuch Maszy histerycznie wcisnął się do środka, tak że poczuła wszystkie mięśnie naraz. Sytuacja stała się niebezpieczna! Dławiła się swoją upokarzającą bezsilnością, a kolejny przystojny mężczyzna postanowił pobawić się z nią jak kot z myszą, podczas gdy ona absolutnie nie wiedziała, jak się z takich zabaw wyplątać.

– Po co pani tu przyszła, jeśli to nie tajemnica?

Szybko opuściła głowę – była to jedyna technika samoobrony, jaką знаła. Wyjątkowo słaba.

– Proszę się nie denerwować – pocieszał ją. – On będzie u pani stóp, obiecuję.

– Jaki on? – zapytała głucho.

– Przecież pani wie – uśmiechnął się brunet.

– Dziwne – powiedziała z opóźnieniem Masza, podnosząc wzrok na swojego towarzysza. – Wydaje mi się, że widziałam pana dzisiaj w telewizji. W reportażu o awarii. Pracuje pan z moim tatą?

Uf...

Odetchnęła z ulgą i natychmiast przestała doszukiwać się podstępu.

To proste: zna jej ojca, a więc zna też ją – jej tata uwielbiał pokazywać ich rodzinne zdjęcie, które trzyma w starym portfelu. I, co zrozumiałe, gdy mężczyzna poznał brzydką córkę współpracownika, spróbował się do niej przymilić.

– Uczy się pani gdzieś? – zapytał niespodziewanie, ale uprzejmie.

– W pedagogicznym, na historii.

– A czyta pani wyłącznie Bułhakowa? – (Łał, tata opowiedział mu też o tym!) – I pewnie tylko *Mistrza i Małgorzatę*? – zauważył żartobliwie współpracownik taty. – *Biała gwardia* zazwyczaj nie jest zbyt lubiana przez

dziewczęta, przecież opisuje wojnę. – Zbliżył się do niej całkowicie i przełożył książkę do lewej ręki, pokazując jej okładkę. Był to stary i zniszczony zbiorak z listą innych dzieł, zapisanych pod tytułowym *Mistrzem*, które nie doczekały się dużego druku: *Biała gwardia*, *Psie serce*, *Diaboliada*.

– Przeczytać pani mój ulubiony fragment?

Jego palce zręcznie zanurzały się w kartkach. Między kciukiem a palcem wskazującym błysnęła jakaś biżuteria: ni to łańcuszek, ni złote paciorki – Masza nie zdołała tego dostrzec.

– Tutaj. Proszę posłuchać – oznajmił zadowolony z siebie miłośnik błyskotek. – „Nad Dnieprem, z grzesznej i krwawej ośnieżonej ziemi, wznosił się w czarne, mroczne przestworza północny krzyż Włodzimierza. Z daleka wydawało się, że...”

Ale Maszy nie było dane dowiedzieć się, co wydawało się z daleka wielce szanowanemu Michaiłowi Afanasjewiczowi.

Drzwi gabinetu z napisem „Kyłyną” skrzypnęły i ukazały światu właścicielkę tak rzadkiego imienia – młodą, o łagodnej twarzy, z ustami pulchnymi jak pąki kwiatów i jasnozłocistymi włosami, bez odrobiny czarnego odrostu. Trzymając za klamkę, niecierpliwie wypraszała wzrokiem kobietę o zmartwionej, zdezorientowanej twarzy.

– Więc mam iść na cmentarz, nie ma innego sposobu? – zapytała z nadzieją udręczona życiem kobieta, najwyraźniej dość już zmęczoną złotowłosą.

– Nie ma! – odparowała Kyłyną. – Proszę iść na cmentarz, sto metrów prosto od wejścia, potem trzynaście kroków na północ i proszę kopać. To, co pani znajdzie, pomoże pani!

– Ale...

– Ale chce pani pomóc swojej córce. – Głos złotowłosej ocieplił się. – Matka chroni matki. Proszę już iść. Następny! – Nie patrzyła na nikogo, wydała polecenie, po czym w mig zniknęła za drzwiami.

Klientka nadal stała i wpatrywała się beznamiętnie w drzwi. Brunet, nagle zapomniawszy o Maszy i Miszy Bułhakowie, odłożył książkę i ruszył w stronę gabinetu.

Masza widziała, jak przechodząc obok osłupiałej kobiety, szybko przyłożył dłoń do jej oczu i szepnął:

– Zapomnij o tym.



Kyłyna pochyliła się zmęczona nad biurkiem i zręcznie wpisała kilka słów do rejestru gości. Zaskrzypiały drzwi, gdy kolejny klient wszedł do gabinetu.

– Kwit z rejestracji – przypomniała rzeczowo, nie podnosząc głowy znad notatek i rutynowo wyciągając przed siebie dłoń.

Posłusznie spoczęła na niej zmięta kartka, podejrzenie błyszcząca i gruba – na takich drukowane są drogie książki i albumy o sztuce, a nie pokwitowania.

– Czy to nie twoja kolej na płacenie rachunków? – zapytał cicho męski głos.

Jej ręka głupio i trwożliwie zadrżała, a kawałek papieru wyślizgnął jej się z dłoni i miękko opadł na podłogę...

Matka Boża z reprodukcji, z noszącym brzemień zbawiciela dzieciątkiem na kolanach, patrzyła smutno w sufit rozszerzonymi oczami, jakby z góry współczując Kyłynie straszliwej męki.

– Ojcie nasz, niegodzien ja, stojący na lewicy, wzywam do osądzenia Jasnej Kijowicy, ale... – Głos straszego gościa uderzył ją w pierś.

I to było bolesne.

Tak bolesne, że ból wyparł strach.



Masza odniosła wrażenie, że mężczyzna nie spędził w biurze nawet minuty; wyszedł tak szybko, jak wszedł, i nie patrząc na nią, zniknął za rogiem korytarza.

– Zapomniał pan! – krzyknęła i wyciągnęła dłonie w stronę książki, którą zostawił, ale było za późno.

Niedoczytana strona *Diaboliady* założona była złotymi paciorkami. Automatycznie zagiąwszy róg kartki, Masza podniosła błyskotkę pod nos i przyjrzała się wężowi podgryzającemu własny ogon. Odruchowo podważyła paznokciem płaski nos gada: szczęki się otworzyły, ogon wypadł. Zapięcie.

To nie jest sznur modlitewny – uświadomiła sobie, nie znając się ani na antykach, ani na szlachetności metali.

Brunet nie wrócił.

– Przekażę wieczorem przez tatę – zdecydowała rozsądnie Kowalowa i włożyła biżuterię na szyję pod ściągacz koszulki, zaś książkę do plecaka.

Wzdychając, podeszła do drzwi i z wahaniem chwyciła zabytkową klamkę pomalowaną farbą olejną.

„Dzień dobry, chcę zdjąć wieniec staropanieństwa”.

Przyznać się do czegoś takiego było trudno nawet przed samą sobą, a co dopiero przed młodą, złotowłosą Kyłyną.

– Proszę zaczekać, teraz moja kolej! – nakazał czyjś głos autorytatywnie.

Masza posłusznie zamarła. W jej stronę pospieszyły dwie kobiety. Jedną z nich była piękna brunetka, którą spotkała wcześniej w wejściu. Drugą – pulchna, mocno zbudowana dziewczyna z mnóstwem warkoczyków i błyszczącym kolczykiem w nosie.

– Dziewczyno, cofnij się! – rozkazała Katerina.

Wyciągnęła pewnie rękę do klamki, ale Dasza szybko zagroziła jej drogę i uśmiechnęła się bezceremonialnie, wydymając pulchną dolną wargę:

– A niby czemu twoja? Moja kolej, cioteczko! – mruknęła z pogardą.

W czasie swojej pracy w „O-Yo-Yo!” Czub nabawiła się dzikiej alergii na wszystkie „królowe życia” podobne do Katii. Ale o ile tam musiała się z nimi liczyć, to tutaj – wybaczcie – nic nie musiała!

– Zająłam kolejkę za mężczyzną! Gdzie on jest? – Katia skierowała to pytanie do Maszy.

– Właśnie wyszedł – wymamrotała Masza, próbując się oswobodzić. Chętnie ustąpiłaby im obu, ale plecy Daszy przyciśnięte do drzwi okazały się barierą nie do pokonania.

– Już wyszedł? – zdenerwowała się nie na żarty Dasza Czub.

– No właśnie. A ja zająłam kolejkę za nim! – warknęła Katia, tracąc w końcu panowanie nad sobą.

Była zła na sam fakt, że musi wyjaśniać sytuację z jakąś głupią nastolatką.

Przeciskając mocno pięść pod pachą Daszy, Dobrzańska chwyciła palce Maszy, które kurczowo trzymały się klamki.

– To ja zająłem kolejkę za nim, a ciebie tu nawet nie było! – krzyknęła z oburzeniem Dasza, odpychając Katię brzuchem. – Jesteś taka twarda,

prawda? Że wszyscy muszą ci się kłaniać? Idź dobrze wiesz, gdzie!

– Sama idź do diabła! – określiła kierunek Katia.

Dasza, otrzymawszy wreszcie jawną obelgę, z gniewem kopnęła nogę Katii i wykonała sprawne podcięcie, któremu towarzyszyły zgrabne piętrowe wulgaryzmy – tak wspaniałe i zręczne, że tylko amator nazwałby je łaciną podwórkową – pod względem liczby piętrowości mogły konkurować z nowojorskimi drapaczami chmur!

Dama, której nogi zostały podcięte, nie mogąc utrzymać równowagi, runęła na Daszę.

Dasza – na Maszę.

A Masza z przerażeniem poczuła, że tyłem głowy uderza w drzwi i leci na podłogę, pociągając za sobą ten mały cyrk.

– Choleeera! – krzyknęła przerażona Katia. Ale nagle wydała z siebie coś w rodzaju syczącego „haaaa” i zamarła.

Pokonawszy ciężki ból głowy, Masza z trudem otworzyła oczy i natychmiast zerwała się na równe nogi, nie zważając na obrażenia, ponieważ to, co zobaczyła, było w stanie przerazić każdego...

Wydawało się, że w gabinecie szaleje huragan.

Gwiżdżący wir porywał przedmioty i papiery z całego pokoju. Lodowaty podmuch uderzył Maszę w ucho i dziewczyna, jak to często bywało zimą, na chwilę ogłuchła, a jednocześnie nagle usłyszała wiele innych głosów, śmiejących się, szepczących, pohukujących, mieszających się z zawrotem wiatru.

A na wysokim suficie, jak wielki szalony pajak, miotła się postać wyjątkowo brzydkiej natury.

– Boli! – jęczała. – Jak to boli!!! – Wbijając swoje posiniałe paznokcie w gardło, skręcała się z bólu, jakby chciała rozerwać pomarszczoną skórę na strzępy.

– O mamó – szepnęła Masza, chwytając za rękę kogoś po swojej prawej stronie.

– Cholera. – Poniosło się echem z prawej.

– Psychoza! – wykrztusiła z siebie Dasza i struchlała, zapominając zamknąć usta. Kobieta ją usłyszała!

Zamarła, drżała i wpatrywała się w całą trójkę oszalałym, ciężkim wzrokiem. Ostry ból przeszył Maszę, aż zamknęła oczy. Czuła, jak spod rzes płyną jej łzy.

– Wam?! – Kobieta opętana szaleńczym bólem wydała z siebie wściekły, bestialski ryk. – Mam oddać to wam? Trzem! Nie chcę go! Nie!!!

Mimowolnie powieki Maszy znów się rozwarły niczym u ptaka przestraszonego dudniącym dźwiękiem.

I zobaczyła, jak huragan bezlitośnie przerzuca ciało kobiety z boku na bok, uderzając nim o ściany i sufit, podczas gdy ona krzyczała, krzyczała, krzyczała...

– Nie! Nie! Nie!

Ale z każdym uderzeniem jej „nie” było coraz słabsze.

– Dobrze! – krzyknęła Kyłyna nieznośnie i strasznie. – Zgadzam się!

W tym samym momencie dziwna, nieznaną siłą rzuciła targane torturami ciało pod sufit, a kobieta, odwrócona do niego plecami, rozpaczliwie wyciągnęła ku nim ręce z rozczapierzonymi palcami. Masza poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją pięścią w splot słoneczny, przebił skórę i kości.

Palce wiły się w niej jak robaki w poszukiwaniu serca.

To było nieznośnie bolesne.

Zimno. Nieprawdopodobnie. Mrocznie.

Nie wiedziała, jak długo tak stała, zgięta w pół, oślepiąca bólem, dusząca się od bezdźwięcznego płaczu. Ale nagle ból zniknął. Masza

usłyszała, jak coś tytanicznego i ciężkiego spada na podłogę tuż przy jej stopach.

A jej oczy, znów widzące, ujrzały leżącą w gruzach zawalonego sufitu, wyszczerzonego drewnianymi stropami młodą kobietę o złotych włosach i spokojnej, jasnej twarzy śpiącego anioła.

Z dziennika N

Śmierć.

Piękna, młoda, z cerą tak słodką i tak spragnioną życia. Ale mój geniusz nie pozwala mi o tym myśleć...

Intelektualny mord powodowany umysłem, w stylu rozdartego Raskolnikowa, zawsze pachnie paranoją. Zabijanie dla zabawy jest chorobą. Pragnienie zabijania musi być naturalne, tak jak miłość i głód, i podyktowane tą samą palącą potrzebą.

Normalny człowiek zabija tak samo organicznie, jak wdycha powietrze, nie przejmując się myślą, że zamienia je w dwutlenek węgla.

Dobrze słyszeliście – normalny.

Ten bowiem, kto jest niezdolny do zabijania w razie potrzeby, jest wybrakowany. Zaciskasz właśnie usta? Ale powiesz tak, gdy twój mężczyzna – patrząc, jak gwałci cię trzech – będzie wył i trzymał ręce złożone na piersi. Będziesz wtedy krzyczeć: „Dlaczego ich nie zabiłeś?!”.

„Ale to zupełnie coś innego” – sprzeciwisz się.

I mam cię!

Ponieważ twój Bóg zabronił ci zabijać, nawet w obronie własnej. Pozwolił ci jedynie ulegle przyjąć śmierć.

**Jurodiwyj – asceta-obłąkaniec, święty szaleniec, w tradycji prawosławnej „szaleniec Chrystusowy”, który pod pozorami obłąkania skrywał mądrość i dar jasnowidzenia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).*

Rozdział czwarty

w którym Dasza traci pracę, Katia – świnie, a Masza zdrowy sen

Tak, człowiek jest śmiertelny, ale to jeszcze pół biedy. Najgorsze jest to, że bywa śmiertelny niespodziewanie [...] i w ogóle nie może powiedzieć, co będzie robić dziś wieczorem.

~ Michaił Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*

Dziewczyny dłuższą chwilę stały w milczeniu, zwarte do kupy, wciąż trzymając się kurczowo za ręce i rękawy swoich ubrań. Wtedy Dasza, zdecydowanie strzepnąwszy dłonie Katii ze swoich ramion, opadła na czworaki, ostrożnie podczołgała się do nieruchomego ciała i przyłożyła dwa palce do jego szyi.

– Nie ma pulsu. Nie żyje – poinformowała szeptem Czub. – Co to było? Przedawkowała?

– Głupie! – wychrypiała Katia, ożywiając się na słowa „nie żyje”. – Cokolwiek to było, za chwilę przyjedzie tu policja. Musimy uciekać! – I zgodnie z własnym poleceniem pierwsza ruszyła do drzwi.

Dasza mądrze podążyła za nią, ale widząc, że Masza nadal stoi obok ciała jak słup soli, cofnęła się, chwyciła ją mocno za rękę i bezszelestnie

pociągnęła za sobą zszokowaną dziewczynę.

Trzy dziewczyny przemierzały dudniące i puste korytarze Centrum i rozglądały się niespokojnie. Jednak zbliżając się do wejścia, co najmniej dwie z nich starały się wyglądać elegancko i z wyraźnym stukotem obcasów przemaszerowały obok diwy-rejestratorki. Neutralne dźwięki zostały pomyślnie zasymulowane: ta nawet nie oderwała wzroku od kryminału.

– Giena, jedź! – wybełkotała Katia, rzucając się bezwładnie na przednie siedzenie samochodu.

– Dokąd? – spytał nerwowo szofer.

– Jak najdalej! – huknęła Katia. – No dalej, szybciej! Szybciej!

Ciągnąc bezwładną Maszę za rękę, Dasza pospieszyła do swojego motoroweru.

– Zjeżdżamy stąd! – zagrzmiała zdeorientowanej wprost do ucha. – Hej, hej, opamiętaj się! Gdzie cię podrzucić?

– Do domu... – wycedziła ledwo słyszalnie Masza.

– Dokładny adres – mruknęła Dasza bez złości, ściągając z głowy tiubietijkę i chowając ją do kieszeni czerwonej skórzanej kurtki. – Dobra, ruszamy. Siadaj z tyłu.

– A spódnica? – pisnęła Masza, wskazując z zakłopotaniem na materiał sięgający po pięty.

– Zaczep na biodrze i jedziemy! – zmobilizowała ją amazonka.

„Kucyk”, podskoczywszy, zerwał się z miejsca i nieustraszenie pomknął w dół Zjazdu św. Andrzeja. Masza histerycznie zaciskała oczy, bojąc się, że straci przytomność.

– Kra-a-a... – Czarny kruk zjawił się nie wiadomo skąd i leciał nad nimi, dumnie rozpościerając skrzydła.

Chyży żelazny konik przejechał obok Dworca Rzecznego i brzęcząc, zaczął się wspinać na Krieszczatik. Kierowcy drogich samochodów jak na zawołanie opuszczali przyciemniane szyby i wtórowali dwóm śmiałym jeźdźczyniom radosnymi, aprobującymi okrzykami. Jeden z nich z entuzjazmem uniósł kciuk, a krągła fizjonomia Daszy natychmiast rozbłysła tak naturalną dla niej radością życia, potęgowaną przez wiatr smagający jej buzię.

– Hej, hej! – krzyknęła do swojej towarzyszki. – To było niezłe! Jak w prawdziwym horrorze!

Masza z goryczą zacisnęła zęby. Była w szoku i, sądząc po jej bladej twarzy, nie zamierzała szybko wyjść z tego stanu.

– Zatrzymaj się przy metrze – wycedziła z trudem.

– Która stacja?

– Byle która.

– Okej!

Dasza zręcznie dojechała do stacji metra Teatralna i cierpliwie zaczęła, aż niezdarna autostopowiczka zejdzie z jej pojazdu.

Ta nerwowo opuściła spódnicę i rozejrzała się drżącym, zamglonym wzrokiem.

– Zaczekaj – zatrzymała ją Dasza. – Oddychaj. Czy na pewno doczłogasz się do domu? Jeśli nie, nie krępuj się, tylko powiedz, a ja cię podwiozę.

Masza w odpowiedzi tylko pokręciła głową.

– A jak ty myślisz, co to było? – zapytała jej wybawicielka. Głośno wyraziła swoją ciekawość, ale nie spodziewała się zrozumiałej odpowiedzi.

– Nie wiem. – Masza z niepokojem potrząsnęła głową. – Ale to było przerażające. Straszne. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak ludzie umierają.

– Tak? – Zdziwiła się nonszalancko Dasza. – Wiesz, w klubie widuję różne rzeczy. Ale nigdy takich akrobacji po haju. Ciekawe, co wzięła... – Podrapała się po nosie, rozważając wszystkie znane jej opcje.

– Nie o to chodzi – zaprotestowała cicho oszołomiona Masza. – Myślę... – zniżyła głos do przerażającego szeptu – że Kyłyna...

– Ło!

Triumfalny okrzyk Daszy splótł się z krzykiem przerażonej Maszy, kiedy czarny kruk usiadł na kierownicy motoroweru.

– Kra-a-a-a! – wygłosił dumnie, a Dasza pomyślała, że brzmi to jak grzeczne „Cześć!”.

– Aaaa! – Masza, zadrżawszy, rzuciła się do ucieczki, zataczając się bezradnie z boku na bok i wpadając na przechodniów.

– Jaka bojaźliwa młoda dama... Nerwuska. – Dasza ze współczuciem pokręciła głową i patrzyła, jak towarzyszka znika w podziemnym wejściu do metra.

Kruk przechylił swoją szmaragdowo-czarną głowę i wpatrywał się w uciekinierkę.

– A ty, ptaszku, czyj jesteś? – Dasza uśmiechnęła się do niego radośnie. – Jesteś oswojony? – Nieśmiało dotknęła palcem jego atramentowych pleców.

Ale kruk najwyraźniej nie lubił spoufalania się.

Prychnął z dezaprobatą i wzbił się w powietrze, by zniknąć za dachem domu.

– Co za dzień, wstrząsający... – mruknęła Wstrząsająca Czub i niecierpliwie chwyciła wiszącą na brzuchu komórkę, by wybrać znajomy numer.

Emocje ją dosłownie roznosiły.

– Zajadła? Opowiem ci taką historię! Zwariujesz! – krzyknęła do telefonu. – Co? Nasza kłótnia? Zapomniałam... – Twarz Daszy spochmurniała.

Z zalem odrzuciła telefon i wściekła wsiadła na motorower.



Wyciągnięta na sofie w salonie Katia wpatrywała się ponuro w sufit i bezskutecznie próbowała wypluć z siebie ten nieszczęsny dzień. Kosmetyczka Tania, posługując się porcelanową różową szpatułką, starannie rozprowadzała na jej twarzy płynną zielonkawą masę.

– Jesteśmy dzisiaj nie w humorze? – wyszeptała Tania z intonacją zatroskanej pielęgniarce. – Musimy się zrelaksować, żeby wieczorem być spokojną i piękną.

Katia westchnęła: Tanieczka była słodką idiotką. Kojąco słodką – i właśnie ta cecha sprawiała, że Katia trzymała ją przy sobie. Cokolwiek paplała Tanieczka, Katerina doskonale wiedziała, że gdy tylko jej zamszowy obcas przekroczy próg restauracji „Merlin”, przybierze właściwą minę i błyskotliwie poprowadzi pseudoromantyczne spotkanie z podłym Wasilijem Fiodorowiczem. I to nie dlatego, że się zrelaksuje. Wręcz przeciwnie, ponieważ dzięki Tanii będzie zdecydowanie kontrolować każdy milimetr swojego uśmiechu.

W salonie rytmicznie bzyczał telewizor, a małe, pozłacane wahadło stuknęło w zegarze z brązową pasterką w stroju wielkiej damy z wyższych sfer, który Katia kupiła w antykwariacie „Modern”. Przypomniała sobie złoty łańcuszek w kształcie węża i jej nastrój nieco się poprawił. Próbowała go rozpiąć, żeby lepiej przyjrzeć się ładnej, nowej biżuterii, ale wąż uparcie trzymał się za ogon – zapięcie musiało mieć tajne zabezpieczenie.

– Nie zapomnij pokryć siwizny – przypomniała Tanii, starając się zachować spokój. – Komu potrzebne są moje siwe włosy?

– O wszystkim pamiętam – odrzekła dźwięcznie kosmetyczka. – Tylko proszę nie marszczyć twarzy, to maska ściągająca. Proszę poleżeć spokojnie przez pięć minut, a będzie pani jak szesnastka. Już mieszam farbę, proszę się nie martwić.

– Łatwo powiedzieć, nie martwić się – mruknęła pojednawczo Katia. – Gdybyś tylko wiedziała, co ja dzisiaj przeżyłam.

– A co nas dzisiaj spotkało? – spytała służalczo Tanieczka, która z powodzeniem łączyła swój główny zawód z profesją „dzikiego” psychoanalityka, i natychmiast spokojnie pogodziła się z faktem, że nie udało się jej uciszyć swojej podopiecznej.

Jeśli Katerina Michajłowna miała atak szczerości właśnie teraz, gdy jej twarz cementowała maska, to trudno... Pragnienie klientki, by zniszczyć sobie skórę, jest takim samym prawem jak wszelkie inne jej pragnienia.

– Byłam dziś w ważnej sprawie w pewnej ważnej organizacji – rzekła z przejęciem Katerina. – I jedna z pracownic wpadła w histerię. Umarła na moich oczach!

– Koszmar – odparła profesjonalnie kosmetyczka. – Proszę usiąść przed telewizorem... Co za horror!

Katia posłusznie przesiadła się z kanapy na krzesło i wpatrywała bezmyślnie w ekran.

„...w Muzeum Narodowym «Kijowska Galeria Obrazów» otwarto długo oczekiwaną wystawę Wiktora Wasniecowa”. Telewizor próbował ją uspokoić, podając jedynie nieistotne codzienne informacje. „Artysta mieszkał w Kijowie w latach 1885-1896. Przez tych dziesięć kijowskich lat Wasniecow pracował nad swoim legendarnym obrazem *Bohaterowie*,

których uznawał za prawdziwe postacie historyczne. Wystawa została zainicjowana przez...”

Ale Katerina spokojnie puściła mimo uszu nazwisko, odznaczenia i wszelkie symbole władzy przedsiębiorczego miłośnika sztuki i mimowolnie spojrzała na ekran telewizora dopiero wtedy, gdy w kadrze pojawiła się apatyczna twarz zimnookiego blondyna, za którym zaledwie kilka godzin temu stała w kolejce do gabinetu nieszczęsnej Kyłyny.

Nie, Kijów to jednak jedna wielka wioska!

– Wyobrażasz sobie? – Katia ciągnęła podjęty wątek. – W ogóle nie dbają o zasoby ludzkie. Jak można pozwolić, aby chorzy i nędzarze pracowali z ludźmi?

– Właśnie – odparła Tanieczka, choć w tej chwili wyraźnie zajmowała się czymś innym.

Trzymając w grzebieniu kosmyk włosów Katii, kosmetyczka dokładnie zlustrowała go spojrzeniem. Potem wzięła kolejny i następny...

– Nic nie rozumiem! – powiedziała z zakłopotaniem. – Katerino Michajłowna, pani nie ma ani jednego siwego włosa!

– Jak to nie mam? – zapytała zdumiona Katia. – Myślisz, że jestem ślepa? Dziś rano widziałam je na mojej głowie!

Tanieczka, przyzwyczajona do omijania wszelkich ostrych krawędzi charakteru swoich klientów, natychmiast podsunęła jej ręczne lustro i uśmiechnęła się, zerkając przez ramię Katii:

– Jeśli mi pani nie wierzy, to proszę sprawdzić.

Zirytowana Katia rozczochrała swoje krótkie włosy, pokręciła energicznie szyją i przyjrzała się każdemu kosmykowi.

– Cholera – wydusiła w końcu z zakłopotaniem. – Do diabła!

– Czarne jak skrzydła kruka – odparowała Tanieczka. – Widzi pani, co może wyczarować mój magiczny zestaw?



Masza powiedziała „metro”, ponieważ było to krótkie słowo i nie wymagało dalszych wyjaśnień.

Zjeżdżając ruchomymi schodami, beznamytnie liczyła lampy (było ich dokładnie dziewiętnaście) oświetlające wejście do podziemnego tunelu w kształcie mydelniczki, z reklamami w środku. Następnie usiadła na drewnianej ławce i dzielnie próbowała się pozbierać. Nieznajomi ją przerażali. A znajomych, poza własnymi krewnymi i rodziną starszego brata, po prostu nie miała. Zwykle jednak Masza dość szybko dochodziła do siebie, gdy była sama ze sobą.

Kruk!

Dokładnie taki siedział dziś rano na parapecie w kuchni.

„Mam oddać to wam? Trzem! Nie chcę go! Nie!!!”

„To było niezłe! Jak w prawdziwym horrorze!”

A jeśli to nie jest „jak w horrorze”?

Jeśli...

Kiedy wreszcie wyszła z podziemnej stacji metra i zbliżyła się do pętli na placu Tołstoja, gdzie czekał już jej wierny busik, w mieście nagle zrobiło się ciemno. Burzowo czerwony zachód słońca zaplątał się w gałęzie uniwersyteckiego ogrodu botanicznego. Marszrutka, ściśnięta przez stado innych samochodów, powoli zjeżdżała z góry. Bo Kijów to góry i wzgórza – duże, małe i bezwymiarowe, mieszczące w sobie liczne ulice, kwartały, a nawet całe miasta.

Krieszczatik zaliczał się do Górnego Miasta, pod którym znajdował się Dolny Padół. Ale raczej należałoby go uznać Średnim, ponieważ on sam był ściśnięty między dwiema wyższymi górami. Na jednej z nich wznosił się stromy Kijowsko-Peczerski Kapitol – budynek administracji prezydenta

Ukrainy na ulicy Bankowej – a na drugiej Kijowski Akropol: plac św. Michała i plac Sofijski, cerkiew św. Andrzeja, Złota Brama i Wał Jarosława...

A teraz, zjeżdżając chyba po raz milionowy w swoim życiu dawnym bulwarem Bibikowskim, Masza jak zawsze dziwiła się, jak ostrym zakretem droga kierowała się w dół, żeby zwolniwszy na chwilę w zagłębieniu placu Zwycięstwa, znów wystrzelić w niebo aleją Zwycięstwa.

Iluminacje alei Zwycięstwa na dalekiej górze, w połowie czerwone od niezliczonych tylnych świateł samochodów, w połowie zielonkawobiałe, stopniowo zbiegały się w jednym wysokim punkcie, tak blisko gwiazd, że stąd – z daleka – wydawało się: ta droga prowadzi wprost do nieba...

Masza po raz kolejny złapała się na tym, że próbuje przypomnieć sobie obecną nazwę bulwaru, która na początku jej życia brzmiała po prostu „bulwar”. Ale nie mogła.

Zwykle lojalna i posłuszna pamięć historyczna wykazywała cudowny upór, przewrotnie wyrzucając do kosza wszystko, co dotyczyło współczesności. I Kowalowa jechała bulwarem bezrękiego Bibikowa, obok czerwono-czarnego Uniwersytetu św. Włodzimierza, gdzie jej Michał Bułhakow studiował medycynę...

Mijała aleję Gimnazjalistów, która dzieliła bulwar na dwie części, I Gimnazjum Cesarskie pod numerem 14 i II Gimnazjum pod numerem 18, do których uczęszczał gimnazjalista Misza...

I tylko czasami mrużyła oczy na zdobiące je tabliczki, zapominając natychmiast o ich treści.

„Jeśli już, to powinniśmy go nazywać bulwarem Bułhakowa! Przemierzył go wzdłuż i wszerz!”

„On...”

Nagle jakby się ocknęła, poczuła, że znów jest w stanie rozsądnie myśleć i rozumować.

I patrząc na odbicie ascetycznej twarzy Maszy Kowalowej w ciemnej, delikatnie drgającej szybie, przewijała w głowie w szczegółach film z godziny na Zjeździe św. Andrzeja, której nigdy w życiu nie zapomni.

Jej ciało z podniecenia pulsowało adrenaliną, a sceny, żywe i piękne, następowały po sobie. Czuła się tak, jakby dotarła do najbardziej ekscytującej części książki, więc pochłaniała ją łapczywie i jednocześnie powoli, dwukrotnie czytając te fragmenty, które szczególnie przypadły jej do gustu.

Teraz wróci do domu i dokładnie przypomni sobie wszystko, każdy szczegół, złoży je w całość i będzie ostatecznie przekonana, że...

– Zawsze wiedziałam, że to możliwe! Wiedziałam, że napisał prawdę! Wiedziałam!

– To kopacze. – Usłyszała zmęczony głos ojca, gdy otworzyła drzwi. (Jak zwykle oburzał się na coś: na rząd, mera, ceny transportu). – Kola mi o tym mówił, a ja mu nie wierzyłem! A te jaskinie muszą mieć tysiąc lat, jak krzykniesz, to wszystko się zawali... Więc pewnie zawaliła się jakaś ściana, a rury pękły od naporu. Dobrze, że nie zasypało tych głupców. Durne dzieciaki!

– A co ty się tak nakręcasz? – Matka próbowała go wyciszyć.

Córka bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi z nadzieją, że uda jej się przemknąć na palcach do swojego pokoju. Nie spuszczała wzroku ze złotego prostokąta kuchni, z którego wyłaniał się tupiący kapeć ojca, podskakujący na rozdrażnionej stopie. Zrobiła kilka zgrabnych kroków i z łoskotem wpadła na leżący rower.

– Dlaczego ciągle o nim zapominam?! – szlochała żałośnie sama do siebie, choć już dawno dostrzegła w sobie tę dziwną zdolność: odsuwania

od siebie nudnych realiów życia i bycia szczerze zaskoczona za każdym razem, gdy je znowu widziała.

Trzymając się kurczowo za zaatakowane przez rower kolano, Masza pospiesznie wbiegła do pokoju i błyskawicznie zatrzasnęła zamek od środka. Natychmiast rozległo się pukanie do drzwi.

– Córciu, jak tam? – poniósł się głos matki, pochlebny i jednocześnie wymagający. – Byłaś?

– Tak – odpowiedziała córka.

– I co, zdjęli ci wieniec?

– Nie wiem.

Odkąd pamiętała, nigdy nie okłamywała starszych. Ale teraz Masza nagle zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu nie była w stanie powiedzieć matce NAJPRAWDZIWSZEJ prawdy.

– A nieszczęście? Złe oko? Wszystko zdjęli? Nic nie zostawili? – Matka nie dawała za wygraną.

– Mamo, później... Jestem zmęczona – jęknęła Masza, dobrze wiedząc, jaką reakcję wywoła u rodzicielki ten argument.

I nie pomyliła się.

– A czym niby się tak zmęczyłaś?! – Matka wybuchła natychmiast. – Gdybyś pracowała tak ciężko jak ojciec, to byś dopiero wiedziała. Uważasz, że nauka to praca? Córka Tatiany Pietrowny już utrzymuje całą rodzinę: matkę, ojca, babcię i swojego syna, ale nie... Ona jest zmęczona, trzymajcie mnie! – Irytacja zawsze brała górę nad ciekawością, a wybuchając, mama natychmiast zapominała, że jeszcze trzy sekundy temu zamierzała być miła i cierpliwa.

Kobieta odeszła oburzona.

Masza odetchnęła z ulgą – w innych okolicznościach nigdy nie ściągnęłaby na siebie tego ognia, ale teraz przyjęła wyrzuty matki jak

niebiańską mannę.

Kowalowa podskoczyła do swojej przepełnionej książkami biblioteczką, niecierpliwie wyciągnęła trzy różne wydania i zaczęła pośpiesznie wertować strony.

– Aha... – Palcem wskazała pożądany akapit.

„We wszystkich źródłach słowiańskich, w tym w dziele słynnego Włodzimierza Iwanowicza Dala *O wierzeniach, przesądach i uprzedzeniach ludu*, znajdują się wzmianki o tym, że czarownice rodziły się właśnie w Ukrainie”... – rzekł jej patriotycznie mało znany pisarz A. A. Czub.

– Racja – zgodziła się z nim Masza, która miała w zwyczaju głośno rozmawiać ze swoimi książkami, nie zastanawiając się nad tym, jak dziwnie to wygląda z boku.

Zagięła właściwą stronę, zwyczajowo rzuciła zatwierdzoną książkę na łóżko i wyciągnąwszy spod pachy czekającego już na swoją kolej W. I. Dala, otworzyła sekcję „Wiedźma”:

„Wiedźma jest znana wszystkim, choć tak naprawdę żyje w Ukrainie, a Łysa Góra pod Kijowem jest miejscem spotkań wszystkich czarownic, które udają się tam nocą na sabat”... – zaczął rzeczowo członek-korespondent Carskiej Akademii Nauk i szef specjalnego biura Ministra Spraw Wewnętrznych.

– Niezmierne *merci*, najmilejszy. – Włodzimierz Iwanowicz pofrunął w ślad za Czubem. – A co ty powiesz, kolego? – Masza niezgrabnie otworzyła *Małą encyklopedię dawnych dziejów kijowskich* A. Makarowa i przeczesała palcami strony.

„Łysa Góra jest miejscem spotkań wiedźm. W krajach europejskich było już kilka takich gór. Niemal wszystkie słowiańskie Łyse Góry znajdują się w Kijowie”. – Encyklopedia była lakoniczna.

– Tak!

Masza z uwielbieniem przycisnęła książkę do ust, jakby właśnie wyznała jej miłość.

W jej oczach błyszczała namiętna radość.

– Co dalej? – zapytała dźwięczącym od zachwyty szeptem swojego platonicznego kolegę historyka. – To wszystko nie może być przypadkiem!



– Wszystko tak jak ćwicyliśmy – przypomniała tancerzom Wstrząsająca. – Tańczycie energicznie do końca zwrotki, nagle gwałtownie padacie, a potem, jakby po trupach, wychodzę ja.

Stali w wąskim korytarzu, pomalowanym szarą farbą olejną, na którego końcu, za czarną kotarą, widać było fragment sceny. Twarz Daszy zdobił wyrazisty makijaż sceniczny, a na jej ramionach zawisła zabójcza kreacja własnego projektu: patchworkowa suknia żakietowa z wielobarwnych, gęsto haftowanych kawałków materiału, z mieniącymi się cekinami. Choć można by się spierać o brak gustu, to trzeba przyznać, że prawie nie dało się oderwać od niej wzroku.

– A później schodzisz na salę... – zaczął błękitnooki Sani.

– Nie! – Piosenkarka i dyrektor artystyczny klubu krzyknęła, stanowczo machając dłońmi przed nosem Saniego.

– Dziś nie schodzę. Dyrektor powiedział, że jeszcze jeden spacer po sali, a wywali mnie na zbity pysk!

– A co z naszym numerem? – zaniepokoił się kierownik zespołu baletowego. – Przecież kiedy wchodzisz na salę, my...

– Będziecie tańczyć za moimi plecami.

– Ale ty będziesz nas zasłaniać – jęczała gorzko któraś tancerka.

– Okej, usiądę z boku, jak „głos autora”. Jak w *Notre Dame de Paris*. Stańmy tam dalej, musimy porozmawiać. – Dasza chwyciła Saniego za kołnierz koszuli i cofnęła się, pociągając go ku sobie.

Tancerz posłusznie podążył za nią, uśmiechał się miło i czekał, co powie – Dasza Wstrząsająca zajmowała drugie miejsce na jego osobistej skali wartości, zaraz za Madonną.

– Sani – powiedziała znacząco i stanowczo – tylko od razu się nie ekscytuj. Chodzi o to, że założyłam się z Zajadłą, że cię uwiodę.

Tancerz mimowolnie cofnął się o krok, patrząc na nią oczami przestraszonego pisklęcia. Nie spodziewał się po niej tak nieczystego zagrania!

– Jeśli to nie będzie dla ciebie zbyt duży kłopot, udawajmy namiętność. Jesteś artystą, potrafisz wiele? A mnie, wiesz, nie ubędzie.

– W porządku – mruknął z powątpiewaniem artysta. – Spróbuję. Tylko wyjaśnij mi to lepiej...

– Czyli zgoda? – ożywiła się Wstrząsająca.

I w tym samym momencie usłyszała szydercze oklaski za plecami.

Zajadła stała w drzwiach garderoby z twarzą wykrzywioną uśmiechem, choć zwykle po skończonym balecie wybiegała na korytarz, by pogawędzić z Alekssem, ochroniarzem. A żeby poprawić makijaż, który spływał od energicznego śpiewu, Dasza często musiała wyciągać swoją pracownicę z toalety, gdzie rozwijał się jej burzliwy romans.

Dasza z irytacją tupnęła nogą: pułapka! Kto by się spodziewał, że dziś tu się zasadzi?!

– Myślisz, że jestem frajerką, prawda? – Fryzjerka uśmiechnęła się złośliwie. – Co i komu chcesz udowodnić? Pocałuj swój motorower na pożegnanie!

Dasza nagle uświadomiła sobie dziwny fakt. Ta dziewczyna jej nienawidzi.

Oczywiście, nie były ani przyjaciółkami, ani koleżankami, tylko współpracownicami. I ta cyrulica w spódnicy uwielbiała ją pouczać, ale Dasza zawsze zwała winę za wszystkie „fuu” i „blee” na standardową sukowatą naturę. Ich sprzeczki, podobnie jak dzisiejsza kłótnia, były dla Daszy tylko dziecięcą grą w wojnę, w której ryzykowało się co najwyżej zadrapanie.

– Za co tak bardzo mnie nie lubisz? – zapytała, próbując zrozumieć fryzjerkę.

– Za co?! – Zajadła eksplodowała nienawiścią. – Czy normalny człowiek zadzwoniłby do mnie z jakiegoś debilnego Centrum, krzycząc, że rzuci urok na mojego chłopaka? Czy kiedykolwiek zastanowiłaś się dwa razy, zanim coś zrobiłaś?! Hm?

– Czas na nas – pisnął nieśmiało Sani, dotykając ramienia Daszy. Muzyka już wzywała ich na scenę.



Wyciągnąwszy dumnie plecy, by podkreślić biust i wyniośle zadartą głowę, Dobrzańska z mroźnym i nonszalanckim uśmiechem wpatrywała się w spoconą łysinę wieprza śliniącego jej dłoń. Gdy podniósł głowę przypominającą kulę bilardową, łapczywie pożarł Katię wzrokiem.

„Tylko się nie udław...” – uśmiechnęła się do siebie.

Tłusty naczelnik wydawał się jej żaloszny, jak głodne dziecko, które w oczekiwaniu na wezwanie do świątecznego stołu pożera wzrokiem talerze, nie wiedząc, czego skosztować najpierw.

Właśnie tak przez cały wieczór Wasilij Fiodorowicz zażarcie obmacywał spojrzeniem jej piersi, szyję, twarz, kolana, wiedząc, ale wciąż jeszcze nie wierząc, że ta kobieta należy do niego.

Kiedy Katia przyjęła jego zaproszenie do restauracji, bez zbędnych ceregieli przedstawiła „Wesołemu naczelnikowi Urzędu Skarbowego” swoją prośbę – tak kłopotliwą i trudną do spełnienia, że było jasne: nikt nie prosiłby o podobną przysługę za darmo. Musiał tylko ostrożnie wspomnieć, jaka jest cena.

Nie miał jednak nadziei, że ona się zgodzi. Zaczął w to wierzyć dopiero wtedy, gdy stojąc na podjeździe, Katia wypowiedziała klasyczne zdanie: „Może pan wejdzie i napije się czegoś jeszcze?”.

– Zatem czy mogę liczyć, że nie porzuci pan bezbronnej kobiety w potrzebie? – zapytała zalotnie Katerina.

– Oczywiście – wybełkotał podekscytowany Wasilij Fiodorowicz. – To mój obowiązek jako mężczyzny. Zawsze pani powtarzałem, że powinniśmy się częściej spotykać. I proszę mi uwierzyć, Kateńko, nie będzie pani miała żadnych, absolutnie żadnych problemów.

Spojrzał mętnie na jej biust, otoczony głębokim dekoltem sukni.

Wiedziała, że teraz próbował teraz pojąć swoim przesiąkniętym żądzą umysłem, czy wszystkie towarzyskie uprzejmości mają już za sobą i czy może wreszcie zacząć rozpakowywać długo oczekiwany prezent od losu.

„Pominiemy pocałunki” – postanowiła twardo, nagle uświadamiając sobie prawdziwy, pragmatyczny powód zagmatwanej etykiety prostytutek: „Wszystko, tylko nie pocałunek w usta!”.

Swoje ciało można kontrolować. Ale jak sprawić, by organizm powstrzymał proces perystaltyki zwrotnej podczas całowania takiego wieprza?

Musi jednak dostać to, o czym marzył w swoich obrzydliwych snach.

– Zaraz przyjdę – mruknęła Katerina, dotykając palcem jego mięsistego nosa. – Proszę tu na mnie zaczekać.

– Kateńka – zasapał ciężko.

„Poczekaj, poczekaj...”

Miłość na sprzedaż to sprawa delikatna: jeśli będziesz się spieszyć, mężczyzna pomyśli, że jesteś prostytutką; jeśli będziesz zwlekać rozgniewa się ze strachu, że mieszasz mu w głowie. Wszystko musi być dokładnie jak w aptece.

– A oto ja!

Katia – w jedwabnym peniuarze, bieliźnie i pończochach – modelowo zastygła w drzwiach sypialni, doskonale zdając sobie sprawę, że wygląda teraz jak banalna dziwka z Playboya. I ze zgrozą zauważyła żalony grymas na jego twarzy.

„Może to nie tyle pończochy podniecają mężczyzn, co niewolnicza uległość, z jaką kobieta potulnie zakłada na siebie tę wulgarność? Idiota, kompletny idiota... Ciekawe, ile czasu mu to zajmie?” – pomyślała, gdy on, zdając sobie sprawę, że dostał długo wyczekiwane pozwolenie, rzucił się na nią i chciwie przyłgął do jej torsu.

Wskazówka na zegarze z pastereczką zbliżała się do wpół do jedenastej.

– La... – Zegar zaczął bić.

Nagle Katia wygięła się w łuk i zaczęła łapczywie wciągać ustami powietrze.

– Och, Kateńka, jesteś napalona! – Pobudził się Wasilij.

Czuła, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej i jeśli nie wyrwie się z jego obrzydliwych łap, będzie krzyczeć na cały głos. Z piskiem przekręciła się tak mocno, że prawie upadła, i bezradnie chwyciła się oparcia sofy.

– Co się stało? – mruknął kawaler.

Miotła się po pokoju, jak ptak, który przypadkowo wleciał do ludzkiego mieszkania i histerycznie szukał wyjścia. Chciała się wymknąć, wyrwać, uwolnić, uciec...

A w jej głowie pojawiła się dziwna myśl: „Muszę iść tam!”.

– Kateńko! – stęknął nerwowo Wasilij Fiodorowicz.

Katia rozpaczliwie wbiegła do przedpokoju, potykając się i chwytając ścian niewidzącymi rękami.

– Katerino Michajłowna, nic nie rozumiem! – Próbował ją powstrzymać i otrzymał wspaniały, mistrzowski i bolesny cios w szczękę, po czym upadł zhańbiony na podłogę.

Drżącymi, niepewnymi palcami Katia otworzyła zamek w drzwiach wejściowych i pospiesznie wyszła na zewnątrz.

„Szybciej! Szybciej! Szybciej!” – słyszała w głowie.

Jedwabny pantofelek z pomponem z łabędzich piór zsunął się z jej stopy.

Katia kopnęła go wściekle i zrzuciła też drugi, po czym pognała boso w ciemność, nie mając pojęcia, dokąd i dlaczego biegnie.



Gdy tylko ze staromodnego zegara, który wisiał nad łóżkiem w sypialni Maszy, wykluła się podniszczona kukułka i wydała z siebie pierwszy niezrozumiały odgłos, dziewczyna usiadła na swoim łóżku.

Położyła się o dziesiątej i teraz miała jeszcze zamknięte oczy, ale ręką stanowczo odrzuciła kołdrę – Masza spuściła bose stopy na dywan i mechanicznie wciągnęła swoje puchate, stare kapcie, które podarował jej kiedyś ojciec. Następnie ruszyła pewnie w głąb korytarza, po omacku wyciągając przed siebie dłonie z szeroko rozłożonymi palcami.

Matka i ojciec natychmiast wybiegli z sypialni, gdy tylko usłyszeli niezidentyfikowany, dudniący hałas. Zdążyli zobaczyć, jak warkocz na perkalowych plecach córki i tylne koło jej roweru znikają za drzwiami mieszkania.

Winda, jakby niezadowolona, że ktoś jej przeszkadza, jęknęła nieszczęśliwie na klatce.

– Dokąd to? – podskoczył Włodzimierz Siergiejewicz. – Jest jedenasta w nocy!

– Cicho – upomniała go ostro matka. – Po raz pierwszy w życiu nasza córka wychodzi z domu na noc. Ma dwadzieścia dwa lata. I prawo do własnego życia! Widzisz, usunięcie wieńca staropanieństwa zadziałało!

– Życie prywatne w piżamie? – krzyknął mężczyzna, rozwścieczony jej babskimi wywodami. – Jaki wieniec?! Ma na sobie piżamę i kapcie! I jeszcze nie umie jeździć na rowerze...

– O mój Boże! Jest lunaticzką! – Mama chwyciła się za serce i krzyknęła na cały głos: – Maszeńka, dziewczyno, wracaj!

Kobieta pospiesznie wyszła na półpiętro i słysząc, że winda otwiera się z hukiem na parterze, wychyliła się przez poręcz.

– Córciu! Córeczko! – krzyczała w złożone dłonie. – Cóрко, co się z tobą dzieje?! Wracaj tu w tej chwili, słyszysz!

Nie otwierając oczu, Masza mknęła opustoszałą ulicą Umańską. Nie wiedziała, dokąd zmierza, ani że w ogóle gdzieś jedzie.



Usatysfakcjonowana publiczność w klubie „O-Yo-Yo!” klaskała. Dasza nie miała własnych piosenek, a cały jej szeroki repertuar – od *Dlaczego*

urodziłaś córkę złodziejkę? do *Moja marmoladko*, myliłam się – był pożyczony. Ale głos i temperament Daszy były jej własne.

– A teraz – powiedziała zmysłowo – czyż nie nadszedł czas zatańczyć do najgorętszego przeboju tego lata...

DJ natychmiast podłapał i puścił podkład.

Publiczność szalała. Balet wybiegł na scenę i zgodnie z sezonową modą błyskawicznie stworzył osobną choreografię do tego kawałka.

– Dzieci lubią lemoniadę... – zamruczała piosenkarka i nagle jej serce zabiło radośnie: Daszy zdawało się, że przy ósmym stoliku widzi znajomą ognistowłosą głowę „potencjalnego zalotnika”.

„To on, czy nie on? Jeśli on, to musi być przeznaczenie. Nie, to zdecydowanie on!” – myślała, a jej niecierpliwe nogi poniosły ją do schodów prowadzących na salę.

– Wstrząs... – rzucił natychmiast Sani, udając, że próbuje ją wciągnąć do tańca – nie możesz.

Dasza Wstrząsająca przeklęła w myślach: nie lubiła przyznawać, że między pragnieniem a jego natychmiastowym spełnieniem mogą istnieć jakiegokolwiek obiektywne bariery.

– Po prawej – szepnął Sani i oddalił się tanecznym krokiem.

Dyrektor stał przy wejściu do pomieszczeń biurowych i przyglądał się jej uważnie.

– Dzieci lubią lemoniadę... – Podskakiwała energicznie w miejscu, jak nakręcany zając mechaniczny.

Co robić? Co robić?

Oczywiście rudowłosa ją zauważył. Nie mógł nie zauważyć! Ale czy ją rozpoznał?

Dasza śmiało weszła na scenę.

– O, widzę znajome twarze na widowni! – Machnęła energicznie ręką. – Tańczymy! Tańczymy! Razem. Rudzielec przy stoliku numer osiem też.

Chłopak podniósł głowę i uśmiechnął się do niej szeroko. W jego oczach nie było zdziwienia, a Dasza zdała sobie sprawę, że już dawno ją rozpoznał, prawdopodobnie jeszcze tam, w Centrum Czarów Starokijowskich na Padole... Wiedział, kim jest i gdzie jej szukać.

„Hurra! Świetnie!”

Podeszła do samej krawędzi sceny, pod którą tłoczyły się już tańczące pary, i spojrzała na niego wymownie. Jej prawa stopa wybiła się, przygotowana do skoku w publiczność – ruch był tak gwałtowny i nagły, że Dasza się zachwiała.

„Co to było, skurcz?” – przestraszyła się nie na żarty, próbując zmusić zbuntowaną kończynę do powrotu na swoje miejsce. Ale gdy tylko jej lewa noga niepewnie dotknęła podłogi, prawa sama podskoczyła, zginając się w kolanie. Dasza ze strachu mocno przycisnęła dłoń do rzepki.

Tancerze spojrzeli na nią pytająco.

– Widzicie, ta muzyka sprawia, że nogi same chcą tańczyć! – krzyknęła, próbując desperacko odegrać tamten niespodziewany ruch. – Ale ja nie mogę, moim zadaniem jest zabawiać was. Tańczymy! Tańczymy!

I wtedy jej nogi ostatecznie oszalały. Uparcie podskakiwały na przemian, jakby jakiś mechanizm w jej wnętrzu się zepsuł, a wykrzywiona z bólu wokalistka już otwarcie biła pięścią w kolana. Z boku wyglądało to tak, jakby krzywiąc się i wydurniając, podskakiwała w durackim komicznym marszu. Publiczność się śmiała. Tancerze baletu, ustawieni za nią w szeregu, maszerowali zgodnie i starali się dopingować szefową, z którą wyraźnie działo się coś złego.

– Zobaczcie, co się z nimi wyprawia! – oznajmiła Dasza, z trudem łapiąc powietrze. Miała zadyszkę i nie mogła śpiewać. Zupełnie już

zapomniała o rudowłosym chłopaku, starała się jedynie zachować twarz.

„Co się ze mną dzieje, Boże?”

– Hej, chodź, zatańcz z nami! – Jakiś zapluty, pijany facet nagle chwycił Daszę za rękaw i ściągnął ją ze sceny.

I w tej sekundzie poczuła ulgę.

Znalazła się w falującym tłumie, wsłuchana w siebie, próbowała zrozumieć, czy szaleństwo już ją opuściło?

– Myślisz, że Rita wciąż tam stoi...

– To do niej niepodobne...

– W taki razie dlaczego nie przysłała... – Czyjeś zdawkowe uwagi dosłownie świdrowały jej uszy. Dwie dziewczyny, anielska blondynka i pozbawiona piersi brunetka, wiły się radośnie w odległości dwóch kroków od niej.

Zapluty chwiejnie sięgnął ku talii Daszy.

Ale nagle jakby zdała sobie sprawę z czegoś niesłychanie ważnego. Zdecydowanym ruchem wsunęła mikrofon klubowy w spoconą dłoń faceta i pognała tak szybko, jak tylko mogła, do wyjścia. Czuła, jak ból ustępuje z każdym krokiem, ustępuje, ustępuje, zastąpiony pewnością, że robi jedyną słuszną rzecz.

Wyskoczywszy na ulicę, Czub popędziła do tylnego wejścia, gdzie stał jej wierny motorower.

„Szybciej! Szybciej! Szybciej!” – dudniło jej w głowie.

– Stój. – Usłyszała za sobą zdyszany męski głos. – Stój, powiedziałem! – Ktoś bezczelnie odepchnął ją na bok. To był Aleks, kark z klubu, piastujący dwa stanowiska: ochroniarza i kochanka Zajadłej. Fryzjerka została nieco z tyłu, ale już biegła w ich kierunku.

– Mówiłam ci, że będzie próbowała uciec! – wydusiła z siebie.

Aleks stanął między Daszą a jej „kucykiem” i położył rękę na kierownicy.

– To już nie jest twoja zabawka – zakomunikował stanowczo. – Oddaj kluczyki.

– Puszczaj! – wrzasnęła nieustępliwie Dasza, rzucając się na niego. – Muszę się tam dostać! Jestem spóźniona!

Aleks odepchnął ją jedną ręką.

– Gdzie jesteś spóźniona? – zaśmiała się cierpko Zajadła. – Zwolniono cię już zewsząd. Dyrektor przed chwilą powiedział, że możesz iść do diabła! Zawsze wiedziałam, że doigrasz się prędzej czy później.

– Odejdźcie! – ryknęła z samych trzewi Czub.

Czuła, jakby do jej głowy wiano czajnik wrzącej wody, z trudem ogarniała rzeczywistość. Resztką sił starała się jednak wyłowić ostatnią żywą myśl:

– Miałam czas do święta! Jeśli nie uwiodę Saniego przed szóstym, motorower jest wasz!

Skwaszony Aleks spojrzał na swoją dziewczynę.

– Co mnie podpuszczasz, skoro termin jest do szóstego? – mruknął znacząco.

– Ale ona jest zwolniona – próbowała argumentować. – Gdzie ją potem znajdziemy?

– Nieważne. – Chłopak niechętnie zdjął rękę z kierownicy i zwrócił się do Daszy: – Zakład to zakład. Pojutrze koniec jazdy.



Histeryczny dzwonek telefonu sprawił, że matka Maszy położyła rękę na ciężkich piersiach i jęknęła z przerażeniem:

– O Boże! To...

Wyprzedziwszy ją, Włodzimierz Siergiejewicz podniósł alarmującą słuchawkę.

– Tak, już jadę! – powiedział surowo.

– Czy to Masza? Masza? – Matka zadrżała.

– Wypadek – wyjaśnił surowo. – W tym samym miejscu. Nasi ludzie już wezwali policję. Na Frunze znów jest morze wody! To jest złośliwe chuligaństwo. Ale po co policja? – Siergieicz wskoczył już w spodnie i wkładał starą, podniszczoną marynarkę. – Sama się zastanów: zanim woda się zebrała, zanim mieszkańcy wezwali policję... Tych kopaczy już tam nie ma. O ile, rzecz jasna, ich nie przysypało. Wtedy musielibyśmy odkopywać trupy – mruknął z niezrozumieniem i złością. – Na co im to?

– A tobie na co? – odrzekła żona. – To nie jest twoja zmiana! Co ty, do cholery, robisz?! Nasza córka zaginęła! Jak sobie coś wbijesz do łba, to reszta dla ciebie się nie liczy!

– Nic nie rozumiesz – mruknął z żalem Siergieicz. – Naprawiałem te rury prawie dwadzieścia cztery godziny tylko po to, żeby jakieś bachory znowu narobiły tam syfu? A nasza Maszka wróci, nie zapodzieje się.

Rozdział piąty

w którym dochodzi do zbrodni

Dreszcz przepłynął przez jego żyły: leżała przed nim piękność, jakiej jeszcze nie było na ziemi. Leżała jak żywa... Nagle w jej twarzy dostrzegł coś przerażająco znajomego. –
Wiedźma! – krzyknął nie swoim głosem.

~ Mikołaj Gogol, *Wij*

Przemierzywszy dwa mosty – most Południowy i most Metra – Dasza wreszcie zadała sobie pytanie: „Gdzie ja jadę?”. Myśl ta była jednak wątpliwa i nieistotna. Dasza czuła, że szybko zbliża się do swojego nienazwanego celu.

Dopiero gdy moped – minąwszy trzeci romantyczny most „zakochanych”, który mniej romantyczni mieszkańcy nazywali mostem „diabelskim” albo mostem „samobójców” – wjechał na Wzgórze św. Włodzimierza, a po prawej stronie mignęły złote kopuły monasteru św. Michała Archanioła, dziewczyna zdała sobie sprawę, że wraca na Zjazd św. Andrzeja.

Dojechała do skrzyżowania Włodzimierskiej z Wielką Żytomierską i skręciła w podwórze, w aleję Krajobrazową, popularne miejsce wszelkich przechadzek. Właściciele spacerowali tu ze swoimi psami, matki z dziećmi, a nastolatki z pierwszymi butelkami piwa. Dasza nieraz wędrowała tędy

z przyjaciółmi, leniwie popijając niskoprocentowe drinki i szukając romantycznego zakątka z widokiem na miasto, żeby zapalić fajkę.

Swoją drogą, było to dziwne miejsce, choć przyzwyczajeni do niego kijowianie prawie nie zdawali sobie z tego sprawy. Czy to nie zdumiewające, że w podwórzu jednej z centralnych ulic, za niewysoką kamienną balustradą otaczającą aleję, ziała dziura głębokiego wąwozu wypełnionego drzewami, który w niczym nie przypominał cywilizowanego miejskiego parku czy skweru? Z drugiej strony jar był dobrze strzeżony przez dwie góry owiane złą sławą i nawet ci nieliczni, którzy w słoneczny dzień zapuszczali się na sam dół, aby pobawić się z ukochanym psem lub uprawiać pospieszny seks za gęstymi krzakami, nigdy nie zapuszczali się tam nocą.

Sama jednak aleja, nawet o północy, była uważana za miejsce, w którym można dość bezpiecznie spacerować.

Z kierownicą wycelowaną w stronę muzeum historycznego Dasza wyprzedziła dziwną rowerzystkę w czerwonych kapciach, przypominających jakieś uszaste zwierzę. Wokół nie było żywego ducha. Dojechawszy do milczącego Muzeum Historii Ukrainy, Dasza nagle zrozumiała, że jest na miejscu.

„I co teraz, wycieczka?” – pomyślała z zakłopotaniem Czub i natychmiast pospiesznie odskoczyła w bok.

Szalona rowerzystka ze zmrużonymi oczami pędziła wprost na nią, ale przejechała obok i z łoskotem wpadła na schody przy wejściu. Dasza chciała rzucić się w jej stronę. Ale wtedy ktoś inny popchnął ją mocno w prawo i powalił na ziemię. Udało się jej wyciągnąć rękę, by wylądować z jak najmniejszym uszczerbkiem, a gdy upadła, kątem oka zauważyła, że rowerzystka wstaje bez pomocy, a jej oczy są już szeroko otwarte i widać w nich prawdziwe przerażenie i zdumienie.

– Gdzie ja jestem? – zastanawiała się. – Co tu robię?

– Czego chcecie?! – wrzasnął ktoś z góry.

– Nie wiem! – warknęła z oburzeniem Czub, gwałtownie odwracając głowę.

Nad nią stała szalona czarnowłosa dama w samej bieliźnie. Nie miała butów, a jej pończochy od stóp do kolan pokryte były brudnymi dziurami i prującymi się oczkami.

„Przecież to są te, z którymi...” – Dasza nie zdołała doprowadzić tej myśli do końca.

Jakieś pół metra od nich bezgłośnie eksplodował słup ognia. I jak wtedy w Centrum, dziewczyny instynktownie rzuciły się ku sobie, kurczowo trzymając się razem w przerażonej kupie. Wpatrywały się szaleńczo w miejsce, w którym działo się coś zupełnie nierealnego.

Na ich oczach ogień uniósł się z ziemi, a raczej z dywanu niepalnych betonowych płyt, rozłożonych przed wejściem do muzeum, i w jego gorącym blasku pojawiła się wysoka postać kobiety.

„Kyłyna” – rozpoznała ją Masza, prawie pewna, że wszystko, co teraz widzi, to przerażająco cudny sen o martwej piękności, której złote włosy zlewały się z płomieniami.

– Jesteście tutaj – rzekła ponuro martwa kobieta.

Gdy tylko przemówiła, płomienie zgasły, a jej ciało stało się półprzezroczyste jak mgła księżycowa.

Teraz można było przez nią zobaczyć świecące się okna domów otaczających aleję Krajobrazową i ciemne, bezgwiazdne niebo...

– Będziecie tutaj przychodzić każdej nocy, jak koty, które słysząc mysz, nie mają dostępu do własnej woli – stwierdziła z żalem zmarła. – Musiałam oddać swoją moc wam, trzem niewidzącym. Ale nie cieszcie się z tego! – Jęknęła nieznośnie, jakby oszołomione i znieczulone przerażeniem kobiety

mogły się teraz z czegokolwiek cieszyć. – Moje Miasto nie jest dla was darem, lecz przekleństwem! Moja moc jest waszą niewolą! Zostałyście wybrane, aby zginąć! Ja byłam pierwsza, ale będzie druga i trzeci, a on znowu odzyska moc, której został niegdyś pozbawiony. Umrzecie, zanim owrzodzona stanie się miłością, a ból będzie płonął w ogniu, bo wasze zbawienie jest tam, gdzie nie macie powrotu...

Dziewczyny w milczeniu cofnęły się przed ciężkim, niemrugającym spojrzeniem, które zdawało się nieodwracalnie grzebać je teraz żywcem.

– Wszystko. Oddałam wam wszystko... – wyszeptała kobieta udręczonym głosem, gasnąc. – Pozostało tylko przekazać to.

Uniosła władczo ku niebu swoją upiorną rękę, a Katia, Dasza i Masza jednocześnie spojrzały w górę i stwierdziły, że coś dużego i ciemnego leci wprost na nie. I zanim zdążyły się rozproszyć, spadła na nie ogłuszająca czerń...

Dasza zobaczyła, jeszcze przed utratą przytomności każdej z nich, że niebo nad nimi nagle przestało być ciemne, rozbłysło tysiącem srebrnych gwiazd i niepokojąco czerwonym światłem gdzieś po jej lewej stronie.

„Samolot” – pomyślała i zemdlą.



– Co jest? Jazda nazad! Widzisz, zamknięte! Plugawe życie!

– To co teraz, na górę z buta?!

– Nie, przez płot, z całym sprzętem!

Zdenerwowani i kłótlivi pracownicy pogotowia tłoczyli się przy zamkniętej bramie, która prowadziła na skromny teren cerkwi św. Cyryla, odgradzony płotem z kamiennych bloczków od wielopiętrowego Szpitala Psychiatrycznego im. Pawłowa.

Do bram cerkiewnych od ulicy Eleny Teligi prowadził wygodny asfaltowy podjazd. Okazało się jednak, że aby przejść jeszcze sto kroków i dostać się na wzgórze, gdzie ukryty był potrzebny im żelazny właz, trzeba było wyłamać zamek przy wejściu do świątyni lub zawrócić i wspiąć się po zboczu.

– Dobra, pomykaj! Jedziemy! – rzucił poirytowanym głosem jeden z pracowników do kierowcy.

– Czekaj – przerwał Włodzimierz Siergiejewicz. – Patrzcie, w kościele się świeci...

W wąskich, szczelinowych oknach masywnej świątyni św. Cyryła migotał nikły żółtawy płomień.

– Ty, Siergieicz, dziś jesteś tu na gapę. Więc się nie wcinaj! – warknął i machnął ręką ten, który powiedział „pomykaj”.

– No co ty? – ostudził go drugi mężczyzna. – Ma rację. Trzeba ich zawołać, to nam bramę otworzą.

– Stąd to se możesz wołać... Cerkiew jest stara, wiecie jakie ma mury! – Włodzimierz Siergiejewicz podszedł do bramki tuż obok bramy wjazdowej. Chrząknął. Oparł się o ramię drugiego mężczyzny, chwycił za pręty i położył stopę na klamce owiniętej zardzewiałym drutem, by z młodzieńczą brawurą przeskoczyć przez dwumetrowy płot.

– Zaczekajcie. Załatwię to – obiecał.

Dumny z siebie ojciec Maszy minął kosze na śmieci i podszedł do postawnej staroruskiej piękności z białego kamienia. Gdy dotarł do ciężkich drewnianych drzwi, najeżonych metalowymi listwami, zamierzał się przeżegnać, ale zawahał się – nie chciał tego zrobić przed kolegami – i zmarszczył brwi, popychając jedno ze skrzydeł.

Drzwi się otworzyły, ukazując wejście do wysokiej, kwadratowej przestrzeni w nawie głównej, której zarys wyznaczały strzeliste,

średniowieczne kolumny. Wewnątrz cerkiew była niesamowicie mała. Jej ściany były ciemne i łuszczące się, nosiły ślady tysiącletnich fresków i brakujących fragmentów świętych, domalowanych na nich później.

Teraz jednak, w półmroku, stare, wielowiekowe barwy zlewały się w białe „chmurki”, a Matka Boża w centralnej absydzie, z odjętą przez czas głową, i odcięte od tułowia bosc stopy świętych strzegących umieszczonego między nimi marmurowego ikonostasu, sprawiali niesamowite i przytłaczające wrażenie.

Z tego powodu cerkiew wydawała się opuszczona, bez życia. Porzucona przez Boga i ludzi...

Ale była czynna. Właśnie odbywała się w niej jakaś religijna uroczystość, nieznana Siergieiczowi i, jak się wydawało, nieprzeznaczona dla postronnych oczu.

Trójkąt roztopionych świec kościelnych lśnił na różowawej posadzce z dopasowanych do siebie kamiennych płyt różnej wielkości. W jego środku leżał krzyżem kapłan bez twarzy i pozornie bez życia, opierając swoje kończyny na krawędziach tajemniczego trójkąta.

Jego ramiona były nieruchome, a nogi nielicująco nagie. Siergieicz cofnął się, zdając sobie sprawę, że zobaczył coś, czego nie powinien widzieć – czyjąś surową nocną modlitwę.

Odwrócił się i zamierzał wyjść, ale instynktownie zadrżał, gdy zobaczył, że freski po prawej stronie drzwi przedstawiają ludzkie głowy w agonii, płonące czerwonym ogniem piekielnym.

Siergieicz przeczytał napis:

*ZGRZYTANIE ZĘBÓW
OGIEŃ NIEGASNĄCY
ROBAK DRĘCZĄCY.*

Tymczasem odcięte głowy krzyczały, przesywane wijącymi się piekielnymi robakami, i szczyrzyły zgrzytające zęby – niezdarne i celowo przerażające, jakby wyjęte ze szkolnego zeszytu chłopca, który jako nastolatek lubił malować wszelkiego rodzaju mordercze horrory.

Kartka obok wieściła: „Drodzy parafianie, w kościele nie wolno całować ścian”.

Intruz zamarł i instynktownie sięgnął trzema złożonymi palcami do czoła. Poczł nagle nieuświadomione i nienazwane, ale rosnące i ściskające klatkę piersiową przerażenie Chomy Bruta, niewiedzącego jeszcze, co go czeka za progiem pustej cerkwi o północy, ale czującego każdym skrawkiem skóry: lepiej nigdy nie wiedzieć! Trzeba uciekać, zanim będzie za późno!

Za późno.

Włodzimierz Siergiejewicz rozejrzał się dookoła. I dostrzegł coś, co wprawilo go w osłupienie i kazało wątpić w surową świętość tej nocnej modlitwy. Trójkąt, w środku którego leżała modląca się postać, był czerwony. Tak koszmarnie czerwony, jak piekło fresków przy drzwiach!

Zesztywniały zbliżył się do ciała leżącego krzyżem, tonącego w lepkiej, zgęstniałej krwi. I zdał sobie sprawę, że modląca się postać z gołymi nogami jest kobietą w ciemnej, krótkiej dżinsowej spódnicy.

Jej ciasno splecione nogi były zwieńczone malinowymi obcasami, które wydawały się tu boleśnie nie na miejscu. Bujne ciemne włosy okalały białe policzki i zeszywniały, wyostrzony profil.

Była młoda, okropnie, nieznośnie młoda i prawdopodobnie piękna, a najbardziej nieznośne w tym fakcie było to, że była równie okropnie i nieznośnie martwa.

– Co tu się dzieje? – Nagłe i groźne pytanie uderzyło Siergieicza w splot słoneczny, co sprawiło, że wzdrygnął się i spojrział na drzwi.

Ale zamiast niezgrabnego, pokrytego ziemią Gogolowskiego Wija z żelazną twarzą i zamkniętymi powiekami stało tam trzech ponurych i wzburzonych policjantów, wezwanych z powodu „chuligaństwa”.

– Co TO jest? – powtórzył pytanie pierwszy.

– O Boże, o kurwa! W cerkwi! – rzekł drugi.

A potem noc minęła już z górki. Wciąż przybywało ludzi: fotografów, lekarzy medycyny sądowej, kryminologów. Było ich zbyt wielu, ale wśród nich migąła spuchnięta i zatroskana twarz szefa. A tuż obok niej druga, wściekła, niewyspana i groźnie wąsata.

Włodzimierz Siergiejewicz Kowalow, zawieszony w pracy w pogotowiu ze względu na konieczność zeznawania, wiedział: nie chodzi o zabójstwo młodej dziewczyny – chodzi o cerkiew.

– Ofiara w świątyni. Tylko tego nam brakowało!

– Zjawił się szef Rejonowego Wydziału Spraw Wewnętrznych. A nawet przedstawiciele Biura Operacyjno-Śledczego...

– Imię, imię odojcowskie, nazwisko, rok urodzenia...

– ...z powodu utraty krwi. Długo cierpiała, biedaczka.

– Jak pan się tam dostał? Drzwi były otwarte?

– Zamek nie jest wyłamany. Ktoś miał klucz.

– Kopacze? Więc twierdzi pan, że...

– W cerkwi. Bandyci! Nie ma dla nich wystarczającej kary!

– Proszę chwilę poczekać, śledczy chce zamienić z panem słowo.

– Studentka uniwersytetu pedagogicznego?

To właśnie te wyraźne, pełne pytań słowa wyciągnęły „świadka znalazcę” z ponurej i posępnej apatii, która ogarnęła go i okryła ciężkim kożuchem. I chociaż w przeciwieństwie do wielu innych, to akurat pytanie nie było skierowane do niego, wypowiadający je wysoki i niezadowolony człowiek, ze zbyt dużymi jak na mężczyznę oczami na brzydkiej i drobnej

twarży, skupił swój przeszywający wzrok na Włodzimierzu Siergiejewiczu, jakby w myślach przypinał go pinezką do tablicy korkowej.

– On? – Brzmiało pytanie zbyt wielkookiego mężczyzny, skierowane do innego, szczupłego, w cywilnym ubraniu. Chudy skinął głową, a niezadowolony mężczyzna ruszył w stronę Siergieicza, który siedział skulony na krześle przy biurku. Pod szkłem na blacie leżały starannie ułożone pocztówki ze zdjęciami cerkwi św. Cyryla wewnątrz i na zewnątrz.

Mężczyzna podszedł do stołu i zmrużył powieki, przyglądając się pouczającemu obrazkowi, na którym diabeł z odciętą nogą – chudy jak szkielet obciążony brązową skórą, wyciągał palec do półnagiego cnotliwca z przymkniętymi oczami, który – również palcem – groził mu mentorskim gestem.

– Włodzimierz Bojko, śledczy prokuratury – przedstawił się swojemu imiennikowi nie za szybko, raczej powoli i zdecydowanie, jakby kalkulował w myślach, kiedy diabeł zorientuje się, że zła nie da się powstrzymać dumnym palcem, a cnotliwiec wpadnie w panikę i zacznie wzywać policję. – Pan pierwszy znalazł ciało...

– Ja. Ta dziewczyna jest studentką pedagogicznego? – wtrącił nerwowo Włodzimierz Siergiejewicz.

– Pan ją zna? – najeżył się śledczy.

– Nie. Ale moja córka tam studiuje. Na czwartym roku. Na historii!

– Na czwartym roku historii? – W zbyt dużych oczach mężczyzny zapaliło się niebezpieczne zainteresowanie. – W takim razie może pan zna Ritę Bojec? Najwyraźniej jest koleżanką z roku pana córki.

– A skąd taki wniosek? – Niepokój Siergieicza narastał.

– Znaleźliśmy jej torebkę. Była tam jej legitymacja studencka i karta egzaminacyjna.

– O Boże! – Zmroziło go w środku. – Dobry Boże! Nie!

Śmierć, już bez tego straszna i bezbożna, była na wyciągnięcie ręki, tuż obok najdroższej mu istoty na ziemi – jego Mruczka, Maszy! Maszy, która dziś w nocy nagle uciekła nie wiadomo dokąd.

– To kopacze! – Siergieicz pochylił się z impetem, wyciągając rękę do swojego imiennika, jakby chciał złapać go za rękaw. – Mówilem panu. Dwie noce z rzędu, w tym samym miejscu. A jaskinie są otwarte! Wie pan, co o nich mówią...

– Co dokładnie? – zapytał śledczy.

– A czego to nie mówią! Że tam są moce nieczyste. I nie należy tam chodzić, bo prowadzą prosto do piekła. W Kijowie pod ziemią jest wiele jaskiń, a z każdą z nich wiąże się jakaś historia. To się właśnie o nich mówi.

– To nie wymysł – rzekł śledczy Bojko, wpatrując się w Siergieicza oczami, które wydawały się nierzeczywiste. – Dla niektórych to nie są legendy. Jakiś szaleniec wierzy w to tak bardzo, że zabija ludzi. To jest ofiara rytualna. To nie są kopacze, to sataniści... Czy pana córka wiedziała, czym pan się zajmuje? – zapytał ostro.

Włodzimierz Siergiejewicz już się domyślił: jego imiennik podejrzewał jego Maszę, a także jego samego. Mimo to nie czuł się zagrożony. Surowe fałdy na czole Włodzimierza Bojki, wąskie i zacięte usta oraz intensywne spojrzenie zbyt dużych oczu przekonały go: to był normalny człowiek. Poważny. I najwyraźniej nie podły.

– O wypadku? Nie, skąd? To znaczy, rano wiedziała, oczywiście – odpowiedział szczerze Włodzimierz Siergieicz. – A w nocy... Nie powinno mnie tu być, to był mój wolny dzień. Poprosiłem chłopaków, żeby zadzwonili do mnie, gdyby coś się działo.

– No dobrze, dobrze. – Bojko kiwnął głową, najwyraźniej znając już treść zeznań kolegów Siergiejewicza. – Ale co tak naprawdę skłoniło pana do zasugerowania, że wypadek może zdarzyć się po raz drugi?

– To, że przeczuwałem, że coś jest nie tak! – krzyknął Siergieicz. – Coś jest nie tak z rurami! Nowe rury nie mogły bez powodu pęknąć wszystkie naraz! Razem z moim przyjacielem, Kolą, rozmawialiśmy dziś rano o wezwaniu policji.

– Myśli pan, że ktoś je celowo uszkodził?

– Nie wygląda na to. – Włodzimierz Siergiejewicz zmarszczył nos. – Nie ma śladu topora ani niczego podobnego. To jest po prostu podejrzone, a przez to jeszcze dziwniejsze!

– Więcej niż dziwne – potwierdził jego rozmówca z wrogością i wieloznacznie. I jeśli wrogość odnosiła się do samej sytuacji „więcej niż dziwnej”, to wieloznaczność była z pewnością skierowana ku „świadkowi znalazcy” i „przeczuwaniu”. – A pana córka – sprowadził rozmowę z powrotem na Maszę – nigdy nie wspominała o kimś, kto ma inicjały M. K.?

– M. K.? – zapytał zaniepokojony ojciec Maszy. – Te litery wyglądają znajomo... Są nabazgrane w całym naszym domu. Wie pan, młode dziewczyny zakochują się i zaczynają rysować serca z inicjałami. Masza nie ma z tym nic wspólnego! – rzekł stanowczo. – Jeśli pan podejrzewa, że ona jest w jakiś sposób zamieszana w ten koszmar...

– Nie, nie. – Bojko pokręcił głową. – Mogę założyć, że to tylko zbieg okoliczności. Ale nie uwierzy mi pan, jeśli powiem, ile razy w mojej wieloletniej praktyce to właśnie najbardziej przypadkowy i absurdalny zbieg okoliczności pomógł w rozwiązaniu sprawy... Albo wręcz przeciwnie: kosztował ludzi życie. I nie chciałbym, żeby pana córka znalazła się w tym właśnie miejscu. – Wskazał na przykryte prześcieradłem, ukryte przed nimi zwłoki młodej i pięknej dziewczyny, która już nigdy się nie zestarzeje.

– Skąd w ogóle wziął pan te inicjały? – Ojciec Maszy wpadł w gniew, zdruzgotany morderczą sugestią.

– Ktoś tu wezwał tę dziewczynę. Przy pomocy liściku – powiedział surowo mężczyzna. – Podpisanego inicjałami...

– Rozumiem. Jego nazwisko to Krasawicki – oznajmił stanowczo Włodzimierz Kowalów. – Nie pamiętam imienia. Masza wyznała mi to kiedyś w tajemnicy przed matką. Tylko nic z tego nie wynika! Tylko ochy i achy. A on nawet jej nie zauważa. Moja córka... Cóż, nie jest typem, który podoba się facetom. Niestety.

– W tym przypadku może to być szczęście – powiedział śledczy.

I przygryzając wąską, bladą wargę, zmrużył oczy i chmurnie spoglądał na ścianę nad nimi, gdzie na wpół starty anioł Apokalipsy związał niebo w zwój.



Już o piątej rano niespokojne lipcowe niebo zaczynało różowieć, a po pół godzinie światło wpełzło pod rzęsy Katii, wdzierając się w mrok jej snu. Niezadowolona dziewczyna zmarszczyła nos i otworzyła oczy.

Budziła się zawsze od razu, nie traciła ani chwili na oddzielenie snów od jawy, na przypomnienie sobie, kim jest, czego pragnie, co się wydarzyło wczoraj i co ją czeka dzisiaj. I teraz natychmiast zdała sobie sprawę z katastrofy: porzuciła przydatnego, potężnego mężczyznę w trakcie zapowiedzianego już aktu seksualnego, a jedynym usprawiedliwieniem, jakie mógł uznać za przekonujące, było zaświadczenie, że nieudolna kochanka nagle straciła rozum.

To było obrzydliwe.

Tył jej głowy rwał uciążliwie, ale ból tkwił w prawej skroni, zagnieżdżył się w niej i poruszając się, powodował potworne cierpienie. Coś dziwnego w jej karku i plecach okropnie ją drażniło i działało na nerwy, ale nie miało to znaczenia w kontekście całej nieprzyjemnej sytuacji.

Po jej lewej stronie, ze zgiętymi, mocno ściśniętymi razem nogami i głową zatopioną w kolanach, siedziała kędzierzawa rudowłosa dziewczyna w kapciach z uszami.

Masza obudziła się najwcześniej i natychmiast doznała niesamowitego szoku, który natychmiast zamienił się w tępą, paraliżującą rozpacz.

Jest w centrum Kijowa!

W domowych kapciach i czerwonej piżamie w kropki, uszytej przez mamę z bawełnianego płótna, kupionego na zasłony w czasach dzieciństwa Maszy – „żeby się nie zmarnowało” – i gospodarnie wykorzystanego!

I chociaż matka prawdopodobnie już obdzwoniła wszystkie szpitale i kostnice, doprowadzając siebie i ojca do stanu przedzawałowego, Masza nie mogła się zmusić do biegania po mieście w haniebnej piżamie – nawet po to, by ich uratować.

Kijów się budził...

Zwinięta w kłębek Czuba spała ze spokojnym wyrazem twarzy na trawie pod jedną z niebieskich choinek przy wejściu do muzeum. Ona, w przeciwieństwie do swoich sióstr w niedoli, nieraz nocowała pod gołym niebem. Na leżaku na plaży w Koktiebielu, na piasku Kazantipu, a nawet w kijowskim Ogrodzie Botanicznym pod krzakiem bzu, gdzie znalazła się kiedyś niespodziewanie po zakrapianej romantycznej nocy. A niedaleko wyciągniętej ręki Daszy leżała stara, nieprawdopodobnie gruba i wyglądająca na niewiarygodnie ciężką książka w wytartej skórzanej oprawie, zwieńczona dwiema kształtnymi klamrami.

Na niej siedział czarny strażnik – duży, dumny kruk – cierpliwie trzymający w dziobie wąską, długą kopertę z czarnego, matowego papieru.

Widząc, że Katia na niego patrzy, kruk szybko wystąpił naprzód i podał jej list. Po chwili Katia z wahaniem przyjęła tajemniczą wiadomość, a ptak natychmiast wzbił się w powietrze, głośno i znacząco skrzecząc.

Rudowłosa dziewczyna o kręconych włosach spojrzała w górę na ten dźwięk i słabo wymamrotała:

– Dzień dobry.

Katia nie zareagowała: rudzielec był zbyt mało znaczącym niuanssem w tym, co się działo. A to, co się działo, nie podobało się Katii. Jej umysł, zawsze beznamiętny i logiczny, zdawał się otoczony wacianą bańką bzdur. Poczula dreszcze, a ból odcisnął się na jej skroni. Starając się nie ruszać głową, Katia sięgnęła po księgę i przyciągnęła ją do siebie. Na okładce nie było tytułu. Książka sprawiała wrażenie bardzo, bardzo starej. Ale Katia, która uważała się za koneserkę rarytasów retro, nie była dobrym znawcą książek antykwarycznych – nigdy ich nie kupowała.

Dasza obudziła się nie w sosie, wydeła z niezadowoleniem pełne usta, obrażona, mętnie i z powątpiewaniem spojrzała na dwie towarzyszki.

– A gdzie my jesteśmy? – zapytała zachrypniętym głosem, ale bez zdziwienia.

Wygiąwszy się boleśnie w prawo, Katia podniosła się zdecydowanie na nogi. Przyciskała ciężką książkę do brzucha. Zapięcia rozpięły się natychmiast, cicho pobrzękując. W głowie jej szumiało i przez sekundę Katia poczuła ostrą, obrzydliwą nienawiść do swojego, jak się okazało, zbyt słabego ciała.

„Do domu” – rozkazała sobie surowo. „Tam się tobą zajmę”.

– Która godzina? – mruknęła Dasza.

To, co się wydarzyło, powoli odżywało w jej pamięci.

– Co tu się wczoraj działo? Czy tylko ja to widziałam, czy co? – zapytała z zakłopotaniem. – Dlaczego zemdlaliśmy?

– Książka spadła nam na głowy – odpowiedziała Masza Kowalowa tonem wzorowej uczennicy, która zawsze wszystko pamięta i zawsze wszystko wie. W jej słowach wybrzmiała ulga: spokojnie pobzykująca odpowiedź Daszy jakoś ją uspokoiła, a beznadzieja w jej duszy osiadła.

– Ta? – Dasza z zaciekawieniem wpatrywała się w brzuch Katii. – Ło! jaka przerośnięta! Taka to i zabić może.

Katia nasłuchiwała: wyglądało na to, że na ulicę Wielką Żytomierską już wtoczyły się pierwsze samochody. Dasza wstała i zwinnie podskoczyła do Katii.

– Daj mi zobaczyć... – Bezceremonialnie chwyciła brzeg książki i pociągnęła.

Katia natychmiast zakipiała z powodu takiej poufałości, uchyliła się wrogo, wyrwała książkę z beczelnych palców i odeszła: wytapetowane małe chamidło z durnym kolczykiem w nosie drażniło ją każdym gestem. Nie zdążyła jednak zrobić kroku, a „chamidło” ponownie chwyciło za oprawę i gwałtownie szarpnęło zarówno książkę, jak i samą Katię.

– No co ty! Ona jest wspólna! – wrzasnęła Dasza zachrypniętym, zaspanym głosem.

– Puszczaj! – mruknęła ze złością Katerina, a jej skroń zawyła z bólu.

– Za kogo ty się masz, suko?! – krzyknęła z oburzeniem Dasza, w jednej chwili przypominając sobie wszystkie dawne krzywdy.

Ich twarze wykrzywiały się wściekle, dziewczyny tańczyły ciężko w miejscu, przeciągając książkę jak linę, każda w swoją stronę. Książka, zbyt gruba, by zmieścić się w dłoni, rozwarła się, a Dasza, niezręcznie chwyciwszy za kartki, wyrwała jedną z nich.

– Debilka! – Katia pobladła ze złości, sprawnie podniosła spadającą księgę i nagle zadała Daszy piorunujący i pogardliwy cios, niezbyt udany i zgrabny, ale całkiem odczuwalny.

Dasza delikatnie osunęła się na tyłek.

Katia zaczęła uciekać.

Podskoczywszy jak piłka odbita od ziemi, poszkodowana rzuciła się za nią i ciskała w jej plecy gromkimi przekleństwami.

Masza, oszołomiona tą nagłą kłótnią, nieśmiało wstała, rzuciła okiem na biegnącą blondynkę i podeszła do swojego roweru. Wyglądał fatalnie: w wyniku zderzenia ze schodami muzeum jedno koło odpadło, a drugie wygięło się w niedokończoną ósemkę.

„Mama mnie zabije” – przemknęła jej przez głowę mglista myśl. Bardziej nurtowało ją pytanie: jak rower znalazł się w tym miejscu? Czy ktoś mógł go tu przywieźć? Spojrzała z nadzieją na południowy zachód, modląc się, by wysportowana blondynka nie dopadła ładnej, zgryźliwej brunetki i by ta czym prędzej wróciła. Masza czuła się znacznie pewniej w jej obecności. Prawdopodobnie dlatego, że już raz otrzymała od niej pomoc – nie zostawiła jej samej w Centrum, przy zwłokach.

Modlitwy zostały wysłuchane. Zza rogu domu wyłoniła się rozczochrana, zarumieniona Dasza. Szła, promieniując elektrycznymi ładunkami gniewu, a kiedy się zatrzymywała, tupiała ze złością nogą. Potem z goryczą skoczyła do swojego motoroweru i trzepnęła się pięściami w głowę.

– Jestem głupia! Głupia! – krzyczała ze złością. – Czemu zaiwaniałam za nią pieszo? Dasz wiarę, że suka zatrzymała furę na skrzyżowaniu? Spóźniłam się tylko trochę, tylko troszeczkę! Kierowca zdurniał na widok kobiety w samej bieliźnie i jak nie wcisnął gazu... Jeszcze cię dopadnę! – Jej pięści zostawiły w spokoju głowę i poszybowały w stronę nieobecnej

Katii. – Czuję się jak kompletna idiotka – podsumowała z żalem i zaśmiała się niespodziewanie. – Jednak nie można powiedzieć, że jest to nieprzyjemne uczucie. Często się tak czuję, jestem do tego przyzwyczajona. Kim ty w ogóle jesteś?

– Masza.

– Nieźle wczoraj wjechałaś w schody, Maszeńko! Kto jeździ na rowerze z zamkniętymi oczami, co, głuptasie?

– Przyjechałam na rowerze? – Nocna rowerzystka nie uwierzyła.

– Czyli ty też widziałaś to gówno? – zignorowała pytanie Dasza. – A tę płonąca cioteczkę? O, tu? – Tupnęła butem w betonową płytę. – Pamiętasz, co nam powiedziała?

– Że umrzemy, zanim owrzodzona stanie się miłością, a ból będzie płonął w ogniu, bo nasze zbawienie jest tam, gdzie nie macie powrotu – zreferowała skrupulatnie Kowalowa.

– Owrzodzona... miłością?

– Tak, owrzodzona ukochana.

– W takim razie nieprędko umrzemy – podsumowała optymistycznie Dasza Czub. – Kto pokocha owrzodzoną? No, chyba że za pieniądze. Ale to się nie liczy... – Z zadumą podrapała się po krótkim nosie i dodała zamyślona: – I jeszcze z pracy mnie wyrzucili. A ja tam mieszkałam i jadłam, odkąd posprzeczałam się z matką. Nie mam tam czego szukać. Dobra, gdzie cię podrzucić?

– Na Sołomienkę. Jeśli możesz – powiedziała z niepokojem Masza. – Sama bym pojechała, ale ja, no... – Zakłopotana chwyciła brzeg piżamy i zgmiotła go w dłoniach.

– No co, bombowa piżama, pasuje do ciebie! Co ty taka wrażliwa? Kto wie, może teraz to jest modne? Dobra, mała, trzymaj... – Czub bez zastanowienia zdjęła swoją błyszczącą marynarkę, która w świetle

wczesnego poranka (ledwie wybiła szósta) wydawała się katastrofalnie śmieszna, i dobrodusznie podała ją Maszy.

Chociaż studentka uważała, że ten cyrkowy strój jest jeszcze straszniejszy niż jej grochy i że jako duet stanowiły idealną parę klaunów, była zbyt zakłopotana, by odmówić. Nie chciała urazić sympatycznej blondynki i negocjować jej dobrej woli.

– A rower? – zapytała jak sierotka, zdając sobie sprawę, że testuje cierpliwość dobrotliwej towarzyszki.

– Cóż, rowerze, przepraszam, nie wezmę cię na linę holowniczą. Chodź, schowamy go w krzakach, tam w dole. Później go zabierzesz... – Dasza schyliła się, by pomóc Maszy przeciągnąć wrak, i pochwaliła ją mimochodem: – Zrobiłaś wczoraj trwałą? Świetnie ci!

Zdumiona Kowalowa dotknęła swoich włosów. I z dreszczem odkryła, że jej i tak już pokręcona fryzura kipiała od zbitych i niesfornych loków, buntowniczo wyrrywających się z rozczochranego warkocza, który wczoraj był jeszcze małym ogonkiem, a teraz radośnie wił się do połowy pleców.



Kierowca, którego Katia tak skutecznie złapała na skrzyżowaniu ulicy Włodzimierskiej z Wielką Żytomierską, wszedł z nią do jej mieszkania i ku swojemu głębokiemu zaskoczeniu otrzymał od „prostytutki w podartych pończochach” obiecaną, więcej niż hojną nagrodę.

– Może... – wydukał, patrząc na nią niespokojnie.

„Prostytutka” była niewiarygodnie piękna. Piękna, aż piekły oczy, jakby dostało się do nich ciało obce – właśnie to wprowadziło go w osłupienie, gdy zatrzymał samochód, zapominając w jednej chwili o wszystkich sprawach, zasadach bezpieczeństwa i higieny.

– Nawet o tym nie myśl! – zgasiła go bezlitośnie Katia i zatrzasnęła drzwi.

Miała dreszcze. A pod czaszką gotowało się jej jak w kuchni wypełnionej ciężkim gazem. Łuk oddzielający przedpokój od salonu był niczym rama smutnego obrazu – śladów po wczorajszej romantycznej grze wstępnej. A teraz Katia musiała od nowa zacząć rozwiązywać problem, który własnoręcznie uczyniła praktycznie nierozwiązywalnym: łysy wieprz, jeszcze niedawno gotów jeść z jej rąk, z pewnością skorzysta z pierwszej nadarzającej się okazji, by odpłacić jej za haniebne upokorzenie.

Jednak tego ranka na horyzoncie pojawił się nowy problem – nie mniej niebezpieczny, a może nawet bardziej...

Wzdychając, Katia oparła zmęczoną, obolałą głowę o framugę drzwi. Zegar ze złotą pastuszką pokazywał dwadzieścia trzy po siódmej. Czas się zbierać. O ósmej Katia zawsze była w pracy. Nie przesiadywała w domu i nie leniła się, choć kochała swoje mieszkanie – tak ładne, drogie i stylowe, pyszniące się niekobiecymi fotelami i kanapą, parkietem z czerwonego drewna, przemyconym z podupadłego dworku na Lipkach, zegarem na małej dłoni pastuszki-markizy, który chodził już trzy stulecia i nie potknął się ani na minutę. Ale kochała je właśnie jako ideał – bynajmniej nie tą przytulną, ciepłą i niewytłumaczalną miłością, jaką wywołują w ludziach ich wygodne fotele, rozczłapane kapcie i troskliwe, czułe pledy.

„Dlaczego uderzyłam Wasilija Fiodorowicza i tam pobiegłam? Co tam było? To się wydarzyło, czy...?” – Katia nie pozwoliła sobie na rozpacz.

Niechętnie spojrzała na odzyskaną książkę i list, rzucone mimochodem na stolik pod lustrem w przedpokoju. Wskazówka, a przynajmniej jakiś trop do rozwiązania, musiała znajdować się właśnie w nich!

Kartka wyrwana podczas bójki z chamską blondynką wystawała trójkątnym językiem z ust księgi, a Katia, mechanicznie ciągnąc stronę 104

za ponumerowany róg, przyłożyła ją do oczu.

„Władzą mojej ręki...” – przeczytała pośpiesznie.

I zamarła, dusząc się z przerażenia.

Jej palce, trzymające kawałek papieru, zakończone były nieprzyzwoicie długimi, zakrzywionymi paznokciami! To niemożliwe! To niemożliwe! Odwróciła wzrok od tej dziwnej, obcej ręki i przyłgnęła do lustra. Krzyknęła.

Kobieta, która patrzyła na nią z lustrzanego zwierciadła, nie była Katią. Miała szalone oczy i rozdziawione, obłąkane usta. A po jej szarych policzkach spływały czarne jak smoła, sięgające poniżej ramion włosy.

– Ooo... Nie! Nie! – zawyła.

Dobrażańska, upuściwszy kartkę, bezlitośnie porwała paznokciami czarną kopertę – jedyne miejsce na świecie, gdzie mogło się kryć wyjaśnienie!

Nie bez trudu rozszyfrowała archaiczne pismo z jego ozdobnymi zakrętami i zawijasami:

Jasne Kijowice,

mam zaszczyt zaprosić was w nocy z 6 na 7 lipca na wielki sabat ku waszej czci na pierwszej Górze Kijowa.

Niestety to, czy ta uroczystość się odbędzie, zależy wyłącznie od was. À la guerre comme à la guerre. I niestety, na sto pytań nie mogę wam udzielić ani jednej odpowiedzi.

Nic jednak nie może mnie powstrzymać przed zaproponowaniem wam spaceru o zachodzie słońca na drugiej Górze Miasta. Przyjdźcie i nie bójcie się, Wasilij nie robi wam krzywdy! On pomoże. Resztę wyjaśnień otrzymacie w wieży pierwszego domu na Wale Jarosława, jeśli będziecie dla niego uprzejme.

K. D.

Na dnie koperty było coś jeszcze i Katia, potrząsając nią gorączkowo, upuściła na podłogę trzy duże stare klucze, których główki miały kształt

uszatych kocich pyszczków. Zamarła i wpatrywała się w nie pustymi, nieruchomymi oczami.

Rozdział szósty

z którego dowiadujemy się, że
głównym atrybutem czarownicy jest
ogon

W...dźma ma przede wszystkim ogon: jest to główny znak, po którym się ją poznaje...
Bywało, że pojmano inną wiedźmę; gdy tylko zaczynała się z nią przeprawa, konieczna
w takich przypadkach, okazywało się, że nie była to w...dźma, lecz oszustka.

~ Zwyczaje, wierzenia, kuchnia i napoje Małorusinów

Zanim Masza zdążyła włożyć klucz do zamka, usłyszała niespokojne kroki
matki, która groźnie zbliżała się do drzwi wejściowych.

– Och, co mam powiedzieć mamie? – zapłakała żałośnie.

– Oby to był twój największy problem! – odpowiedziała
bezproblemowo Dasza, nie mogąc oderwać wzroku od swoich nowych,
dwucentymetrowych pazurów.

Jej zakrwawione paznokcie były wiecznie połamane i nigdy jeszcze nie
osiągnęły tej upragnionej długości. Białe warkocze, które w ciągu jednej
nocy podwoiły swoją długość, również raczej cieszyły niż przerażały
bezrobotną piosenkarkę. (Oczywiście Czub wiedziała, że jest to cholernie

dziwne zjawisko. Ale i tak nie mogła się temu dziwić, zanim nie wypła dwóch filiżanek kawy).

Masza bezskutecznie próbowała uładzić anarchię na głowie. Bojaźliwie nacisnęła na gałkę klamki i natychmiast schowała ręce za plecami, chociaż jej paznokcie z jakiegoś powodu wydłużyły się tylko trochę – nie więcej niż trzy lub cztery milimetry.

Jak można się było spodziewać, matka stała już w progu, z otwartymi ustami, w których kotłowało się sto pięćdziesiąt pytań. Ale na widok Maszy w błyszczącym patchworkowym żakiecie i z trwałą fryzurą Ałły Pugaczowej wszystkie naraz stanęły jej w gardle.

– Kim jesteście? – Kobieta zmrużyła agresywnie oczy, nerwowo grzebiąc w kieszeni szlafroka w poszukiwaniu okularów.

– To ja, mamusiu – pisnęła Masza.

– Ty?! Mój Boże, córko, co ci zrobili?

– Eee...

– Pasuje jej, prawda? – wtrąciła Czub. – Moja fryzjerka ją tak pokręciła. Bezpłatnie! – rzekła z namaszczeniem, stwierdzając doświadczonym okiem konferansjera, że „bezpłatnie” musi być dla takiej kobieciny bardzo poważnym argumentem.

– Cóż, jeśli bezpłatnie...

Matka skierowała zdezorientowane spojrzenie na Wstrząsającą Daszę, z przerażeniem przyglądała się jej rozmazanemu przez noc makijażowi scenicznemu i lśniącemu w nosie kolczykowi. Miała wyraźną ochotę zapytać: „A kto to jest?”, ale dzielnie się powstrzymała, choć Masza podejrzewała, że jej wytrwałość nie potrwa długo. Kult gościnności jej matki nigdy jeszcze nie przeszedł takiej próby wytrzymałości. Rodzice Maszy lubili przyjmować gości, ale byli to ich zaproszeni i „oczekiwani” goście, podczas gdy Masza w swoim dwudziestodwuletnim życiorysie

nigdy nie przyprowadziła do domu przyjaciółek, a tym bardziej kogoś takiego.

– Gdzie byliście? – Mama przypomniała sobie główne pytanie minionej nocy.

Masza spojrzała na nią żałośnie.

– Na imprezie. – Dasza pomogła jej błyskawicznie. – Wie pani, była świetna zabawa! Skończyła się dopiero pół godziny temu.

– W pizamie? – zapytała zdumiona matka.

– Ach, to... – uśmiechnęła się Dasza. – Proszę sobie wyobrazić, że Maszka poszła w pizamie, bo się założyła. Wszyscy myśleliśmy, że przegra, a tu proszę!

– Po mieście? Na rowerze? – Tyle matka zdołała powiedzieć, gdy bezradnie próbowała sobie wyobrazić swoją tchórzliwą córkę jako hazardzistkę.

– To niedaleko stąd... – Dasza machnęła bezmyślnie w prawo.

– A dlaczego nie zadzwoniłaś? – Matka podjęła ostatnią próbę zrozumienia, co się dzieje.

– Oj. – Dasza Czub pokręciła głową. – Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo się martwiła! Nie wiedziała, że telefon został zablokowany z powodu zaległych rachunków. A ja, jak na złość, zostawiłam telefon komórkowy w pracy – lamentowała, dyskretnie kopiąc Maszę.

– Mamo, pozwól, że ci przedstawię. To jest... – Masza próbowała z opóźnieniem przedstawić swoją gadatliwą towarzyszkę i oniemiała, gdy przypomniała sobie, że z głupoty zapomniała zapytać blondynkę o imię.

– Jestem Dasza. Dasza Czub – ogłosiła z radością Dasza. – Ukończyłam Kijowski Instytut Muzyki im. Gliera. Jestem piosenkarką estradową!

– Tak? – Matka zmieszała się.

– A to jest moja mama, Anna Mikołajewna – zakończyła ceremonię przedstawiania córka i korzystając z ogólnego zamieszania, grzecznie szturchnęła nowo poznaną koleżankę: – Tędy, Daszo, prosto i w prawo.

Po odprowadzeniu absolwentki Glieria do swojego prywatnego pokoju Masza szybko i po żołniersku przebrała się za drzwiami szafy. Zmieniwszy piżamę na workowate džinsy i koszulę ojca, pomknęła do kuchni po niezbędną kofeinę.

Miała szczęście: czajnik dopiero co się zagotował, co znacznie skróciło czas jej natychmiastowego drugiego przesłuchania – tym razem z pretensjami.

– Kim jest ta dziewczyna? – zapytała głośno matka, tak żeby jej pytanie dotarło do sypialni córki, gdzie ta... ta! (Matka wciąż nie była zdecydowana co do drugiego słowa).

– Moja znajoma. – Masza pospiesznie wyjęła filiżanki, obficie posypała ich dna granulkami kawy rozpuszczalnej i zalała je wrzątkiem.

– Od dawna ją znasz?

– Nie do końca. – Znajomość trwająca krócej niż dwadzieścia cztery godziny pasuje do tego abstrakcyjnego określenia.

Matka zbliżyła się do Maszy i zagroziła jej drogę do cukiernicy.

– Kto jeszcze był na tej imprezie? Dużo ludzi? – pytała z naciskiem.

– Nieee... – Masza mocno wątpiła, by noc, którą spędziła, leżąc jak trup na schodach muzeum historycznego, można nazwać imprezą, a tym bardziej fajną.

– Byli jacyś chłopcy? – zastanawiała się mama.

– Nie – odpowiedziała z ulgą córka, bo tym razem mówiła prawdę. – Same dziewczyny!

Masza mocno wygięła się w łuk i jednak zdołała dosięgnąć pękniętego fajansowego grzybka z kapeluszem w czerwone grochy. Gdy pośpiesznie

wrzucała dwie łyżeczki cukru do ciemnej cieczy, przypomniała sobie, że Dasza poprosiła o gorzką kawę.

– Czy to był wieczór paniński? – drążyła rozczarowana mama. – Co tam robiłyście? – W jej głosie wybrzmiała podejrzliwość. – I dlaczego, u licha, przyprowadziłaś ją do nas? Żeby nas objadła?! To jest kawa ojca! Nie zarobiłaś na to ani grosza! Jesteś na naszym utrzymaniu! Rozumiesz?

Trzymając pełne filiżanki, przestraszona Masza tyłem otworzyła drzwi i milcząco wycofała się z pola bitwy, by wpaść z deszczu pod rynnę.

– Chyba sobie żartujesz! – przywitała ją burcząca Dasza Czub. – Rodziców nie umiesz sobie wychować! Nie wolno ich tak rozpuszczać! Nie masz trzynastu lat, żeby tłumaczyć się z każdego wyjścia. W ogóle nie potrafisz ściemniać... A stan twojej kosmetyczki jest żaloszny!

Dasza siedziała na krześle przy parapecie, wpatrywała się w stare, porysowane lustro na metalowym stojaku i pracowicie ścierała resztki makijażu watą i kremem dla dzieci Maszy.

– I co, chcesz mi powiedzieć, że smarujesz swoje nieszczęsne lico tym tłustym kłajstrem? – skarciła ją z oburzeniem.

– Tak.

– Masakra! – Blondynka o gogolowskim nazwisku rzuciła jeszcze jedno niezadowolone spojrzenie na swoją twarz. Na lewej kości policzkowej zaczynał się pojawiać duży i haniebny siniak, zrobiony przez tę sukę. Osunęła się na dywan przy łóżku Maszy, składając nogi po turecku.

Po chwili zawahania Masza przyłączyła się do niej i ostrożnie postawiła filiżanki na podłodze między nimi. Dasza niecierpliwie wzięła duży łyk kawy.

– Przepraszam, dodałam cu... – mruknęła Masza.

– Nie szkodzi, słodką też lubię. Masz jakichś przyjaciół?

– Nie.

– Niedobrze – skwitowała Czub. – To wszystko dlatego, że jesteś tak zestresowana i stłamszona. Chociaż... – Zamyśliła się, wykrzywiając dolną wargę. – W sumie ja też nie mam żadnych koleżanek. Rozumiesz, takich prawdziwych. Wiesz dlaczego?

– Prawdopodobnie dlatego – odpowiedziała Masza, jakby z góry przepraszając za każde wypowiedziane słowo – że jesteś bardzo żywiołowa i gwałtowna. I wesoła. Dla ciebie życie jest jak wielki, wielki kosz zabawek. A przyjaciele oczekują, że ich problemy potraktuje się poważnie.

Dasza zamarła z filiżanką przy ustach i popatrzyła na nią, zszokowana zarówno psychologicznym podsumowaniem Maszy, jak i faktem, że w ogóle mówiła tak długo i wyraźnie.

– Czyli jestem niepoważna? – spytała z urazą.

– Nie – zaczęła ją uspokajać „psycholożka”. – Działasz bardzo, bardzo szybko i nie masz czasu, żeby się zatrzymać i pomyśleć. Od razu zaczęłaś się kłócić z tą kobietą, a mogłaś powiedzieć...

– Dlaczego sama jej nie powiedziałaś? – warknęła Dasza Czub.

Masza spuściła oczy i przygasła.

– Dobra, zostawmy to.

Zawstydzona tak łatwym zwycięstwem Dasza odstawiła pustą filiżankę. By zająć swoje nieposkromione ręce, podniosła z nocnego stolika jakąś książkę owiniętą gazetą.

– Może w pewnym sensie masz rację co do mnie... Ale ta kobieta, uwierz mi, jest suką i ścierwem jakich mało!

– Jest piękna – odparła cicho Masza.

– Tak – parsknęła z niechęcią Czub. – Jak tygrys! Kiedy patrzysz na niego w klatce, to myślisz: „Jaki piękny”. A kiedy stajesz z nim twarzą w twarz, jedyne, o czym możesz myśleć, to czy twoja broń jest naładowana... O! A kto to?

Masza zdrętwiała. Zdjęcie, które Dasza przypadkowo wyłowiła z *Mistrza i Małgorzaty*, przedstawiało jej grupę. Masza stała w drugim rzędzie, obok Mira, i chociaż on obejmował inną dziewczynę (tę po lewej), jakoś w przypływie romantycznej zadumy Kowalowa obrysowała ich twarze – swoją i Mira Krasawickiego – wymownym czerwonym serduszkiem.

– To twój chłopak? – Dasza była zachwycona, a jej twarz natychmiast przybrała rozbawiony, wyrozumiały wyraz.

– Niee – wymamrotała Masza, rozpaczliwie zasłaniając oczy. – Po prostu kolega z roku.

– No tak. – Blondynka zgasiła temat. – A ty w ogóle się z kimś spotykasz? Co, nie masz nikogo? Może nadal jesteś... dziewicą? Dziewica?! – krzyknęła przerażona Czub. – Co ty robisz? To nie jest zdrowe! W twoim wieku należy cały czas sypiać z mężczyznami, inaczej...

Masza popatrzyła na nią tak, jakby Czub nagle wsunęła rękę pod jej spódnicę z zamiarem brutalnego gwałtu.

– No dobra – zawstydziła się Wstrząsająca. – Powiedz mi, Marusiu: czego szukałaś wczoraj w nocy w muzeum?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Masza (nie miała jeszcze czasu się nad tym zastanowić). – Zasnęłam na łóżku tutaj, a obudziłam się tam – wyjaśniła, zachwycona zmianą tematu.

– Jasne – rzekła piosenkarka, choć nie było w tym absolutnie nic jasnego. – A ja rzuciłam się ze sceny w klubie i pomknęłam, jakby mnie ktoś ciągnął... Co o tym wszystkim sądzisz? Jakies teorie? – zapytała z powątpiewaniem.

Masza energicznie skinęła głową i odstawiła nietkniętą filiżankę na stolik nocny.

– Nie pijesz? – ożywiła się Dasza, sięgając po drugą dawkę kofeiny.

Masza energicznie pokręciła głową.

– Myślę, że... – zaczęła odważnie.

I zatrzymała się.

Nie wiedziała, czy może powiedzieć pocziwiej blondynce PRAWDĘ.

Ale czy miała prawo jej o tym nie powiedzieć?

– Myślę, że ta kobieta w Centrum... Czarów była wiedźmą! – rzuciła głosem drżącym z podniecenia i cofnęła się, czekając na odpowiedź.

Blondynka spojrzała na nią smutno zza filizanki.

– Ty naprawdę wierzysz w wiedźmy? – zapytała wreszcie z niedowierzaniem i zirytowana podrapała się po czubku nosa. Nie chciała urazić tej dziewczyny: mimo całej walizki skompresowanych kompleksów Masza nie wydawała się Daszy taka zła.

– Zrozum, że jeśli czarownice nie istnieją, to wszystko, co nam się przytrafiło, można wytłumaczyć jedynie zbiorową utratą zmysłów! – oświadczyła z przekonaniem Masza.

– To też jest opcja – zgodziła się blondynka.

Co dziwne, to właśnie ta kategoryczność Maszy stała się inspiracją dla kilkunastu wersji pobocznych, które wcześniej jakoś nie przyszły jej do głowy!

– Rzecz w tym, że potrafię odróżnić halucynacje od rzeczywistości – powiedziała Dasza.

– Widzisz!

– Nie, to ty zobacz. – Dziewczyna z uśmiechem wysunęła mocną, pulchną dłoń i podziwiając mimochodem swoje piękne paznokcie, demonstracyjnie wygięła kciuk. – Przede wszystkim cioteczka, która, jak się wydaje, umarła na naszych oczach, mogła być naćpana lub chora. Albo, co bardziej prawdopodobne, zagrała ten spektakl celowo. A ja nie jestem lekarzem, więc mogłam nie wyczuć pulsu na jej szyi. Prawda?

- Nie – zaprzeczyła Masza. – Czołgała się po suficie!
- Sztuczka cyrkowa! Może ukryto tam coś, co ją podtrzymywało.
- A dźwięki?
- Magnetofon.
- A wiatr?
- Wiatrak. Jeden taki mamy za kulisami. Są też maszyny do robienia deszczu i śniegu.
- A fakt, że nocą przybiegłyśmy na górę?
- Hipnoza – skomentowała natychmiast Dasza, w końcu wczuwając się w klimat rozgrywki. – Hipnoza jest metodą potwierdzoną naukowo! Byłaś kiedyś na sesjach Kaszpirowskiego? Ja byłam. Ludzie tam padają jak kłody. A ta babeczka to też może jakaś Kaszpirowska. – Z zadowoleniem zagięła palec wskazujący i pomachała trzema pozostałymi.
- A płomienie, w których stanęła, też da się wytłumaczyć? – mruknęła już nie tak pewnie Masza.
- Spokojnie! To efekt specjalny! Widziałaś kiedyś film w telewizji? Ludzie biegają w płomieniach, wszystko się pali, wybucha. A w rzeczywistości te eksplozje są jak płomienie bengalskie, nic strasznego. – Dasza z dumą zagięła palec serdeczny. – No, co jeszcze mamy?
- Mamy też książkę, która spadła nam prosto z nieba!
- Po pierwsze książki już nie mamy, ta suka nam ją zajebała! A po drugie, to znaczy już po czwarte, zapomnij o niebie. Ktoś zrzucił ją z tyłu, ze schodów muzeum, kiedy my gapiłyśmy się na tę kobietę. Książka jeb, baby gieb, i ot cały sekret. Jakiś cholerny Copperfield! – Dasza wykonała malowniczy gest ręką, z której teraz pogardliwie wystawał jeden mały palec.

– Ale urosły nam paznokcie i włosy – przypomniała pro forma skwaszona Masza. Wiedziała, że jej wszechwiedząca towarzyszka będzie miała jakieś wytłumaczenie także na to.

– Bez urazy, Marusiu – wycedziła czule Dasza – ale w całym Kijowie jesteś chyba jedyną osobą, która nie wie, że można zrobić sobie włosy i paznokcie. – W milczeniu zacisnęła wymownie pięść, na której skończyły się palce.

– Naprawdę? A jak? – Masza zdumiała się prostodusznie.

– Długo by wyjaśniać. A tak na marginesie...

Dasza skoczyła z powrotem do okrągłego lustra i pochyliła się, próbując znaleźć na głowie symptomatyczny warkoczyk, który miałby utrzymywać narosłe pukle. Chociaż ten akurat pomysł był bardzo mglisty: co za idiota chciałby rozplatać i ponownie zaplatać sto warkoczy, żeby dodać im trzydzieści centymetrów?

Nie znajdując śladów interwencji fryzjerskiej, Czub doskoczyła do Maszy i bezceremonialnie obmacała jej okazałą czuprynę.

– Dziwne – podsumowała zaskoczona. – Ale może to jakaś nowa technologia.

– Ale po co? – spytała smutno Masza. – Po co ktoś miałby to wszystko robić?

– Dobre pytanie! – Blondynka znacząco skinęła głową. – Ale to, że nie znamy na nie odpowiedzi, nie oznacza, że ona nie istnieje.

– Logiczne – zgodziła się Kowalowa, która zawsze kłaniała się przed logiką.

– Więc przeanalizujmy to logicznie – rzekła Dasza. – Nasza trójka trafiła do tego gabinetu zupełnie przypadkowo. Tak więc spektakl był przeznaczony dla jednej osoby. Logiczne?

– Tak. – Masza przytaknęła na swoje ulubione słowo.

– Tylko dla kogo? Komu ty możesz być potrzebna, Marusiu? I co ja tu robię, oprócz analiz? A ta suka jest bogata. Volvo, szofer, brylanty i bardzo droga bielizna, którą miała na sobie. Widać było, że nie jest żoną bogacza, sama siedzi w biznesie. Może ktoś chce jej odebrać fabrykę lub sklep i dlatego doprowadza ją do szaleństwa. Nic nie wiesz o tym świecie, prawda?

Masza westchnęła.

– Ja też – zapewniła ją Dasza. – Ale na sto procent to nie nasz problem, tylko jej. Dokładnie! – potwierdziła, jakby całkowicie uspokojona swoim analitycznym wnioskiem.

Masza natomiast była gotowa zalać się łzami z powodu tak racjonalnego wyjaśnienia wydarzeń. Niesamowity cud, który przydarzył się jej po raz pierwszy w życiu, nagle rozpląnął się bez śladu...

– Noo, nie łam się – rzekła uprzejmie Dasza, widząc opadający czubek głowy swojej kumpeli od przygód. – Ty naprawdę uwierzyłaś, że zostałyśmy wiedźmami? Dlaczego? No, powiedz mi. – Ostrożnie dotknęła ramienia Maszy. – Naprawdę chcę wiedzieć! W końcu – rzekła, poddając się ostatecznie, i popatrzyła z politowaniem na strapiiony nos Maszy – musimy rozważyć wszystkie opcje.

– Czytałam... – mruknęła zrezygnowana Masza.

– Co? – zachęciła ją Dasza, z całych sił udając wielkie zainteresowanie.

– Czytałam, że czarownica, kiedy umiera, nie może zabrać ze sobą swojej mocy. Będzie wiła się w straszliwych męczarniach, dopóki nie przekaże jej swojemu uczniowi. Jeśli to jest... powiedzmy... tak... to wszystko się ze sobą łączy! Przecież kiedy weszliśmy do gabinetu, Kyłyna była wyraźnie umierająca. Nie miała innego wyboru. Sama to powiedziała: „Musiałam oddać swoją moc wam!”.

– A potem wszystkie jednocześnie stałyśmy się wiedźmami? Ty, ja i ta suka? – zapytała już na serio zainteresowana Dasza Czub.

Jeszcze raz przyjrzała się swoim wspaniałym paznokciom i odetchnęła z ulgą:

– Byłoby fajnie! Szkoda, że tak się nie dzieje! Czarownice to tylko przesady...

– Wszystkie ludowe przesady – rzekła protekcyjnie przesądna Masza, ośmielona uwagą swojej małej publiczności – mają realne podstawy. Na przykład w baśniach wszystkich ludów świata występuje tak zwany smok lub żmij. Wszystko to są echa naszej pradawnej pamięci o dinozaurach!

– Dobra, dobra – zgodziła się niespodziewanie Czub. – Załóżmy, że jesteśmy wiedźmami. Jak mamy sprawdzić, czy to prawda? Wiedźmy mają jakieś cechy szczególne? Wiesz o nich coś więcej?

Masza radośnie podbiegła do swojego biurka.

– Na przykład u Czuba... A tak przy okazji – zaczęła – to przypadkiem nie jakiś twój krewny?

– Daj mi to! – Dasza nagle się zdenerwowała, wyrywając z rąk Maszy sfatygowaną książeczkę, na której okładce widniała rozchełstana młoda kobieta z okazałym, tradycyjnym naszyjnikiem na piersi. – Słuchaj, to naprawdę jest mój krewny, tak myślę. A. A., Andriej Andriejewicz, był profesorem! Tyle że on zmarł dawno temu. A jego książek nie ma w domu. Był tatą mojego taty, a jego rodzice dawno się rozeszli... No to witaj, dziadku! Znów się spotykamy. – Pozdrowiła swojego przodka.

Po uprzejmym uczczeniu chwilą ciszy pamięci dziadka Daszy, Masza wyrwała książkę i otworzyła ją na zakładce.

– „Główną cechą wiedźmy” – czytała z patosem – „jest ogon”!

– Że co?

– Mały, mięsisty wyrostek z tyłu.

– Aa... – Czub mimowolnie dotknęła się w miejscu pod plecami.

Nagle zaczęła nerwowo macać się po tyłku.

– Maszko, bądź przyjaciółką, zobacz! – krzyknęła z przerażeniem. – Co ja tam mam w majtkach? O matko, tylko nie to! Tylko nie ogon...

Oświecicielka podczołgała się do niej i ściągając z zakłopotaniem majtki Daszy, dokładnie obejrzała różową, zaokrągloną i posłusznie wypiętą część jej ciała.

– To pryszcz – oznajmiła, rumieniąc się jak chersoński pomidor na myśl o tym niecodziennym, intymnym zabiegu. – Prawdopodobnie się przeziębiałaś. Przecież spałyśmy na ziemi.



Odkleiwszy się od dziurki od klucza, matka Maszy ruszyła dumnie korytarzem, ani przez chwilę nie wątpiąc, że nie miała zamiaru podglądać – po prostu przechodziła obok i instynktownie zareagowała na podejrzenie głośny krzyk.

Gdy Anna Mikołajewna przekroczyła próg kuchni, z podekscytowaniem tupnęła w miejscu. Mąż wrócił do domu o piątej rano, był zmęczony i zmartwiony. Wstał dziesięć minut temu, zapytał ochryple: „Masza w domu?”, „Gdzie była?”, „Z koleżankami z roku?” i otrzymawszy w odpowiedzi: „Tak”, „Mówi, że na imprezie”, „Nie”, przerwał jej dalsze wynurzenia na temat pizamy założonej z powodu zakładu i zaginionego roweru nerwowym: „Bądź cicho, na litość boską!”. A teraz wpatrywał się ponuro i milcząco w czarno-biały ekran telewizora, czekając na wiadomości i popijając kawę z osobistego kubka z napisem „Wołodia”.

Brał łyk i znów zaciskał zęby, jakby w ustach miał jakiś lepki, ciężki gniew, którego w żaden sposób nie mógł przepić.

Matka wiedziała, że kiedy jest w takim nastroju, lepiej go nie dotykać. Ale...

– Nie, musisz mnie posłuchać! – huknęła nagle, wynagradzając sobie dziesięć minut upokarzającej cierpliwości. – To twoja córka! Wiesz, kogo przyprowadziła do domu? Kawał prostytutki! Pióra jak u Papuaski! Kolczyk w nosie! Stanik zamiast bluzki! I jeszcze mówi do mnie: „Jestem piosenkarką!” – przedrzeźniła Daszę Czub w sposób piskliwy i nieprzyjemny dla ucha. – A Masza w jej towarzystwie nie jest sobą. Kudłata i ubrana w nie wiadomo co. Na imprezie były same dziewczyny! Nie od razu to pojęłam... Ale to jest to! – Matka zniżyła głos do panicznego szeptu. – Nasza Maszka jest lesbijką! Słyszysz, ojcze? Dlatego nie miała mężczyzn. A kiedy zdjęli jej wieniec, to się zaczęło... Panie, dlaczego nas doświadczasz? Może trzeba jej znowu go nałożyć?

– Odejdź ode mnie, Aniu. – Włodzimierz Siergiejewicz opędził się od niej. – Co ty opowiadasz? Nie da się tego słuchać.

– Wiem, co mówię! – krzyknęła gniewnie matka. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co one tam robią, w jej pokoju? Zaglądają sobie wzajemnie pod spódnice i do majtek!

– Znowu ją szpiegowałeś! – zezłościł się Siergieicz. – Zostaw wreszcie dziewczynę w spokoju! Nękałeś ją przez całe jej życie. Skończyła szkołę z wyróżnieniem, planuje doktorat, a tobie nic nie pasuje.

– Oczywiście – jęknęła kobieta. – Jest twoją ulubienicą. Lepiej zapytaj ją, co zrobiła z rowerem. Jestem pewna, że ta koćpiergała namówiła ją do wynoszenia rzeczy z domu.

– Zamkniesz się w końcu, czy nie? – Ojciec z głośnym trzaskiem uderzył dłonią w stół i podniósł się, groźnie wyprostował. – Przyprowadź ją

tutaj! Sam z nią porozmawiam! I tak trzeba będzie...

Nie dokończył zdania. Anna Mikołajewna spojrzała na niego surowo i próbowała ustalić, który z jej argumentów wywarł na nim pożądany efekt.

– Tylko nie za surowo – powiedziała niepewnie, na wszelki wypadek. – Tylko nie paskiem.

Udręczony Włodzimierz Siergiejewicz skrzywił się.

Starszy syn Dmitrij czasami dostawał w skórę, ale Maszy nigdy w życiu nie tknął palcem. Dobre, posłuszne, pracowite dziecko – do rany przyłóż.

– Zostaw nas – warknął kategorycznie, gdy kilka minut później żona przyprowadziła do niego zrozpaczoną córkę. Masza zamrugła przestraszona: ich korytarz w chruszczowce był krótki, ale matka zdążyła nastraszyć ją gniewem ojca.

– Słuchaj – rzekł ojciec i wykonał ostrzegawczy gest ręką w kierunku żony. Chwycił Maszę za opadnięte przedramię i wyprowadził na balkon, z dala od wszechobecnych uszu matki. – Ty, Mruczku, nie przejmuj się zbytnio matką. Znasz ją przecież: wszystko wie najlepiej. Sama coś wymyśli, sama napędzi sobie strachu. Jesteś już dorosła, musisz wyjść z domu i dobrze się bawić. W młodości raz sam dla zakładu skoczyłem z mostu na wyspę Truchanów... Wyobrażasz sobie? – Włodzimierz Siergiejewicz mówił o tym szybko i zdawkowo, jak o czymś nieistotnym i niepoważnym. I nagle zapytał: – Powiedz mi, Mruczku, przyjaźnisz się z innymi studentami?

– Nie. – Córka pokręciła przecząco głową, dziwiąc się tak dziecinnemu pytaniu.

– W ogóle?

– Nie, z nikim się nie przyjaźnię – potwierdziła.

– A te dziewczyny, z którymi byłaś wczoraj, kim są?

– Dasza jest piosenkarką, śpiewa w klubie nocnym. A ta druga... – Masza powtórzyła opis pięknej brunetki, który podała jej Dasza – prowadzi biznes. I tak naprawdę to już nie jest dziewczyna, ma pewnie około trzydziestki.

– Cóż, doborowe towarzystwo – rzekł tata, a w jego słowach wybrzmiała niewytłumaczalna ulga. Uśmiechnął się niezręcznie i niezbyt przekonująco, po czym odezwał się ponownie. Widać było, że trudno mu dobrać słowa: – Czy słyszałaś kiedyś, córciu, żeby ktoś w twojej grupie lub w instytucie mówił o kopaczach? Wiesz, o tych, co chodzą do podziemnych jaskiń.

– Nie, nigdy. – Próbowала sobie przypomnieć, bezskutecznie.

– Czy znasz Margaritę Bojec?

– Oczywiście, jest ze mną w grupie. A co, Rita chodzi po jaskiniach? – Bazując na tej niewielkiej wiedzy, jaką Masza miała o pięknej Ricie, można było sądzić, że interesowały ją jedynie ostre zwroty mody, bogaci zalotnicy i nocne kluby. Masza nie mogła sobie wyobrazić Margarity Bojec w kokieteryjnych sandałkach z malinowymi kwiatami, schodzącej do jakiejś brudnej kijowskiej jaskini. – Wątpliwe. – Pokręciła z niedowierzaniem swoimi nowo nabytymi lokami.

– Byłaś z nią blisko, Mruczku?

Ojciec patrzył na córkę przenikliwie, jakby jej nie wierzył lub wahał się, czy powiedzieć coś ważnego, co nie jest jeszcze przeznaczone dla starszych dzieci w wieku studenckim.

– Nie, nigdy nie rozmawialiśmy – przyznała z zakłopotaniem Masza. – A co?

– No dobrze, Mruczku, i tak się dowiesz. – Tata westchnął ponuro. – Dziś wieczorem znaleźliśmy twoją koleżankę z grupy w cerkwi św. Cyryla.

Martwą. Znalaziono też jej torebkę z legitymacją studencką, dzięki niej została zidentyfikowana.

– Ale jak to? – Kowalowa wybuchła. – Rita?

– Ktoś ją zabił – rzekł ciężko ojciec. – To ci przekłęci kopacze-sataniści. Jeszcze ich dopadnę! Zabiję drani! – Uderzył nienawistnie pięścią w balustradę balkonu, która drżała wyraźnie pod jego ciężką dłonią. – I pamiętaj, córciu, jeśli usłyszysz coś o nich w instytucie, powiedz mi natychmiast! A jeśli ktoś, na przykład twój Krasawicki, każe ci iść do podziemnych przejść, to tym bardziej. Rozumiesz?! Nigdy, przenigdy nie idź do cerkwi św. Cyryla!

I wtedy twarz Maszy wykrzywiła się i zalała łzami.

Nie знаła dobrze Rity i nigdy jej nie lubiła, ale znała ją jako żywą. Śmierć do tej pory litościwie omijała Maszę. Wszyscy jej krewni, w tym, dzięki Bogu, obie babcie, żyli i mieli się dobrze. A teraz, wyczerpana i wzburzona nie do końca przyjemnymi wydarzeniami, zmęczona nocnym czuwaniem pod gołym niebem, przybita jednoznacznym stwierdzeniem Daszy: „Jeśli nie mamy ogona, to przykro mi, ale nie jesteśmy wiedźmami”, na które nie miała odpowiedzi, Masza była zupełnie bezbronna i nieprzygotowana. Zapłakała głośno, zaciskając pięściami oczy i policzki, nad tym wszystkim, na co nie przygotowało jej życie, przewidywalne, nudne i ciche jak wielokrotnie obejrzany film, w którym możesz mówić kwestie za aktorów.

Tata próbował pogłaskać ją po głowie, ale zawstydzona Masza uchyliła się przed jego dłonią i uciekła, zakrywając obiema rękami usta, które wybuchły żalonym płaczem.

Włodzimierz Siergiejewicz wrócił do kuchni i zaciekle kopnął niewinny stół, klnąc głośno.

– Nie, nie, Wowa, przestań! – zawołała matka, wbiegając i gorączkowo chwytając rękaw jego domowej koszuli. – Ona i tak już zalewa się łzami... Zlituj się nad nią, ojczy! Lepiej, żeby Masza była lesbijką niż starą panną!

Z dziennika N

Zastanawialiście się kiedyś, czy jesteście zdolni do zabijania?

Wiem, że sami sobie odpowiedzieliście na to pytanie: „W obronie własnego życia, życia swoich dzieci i rodziców...”. Ale wasze „tak” z zastrzeżeniem oznacza jedno: nie różnicie się niczym od zwierząt. Nawet drapieżniki nie zabijają niepotrzebnie. Chronią życie swoje i swoich dzieci. Chcą tylko zaspokoić głód...

A jedyna różnica między wami a nimi polega na tym, że na wasz podstawowy instynkt samozachowawczy nałożono tysiące tabu. Naturalność zabijania jest zakuta w kajdany prawa, moralności i religii, a nawet psychiki gwałconej od dzieciństwa przez niezmiennie: „Nie wolno!”.

Ale potrzeba zabijania istnieje w każdym z nas.

„Zabiję go!” – krzyczymy bezradnie w gniewie. A dziesiątki niespełnionych morderstw trawią nasze żołądki nerwowymi wrzodami. Każde samobójstwo jest niezaspokojonym morderstwem. Bo zabijamy samych siebie, nie mogąc zniszczyć drugiego...

Rozdział siódmy

w którym Katia robi się grzeczna

Czy nie tam właśnie chciał się dostać Hitler? I dlaczego we wrześniu 1941 roku odwiedził nas Führer SS Heinrich Himmler, spadkobierca wiedzy tajemnej i rycerskich orderów? Jego wizyty zawsze służyły raczej celom okultystycznym niż militarnym.

~ D. Wowk, A. Stieklów, *Niektóre tajemnice Kijowa*

Trzymając pod pachą tobołek z książką, Katia, szara i skupiona, z zaciśniętymi ustami, pojawiła się w drzwiach sklepu z antykami „Modern” na ulicy Wielkiej Wasilkowskiej.

– Katerino Michajłowna – rzekł dyrektor, który czekał już na nią przy wejściu na masywnej, secesyjnej kanapie, stałym i niesprzedawalnym symbolu ich salonu. – Dawno pani tu nie było! Po pani telefonie wszystko odłożyłem na później. Jest pani naszym najdroższym i najcenniejszym klientem.

Dyrektor miał siwe włosy i młodzieńczo napięte policzki. Podobał się kobietom.

– Chcę panu coś pokazać – odparła przerażona „najdroższa i najcenniejsza”.

– Zapraszam, proszę dalej – powiedział, uprzejmie kierując ją do swojego gabinetu. – Kawy? Herbaty? Może zechce się pani napić soku?

Staroświeckie fragmenty jego wypowiedzi, specyficzne dla obecnej „klasy kupieckiej”, która już spieszyła stać się arystokracją, były gwarantowanym sposobem naliczenia dodatkowych dziesięciu procent za „wspaniałą aurę miejsca”. Ale „najdroższa” nie zechciała mu odpowiedzieć.

W skupieniu położyła na stole dyrektora ogromny tobołek, pomachała w jego kierunku swoimi sobolowymi brwiami i lakonicznie poinformowała o celu swojej wizyty.

– Pan, panie Wiktorze Arnoldowiczu, jest profesjonalistą najwyższej klasy. Co może mi pan powiedzieć o tej rzeczy?

Dyrektor skinął głową ze zrozumieniem i zaczął ostrożnie rozbierać tajemniczy przedmiot z ceratowego pokrowca.

– Widzę, że zmieniała pani fryzurę. – Arnoldowicz próbował rozluźnić atmosferę. Jednak klientka nadal milczała, a jej twarz nabrała jeszcze cięższego wyrazu.

Jej długie czarne kosmyki były gładko zaczesane do tyłu i ściągnięte gumką: Katia nie znosiła, gdy włosy przeszkadzały jej w pracy i wchodziły na twarz. Ale aktualnie miała szczególny powód, by podwójnie ich nienawidzić.

Teraz rozumiała, co ją drażniło od chwili, gdy obudziła się przy schodach muzeum w zohydzonej bieliźnie i potarganych koronkowych pończochach. A w jej rozgrzanej głowie nagle pojawiła się myśl o środkach przeciwgorączkowych i kojącej, miękkiej kołderce. Jest chora, bezsprzecznie chora i wyczerpana do granic możliwości! Musiała położyć się w łóżku, zamknąć oczy, wyłączyć telefon. I wszystko by zniknęło...

Ale to nie zniknie, prawda?

Jej włosy były prawdziwe. I jej paznokcie, i szalona noc, i książka, i list, i ten, kto go przysłał tresowanym ptakiem.

Jednak gdy tylko przeczytała wiadomość, przerażające poczucie nierealności wydarzeń zniknęło jak mętny nonsens.

„Nie bój się, Wasilij nie zrobi ci krzywdy! On pomoże” – ta dość pragmatyczna obietnica uspokojenia rozgniewanego Wasilija Fiodorowicza w nagrodę za udział w szalonym nocnym sabacie natychmiast przywróciła jej przytomność.

Cóż... Mężczyźni ciągle zakochiwali się w Katii, a gdyby urodziła się w czasach inkwizycji, spaliliby ją na stosie jako pierwszą tylko dlatego, że gdy na nią patrzyli, zachowywali się, jakby wypili dwadzieścia litrów wódki i przez lata nie mogli wytrzeźwieć. A teraz jeden z nich, który pewnie naoglądał się za dużo amerykańskiej *Gry*, oferował jej swojego penisa i serce w ten piekielnie szykowny sposób – ktoś, kto uważa się za boga i diabła w jednej osobie, na tyle silny i zamożny, by trzasnąć łysego wieprza jednym palcem i rozegrać tak misterną grę na szachownicy.

I dlatego był niebezpieczny!

Tak jak każdy szaleniec opętany własną bezkarnością.

„Cholera jasna, pewnie wstrzyknęli mi tam jakiś hormon na porost włosów! Prawdopodobnie szkodliwy i zakazany, w przeciwnym razie już dawno stosowano by go we wszystkich salonach. To jakiś wariat... Pewnie nawet go nie znam”.

W drodze tutaj Katia próbowała sobie przypomnieć wszystkich wysoko postawionych K. i D., ale nie przychodził jej do głowy nikt, kto pasowałby do tego profilu psychologicznego.

Miała jeszcze czas do siódmego. Nie zamierzała też poddawać się i wlec do czyjś mieszkania w centrum, aby uzyskać wyjaśnienia w zamian za swoją kobiecą „uprzejmość wobec niego”. Wobec „niego” – to znaczy trzeciego mężczyzny!

„Czy oni planują puścić mnie w obieg?”

Gra, w którą została wciągnięta wbrew swojej woli, była cholernie śliska i bezwzględna. Na wojnie jak to na wojnie. Nie można było jej oszczędzić.

„Doigrałaś się, głupia!”

Katia kurczowo ścisnęła prawe przedramię, krzywiąc się na nieprzyjemne wspomnienia. Dyrektor, na którego mimowolnie przeszło zdenerwowanie klientki, zawzięcie badał książkę w ciemnej skórzanej oprawie.

– Chcę wiedzieć wszystko o tej rzeczy! – oznajmiła zdecydowanie Katia. – W jakim warsztacie mógł powstać ten falsyfikat? Kto jest najbardziej prawdopodobnym wykonawcą? Czy można go odnaleźć? Podejrzewam, że zamówienie zostało złożone całkiem niedawno.

Ekspert spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Ależ Katerino Michajłowna – powiedział zakłopotany – to nie jest podróbka. Książka jest bardzo, bardzo stara. To cud, że zachowała się w tak wspaniałym stanie. Wygląda na średniowiecze. A może to...

– Czy pan ze mnie kpi? Ta książka jest napisana współczesnym językiem, bez żadnych znaków twardych! To nawet nie jest przedrewolucyjne. – Katerina skarciła go z pogardą.

Ale dyrektor, który zgodnie z logiką powinien się zawstydzić przez niedopuszczalną wpadkę zawodową, spojrział na nią jakoś tak z powątpiewaniem i próbując przywołać kwaśny uśmiech na twarzy, cicho i żartobliwie przekonywał:

– Najdroższa Katerino Michajłowna, myli się pani. Książka jest napisana w języku staroruskim, i to ręcznie.

– Ale przecież ja sama ją czytałam! – Głupi upór dyrektora rozwścieczył Katerinę. Z oburzeniem podniosła się z krzesła, podeszła do

biurka i chcąc raz na zawsze zakończyć to patowe nieporozumienie, z wrogością szturchnęła palcem pierwszą stronę, jaką znalazła:

– „Pamiętaj, Jasna Kijowico, że masz prawo decydować...”

Uśmiech Wiktora Arnoldowicza impulsywnie drgnął i zgasł.

Nerwowo popatrzył na tekst, wykrzywił usta i w szoku położył rękę na piersi.

– To niemożliwe – powiedział sfrustrowany. – Albo sobie ze mnie żartujesz, albo... – Dyrektor nagle się rozchmurzył i spojrzał na nią z nadzieją. – Może żartujesz, co, Katerino Michajłowna?

– Co? – Katerina uniosła brwi.

Jej złość nagle ustąpiła i cierpliwie zajęła swoje miejsce w szeregu. Coś dziwnego i podejrzanego działo się z Wiktorem Arnoldowiczem, zawsze zadbanym, wytwornym i towarzyskim, świadomym wyraźnych granic wytyczonych wokół jego honorowych klientów i nigdy nieprzekraczającym tej niewidzialnej linii. I Katia wpadła na pomysł...

– Nie rozumiem. Proszę wyjaśnić! – nakazała sucho.

– Z drugiej strony – odezwał się sam do siebie Arnoldowicz – nie mogła się pani nauczyć całości na pamięć. – Zawahał się i wyjąkał służalczo: – Czy wolno mi prosić, żeby przeczytała pani jeszcze coś, z wyznaczonych przeze mnie miejsc?

– Ale potem otrzymam od pana pełne i wyczerpujące wyjaśnienie! – zażądała jednoznacznie Katia.

Dyrektor radośnie skinął głową i odwrócił w jej stronę książkę. Rozochocionymi, podekscytowanymi dłońmi zaczął kartkować grube, niegnące się strony.

– „Osusz tęsknotę, Jasna Kijowico...”, „Gdy księżyc po raz pierwszy wschodzi na wiosnę...”, „Jesteś jego prawem, ale i dla ciebie są prawa...” –

Katia posłusznie przeczytała te trzy fragmenty w różnych miejscach. – I co teraz? – zapytała despotycznie.

– No tak, no tak... Cudownie, cudownie.

Dyrektor nagle dziwnie się uspokoił, przygasł i zbladł. Znów był mechanicznie uprzejmy, szarmancko podstawił Katii krzesło. Następnie, powstrzymując gestem ręki jej kolejne pytanie, podszedł do małej dziewiętnastowiecznej szafki, zastawionej efektownymi złożonymi oprawami niekończącego się słownika Brockhousa i Efrona, otworzył drzwiczki dolnej części, przetrząsnął stertę papierów i wyciągnął nędzną broszurkę z młodą Ukrainką na okładce. Otworzył ją, przeczytał, skinął głową i bezradnie opuścił ręce.

– W porządku – powiedział złym i ochrypłym głosem. – Jeszcze ostatnie pytanie, najdroższa Katerino Michajłowna. Mogę zapytać, skąd to masz?

– Nie! – przerwała mu Katia, ale natychmiast zmieniła zdanie. – Dostałam od babci.

– Od własnej rodzonej babci? – zapytał ponownie.

– Tak, od mojej własnej babci. Dlaczego?

– Przepraszam, kim jest pani babcia?

– Nauczycielką! – mruknęła groźnie Katia. – Co to ma wspólnego z książką? W ogóle nie pamiętam babci zbyt dobrze.

– Niewiele pamiętasz? W takim razie to wiele wyjaśnia – przytaknął Wiktor Arnoldowicz jak zabawkowy manekin.

– Co, przepraszam, to wyjaśnia? Odpowie pan na moje pytanie czy nie?! – krzyknęła głośno Katerina.

– Proszę się uspokoić, Katerino Michajłowna, bardzo proszę. – Arnoldowicz machał do niej mechanicznie rękami, jakby próbował ugasić płomień. – Jeśli miałaś taką babcię, to lepiej się nie denerwuj. Wybacz mi,

moja droga Katerino, ale mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Ta książka jest praktycznie bezcenna!

– A jaka jest jej wartość? – zapytała Katia.

– Trudno powiedzieć od razu.

– Wystarczy w przybliżeniu.

– Jeśli to naprawdę jest ta książka... – Katia spostrzegła, że na wygładzonym czole dyrektora pojawiły się drobne kropelki zimnego potu. – Na terytorium Ukrainy raczej nie znajdzie się kupiec zdolny do określenia jej prawdziwej wartości. Ale tacy amatorzy są też za granicą. To nieistotne, ponieważ i tak nie da się jej sprzedać. Według legendy nie można jej wywieźć z Kijowa.

– Nabija się pan ze mnie?! – Katerina wybuchła.

– Wcale nie – rzekł z godnością nieboszczyka w trumnie. – Tyle tylko, że jeśli rzeczywiście jest to księga, o której wspomina profesor Czuba, to jest to legendarna księga ukraińskich Kijowic, w której zebrane są wszystkie pogańskie i postpogańskie obrzędy i zaklęcia. To bardzo stara i straszna magia, znana jeszcze przed powstaniem Rusi Kijowskiej. Przynajmniej tak jest napisane w książce Czuba – wyjaśnił z żalem. – Ale jeśli to naprawdę ta księga, to oczywiście są na świecie koneserzy takich rarytasów. A wśród nich milionerzy i miliarderzy.

– Jest aż tak droga? – burknęła Dobrzańska niechętnie.

Myśl, która zrodziła się w głębi jej umysłu, natychmiast przekształciła się w konkretne i niewygodne pytanie: „Czy on w tym siedzi? Czy mogli przewidzieć, że popędzę prosto do niego? Tak, z łatwością!”.

– Jest wielu ludzi, którzy flirtują z szatanem, moja droga Katerino Michajłowna – powiedział ze smutkiem dyrektor. – A niektórzy z nich praktykują tę religię bardzo poważnie. Sądzę, że siedemdziesiąt lat temu zapewne znany pani Adolf Hitler oddałby jedną trzecią swojego kraju za

pani książkę. Nie na darmo jego poplecznicy wagonami wywozili nasz czarnoziem...

– Czarnoziem? – Katia była zdezorientowana tak nielogicznym przejściem do tematów rolniczych.

– Wszystko zależy od ziemi. Tak twierdzi Czub... I zawsze znajdują się tacy ludzie jak on.

– Może mi pan znaleźć kupca?

– Potrzebne są pani pieniądze? – zapytał beznamiętnie przekupiony dyrektor.

Katia milcząco przytaknęła w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

– Załatwienie takiej transakcji będzie długo trwało – mruknął Wiktor Arnoldowicz. – Poza tym, aby określić prawdziwy wiek książki, musielibyśmy przeprowadzić ekspertyzę. Jeśli chodzi o jej autentyczność w innych aspektach, nikt nie udzieli nam żadnych informacji, ale jestem pewien...

– A skąd właściwie taka pewność? – przerwała, z trudem maskując złość.

– Ponieważ, najdroższa Katerino Michajłowna – odpowiedział dyrektor niskim głosem – znam cię od trzech lat. Znam na tyle dobrze, że wiem, iż jesteś bardzo zajęтым człowiekiem i że nigdy nie nauczyłabyś się na pamięć sześciuset stron niejasnego tekstu tylko po to, by zażartować z takiego starca jak ja!

– To nie jest odpowiedź – zauważyła spokojniej Katerina.

– No to odpowiem – zgodził się tkliwie. – W opisie tej książki profesor Czub stwierdza, że prawdziwa Kijowica może ją przeczytać bez trudu, nawet jeśli jakimś zrzędzeniem losu urodziła się w obcym kraju i nie nauczono jej języka ojczystego. – Wręczył jej wielobarwną broszurkę i zaznaczył akapit paznokciem.

– Co to takiego, ta Kijowica? – Katia w końcu zareagowała na nieznane słowo.

– Kijowica – wyjaśnił uprzejmie dyrektor – pochodzi od słowa „Kijów” i oznacza wiedźmę. Mogę pani pokazać w słowniku Dala.

– Nie trzeba – odrzekła łagodnie Dobrażańska. – Wierzę panu.



Skondensowane ciepło, mającące pod czaszką w okolicach czoła Katii, stawało się coraz bardziej dokuczliwe i nieprzyjemne. Kobieta miała głupie wrażenie, że to głowa nie pozwala jej myśleć.

Ale nie poddawała się. O nie!

Wszystko zostało dokładnie i z wyprzedzeniem zaplanowane! Przekupili jej sekretarkę lub zastępcę i mieli szczegółową wiedzę na temat problemów z konkurencyjnym supermarketem. Jej sprzedajny szofer celowo przejechał salon piękności. (A przekupiony bruk – ironizował zdrowy rozsądek – celowo rzucił się jej pod nogi, by się potknęła i nosem wpadła w obietnicę rzucenia uroku na zaprzysięgłych wrogów!) Ale Katia jedynie potrząsnęła głową rezolutnie. Być może Centrum Czarów Starokijowskich było tylko jednym kawałkiem sera w licznych pułapkach na myszy, rozstawionych na jej drodze, i gdyby tam nie zaszła, jutro otrzymałaby książkę pocztą jako spadek po zmarłej babci...

A potem, jak założyli, pospieszyłyby do tego samego Arnoldowicza, który doprowadziłby ją do kolejnego „gracza”.

– Czy oni mają mnie za idiotkę? – Katerina poczuła się niewymownie urażona.

Ale nie była głupia – nie krzyczała, nie tupała nogami, nie wzywała sprzedawców na świadków. Nieznany K. D. prawdopodobnie spodziewał

się po niej takiej reakcji. Ale zawiodła go. I łaskawie zgadzając się z przekupionym dyrektorem, że jej babcia była wiedźmą, a tekst książki jest w stanie na oczach czytelnika samodzielnie zmieniać formę – w zależności od tego, czy ma do czytającego jakieś życzliwe uczucia – beznamiętnie przyjęła propozycję („biorąc pod uwagę jej potrzebę posiadania pieniędzy”) pójścia na tymczasowy kompromis. I zorganizowania spotkania z pewnym obywatelem świata mieszkającym w Kijowie, który mógłby się zainteresować przepisaniem tekstu jej książki za pięćdziesiąt (!!!) tysięcy dolarów.

Nie, nie uważali, że jest idiotką – oni mieli ją za najgłupszą z głupich!

Kłopoty, jak zwykle, chodziły parami. W drodze powrotnej z centrum nowiutkie volvo Katii nagle głośno kaszlnęło i stanęło. I kiedy usiłowała wgryźć się w kark swojego szofera Gieny, obwiniwszy go o niedbały stosunek do samochodu za osiemdziesiąt tysięcy, złapała taksówkę i utknęła w nieprzejezdnym korku. Na jej komórkę zadzwonił sprytny Arnoldowicz i radośnie poinformował, że cudzoziemiec zgodził się i jest gotów przyjechać w każdej chwili.

– Zapłaci gotówką? – zapytała Katia, powstrzymując się od sarkastycznego komentarza.

– Mogę powiedzieć jedno – zapewnił ją gorąco dyrektor. – Na pewno dostaniesz pieniądze. Tacy dżentelmeni jak on, biegli w zawieraniu paktów z diabłem, nigdy nie zrywają zobowiązań krwi... Poza tym on już wie, kim była pani babcia!

– Do diabła z moją babcią! – zakląła Katerina. – Czekam na was u mnie za pół godziny.

„Przyprowadzi mi cyrkowca. Na moich oczach zamieni baksy w kawałki rozbitych glinianych naczyń*” – uśmiechnęła się zawadiacko.

Te wszystkie zjawiska nadprzyrodzone były grubymi nićmi szyte i przeznaczone wyłącznie dla kretynów. Jednak skala gry coraz bardziej ją przerażała. Nie rozumiała, o co im chodzi. Dlaczego doprowadzali ją do szału?

Ale byłoby znacznie gorzej, gdyby odpowiedź kryła się w samym pytaniu i to niejaki K. D. postanowił konsekwentnie doprowadzać ją do szaleństwa.

Ktoś zakochany lub, co gorsza, nienawidzący jej aż do granic możliwości!

Ktoś, kto został przez nią doprowadzony do szaleństwa lub, co jeszcze straszniejsze, naprawdę oszalał!

– Aniu – rozkazała Katia, kiedy już znalazła się przy swoim biurku na Zjeździe św. Andrzeja. – Proszę wezwać mojego zastępcę do środka. I niech pani sama też wejdzie tu na chwilę. Nie, proszę poczekać... Wszystko odwołuję.

Nie zamierzała ryzykować!

Minąwszy swoich najwyraźniej przekupionych pracowników, szefowa weszła do windy, zadumała się nad przyciskami i nacisnąwszy jeden z nich, pojechała na najbardziej szalone piętro, zajęte tymczasowo przez centrum prasowe znanego festiwalu muzycznego.

Tam, błędząc oceniająco wzrokiem po kloace biznesu rozrywkowego, wyłowiła z ogólnego śmietnika i chaosu filigranową dziewczynę z czerwonym plecakiem na plecach.

– Mogę zająć pani chwilę? – zaczęła ją Dobrzańska.

Dziewczyna skinęła głową i odsunęła się na bok.

– Jest pani dziennikarką? – Na piersi dziewczyny wisiała plastikowa plakietka.

– Tak, a co? – odpowiedziała, przeżuając słowa wraz z gumą.

- Pani tu pracuje?
- Nie, jestem z akredytacją. Dlaczego?
- Chce pani zarobić sto dolarów?
- Jak? – zapytała zrezygnowana dziennikarka. – O kim mam napisać?

– Nie, nie – wyjaśniła niemal czule Katia. – Proszę, żeby pani pojechała na górę do mojego biura i przedstawiła mi swoją bezstronną opinię na temat pewnej rzeczy. Bo moi współpracownicy... – Machnęła lekceważąco ręką i wzmocniła ten gest odpowiednio sceptycznym grymasem twarzy. – Ważne jest dla mnie, żeby uzyskać świeże spojrzenie od zupełnie obcej osoby. Moje biuro znajduje się kilka pięter wyżej.

- I to wszystko? – Dziewczyna uśmiechnęła się z zadowoleniem.
- Wszystko.

Bezwłocznie udały się na górę. Żującą gumę dziennikarka z zainteresowaniem przyglądała się Dobrażańskiej – widać było, że zaproponowana misja schlebiała jej.

Dziewczyna rzuciła aroganckie spojrzenie na niepewną siebie sekretarkę, a po wejściu do biura przyjęła demonstracyjnie poważną pozę.

– Proszę tu podejść. – Katia zaprosiła ją do stołu, na którym leżała „praktycznie bezcenna” podróbka. – Czy potrafi pani przeczytać to, co jest tu napisane?

Dziewczyna przyjrzała się uważnie i zmarszczyła brwi ze zdumienia.

- Nie – odpowiedziała grzecznie. – To jest stare pismo.
- Proszę spróbować – odparła zaniepokojona Katerina. – Przecież to jest język rosyjski... prawda?

Podbródek zdziwionej dziennikarki zadrgał, dziewczyna wypluła gumę na dłoń i spróbowała uczciwie zapracować na obiecaną stówkę.

– On ize, widziawszy śmierć jeja od demona płakochu się zieleo – wyjąkała z wysiłkiem i spojrzała pytająco na Katię. – Jeszcze?

Zamiast odpowiedzieć, ta wręczyła jej ładny, szeleszczący banknot i w milczeniu wskazała na drzwi torebką ścisną w dłoni.

Nie miała więcej słów. Ani odczuć czy wniosków. Wszystko, co składało się na zbiorcze „ja” Katii, natychmiast zastrajkowało, odmawiając przyjęcia jedyne go możliwego – całkowicie niemożliwego – wniosku: ta przypadkowa, losowo wybrana małolata nie mogła być przekupiona i podstawiona. Oznacza to, że książka rzeczywiście została napisana w języku Nestora i rzeczywiście tylko ona... Najwyraźniej Arnoldowicz ma rację...

Ale ta nieubłagane górująca nad pozostałymi konkluzja wieńcząca proste, logiczne wnioski pozostała za bramami świadomości Katii, obłożona przez szereg faktów zagrażających zdrowemu rozsądkowi. A ona nie zamierzała poddać im swojej twierdzy, nawet gdyby zabrakło jej jedzenia i wody oraz gdyby musiała jeść psy i szczury.

– Katerino Michajłowna! – piał ze stołu zniekształcony głos sekretarki. – Przyszli goście, którzy chcą się z panią zobaczyć. Wiktor Arnoldowicz i...

– Proszę ich wpuścić – przerwała obojętnie szefowa.

W miejscu czerwonego plecaka, który zniknął za drzwiami, pojawiły się napięte i zaróżowione od marzeń o tłustych procentach dyrektorskie policzki w towarzystwie wysokiego, czterdziestoletniego mężczyzny z twarzą zamkniętą jak sejf.

– Proszę pozwolić, że przedstawię pani Adriana Markato. – Głos dyrektora przeleciał obok jej prawego ucha. Ale nazwisko cudzoziemca rozpląnęło się w powietrzu jak dym, zanim Katia zdążyła je zarejestrować.

Zauważyła automatycznie, że buty Adriana bez nazwiska były wykonane z prawdziwej skóry wężowej i musiały kosztować...

„Ach, nieważne”.

Z krótkim, ale pełnym szacunku skinieniem głowy „sejf” podszedł prosto do stołu i niecierpliwymi dłońmi przytulił się do książki.

– To jest to! – powiedział.

I wtedy Katia usłyszała straszny, nieludzki krzyk. Zobaczyła, że Adrian płonie – tak jak książka, stół oraz obraz nad nim, jakby wszystko oblano benzyną. Padła na ścianę, uderzyła w nią ramieniem i rzuciła się do ucieczki.



Czterdzieści siedem minut później do opustoszałego, dudniącego pustką korytarza Centrum Czarów Straokijowskich weszła długowłosa kobieta o szarej, wyostrożonej twarzy i pustych, nieruchomych oczach.

Przy okienku recepcji siedziała znajoma chuda dziewczyna z wczorajszym niedoczytanym kryminałem, który znacznie pocieniał z prawej strony.

– Dzień dobry – zwróciła się do niej Katia zupełnie niecharakterystycznie uprzejmym głosem. – Jestem Łesia Ukrainka.

– Niemożliwe! – parsknęła z niedowierzaniem dziewczyna.

– Przepraszam – wyjąkała Katia. – Larisa Kosacz. Wpisała pani to nazwisko wczoraj do dziennika...

Nie wypuszczając wielobarwnej Doncowej z palców, panna z niezadowoleniem przekartkowała lewą ręką niewygodną masywną księgę rejestracyjną i zapytała poirytowana:

– I co z tego?

– Jeśli byłaby pani tak miła i rzuciła okiem: po moim nazwisku powinny być dane dwóch innych dziewczyn.

– Nie podajemy adresów – powiedziała złośliwie dziewczyna.

Katia bez wahania wyjęła z torebki banknot studolarowy.

– Naprawdę muszę je znaleźć – wyjaśniła z uśmiechem.

– Łał! – Recepcjonistka zdziwiła się szczerze i zaszcebiotała: – Cóż, jeśli to tak bardzo potrzebne... Jest tylko jeden wpis, Maria Kowalowa.

– Ale były dwie – przypomniała cierpliwie Katia.

– Może więc któraś zapisała się przed panią? – zasugerowała rozsądnie dziewczyna. – No tak, jest! Dasza Czub. Pani przyszła po niej.

– Więc jedna z nich była w kolejce przede mną? – spytała wstrząśnięta Dobrażanska.

– Na to wygląda – odrzekła panna, bezskutecznie próbując dociec, co tak zszokowało jej rozmówczynię.

– Więc – rzekła na głos zdumiona Katia – gdybym była normalną, grzeczną osobą i pozwoliła jej przejść, nic by mi się nie stało? O Boże... – zawołała po raz pierwszy od pięciu lat zamiast zwyczajowego „do diabła!”. – Boże, Boże!

Dla niej odkrycie Daszy Czub oznaczało tylko jedno: ten, kto rozpoczął tę zabawę, splunął na dumną Katerinę Dobrażańską. Wybrał swoją ofiarę w sposób przypadkowy! Na oślep, na chybił trafił, jak złe dzieciaki przegrywające w karty życie pierwszego lepszego przechodnia. Kiedy cała trójka wpakowała się do nieszczęsnego gabinetu, pokaz gimnastyczny Kyłyny już trwał, co oznaczało, że gdyby uparta Katia nie próbowała wejść wszędzie pierwsza, ta historia by się jej nie przydarzyła! Przydarzyłyby się wyblakłej prymusce, którą zatrzymała w drzwiach, albo rezolutnej gąsce, która chciała się wepchnąć przed wszystkich!

Tej, która naprawdę była pierwsza!

„Boże, za co?” – zapłakała Katia i znając odpowiedź aż za dobrze, błagała bez nadziei: – „Przebacz mi, Panie. Proszę! Będę tak powściągliwa,

poprawna, uprzejma, taktowna, sympatyczna, grzeczna, rozważna, tolerancyjna, immanentna...”

– Adres potrzebny? – Recepcjonistka przerwała tę litanie.

– Proszę. – Katia skinęła głową i dodała z goryczą: – Czy pani może wie, co się stało z waszą pracowniczką, Kyłyną?

– Przecież pani u niej była? Co za koszmar! – Recepcjonistka przeraziła się i nagle zaczęła bełkotać, krztusząc się i wybałuszając swoje oczy: – Sufit się na nią zawalił! I na śmierć... Widziała to pani? Nie? Ale przecież sam nie... Mówię pani! Nikt tego nie skojarzył, ale ja poszłam tam i zobaczyłam. Drewniane belki... – Dziewczyna z podnieceniem skrzyżowała dwa palce. – Te, na których się trzyma, nie były spróchniałe! W Kijowie zabito jednego czarodzieja. Poćwiartowali jego ciało i wsadzili do baterii, a przedtem jeszcze nabili go na pal! Przeczytałam w gazecie! Tacy właśnie żyją tu ludzie. Sami do nich przychodzą, a później zabijają, gdy przypomną sobie, jak bardzo są religijni. A Kyłyna, wie pani, jaką była potężną wiedźmą! Wyleczyła mnie z takiego problemu, od którego wszyscy lekarze umywali ręce. Założę się, że wczoraj nie zdążyła pani przyjąć. To straszne, straszne... Ale jeśli naprawdę tego pani potrzebuje, mogę panią umówić na spotkanie z siostrą Anną!

– Nie – westchnęła oszołomiona Dobrażańska. – Dziękuję, nie trzeba.



– Kto tam? – zapytała surowo mama Maszy, patrząc w drzwi buczące nieśmiałym dzwonkiem.

– Przepraszam, że niepokoję, ale muszę pilnie porozmawiać z Maszą Kowalową – odpowiedziały jej drzwi niezwykle inteligentny głosem.

Matka szarpnęła za klamkę i w powstałej szczelinie zobaczyła wysoką, szacowną kobietę, bardzo ładną i gustowną, w złotych okularach. Taką, która wzbudza w przeciętnym człowieku instynktownie uniżony, przymilny szacunek. Tylko z twarzą dyrektorskiej damy było coś nie tak: wydawała się kredowo szara i ściągnięta, jak maska pośmiertna.

– Jeśli jej nie ma, to, za pozwoleniem, poczekam.

– Nie, nie, Masza jest w swoim pokoju – mruknęła nieśmiało Anna Mikołajewna, korząc się przed tak znamienitą osobą.

– Czy pozwoli pani, że wejdem?

– Tak, proszę, proszę. Zapraszam...

Podsakując i wiercąc się, gospodyni odprowadziła gościa do zamkniętych drzwi pokoju jej córki.

– Jest tam – powiedziała matka szeptem, otworzyła szeroko oczy i czekała z niecierpliwością na dalszy rozwój wypadków.

Piękność delikatnie zapukała.

– Co? – Odezwał się ktoś w środku.

– Otwórz, proszę. To ja, Katia – poprosiła uprzejmie ważna pani.

Matka, która miała wyostrzoną intuicję, ze zdziwieniem przyglądała się temu, co się dzieje: dyrektorka z jakiegoś powodu bała się jej córki!

– Jaka Katia? – Córka Kowalowej nie zrozumiała.

– Ta, z którą spędziłaś dzisiejszą noc. Obudziliśmy się razem, pamiętasz? – wyjaśniła zawstydzona piękność.

– Wejdz! – krzyknęła podekscytowana Masza.

– Ojciec! – wrzasnęła matka i pognała do sąsiedniego pokoju, po drodze zmiatając stosy gazet zalegających na komodzie.

Włodzimierz Siergiejewicz siedział na łóżku, ponuro wiążąc sznurowadła swoich zniszczonych butów roboczych.

– A ty dokąd się wybierasz? – wściekła się.

– Do Koli. Musimy porozmawiać.

– Jest sobota! – krzyknęła gniewnie. – A Bóg raczy wiedzieć, co się tu wyprawia! Jesteś głową tego domu czy nie?

– Co znowu? – rzekła surowo głowa rodziny.

– Okazuje się, że nasza córka ma cały harem! – oświadczyła Anna Mikołajewna, a ciekawość w jej głosie wyraźnie przewyższała uzasadnione rodzicielskie oburzenie. – Przyszła kolejna, Katia! Taka ślicznusia, że o ja! I powiedziała: „Wpuść mnie, Maszeńko, pamiętasz, jak spędziłyśmy razem noc?”. Teraz już rozumiesz? A ty mi nie wierzyłeś. To prawda, co ludzie mówią, cicha woda brzegi rwie!

– Mówiłaś – przypomniał jej sarkastycznie Włodzimierz Siergiejewicz, pogodzony już z szalonym pomysłem żony – że wolisz, żeby była lesbijką niż starą panną.

– I co? Czy ja się wypieram? – obruszyła się matka. – Po prostu nie podoba mi się tamta dziewczyna. Jest wulgarna, typowa złodziejka! Skoro tak ma być, to niech Masza znajdzie sobie normalną partnerkę.

– Skąd wiesz, że to kobieta? Może jednak chłopak? – droczył się z nią niezadowolony Siergieicz.

– A niech cię! – zezłościła się Anna. – Ta Katia to zupełnie co innego! Jest piękna, nie jest nadętą dziewuchą, jest poważna, w okularach. I jaka ona grzeczna!



Po wejściu do pokoju Katia od razu zobaczyła obie swoje towarzyszki w nieszczęściu.

Jedna z nich, rudowłosa, siedziała na krześle przy parapecie, na którym stało okrągłe lustro, obwiedzione skąpą metalową ramą. Druga,

z potarganymi białymi warkoczami, wisiała nad nią z nożyczkami i grzebieniem w dłoniach, a stare gazety pod ich stopami były usiane mieniącymi się czerwonymi kosmykami rozwianych loków.

Rudowłosa, w aureoli podciętych już włosów, patrzyła na Katię z prawdziwą troską.

Fizjonomia białowłosej o okrągłych policzkach natychmiast przybrała wojowniczy wyraz.

– Gdzie jest nasza książka? – zapytała kokieteryjnie. – Hę?

– Książka spłonęła – odrzekła cicho Katia.

– Źle się pani czuje? – zapytał przestraszony rudzielec.

– Czuję się bardzo źle.

– Co to znaczy: „spłonęła”? – Blondynka splunęła na jej samopoczucie.

– Zaraz wszystko opowiem – odparła Katia głosem kogoś, kto gotów był przyznać, że jest bezwzględnym wrogiem ludzkości. – Wszystkie jesteśmy w niebezpieczeństwie. Dlatego teraz lepiej trzymać się razem... Pokuta była długa i ciężka, a zakończyła się pożarem, który błyskawicznie strawił pół piętra hotelu „Andriejewski”, syrenami straży pożarnej i karetki pogotowia, która odjechała, zabierając Adriana bez nazwiska z poparzeniami trzeciego stopnia i mojego flegmatycznego zastępcę, który, choć stracił animusz, pozostał na miejscu, żeby wyjaśnić sytuację z kierownictwem hotelu.

Dziewczyny słuchały z zapałem. W miarę upływu czasu rudowłosa, której twarz, dziewicza i bez grama makijażu, upstrzona wzburzonymi lokami, nie wydawała się już białą bezkształtną plamą, lecz przypominała enigmatyczne niewieście twarze z obrazów Lucasa Cranacha starszego, jaśniała coraz radośniej i wyraźniej. Biała natomiast marszczyła czoło, intensywnie drapała się po nosie i często mrużyła oczy w zakłopotaniu. Gdy tylko Dobrażańska skończyła swoją opowieść, nagle gwałtownie

uniosła ręce i manifestacyjnie padając przed Maszą na kolana, chwyciła ją za drżące kostki.

– Wybacz mi, Marusiu! – wyła głośno i komicznie. – Jesteś geniuszem! A ja jestem idiotką! Wierzę w to! Wierzę w każde twoje słowo!

Masza popatrzyła triumfalnie na Katię i podsumowała z entuzjazmem:

– Do diabła ze wszystkimi! Jesteśmy wiedźmami!



– Widzisz – rzekła podekscytowana Dasza, siedząc z tyłu taksówki i nie zwracając uwagi na ironicznego kierowcę, który od początku przysłuchiwał się rozmowie „durnych bab” – Marusia od razu rozpykała temat. Już wczoraj wieczorem. Zdajesz sobie sprawę, jaka ona jest mądra? Maszo, a co myślisz o liście? – Potrząsnęła wiadomością przejętą od Kateriny. – Jakieś pomysły? Kim jest K. D.? Na którą górę nas wzywa?

– Na Łysą, oczywiście – skwitowała Masza, po raz pierwszy w życiu stając się kimś znaczącym. Czub przyznała jej rację i zaczęła z ożywieniem wpatrywać się w jej usta, chłonąc każde słowo.

– To prawda – przypomniała sobie Dasza. – Łysa Góra jest najważniejszym miejscem spotkań lokalnych czarownic.

– Coś w rodzaju centrali? – spytała nieśmiało Katia.

– Ale szóstego pewnie będzie tam bal – westchnęła romantycznie Masza. – Jak u Bułhakowa, bal szatana! – Studentka czule ścisnęła w ramionach swój pękaty plecak z niezbędnymi książkami, które zabrała z domu.

– Albo przynajmniej impreza. – Dasza uwspółcześniła ten pomysł. – Krótko mówiąc, sabat!

– A dlaczego szóstego? – mruknęła Katerina.

Nie mogła zrozumieć, z czego ta dwójka tak się cieszy? Ale w tej chwili idiotyczny entuzjizm jednej i równie idiotyczna czarodziejska wersja drugiej nie drażniły jej, a wręcz dawały pocieszenie. Wraz z pojawieniem się dwóch nowych postaci tragiczny absurd tego, co się działo, nagle zmienił się w farsową komedię, a na tle dziewczyn Katia poczuła się znowu jak jedyna normalna osoba.

– Pf! – parsknęła sarkastycznie Czub, wyraźnie zaskoczona. (Pomimo dobrowolnej skruchy Katii, „pani wspaniała”, która nabiła Daszy wstydliwego siniaka, nadal nie wzbudzała w niej dobrych emocji, a wręcz agresywne i niekontrolowalne). – Nawet ja to wiem! Z szóstego na siódmego lipca jest noc Iwana Kupały. Nie czytałaś w dzieciństwie Gogola? – Tak między nami, Dasza też go nie czytała, ale cytaty o święcie Kupały z Mikołaja Wasiljewicza zostały szczerze przytoczone w książce, która zainspirowała byłego dyrektora artystycznego „O-Yo-Yo!” do zorganizowania „słowiańskiego Halloween”.

– W ogóle cię nie rozumiem – Dasza wjechała na Dobrazańską. – Dlaczego sądziłaś, że ten list jest skierowany do ciebie? Jest napisane czarno na białym: „Jasne Kijowice”. Nie odróżniasz liczby mnogiej od pojedynczej?

– Ale przecież sama myślałaś, że to przedstawienie zostało odegrane ze względu na Katię, a my po prostu trafiłyśmy tam przypadkiem. Dlaczego się złościś, że ona też tak pomyślała? – zaprotestowała Masza, ośmielona swoim nagle podwyższonym statusem.

– Dlatego, że nie czytałyśmy tego listu. – Dasza Czub się nie poddawała. – Gdybym wiedziała, że zapraszają nas na sabat...

– Sabat to potoczne słowo – mruknęła Katerina. – Tak można nazwać każdą prywatną imprezę bez hamulców. Nie masz pojęcia, jak wielcy panowie potrafią się bawić. A poza tym list dał mi nadzieję na załatwienie

problemu z Wasilijem. A co, przepraszam, macie coś wspólnego z Wasilijem Fiodorowiczem?

Czub spojrzała na Maszę, liczyła, że ta natychmiast pstryknie Katię w nos jakąś zabójczo inteligentną ripostą, ale Kowalowa pokręciła głową i znów przeszła na stronę Katii.

– Jest tu sporo niejasności – powiedziała. – Kto przysłał nam ten list? Co to znaczy: „Na wojnie jak to na wojnie”? I dlaczego to od nas zależy, czy „ta uroczystość się odbędzie”?

– Akurat to jest bardzo jasne – wtrąciła Wstrząsająca. – Ten sabat będzie na naszą cześć! Jeśli nie pojedziemy, to się nie odbędzie. Och – mruknęła podekscytowana. – Coś czuję, że czeka nas jeszcze jedna niezła nocka!

– Oj, dziewczyny, narobicie sobie kłopotów... – rzekł troskliwie milczący do tej pory taksówkarz. – Wyjaśnijcie mi, dlaczego wszystkie kobiety mają obsesję na punkcie magii? Moja ciągle kupuje jakieś zielniki.

– Z tego samego powodu – odpowiedziała Dasza – z którego mężczyzna nigdy nie został czarownicą! Zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego wszystkie wiemy to kobiety?

– To się samo rozumie – bąknął ze złością kierowca, mrużąc oczy na papuaskie warkocze Daszy.

– Zawsze mówiłam, że wszyscy jesteśmy poganami! – Czub komentowała z eksperckim zapałem temat, który liznęła w czasie przygotowań do Halloween. – Przynajmniej połowa z nas! Pytanie brzmi: dlaczego?

– Bo mamy ciało – odpowiedziała prosto Masza.

– I co z tego?

– A ciałem nie różnimy się niczym od zwierząt. Chcemy jeść, spać, wygrzewać się na słońcu, bawić się, uprawiać seks...

– Cóż, o seksie wiesz przecież dużo. – Czub zachichotała dobrodusznie.
– Pogaństwo to po prostu ubóstwienie natury – wyjaśniła jej Kowalowa.
– W takim razie jestem poganką! – ogłosiła z dumą Wstrząsająca. – Ja po prostu kocham przyrodę. Słońce, morze, trawa...

– Seks! – dodała ożywiona Katia. – Wiecie, wciąż wydaje mi się, że coś mi umknęło... Ogień został podłożony, to jasne. Ale dziennikarka... – Dobrzańska westchnęła bez nadziei.

– Tutaj, proszę się zatrzymać. – Dasza poklepała kierowcę po plecach.
Po ich lewej stronie mignęła Złota Brama, która wyglądała jak rozmoknięty słodki piernik, a na horyzoncie majaczył elegancki i dumny, niczym pałac z zachodnich bajek, dom ze spiczastym dachem.

„Resztę wyjaśnień otrzymacie w wieży pierwszego domu na Wale Jarosława, jeśli będziecie dla niego uprzejme.

K. D.”

– Obok pierwszego – dodała Dasza, nie spuszczać wzroku z pałacu.
Ten, dla którego trzeba było być grzecznym, zamieszkał w jednym z najpiękniejszych domów Kijowa!

– Zapłać – zawołała Czuba do odchodzącej Katii i wyskoczyła z samochodu z radośnie uniesionym podbródkiem.

Frywolne lipcowe słońce, tańczące pod cukrowo-białymi chmurami, nieco osłodziło wysłużoną fasadę domu nr 1. Karmelowo-różowa, z gotyckimi koronkowymi balkonami i wysoką wieżą latarni, podtrzymywaną od dołu przez dwie szare chimery o ostrych, błoniastych skrzydłach i lwich głowach osadzonych na muskularnych męskich ciałach, wydawała się Daszy magicznie piękna.

– Niezły domek. I mieszkania tu nie są tanie. Tylko bardzo zapuszczony. – Katia uspokoiła się wreszcie i spojrzała z dezaprobatą na balkon z zawaloną balustradą, który znajdował się przy samym szczycie.

– Wieża – oznajmiła Dasza. – To musi być na górze. O, balkon. – Wskazała palcem na niezabezpieczony betonowy czworobok. – Ciekawe, kto tam mieszka? Może sam K. D.?

– Więc dlaczego pisze o sobie w trzeciej osobie? – Masza odrzuciła ten pomysł i nie mogła się powstrzymać, by wyrzucić z siebie tajemnicę: – A jeśli to sam Woland, jak u Bułhakowa?

– Woland jest na „W” – zauważyła Czub.

– Kimkolwiek jest – rzekła Katia tonem przywódcy, który opuścił ją tylko na krótko – naprawdę musi mi teraz wszystko wyjaśnić! Idziemy.

– A ty mi nie mów, co mam robić – rzuciła Dasza, krocząc za nią.

Półokrągłe przejście z masywnymi drzwiami zaprowadziło je na dziedziniec. Gdy skręciły do wejścia, Masza przeczytała czarną mozaikę z napisem „Salve” na pochyłym, marmurowym progu.

– To po łacinie oznacza „witaj”! – tłumaczyła z podekscytowaniem swoim towarzyszkom.

– Ty też witaj – zaśmiała się Dasza, wchodząc do środka.

Dziewczyny wspięły się po szerokich marmurowych schodach, brudnych i zaniedbanych zupełnie nie jak w bajce, zwieńczonych na najwyższym piętrze platformą w kształcie litery L. Wszystkie trzy milczały i zastanawiały się intensywnie: Kto mieszka w tej wieży? Starzec? Chłopiec? Człowiek? Czarodziej? Oszust? Diabeł?

Dasza Czub, która szła przodem i już trzymała przed sobą jeden z trzech dziwnych kluczy, przyglądała się dwojgu drzwiom bez żadnych numerów identyfikacyjnych czy tabliczek i decydowała, które z nich prowadzą do wieży. Na wszelki wypadek wyjrzała nawet przez okno.

– Te – oznajmiła z przekonaniem i zawahała się: – Ale czy to uprzejme tak się wdzierać? Może najpierw zadzwońmy.

– Dadzą radę – prychnęła z irytacją Katia, odpychając ją ramieniem. – Nie oczekuj ode mnie, że będę miła. Przepuść mnie.

Wyciągnęła z torebki osobisty duplikat i z groźnym spojrzeniem wsunęła go do zamka. Koci łeb klucza przekręcił się bezszelestnie, a wysokie drzwi wsunęły się do środka. Katia odważnie weszła w korytarz i przewróciła oczami w lewo i prawo.

– Halo, czy ktoś tu jest? – zawołała.

Dasza i Masza szły za nią.

Korytarz był ogromny i ciemny, z sufitem sięgającym nieba, pod którym z łatwością mieściły się niezliczone szafy.

– Czy jest tu ktoś? – Katia krzyknęła głośno, zirytowana absolutną ciszą.

Dasza energicznie poklepała ścianę i po omacku znalazła metalowy przełącznik – na wysokości czterech metrów rozbłysła zabytkowa pięcioramienna lampa. Oczy dziewczyn ujrzały, że w wyściełonym złotym pluszem przejściu pokoju, niczym aktorzy, którzy wyłonili się zza kulis wywołani oklaskami, stoją trzy różnokolorowe koty i przyglądają się im z uwagą.

– Łał! – Czub była zdumiona. – Jest ich całe stado.

Pierwszy, niewątpliwie kocur wielkości dużego spaniela, czarny, z wyraźnym czołem, masywnymi łapami i jednym nastroszonym uchem, mruknął gniewnie i wykonał wspaniały dwumetrowy skok na pobliską szafkę. Syknął na nie, a jego grzbiet wygiął się groźnie. Drugi, biały, podniósł przednią łapę w zamyśleniu, jakby decydując, czy podejść bliżej, czy zostać na miejscu. Trzeci, rudy, mruknął niepewnie.

– Jakie słodkie – rozpływała się Masza i wyciągnęła rękę, by pogłaskać białego. Ale ten cofnął się o krok, a spojrzenie miał poważne i badawcze, bez śladu strachu. Rudzielec zaś natychmiast podskoczył i głośno mruczając,

wczołgał się pod wyciągniętą dłoń. Tym samym wyraził swą gotowość do relaksującego zabiegu.

– Nienawidzę kotów – odparła Katia ze zgrozą. – Mam na nie alergię!

– Koty wiedźm nie uczulają – przekonywał spokojny kobiecy głos.

Trio nerwowo odwróciło głowy w poszukiwaniu pani domu, z jakiegoś powodu wyobrażanej do tej pory jako mężczyzna.

– Gdzie pani jest? – Katia podejrzliwie wpatrywała się w złotą zasłonę.

– Jestem tutaj – powiedział głos, delikatny i wyraźny jak u spikerów telewizyjnych z lat osiemdziesiątych. – Nazywam się Belladonna.

W pewnym momencie wzrok dziewczyn, podążając za głosem, skrzyżował się w tym samym miejscu, przy podłodze.

– Czarny to Behemot, a rudy to Izyda. Ale my nazywamy ją po prostu Puszek.

Biały kot otworzył pyszczek, a z niego dobyło się...

– Wejdźcie i czujcie się jak u siebie w domu – rzekła z szacunkiem kotka.

* *Baksy w kawałki...* – wyrażenie zaczerpnięte z radzieckiej bajki *Złota antylopa*.

Rozdział ósmy

w którym Masza bezskutecznie próbuje zliczyć kijowskie Łyse Góry

We Francji Puy de Dôme uważane było za główne miejsce spotkań wiedźm. W Niemczech – Blocksberg, Horselberg, Bechtelsberg i wiele innych gór. W Szwecji – Blakulla. W Hiszpanii – ziemie Barahona i piaski w pobliżu Sewilli. We Włoszech znamienity punkt zebrań znajdował się pod leszczyną Benevento (Noce di Benevento), na górze Paterno koło Bolonii, górze Spinato koło Mirandoli. Na Litwie jest góra Szatria, a w polskich Karpatach – Babia Góra. W Rosji – Łysa Góra koło Kijowa.

~ A. Amfiteatrow, *Diabeł*

Katia gwałtownie zbladła, jej oczy wybałuszyły się ze zdziwienia.

Masza zamarła z ręką na grzbiecie kota.

Usta Daszy ułożyły się w wydłużone „O”.

– Głupie-e-e-e! – Behemot głośno syczał z szafy. – Do diab-b-b-b-b-ła, nic nie wiedzą, a pchają się do diab-b-b-belskiej gęby!

– Nie zwracajcie na niego uwagi – mruknęła z elegancją Belladonna. – On uznawał tylko Kyłyne.

– A-a-o-o... – wybełkotała Katia, wzdrygnęła się, zakryła uszy rękami i pobiegła do pokoju.

Belladonna odskoczyła, próbując uciec przed szarżującymi na oślep nogami Katii, i spojrzała na ich właścicielkę przeciągłym, niewzruszonym wzrokiem. Rudowłosa Izyda Puszek nawet się nie odwróciła – po prostu z niezadowoleniem i wyraźnym żądaniem pacnęła Maszę miękką łapką w zastygłą w powietrzu dłoń: „No, głaszcz, dlaczego przestałaś?”.

– Wstrząsające – rzekła Czub zdumiona. – Gadające koty. Ale jaja!

– Wy naprawdę mówicie? – wymamrotała przerażona Masza. – A może to tylko my was rozumiemy?

Belladonna rzuciła jej moralizatorskie spojrzenie: „Czy to przypadkiem nie sofistyka, dziecko?” – i weszła do pokoju, zapraszając gości do pójścia za nią.

– Zaczekajcie – zawołała Masza z lękiem, przewróciła oczami i szepnęła nerwowo, przeproszająco: – Czy mogę was prosić, żebyście zamilkli na chwilę? Widzicie, kobieta źle się poczuła.

– Jak sobie życzysz – odpowiedziała z godnością Belladonna.

– To pr-r-r-rostaczki. Nie mogą mówić nam, co mamy robić! – ryknął Behemot.

– Są ludźmi. I są we trzy – zaprotestował biały kot i schował się pod złotym pluszem.

Czarny prychnął bezwstydnie, przeleciał jak ciemna burza tuż nad głowami kobiet i uciekł za róg korytarza, ślizgając się pazurami po parkiecie.

Pokój okazał się idealnie okrągły, obłożony pierścieniem ciągnących się aż do sufitu regałów z książkami, przedzielonych tylko po to, by zrobić miejsce na drzwi wejściowe i balkonowe, które mieściły się naprzeciwko siebie, a także na ogromny, wygaszony kominek. Podtrzymywały go trzy

dwumetrowe koty z czarnego marmuru, jeden po lewej i dwa po prawej stronie.

Na górze był łuszczący się obraz. Nawet nie obraz, a fresk w stylu bizantyjskim, namalowany na kamiennej warstwie – takiej, jaka zachowała się na ścianach soboru Sofijskiego, z malunkiem rodziny Jarosława Mądrego, który zbudował tę świątynię. Płaski, wydłużony wizerunek „bizantyjskiej kobiety” w niebieskiej sukni, trzymającej w ręku pochyłą wagę z opuszczoną lewą szalą...

Mimo ogromnej liczby książek i przedmiotów w pomieszczeniu panował zaskakujący, niemal muzealny porządek. I słusznie, bo Masza, która w bibliotece i muzeum czuła się jak w domu, a raczej tylko tam czuła się naprawdę jak w domu, potrząsnęła gorączkowo głową. To było jak spełnienie jej marzeń, w dodatku niezwykle piękne!

– Nie rozumiem tych, którzy są fanami starych rzeczy! – Dasza miała dokładnie odwrotne odczucia. – To dziwne, że jest tu w ogóle telewizor. – Podeszła do czarnej skrzynki, która mieściła się na półce z książkami, znalazła pilota i zaczęła skakać po kanałach, wpatrując się beznamiętnie w urywki codziennych seriali oraz przebitki reportaży i programów.

A Masza pomyślała, że pod pewnymi względami Czub niewątpliwie ma rację – zarówno telewizor, jak i program telewizyjny, który leżał na hebanowym damskim biurku z cienkimi nogami obok przedpotopowego telefonu z klawiszami, były tak samo nie na miejscu, jak sama Dasza „nie na miejscu” Wstrząsająca.

– To ona! – zachrypiała Katia.

Dziewczyny odwróciły się zgodnie i dopiero teraz zauważyły pewien intrygujący przedmiot, leżący na stoliku przy kominku – duży i ciężki, w ciemnej oprawie zwieńczony dwiema kształnymi, metalowymi klamrami. Katia, która teraz przypominała zwłoki zamrożone w lodówce

w ambulatorium, siedziała skulona na kanapie i patrzyła na niego, jakby to był jej własny wyrok śmierci.

– Wariuję! – rzekła przerażająco, a jej palec drgnął bojaźliwie w kierunku strasznego przedmiotu i cofnął się gwałtownie, by nie zetknąć się z jego powłoką. – To była ona, ta właśnie książka!

Masza podeszła do niej.

– Prawdopodobnie były dwa egzemplarze – zasugerowała.

Ogromny tom leżący na malachitowym blacie rzeczywiście był bliźniaczo podobny do tego, który ukradła Katia, a który stanął w płomieniach. Ale dlaczego człowiek – albo nieczłowiek – który mieszkał w tym pięknym mieszkaniu, miałby nie posiadać dokładnie takiej samej książki?

– Cały dzień z nią biegałam! – Katia jakby czytała w jej myślach. – Jest zadrapanie. I rdza na dolnym zapięciu. Otwórz ją, jeśli nie ma strony 104... – W jej głosie słychać było zbliżającą się burzę hysterii.

Dasza z buńczucznym chichotem („Ale z ciebie mięczak, cioteczko!”) pochyliła się nad stołem i odczepiwszy metalowe klamry, zaczęła przewracać grube, niesforne kartki.

– 99... 102... 104... Mhm...! Tych na pewno nie ma – ogłosiła, wpatrując się w wyszczerbione zęby podartego papieru.

Niewzruszona tym odkryciem Czub przewróciła kartki w prawo i przeczytała na stronie tytułowej:

Chwała Tobie, Jasna Kijowico!

Niechaj siła będzie z tobą, gdy teraz, jak i każdej innej nocy, stojąc na górze, która dała początek Miastu, ty, widząc czerwony ogień na niebie, będziesz lecieć tam, żeby zatrzymać to, co może pogwałcić Prawdę...

– Czytasz to? W jakim to języku? – „Cioteczka” wzdrygnęła się, a w jej pytaniu była tak dzika nadzieja, że Dasza nie mogła nawet

zachichotać, gdy odpowiadała.

– Po rosyjsku – mruknęła niechętnie.

– We współczesnym języku rosyjskim?

– Nie do końca. Kto dziś pisze w ten sposób? „Chwała tobie”, „Niechaj siła będzie z tobą”.

Katia rzuciła oświecone spojrzenie na pokój i natknęła się na Belladonnę.

– Miau – powiedział biały kot ostrożnie, z niepoprawnym ludzkim akcentem. I po chwili milczenia dodał dla większej siły perswazji: – Miau. Miau.

– To wszystko mi się tylko wydaje! – oznajmiła światu z niewypowiedzianą ulgą Katia. – Dziennikarka była podstawiona. Książka jest sfalszowana. Nie spłonęła, podrzucili ją tutaj!

– I co teraz zrobimy z naszym niewiernym Tomaszem? – zapytała lekceważąco Czub.

Katia wpatrywała się w Maszę pytająco, czekając, czy chociaż ona zgodzi się z jej zdroworozsądkowymi argumentami. Masza milczała nadaśana. Sytuacja była napięta. Kłótnia z Katią oznaczała usuwanie sobie gruntu spod nóg. Przyznanie jej racji wymagało zawieszenia sobie kamienia młyńskiego na szyi i miauczenia w jej obecności jak kot, który udaje, że nic się nie stało.

– Proszę posłuchać – rzekła Kowalowa, podjąwszy salomonową decyzję. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli się pani położy i odpocznie. Musimy przecież poczekać na gospodarza tego domu. I wydaje się, że ma pani gorączkę. – Delikatnie dotknęła czoła Katii i spróbowała ułożyć piękną brunetkę na sofie.

Ku jej głębokiemu zaskoczeniu, kobieta nie stawiała oporu.

– Mam analginę i aspirynę... Dam pani trochę – nalegała Masza.

– Po co, do cholery, nosisz je ze sobą? – zdziwiła się Wstrząsająca.

– Na wszelki wypadek... – Zdjąwszy ostrożnie buty Katii, Masza przykryła ją kocem w kratę, wygodnie zarzuconym na oparcie kanapy.

– Chcesz, żebym przyjęła cię na asystentko-sekretarkę? – zapytała nagle Katerina. Zdjęła okulary z pogardliwie zmrużonych oczu i westchnęła znużona. – Tak trudno jest znaleźć normalny personel. Wszyscy biegają wokół ze swoimi ambicjami, katarami, uczuciami. Nie rozumieją, że nie są ludźmi, tylko funkcjami. Ale ty, moim zdaniem, możesz być nawet wielofunkcyjna! Będziesz zarabiać więcej niż twoi rodzice. Przekonasz się, jak będą za tobą biegać.

– Nie. – Masza pewnie pokręciła głową. – Mój tata nie jest taki. On za nikim nie biega.

– Cóż – zgodziła się obojętnie Katia, opierając głowę na poduszce kanapy – jest jeszcze jedna reakcja na władzę: rewolucyjna. A jeśli masz takich rodziców, to szczerze współczuję. Wychowali cię w całkowitym oderwaniu od życia. Dlatego tak chętnie wierzysz w bajki.

– A ty jesteś najmądrzejsza, tak?! – wściekła się Czub.

– Nie trzeba, Daszko – przerwała jej przyjaciółka. – Ona i tak ma najtrudniej z nas. To dlatego, że naprawdę jest najmądrzejsza. Nie można tego pojąć umysłem. W to trzeba uwierzyć. A żeby uwierzyć, trzeba być choć trochę głupim.

– Tak myślisz? – Zszokowana Dasza próbowała przetrwać to zdanie.

– Dlatego zaczęła mówić o pracy, trudno jej się odnaleźć w tej nienaturalnej dla niej sytuacji. Próbuje się skupić na czymś znajomym. Chciała mi po prostu podziękować. Nie wie, jak to zrobić inaczej. Ech...

Masza spojrzała na Katerinę z poczuciem winy, zawstydzona, że tak bezceremonialnie omawia na głos jej słabości, i zobaczyła, jak napięta twarz pięknej brunetki nagle zadrżała i rozluźniła się.

– Dziękuję – wyszeptała niepewnie. – Naprawdę, dziękuję...

– O, patrz! – Dasza zawyła jak syrena. – Pokazują tego twojego! – Sięgnęła po pilota i podkręciła głośność do poziomu rozrywającego uszy.

„Nie jesteśmy satanistami!” – Z ekranu z patosem krzyczała nieprzyzwoicie przystojna głowa Mira Krasawickiego. „Jesteśmy kopaczami! Nasze hobby jest wystarczająco niebezpieczne i zawsze jesteśmy bardzo ostrożni, choćby dlatego, że lepiej niż ktokolwiek inny wiemy, do jakich groźnych konsekwencji może doprowadzić oberwanie skały lub zalanie pod ziemią. Oskarżenia pod naszym adresem są bezpodstawne! A jeśli władze będą bezsilne, ja i moi przyjaciele dowiemy się, kto za tym stoi!”

– Ale jest przystojny, drań! – Czub ze smakiem mlasnęła językiem. – Taki powinien nosić tabliczkę: „Zagrożenie życia. Nie zbliżaj się, bo on cię zabije!”. A przynajmniej okaleczy... A więc jest kopaczem? Zabił tę dziewczynę? On jest twoim kolegą z roku, ona twoją koleżanką. Trzymali się razem?

– Tak. – Masza natychmiast pożałowała, że podzieliła się z Czub historią opowiedzianą przez tatę.

„Dwie godziny po tym, jak Mirosław Krasawicki został zatrzymany pod zarzutem zamordowania swojej koleżanki z klasy Margarity Bojec, lidera grupy kopaczy zwolniono z aresztu” – sprzeciwił się Daszy niewidoczny korespondent wiadomości. „Dwóch świadków potwierdziło jego alibi w chwili popełnienia morderstwa. Jednak śledczy Włodzimierz Bojko, który zajmuje się potworną sprawą satanistycznej ofiary w cerkwi, uważa, że jest jeszcze za wcześnie, by wycofać podejrzenia wobec Krasawickiego. Robotnicy, którzy po raz drugi w ciągu dwóch dni naprawiali awarię, początkowo obwiniali o nią dzieci podziemia. Jaskinie Cyryła są otwarte!

Dopiero czas pokaże, czy młodzi odkrywcy kijowskich jaskiń to miłośnicy historii, czy też za ich pasją kryje się inne, straszne hobby”.

– To nie on, to nie on ją zabił! – wybełkotała wzburzona Masza z płaczącym się językiem. – Słyszałaś przecież, że ma alibi!

Rozejrzała się w poszukiwaniu wsparcia i znalazła śpiącą Dobrażańską, z twarzą ukrytą w poduszce i naciągniętym po uszy pledem, jakby dudniący telewizor podział na nią niczym kojąca kołysanka. Może to właśnie trupy i ciekące rury wyciszyły duszę Katii – świat znów był okrutny i prawdziwy. Nad głową Katii umościła się niezwykle zadowolona z sąsiedztwa Izyda Puszek, która przypominała teraz puszystą, rudą czapkę. A Masza przypominała sobie: wielu ludzi wierzy, że koty potrafią wyciągać choroby ze swoich właścicieli i dlatego zawsze kładą się na „chorym” miejscu...

– Tak, mając taką gębę, od każdej baby dostanie alibi! – Czub pogardliwie wzruszyła ramionami. – Jakiego prawnika trzeba zatrudnić, żeby nasza policja wypuściła cię z kozy w ciągu dwóch godzin? Najwyraźniej jego rodzice nie są dozorcami? Jest przystojny i ma duże wpływy, gorzej nie można trafić!

Masza głośno ją uciszyła, pomachała w kierunku milczącej Katii i złapała przyjaciółkę za rękaw marynarki, by wyciągnąć ją na korytarz.

– Dobra, gdzie jest kuchnia? – Dasza porwała ze stołu książkę, nie chcąc zostawiać jej samej ze skruszoną złodziejką. – Potrzebuję kawy. Łał! Ale mieszkanie!

Na środku dużego pomieszczenia kuchennego stał monumentalny rzeźbiony kredens, na którym leżał odwrócony do nich czarny kot Behemot. Kiedy jednak obie weszły do środka, bestia ryknęła groźnie, ukazując długie żółte zęby, i – najwyraźniej nie chcąc pozostać ani chwili

dłużej w ich nieodpowiednim towarzystwie – wskoczyła do otwartego otworu wentylacyjnego, po czym zniknęła.

Masza podbiegła do okna, przestraszona losem krnąbrnego zwierzęcia (chyba nieprzypadkowo nazwanego na cześć psotnego Bułhakowskiego Behemota), i z ulgą zobaczyła jego czarny ogon, oddalający się po gzymsie.

– Mówię ci, to on. – Dasza nie miała na myśli kota.

– Mir nie miał powodu, żeby zabijać!

– Maszeńko, może i jesteś mądra, ale w miłości jesteś takim samym głupcem jak wszyscy inni! – Czub z podekscytowaniem potrząsnęła lśniącem, srebrnym czajnikiem i upewniwszy się, że jest w nim woda, postawiła go na kuchence. – Co ma z tym wspólnego motyw? Jeśli są satanistami, po prostu złożyli ją w ofierze. Szkoda, że nie pokazali zdjęcia. Ładna była?

Masza wyszła do pokoju i usłudźnie przyniosła stamtąd swój plecak. Z niego wyłonił się nieodłączny *Mistrz* z cennym zdjęciem w środku.

– Która to? – zapytała Czub, patrząc na zdjęcie grupowe.

– Ta. – Masza wskazała paznokciem. – Po prawej stronie.

– Znajoma twarz – mruknęła zdziwiona Wstrząsająca. – Na pewno widziałam ją w klubie. Były z nią jeszcze dwie inne. Jedna bielutka, drugiej nie pamiętam.

– To Lidia i Żenia. – Masza przesunęła palec na „słodką parkę” na drugim końcu kadru.

– Aha! – Dasza zidentyfikowała bywalczyne klubu. – Polowały na mężczyzn. Ale to nie prostytutki. Imprezowiczki. Widziałam je wczoraj wieczorem. Wiesz, one czekały na nią wczoraj w klubie... Dobra, nie zawieszaj się. Trzymaj, może przyjdzie ci coś do głowy! – Czub wyciągnęła ze swojego obszernego dekoltu kartkę z zaproszeniem, które je

tu przywiodło, i wręczyła ją wszystkimowiedzącej. – Gdzie oni trzymają kawę? – rzekła z cierpieniem.

„...w nocy z 6 na 7 lipca na wielki sabat ku waszej czci na pierwszej Górze Kijowa”.

„...na sto pytań... ani jednej odpowiedzi”.

„...nic jednak nie może mnie powstrzymać przed zaproponowaniem wam spaceru o zachodzie słońca na drugiej Górze Miasta”.

„...Wasilij nie zrobi wam krzywdy”.

Masza przejrzała tekst.

– No i? – zapytała wyczekująco Dasza, nadal intensywnie poszukując kawy.

– Co „no i”? – Kowalowa nie zrozumiała.

– To oczywiste nawet dla głupca, że K. D. umawia się z nami na dzisiejszy wieczór!

– Dlaczego właśnie dzisiaj?

– Bo jutro jest sabat, na którym i tak się spotkamy – wyjaśniła przyjaciółce Czub. – A przed nim słońce zajdzie jeszcze tylko raz, dziś wieczorem. Pytam więc, gdzie jest ta druga góra? Pierwsza, oczywiście, jest Łysa Góra. A druga?

– Prawdopodobnie też – zasugerowała Masza. – Faktem jest, że oficjalnie w samym Kijowie są cztery Łyse Góry. Główna z nich znajduje się w pobliżu monasteru Wydubickiego, jest nawet zaznaczona na mapie Kijowa. Inni jednak uważają, że najważniejsza jest nie ona, lecz góra na Czertoraju koło Wigurowszczyzny, niedaleko wyspy Ilji Muromca, na którą przed balem szatana przyleciała Bułhakowska Małgorzata. Trzecia znajduje się na Szczekawicy, gdzie mieści się cmentarz, na którym spoczywa Oleg Mądry. Czwarta to Krieszczatik, czy też Czortowa Góra, pod Wzgórzem Włodzimierza.

- Gdzie to jest? – zdziwiła się Dasza. – To ten park, prawda?
- Cóż, specjalnie nie szukałam. A w przewodniku jest napisane „małe wzgórze w rejonie Zjazdu Boryczewskiego”.
- Gdzie?
- Mniej więcej tam, gdzie teraz jest kolejka linowa – wyjaśniła Masza.
- Dobrze – ucieszyła się Czub z jakichkolwiek konkretów. – Ale dokąd mamy iść?
- Nie wiem – przyznała szczerze Masza. – Ale w ciągu jednej nocy możemy objechać wszystkie cztery oficjalne góry.
- A ile jest nieoficjalnych?
- Och... – Kowalowa machnęła ręką. – Nie zliczę!
- To beznadziejnie – podsumowała Dasza. – Czy przypadkiem nie jest to ta Łysa Góra, która „dała początek miastu”?
- Ta nie jest Łysa, ona jest Starokijowska! – Masza była szczerze zdumiona, że ktoś może nie znać tak zacnej historii o matce miast. – Obudziłyśmy się na niej dzisiaj. A kiedyś był tam Gród Kija. Kij jest...
- Wiem, wiem! – przerwała jej zniechęcona Czub. – Kij, Szczek, Choryw i ich siostra Łybedź! Nie o to mi chodzi. W książce jest napisane, że Kijowice powinny przychodzić na górę każdej nocy i...
- „Widząc czerwony ogień na niebie, będziesz lecieć tam, żeby zatrzymać to, co może pogwałcić Prawdę...” – zakończyła Masza, jak zwykle natychmiast zapamiętawszy tekst. – Kyłyna powiedziała nam to samo: „Będziecie tutaj przychodzić każdej nocy, jak koty, które słysząc mysz, nie mają dostępu do własnej woli”.
- „Latanie do nieba” na razie nie jest zbyt jasne – stwierdziła Czub, chwilowo odsuwając na bok kolejną zagadkę. – Ale już to o kotach, które nie mogą się powstrzymać, rozumiemy chyba aż za dobrze. Czyli będziemy tam biegać każdej nocy?

– Może nie każdej? – zaniepokoiła się Kowalowa. – Nie chcę, żeby moi rodzice się martwili.

– Każdej, Marusiu, każdej – zapewniała ją sadystycznie Dasza. – Przynajmniej coś już wyjaśniłyśmy. A teraz usiądź, Spinozo, i szybko pomyśl, która z Łysych Gór jest pierwsza, a która druga. Nie możemy przegapić tak conceptualnej randki... Łał! O, matko!

Dotarwszy wreszcie do kredensu, Dasza otworzyła ciężkie drzwiczki i syknęła z zachwytu: na półkach leżały ciężkie srebrne sztuce, cyzelowane talerze i delikatne filiżanki, zdobione emalią i matowymi, nieobrobionymi kamieniami.

– Kto tu, u licha, mieszka? – krzyknęła.

– Wy.

Na brzegu stołu siedziała białowłosa Belladonna, starannie owinięta swoim puszystym ogonem, i przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Kiedyś mieszkała tu Kyłyna – wyjaśnił nonszalancko biały kot. – A teraz dom jest wasz.

– Nasz? Cały? Nie mogę uwierzyć! – huknęła podniecona Czub i nagle podskoczyła w miejscu z głośnym okrzykiem radości. – Dobrze być wiedźmą! Może dostaniemy jeszcze za to pieniądze! Ach, Marusiu!

Dasza w ekstazie wyskoczyła na korytarz i zawirowała, wyciągając ręce, jakby próbowała objąć ten wielometrowy dar od losu.

– To wszystko jest nasze! Wszystko! – krzyczała nowa pani domu, otwierając drzwi napotykaných szafek. – Maruś, spójrz na to! I to! Co to jest? Łał, szal-ł-ł!

Oszołomiona Marusia, uśmiechając się, podeszła do niej i nieśmiało zajrzała do wnętrza szafek.

W pierwszej z nich, w schludnych drewnianych skrzynkach stały miotły i mopy. Nad nimi, na górnej półce leżała jakaś zwinięta bela, stare pudło na

kapelusze z miodowej sklejki – wypełnione po brzegi kostkami mydła do prania – oraz kilkanaście dezodorantów w kulkach, ustawionych w rzędzie (biedna Kyłyna musiała być zbieraczką). Na drzwiach po prawej stronie wisiał bardzo stary z wyglądu plakat o zadziwiającej treści. Pod hasłem „Akrobacje na miotle” pokazane były schematy kobiet siedzących na kijach i wykonujących zabójcze akrobacje powietrzne i piruety.

Druga szafka wyglądała jak wzorcowa apteczka ze starannie oznakowanymi puszkami, słoikami, pudełkami i fiolkami wypełnionymi ziołami i korzeniami, zakonserwowanymi jagodami i czymś jeszcze, niezbyt przyjemnym, przypominającym marynowane ludzkie wnętrzności w słoikach.

Ale najbardziej zastanawiająca była trzecia – wypełniona licznymi haczykami z tysiącem wymyślnych kluczy, podobnych do kocich łbów, dzięki którym weszły do domu wiedźmy. Tuż pod nimi znajdowały się małe szufladki, przypominały Maszy katalog biblioteczny. Po wysunięciu jednej z nich rozczarowana Masza znalazła tam stary, naoliwiony zamek... A na wewnętrznej stronie drzwi wisiała równie tajemnicza kartka z napisem:

„Anegdota, parsuna, czas”.

– Czy to możliwe, że mamy tak wiele mieszkań? – podsunęła myśl Czub, a jej oczy płonęły z zachwyty.

Bezceremonialnie zerwała jeden z kluczy, obok którego na metalowym kółku wisiał kartonowy brelok: „ul. Meringowska 7, mieszkanie 4”.

– Gdzie to jest? – zapytała zaintrygowana.

– To obecna Zańkowiecka – ciągnęła zdezorientowana Masza. – Adres wygląda znajomo...

– Nie. – Dasza z zalem odrzuciła piękny pomysł posiadania wielu mieszkań. – Znam to miejsce. Mieści się tam biuro firmy koncertowej.

Dziwne... Ale miotły, Marusiuniu, miotły! – Znów wpadła w zachwyty. – Czy rozumiesz, co to znaczy? Będziemy latać! Na niebie! Naprawdę!

Wyciągnąwszy z szafy najbliższą miotłę, natychmiast weszła na nią i kilka razy radośnie podskoczyła w miejscu.

– Ale to jest strasznie niewygodne – relacjonowała rzeczowo. – Kij wbija się w pachwiny! Przydałoby się chociaż jakieś siodło!



Ludzie zdobywają Kijów, kupują mieszkania i domy, książki i drogie rzeczy. A wzięwszy je w posiadanie, myślą, że to miasto, ten dom, te rzeczy należą do nich. Ale tak naprawdę to my należymy do rzeczy, a one przeżywają nas i zmieniają „właścicieli” na nowych. A ci, którzy uważają się za panów, okazują się tylko przypadkowymi znajomymi, przelotnymi zauroczeniami, krótkotrwałymi małżeństwami w niekończącym się życiu miasta, domu, rzeczy.

Wersal już dawno przestał należeć do Ludwika XIV, ale Król Słońce na zawsze będzie należał do Wersalu, tak jak Kij, Włodzimierz Czerwone Słońce i Jarosław Mądry na zawsze będą należeć do Kijowa. Nie ma klejnotów rodzinnych, nie ma rodowych posiadłości – one zmieniają nazwiska i rodziny obojętnie, zapominając lub dopisując do swojej bogatej historii tych, którzy je kochali, tych, którzy za nie zabijali, i tych, którzy dla nich oddali życie...

Jeszcze wczoraj młoda kobieta, Kyłyna, układała słodkie zioła w pudełkach i przyklejała starannie karteczki z nazwami, aby w razie potrzeby łatwo je odnaleźć. Była pracowita, gromadziła i utrzymywała w mieszkaniu idealny porządek, nie wiedząc, że za niecałe dwadzieścia cztery godziny zarówno mieszkanie, jak i porządek przejdą w ręce

żywiolowo rozochoconej i swobodnej Daszy Wstrząsającej, buszującej właśnie w szafach i garderobach, które flegmatycznie zaakceptowały jej nową władzę. I tylko jeden kot, szkodnik, Behemot, pozostał wierny swojej pięknej, złotowłosej pani. Ale prędzej czy później i on zgłodnieje.

„Oddałam wam wszystko. Ale nie cieszcie się z tego! Moje Miasto nie jest dla was darem, lecz przekleństwem!” Masza przypomniawszy sobie te słowa i pomyślała: „A dlaczego Kyłyna uważała miasto za swoje? Czy może się przesłyszałam i powiedziała coś innego?”.

Z trudem trzymając w ramionach resztki roweru rozczłonkowanego po uderzeniu w schody muzeum, Masza dyszała, gdy wyczołgała się z wąwozu pod Górą Starokijowską. Dasza wysłała ją po siodło. Ale po pierwsze okazało się, że dziewczyna po prostu nie miała siły, żeby je samodzielnie odkręcić, a po drugie na widok tej nędznej kupy złomu nagle poczuła żal z powodu prezentu od rodziców. Ojciec na pewno go naprawi i...

„Ten rower jeszcze mnie przeżyje” – pomyślała filozoficznie właścicielka.

„Umrzecie, zanim owrzodzona stanie się miłością, a ból będzie płonął w ogniu!”

„Czy to możliwe, że duchy, które rzekomo zamieszkują wszystkie stare zamki i dwory, to dusze ludzi, którzy nie mogą pogodzić się ze stratą swoich domów i dobytku? W takim razie tutaj, na Górze Starokijowskiej, musi być cały sztab duchów”.

– To jest właśnie Łysa Góra, o którą chodzi!

Przy symbolicznym płocie – z okrągłych, niewysokich żerdzi, powiązanych czarnymi łańcuchami zwisającymi do ziemi – zamykającym podwórko od strony muzeum, stała pełna wątpliwości para. Jasnowłosa mężczyzna, z prawą nogą wspartą na łańcuchu i kołyszącą się jak na huśtawce, wskazywał dumnym palcem punkt za plecami Maszy.

Towarzysząca mu ciemnowłosa dziewczyna sceptycznie podążała wzrokiem za jego ręką.

– To tutaj w noc Walpurgi, pierwszego maja zbierają się kijowskie wiedźmy. Świętują Międzynarodowy Dzień Solidarności Pracownic! – W jego głosie słychać było ironiczną dumę: jasnowłosej najwyraźniej uważał się za eksperta i próbował zaimponować dziewczynie.

– To nie jest Łysa Góra – sprzeciwiła się chłodno. – Tam jest Łysa. – Jej palec wskazujący powędrował w dal. – Ta, na której zbudowano Szpital Psychiatryczny Pawłowa!

Mimo niewygodnego ciężaru roweru Masza zachichotała i prawie upuściła skręcone koło.

„I dlaczego” – zastanawiała się nie bez racji – „nikt nie umieszcza na nich tabliczek? To nasz narodowy skarb! Wszyscy wiedzą, że Łysa Góra znajduje się w Kijowie. Nikt jednak nie wie, gdzie się znajduje dokładnie ani ile ich naprawdę jest”.

To ostatnie nie było zaskoczeniem.

W ciągu setek lat istnienia miasta góry kijowskie, rozświetlone przez średniowieczne księgi dziejopisarskie, przechodziły wiele inkarnacji, a każde kolejne życie dawało im nowego właściciela, który obdarzał je swoim imieniem i nazwą – w tej mnogości gubili się nawet specjaliści. Mała górka, ogłoszona przez jasnowłosego Łysą, nazywała się Dietinka albo Kliniec. A duże wzgórze położone na prawo od Góry Starokijowskiej nazywano Chorewicą od imienia brata Kija – Chorewa... I Górą Zamkową, na pamiątkę wzniesionego na niej w XIV wieku i zmiecionego trzysta lat później majestatycznego zamku obronnego, z mostem zwodzonym schodzącym przez dzisiejszy Zjazd św. Andrzeja na Górę Uzdychalnicę, czyli Kisielówkę – po ostatnim wojewodzie Adamie Kisielu... Albo Górą Florowską i Florówką, ponieważ po drugiej stronie przylgnał do niej

czynny do dzisiaj żeński monaster św. Flora i szczyt wzgórza na szarych przedrewolucyjnych fotografiach zdobiła dumnie cmentarna cerkiew Trójcy Świętej tego monasteru. Używano jeszcze jakiejś nazwy...

Rzeczywiście, nazywano ją Łysą!

A która z wielu kijowskich gór nie została choć raz nazwana Łysą, skoro – jak słusznie wyjaśniła Daszy Masza – oficjalnie są cztery?

„Zdecydowanie powinni je oznakować, chociaż napisać, która z nich jest pierwsza, a która druga. I jak w ogóle je liczyć: według starszeństwa czy od lewej do prawej?”

Gdy Masza oglądała się na sprzeczącą się parę, wpadła w sam środek jakiejś wycieczki i przeprosiwszy z przestachem, położyła swój złom na ziemi i energicznie potrząsnęła zdrtwiałymi rękami.

– ...Miasto nazwane na cześć najstarszego brata: Kijów, stolica Rusi Kijowskiej i matka rosyjskich miast! – Masza usłyszała znajomy, soczysty i pewny siebie głos, który podziałał na nią jak cudowny flet na szczury. – Według starej legendy, księżę Kij jest boskim kowalem, który pokonał żmija żyjącego w tych stronach.

Gdy Masza okrążyła mały wianuszek zainteresowanych, zobaczyła górującą nad nimi Wasyliśę Andriejewnę. Jej okazałych rozmiarów sylwetkę opinała bez kompleksów suknia w czerwone maki.

– Po zwycięstwie Kij zaprzągnął żmija do pług i zaorał ziemię. Z tych bruzd powstał Dniepr, rwące potoki Dniepru i wały wzdłuż niego, zwane Wałami Żmijowymi. Wały Żmijowe, które zachowały się do dziś, zobaczymy na końcu trasy. A teraz proszę spojrzeć w prawo: widzicie państwo łabędzi śpiew architekta Rastrellego. To jedyna cerkiew w Kijowie, która nie ma dzwonów. Podejdźmy do niej bliżej...

– Dzień dobry, Wasyliśo Andriejewna – rzekła studentka.

– Witaj, Kowalowa. Zmieniłaś fryzurę? Dobra robota – pochwaliła ją obojętnie nauczycielka.

Turyści ruszyli we wskazanym przez Wasylisę kierunku. Masza próbowała nadażyć za przewodniczką, dopasowując się do jej zdecydowanego kroku. W ustach międlila jak landrynkę pytanie, ale nie odważyła się go zadać surowej Wasi.

– Kto, Kowalowa, patrząc na to topograficzne nieporozumienie – mruknęła zgryźliwie Wasylisa Andriejewna, gdy rozglądała się po niepozornej, zielonej polanie wypełnionej rozleniwioną sobotnią publicznością, bez szczególnego zainteresowania przyglądającą się metalowym tabliczkom z objaśnieniami legendarnego pochodzenia tego czy innego kamienia lub pagórka (które kiedyś były fragmentami wału i rowu legendarnego miasta Kija) – powie, że to miejsce jest jedyne w swoim rodzaju? Górę Starokijowską porównałabym do komórki jajowej, z której w ciągu dziewięciu wieków rozwinął się nie tylko Kijów, ale i sama Ruś Kijowska.

– Wasyliso Andriejewna – odezwała się wreszcie Masza. – Czy mogę zadać pani pytanie?

– Chcesz zapytać, dlaczego cerkiew św. Andrzeja nie ma dzwonów? – Profesorka od historii uśmiechnęła się do niej intrygująco.

– Nie – odparła Masza. – Chciałabym zapytać, która z czterech Łysych Gór Kijowa jest uważana za drugą?

– To cię interesuje – mruknęła rozczarowana Wasylisa.

– Pani powinna to wiedzieć najlepiej!

Ale Wasia nie łyknęła tego pochlebstwa.

– Nie, nie wiem – rzekła, zbywając komplement. – Nigdzie nie ma wzmianki o takiej klasyfikacji. Dlaczego pytasz?

– Mam zagadkę do rozwiązania – wycedziła sztywno Kowalowa.

– Więc opowiedz mi tę zagadkę w całości! – rozkazała niechętnie Wasylisa, dając odczuć, że uczennica marnuje jej czas.

– „Przyjdźcie na drugą górę i nie bójcie się: Wasilij nie zrobi wam krzywdy”. – Masza nerwowo spięła brzuch, spodziewając się, że ten bełkot całkowicie wyprowadzi surową historyczkę z równowagi.

– W takim razie to jest Czortowa Góra, pod Wzgórzem Włodzimierza – stwierdziła Wasylisa i oddaliła się.

– Proszę zaczekać. Proszę się zatrzymać! – Przy całym paraliżującym strachu, jaki wywoływała w niej zarozumiała Wasylisa Przemądra, Masza nie mogła przegapić tak ważnej wskazówki. – Co Wasilij ma z tym wspólnego? I dlaczego „nie bójcie się”?

Turyści (tym razem nie obcokrajowcy, a braterski słowiański miot), najwyraźniej znudzeni czekaniem na swojego oprowadzacza, zbliżyli się do nich, z ciekawością przysłuchując się ostatnim słowom przewodniczki.

– Właśnie, dlaczego? To ciekawe! – wtórował Maszy jeden z nich. Dziewczyna ze zdziwieniem rozpoznała w nim bruneta o tatarsko-mongolskim pochodzeniu, którego poznała w Centrum Czarów Starokijowskich.

– Ponieważ – tłumaczyła historyczka z wyraźnie znudzoną miną – książę Włodzimierz przy chrzcie otrzymał imię Wasilij. I to właśnie święci Włodzimierz i Barbara byli czczeni w Kijowie jako główni przeciwnicy magii i prześladowcy wiedźm. Wierzono, że po tym, jak na górze wzniósł się monster św. Michała i pojawiły się w nim relikwie św. Barbary męczennicy, wiedźmy na zawsze opuściły to miejsce. Wśród ludzi krążył na ten temat wiersz:

*Nasz święty Włodzimierz
strącił boga czarnego.
A męczennica Barbara*

*wiedźmy przepędziła.
Wiedźmy, co porą nocną
zlatują się na Łysą Górę.*

– Kijów był uważany w Rosji za stolicę wiedźm, tak? – zapytał inny turysta, moskwianin, sądząc po przeciąganych samogłoskach. – Czytałem w Internecie: wszystkie wiedźmy zlatywały się tutaj! I rosyjskie, i białoruskie, i ukraińskie. A Gogol pisał: wszystkie kobiety w Kijowie to czarownice!

– „Przecież w waszym Kijowie wszystkie baby, które siedzą na bazarze, są czarownicami” – poprawiła go groźnie Wasylisa, jak zawsze diabelnie wściekła z powodu niedbałego obchodzenia się z klasycznymi źródłami.

– Ale dlaczego nie mówi się o tym w Kijowie? – dziwiła się Masza.

– Bo i tak wszyscy o wszystkim wiedzą! – huknęła gniewnie Przemądra i odwróciła się plecami do irytującej uczennicy. – Proszę za mną. Cerkiew św. Andrzeja autorstwa słynnego architekta Ermitażu, Bartolomea Rastrellego. Kamień węgielny pod budowę położyła cesarzowa Elżbieta, córka Piotra. To właśnie jej ojciec, Piotr Wielki, uznał świętego Andrzeja za patrona Rosji...

– Witaj, słoneczko! – Tatarsko-mongolski brunet dołączył do Maszy. – Pamiętasz, że już się kiedyś spotkaliśmy?

– O, tak! – Masza nagle przypomniała sobie coś ważnego i mimowolnie chwyciła się za szyję, przerażona, że w trakcie burzliwej przygody mogła zgubić czyjąś cenną rzecz.

Ale jej dłoń natychmiast znalazła pod materiałem koszuli wzorzysty węzowy łańcuszek.

– Dzięki Bogu! – ucieszyła się. – Zapomniał pan o łańcuszku i książce. Książka jest w moim plecaku w domu. A łańcuszek... – Jej palce

pośpiesznie sięgnęły do dziurki od guzika w zapiętej koszuli. Ale brunet czule przykrył jej dłoń swoją.

– Daj spokój. Potraktuj to jako prezent – powiedział wesoło.

– Ale ja nie mogę – wyjąkała Kowalowa.

– Nonsens! – odparł nonszalancko. – Nie martw się, to nie było drogie. To tylko talizman na szczęście... Prawdopodobnie odkąd go założyłaś, już przytrafiło ci się coś szczęśliwego? Prawda?

– Tak – zdziwiła się Masza.

– Widzisz – droczył się z nią serdecznie, a z jego lekkiego, ciepłego tonu Masza wywnioskowała, że mówiąc „coś szczęśliwego”, miał na myśli radość i szczęście małej dziewczynki, a nie ogromną, niemożliwą rzecz, która przydarzyła się jej w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. – Nigdy go nie zdejmuj. Czy mnie słyszysz? Pa, pa!

Na pożegnanie pomachał nad głową dłonią i pośpiesznie ruszył w kierunku znikającej wycieczki.

– A co z książką? – krzyknęła za nim zakłopotana Masza.

Brunet odwrócił się, zwolnił na chwilę kroku, machnął znów ręką.

– Zatrzymaj ją. Może przeczytasz *Białą gwardię*.

Masza chciała odrzec, że na pewno. Ale zdała sobie sprawę, że hojnego bruneta wcale to nie interesowało i nawet nie zauważył jej nowej fryzury.

„Po prostu uprzejmy i dobry człowiek” – pomyślała, patrząc na niego z wdzięcznością i przyciskając dłoń do piersi, gdzie skrywał się przed ciekawskimi spojrzzeniami najszcześniejszy talizman świata.

Z dziennika N

Ale kiedy kajdany zostaną rozluźnione przez przyływ adrenaliny lub zastrzyk alkoholu, zabija się wbrew wszelkim tabu! A najłatwiej zabijają ci, którzy są najmniej zepsuci przez cywilizację...

„Menele, szumowiny, szaleńcy – zwierzęta!” – powiecie.

Dlaczego jesteście tak dumni ze swojej cywilizacji? Ponieważ upudrowała wasze życie różowym makijażem, pozwalając wam zapomnieć, że każdy stek, który zamawiacie w restauracji, rozpoczął swoje życie w krwi z rzeźni. Zjadacie owoc morderstwa, naciągacie na siebie jego skórę, śpicie na nim i uważacie się za niewinnych. Zapominając, że to niewinność kastratów! Jesteście udomowionymi drapieżnikami pozbawionymi swojej istoty, a gdyby odebrać wam cywilizację, większość z was nie potrafiłaby nawet zarznąć świni – umarlibyście z głodu, płacząc, z bezużytecznym nożem w ręku. Wasz postęp uczynił z was to, co nie udało się Chrystusowi – kastratów i żywe trupy, których wątłe instynkty zaspokajają telewizyjne szczyzny, tak jak wy zaspokajacie instynkty swoich biednych kotów pigułkami zbijającymi libido.

Gdybyście w głębi duszy nie pragnęli śmierci, ludzkość nie wpatrywałaby się tak łapczywie w morderstwa na ekranie. Świat sztuki zawsze zaspokaja niespełnione pragnienia konsumentów – nawet te, które klient boi się głośno nazwać. Jeśli to kupujecie, to znaczy, że tego potrzebujecie!

A cywilizacja zaspokaja wasz głód krwi, zastępując go krwawymi doznaniem i filmowym keczupem...

Rozdział dziewiąty

w którym Dasza uczy się latać

Goryczuszka, inaczej zwana goryczką gorzkawą. Zbiera się ją w dniu świętego Jana na Łysej Górze, nad Dnieprem, pod Kijowem.

~ Papus, *Czarna i biała magia*

Katerina Dobrzańska nigdy nie wybaczała ludziom, którzy choćby na sekundę wzięli nad nią górę. Ale o dziwo wybaczyła Maszy prawdę – tak jak się wybacza lekarzowi, który zanim jeszcze zada ci ból, jednym precyzyjnym ruchem przecina ropień, a ty od razu zakochujesz się w jego sprytnych, miłych, wyrozumiałych dłoniach.

Gdy tylko Masza Kowalowa głośno nazwała lęki Katii, stały się one tak naturalne i banalne, że prawie przestały być lękami. Katia zasnęła zaraz po tym, jak naciągnęła pled na uszy. Nastroju nie popsuł jej nawet fakt, że obudziła się i tuż przy swojej szyi znalazła wibrujący mruzeniem rudy grzejnik, Izydę Puszek, a zaraz za nią roztrzepaną zakolczykowaną idiotkę, która w czasie jej snu zamieniła mieszkanie w psychiatryk i kompletnie zdurniała.

Dasza natychmiast oświadczyła, że mieszkanie (na które nie miały żadnych dokumentów) należy do nich, że to nie Wasilija Fiodorowicza

trzeba się bać, tylko księcia Włodzimierza z Rusi Kijowskiej (który zmarł tysiąc lat wcześniej), i że tej nocy powinny odwiedzić obie góry. (Chociaż na spacer o zachodzie słońca, który oznaczał osobiste spotkanie z K. D., Katia zgodziła się z rezerwą, warto było spróbować).

Jednak najważniejszym odkryciem „idiotki” była szafa gospodarcza z zapasami mydła i dezodorantów oraz miotłami i szczotkami do sprzątania podłóg, do których w nieznanym sposobie dołączyła ciężka bela ze złożonym spadochronem paralotni. A teraz, stojąc przy otwartych drzwiach balkonowych, Dasza, podekscytowana i zdenerwowana, wsadziła miotłę między nogi i skakała po podłodze, błazeńsko, ale z niezwykłym uporem. Belladonna i Izyda Puszek, w bezpiecznej odległości od niej, kręciły synchronicznie głowami w górę i w dół, obserwując jej dwudziestocentymetrowy „lot”. Jak można było się spodziewać, przeklęta miotła nie wykazywała skłonności do magicznych akrobacji!

– I co, znalazłaś? – zawołała Czub do Maszy, która skrupulatnie wertowała jedną z książek przywiezionych z domu. – Jest tam coś o lataniu?

– Na paralotni? – zakpiła Katia.

– Na miotle!

Kowalowa spojrzała na swoją przyjaciółkę z powątpiewaniem.

– Daszko, przecież nam się nie spieszy, prawda? – oznajmiła uspokajająco.

Katia przytaknęła. Delikatna studentka zaczynała jej się podobać coraz bardziej i bardziej. W piersi zdradziecko musowało coś ciepłego, ludzkiego, jakby pragnienie, by podziękować, nauczyć, pomóc...

– Co to znaczy, że się nie spieszy? – Wstrząsająca Dasza Czub zziajała się. – Jest tam wyraźnie napisane: zobaczysz ogień na niebie i tam POLECISZ! Powinnaś przynajmniej wypróbować swój sprzęt! – Obraziła

się z powodu takiego zubożenia. – Specjalnie przykręciłam twoje siodełko do miotły. Będiesz jak Małgorzata. To miłe uczucie, prawda?

– Bardzo.

Nawet przykład uwielbianej Małgorzaty Mikołajewny, która na miotle przeleciała z Moskwy do Kijowa i z powrotem do Moskwy, nie rozwiązała mrozących krew w żyłach wątpliwości Maszy. Niezależnie od tego, jak daleko sięgała jej wiara w cuda, Masza była dzieckiem XXI wieku i zdolność latania na drewnianym patyku budziła w niej nikły entuzjazm, zaś lekkomyślna wiara w możliwość startu przez skok z piętnastometrowej wieży, która zadomowiła się w duszy Daszy, wydawała się wręcz niebezpieczna. Czub wiedziała, że żadne literackie przykłady nie są w stanie przekonać Maszy do tego koszmarnego wyczynu!

– Co tak siedzisz? Jest wpół do dziewiątej. Wkrótce będzie zachód słońca! – Czub napierała na Katię.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Katia piskliwie. – Wolałabym tutaj zostać. Kiedy wyrznisz o asfalt, będzie miał kto wezwać karetkę.

– To musi jakoś latać!!! – wrzasnęła z wściekłością Czub, odrzucając nieszczęsną szczotkę.

– Naprawdę? – Katerina uniosła sarkastycznie brwi. – Tak, moi drodzy, dawno nie byłam w cyrku!

– Idiotka! – krzyknęła Dasza. – W szafie jest pełno mioteł! Jest też balkon bez poręczy – jakby specjalny, startowy! I co to, twoim zdaniem, znaczy?

– Na trasie pod Kijowem są dziesiątki mioteł. Handlarze sprzedają je po trzy hrywny za sztukę. Wiesz może, czy mają tam lotnisko krajowe?

– Wiedźmy latają na miotłach! Wszyscy to wiedzą! Nie ma nad czym dumać, ja w ciągu dnia już to przemyślałam...

– Poważnie? Na dodatek potrafisz myśleć? – drwiła Dobrzańska.

– W dzieciństwie marzyłam o byciu astronautką!

– To jest niepodważalny dowód – odparowała z uśmiechem Katerina.

– A więc... Kijów to bardzo ważne miasto pod względem aeronautyki! – rzekła z ekscytacją niedoszła astronautka D. Czub. – Tutaj urodził się Igor Sikorski, który skonstruował pierwszy śmigłowiec. I Siergiej Korolow, który jako pierwszy wystrzelił raketę w kosmos. Nasz chłopak, z Żytomierza, studiował w Instytucie Politechnicznym w Kijowie, tak jak Sikorski... Przegapiłyśmy tylko wynalezienie pierwszego samolotu! Ale to Piotr Niestierow wykonał pierwszą „martwą pętlę” samolotem nad Kijowem. I pierwsze na świecie samoloty wielosilnikowe Russkij Witiaż i Ilja Muromiec również skonstruował Sikorski! Później, w czasie wojny, Muromiec posłużył jako podstawa dla pierwszych bombowców i dywizjonów! A dlaczego to wszystko? Bo w Kijowie ZAWSZE latali!

– Gdyby pani tego domu latała na miotle, nie trzymałaby w szafie paralotni. – Katia sprowadziła na ziemię „kosmonautkę”.

– Ach ty! Ty! – zawyła uziemiona pilotka.

– A jeśli nie jesteśmy czarownicami? – zważyła Masza.

Czub zamarła z otwartymi z oburzenia ustami, patrząc na nią jak na ostatnią zdrajczynię.

– Przecież sama mówiłaś... Pierwsza na to wpadłaś! – zaczęła płaczliwie.

Ale Masza już przykleiła się do biblioteczki, próbując wyciągnąć odpowiedni tom słownika, ściśnięty przez swych pozłacanych braci.

– Ani w liście, ani w książce nie ma słowa „wiedźma” – stwierdziła z niepokojem Kowalowa. – Tylko „Jasna Kijowica”. Niespotykane określenie, nigdy wcześniej go nie słyszałam. A co, jeśli to nie jest synonim, tylko...

Słownik w końcu dał się oswobodzić, a Masza rzuciła się na niego zapalczywie. Dasza czekała w napięciu, zerkając na swoją miotłę – gdy chodziło o książki, jej przyjaciółka zwykle nie strzepiła języka.

– „Kijowica”. – Studentka odnalazła pożądane słowo. – Znaczy „nietęga wiedźma”.

– Masz na myśli chudość? – Dasza wzdrygnęła się, mimowolnie chwytając za zbyt obfitą talię. – Co to ma znaczyć? Przyjmują tylko chude?!

– No tak! – rozweseliła się Katerina. – Już pamiętam! Oglądałam program o inkwizycji. Mówili coś takiego, że jednym ze sposobów rozpoznawania czarownic było ich ważenie! Uważano, że czarownice są bardzo lekkie, bo inaczej jak miotła miałyby je unieść?

Dasza z frustracji przewróciła oczami. Katia zaś roześmiała się histerycznie.

– To dlatego twój kij nie chce latać – boi się, że się pod tobą złamie!

– „Nietęgi” znaczy byle jaki, nieprofesjonalny – zaprotestowała ostro Masza, patrząc Katii prosto w oczy i rzekła: – Czemu to ma służyć? Może będzie lepiej, jeśli wszystkie sobie wygarniemy?

– Przecież to herezja – stonowała Katerina.

– Może pani po prostu odejść – oznajmiła łagodnie Kowalowa. – Ale pani tego nie robi, bo bez względu na wiarę w tę historię o wiedźmach, wie pani, że musimy wyjaśnić, co się z nami stało.

– Sama przed chwilą tak powiedziałaś: nie jesteśmy czarownicami!

– A kim jesteśmy? Nedorobionymi półproduktami?! – Dasza gorzko użalała się nad swoim losem.

– Może tak byłoby lepiej – mruknęła Masza i wróciła do lektury: – Słuchaj... Mam coś jeszcze, ale nie chciałam ci mówić... „Lot na sabat odbywa się wierzchem na miotle, którą w tym celu smaruje się specjalną

maścią. Mikstura ta jako podstawowy składnik zawiera sadelko niemowląt, które dostarcza wiedźma lub sam demon”.

– Ja dzieci kroić nie będę! – zastrajkowała przestraszona Czub.

– Chodzi mi o to, że... Jeśli wierzyć książkom, wiedźmy nie są zbyt dobre.

– A twoja Małgorzata? – Dasza dotknęła „świętości”. – Przyleciała na bal Wolanda. I nikogo w tym celu nie zabiła!

– Azazello dał jej gotową maść – skwasiła się wreszcie Masza – „tłustą” i „żółtawą”.

– Czy uważasz, że Małgorzata smarowała się tłuszczem z dzieci? – westchnęła Czub.

– Nie zdawała sobie sprawy! – Kowalowa broniła zaciekle ulubienicę.

– Brednie! – podsumowała dźwięcznie Katia. – W tym programie mówili, że jeśli się wciera w skórę preparaty takie jak belladonna lub atropina, można uzyskać wrażenie lewitacji, iluzję latania. Latanie na miotle to halucynacje. A czarownice są po prostu pierwszymi narkomankami!

– Mhm – mruknęła rozczarowana Dasza Czub. Obie wersje były równie kiepskie: albo morderczynie, albo ćpunk!

– Sadelko niemowląt – prychnęła ze szczerym oburzeniem milcząca dotąd Belladonna. – To średniowiecze i w dodatku zapadnicze! Słowiańskie czarownice stosowały wywar z bielunia i goryczuszki! Wcierały go pod pachy lub...

Katia przyłożyła dłoń do serca i głośno odetchnęła, nie spuszczać wzroku ze śnieżnobiałego kota.

– Przecież prosiłam! – zawołała z wyrzutem Masza.

– Dezodoranty? Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś? – krzyknęła Czub.

Belladonna zmarszczyła brwi i odwróciła się, najwyraźniej sądząc, że te dwa rozbieżne pytania składają się na dość wyczerpującą odpowiedź.

Dasza, tupiąc, rzuciła się do korytarza.

Masza – do omdlałej Katii.

– To nic, nie trzeba – rzekła Katia ponuro. – Niech się dzieje. Inaczej nie uwierzę. Mogę wymyślić każde wytłumaczenie, ale... Swoją drogą – natychmiast chwyciła się brzytwy – przeczytałam ostatnio, że Japończycy wynaleźli tłumacza dla psów i kotów! Specjalne urządzenie przekłada szczekanie na angielski: „Jeść daj!”, „Nie chcę”, „Dość”. Może już dostosowali je do języka rosyjskiego? To znaczy, mamy wielu speców...

– Racja – zgodziła się z nią poważnie Masza Kowalowa.

– To jak, lecimy?! – Dasza wbiegła do pokoju z dezodorantem w rękach.

„Kosmonautka” wręczyła go zdezorientowanej przyjaciółce, ponownie chwyciła miotłę, dosiadła jej i wskoczyła na dywan.

– Lecimy! – przytaknęła z histerycznym uśmiechem Katia, czując się już po raz trzeci dzisiaj tak, jakby zupełnie straciła rozum. – Lecimy! Musisz wreszcie zrozumieć, że halucynogen to halucynogen! Ilu ćpunów wypadło przez okno? Ludzie nie latają!

– Jeszcze jak latają! Patrz!!!

Czub energicznie wskoczyła na betonową platformę balkonu z odpadniętą balustradą. Przykucnęła, ugięła spięte kolana, spojrzała bojaźliwie w dół na asfalt Wału Jarosława, zacisnęła zęby i... oznajmiła z rozpaczą:

– Wiecie co? Może lepiej wezwijmy taksówkę.



– A wy co, na sabat? – zaśmiał się młody kierowca na widok trzech dziewczyn różnego kalibru, z których jedna z jakiegoś powodu trzymała miotłę dozorca.

– Tak, na sabat – odpowiedziała Dasza z kokieterią profesjonalnej konferansjerki.

– Zabierzecie mnie ze sobą? – Zaciekawiony kierowca wyciągnął szyję.

– Nie, nie zabierzemy – odwarknęła Czub. – Wjazd mają same dziewczyny.

– Proszę patrzeć na drogę – dodała rzeczowo i apodyktycznie Katia.

Masza, która nie miała umiejętności zawodowych w żadnym z podtypów komunikacji, rozważnie oddała się swojej profesji – dumaniu:

„Co to w ogóle znaczy «nietęga wiedźma»?”

Kiedy mówimy o kimś, że z niego „fachman nietęgi”, to mamy na myśli niezbyt dobre wykonywanie obowiązków, podobnie jak „nietęga mina” może wyrażać niepewność czy zakłopotanie „nietęgiego umysłu”. Jednak zgodnie z powszechnymi wierzeniami do obowiązków zawodowych czarownic należą tylko czyny szkodliwe i złe uczynki. I nawet uwielbiana przez nią Małgorzata Mikołajewna, zamieniwszy się w wiedźmę, natychmiast zaczęła bombardować mieszkanie krytyka Latuńskiego, a swojego niewinnego sąsiada zamieniła w świnie.

Ale czy to oznacza, że „nietęga wiedźma” jest zbyt dobra, by być wiedźmą, czy też po prostu Masza bardzo chce uwierzyć w taką odpowiedź? Z drugiej strony w żadnym z kanonicznych opisów czarownic nie ma mowy o tym, że mają one obowiązek co noc czuwać na górach, „żeby zatrzymać to, co może pogwałcić Prawdę”. Każdej nocy! To trudniejsze zadanie niż praca taty!

„Moja moc jest waszą niewolą” – mruknęła groźnie nieszczęsna Kyłyna w głowie Maszy.

„Niewidzialna i wolna!” – krzyknęła ukochana Małgorzata Mikołajewna.

W słowach tych dwóch była wyraźna sprzeczność...

– Co, nie weźmiecie ani jednego chłopaka? – Taksówkarz nie dawał za wygraną. – Nie no, poważnie, co kombinujecie?

– Świętujemy ukończenie szkoły. A dokładnie zakończenie instytutu. – Dasza nawet się nie zająknęła, gdy łągała.

– Który z nich?

– Teatralny.

– Widać, że aktorki! – zarżał rozanielony kierowca. – Zostawicie numer telefonu?

– Przepraszam bardzo – zachichotała Dasza Czub. – Albo pieniądze, albo telefon.

Kierowca natychmiast spowaźniał i wybrał pieniądze. Samochód wjechał na gasnącą ulicę Trzech Świętych Hierarchów, wypełnioną długim, rozległym ogrodzeniem odbudowanego monasteru św. Michała, który przyblokował niegdyś otwarty ze wszystkich stron park.

– Tutaj. – Dasza poleciła zatrzymać samochód przy stiukowym klasztorным ogrodzeniu starej rezydencji, która prawdopodobnie była blisko zaprzyjaźniona ze stojącą tu wcześniej cerkwią ku czci Michała Anioła. – Proszę tu na nas poczekać, to nie zajmie długo – skłamała na wszelki wypadek i pochwaliła się dumnie: – Za mną, znam tu każdą dziurę!

Katia skrzywiła się otwarcie i podsunęła taksówkarzowi sto hrywien:

– W każdym razie proszę poczekać.

Podążając za ruchem ręki Daszy, trio wskoczyło w jakąś ukrytą bramę i minawszy nieregularne trójkątne podwórze utworzone przez kilka domów, skręciło w wąską kamienną szczelinę między murami.

– Proszę – zaprosiła Dasza i wkroczyła w mlecznoszary półmrok parku. – O, jak tu przyjemnie!

– „...na tarasach najlepszego miejsca na świecie, Górki Włodzimierskiej!” – Kowalowa zakończyła cytatem.

– Bułhakow? – Czub wyczuła wysokie tony. (Z całym szacunkiem, ale prymuska za bardzo zafiksowała się na punkcie pisarza). Teraz jednak i ona poddała się chwili: – „Stoję na górcie, na Włodzimierskiej. Wizja szeroka – i dla pióra bezmiar!” – Z dumą przytoczyła innego klasyka i ryknęła: – „Yo, ho, ho, i butelka rumu!”.

Nadchodząca noc w połowie rozproszyła dzień, a sobotni kijowianie nadal wylegiwali się na letnich ławkach i wisieli na niskim ogrodzeniu, podziwiając widoki zapierające dech w piersiach. W owalnej altance nad urwiskiem całowała się mocno przytulona para, a rozmarzona Dasza wciągnęła powietrze nozdrzami, przypominając sobie, jak kiedyś, na pierwszym roku, na tej właśnie ławeczce, pod metalową koroną zadaszienia, pocałowała swoją ówczesną wielką miłość.

Od altany o szarym koronkowym kapeluszu droga biegła stromym półkolem w dół, na niższy taras, gdzie stał pomnik księcia Włodzimierza z krzyżem oświetlonym elektrycznymi lampami. Na prawo od żeliwnego Chrzciciela Rosji wytyczono pięć symetrycznych alejek, którymi przechadzało się kilku spóźnialskich miłośników miasta. Po lewej stronie, na okrągłej ławce okalającej dąb, siedziała wesoła grupa studentów, uzbrojona w kilkanaście butelek piwa.

– To dziwne – zauważyła Dasza. – Jak to możliwe, że Łysa Góra znajduje się rzut kamieniem od Krieszczatiku? Myślałam, że wiedźmy powinny zbierać się w jakichś odludnych miejscach.

– Kiedyś było to miejsce opuszczone – wyjaśniła Masza. – Wcześniej z Górnego do Dolnego Miasta można było się dostać tylko ulicą Zjazd

św. Andrzeja. Nie było kolejki linowej. A Zjazd Aleksandrowski, ten, który jest teraz Włodzimierskim, łączący Krieszczatik z Podolem, zrobili dopiero w 1850 roku. Dziesięć lat nad nim pracowali... Co więcej, Krieszczatik został zbudowany zaledwie dwieście lat temu, a Kijów tysiąc pięćset!

– A ja słyszałam, że mniej – rzekła Katia.

– Albo więcej. Oficjalna wersja głosi, że tysiąc pięćset. W rzeczywistości nikt nie wie dokładnie, ile ma lat. Historycy wciąż się spierają. Wyobrażasz sobie – zwróciła się Masza do Czuba – jaka tu była ogromna gęstwina, aż do Dniepru! Gaj Peruna. A kiedy księżę stracił stąd drewnianego bożka, czarownice opuściły to miejsce...

– One odeszły, a my się zadomowiłyśmy! – Dasza uśmiechnęła się radośnie. – Wychowałam się tutaj, na ulicy Dziesięcinnej. Moja babcia całe dzieciństwo chodziła ze mną na spacer po Górze Włodzimierskiej. Może kiedyś robiłam babki na Czortowej Górze!

– A mój zastępca mówi, że okna naszego biura również wychodzą na Łysą Górę – uśmiechnęła się Dobrzańska.

– Zamkowa, Chorewica, Florówka, Kisielówka – przytaknęła poważnie Masza Kowalowa. – Wiele osób uważa, że jest jeszcze piąta. Nazywa się też jakoś inaczej, chyba Kijowianka...

– Zaczekajcie! – Czuba krzyknęła dziko.

Katia i Masza zatrzymały się.

– Nie w tym sensie. – Machnęła rękami z podekscytowaniem. – Wychowałam się w pobliżu Łysej Góry, ty pracujesz w jej sąsiedztwie! A co z tobą? – Spojrzała wymownie na Maszę.

– Ja nie – odparła Masza zdezorientowana. – To się nie trzyma kupy. Ani jednej nie mam blisko siebie.

– Szkoda. To mogło być jakieś wytłumaczenie. No to prowadź, Susaninie! – Czuba poklepała Maszę zachęcająco po ramieniu. – Pokaż,

gdzie jest to małe wzniesienie?

Zeszły na wyłożoną cegłami ścieżkę i ruszyły w stronę kolejki linowej. Wieczór mienił się błękitem. Etatowy „Susanin” z zakłopotaniem rozglądał się wokół, przypominając sobie, że w XIX wieku do budowy nowych platform i tarasów Górkę Włodzimierską zasypano ziemią z posiadłości Meringa, dlatego teraz prawie niemożliwe było prawidłowe określenie wieku tego czy innego „wzniesienia”...

– Może ta? – wskazała na półokrągły występ na dolnym tarasie. – Albo tu? Albo tam, gdzie znajduje się altana Kokoriewa?

– Tak, zorganizowanie spotkania w altanie ma sens. – Dasza mimowolnie pomyślała o zakochanej parze. – Dobrze, poczekamy tutaj.

Cała trójka usiadła na ławce.

Czas płynął powoli. Piętnaście minut później było już prawie zupełnie ciemno, a nad nimi zapaliły się dwugłowe parkowe latarnie. Dniepr, który miał płynąć poniżej, zawisł przed nimi jak nietypowa fototapeta. Obok, w jednym punkcie zbiegały się szosa Naberiezna i Zjazd Włodzimierski, po prawej stronie w kłębowisku świateł błyszczał plac Pocztowy, a na górę wjeżdżała czterostopniowa kolejka linowa.

„To znaczy, że nie ma jeszcze jedenastej” – pomyślała Dasza, a jej kwitnąca twarz przygasła i napięła się. Zachód słońca, pod koniec którego miał się pojawić tajemniczy korespondent, minął już całkowicie. Sądząc po panującej wokół ciszy, niespokojni studenci dawno się oddalili, żeby uzupełnić zapasy rozweselającego trunku.

– Czy nazwa Krieszczatik pochodzi od krzyża? W sensie chrztu? – wybełkotała do Maszy.

– Według jednej z wersji – zgodziła się posłusznie. – Tam – wskazała brodą w kierunku góry, po prawej stronie Zjazdu Włodzimierza – pod

niższym pomnikiem Włodzimierza płynie potok Krieszczatik, w którym ksiązę chrzczył swoich synów. To miejsce święte!

– Mamy święte i diabelskie miejsca jak na szachownicy – mruknęła Czub. – Tfu, jak ciemno!

Poza nimi trzema na pogrążonym w ciemnościach dolnym tarasie wzniesienia nie było nikogo innego. Ale Dasza się nie bała, czuła tylko niesmak i pustkę na myśl, że ich „konceptualne *rendez-vous*” się nie powiodło. K. D. nie pojawił się, a bardziej prawdopodobne było, że schrzaniły sprawę i przyszły w niewłaściwe miejsce. Ich etatowa mądrała najwyraźniej przesadziła z wnioskami. Kogo miałyby się tu bać? Pomnika, który znał ją bardzo dobrze od dziecka – zarówno jako pięciolatkę z głupią plastikową kaczką w ręku, jak i dorosłą, która pod jego postumentem oddawała się zakazanym nastoletnim pieszczotom? I jak on teraz miał im pomóc? Niedorzeczne!

– Pamiętacie Bułhakowa? – odezwała się na głos zamysłona Masza, próbując sobie przypomnieć, gdzie jeszcze całkiem niedawno słyszała ten romantyczny cytat. – „Nad Dnieprem, z grzesznej i krwawej ośnieżonej ziemi, wznosił się w czarne, mroczne wyżyny północny krzyż Włodzimierza...”

– Mam dość ciebie i Bułhakowa! – wściekła się Dasza. – Wiesz, trzeba być mądrym z umiarem! A potem masz pięć gór, czarownice, które nie są czarownicami, i Wołodię, który jest Wasją!

– Nie krzycz na nią! – rzuciła surowo Katia. – Sama, jak sądzę, nie odróżniłabyś Włodzimierza Światosławowicza od Włodzimierza Monomacha nawet przy pomocy lupy!

Czub zamrugała zdezorientowana i zamilkła, pospiesznie i bezskutecznie próbując przypomnieć sobie dziesięć różnic między dwoma historycznymi imiennikami i sprzeciwić się przemądrzałej „cioteczce”. Ale

nie mogła: zawsze wierzyła, że na Rusi był tylko jeden książę Włodzimierz! Tak jak Łysa Góra w Kijowie! A okazało się, że było ich mnóstwo!

– A jeśli Wasilij to jednak Wasilij? – Katerina uprzejmie przypomniła o swojej wersji.

– Nie – sprzeciwiła się z werwą Czub. – List był zaadresowany do całej naszej trójki! Dlaczego ona i ja mamy się bać twojego faceta?

– Dobrze, nie ma tematu. Inne pytanie: czy to nie logicznie przyjąć, że pierwszą górą jest Starokijowska, na której zbudowano pierwsze miasto? A tak w ogóle, to tam przecież mieszkał i został pochowany książę Włodzimierz, czyli Wasilij, inaczej Światosławowicz. – Katia rzuciła moralizatorskie spojrzenie w stronę Czub.

– A ty skąd to wiesz? – odgryzła się Dasza.

– Nie jestem całkiem głupia – odparła Dobrażańska. – Kiedy byłam w twoim wieku, nadal chodziłam na wycieczki.

– Ale Góra Starokijowska nigdy nie była uważana za Łysą! – sprzeciwiła się Masza Kowalowa.

– A co, czarownice oficjalnie opatentowały swoje góry i zgłosiły współrzędne do urzędu miasta? – Dasza poczuła, że ostro zawiodła się na wszechwiedzącej mądralińskiej. – To, co jest napisane w waszych książkach, to takie same plotki i domysły, jak i wszystko inne! Nawet nie wiecie, ile lat ma Kijów! A gdzie w Kijowie zbierają się czarownice, to wiedzą tylko one! Może w takim miejscu, o którym nikt by nawet nie pomyślał. A tak w ogóle to ja pierwsza to powiedziałam! – warknęła, kompensując urażoną przez Katię godność. – To jest góra, która „zrodziła miasto”! Dlatego nie określił godziny: wiedział, że pojawimy się tam, jak wczorajszej nocy... Myślę, że było około jedenastej! A dziś jest jeszcze wcześniej... Lepiej mi podziękujcie, że nie zwolniłam taksówki!



– Słuchaj, Siergieicz, ty na pewno... no wiesz? – Mikołaj Pietrowicz rozglądał się z zakłopotaniem i niepokojem. – W nocy, samowolnie, do kolektora. Co nowego chcesz tam zobaczyć?

Stali na szczycie kamiennych schodów, które od ulicy Teligi wspinały się na wzgórze cerkwi św. Cyryla. A z każdą sekundą zdumienie na twarzy Pietrowicza stawało się coraz bardziej malownicze i przesadzone.

– Przecież nie jestem sam, tylko z tobą – odpowiedział Siergieicz.

– Przylazłem tu tylko po to, żeby cię powstrzymać, głupcze! – odparował Pietrowicz.

– Spójrz, co tam jest? – Ojciec Maszy przerwał mu i spojrzał przez jego ramię.

Pietrowicz odwrócił się niechętnie, ale zobaczył tylko posępną białą cerkiew, w której, według jego przyjaciela i gorących wiadomości, bezbożni mordercy złożyli w ofierze dwudziestodwuletnią dziewczynę...

– Ej, chyba ktoś tam biegnie – rzekł Pietrowicz, dygocząc i nadstawiając ucha w kierunku niepokojącej świątyni. – Tam, od strony psychiatrycznego... Może to pies.

– Nie. – Włodzimierz Siergiejewicz sposepniał. – To człowiek. W czerwonej kurtce. Tak nosi się młodzież...

– Nikogo tam nie ma!

– Chodźmy sprawdzić.

– Ale kto wie, kto to mógł być! – oburzył się przyjaciel.

– Kola, już ci tłumaczyłem, coś jest nie tak.

– To oczywiste, że nie tak! – wybuchnął Mikołaj. – Jak trup mógłby być „tak”?! I pewnie, że mi szkoda tej dziewczyny. Ale czego ty tutaj szukasz,

mądrzejszy od wszystkich? Sam mi mówiłeś, ilu policjantów zjechało się tu wczoraj. Myślę, że dadzą radę bez ciebie.

– Co ty, nic nie rozumiesz?! Ona uczyła się z moją Maszką! – zakipiał Włodzimierz Siergiejewicz, wyciągnąwszy z determinacją brodę. – Masza jest zakochana w tym parszywcu. A jego dziś wypuścili! Myślałem, że śledczy jest normalny, ale on... – Ojciec Maszy machnął ręką z niesmakiem. – Jest taki jak wszyscy! Mówiłem mu, że jaskinie Cyryła są otwarte! A oni bali się postawić w nich nogę.

– Więc tam się wybierasz?! – zważał Pietrowicz. – Nie, Siergiejewiczu, nie idziesz do jaskiń, twoja droga prowadzi prosto do Pawłowki! Prosto i w prawo. – Wskazał ostro, przecinając powietrze krawędzią dłoni. – Całkiem już zdurniałeś? Wiesz równie dobrze jak ja, że tam wszystko trzyma się na soplach! A nasi policjanci nie są samobójcami. Dziewczynę zamordowano w cerkwi. Więc czego, do diabła, szukasz pod ziemią?!

– Coś tam jest – rzekł z uporem Włodzimierz Siergiejewicz. – Czuję, że jest.

– Dość już tego! Idziemy do domu – zbuntował się kolega. – Ostatni raz mówię! Jesteś gieroj, już wystarczy!

– Ej, jesteś ze mną czy nie? – Włodzimierz Siergieicz zapamiętała zacisnęła szare wargi.

– Na mnie pora! Nie mam cierpliwości! Kim ty chłopie jesteś? – poskarżył się z oburzeniem Kola. – Zawsze się w coś pakujesz! Już raz łapaliśmy kłusowników na twojej działce! Pamiętasz, jak to się wszystko skończyło?

– Boże, ale z ciebie baba – skrzywił się pogardliwie Włodzimierz. – Idę. Szkoda gadać... Zmarnowałem przez ciebie czas. Gdybym nie musiał się z tobą przepychać pół dnia, byłbym tu już o piątej.

– No to przyjdziemy tu jutro, za dnia! – rzekł, szukając porozumienia, jego partner. – Czemu tak ci się pali, i to w środku nocy?

– Pod ziemią zawsze jest noc – mruknął ponuro Włodzimierz Siergiejewicz. – Teraz czy w dzień, na to samo wyjdzie. A nocą nawet lepiej. Oni teraz tu przychodzą... Dobra, wracaj do domu, do swojej żony!

Mikołaj Pietrowicz pozostał na placyku i wpatrywał się z zakłopotaniem w plecy odchodzącego przyjaciela. Splunąwszy, usiadł na krawężniku.

„Przecież nie mogę go zostawić samego” – pomyślał wzburzony i koił swoje zakłopotane sumienie, które pozostawało w niemożliwym do pogodzenia konflikcie ze zdrowym rozsądkiem ojca rodziny. „Może to dobrze, że ktoś został na górze. Jeśli nie wróci w ciągu godziny, zejść na dół i zobaczę, co się dzieje. Cóż Siergieiczu, jesteś nienormalny”.

Zacisnął usta z niesmakiem i rozejrzał się niepewnie. Gdy tylko Kowalów zniknął wśród drzew na zboczu Cyryła, zniknęło poczucie bezpiecznej cywilizacji, a zrobiło się ciemno i niepokojąco, jak w lesie. I nie pocieszała go myśl, że rozświetlone i jasne centrum jest gdzieś w pobliżu. Zaledwie kilka kroków... Mimo wszystko Kijów to dziwne miasto! Dzwne miejsce. Ciemność i absolutna, przygnębiająca dla uszu cisza.

Nie, Mikołaj Pietrowicz nie bał się ciemności. Po prostu ciemność go zaniepokoiła. Ale jeszcze bardziej przygnębiała go niepewność co do jego położenia i coś jeszcze – jeszcze bardziej niepewnego, niejasnego i nienazwanego.

Przekłeta cerkiew zdawała się spoglądać na niego ciężkim i przygniatającym spojrzeniem ofiary gwałtu, podczas gdy szpital dla obłąkanych za swym ogrodzeniem szczyrzył się cicho i bezszelestnie

podpełzał coraz bliżej, wyciągając ku cerkwi swoje szalone, upiorne, śmiejące się ręce...

Dopiero teraz zauważył, że wszystkie latarnie na schodach są rozbite. To na pewno nie przypadek...

W domu po drugiej stronie ulicy zgasły światła. Najpierw jedno okno, potem drugie.

A potem światło całkowicie zniknęło.

Dla Pietrowicza zgasło już na zawsze. A piętnaście minut później zniknęło także dla Włodzimierza Siergiejewicza. Bo ziemia, w której brzuchu wędrował przez kręte korytarze jaskiń Cyryła, nagle, z powodu straszliwej i cichej eksplozji, zadrżała i całym swoim wielkim, ciemnym i kruchym ciałem rzuciła się na niego, przykrywając go sobą.



Późnym wieczorem piątego lipca na Górze Starokijowskiej zacumowała wytworna różowa limuzyna z lat trzydziestych ubiegłego wieku, z której wysiadł znany ukraiński prezenter telewizyjny z butelką radzieckiego szampana w ręku. Za nim z samochodu wyłonił się nieznany długi chłopak i długowłosa dziewczyna z ulizaną fryzurą w kolorze ciemnego blondu.

– E, patrzcie, czarownice! – zaśmiał się długi, wskazując na trzy kobiety, które siedziały na schodach muzeum historycznego, jeszcze ciepłych od gorącego letniego dnia. U ich stóp leżała rozczochrana miotła.

– Pewnie jakieś miejskie wariatki – wyjaśnił ostrożnie i nerwowo prezenter.

– A jeśli to naprawdę czarownice? – Dziewczyna rozpromieniła się, a w jej głosie słyhać było tak szczerą wiarę w możliwość dokonania niemożliwego, że prezenter telewizyjny, który zamierzał dziś świętować

swój sukces w tym romantycznym zakątku Kijowa, nagle postanowił nie ryzykować.

– Napijmy się tam – powiedział, wskazując dłonią na drugi koniec alei Krajobrazowej. – Albo jeszcze lepiej, jedźmy do Matki Ojczyzny!

– Jak sobie życzysz – zgodził się długi obojętnie.

Jasnowłosa rzuciła ostatnie niezadowolone i zaciekawione spojrzenie na enigmatyczne właścicielki miotły i limuzyna odjechała...

– A jeśli masz rację? – zapytała ponuro Dasza Dobrażańska.

Spojrzała na Katię z niechęcią, jakby nawet jej racja była kolejnym dowodem na niezłomną złośliwość charakteru Katii, i ciągnęła z irytacją:

– Trzeba tylko założyć, że ten, kto nas oszukał, ma nadwyżkę kasy. I przyjąć, że żadnych cudów nie ma! Tłumacze zwierząt istnieją – to nie jest bajka. Ale żadna miotła nigdy nie latała! – Czub bezlitośnie kopnęła bezużyteczną miotłę. – A K. D. mógł przyjechać tą różową gablotą, żeby się z nas naśmiewać! Co ty na to?

Katia nic nie odpowiedziała, tylko niecierpliwie pociągnęła za ciasną stójkę kołnierzyka i powoli wdychała świeże nocne powietrze.

Mijający dzień przypominał finał bajki Piotra Jerszowa, w której bohaterowie wskakiwali kolejno do trzech kociołków. A wynurzając się po kolejnym skoku, Katia nie wiedziała: odrodzi się, czy też żywcem ugotuje?

Wyglądało na to, że przeżyła! A po zrobieniu szalonego, pełnego rozmachu koła, bezceremonialnie wróciła do tego samego punktu – dosłownie i w przenośni.

– Dlaczego nic nie mówisz? – Czub zaatakowała Maszę, która od piętnastu minut wpatrywała się w niebo.

– Wygląda na to, że nic się nigdzie nie zapaliło – prychnęła, zdruzgotana tą rewolucyjną obserwacją. Dobrodusznie podparła dłonią swoją sztywną szyję i z nadzieją znowu zadarła głowę ku niebu.

– Koniec świata! – wyła Dasza Czub. – Ona wciąż wierzy! Obudź się, Marusiu! Nie było ani jednego prawdziwego cudu! Wszystko da się wyjaśnić! Żyjemy w epoce zaawansowanych technologii! Psy mówią ludzkim językiem! Przewroczysty duch to projekcja filmowa! A jeśli teraz na niebie pojawi się czerwony ogień, będzie to tylko...

– O BOŻE!!! – Masza Kowalowa aż rozwarła usta.

A na jej wykrzywionej twarzy malował się tak bezgraniczny zachwyt, że obie jej towarzyszki mimowolnie spojrzały w górę i zobaczyły coś, czego nie dało się wytłumaczyć żadną zaawansowaną technologią.

Niebo nad nimi drżało, żyło, szalało, gwiazdy zerwały się ze swych miejsc i wirując w gwałtownie opadającej kolumnie, składały się w gładkie i zakrzywione linie o niespotykanym, ale dziwnie znajomym wzorze.

– Widzicie to?! – krzyknęła histerycznie Czub, nagle zdając sobie sprawę: ona zna ten wzór!

Zna na pamięć!

Całe wieki leżał w wewnętrznej kieszeni jej czerwonej skórzanej kurtki...

Na bezkresnym aksamitnoniebieskim niebie płonęła mapa Kijowa złożona z tysiąca gwiazd!

W samym środku i w lewym górnym rogu tej niezwyklej mapy rozbłysły trzy oślepiająco czerwone światła. Dasza utkwiała wzrok w jednym z nich i poczuła, jak niebo spada na nią w zawrotnym tempie, a może to ona sama w niekontrolowany sposób pędziła z ziemi ku niebu, bo linie gwiazd nagle połączyły się w ulice i domy, a Dasza, instynktownie wysuwając ramiona przed siebie, poleciała prosto w stronę ciemnej, usianej wieloma ostrymi krzyżami cerkwi.

– Nie! – krzyczała bezsensownie, zdając sobie sprawę, że zaraz rozbije się na półokrągłej, zielonej kopule.

Zniknęło szare muzeum z sześcioma kolumnami w stylu stalinowskiego imperium, a sąsiednie domy rozplynęły się. Po jej lewej stronie wyłoniła się skądś kamienna cerkiew krzyżowo-kopułowa z sześcioma półkolistymi bizantyjskimi kopułami, po prawej – wysoki pałac z wieżą i wiele innych budynków...

Ktoś szarpnięciem podniósł ją z ziemi, a w jej uchu zabrzmiał głos, gruby i szorstki. Katia mogła usłyszeć tylko jedno słowo: „Marinko”, ale też nie mogła go zrozumieć. To do niej?

Próbowała się przestraszyć.

Ale i to się jej nie udało. Zamiast strachu poczuła coś innego, nieznośnie uciążliwego: jakby jej serce chciało przebić się przez klatkę piersiową i uciec. Zaaferowany mężczyzna pociągnął ją za sobą, nie przestając gadać niezrozumiałych rzeczy. Jego ręka, która ścisnęła jej dłoń, była ogromna, szorstka i twarda – męska. Cała reszta wysunęła się do przodu, a ona widziała tylko szerokie plecy w ciężkiej, ciemnej koleczudze.

Zeszli z góry – do miejsca, gdzie nie było już Zjazdu św. Andrzeja. Nie było też cerkwi. Ale samo wzniesienie pozostało, a na jego szczycie stał wysoki i krzywy żelazny krzyż, wbity w ziemię.

Mężczyzna odwrócił się, a ona wreszcie zobaczyła jego twarz – z długą zapuszczoną brodą, doskonałym, nosem i pokornymi chabrowymi oczami. Był rostry, o dwie głowy wyższy od wysokiej Katii, z onieśmielającymi barkami szerokości sążnia. Ale ona nie bała się go – bała się o niego, a jednocześnie była na niego tak zła, że gotowa zabić!

Niebieskooki mężczyzna znów przemówił. I nagle, jakby ktoś wyciągnął watę z jej uszu, usłyszała go i zrozumiała:

– Tyś wiedźmą, tylko ty wiesz. Nie dozwól mi zgrzeszyć! Powiedzże, czy to to? – błagał chabrooki mężczyzna.

I choć nie wiedziała, o co mu chodzi, znała odpowiedź: „Tak, to to!”.

Wiedziała też, że nie powinna mu o tym mówić.

I że jeśli mu nie powie, on zginie.

– Powiedzże, ukochana – poprosił tak łagodnie i gorzko, że serce jej zapłakało.

– Odstąp – odparła zrezygnowana. – Zgubisz siebie. Wyrzeknij się jej!

– Nie. – Pokręcił ponuro głową. – Nie.

Zdała sobie sprawę, że dokonał wyboru – ostatecznego i nieodwracalnego. I teraz to ona będzie musiała wybrać.

Kto umrze dziś wieczorem?

Jej mężczyzna?

Czy jej Miasto?

I wtedy w końcu się przestraszyła.

Rozdział dziesiąty

w którym poznamy kusego albo anczutkę

Nie taki diabeł straszny, jak go malują. ~ przysłowie

Diabeł? Prawdziwy? – wyszeptała Masza.

Zgarbiony, umorusany człowiek z porośniętą brudnymi włosami fizjonomią pokłonił się rozbawiony, odsuwając na bok prawą stopę, jakby chciał powiedzieć: najprawdziwszy z prawdziwych, we własnej osobie!

– Jak kto woli: bies, moc nieczysta, kulawy, zły, kaduk, rogaty, bezpięty, lewy, szatan, czart, demon, bluźnierca, syn ciemności, upadły, smętek, nieokrzesianek, nieumytek, kusy albo anczutka!

– Kusy albo anczutka? – zapytała.

I nagle poczuła, że ani trochę się nie boi...

Wręcz przeciwnie – było strasznie wesoło!

Bezpieczna rzeczywistość, w której Masza Kowalowa była tylko nieistotnym mołem książkowym, nagle pękła na jej oczach z trzaskiem i wreszcie, przekroczywszy cienką, niewidzialną barierę, dziewczyna znalazła się w znajomym, przytulnym świecie swoich bajek. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała: wygrała!

– Zawsze wiedziałam, że to jest możliwe! Słyszysz, wiedziałam! I on też wiedział! – wołała, próbując przekrzyczeć ogłuszający szum krwi w uszach. – Co? – Zaczepnie trąciła łokciem powietrze w kierunku Czub. – Wystarczy ci tych cudów? A może potrzebujesz więcej?

Masza czuła, że teraz jest zdolna do wszystkiego. I z nadmiaru szczęścia i wszechmożliwości roześmiała się, konwulsyjnie zgięła się wóół i upadła na kolana obok zdyszanej Katii.

Katia leżała na ziemi w podartej marynarce, czarny jedwab odsłaniał jej piersi, a bezwładna ręka wciąż ścisnęła kołnierzyk, który chwyciła, upadając. Miała zamknięte oczy.

– Ha! Jest nieprzytomna! – Czub nielogicznie wesoło zaalarmowała Kowalową i drżącymi ze śmiechu rękami podniosła głowę Katii, czując, że ma zraniony tył głowy. – Ha... Krwi brak!

– Co rozkażecie, panienki? – Czort natychmiast padł na czworaki i znalazł się obok Maszy, służalczo wystawiając głowę spod jej pachy niczym ruchliwy pies.

– Kto to? – Czub w końcu odzyskała głos.

– Przecież już wyjaśnił, anczutka i straszny nieumytek! – zarżała Masza.

– Widziałaś to? – Dasza z podekscytowaniem wskazała palcem na niebo. – Czerwony ogień, a potem... – zaczęła, a głos jej się łamał z podniecenia.

– A potem poleciałam w dół, prosto do parku Mikołajewskiego i do Tereszczenki! – Masza rozłożyła ręce jak skrzydła.

– Jakiego Tereszczenki? – zdziwiła się Dasza.

– Fiodora Artiemjewicza. Brata Koli. Od razu rozpoznałam go po pomniku Riepina.

– A ja poleciałam nad cerkiew. Tak, były trzy ognie – przypomniała sobie Czub (ten trzeci zapewne symbolizował Katerinę, która w tej chwili nie była w stanie niczego wyjaśnić) i zasugerowała: – Myślę, że powinniśmy teraz polecieć tam, gdzie „widziałyśmy czerwony ogień”. Prawda?

Dasza wyraźnie starała się naprawić swój atak materialistycznego realizmu.

– Lećmy! – zgodziła się beztrąsko Masza. – Gdzie jest twoja cerkiew?

– Nie wiem.

– A jak wyglądała?

– Z kopułami. Zielonymi. A na nich krzyże.

Masza roześmiała się bez opamiętania: Dasza równie dobrze mogłaby poprosić ją o rozpoznanie człowieka na podstawie takich cech szczególnych, jak: nos, usta i dwoje zielonych oczu!

– To normalne – przytaknęła Wstrząsająca. – Miałam już tak, gdy skakałam ze spadochronem. To było fajniejsze niż po koli, dziesięć razy fajniejsze.

– Po coca-coli?! – uderzyła w śmiech Masza.

– Na koksie. Po kokainie – wyjaśniła Czub. I ta protekcyjnalna uwaga nieco ją uspokoiła. – No cóż, do diabła z cerkwią – postanowiła. – Jedziemy do twojego brata, Koli.

– A co ja mam zrobić z cerkwią? – zapytał wesoło diabeł.

– Nic. – Dasza odsunęła się od niego ostrożnie. – Ale z tą cioteczka...

– Czy panienki rozkażą dostarczyć panią do domu? – Drgnął, przykucając niecierpliwie.

– A możesz?

– Oczywiście! Pamiętam, gdy z Wakułą...

– Ale... – zmartwiła się Kowalowa, czując nagle lekkie ukłucie sumienia, które przebiło kokon jej natchnionej odwagi.

Pozostawienie omdlałej Katii w ramionach nieznajomego anczutki było nie do przyjęcia!

Ale samo niebo błagało o pomoc, a na horyzoncie majaczyła pierwsza Prawdziwa Przygoda... Czy można odkładać to na później?!

– Okej. Zostawimy ją tobie – rozstrzygnęła za nią ten dylemat moralny Dasza, która ani trochę nie zadreślała się macierzyńską troską o Katerinę Dobrażańską. W tej chwili miała inne sprawy na głowie: niecierpliwość i poczucie winy, którą chciała odkupić.

Czub podniosła torebkę Katii i zuchwale zawiesiła ją na swoim ramieniu.

– Potrzebujemy pieniędzy na taksówkę! – skontrowała zgorzone spojrzenie Maszy. – No, idziemy. Zostaw ją już, no dalej!

Kowalowa pospiesznie pociągnęła za marynarkę Katii i uwolniwszy kołnierz z jej palców, znalazła zerwany łańcuszek. Automatycznie włożyła go do kieszeni spodni.

– Ruszamy! – Dasza wsunęła pod pachę zrehabilitowaną miotłę i gwałtownie pociągnęła niezdecydowaną Maszę w stronę samochodu. – Musimy się pospieszyć! Posłuchaj, Marusiu, przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam. Już ci mówiłam: ty jesteś geniuszem, a ja głupcem. Okej?

– Okej. Ale jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie Marusią, Musią lub Masią... – zbuntowała się nagle Masza.

– Dobra! Już nie będę! Przysięgam na moją mamę!

Popędziły po trójbiegowych schodach ozdobionych stalinowskimi pięciolampowymi latarniami i oznaczonych tablicą:

Teren Kijowskiego Muzeum Narodowego. W czasach Rusi Kijowskiej było to centrum dawnego Kijowa. Na mocy dekretu rządu Ukraińskiej SRR terytorium to

zostało uznane za obszar chroniony.

A gdy tylko czubki ich głów zniknęły za rogiem, diabeł nagle wciągnął powietrze czarnymi nozdrzami i służalczo pochylił się nad bezwładną Katią, namiętnie całując nieczułą na jego pieszczoty dłoń. Szeptał, sapiąc z uwielbienia:

– To ty? Moja Jasna Pani! To ty!



– Gdzie jest ta impreza z okazji zakończenia szkoły? – ciągnął z niedowierzaniem taksówkarz, który czekał na nie przed cerkwią św. Andrzeja.

– Znajomi z roku nabrali nas jak głupie gęsi! – skłamała w locie Czub.

– A wiecie, ile nastukało na liczniku? – mruknął groźnie. – Ponad sto!

– Nie bój nic, za wszystko zapłacimy! – Dasza natychmiast uspokoiła taksówkarza tłustym banknotem z torebki Katii i dodała napiwek.

– Reszty nie trzeba. Tylko szybciej!

– Dokąd więc teraz zmierzamy? – rozweselił się taksówkarz.

– Na bulwar Bibikowski – oznajmiła zdenerwowana Masza.

– Gdzie?!

– Boże, jak on się nazywa... Do Mikołajewskiego Parku Uniwersyteckiego. Pod czerwony uniwersytet!

– Na bulwar Szewczenki? Co ty, przyjezdna? – parsknął kierowca.

– Jestem rodowitą kijowianką!

– To czemu nie znasz nawet nazw ulic?

– Po prostu zbyt głęboko siedzę w korzeniach miasta! – warknęła z oburzeniem Masza, a samochód w odpowiedzi zafurkotał i w końcu

ruszył szeroką ulicą Włodzimierską.

Okrążyli półokrąg placu Sofijskiego i nie słuchając pogardliwego skinięcia buzdyganu Bogdana Chmielnickiego, które odsyłało ich z powrotem, pognali na południe.

– A gdzie zgubiłyście koleżankę?

Boże, jakże niewygodny był ten gadatliwy taksówkarz!

– A czy to pana sprawa?! – odszczeknęła Kowalowa z nietypową dla siebie agresją. Czuła się nieswojo z faktem, że porzuciła i zawiodła Katię, ale nowa, kusząca przygoda, która zbliżała się z każdą sekundą, podniecała ją i nakręcała coraz mocniej.

– Miała już tego serdecznie dość! – zaatakowała kierowcę Dasza. – I my też mamy! A szybciej się nie da?

– Gdzie dokładnie do parku? – mruknął gniewnie taksówkarz.

Obok już przepływał ogromny gmach Opery Narodowej, oświetlony latarniami. Masza przeczytała mimochodem plakat nad głównym wejściem: „Balet dramatyczny *Demon*. W roli głównej Anatolij Chostikojew”.

– Pod dom Tereszczenki – rzekła.

– A skąd ja mam wiedzieć, gdzie mieszka twój Tereszczenko! – zdenerwował się nagle mężczyzna.

– A wie pan chociaż, gdzie jest ulica Tereszczenkowska? – odparowała Masza. – Do Kijowskiej Galerii Obrazów!

Ulica – nazwana na cześć przedrewolucyjnego mecenasa sztuki Mikołaja Artiemiewicza, którego kolekcja obrazów trafiła do zbiorów Kijowskiej Galerii mieszczącej się obecnie w niebieskiej dwupiętrowej rezydencji brata kolekcjonera, Fiodora – była pusta. Oprócz eleganckiego Riepina w brązowej muszce, stojącego na granitowym postumencie z jedną nogą celowo wyciągniętą przed siebie.

Kierowca odjechał, a Masza widziała, jak się odwraca, żeby się im przyjrzeć: dziewczyny, które wyruszyły o pierwszej w nocy, by zgłębiać dzieła twórców od XIII do XX wieku, niewątpliwie budziły podejrzenie.

– Spójrz, jest wystawa Wasniecowa. – Wskazała oszklony stojak, który chronił plakat z trzema słynnymi *Bohaterami*.

– Więc Tereszczenko to muzeum? – Dasza bez wahania wbiegła na ganek i stanowczo pociągnęła za zakratowane drzwi, ozdobione dwoma drewnianymi lwimi pyskami.

Ale drzwi nie chciały ustąpić. Spojrzawszy na kolejną tabliczkę: „Dobro państwowe, wszelkie szkody karane będą z mocy prawa”, Czub zaczęła bezsensownie skakać po schodach, nie wiedząc, co zrobić z nadmiarem gotującej się i rozpierającej ją energii.

– I co to za życie? – zezłościła się na głos. – Wszystko to same zagadki i podpuchy. Dlaczego nie można niczego powiedzieć normalnie? Same łamigłówki!

– Może chcą, żebyśmy poszły na wystawę? – Masza próbowała znaleźć odpowiedź.

– W porządku, pójdziemy jutro – mruknęła wściekła Czub.

Ale nie musiała czekać do jutra.

Zza martwych okien parteru dobiegał głuchy i zachęcający dźwięk tłuczonego szkła. Nim Czub zorientowała się, co robi, instynktownie podbiegła do szyb – zbyt wysokich, żeby przez nie zajrzeć lub wejść – i nagle, na oczach oszołomionej Maszy, podskoczyła, poszybowała w powietrzu i wleciała prosto w okno, rozbijając je trzonkiem miotły, która nagle wskoczyła pod jej pupę.

Zawył wzbudzony alarm.

Czub wtoczyła się do pomieszczenia z obrazami. Nie wypuściła trzonka z poranionych rąk i poderwała się z podłogi, która pod jej kolanami

trzeszczała nieprzyjemnie od tłuczonego szkła.

Pokój otwierał się na krótki korytarz, a przebiegając przez niego, Dasza od razu zachwyciła się widokiem opustoszałych sal, rozmieszczonych po obu stronach, które w sekundę kończyły się ostatnim pomieszczeniem – ślepyim zaułkiem, gdzie na wysokiej ścianie dumnie górował ogromny obraz *Bohaterowie*.

Obok, z nożem uniesionym nad głową, zamarła wysoka, ciemna, szepcząca postać.

– ...zniszczyć na wieki, niech nie powstanie, nie zbierze z... – Bezpłciowy szepc urwał się.

Dasza popędziła w stronę uciszonego, wymachując miotłą i nie mając ani chwili na zastanowienie, podczas której z pewnością doszłaby do wniosku, że drewniany kij, o ile oczywiście nie jest się Chuckiem Norrisem, jest niczym wobec zręcznego noża.

Ale postać z jakiegoś powodu inaczej oceniła sytuację. I gdy Czub okrążyła szeroką drewnianą ławkę, ciemna figura z łatwością ją przeskoczyła, ruszyła w stronę drzwi do jakiegoś biura i zniknęła za nimi jak długi czarny cień. Dasza dostrzegła, że cień ten był dostojny i smukły, a jego ciemne włosy zebrane z tyłu w kitkę.

Rzuciła się do drzwi, które pochłonęły sprawcę, i bezsensownie zapukała w nie, już zamknięte od wewnątrz.

Syrena wyła, zhańbieni *Bohaterowie* z potłuczoną szybą wstydlawie wzywali na pomoc policję.

Czub rzuciła się histerycznie do okna. Zdołała jakimś cudem przedostać się przez dziwne zabytkowe zatrzaski i wypadła na chodnik jak cudaczna kupa szmat.

– Dasza!!! – Masza skoczyła do zakrwawionej przyjaciółki.

– Pospiesz się. Policja – mruknęła włamywaczka, która uszkodziła prawnie chronione okna.

– Nie zdążymy – zawyła groźnie Kowalowa, gorączkowo próbując podnieść ją na nogi.

„Wpadłyśmy!” – pomyślała Czub. „Jakie to głupie...”

– Ej, Dasza! – krzyknęła ponownie Masza, wpatrując się dziko w górę.

Dasza podążyła za jej spojrzeniem i zobaczyła, jak przez okno muzeum wylatuje miotła, którą sama zostawiła na podłodze.



Najbardziej zaskakujące w tym wszystkim było to, że nie było w tym nic zaskakującego.

A kiedy Masza, siedząca na trzonku przed Czub jak na ramie roweru zobaczyła, że ziemia powoli ucieka spod jej podeszew, zrozumiała oszołomiona: latanie to niesamowicie znajome uczucie!

Wcześniej, kartkując niezliczoną ilość razy rozdział o szalonych niebiańskich szczytach uwielbianej Małgorzaty Mikołajewny, z lękiem myślała o samej sobie: „Jakie to musi być straszne – latać!”.

Ale teraz, gdy z wysokości dwustu metrów patrzyła na ciemne dachy, odczuwała tylko spokój, jakby wszystko nagle ułożyło się w całość, a niezgłębiona zagadka Sfinksa została wyjaśniona jednym słowem – „człowiek”.

Okazuje się, że kiedy stopy szybują nad chodnikiem, a ciało przestaje być ciężkie i wymagające, a staje się nieważkie i zwiewne, doznajesz szokującego objawienia: robiłeś to już tysiące razy! I nie ma w tym szczęściu nic nowego!

Doświadczaleś tego samego, lecąc we śnie i spokojnie krążąc nad miastem, które leżało pod tobą. Widzialesz już te dachy i poczułeś spokój i sprężystość nieba!

Po prostu nie wiedzialesz, że to naprawdę możliwe!

„Słyszycie, przeżywam to samo, co wy!” – zawołała w myślach do tych, którzy teraz spali pod cichymi dachami z łupków, żelaza i kamienia. „I nie bez powodu jedno z podstępnych pytań inkwizycji brzmiało: Czy latasz we śnie? Oto dowód! To jest możliwe! W przeciwnym razie dlaczego tysiące kobiet od wieków miałyby śnić ten sam sen o lataniu...”

Ale sama Masza nie potrzebowała już żadnych dowodów.

Latała!



A Katia spadała. Z niebiańskiej wysokości, która nie miała końca ani początku – tak długiej, że przestała się bać i ocknęła się, zanim dosięgnęła dna.

Jej budzik cicho wskazywał na zbliżający się świt. Katia leżała na środku łóżka w podartej marynarce, zabłoconych butach i naciągniętej na ramiona zmiętej narzucie. Coś twardego i niewygodnego wbijało się w jej bok. Podnosząc się, wyciągnęła z kieszeni spodni duży, długi klucz z kocią głową.

Książka. Ogień. Masza. Dasza. Łyse Góry. Omdlenie.

A potem zaciągnęły ją do domu i rzuciły jak stertę brudnego prania, nie zadając sobie nawet trudu, by zdjąć jej buty.

– Do diabła! – przeklinała paskudnie wszystko i wszystkich naraz.

– Co pani rozkaże? – mruknął jakiś służalczy głos.

Katia poderwała się błyskawicznie, przyciskając narzutę do piersi.

Przez drzwi sypialni wskoczył ktoś czarny, włochaty, brudny.

„Złodziej! Kosmita! Nagi! Zgwałci!”

– Nie podchodź! – krzyknęła przeraźliwie i w myśl zasady, że najlepszą obroną jest atak, sama rzuciła się na intruza i z całej siły grzmotnęła szpetny, włochaty łeb bezbłędnym ciosem w szczękę.

Czarny szcęknął i poleciał z powrotem na ścianę.

– Stój! – Katia wyprostowała się, osłaniając swój groźny podbródek pięściami wymierzonymi w przeciwnika.

Przez głowę przemknęła jej nieistotna myśl, że dziś jest szósty, pojedynek w klubie, i trzeba ich zawiadomić, żeby wykreślili ją z listy – ale najpierw...

Czarny poruszył się. Pisnął, spojrzał z urazą na Katię i wypluł z ust wybity ząb.

– Co ja ci złościłem, pani? – szepnął płaczliwie i podczołgał się do niej.

– Odejdź, odejdź! – krzyczała, wskakując na łóżko i groźnie kopiąc powietrze nogą uzbrojoną w ciężki obcas.

– Dokąd mi iść lozkazes, pani? – wyjąkał ponuro bezzębny. Na czworakach całował brzeg prześcieradła, patrząc na Katię z dołu zrezygnowanym, skruszonym wzrokiem.

– Do diabła! – wrzasnęła histerycznie.

Czarny usiadł na tyłku i wpatrywał się w nią z zakłopotaniem okrągłymi oczami.

– Ja... – Zdezorientowany, pokazał włochatym palcem na swoją równie włochatą klatkę piersiową. – Mam iść... – Brudny palec zakreślił półkole i ponownie wbił się w futrzaną klatkę piersiową. – Do diabła? Plosę wybacyć, nie lozumiem tego, pani. Lozkazuje mi pani posłać siebie samego...?

– Idź do diabelskiej babki! – wydarła się Katerina.

– Ach! – ucieszył się włochaty. – Chcesz pani, zebym poseł do mojej babci? Ale w jakiej sławie? Cy tyko tak, z wizytą?

– Zjeżdżaj!!!

– Lobi się! – Zasalutował, przyjmując postawę startu niskiego. I Katia zobaczyła, jak nad jego porośniętym szczecina tyłkiem uniósł się najprawdziwszy ogon z brudnym pędzelkiem na końcu.

– Stój! – rozkazała niepewnie. – Chyba zrozumiałam.

Czarny jest kolejną podpuchą K. D.!

Goły dziwak z ogonem – zbyt owłosiony nawet jak na kosmitę. Chociaż Katia widziała wielu mężczyzn z owłosionymi plecami, palcami, a nawet uszami, to trzeba przyznać, że takiego osobnika można spotkać tylko w Kunstkamerze!

– Kim jesteś? – zapytała szorstko, z góry przewidując odpowiedź.

Dziwak wyprostował się ochoczo i skłonił przed nią karykaturalnie nisko:

– Diabeł, lobię dla carownic całą diabelską lobotę!

– Z jakiegoś powodu tak właśnie myślałam – mruknęła sarkastycznie Katerina. – Za mną...

Katia z godnością zeszła z łóżka i przeszła do salonu, gdzie w niskiej rzeźbionej szafce leżały jej książki. Wyciągnęła z półki prezentowy egzemplarz *Księgi rekordów Guinnessa*, odnalazła w spisie treści rozdział „Ciało ludzkie” i odczytała triumfalnie:

– „Najbardziej owłosiona kobieta, Julia Pastrana, była całkowicie pokryta włosami, nie licząc oczu”. „W czasopiśmie «Scientific American» opisano przypadek dwunastoletniego chłopca z Tajlandii, który miał ogon o długości prawie trzydziestu centymetrów. Stare książki często wspominają o dorosłych mężczyznach i kobietach z ogonami. Obecnie

usuwa się je zaraz po urodzeniu”. I jeszcze, na marginesie: „Kiedy dziecko kichało lub kaszłało, jego ogon merdał lub kręcił się”. Jasne?

– Nie.

– To, co dawniej uważano za atrybuty czarownic i diabłów, było zwykłą wadą genetyczną! Powiedz to swojemu K. D.!

– Ale ja jestem diabeł! – wymamrotała zawstydzona wada genetyczna (najwyraźniej do jego fizycznej deformacji dodano klasyczne obłąkanie). – Oddanym na usługi wam csem, as jedna z was zostanie prawdziwą Kijowicą.

– Jedna z nas? – spytała odruchowo Dobrażańska. – A reszta będzie wolna?!

– Tak – potwierdził obłąkaniec. A serce Katii zatrzepotało niespodziewaną nadzieją.

Niestety, całkowicie iluzoryczną.

– Ale wiem ze swoich źródeł, ze będziesz nią właśnie ty, pani! – zakończył kudłaty z przekonaniem.

– Do diabła! – warknęła Katia.

– No jestem psecies! – Diabeł podskoczył nerwowo.

– Dlaczego, dlaczego ja? – jęczała smutno.

– Bo pani jest najlepsza! – odpowiedział z prawdziwą pewnością w głosie.

Katia uśmiechnęła się smutno: wiedziała o tym i bez niego!

Ale, co dziwne, święte przekonanie szaleńca (a więc i pana, który go przysłał) o jej niezaprzeczalnej wyższości nieoczekiwanie jej schlebiało.

W ciągu dwudziestu czterech godzin, które upłynęły, pewność siebie Kateriny przerażająco zmalała: „Niebieska pończocha” w ubraniu z targu Trojeszczyńskiego i durna przerośnięta nastolatka – dwa typy, których nigdy nie uważała za ludzi, działały i myślały znacznie szybciej niż ona.

Podczas gdy ona, mądrzejsza, bardziej doświadczona i silniejsza od tamtych, z jakiegoś powodu popełniała tylko błędy, złościła się, wpadała w histerię i mdlała. Innymi słowy, uczyniła wszystko, żeby teraz mogły siedzieć sobie razem gdzieś w kuchni i śmiać się z niej, wspominając, jakim nieporozumieniem okazała się jej rzekoma wspaniałość.

– To prawda, jestem najlepsza! – stwierdziła głośno Katia. – Dlatego – zwróciła się stanowczo do szalonego błędu natury – znajdę sposób, żeby wyjść z tej gry!

– Ależ moja Jaszna pani – wyszeptał wynajęty pseudodiabeł, kłaniając się jej jak arlekin. – Po co wychodzić s gły, w któlej pani wyglądała?

– Wygrałam?! – roześmiała się histerycznie. – Co? Zerwany kontrakt? Spalone biuro?

– Ploszę pozwolić. – Czarny pochylił się jeszcze niżej i rzucił psim spojrzeniem prosto w jej oczy. – Gdy jusz zosztaniesz plafdziwą Kijowiczą, pszekonasz sze, ze te fszysztkie ploblemy są szmieszne.

– Tak? – Nawet jeśli sprzeciwiał się jej, w jego głosie było tyle niewolniczego szacunku dla jej królewskiej godności, że Katia po prostu nie mogła gniewać się na niego – tylko na siebie, że kontynuuje tę niedorzeczną rozmowę. – Ach tak, zapomniałam, zmuszą Włodzimierza Fiodorowicza... – Dobrażańska beztróska machnęła ręką.

Cena, jakiej zażądano od niej za tę usługę, już wydawała się wygórowana, a sama obietnica była pisana palcem po wodzie.

– Jeszt władza wienksza niż pieniądze i znajomoszci – oznajmił z zapalem kudłaty. – Czego szobie pani życzy, moja Jaszna pani?

– Chciałabym, żebyście zostawili mnie w spokoju! – Z żalem uniosła zmęczone oczy. – Żeby supermarket „Eco” zniknął! Chciałabym zabić tę cholerną Dinozaurycę, posłać wszystkich do piekła, wyłączyć komórkę, kupić kostium kąpielowy i wyjechać na wakacje... Na zawsze!

– Ooo! – zapał z entuzjazmem.

Nie wyprostował się, tylko popędził jak dzik na korytarz, by za niecałą sekundę pojawić się ponownie, przyciskając do piersi podarty kawałek papieru.

„Strona sto czwarta. Zostawiłam ją na podłodze”. – Katia rozpoznała strzępek.

– Och, moja Jaszna pani, losz jeszt po naszej sztronie – szepnął z natchnieniem czarnulek, potrząsając sto czwartą. – Gdzie jeszt to „Eco”?

– Tu, obok – rzekła z zakłopotaniem Katerina. – Tam. – Wskazała na oddalony budynek pokryty srebrnymi płytkami, marszcząc brwi. – Już prawie gotowy, dranie...

„Boże, po co ja mu to mówię?”

– Widacz go sztań?! – W głosie pseudodiabła wybrzmiała święta radość. – Losz jeszt po naszej sztronie! Po naszej sztronie! Plosze. – Włochaty grzecznie skłonił się w stronę balkonu, trzymając w dłoni pergamin. – Niech pani będzie tak miła i wyczongnie do niego lękę!

Katia z jakiegoś powodu posłuchała.

Podniosła posłusznie dłoń i wyciągnęła palce w kierunku srebrzystego trzypiętrowego budynku. Z tego miejsca wyglądał na tak mały i nieznaczący, że wydawało się, iż można go podnieść jedną ręką.

– Plosze szobie wyobrażyć – bełkotał do jej ucha czarny – że to jeszt pani rzecz! Rzecz, któłą moszna blać do lęki, pszekładacz ż miejszcza na miejszcze, żepszuć, wyrzuczyć, loźbić, żmiażdżyć. To tładne...

Ale mylił się, to wcale nie było trudne, a Katia nagle poczuła z przyjemnością każdy mięsień swojej ręki, siłę i niszczycielskie znaczenie każdego z dziesięciu palców! Nie zastanawiała się już nad absurdalnością tego, co się dzieje, nieświadomie oddała się mocy oszałamiającego szczęścia, tego samego szczęścia, dla którego żyła – poczucia, że władza

drży w jej rękach, a ona jednym ruchem palca jest w stanie odwrócić czyjś los, sytuację, całe życie.

– Wszpaniale, moja pani! – westchnął z zachwytem czarny. – A telaż powtózz za mną: „Moszą mojej lęki...”.

– Mocą mojej ręki...

– I w imię Ojca mego...

– I w imię Ojca mego...

– Dokonuję tego...

– Dokonuję tego...

– Co jest niezbędnne!

Katia bezmyślnie powtórzyła te słowa, podczas gdy jej umysł i zmysły wznosiły się wysoko, a serce było podekscytowane i niespokojne, jakby stała w najwyższym punkcie wszechświata, dumnie spoglądając na podbity świat wokół.

– Telaż ploszę zacisnąć pięść. Lekko... Mocno! – Usłyszała rozkazujący krzyk i z całej siły zacisnęła palce.

Budynek runął.

Katia rozwarła usta.

Nie słyszała żadnego hałasu, żadnych krzyków przechodniów. A upadek budynku nie zrobił na niej większego wrażenia niż śmierć pustego pudełka po zapalkach, rozpłaszczonego na jej oczach przez czyjś przypadkowy obcas.

W środku był tylko spokój, odrealnione zdziwienie i... ulga, bliska stanu nieważkości.

– Nikt nie zginął? – spytała jakby nieobecna.

– Och, nie, jeszt piąta lano, za fczesnie – odpowiedział diabeł (no właśnie, właśnie diabeł!). – Czo innego zawalona poczta główna...

– Poczta główna? Ona też?! Ale kto? – zdziwiła się Katia.

Diabeł skromnie spuścił wzrok:

– Oszmiele się donieść. Jeszli teraz moja Jaszna pani chce zabić Dinożalżyczę, w księdze władzy jeszt receptura.

Katia uśmiechnęła się powoli, zamknęła słodko oczy i opadła na fotel.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się tak szczęśliwa.

Prawdopodobnie nigdy!

Od dziesięciu lat Katerina Dobrzańska była artystką cyrkową, która, wyciągając napięte ręce, starała się utrzymać na koniuszkach palców kołyszącą się piramidę z dziesiątek piłeczek – dochodów, reklam, podatków, koneksji, własnej reputacji i prestiżu. A teraz, wygodnie odchyłona w fotelu, z dłońmi założonymi za głowę, patrzyła spokojnie, jak jej niewidzialne kulki rozsypują się na podłogę, toczą się pod szafki i kanapy, niepotrzebne, małosłowne, głupie.

Na świecie jest bowiem większa siła niż pieniądze i koneksje.

I ta władza – ta sama władza, za którą siedemdziesiąt lat temu Hitler oddałby jedną trzecią swojego kraju – należała do niej!

– Płoszę pozwolić, że dam pani radę – przypomniał o sobie diabeł. – Jeszli zamieszka pani zdobyć plawdziwą władzę, płoszę nie mówić znajomym, że wybór już zoszał dokonany. Płoszę się nie zdradzić i być dla nich miłą. A gdy będzie dobry moment, plosze zabrać książkę dla siebie. Nie wolno im jej używacz, w pszeciwnym lazcie...

– Jasne. Koniec tematu.

Katia przeciągnęła się z zadowoleniem i zerwawszy się z fotela, podeszła do swojego ulubionego zegara pasterskiego, na którym wybiła 5.15.

– One jeszcie śpią – uśmiechnęła się i patrząc na swojego czarnego niewolnika, oświadczyła kapryśnie: – Nic złego im się nie stanie, prawda?! Nie chcę, żeby Maszy...

– Och, absolutnie nicz złego! – zapewnił ja pospiesznie osobisty diabeł. – Jeśli nie liczyć tego, że one przegłają.

Katia skinęła głową i z miłością pogłaskała piętrowe uczesanie pastuszki markizy.

– Nie, musisz mi obiecać! – krzyknęła nagle, robiąc straszny, histeryczny grymas.

I odwróciła się.

A jej pokój zniknął...

Z dziennika N

Mój geniusz uparcie popycha mnie do myśli: kobieta jest wyżej niż mężczyzna. A pożarty przez cywilizację matriarchat jest jedną z zagubionych prawd.

To proste!

Tę nieustającą intuicję i to, że to one zawsze tak chętnie były uważane za wiedźmy, i to, że to one zawsze tak chętnie nimi zostawały, można wyjaśnić w sposób niezwykle prosty: kobieta zawsze będzie bliżej natury. Ponieważ, podobnie jak ziemia, jest obdarzona zdolnością rodzenia.

Mężczyzna może oderwać się od ziemi. Może zastąpić żądzę wojny żądzą władzy, pieniędzy, chwały i wielkich czynów. Siłę – siłą najemników. Morderstwo – morderstwem na zlecenie. Instykt rozmnażania – seksem. Seks – sublimacją. Ale kobieta, nawet najbardziej zgniła i feministyczna, zawsze będzie nosiła w sobie cząstkę Wielkiej Matki – jej nieskończoną i wielowarstwową harmonię, jej surową mądrość i niszczycielską moc. I ta część zawsze będzie jej szeptać do ucha: Możesz wywoływać burze i nawałnice, możesz ćpać, szaleć i zabijać dla dobra swoich dzieci, bo jesteś mną. A ja jestem ponad prawdą!

Każda kobieta jest Bogiem, już dlatego, że nosi w sobie cząstkę nieśmiertelności...

Rozdział jedenasty

w którym Katia odkrywa, że ma męża

Prachow z naukową trzeźwością wyjaśnił historię „odkrytego” przez siebie na nowo monasteru św. Cyryla. Całkowicie odrzucił legendę spowijającą tę historię, z czego był bardzo dumny.

~ Dora Kogan, *M. A. Wrubel*

Katię otaczały ściany gabinetu obwieszane obrazami Szyszkina, Kuindźego i Kramskiego. Nad pękatym biurkiem zastawionym rysunkami, szkicami, fotografiami i chromolitografiami górował mężczyzna z szerokim nosem, rumianymi ustami i bujną brodą, w kolistych profesorskich pinglach i aksamitnej domowej marynarce, który z podnieceniem, ale i zażenowaniem kapał do kieliszka miksturę z niebieskawej kolby.

– Aniołku mój, spokojnie! Nie jesteś sobą. Wypij trochę kropli walerianowych – rzekł.

To do niej?!

Katia rozejrzała się gorączkowo, łapiąc spojrzeniem podpisy na bezcennych obrazach.

To są oryginały! Skąd się tu wzięły? Gdzie ona była?

Otaczały ją obce szafy, rzeczy i książki. I tylko przytulona do jej dłoni pasterska markiza stała niewzruszona w tym samym miejscu, uśmiechając się do niej obojętnie swym złotym, czarującym uśmiechem.

– Masz rozstrojone nerwy... Najmilejsza, nie pojmuję... – Rumianousty szedł w jej stronę, roznosząc przyjemną woń miętowej waleriany.

– Kim pan jest?! – Dobrzańska zbierała się do krzyku, rozumiejąc jeszcze mniej niż on. Ale zamiast tego darła się tak podle i piskliwie, że sama się sobą brzydziła. – Proszę nie traktować mnie jak dziecko! Znalazł go pan w Cyrylowskich! To jest on! Stanowczo nalegam...

– Serdeńko, to bajki! – sprzeciwił się nieśmiało zaniepokojony okularnik, podając jej kieliszek z kojącą zawartością. – Zbadałem dogłębnie wszystko, co ma związek z cerkwią św. Cyryla i znajdującymi się pod nią jaskiniami. Odkryłem tę cerkiew na nowo dla Kijowa i jako profesor mogę ci udowodnić naukowo...

„A więc jest profesorem! No cóż...”

– Jeśli nie obieca mi pan, że natychmiast odniesie go do ławry, odejdę od pana! Już, teraz! – Katia dała profesorowi argument, który nie był naukowy, ale o wiele bardziej skuteczny.

– Już dobrze, już dobrze, serdeńko, tylko spokojnie. – Uczony zmiękł, patrzył na nią z niepokojem i zmieszaniem, jakby nagle przestał wierzyć własnym uszom i oczom.

– I proszę nakazać, żeby na pewno trafił do Uspienskiej! – rozkazała cwaniacko Katerina.

I po tej jednej krótkiej replice wiedziała, że bawi się z zagadkowym profesorem jak kot z myszą – miała w sobie królewski despotyzm i niezrozumiałą, złośliwą satysfakcję.

– Zrobię, o co prosisz, najmilejsza, skoro to dla ciebie takie ważne. Ale ja tego nie rozumiem. Nie rozumiem! – załkał profesor. – Po prawie

dwudziestu latach naszego małżeństwa...

„On jest moim mężem?! Tracę zmysły!”

Katia dotknęła bojaźliwie swojego czoła...

W gabinecie zrobiło się nieznośnie duszno.

Rumianousty mąż w aksamitnej marynarce, jego profesorskie biurko ze szkicami i ściany z Szyszkinem i Kuindzym odpłynęły zdradziecko w lewo.

– Przyszedł Dmitrij Władysławowicz – doniósł dziewczęcy głosik.

Katia odwróciła zamgloną głowę, ale zobaczyła jedynie zgrabny blond przedziałek i wysoką, ciemną plamę, która natychmiast go przesłoniła.

Plama podążyła w jej stronę. I poprosiła:

– Proszę dać mi swoją rączkę, droga Emilio Lwowna!

Miękka dłoń Katii spoczęła w zadbanej męskiej ręce, której palec serdeczny ozdobiony był masywnym srebrnym pierścieniem z niebieskim kamieniem... Ale pierścień nie zdołał utrzymać uwagi Katii – nagle zrobiło jej się niedobrze, wszystko zawirowało, a ona osunęła się bezwiednie. Podłoga rzuciła się na nią i boleśnie uderzyła. Potem wszystko ucichło.

– Moja Jaszna pani! – wymamrotał zaniepokojony głosik gdzieś z góry. – Jusz! Jusz za chwile poczuje sze pani lepiej!

Katia z trudem podniosła powieki, które przykleiły się do jej oczu, i z ulgą zobaczyła na suficie swój własny żyrandol z brązu.

– Widziałam... – przemówiła niepewnie, bezlitośnie wyrwana z dzikiej wizji i ogłuszona przez podłogę.

– Nie bój sze, moja pani! – zaseplecił ostrzegawczo opiekuńczy diabeł. – To nołmalne. Tak sze źdasza w czasie pszekodowania enelgii wewnencznej. Zwłaszcza, kiedy pielwszy rasz... Żaraż poszuje sze pani lepiej! Proszę uwierzyć!

– Słuchaj – mruknęła Katerina Dobrzańska, gładząc się po skołowanej głowie. – Zdaje się, że zapomniałam zapytać o najważniejsze. Kim jest twój K. D.?

– Mój K. D.? – zapytał słodko diabeł.

A w jego wibrującej zachwytem intonacji było tłumione, rozpierające, pełne pasji i wierności uniesienie:

– Moja Jaszna pani jeszcze tego nie lożumie?! K. D. to pani!



Świt szóstego lipca zastał Maszę Kowalową siedzącą na podeście balkonu (na którym ona i Dasza wylądowały wczoraj, z sukcesem ignorując schody wejściowe), z rękami obejmującymi zziębnięte kolana, wpatrzoną zahipnotyzowanym wzrokiem w świtające niebo pierwszego dnia nowego życia.

Wczorajszy dzień był w jej głowie tylko mętным szkicem z wieloma kleksami i błędami. A dzisiejszy wznosił się nad jej Kijowem – usianym złotymi kopułami miastem chmur i gór, pradawną stolicą wiary i włodarzy Rusi, grodem wiecznym, strasznym i świętym, który ona, urodzona i mieszkająca tu przez całe swoje niewyszukane życie, ujrzała teraz po raz pierwszy.

Kijów z przeszłości istniał dla niej tylko w snach – był martwy, książkowy, wyuczony do automatyzmu i już dawno nierealny. Podczas gdy Kijów żyjący ograniczał się do nielicznych i pozbawionych indywidualizmu zarysów życia codziennego: podwórko jej domu i zaśmiecony Gaj Kadetów, zaplute przystanki autobusowe i gwarne sklepy spożywcze, biblioteki, muzea, instytut...

I nagle miasto wdarło się w jej życie, wypełniając je po brzegi, a płaskie opowieści z podręczników, baśni i legend nabrały objętości, zapachu i stromizn prawdziwych gór, ulic i domów. Odległa jak zmęczona opowieść przeszłość i przemielona przez rutynę teraźniejszość zlewały się w jedno i niepodzielne – zawsze. Tak jak bezmyślna nazwa ulicy Wał Jarosława nagle nabrała dla Maszy rdzennego, ważnego i wiecznego znaczenia.

Tutaj (przecież uczyła się tego na pierwszym roku!), od Złotej Bramy do Kijowa, ciągnął się wysoki wał, chroniący gród przed wrogami. I być może tysiąc lat temu, w tym samym miejscu, gdzie teraz siedzi ona, jej praprzodkini stała na straży...

Chwała tobie, Jasna Kijowico!

Niechaj siła będzie z tobą, gdy teraz, jak i każdej innej nocy, stojąc na górze, która zrodziła Miasto, ty, widząc czerwony ogień na niebie, będziesz lecieć tam, żeby zatrzymać to, co może pogwałcić Prawdę.

Niech mądrość będzie z tobą, gdy w pierwsze święto roku dokonasz swojego sądu nad wiecznością, niedostępną dla ślepych oczu.

Pamiętaj: Kijów ma nad tobą władzę, tak jak ty nad nim!

Umiej słuchać tego, co on ci mówi, i niczego się nie bój, bo twoje Miasto zawsze będzie cię chronić, tak jak ty je chronisz.

Ty jesteś jego prawem, ale i dla ciebie istnieją prawa, bo kto stoi na granicy między ciemnością a światłem, nie może należeć ani do światła, ani do ciemności...

Skuliwszy ramiona pokłute przez poranny chłód, Masza wróciła do pokoju i pogładziła ciemną książkę.

Dasza spała na kanapie z nosem wtulonym w delikatną szyję Izydy Puszek – pyszczek kotki spoczywał na policzku Daszy, a jej dwie przednie łapki zupełnie po ludzku obejmowały szyję dziewczyny. Obie wyglądały absolutnie idyllicznie. Surowa Belladonna przechadzała się bezszelestnie

wzdłuż półek z książkami i zerknęła z ukosa na swoją pogrążoną we śnie panią. Masza pokręciła głową. Zastanawiała się, jak kotka utrzymuje się na wąskiej dróżce. Ta, wychwyciwszy spojrzenie dziewczyny, bezwstydnie i powoli otarła się szyją o grzbiety książek.

Kowalowa westchnęła i kolejny raz obeszła pokój z czujnym wzrokiem w poszukiwaniu odpowiedzi, która pozbawiała ją snu. I w końcu jej wzrok na coś natrafił. Wydawało jej się, że waga w rękach niebieskiej „bizantyjki” nad kominkiem zmieniła położenie – od wczoraj lewa czasza opadła nieco bardziej...

Rozległ się huk.

– Co znowu? – zapłakała sennie Dasza. – Która godzina?

Belladonna stała na półce, patrząc niewzruszenie na książki, które przewróciła. Masza spojrzała na zegarek – stara wierna „Czajka” na jej ręce wskazywała godzinę 6.15.

– Kwadrans po szóstej. – Masza starannie zebrała rozrzucone tomy, a na górze znalazły się dwa albumy o sztuce. – Wrubel. I Wasniecowa! No właśnie!

– Ugh, jak wcześnie. Dlaczego nie możesz spać? – skomlała Dasza Czub.

– Daszo, wiem, kim jesteśmy! – Masza budziła ją bezlitośnie. – Nie jesteśmy wiedźmami! Jesteśmy obrończyniami Kijowa! Jak trzej *Bohaterowie*.

– Więc teraz już nie będziemy się wysypiać? – zezłościła się Dasza.

– Widzisz – zameldowała niespokojnie nowa obrończyni – ciągle myślę, kto by chciał pociąć ten obraz? – Z zaciekawieniem spojrzała na zdobiących okładkę albumu i uratowanych przez Daszę *Bohaterów*, dosiadających trzy konie różnej maści: czarnego, białego i rudego. Tak jak ich koty!

– Nie mam pojęcia! – odparła z niechęcią Czub, chowając twarz w poduszkę. – Gdyby chcieli go ukraść, byłoby to zrozumiałe, musi być wart fortunę. Ale jakiemu wariatowi przeszkadzają trzej *Bohaterowie*? I co Wasniecowa ma z nami wspólnego? Przecież to rosyjski artysta, którego obrazy wiszą w Galerii Trietiakowskiej.

– No cóż... – Masza już zagłębiała się w przedmowę, sprawdzając dane, które zdążyły wyparować z jej pamięci (zestaw z puli egzaminacyjnej numer 14, pytanie 1: Kultura Ukrainy na przełomie XIX i XX wieku). – Przez dziesięć lat Wasniecowa mieszkał w Kijowie przy ulicy Włodzimierskiej 28. To on namalował freski w naszym najpiękniejszym na świecie soborze św. Włodzimierza! Zobacz! – Radośnie pokazała swoją ulubioną reprodukcję obojętnemu tyłowi głowy Daszy. – To książę Włodzimierz!

– Światosławicz? – zapytał niechętnie tył głowy Czub.

– Tak, syn Światosława Igoriewicza i wnuk wielkiej księżnej Olgi. I właśnie tutaj, w Kijowie, Wasniecowa pracował nad swoimi dwoma najśłynniejszymi obrazami: *Iwan Carewicz na szarym wilku* i *Bohaterowie*. A dopiero później *Bohaterów* kupił Trietiakow w Moskwie...

Rozczochrana głowa Daszy wynurzyła się z poduszki:

– A gdy tylko obraz wrócił do Kijowa, od razu próbowano go zniszczyć! Dziwne... – podjęła.

Straciwszy leżankę w postaci policzka Daszy, zde gustowana Puszek zeskoczyła z kanapy. Ale natychmiast zawróciła i z zapalem obwąchała twarz Daszy: ona to czy nie ona?

– Co, jesteś głodna, kiciu? – zrozumiała Czub. – Jak myślisz – zwróciła się do Kowalowej – stoiska są już otwarte? Trzeba szybko coś kupić, bo inaczej zaraz umrę. Pamiętasz, jak wczoraj leciałyśmy? To było coooś!

– Cały ranek przeglądałam naszą książkę. – Masza próbowała przyciągnąć Daszę do problemu *Bohaterów*. – Myślałam, że może są w niej podobne przypadki. Ale ona jest bezwymiarowa! – Studentka obdarzyła grubą książkę czułym spojrzeniem (prawdopodobnie w ustach historyczki był to najśłodszy z komplementów). – W pierwszych rozdziałach są same zaklinania i zioła. Jest nawet – zachichotała nieśmiało – sposób na stwierdzenie, czy jest się w ciąży zaraz po...

– Seksie? – ożywiła się Dasza. – Jaki?

– Tu jest napisane, że wystarczy, aby Kijowica spojrzała w źrenice kobiety, a zobaczy w ich głębi ogień nowego życia. Piękne, prawda?

– Nieźle... A jest coś o oczarowaniu gejów?

– Nie wiem – zdziwiła się Masza. – Ale ogólnie rzecz biorąc, jest sporo uroków. Istnieją receptury na to, jak kogoś do siebie przyciągnąć.

– To jest właśnie to, czego potrzebuję! – Czub usiadła na łóżku i zaczęła pośpiesznie szukać swoich rozrzuconych butów. – Nie zawsze trzeba pomagać innym, czasem trzeba też sobie!

– Ale mnie się wydaje – zawahała się Masza – że nie powinniśmy używać tych zaklęć do czynienia zła. I wiązać kogoś wbrew jego woli...

– Wiesz co? – zasugerowała chytrze Wstrząsająca. – Zróbmy coś naprawdę dobrego dla równowagi, a potem będziemy mogły zrobić też coś złego! – A widząc zadziwioną twarz Maszy, zapiała z zawodem: – Ależ z ciebie nudziara, Musiu! Och, przepraszam: Maria-nudo. Słyszysz...? – Dasza nastawiła ucha zirytowana. – Wygląda na to, że zjawił się nasz osobisty potwór! Ona też nie może spać. Skąd wyście się obie wzięły, do cholery?!

Z korytarza dobiegało chrobotanie w dziurce od klucza, a potem dźwięk otwieranych drzwi.

– Znowu będzie pracć nam mózgi! – prorokowała Dasza. – A my w zamian opowiemy jej, jak latałyśmy! Zesra się! – Wstrząsająca rozchyliła wargi w oczekiwaniu na swój oszałamiający triumf.

Do pokoju wpłynęła Katia z trzema butelkami coca-coli w rękach i wypchaną torbą burgerów.

Wyraz jej twarzy był absolutnie niesamowity – uśmiechała się!

– *Salve!* – przywitała się.

– Cześć... – Dasza zacisnęła usta w zakłopotaniu. – To dla nas? Więc, ty... jednak... jesteś człowiekiem. Gdzie są twoje okulary? – zdziwiła się.

– Nie są mi już potrzebne – oświadczyła wesoło przybyszka. – To były zwykłe szkła.

– Coś jak przyłbica? – zasugerowała niepewnie Masza.

– Co, specjalnie się szpeciłaś?! – domyśliła się Czub.

Katia roześmiała się serdecznie.

Zszokowana Dasza potrząsnęła warkoczami:

„Podmienili ją! A może tak mocno uderzyła się wczoraj w głowę?”

– Jak po wczorajszym, pozbierałaś się? – Wstrząsająca starała się być miłą, łapczywie rozrywając torebkę i wpychając do ust cheeseburgera od Katii.

– Wszystko okej. – Katia wyraźnie przejęła od Daszy to „okej”. – Samochód naprawiony! Konkurencja padła! A biuro spłonęło i nie muszę iść do pracy! Nigdy więcej tam nie pójde!

– Absolutnie – westchnęła do siebie Czub – wstrząśnienie mózgu!

– Tylko śniły mi się różne bzdury... – Katia, roztrzęsiona na to wspomnienie, zakończyła monolog z powątpiewaniem, potwierdzając wersję Daszy.

– A książka mówi, że wszystkie sny Kijowicy są prorocze – pochwaliła się swoją nową wiedzą Masza.

– Wszystkie? – Katia dziwnie spoważniała. (Choć jeszcze wczoraj opędziłaby takie stwierdzenie jak irytującą muchę!)

– No to dawaj, co widziałaś? – zapytała grzecznie Dasza i spojrzała na Katię spod zmarszczonych brwi.

– Na początku – Katia zaczęła pilnie, zwracając się tylko do Maszy, jakby w nadziei, że ta natychmiast rozszyfruje jej tajemnicze wizje – śniło mi się, że jestem na naszej górze. A mężczyzna z brodą prowadzi mnie na kolejną. Nazwał mnie czarownicą i z jakiegoś powodu Marinką. I to było tak, jakby mnie zdradził z jakąś kobietą, i byłam zła... Ale to się działo dawno, jakieś tysiąc lat temu! – Zamyśliła się w milczeniu. – A potem inny człowiek, profesor, coś znalazł. To było później, gdzieś przed rewolucją. I to było tak, jakbym była żoną tego profesora, która nalegała, aby jej mąż odniósł to do ławry Kijowskiej. Odwiedził nas jakiś człowiek. Nieznany mężczyzna, widziałam go tylko raz w Centrum Czarów... Obraz był zamazany, zarejestrowałam tylko rękę z pierścieniem.

– Może w poprzednim życiu byłaś wiedźmą? – Masza poczyniła buddyjski wtęret i pospieszyła korytarzem po swój plecak.

– Chłopak z Centrum...? I pierścioneł z niebieskim kamieniem? – dopytywała zazdrośnie Dasza, wyciągając inne wnioski z tego, co usłyszała. – Dlaczego o nim śnisz? Podoba ci się?

– Co miałyby mi się nie podobać? Uroczy blondyn – rzekła obojętnie.

– Był rudzielcem! – oburzyła się Czuby, zraniona, że ktoś ośmielił się zobaczyć we śnie jej rzekomą przyszlą własność.

– Rudawy czy blondyn, jedno i to samo – uśmiechnęła się pojednawczo Katia, zamykając ten bezsensowny temat.

– Niece! – Masza wróciła z broszurą domniemanego dziadka Daszy, z którą łączyło go nazwisko. – Tu jest napisane, że dusza wiedźmy wylatuje z niej jak czarny kot i trafia prosto do piekła...

– Podaj dziadka! – Dasza ucieszyła się na myśl o kolejnym spotkaniu. – Cóż, niezły jest! „Dusza czarownicy to czarny kot. Serce czarownicy – ropucha. Czarownica nie może wejść do cerkwi. Czarownica nie może wyjść z domu, jeśli na progu znajduje się odwrócona do góry nogami miotła. Diabły, podobnie jak psy, są wierne do śmierci czarownicy...”

– Naprawdę? – prychnęła Katia, niepewna, jak odnieść się do tej niejednoznacznej informacji. – No dobrze, opowiadajcie! Jak to się wczoraj skończyło? – Spojrzała pytająco na oklejone plastrami kończyny Daszy.

– Oczywiście – zapaliła się Kowalowa. – To jest przecież najważniejsze! Na niebie rozbłysły trzy czerwone ognie. I wtedy zobaczyłyśmy...

– Wiem, widziałam – przytaknęła Katia. – Cerkiew.

– Z zielonymi kopułami? – zainteresowała się Czub.

– Nie, z niebieskimi. Ze złotymi gwiazdkami.

– W Kijowie gwiazdy ma tylko monaster Wydubicki... – Masza odłożyła tę informację na bok, nie wiedząc jeszcze, z czym i jak ją połączyć. – A ja widziałam muzeum. Wczoraj byliśmy z Daszą na wystawie Wasniecowa. A raczej – poprawiła się – była tam Dasza.

– No! Jeden taki, chyba obłąkany – ciągnęła Czub – próbował pociąć obraz. A ja go zatrzymałam! Ale to nie wszystko... Potem latałyśmy! Nad Kijowem! Na miotle!

– Na wystawie Wasniecowa?! – Katia była tym nieprzeciętnie zdumiona (zamiast zdumiewać się nieprzeciętną magią ich powietrznego rejsu). – Wiecie, kto ją zorganizował? On! Ten chłopak z pierścieniem! Przedwczoraj widziałam go w telewizji. Też byłam zaskoczona: co za zbieg okoliczności! O który obraz chodzi?

– O *Bohaterów*. – Dasza przycichła zszokowana. To rzeczywiście zbieg okoliczności! I jakże zachwycony byłby rudowłosy, gdyby wiedział, że to

ona uratowała dzieło, którym się opiekował.

Ilustrując odpowiedź Daszy, Masza wręczyła Katii album. Ta wlepiała wzrok w trójcę na okładce i mechanicznie otworzyła książkę.

– Ale to przecież on! – krzyknęła nagle.

– Chłopak z Centrum? – zdenerwowała się Dasza.

– Nie, mój mąż, profesor!

Dasza i Masza natychmiast przyłgnęły do niej z obu stron, wpatrując się w czarno-białe zdjęcie grupowe, na którym w ciężkim fotelu z wysokim, ukoronowanym reliefem oparciem siedział wskazany przez paznokieć Katii bujnobrody mężczyzna.

– Profesor Prachow?! – Masza mimowolnie podniosła głos. – Członek komitetu do spraw projektu soboru św. Włodzimierza! To właśnie on zaprosił Wasniecowa do Kijowa, aby ten przyozdobił freskami ściany świątyni! To musi coś znaczyć! My ratujemy nocą obraz Wasniecowa, a pani w tym czasie śni o jego pracodawcy! To nie może być przypadek! Proszę – zwróciła się do Kateriny – omówmy wszystko po kolei. Najpierw ktoś zabiera panią na sąsiednią górę... Którą, Zamkową czy Dietinkę?

– Skąd mam wiedzieć? – fuknęła gniewnie Katia. – Nie zwracam się do gór po imieniu odojcowskim. Obecnie stoi tam cerkiew św. Andrzeja, a we śnie był tam tylko krzyż.

– Krzyż świętego Andrzeja Apostoła?! – zapała z podniecenia Masza, tak że obie jej koleżanki mimowolnie cofnęły się o krok. – A więc to prawda?! A wszyscy śmiali się z Łochwickiego!!!

– Z kogo? – Czub drgnęła nerwowo.

– Według wielebnego Nestora Kronikarza – oznajmiła Kowalowa – w pierwszym wieku naszej ery do Kijowa przybył apostoł Andrzej, Pierwszy Powołany, i po wzniesieniu tutaj krzyża rzekł: „Widzicie te góry? Na tych górach wszędzie łaska Boża. I powstanie miasto ogromne, a Bóg

wzniesie w nim wiele cerkwi”. I wszystko się spełniło! Choć każdy wciąż się z tym spiera. Jeśli to bowiem udowodnimy, okaże się, że nasza cerkiew jest apostołska i prymarna, założona przed pierwszym Kościołem chrześcijańskim apostoła Piotra!

– A to jakby fajnie, prawda? – zapytała nerwowo Czub, zdeorientowana nagłym przejściem na tematy wysoce intelektualne.

– Z punktu widzenia biznesu turystycznego bardzo fajnie – potwierdziła Katia. – Tylko że nikt tego nie udowodni, bo nie ma na to materialnych dowodów.

– Bingo! – oznajmiła z fanatycznym entuzjazmem Masza. – W 1832 roku archeolog Łochwicki i metropolita Eugeniusz prowadzili wykopaliska pomiędzy cerkwiami św. Andrzeja i Trzech Świętych i znaleźli sosnową żerdź, która według nich była pozostałością właśnie pierwszego krzyża!

– Mój krzyż był żelazny – wyjaśniła Katerina, nachmurzywszy czoło. – I to nie „pomiędzy”, a dokładnie na miejscu cerkwi św. Andrzeja.

– Wychodzi na to, że twój Łochwicki to frajer! – chlapanęła Czub.

– Otóż – ciągnęła Masza, nie tracąc rezonu – było to nie później niż w 1215 roku, zanim książę Mściśław zbudował tam cerkiew Wzniesienia Krzyża Świętego!

– Prawdopodobnie – zgodziła się niepewnie Katia. – Mężczyzna, który mnie przepytował, nosił kolczugę, taką jak wasi namalowani bohaterowie.

– Czego chciał od ciebie? – Studentka zadała pytanie naprowadzające.

– Skąd mam wiedzieć! Powiedział: nie pozwól mi zbecześcić rzeczy świętej, powiedz mi, czy to to. A co to jest, co jest święte...?

– Święta góra! – oznajmiła z namaszczaniem Kowalowa.

– A co, chciał się na niej odlać? – zarżała Dasza.

– A potem – nie dawała za wygraną Masza – twój mąż, profesor Prachow, znalazł jakąś rzecz i przekazał ją do ławry Peczerskiej? Co to

było?

– Skąd mam wiedzieć! – wycedziła Katia. Chciała, nie mniej niż Masza, odkryć znaczenie jej dziwnych skoków w przeszłość, ale odniosła wrażenie, że studentka historii podchodzi do interpretacji jej wizji z nazbyt akademickiego punktu widzenia. Podczas gdy krzyż z pewnością oznaczał jakiś „koniec poprzedniego życia”, a kłótnia „szybki sukces w interesach”, każdy sennik by to potwierdził.

– W porządku. – Uparta historyczka nie poddawała się. – A gdzie on to znalazł?

– Wydaje mi się – napięła się delikatnie „żona profesora” – że krzyczałam coś o jaskiniach Cyryła.

– Jaskinie pod cerkwią Cyryła? – zdumiała się Kowalowa. – Wszystko się zgadza! Prachow był odpowiedzialny za jej odbudowę. Ale to przecież...

– To właśnie tam sataniści zabili tę dziewczynę! – powtórzyła echem Czub.

– On pracuje w tej samej brygadzie co mój ojciec!

– Kto, Prachow? – pogubiła się kompletnie Katia.

– Chłopak z pierścieniem! Dlaczego nie pomyślałam o tym od razu! – Masza z pogardą uderzyła się dłonią w czoło. – Był tam już pierwszego dnia po awarii.

– Ale czy można być jednocześnie robotnikiem i kuratorem wystawy? – zawahała się Katerina.

– Z twoim ojcem? – zapowietrzyła się Czub. – Więc go znasz? Blisko? Długo?

– Tata wie, jak go znaleźć! – Masza z podekscytowaniem rzuciła się do telefonu. – Oj, mama! – przypomniała sobie nagle. – Nie nocowałam w domu.

Zmartwiona zawisła z telefonem w ręku, próbując zrozumieć: jak to możliwe, że ona, która nigdy nie wracała do domu później niż o 23.00, mogła zapomnieć, że ludzie mają ten dziwny zwyczaj wracania do domu na noc?

– Powiedz, że jesteś w gościach, ale strasznie rozboleła cię głowa, położyłaś się na chwilę na kanapie i nie zauważyłaś, że zasnęłaś. Albo powiedz, że dzwoniłaś, ale cały czas cię odrzucało. Albo że dziadek Czub umarł w mojej wiosce i nie mogłaś mnie zostawić samej. A telefon jest tylko na poczcie, a poczta jest zamknięta. Dziadkowi już wszystko jedno – zaproponowała z marszu trzy warianty wybawienia Dasza.

Masza pokręciła głową i wybrała numer:

– Mamo, to ja...

– prostytutka! – Echo czyjejś bulgoczącej i dławiącej hysterii natychmiast dotarło do mimowolnych słuchaczek. – Wstydu nie masz! To przez ciebie... Twój ojciec... A ty...

– Mamo! – zawołała gwałtownie Masza. I naciśnawszy czarny klawisz, spojrzała gdzieś w bok płaskim, szklistym spojrzeniem.

– Pluj na to – chrząknęła Czub.

– Mój ojciec został aresztowany za morderstwo – zawyła strasznie Kowalowa. – To niemożliwe. Muszę wracać do domu.

– Jadę z tobą! – poderwała się Wstrząsająca.

– Nie.

– Giena cię odwiezie. Samochód stoi przy wejściu – zaproponowała szybko Katerina.

– Tylko zadzwoń. Obiecuj, że za godzinę zadzwonisz! – Czub wczepiła się w rękaw Maszy.

Kowalowa skinęła głową – ale nie w kierunku Daszy, tylko czarnej słuchawki telefonu, na której odwrocie wisiała kartka samoprzylepna

z numerem.

– I pamiętaj – rzekła z przekonaniem Katia – masz przyjaciół. Nawet jeśli twój ojciec naprawdę jest w więzieniu, zburzę jego mury tymi oto rękami!



Gdy tylko drzwi wejściowe zaskrzypiały za Maszą, Dasza podskoczyła do cienkonogiego biurka, przygniecionego masywną księgą Kijowic, i nie siadając, zaczęła ją gorączkowo wertować w poszukiwaniu upragnionego uroku. Postukiwała przy tym niecierpliwie nogą.

– Co ty robisz? – zmarszczyła brwi Katia.

– Mam! – Czub wydała z siebie ochrypy okrzyk. – Musia mówiła prawdę, jest ich tu więcej! – Zaczęła czytać, kreśląc linie niespokojnym palcem.

– Czego tam szukasz?

– Wiesz – rzekła rzeczowo Dasza – ja, podobnie jak Masza, mam własnych problemów po kokardy... I jedną sprawę za sto milionów!

– Za ile?

– Bardzo ważną! – Nie zdecydowała się rozwinąć swej hiperboli. – „Zakęcie dziewicy na małżeństwo”. Niezły kabaret! Obawiam się tylko, że ja się nie łapię.

Katii nagle zaschło w gardle: „Nie wolno się zdradzić, w przeciwnym razie...”.

– „Zaszyj nowy pierścionek z diamentem w skrawki zielonego materiału”. Nowy pierścionek z diamentem! – zachichotała nerwowo Dasza. – Nie mam nawet starego. „Gdy księżyc po raz pierwszy wzejdzie na wiosnę...” Spóźniłyśmy się, jest lato! – Czub nerwowo przewróciła

stronę. – „Utłucz na proszek swoją wcześniej wysuszoną krew...” Co to ma być! – oburzyła się w końcu i zirytowana rymsnęła na fotel.

Rudowłosa Izyda Puszek natychmiast wspięła się na jej kolana, mrużąc zawczasu z zachwytem. Dasza bez patrzenia zmiotła ją na podłogę i pochyliła się nisko nad książką.

– „Poczekaj, aż twój ukochany lub ukochana pójdzie do cerkwi na mszę...” Sani na mszę! Nawet na emeryturze się nie doczekam!

Puszek spojrzała na nią niewinnymi oczami dziecka i zaczęła usilnie wciskać się w małą norę, uformowaną między spoczywającymi na stole kolanami i łokciami Daszy.

– „Zmieszaj płatki czerwonej róży i włosy nierządnicy...” Dobra, załóżmy, że tak – zgodziła się ponuro z tą propozycją Dasza, automatycznie okręcając jeden z kosmyków wokół palca. – Nie żebym była nierządnicą... Ja tylko z miłości.

„Nie wolno im jej używać!” – szeptał groźnie głos diabła w głowie Katii.

– „...i dodaj prochy mężczyzny, który umarł z nieodwzajemnionej namiętności”. Brrr! – Czub wydała z siebie grzmiący dźwięk i podniósłszy obiema rękami nachalnego kota, ponownie postawiła go na ziemi.

– Naprawdę latałyście? – zapytała donośnie Katia.

Ruch był w stu procentach skuteczny – biała głowa najeżona niezliczoną ilością warkoczy natychmiast odbiła się od książki jak piłka tenisowa.

– Przysięgam na mamę! – zapewniła emocjonalnie Dasza, zrywając się z miejsca i próbując odegrać to epokowe wydarzenie. – Nawet nie wiem, jak to się stało. Nagle bum! Mam miotłę pod tyłkiem i siedzę na niej! Szkło w drobny mak, bang! Widzisz? – Z dumą pokazała swoje upstrzone plastrami ręce. – I kiedy Musia, to znaczy Masza i ja, pomyślałyśmy: mamy

przejebane, zaraz będą psy, zgarną nas i co my im powiemy? Że ona sama tak tu lata? Wiesz, co ja myślę? – przerwała nagle swój zagmatwany monolog. – Myślę, że miotła to my!

– To znaczy? – zainteresowała się Katerina.

– Jak mam ci to wytłumaczyć... – Czub zmarszczyła czoło. – Jeśli w głębi serca nie wierzysz, że ona polecą, to nie polecą. Bo trzeba być trochę głupią, żeby wierzyć w cuda! Jeszcze lepiej, całkiem głupią! Kiedy więc głupio rzuciłam się do okna, ona natychmiast podążyła za mną. Chciałam uciekać, a ona natychmiast przyleciała do mnie i zabrała nas. Ona jest nami!

– To znaczy – powiedziała z powagą Katerina – że miotła jest podporządkowana naszym życzeniom?

– Nie, ona jest naszym życzeniem. Tylko tym rzeczywistym, a nie abstrakcyjno-teoretycznym. Wierzysz mi? – Dasza się zaniepokoiła.

– Oczywiście, że tak – wyszczerzyła się Katia (po tym, jak betonowa konstrukcja zawaliła się niczym domek z kart na żądanie jej palców, niewiara byłaby co najmniej śmieszna).

– Chcesz spróbować? – nakręciła się Czub. – Przysięgam, że to lepsze niż cokolwiek na świecie! Lepsze niż paralotnia. Słabe jest tylko to, że drąg bardzo uwiera między nogami. Nie rozumiem, jak one na tym latały! Trzeba będzie zabrać siodło od naszej Muśki, ona pewnie i tak będzie się bała polecieć...

– W czym tkwi problem? – Katia uśmiechnęła się promiennie i podnosząc czarną słuchawkę telefonu, przekręciła obrotową tarczę. – Giena? To ja! Jak tylko zawieziesz dziewczynę do domu, jedź do sklepu sportowego i kup mi rower... Nie, dwa rowery!

Dasza wybałuszyła oczy z zakłopotania.

– Drugi jest dla mnie?! – zapięła pytająco. – Jesteś super! Jesteś po prostu wstrząsającą superbabą! Oj... – Wstrząsająca ciskała się po pokoju. – Przepraszam. – Na czworakach wyjęła spod kanapy torebkę Katii i strzepnęła z niej niewidzialny kurz. – Wczoraj specjalnie ją zabrałam, bo bałam się, że się zawieruszy. Tylko że wzięłyśmy stąd trochę pieniędzy, żeby rozliczyć się z taksówkarzem.

– W porządku – zapewniła ją Dobrzańska. – A jak u ciebie z pieniędzmi?

– Nijak. – Dasza z niesmakiem wzruszyła ramionami. – Głęboka zapaść finansowa.

– Trzymaj. – Przekładając niezbędne rzeczy z wczorajszej torebki do dzisiejszej, Katia wyjęła cały zapas kasy z portfela i podała jej. – To na bieżące wydatki dla ciebie i Maszy. Teraz wszystkie jedziemy na tym samym wózku, prawda?

– Racja... – Dasza wpatrywała się w nią, jakby oglądała obraz *Chrystus ukazuje się ludowi*.

Metamorfoza potwornej Katii po uderzeniu głową o beton wydawała się jej jeszcze bardziej niewiarygodnym cudem niż lot na miotle o północy!

– I kup sobie jakieś normalne ubrania. W pobliżu jest butik „Safo”. Przecież nie wyjdiesz w tym na ulicę...

Dasza z zakłopotaniem przeanalizowała swój dziwny ubiór: minimalistyczna spódnica, beznadziejnie rozdarta podczas zawrotnego salta przez okno muzeum, do tego tank-top, pęknięty na szwie pod pachą i prawdę mówiąc, cuchnący już potem. Magiczne właściwości „dezodorantu” z ekstraktem z goryczuszki najwyraźniej nie obejmowały funkcji antyperspirantu.

– Ale – zawahała się Dasza – Musia może zadzwonić w każdej chwili.

– Dam ci mój telefon. – Katia kusząco potrząsnęła dłonią z nowo nabytym telefonem z tytanową obudową i przyciskami z litego złota.

– Przecież ona nie zna numeru! Tylko ten... – Czub z frustracją tyknęła palcem domowy aparat. – Nie poprosiłyśmy nawet o jej numer stacjonarny. Idiotki!

– To nic, jeśli zadzwoni Masza, od razu do ciebie oddzwonię – zapewniła ją słodko Katerina.

– Nie! – Czub stanowczo odrzuciła kuszącą propozycję zakupów. – Nie będę teraz biegać po butikach. Aresztowali ojca Maszy. A ona jest moją jedyną przyjaciółką. Może potrzebować pomocy. I tak pojedę do klubu po swoje rzeczy. Skoro mowa o klubie...

Dasza pośpiesznie wróciła do książki.

– Do dia... – Katia pośpiesznie zacisnęła usta, wymazując ostatnią sylabę.

„Do diabła, natłuc jej?” – pomyślała dość nieuprzejmie. „Ale jak się otrząśnie, to sucz już zrozumie, że ja nie jestem w drużynie”.

„Nie wolno się zdradzić... bądź dla nich miła...” – przypominał zachęcająco głos diabła.

Ale możliwe jest chyba tylko jedno z dwóch: albo „nie zdradzaj się”, albo „nie wolno im jej używać”!

Dobrażañska powoli zaciskała pięść, obliczając trajektorię swojego nieprzyjaznego ciosu.

– Widzisz – rzekła z ufnością Dasza – muszę poderwać jedno ciacho. Założyłam się, chyba z nudów, że uwiodę go do szóstego wieczorem. I w ogóle on jest gejem!

„Co? Orzemy pole mercedesem!” – Katia w stanie całkowitego szoku uniosła brwi.

Używać Księgi Mocy, za zobaczenie której nadpalony cudzoziemiec Adrian był gotów zapłacić pięćdziesiąt tysięcy bez targowania się, w tak bzdurnym celu?!

„Skończona idiotka! Przedszkole, nawet jeszcze nie starszaki!”

Palce Katii natychmiast zmiękły, a jej nastrój znów był bezchmurny, słodki i łagodny. Nawet gdyby ta idiotka Dasza oczarowała hurtem całą społeczność gejowską Kijowa, jak takie kretyńskie zwycięstwo mogłoby zaszkodzić jej – prawdziwej K. D.?

– Kiedy się tam wybierasz?

– Jak tylko będę mogła! – odparła energicznie idiotka. – Muszę tylko znaleźć coś odpowiedniego. Tak mi szkoda, że muszę oddać mój motorower... I oczywiście zaczekam na telefon od Musi.

– Myślę, że jeśli nie odezwie się w ciągu godziny, powinnaś sama do niej pojechać – rzekła pouczająco Katia.

– Racja – skinęła Czub. – Mój moped jest u niej na podjeździe. Tak czy siak, muszę jechać!

Izyda Puszek, ani trochę niezrażona poprzednimi niepowodzeniami, bez trudu wskoczyła na kolana Daszy, nadal mrucząc głośno i radośnie.

– Co za nachalne zwierzę! – zagrzmiała Czub. – Zrzuca się ją jak worek, a jej się nawet na sekundę humor nie zepsuł!

– Bardzo mi kogoś przypomina – uśmiechnęła się protekcjonalnie Katerina.

Puszek położyła przednie łapy na piersiach Daszy i wspięła się, żeby ją pocałować, trącając swoim anielsko różowym nosem wściekle usta Daszy.

– W porządku – poddała się Czub i cmoknęła różowy nos kota.

– *Merci!* – wykrzyknął nagle rudy kot, zalatując francuszczyzną z wyraźnie ukraińskim akcentem. – Spl-róbuj tlr-rzydziestego zaklęcia – rzekł po rosyjsku z francuską wymową.

– Trzydziestego? – Przejrzawszy kilka stron, Dasza skrupulatnie pochłaniała oczami kolejne wersy. – Gdzie można dostać gołębie jajka?

– W lod-d-dówce... – Kotka przewróciła się na grzbiet i wystawiła swój delikatny, okrągły brzusek do wdzięcznego głaskania.

– Nie, ty nie jesteś Puszek, jesteś bebzon na czterech nóżkach! – Wstrząsająca rozweseliła się, drapiąc wydatny pod każdym względem brzusek. – Przy okazji, trzydzieste pierwsze też jest dobre. Nie trzeba go nawet pić. Wystarczy przygotować i wdrożyć. Szkoda, że będę musiała obciąć paznokcie...

– Trzydzieste jest pewniejsze – rzekła z beztróską błogością Belladonna, odchyliła się i wysunęła przednie kończyny, jakby miała zamiar zrobić „mostek”. – Dł-rugi żywioł jest zawodny...

Dasza – i tak nie rozumiejąc, o co chodzi – podrapała się tylko po nosie ze zdziwieniem.

Zawsze chciała mieć wszystko i zawsze trudno było jej wybrać. Zazwyczaj z dwóch sukienek, które podobały jej się w sklepie, wybierała... obie.

– Okej. – Jak zwykle chciała złapać dwie sroki za ogon. – Dla pewności skorzystam z obu. – Prawą ręką złapała wibrującą Izydę Puszek pod brzuch, pod lewą pachę wcisnęła książkę i dumnie wkroczyła do kuchni.

Rozdział dwunasty

w którym Masza i Misza Bułhakow wyprowadzają się z domu

Przed świtem... zarówno w zagajniku, jak i w wąwozach leżały setki śpiących i pijanych w trupa, przeważnie na wpół rozebranych lub rozebranych do naga przez kloszardów. Szczególnie dużo walało się nagich. Starych i młodych kobiet, a także dziewcząt.

~ A. Makarow, *Mała encyklopedia dawnych dziejów kijowskich*

Masza odnosiła wrażenie, że nie ma władzy w rękach, a palce z waty odmawiają wykonywania poleceń.

Jej ręce próbowały zemdleć ze strachu! Stojąc na zakurzonej wycieracze przed drzwiami swojego mieszkania, Masza nagle uświadomiła sobie, że nic z tego, co ją spotkało, nie miało znaczenia. Bo gdy tylko w słuchawce telefonu usłyszała głos matki, przestała być obrończynią miasta, ważną, wyjątkową i mądrą, którą ekspresyjna Dasza szczerze nazwała „geniuszem”, a nawet sama królowa Katia z szacunkiem spijała z jej ust... Tutaj, w mikroświecie własnej rodziny, której królestwo ograniczało się do pięćdziesięciu metrów trzypokojowego mieszkania chruszczowki, Masza Kowalowa była po prostu niesforną nastolatką, która

nie spędziła w domu dwóch nocy z rzędu – i „tutaj” nie przyjmowało za takie zachowanie żadnych usprawiedliwień.

Niechętnie potrząsnęła zdrętwiałą ręką, a dłoń z kluczem, który siłą woli włożyła do zamka, była największym ciężarem, jaki kiedykolwiek musiała podnieść.

Ani w Centrum Czarów Starokijowskich, które rzuciło jej pod nogi pierwszą w życiu śmierć, ani na Górze Starokijowskiej, która przywitała ją słupem ognia i straszną przepowiednią „Umrzecie!”, ani pod oknami wyjącego syrenami muzeum, grożącego prawdziwym paragrafem za „współudział we włamaniu” – Masza nigdy się tak nie bała!

„Czy ojciec naprawdę został aresztowany...? Nie!”

Jej żołądek skamieniał, jakby wypła wodę z cementem. Masza wzięła rozpaczliwy wdech, by ogrzać mrozący krew w żyłach strach, i weszła zdecydowanie do przedpokoju, bojąc się nawet wyobrazić sobie, co matka jej teraz powie.

– To ty? – Z kuchni dobiegł zatroskany głos.

I Masza popędziła tam, już czuła, jak chowa twarz w najdroższej na świecie starej kowbojskiej koszuli, przytula ojca mocno, a wszystkie lęki znikają jak zły sen.

– Tato! Jesteś w domu? A mama... – urwała i zamarła w progu.

Prawa ręka taty spoczywała w gipsie, jego lewy policzek był spuchnięty od opatrunków wypchanych tamponami. A obok, na stole, stała do połowy pełna musztardówka i do połowy pusta butelka wódki.

– Aaa, Mruczku... – powiedział z ulgą tata, przeciągając po pijacku słowa. – Znasz naszą mamę... Zawsze robi zamieszanie z byle powodu. Dzwoniłem do niej z prokuratury, żeby się nie martwiła. A ona...

– Co robiłeś w prokuraturze?! Co ci się stało, tato?! – Córeczka tatusia przestraszyła się nie na żarty.

Znała swojego ojca na tyle, by wiedzieć, że nigdy nie pił bez powodu – zawsze coś świętował. Ale to zdecydowanie nie przypominało święta.

– Złamałeś rękę?

– Rękę – powtórzył z goryczą. – Wolałbym złamać obie ręce i kark! Żałuję, że tam nie umarłem! – Ojciec wlał do zdartego gardła zawartość szklanki, gwałtownie i łapczywie, jakby sam sobie kneblował usta, i ze zgrozą zatopił twarz w lewym rękawie.

– Tatusiu, co ty...? – Masza bała się wypowiedzieć słowo: „płaczesz”.

W końcu ojcowie nie płaczą – to się po prostu nie zdarza!

– Zamordowali wujka Kolę – załkał ojciec w rękaw. – Naszego wujka Kolę.

– Wujka Kolę? – niedowierzała Masza. – Kto?

– Ja. To wszystko ja...

– Nie!

– Tak. Pojechał ze mną. On czuł, nie chciał. I mnie od tego odwoził... A ja, głupiec, nie posłuchałem! Jak ja teraz będę żył, co, Mruczku? Mnie odkopali, a jego znaleźli... Kolkę... dziś rano. Na bramie ławry... Już był martwy...

Masza poczuła, że jej kończyny sztywnieją, stają się drewniane, napięte, a krew gęstnieje z przerażenia, zamieniając się w trzęsącą się galaretę.

„I to było tak, jakbym była żoną tego profesora, która nalegała, aby jej mąż odniósł to do ławry Kijowskiej”.

– Cerkiew cała we krwi... Znowu we krwi... We krwi Koli!

– Cerkiew Cyryła?!

„Jaskinie pod cerkwią Cyryła? Wszystko się zgadza! Prachow był odpowiedzialny za jej odbudowę. Ale to przecież...”

„To właśnie tam sataniści zabili tę dziewczynę!”

– Gdzie mama? – Masza rozejrzała się gorączkowo.

Ojciec niemrawo opuścił rękaw, a ona zobaczyła, jak jego ściśnięta cierpieniem twarz bezskutecznie próbuje się uśmiechać:

– Wysłałem ją do apteki... żeby kupiła Kukakam!

– Rozumiem. – Masza mimowolnie zerknęła na przezroczystą butelkę.

– Nie miałem siły – skarżył się z żalem. – Nie mogłem już dłużej...

Wysłałem ją więc... po Kukakam. Niech szuka!

– Jest aż tak rzadki? – zapytała gorliwie Masza, podświadomie trzymając się tego neutralnego tematu.

– Gorzej niż rzadki, w ogóle go nie ma! – Włodzimierz Siergiejewicz uśmiechnął się gorzko. – Sam go wymyśliłem. Znasz przecież naszą matkę. Nie uwierzy nikomu, dopóki nie porozmawia ze wszystkimi aptekarzami...

– Więc nie jesteś oskarżony o morderstwo?

– Nikt mnie nie oskarża! – krzyknął ze złością ojciec.

Masza uświadomiła sobie, że byłoby mu łatwiej, gdyby go oskarżyli.

– Wykopali mnie spod ziemi. Jestem ofiarą! – wrzasnął. – A na Frunze znowu powódź. Śledczy wie, kto za tym stoi... I ty też wiesz! Twój kolega z roku! Jak on się nazywa... Piękny zwyrodnialec! Ale oni, rozumiesz, „nie mają wystarczających dowodów” – powtórzył nienawistnie. – Czy to sprawia, że czuję się lepiej?! I tak wiem, że to ja go... Ja Kolę... Tak jakby tymi rękami...

Masza czuła, jak bezlitosne dreszcze opanowują jej ciało niczym człowieka w ostatnim stadium wyczerpania nerwowego.

Było jej niedobrze, odczuwała mdłości na myśl o tym, że ojciec oskarża jej Mira o tak zwyrodniałą, niemożliwą, nieludzką zbrodnię. A jednocześnie okropnie współczuła ojcu – nieskończenie i bezradnie. Nagle, zupełnie nie na miejscu, przypomniała sobie, jak próbował nauczyć ją jeździć na rowerze, cierpliwie dodając odwagi, i jak zdenerwowany uświadomił sobie, że zaczęło to budzić w Maszy silny i paniczny strach.

Bładła, gdy słyszała słowa: „Spróbujmy jeszcze raz, co, córciu?”. I przyszło jej do głowy, że gdyby nie to wszystko, tata na pewno ucieszyłby się, że jego wysiłki nie poszły na marne. Jeździła na rowerze, latała na wysokości dwustu metrów, ona...

– Nie, to nie to samo! – rzekła stanowczo Masza, zaskoczona kategorycznością, z jaką wybrzmiały jej słowa.

Widziała to na twarzy ojca, czuła, że on sam próbuje zaufać stanowczości jej głosu.

– To tak, jakbyś zaprosił wujka Kole do nas w odwiedzin, a po drodze potrąciłby go samochód. Czy wtedy obwiniałbyś się o jego śmierć?

– Ale...

– Nie – odpowiedziała pewnie za niego. – Ale dopilnowałbyś, żeby ten drań, który go zabił, dostał, na co zasłużył!

– Co ja teraz mogę... – jęknął płaczkliwie Włodzimierz, podnosząc zagipsowaną rękę.

– Masz mnie – rzekła, czując, że udało się jej poruszyć ojca z martwego punktu. – Popytam dziś w instytucie. Znajdę go, obiecuję ci! Wiem, kto może wiedzieć... – Masza sama była zdumiona, jak łatwo przyszło jej to kłamstwo i jak łatwo wzięła na siebie ten ciężar.

Kowalowa stanowczo podeszła do suszarki i wzięwszy z niej czystą literatkę, chlusnęła sobie na dno białej wódki.

– Wznieśmy toast ku pamięci wujka Koli, tato – zarządziła. – A potem możesz mi opowiedzieć wszystko od początku.

– Bez stukania – powiedział z pijacką powagą ojciec, nalewając sobie kolejną porcję.

– Za zmarłych też się stuka – oznajmiła. – Ale nie szkłem, tylko rękami. Ciepłym dłoni.

Masza delikatnie dotknęła palców taty, którymi obejmował szklanekę.

Wypiła. Skinęła głową wyczekująco.

A on mówił do niej chaotycznie, bełkotliwie, żarliwie – jak do przyjaciela, a nie swojego Mruczka. Słuchała uważnie, w myślach notując każde okropne słowo.

„Czarnooki... Rita... Rytuał... Krew... Czerwona... Kurtka... Wujek Kola... Najpierw ona, później on... Eksplozja... I powódź trwająca trzy dni. Dlaczego trzy, skoro ofiary są dwie? A może trzy?!”

– Mówiłem im – (ojciec miał na myśli śledczych) – to oni, ci sami – (miał na myśli satanistów). – Ale oni – (znowu śledczy) – sami tak myślą. Powiedzieli, że on – (wujek Kola) – został zabity, zanim przywieźli go do ławry. Stracił dużo krwi, tak jak ona – (Rita). – Cała cerkiew była we krwi...

Wtedy Masza zadrżała z lękiem, bo na słowa „dużo krwi” usłyszała znajome: „Niech cię szlag!”. I już wiedziała, że stojąca przed drzwiami matka ma na myśli klucz zagubiony w czeluściach jej przepastnej torby na zakupy.

– Swołocz! Słuchaj, Wołodia, jakie dranie! – poniosło się po przedpokoju. – Tak mi nagadali! Powiedziałam im: mam męża kalekę! A oni: pierwsze słyszymy. Ja im: założę się, że sprzedajecie tylko swoim i macie gdzieś, że inni umierają! Proszę natychmiast księgę skarg! A oni: wezwiemy policję. A ja im... O proszę, kto w domu zawitał? Czy widzisz, widzisz, co z ojcem zrobiłaś?!

Mama zamarła w drzwiach kuchni i patrzyła na Maszę, jakby była Pawlikiem Morozowem i Judaszem Iskariotą w jednej osobie.

– Widzisz, do czego doprowadziłaś ojca? – krzyczała histerycznie i wyła. – On ciebie, ciebie tam szukał, podczas gdy ty się łajdaczyłaś, kto wie gdzie! Wstydu nie masz? Nie wstydzisz się spojrzeć mu teraz w oczy? prostytutka!

Masza wpatrywała się w ojca z przygnębieniem: nie wspominał nawet słowem, że jego fatalna wyprawa do jaskiń Cyryła miała z nią cokolwiek wspólnego.

– Nie słuchaj jej – rzekł Włodzimierz Siergiejewicz. – Ja nawet nie wiedziałem, że nie było cię wczoraj w nocy. Wyszedłem za dnia.

– Oczywiście! – Matka natychmiast rzuciła się na niego. – Co cię obchodzi, że twoja córka nie śpi w domu! Że za chwilę będzie trzeba wypędzać z niej demony! A jej ojciec, jak mały chłopiec, ze swoim przyjacielem w katakumbach! I doigrałeś się! To twoja wina, że twój przyjaciel leży w ziemi... Dlaczego tam poszedłeś, po co?!

Ojciec powoli robił się biały.

Atakując, matka zawsze uderzała tam, gdzie najbardziej bolało, w sposób równie bezbłędny, co bezwzględny.

– Aha! – powiedziała donośnie do butelki, chwilowo osłoniętej przed nią plecami Maszy. – Już się spiłeś! O siódmej rano. Oboje? – Matka czujnie zaczęła o drugi kieliszek. – Więc już pijesz? Skończona prostytutka! Gdzie byłaś? Gdzie byłaś, pytam?!

– U Daszy...

– Znowu z tą posiniaczoną złodziejką! Z tą, z którą, nawet wstydzę się powiedzieć... Żeby chociaż z tą porządną, a nie... Boże, kogo ja wychowałam! Kogo? Lesbijka! Za co, za co jestem tak karana?!

– Kto jest lesbijką? – Masza nie mogła pojąć.

– Marsz do pokoju – warknęła głośno kobieta. – I nie ruszaj się z stamtąd aż do następnego egzaminu! Zamknę cię na klucz! I wstawię nocnik! Przejdę się do Centrum i znajdę tę Kyłynę, a ona zwróci mi wszystko, co do kopiejki. I za darmo naprawi wszystko, co ci zrobiła. A ty, alkoholiku, idź się przespać... Nie dość, że zabiłeś swojego przyjaciela, niech Kola spoczywa w pokoju, to jeszcze upijasz swoją córkę!

– Zamilcz, głupia! – ryknął przeraźliwie ojciec i zacisnął szczęki.

– Do pokoju, natychmiast! – zawyła matka do Maszy.

– Nie mogę – sprzeciwiła się ledwo słyszalnym głosem. – Musiałam... – Zerknęła z nadzieją na tatę, ale zobaczyła, że on znowu patrzy na nią jak na Mruczka, który nie powinien być obecny przy brzydkiej kłótni dorosłych.

– Albo natychmiast pójdziesz do swojego pokoju, albo nigdy więcej nie postawisz nogi w tym domu! Ty nie masz już matki! Jeśli stamtąd wyjdiesz, nie jestem twoją matką! – Krzyk ogłuszył Maszę. – Idź, co ja powiedziałam! No, dalej!

Masza ponuro ruszyła pod eskortą rodzicielki. Ta ze złością wyrwała klucz włożony od wewnątrz i zatrzasnęła drzwi z nieprzyjemnym brzękiem zamka. Dlatego zamontowali go w drzwiach sypialni Maszy, bo „nie wyjdiesz z pokoju” było ulubioną karą mamy.

Zdruzgotana Kowalowa postawiła swój plecak na podłodze. Za oknem kołysały się jeszcze nagie i niedojrzałe kasztany.

Pokój był dla niej obcy. Zobojętniały i ascetyczny. Żarówka pod standardowym plafonem z białym przewodem. Gruba, trzydrzwiowa, żółta szafa. Biurko przykryte szkłem, pod którym leżały fotografie z dzieciństwa Maszy i zdjęcia wycięte przez nią z czasopism. Wszystko to nieznośnie tandetne w porównaniu z bajkową wieżą na Wale Jarosława, marmurowym kominkiem, antycznymi półkami pełnymi książek, hebanowym biurkiem o smukłych nogach, rzeźbionym kredensem pełnym srebra.

Ale teraz to wszystko-wszystko-wszystko wydawało się jej nagle śmieszne i niedorzeczne.

Może nie było żadnej wieży, gadających kotów i oprawionej w czarną skórę książki Kijowic? Przecież gdyby to wszystko istniało, to czy matka mogłaby ją zamknąć w takim pokoju jak...

„Jak zwykle!”

Masza usiadła na brzegu łóżka i schowała twarz w geście bezsilności.

Matka zawsze wypominała jej, że jest oferumą. Ale czymże innym mogłaby być u boku takiej matki? Przecież stając się kimś innym, nie umiałaby już żyć obok niej. I nieważne, co osiągnie w życiu, przy niej już zawsze będzie taka...

„Jak zwykle”.

I będzie tu siedzieć...

„Jak zwykle”.

Tylko dlatego, że nie jest w stanie powiedzieć matce „nie”.

Gdzie jest ta moc, o której mówiła książka?

Kowalowa podeszła do okna. Jej ulica była jednokierunkowa – po drugiej stronie drogi w promieniach słońca kąpał się Gaj Kadecko-Szulawski, gdzie dawno temu kijowianie obchodzili pierwszego maja noc Walpurgi – światowy sabat czarownic.

Dawno, dawno temu, przed rewolucją, na miejscu obecnych młodych i nieokrzepłych drzew, i domu Maszy, i sąsiadujących z nim chruszczówek, i ulic, i kwartałów, cała dzielnica Sołomienska była wielkim gajem – prawdziwym, wyciętym w pień, wykarczowanym i przepadłym na zawsze. A przed świtem milicja zbierała pijanych i nagich przedstawicieli prostego ludu, leżących pod drzewami i krzewami, i odwoziła ich do przepełnionych z okazji festynu czarownic cyrkułów.

„Wychowałam się w pobliżu Łysej Góry, ty pracujesz w jej sąsiedztwie! A co z tobą?”

„A ja...”

Pierwszy maja – pierwszy sabat w roku!

„Gdy w pierwsze święto roku dokonasz swojego sądu nad wiecznością, niedostępną dla ślepych oczu...”

Nagle odskoczyła od okna. Podbiegła do stołu, podniosła grubą szybę i wyciągnęła portret Bułhakowa. Potem z przekonaniem otworzyła wysoką szafę, wyjęła z niej swoją ulubioną – tatusiową – koszulę w paski.

Wyjeżdża na dłuższy czas. Trzecie piętro. A obok schody pożarowe.

Tak na marginesie, nie było to wcale takie straszne...



– I co, gotuje się? – Dasza wbiegła do kuchni, przyciskając do piersi brzegi ręcznika frotte. – Boże, jak dobrze po prysznicu! – ogłosiła. – Nawet z mydłem do prania! Ciekawe, czy Kyłyna nie kupowała innego?

Na przedpotopowej kuchence radośnie wrzały dwa małe srebrne rondelki z zaczynem mikstury uroku. Nieopodal siedziała rudowłosa Puszek, obserwująca okrągłymi oczami falujące bąbelki.

– Myj się częściej. Pasuje ci. – Katia uśmiechnęła się dobrodusznie i starannie porównała tekst księgi z tarczą zegara. – Przyszłaś w samą porę. Za trzydzieści sekund należy dodać paznokcie z prawej ręki.

– Moje? – zapytała nieśmiało Czub.

– Twoje, jeśli oczywiście nie chcesz, żeby kleił się do mnie...

– Wniosuję, że paznokcie nie zostały nam dane dla urody, ale do pracy. Połowa uroków jest na paznokciach. – Czub z goryczą pożegnała się ze swoim wspaniałym manicurem i zaczęła starannie przycinać paznokcie nad wywarem. – Do ciebie i tak by się kleił... Wszyscy odmieńcy kochają kobiety-wampy. A ty jesteś taka, że wampy wysiadają. A kiedy się nie złościś i nie nosisz okularów, to po prostu... Wyobrażam sobie, jak bardzo masz dość facetów!

– Nie wyobrażasz sobie – powiedziała szczerze Katia. – Patrz! – Z jakiegoś powodu odsłoniła przed Daszą swoją duszę, a także prawą rękę,

gdzie pod rękawem kurtki czaiła się nierówna i jeszcze nie w pełni zagojona blizna. – Nożem – wyjaśniła. – Z zazdrości. Ale nie dlatego, że zdradziłam. Po prostu wszystko, czego jest za dużo, jest zawsze złe! A za dużo miłości, podobnie jak wódki, czyni mężczyzn pijanymi i głupimi. I kiedy baba jest zbyt piękna, podobnie. Nikt jej nie wierzy. I nawet gdyby była Penelopą, to niczego nie zmieni.

– Dlatego się szpecisz? – zapytała ze współczuciem Dasza.

– To też – zgodziła się spokojnie Dobrażańska. – Ale bardziej ze względu na interesy. Nie ma nic gorszego, gdy co drugiej napotkanej osobie wali na dekiel. To znaczy, oczywiście, jeśli sypiasz ze wszystkimi, to oni zrobią ci wszystko i wszystko podpiszą. Lecz możesz pożegnać się z reputacją. Sypiać dla kariery można tylko z jedną osobą, to normalne. W przeciwnym razie, nim się obejrzyysz, puszcza cię w obieg. Ale mówienie „nie” też nie jest wyjściem. Natychmiast zaczynają się niekończące się opóźnienia, każda sprawa jest rozpatrywana dwieście lat. I to nawet nie dlatego, że po prostu stawiają cię przed faktem: albo łóżko, albo interesu nie będzie. Chodzi o to, że chcą się z tobą od czasu do czasu spotykać, żeby się popisać, jacy są ważni i fajni...

– I co, okulary ci pomagały? – zapytała z niedowierzaniem Czub.

– Okulary, fryzura prawie na zero, garnitury pod szyję. Nic tak nie odstrasza mężczyzn, jak suka o skłonnościach lesbijskich. To nie mój problem, że im tam w środku coś i tak bulgocze, najważniejsze, żeby bali się podejść. Teraz nikt mną nie rządzi! Każdemu mogę powiedzieć, żeby się odpierdolił...

– A więc wierzysz w naszą moc? – Dasza spojrzała na nią z zainteresowaniem. – Szczerze mówiąc, nie do końca jeszcze rozumiem, czym ona jest... W czym jest ta moc, która została nam rzekomo przekazana? Cóż, latanie: tak! Mieszkanie: super! Włosy i paznokcie mamy

dorodne, można zaoszczędzić na manikiurzystce. A gadające koty są genialne. Ale my się wcale nie zmieniłyśmy, jesteśmy takie jak przedtem.

„Nie my, lecz wy” – zaprzeczyła w myślach Katerina, spoglądając w głąb siebie, gdzie trzypiętrowy dom pokryty srebrną płytką raz po raz się rozpadał.

Ponownie wyciągnęła rękę i radośnie pstryknęła palcami.

W jej piersi buzowało święto!

– No cóż, włosy i paznokcie to już coś – pocieszała przegrywającą rywalkę. – Oznacza to, że nastąpiło całkowite odnowienie organizmu. Wapń i wszystko inne jest powyżej normy. Jesteśmy teraz takie, jakimi chciała nas widzieć natura, zanim zepsuła nas cywilizacja... Lepiej się nie rozpraszać! – Katia pouczająco postukała paznokciem w stronicę książki. – Wszystko jest tu rozpisane co do sekundy.

W ramie okna pojawił się pogardliwy kot Behemot, który przeskoczył z parapetu na blat szafki i zaczął niespokojnie węszyć. W tym samym czasie do kuchni weszła Śnieżka Belladonna, uniosła swój idealny pyszczek, prychnęła, kichnęła i wystawiwszy tylną kończynę niczym kikut, skoncentrowała się na zwyczajowej toalecie mokrą łapką.

– Aha! Teraz pozostaje was tylko odcedzić – poinformowała Dasza swoje dwa rondelki. – Wywar z ciebie idzie do napoju. Wsad z ciebie przesypujemy, mieszamy, dodajemy czarny pieprz i zawiązujemy na supełek wraz z imieniem opętanego miłością. A może opętywanego? He, he – zaśmiała się nonszalancko. – A jak ma na imię Sani? Aleksander czy Aleksy?

– Być może też Elizeusz. – Katerina zgarnęła książkę ze stołu i przemieściła się z nią na parapet.

– A może w ogóle to jakiś Bazyli – zarżała wesoło Czub. – Nigdy nie wiadomo, jakiego pseudonimu ktoś użyje... W porządku, napiszę Sasza.

Jeśli pierwszy urok nie zadziała, dobiję go drugim!

Dasza nabazgrała na skrawku papieru przypuszczalne imię i ostrożnie wycisnęła brązową masę.

– Taak... – Katia przygryzła wargę. – Okazuje się, że znalezienie skutecznego eliksiru zwycięstwa wcale nie było łatwiejsze niż znalezienie eliksiru miłości. Bycze serce – mruknęła do siebie. – I co jeszcze...

– Znalazłaś coś ciekawego? – rzuciła przez ramię Czub. Ostrożnie wlała trzy łyżki stołowe uroku do przyniesionej przez Katię butelki coli i z zadowoleniem podziwiała efekt.

– Po prostu...

Najlepiej kłamać, mówiąc część prawdy. Tę prawdę Katia poznała już w dzieciństwie!

– ...mam dziś pojedynek bokserski. Zastanawiam się nad sporządzeniem eliksiru zwycięstwa. A właściwie, dlaczego nie?

– Bokserski! – zdziwiła się Dasza. – Gdzie?

– W prywatnym klubie. Życie jest tak stresujące, że trzeba się jakoś rozładować...

– To nieźle! I słusznie! – Czub przytaknęła energicznie, ostatecznie uznając Katię za „swojego człowieka”. – To Musia, nasza książkowa dusza, od razu biłaby na alarm, że nie, nie można! A ja uważam, że skoro pojawiły się możliwości, trzeba korzystać na pełnej!

Kot nagle wyskoczył z szafki na parapet, podekscytowany przywarł głową do nosa Katii i mrużąc jak karłowaty traktor, zaczął z oddaniem ocierać się o jej dłoń.

– Spójrz na to – zdumiała się Czub. – A jeszcze wczoraj krzyczał na nas jak opętany.

– Wyszalał się przez ostatnią dobę. Teraz chce jeść – parsknęła sarkastycznie Katerina. – Kupiłam im trochę karmy. Jesteś chociaż

wykastrowany, co, bestio?

Kot spojrzał na nią obrażony.

– Jeśli nie, wkrótce będzie tu kocia farma.

– Z koleżankami z pracy – nigdy! – oznajmił z godnością Behemot. –

A czy mi jest trudno wyjść przez okno, o pani?

– Babiarcz! – prychnęła pogardliwie Belladonna i uniosła prawą tylną łapkę do nosa, elegancko ją oblizując.

Kot, odpychając się tylnymi łapami, wskoczył na lodówkę i nosem mocno szturchnął drzwi.

– W zamrażarce – mruknął, patrząc na Katerinę. – Kyłyna zawsze brała dwa serca.

– Jeśli przepis mówi o jednym, to trzeba włożyć jedno – sprzeciwiła się Dasza Czub.

– Za kogo ty się uważasz? Nadajesz się na mojego kotka! – Behemot rozzłościł się natychmiast. – Pani, pozwolisz mi polizać, pr-r-r-rawda? – Skoczył do nóg Katii i otarł się o jej kolano.

– Och, ty – rzekła szorstko. – Ten, kto cię karmi, jest twoją panią.

– Pamiętajcie – powiedziała nagle Belladonna – działa tylko trzynaście godzin.

– Jak to? – Dasza pośpiesznie zajrzała do książki. – Nie ma nic o tym!

– Nie jesteście prawdziwymi wiedźmami – mruknęła przemądrzałą Belladonna. – Jesteś z ulicy, bez rodowodu. A za pierwszym razem działa zawsze nie dłużej niż trzynaście.

– To jest dyskryminacja! – oburzyła się głośno Dasza. – Co to ma być? Jak siedzieć każdej nocy na górze, to pewnie że prawdziwe, ale jak już sprawy chcemy załatwić albo się trochę rozerwać – to nie jesteście godne. Niesprawiedliwe!

Belladonna podrapała się pogardliwie.

– Łał! Katia! Telefon! – krzyknęła Czub i potknąwszy się o taboret, wpadła do gabinetu.

Dobrażańska wyjęła z lodówki starannie zapakowane w folię serca i wrzuciła je do zlewu, żeby się rozmroziły.

– Co, co? Słabo słychać? Co? Gdzie? Z budki? – Impulsywny krzyk Daszy roznosił się po mieszkaniu. – Co, chyba cię pogrzało?! Nie pchaj się tu beze mnie, słyszysz! Co? Będę za pięć minut! Za pięć minut! Jest weekend, ulice są puste. A mój kucyk jest uwiązany na twoim podjeździe. Dobra! Czekaj! *Ciao!*



– Tak jest zawsze – rzekła ze zrozumieniem Dasza. – Najpierw rodzice dają dzieciom życie, a potem im je utrudniają! Zamknięta w pokoju, jakbyś miała cztery lata! To nic, jak tydzień do domu nie wrócisz, to zrozumieją, kto dyktuje warunki. Mamy gdzie mieszkać, a ty od dawna jesteś dorosła, nikt cię nie może do niczego zmuszać. Trzeba tylko dać im to odczuć!

– Tata będzie się martwił – westchnęła niepewnie Masza.

– Nie będzie. Przecież mówiłaś, że jest normalny. Skoro zostawiłaś liścik, że zatrzymałaś się u przyjaciółki, czyli u mnie... No dobrze, to może powiesz mi, dlaczego tu jesteśmy? To straszne, że przyjaciel twojego ojca został zabity. Ale co to ma wspólnego z nami? – zapytała niezadowolona Czub.

Jej niezadowolenie wynikało również z faktu, że siedmiobiegowe kamienne schody, przylegające absurdalnym i długim zygzakiem do wzgórza cerkwi św. Cyryla, nigdy się nie kończyły. I było bardzo gorąco – zanim tu dotarły, Dasza nawet nie zauważyła, że w mieście jest taki nieznośny upał.

– Mam jeszcze sprawy do załatwienia, muszę skoczyć do klubu – mruknęła Czub, ściągając połyskującą marynarkę.

Resztki ubrań pod spodem były kompletnym bałaganem, ale lepiej wyglądać jak włóczęga niż świecić golizną.

– Przecież cię nie zmuszałam – przypomniała jej Masza.

– A co – rzekła oburzona Wstrząsająca – miałam puścić cię samą? Sataniści zabili już dwie osoby!

– A jeśli trzy? – podała w wątpliwość jej towarzyszka.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała prosto na Daszę.

– Pamiętasz, co powiedziała Kyłyna? „Ja jestem pierwsza, ale będzie druga i trzeci”. Druga i trzeci oznacza kobietę i mężczyznę! Rita i Mikołaj Pietrowicz!

– Słuchaj – burknęła z powątpiewaniem Czub. – Rozumiem twoje uczucia do taty. Ale sama przytargałaś tu nasze zwłoki za uszy. Dobrze, już dobrze – zgodziła się nagle.

Dwa zgony znajomych w ciągu dwóch dni mogą złamać nawet taką bibliotekarkę jak Masza. I w tak złożonej psychologicznie sytuacji trzeba wyjść jej naprzeciw...

– Przejdźmy się, sprawdzimy szybko, co i jak!

Minąwszy swoją pochmurną przyjaciółkę, Dasza ruszyła szybkim krokiem w górę schodów i zatrzymała się przed ostatnimi stopniami.

– Łał! – krzyknęła. – To jest to! To moja cerkiew!

– Tu zostałaś ochrzczona? – zapytała ponuro Masza.

– Nie – pisnęła Dasza. – Tę cerkiew widziałam na niebie. Z krzyżami i zielonymi kopułami! O, mamó! – rzekła w stanie całkowitego szoku. – Po to nas tu wzywali! Miałyśmy zapobiec morderstwu!!!

– Któremu? – Masza zrobiła się biała.

– Obydwóm! – Czub z podekscytowaniem wymachiwała rękami. – Może przedwczoraj też wysyłali nam drogowskazy, tylko byliśmy nieprzytomne. Jak się tego domyśliłaś?

Masza Kowalowa, która zaledwie pół minuty temu podała koleżance logiczny związek wydarzeń, zacisnęła tylko zęby na wardze.

„To moja wina!” – pomyślała odrętwiale.

Może nie udałoby się uratować Rity, ale wujka Kolę tak.

Oczywiście Dasza nie mogła rozpoznać cerkwi św. Cyryla z lotu ptaka, ale ona...

– To wszystko moja wina! – oskarżyła się z przekonaniem Masza. – Powinnam była przepytac cię, o którą cerkiew chodzi, ile miała kopuł, gdzie stała, co było obok. Mogłam ją wytypować! A Mikołaj Pietrowicz żyłby... Och! – Szybko zamrugła oczami, próbując powstrzymać napływające łzy.

– Dość już, stop! – Daszę rozzłościł ten atak samobiczowania. – Przede wszystkim nie jest jasne, kto kogo by powstrzymał: my zabójcę, czy zabójca nas. Za kogo się uważasz, za obrończynię Kijowa? Jak trzej bohaterowie? A powiedz mi, bohaterko, umiesz się bić? A może masz broń? Katia potrafi niezłe dokopać – przypomniała Czub, dotykając z uznaniem siniaka na kości policzkowej. – I to jeszcze śpiąc! Jak ty byś ich powstrzymała, co? „Oj, oj, oj, proszę nie dotykać tego wspaniałego wujaszka!” Powiem ci tak: to, że w muzeum ta szuja z nożem rzuciła się do ucieczki, a nie na mnie, było wielkim szczęściem. W przeciwnym razie leżałabym w kostnicy z dziurą w nerkach. Trzeba patrzeć na sprawy realistycznie, Marusiu!

Masza przytaknęła, w milczeniu przetykając zabronioną „Marusię” wraz z niespełnionymi łzami. O dziwo – napaść Daszy przyniosła jej ulgę.

– Rury pękają tu już trzecią noc. – Masza wróciła do swoich prawdziwych, logicznych kompetencji. – Przypuszczano, że przyczyną są zawalenia jaskiń. A zawalenia są spowodowane przez kopaczy. Ale dziś tata powiedział, że to, co się stało, nie mogło być wynikiem przypadkowego echa. To był wybuch.

– Wybuch? – zdziwiła się Dasza. – Wstrząsające!

– Właśnie! Taki, który sprawił, że ziemia się zatrzęsła, a mój tata prawie umarł. A wujka Kołę znaleziono rano przybitego do wejścia Świętej Bramy.

– Gdzie, gdzie?

– Przy centralnej bramie ławry Peczerskiej.

– Ale dlaczego go tam zaciągnęli? – zainteresowała się Czub. – Przecież to na drugim końcu miasta.

– Wiem dlaczego – rzekła smutno Masza. – Ławra zawsze była uważana w Kijowie za miejsce święte. Główna świątynia Kijowa! A nawet nie samego Kijowa, ale całej Rusi. A sataniści nigdy nie wymyślają niczego nowego. Dlatego diabeł jest nazywany małpą Pana Boga. Wszystkie obrzędy satanistyczne są odwróconymi obrzędami chrześcijańskimi. Żegnają się znakiem krzyża od tyłu, wieszają krucyfiksy do góry nogami, czytają *Ojciec nasz* od tyłu... A tak na marginesie, to dlatego Zjazd św. Andrzeja nazywany jest „odwróconym” i „diabelskim zjazdem”. To jedyna ulica w mieście, której numery domów nie biegną od centrum, lecz w kierunku centrum.

– Wcale mnie to nie dziwi – zaśmiała się Dasza. – Zwłaszcza że to właśnie tam wszystko się zaczęło.

– Ogólnie rzecz biorąc... – Studentka wróciła do poprzedniego tematu – przed rewolucją ci, którzy chcieli zyskać patronat ciemnych mocy, poszli i zbezczęścili świętą ławrę Peczerską. Biedni pragnęli się wzbogacić, karierowicze: osiągnąć władzę. Złodzieje, którzy chcieli mieć szczęście

w interesach, zakradali się nocą, aby coś ukraść. A kiedy władze sowieckie rozpoczęły wojnę z religią, to właśnie ławra była ich pierwszą ofiarą, a pierwszym nowym męczennikiem prawosławnej cerkwi został metropolita kijowski Włodzimierz. W nocy do jego celi przyszło trzech mężczyzn, a rano bracia znaleźli jego ciało, zadźgane bagnetami, w pobliżu ławry. A ci, którzy dziś przybili wujka Kolę do Świętej Bramy...

– Czyli co, komuniści też byli satanistami? – przerwała zainteresowana Czub. – Czyli naszą Kyłynę też oni...?! To znaczy, nie komuniści, ale...

– Tak – zrozumiała Masza. – Nie zastanawialiśmy się nawet, dlaczego umarła.

– Może była chora. – Dasza, która pokonała już kilka stopni, znowu zatrzymała się na środku schodów i zaczęła z powrotem schodzić.

– Widziałam ją pięć minut przed śmiercią i czuła się bardzo dobrze.

– Różne bywają choroby... Stój! – Dasza zrobiła krok w prawo, zagradzając Maszy drogę. – Wydaje mi się, że nie rozgryzaś najważniejszego. Kto jest przywódcą satanistów? Twój śliczny chłoptaś!

– To nie są sataniści, to kopacze! – naburmuszyła się natychmiast Masza.

– Tylko nie opowiadaj mi tu o jego alibi! – uniosła się Czub, jak zwykle wysunęła przed siebie rękę i zaczęła kolejno zaginać palce. – Zastanów się nad tym. Po pierwsze drugą ofiarą jest jego dziewczyna. Po drugie jest historykiem, tak jak ty. A kto jeszcze z normalnych ludzi pamięta o jakichś przedrewolucyjnych diabolicznych obrzędach w ławrze Peczerskiej? Ja na przykład nigdy o nich nie słyszałam! Po trzecie sama to powiedziałaś: kopacz, jaskiniowiec... Po czwarte jego włosy są takie jak u wandalą w muzeum, kucyk z tyłu!

– Kucyk jeszcze o niczym nie świadczy! – oburzyła się Masza. – Po co Mir miałby niszczyć obraz? Kyłynę mógł zabić tylko ten, kto widział ją

jako ostatni! A to oznacza, że zrobiła to osoba, która weszła tam przede mną! Pracownik taty. Tylko tata powiedział, że on pracował zaledwie jeden dzień, a potem zniknął. Wczoraj widziałam go na Górze Starokijowskiej, gdy szłam po rower. A gdy tylko zapytałam Wasylisę o Łysą Górę, od razu podbiegł i się zainteresował.

Dasza skrzywiła się wrogo. Relacja o przypadkowym spotkaniu Maszy z jej rudzielcem zrobiła na niej o wiele większe wrażenie niż fakt, że widział on zamordowaną kobietę jako ostatni. Pomimo zagadkowej dwulicowości hydraulika i krytyka sztuki w jednym, kategorycznie nie dopuszczała do siebie myśli, że ten rudowłosy i sympatyczny gość jest satanistycznym mordercą!

– Dolicz jeszcze to – rzekła Masza, że to on ostatni widział Kyłynę. Był tu w pierwszym dniu wypadku, a potem zniknął. Zorganizował wystawę. Interesuje się mistycyzmem i uwielbia Bułhakowa. Sam mi powiedział...

„...i z jakiegoś powodu dał mi też swój łańcuszek” – dokończyła w myślach.

Ale Masza nie miała odwagi powiedzieć przyjaciółce, że facet, o którym wystarczy wspomnieć, by Dasza zaczynała pluć ogniem jak zazdrosny piecyk typu prymus, dał jej prezent.

– Bułhakow jeszcze o niczym nie świadczy! – odwarknęła Czub. – Z łatwością można stwierdzić, że to my trzy ją zabiłyśmy! To my wybiegłyśmy jako ostatnie z jej gabinetu, a ty uczysz się Bułhakowa na pamięć i zadajesz nauczycielom podejrzone pytania o Łysą Górę. Twój ojciec cały czas się tu kręci, może to on jest twoim współnikiem! Przy okazji, morderca mógł wejść przez okno Kyłyny na parterze. Ile czasu minęło, zanim weszłyśmy do środka?

– Jakies dziesięć minut... To ma sens – uspokoiła się Masza. – Nie mamy żadnych dowodów, tylko przypuszczenia. Każdy może być

podejrzany.

– Nawet on! – podchwyciła myśl Czub i zadarła podbródek w kierunku niewyraźnej męskiej postaci, która stała na szczycie schodów, w pobliżu bramy prowadzącej na teren cerkwi.

Stworzenie miało bladą, opuchniętą twarz i zwiotczały uśmiech, niezaadresowany do nikogo, co zdradzało, że jest mieszkańcem Pawłowki. Patrząc na niego, Masza mimowolnie pomyślała, że oni, ludzie normalni, nawet nie zauważają, że zawsze trzymają usta zamknięte, otwierają je tylko we śnie. A i to nie wszyscy: jej matka zawsze spała z niezadowolonymi, mocno zaciśniętymi wargami.

– Zapomnialiśmy, że obok jest psychiatryk! – Dasza wyciągnęła rękę do Maszy na znak pokojowego porozumienia, a ta po chwili zawahania uścisnęła ją w odpowiedzi.

– Dlaczego obcięłaś paznokcie? – mruknęła, rozczarowana niepowodzeniem swoich wniosków.

– Jeden się złamał i musiałam podrównać resztę – skłamała pospiesznie Dasza Czub, bezwiednie i nerwowo wymachując plastikową torebką z coca-colą.

– Dlaczego tylko u jednej ręki?

– Szkoda mi było drugiej. – To była szczerza prawda.

– Dobrze, chodźmy – westchnęła smutno Masza. – Musisz jeszcze zdążyć do klubu.



– Dzień dobry – przywitało ich stworzenie z uprzejmym, zwiotczalym uśmiechem. – Jestem Mitia!

Jednak pozostali mieszkańcy Cyrylowej Góry, pod ogólnym adresem Frunze 103, przywitali przybyszów w znacznie mniej przyjazny sposób.

Na drzwiach cerkwi wisiała tekturowa tabliczka z napisem „Zamknięte”, co, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, wcale nie zaskakiwało. Obok znaku ostrzegawczego stał zdenerwowany, przygarbiony kapłan i z obrzydzeniem patrzył na bezbożną grupę cudzoziemców ustawionych w kręgu...

– Wasilisa Andriejewna! – zdziwiła się Masza. – Znowu!

– Ta sama? – zapytała Dasza. – To masz kolejnego podejrzanego! Dlaczego ona się tu kręci?

– Nie, nie. – Kowalowa pospiesznie usprawiedliwiła nauczycielkę. – Dorabia jako przewodnik wycieczek w jakiejś fundacji. Cały czas przyjeżdżają do nich zagraniczni sponsorzy. A Wasia jest wyjątkowym historykiem.

– To podejźmy i posłuchajmy! – zaproponowała Dasza i pociągnęła energicznie niechętną Maszę w stronę zwiedzających.

Trzymając ją za rękę, Czub zaczęła przeciskać się bezkompromisowo przez częstokół z męskich pleców.

– ...cerkiew, zbudowana w połowie XII wieku jako katedra monasteru Cyryla – ciągnął głos Wasilisy. – Pod koniec XVIII wieku dawny monaster został zlikwidowany, a w 1803 roku jego pomieszczenia przeznaczono na dom dla chorych umysłowo. Pod koniec XIX wieku odbudowę cerkwi powierzono Adrianowi Prachowowi, profesorowi historii sztuki, który zasłynął tym, że przyciągnął do Kijowa tak znakomitych mistrzów jak Michaił Wrubel, Michaił Niestierow i Wiktor Wasniecowa.

– Och – rzekła głośno Dasza. – Mówią o mężu Katii!

– Spod pędzla Wrubla w cerkwi wyszły takie dzieła jak *Zstąpienie Ducha Świętego*, *Archanioł Gabriel*, *Lament nadgrobnny* i cztery obrazy

w ikonostasie. Na jednym z nich, na obrazie Najświętszej Bogurodzicy, artysta przedstawił żonę profesora Emilię Prachową, w której był beznadziejnie zakochany.

– Co to znaczy? – zastanawiała się Dasza. – Sam Wrubel namalował portret Katii? Chodźmy zobaczyć...

– Zamknięte! – szepnęła do niej Masza. – Tam wisi znak!

– Cóż, to tylko tabliczka, a nie zły pies...

Wycieczkowicze rozstąpili się zgorszeni, krzywiąc się na widok dwóch bezczelnych podrzutków.

Masza zawstydziała się boleśnie.

– Witaj, Kowalowa, to znowu ty? – Wasia przywitała swoją uczennicę, ze sceptyczną ciekawością przyglądając się jej półnagiej towarzyszce, której ciało zdobił ornament z rozcięć i plastrów. – To moja studentka. – Wasilisa uprzejmie przedstawiła Maszę. – Nie wiedziałam, że ma tak specyficzny zakres zainteresowań. Czarownice, Łyse Góry, ofiary rytualne...

Tłumacz natychmiast wybełkotał coś pośpiesznie i długo, a Czub, która dość dobrze władała łamaną angielszczyzną, domyśliła się z ciągu słów – „satanic”, „make a sacrifice in this temple”, „a lot of blood” – że opowiada im o satanistycznej sensacji. Prawdopodobnie wszystkie media już trąbiły o tej koszmarnej wiadomości.

– Pod budynkiem cerkwi św. Cyryla – kontynuowała Wasilisa, jakby nic się nie stało – znajdują się unikalne jaskinie Cyryla, zachowane jeszcze z okresu paleolitu. Są dwukrotnie starsze od samego miasta, a w przeciwieństwie do licznych podziemnych korytarzy, wykopanych przez mnichów pod ławrą Kijowsko-Pieczerską, ich pochodzenie jest wciąż nieznanne, nic więc dziwnego, że wiąże się z nimi wiele legend. Niektórzy uważają, że jest to miejsce zamieszkania pierwszego człowieka. Inni

wierzą, że hetman ukraiński Mazepa zakopał tam swoje skarby, tak wielkie, że mógłby kupić za nie cały Kijów. Inna, bardziej starożytna legenda głosi, że od wieków mieszka tu żmij kijowski, a jego nora jest tak głęboka, że sięga aż do piekła.

Jeden z obcokrajowców otwarcie parsknął śmiechem, a tłumacz, którego im przydzielono, grzecznie przetłumaczył jego uwagę:

– On twierdzi, że dinozaury żyły jeszcze w czasach paleolitu.

– Myli się – uśmiechnęła się majestatycznie Wasilisa. – Dinozaury zakończyły swój żywot w erze mezozoicznej. Mimo to strach przed żmijem prześladował mieszkańców Kijowa wiele, wiele lat później. Według bylin jego drugie pojawienie się przypadło na okres panowania księcia Włodzimierza Krasne Słoneczko, czyli księcia Włodzimierza Równego Apostołem, który ochrzcił Ruś. Jedna z wersji wspomina, że żmij został pokonany przez Cyryla Kożemiaka*. Według innej żmija pokonało trzech bohaterów bylin, którzy służyli na dworze księcia.

– To znaczy – rzekł inny, rosyjskojęzyczny turysta – że pani mityczni bohaterowie byli jakby chrystusowymi rycerzami księcia Włodzimierza? Walczyli z diabłem?

– Rycerze Chrystusa? – Dasza podskoczyła głośno. – Właśnie dlatego sataniści próbowali pociąć ich na kawałki! Szaleńcy! To są bajki...

Grupa wpatrywała się w nią ze zdumieniem. Tłumacz zaczął opowiadać drugą historię porannych wiadomości: „Someone tried to steal the picture from the museum at night. Masterpiece of Russian painting...”

Wstrząsająca nagle głupio i rozpaczliwie pożałowała, że ich bohaterskie imiona nie zostały tam wymienione.

– No, nie taka znowu bajka – zaprotestowała Wasilisa Przemądra. – Relikwie Ilji Muromca do dziś spoczywają w ławrze Kijowsko-Pieczerskiej.

Nawet całkiem niebajeczni komuniści postanowili zalać jaskinie Cyryła betonem.

– Czy komisarze bali się żmija? – zapytał z niedowierzaniem cudzoziemiec z wyraźnym akcentem.

– Jeśli już, to raczej skarbu hetmańskiego – uśmiechnęła się Wasilisa Andriejewna. – Paradoksem historycznym jest fakt, że w XIX wieku jaskinie te zostały odnalezione i oczyszczone nie przez archeologów, lecz przez niezliczonych poszukiwaczy skarbów, którzy zamiast kosztowności znajdowali i wyrzucali wraz z ziemią liczne artefakty ze starożytności. Kopali jednak dalej z takim zapałem, że w końcu budynek cerkwi Cyryła pękł i zaczął zapadać się pod ziemię... Patrzymy w prawo. – Wasia, jakby ściskając w dłoniach niewidzialną buławę Chmielnickiego, zdecydowanie skierował uwagę wszystkich w inną stronę. – Przylegający do cerkwi szpital Pawłowa był kiedyś monasterem św. Cyryla. Istnieją powody, by przypuszczać, że jest to najstarszy klasztor na Rusi Kijowskiej. Pozostała po nim część muru...

Ale Masza już gniewnie ciągnęła swoją zbyt rzucającą się w oczy koleżankę w inną stronę.

– Słyszałaś to, słyszałaś? – wypluwała uparcie Dasza. – Eksplozje! To naprawdę była eksplozja. Próbowali wysadzić beton, żeby dostać się do skarbu! A ja się tylko zastanawiam, za ile „można kupić cały Kijów”?!

– Nie wiem – próbowała ją ostudzić Masza. – Ale w XVII wieku Kijów był znacznie tańszy.

– Dlaczego?

– Bo był około sto razy mniejszy. A gdyby chodziło o skarb, nie zabijaliby ludzi.

– Po prostu byli świadkami czegoś, więc się ich pozbyli.

– Świadków usuwa się dyskretnie, a nie przybija do bram świątyni – przerwała jej ostro studentka, bezlitośnie zhańbiona na oczach szanownej wykładowczynie.

– Stój! – uparła się Czub. – Chodźmy zerknąć na Katię! To dopiero będzie, jeśli okaże się, że ona faktycznie jest tam namalowana! Już niczemu się nie dziwię.

– Idź, jeśli chcesz – warknęła Masza. – Ja idę do jaskiń Cyryla!

– Przecież są zalane betonem.

– Tylko część pod cerkwią jest zalana – wyjaśniła ponuro Kowalowa. – Tam, za płotem, jest wjazd, przez który schodził tata.

Dasza Czub wahała się: obie wycieczki wydały jej się równie kuszące.

– Okej. – Nawykowo próbowała zjeść ciastko i mieć ciastko. – Idź. Zerknę tylko na Katię i pójdę za tobą!

Ale tym razem jej się nie udało. Przyjaciółka spojrzała na nią z urazą i odeszła w milczeniu.

Z dziennika N

Wszyscy mówią tylko o satanistach...

Satanizm jest niewymienną monetą mass mediów.

Szatan jest ich gwiazdą pop, zawsze robi sztuczki – skandalizuje, ekscytuje, nie nudzi! Działa im na nerwy, przeraża ich, bawi i gwarantuje wysoką oglądalność. Ludzie kochają swojego Diabła i z utęsknieniem czekają, by zajrzeć do niego za kulisy...

Ludzie, ludzie, ludzie...

Ale jeśli lubicie patrzeć na krew – to lubicie krew!

* Cyryl Kożemiak – wschodniosłowiański odpowiednik Szewczyka Dratewki.

Rozdział trzynasty

w którym spełnia się przepowiednia bruneta

W Księdze Rodzaju wąż jest jeszcze zwierzęciem – tylko najmądrzejszym i najbardziej przebiegłym z wszystkich: w diabła zamieniły go późniejsze interpretacje.

~ A. Amfiteatrow, *Diabeł*

Wstrząsająca spojrzała na cerkiew Cyryla w białokamiennym, ozdobionym złotymi słońcami kokoszniku i zbliżywszy się do drzwi, chwyciła za ciężki pierścień.

– A ty dokąd? – Zdenerwowany kapłan szturchnął ją z niedowierzaniem. – Nie widzisz, że jest napisane „Zamknięte”?

Obok niego stała już wysoka i chuda jak patyk parafianka o bladych i zupełnie bezpłciowych oczach. Jej biała twarz była szczelnie owinięta chustą, a spod długiej, bezkształtnej sukni wystawały niewiarygodnie cienkie kostki.

– Chcę tylko zobaczyć – poprosiła grzecznie Czub.

– W co ty się ubrałaś do cerkwi? Wstydu nie masz! – rozgniewał się cerkiewny cerber. – Jesteś chrzczona?

– Tak! – Dasza prężyła się dumnie.

– Dlaczego więc nie nosisz krzyża? – skoczył na nią natychmiast.

– A właśnie że noszę! – przyjęła wyzwanie Wstrząsająca, podeszła do niego i z butą podniosła zmiętą drucianą instalację, by odsłonić ukryty pod nią krzyż, wiszący na cienkim łańcuszku zaplątanym na głowie węża.

– Dlaczego hańbisz krzyż Boży?! Wstyd! – rozzłościł się jeszcze bardziej kapłan. – Po co przyszedł do cerkwi? Patrzyć na krew innych ludzi?

Parafianka gapiała się na Daszę z przerażeniem. Bez wyrzutów i potępienia, gorzej – jak na ucieleśnienie grzechu śmiertelnego.

– Pielgrzymki szatańskie sobie urządzą, chodzą i chodzą, bezbożnicy! Nie boicie się kary Bożej?! To błąd! Słyszycie, błąd! – Duszpasterz potrząsał swoją nieuczesaną, płową brodą.

– Nie chodzi o krew, ale o ikonę Matki Bożej, którą chciałam zobaczyć! – odegrała święte oburzenie Czub.

Jednak oburzenia, w przeciwieństwie do świętości, nie musiała grać – była już gotowa uderzyć pięściami tego cholernego popa.

– Chodzisz na nabożeństwa w niedzielę? Przestrzegasz postów? – przypuścił kolejny atak.

– Weź spierdalaj... – wypluła z siebie zirytowana Czub. – Przy okazji warto wspomnieć, że tu jest muzeum. A do muzeum można chodzić, jak się chce! Rozumiesz? – I odwróciwszy się na obcasie, pobiegła za Maszą, która już zniknęła. Czowała, że zaraz wybuchnie gniewem.

– Jedna już się doigrała! Bezbożnica! – ryknął za nią groźnie pop.

„Rita? A jeśli to on?” – Czub zwolniła i obejrzała się za siebie, widząc, że kapłan wpatruje się w nią wzrokiem nieubłaganej średniowiecznej inkwizycji.

„W nocy przysła do niego dziewczyna w krótkiej spódniczce, a on ją zabił, fanatyk! I widział Bóg z góry, jak ten zarzyna Ritę, i zadrżała

ziemia... Nie, bzdury! Chociaż... Przecież zamek w drzwiach nie został sforsowany. Otworzono go kluczem. A klucze ma tylko...”

– Cześć! Jestem Mitia.

Dasza wzdrygnęła się z przerażenia.

Po zewnętrznej stronie bramy, wtulony w mur ogrodzenia, stał ten sam uśmiechnięty szaleniec, wyglądający jak przymilne, rozpieszczone dziecko.

– Ale mnie, głupku, wystraszyłeś! – mruknęła Czub.

– Ludzie tacy jak ty nie mogą być wykluczani – odpowiedział, uśmiechając się.

– Co?

– On krzyczy na wszystkich. Ale wujek Cyruś powiedział mi, żebym go nie słuchał, bo ja sam jestem człowiekiem Bożym. I pokazał mi w cerkwi obraz, który malarz malował, wzorując się na nas...

– Na kim? – Oburzenie wciąż w niej kipiało, powoli jednak ustępowało.

Szaleniec, o dziwo, był w pewnym sensie pokrzepiający – z dziecięcymi oczami bez cienia złośliwości.

– Na tych, którzy mieszkali w naszym domu, bo my jesteśmy bliżej Boga – wyjaśnił jej chętnie.

– W domu dla chorych psychicznie?

– Tak.

– Rozumiem – Dasza zauważyła, że przybłęda nie był aż tak źle ubrany, tylko pospolite dzinsy Lee i koszulka Benettona wisiały na nim jak worek. – Co jeszcze powiedział ci wujek?

– Wiele rzeczy – pochwalił się Mitia, przechylając głowę na bok i przewracając oczami. – Mówił, że ta ziemia jest zła. I że to nie miejsce dla matki Boga. Powiedział, że lepiej będzie, jeśli powiesz ją w muzeum...

– Widziałeś ją? – zaciekała się Czub. – Opowiadaj, jaka jest!

– Jest bardzo piękna – rzekł z uczuciem szaleniec. – A oczy ma ciemne, ciemne. Bez dna!

– Toczka w toczkę Katia! – stwierdziła Wstrząsająca. – Dobra, muszę lecieć. Wracaj do zdrowia, Mitio! Dobry z ciebie chłopak, pa!



Pod ziemią Masza czuła się nieswojo. Uczucie to jednak szybko minęło, a latarka w jej dłoni przestała drżeć. Wcześniej, gdy była jeszcze dzieckiem, ojciec wielokrotnie zabierał ją do „podziemnego carstwa” i od tamtej pory niewiele się tu zmieniło – węzowisko grubych rur biegnących donikąd, brud i iluzja tajemniczości, którą rodziła ciemność i nieskończoność korytarzy.

„Prawdopodobnie są tu też szczury. Ale lepiej o tym teraz nie myśleć...”

Kowalowa zawiesiła latarkę na szyi i wyjęła z plecaka świecę i kawałek kredy.

Mała chałupnicza latarenka była bezsilna wobec przepastnych ciemności – jej wąski promień, jak słomka mleczna, oświetlał tylko drobne fragmenty. Ale świeca od razu dała pełniejsze, równomierne światło – świeca uspokajała.

Pewnego razu, trzymając w ręku pełną romantyzmu świeczkę, taką jak ta przyniesiona teraz z domu, dziesięcioletnia Masza, oszołomiona zgodą ojca, który jej na to pozwolił, wyruszyła w magiczną podróż podziemnymi korytarzami bez końca.

Szła i szła, zupełnie sama, wsłuchując się w skupieniu w chrzęst swoich kroków, a przed każdym zakrętem jej serce zrywało się ze strachu i złowieszczonego przecucia czegoś nadprzyrodzonego. Dopiero po

dziesięciu latach, po porównaniu faktów, zrozumiała przyczynę cudownej nieostrożności ojca: pozwolił jej chodzić po piwnicach na Kontraktowej, kwadratowych i hermetycznych, gdzie po prostu nie można się zgubić.

Masza powoli brnęła naprzód, skrupulatnie zaznaczając drogę kredowymi krzyżykami i uważnie rozglądając się dookoła. Bezskutecznie próbowała znaleźć tu coś, co dałoby jej klucz do rozwiązania zagadki, a przynajmniej wskazówkę do przemyślenia.

„Jestem jak mój ojciec, który zawsze potrzebuje więcej niż inni” – pomyślała nagle.

Tunel skręcił w ciemną odnogę korytarza. Jak długo szła? Masza zapomniała spojrzeć na zegarek, a pod ziemią – to uczucie pamiętała z dzieciństwa – czas jakby się zatrzymywał, gęstniał i nieruchomiał.

Na końcu podziemia zarysowała się brama spowita ciemnością.

Ta brama – po prostu nie mogło być tu innej.

Masza zatrzymała się, by nabrać odwagi – w przeciwieństwie do błahego miejskiego kolektora jaskinie Cyryla były strefą niebezpieczną.

„Ale to z ich powodu tu przyszłam!” – przypomniała sobie. „Może powinnam poczekać na Daszę?”

Nagle jej serce podskoczyło. Światło tańczyło na ścianach i słyhać było czyjeś kroki – nie Daszy – zbyt nieostrożne, zbyt pewne, takie, jakimi przemierza się tylko znane ścieżki.

Masza Kowalowa tępo zamarła w miejscu: w najlepszym wypadku to policja, która wyciągnie ją stąd za uszy. W najgorszym zaś...

„Koniec ze mną!”

Zza bramy wyłoniło się dwóch mężczyzn. Ich twarze, zniekształcone przez ciemne cienie, wydały się jej przerażające – nieludzkie. Na głowach mieli jednak znajome robocze kaski z czołówkami.

– O! O! – przemówił jeden z nich.

– Stój! – krzyknął drugi.

Ale Masza i tak nie mogła biec: wszystko, co niespodziewane i nagłe, paraliżowało ją natychmiast, tępo i beznadziejnie. Obaj szli w jej kierunku, uśmiechając się lubieżnie. Jeden z nich (ten, który powiedział „O!”), w zabrudzonej koszuli w paski, podszedł bliżej do „podziemnej księżniczki”.

– Jaka ptaszyna do nas zawitała, co, Olo? – zagwizdał, patrząc na nią jak na wygraną na loterii.

– Nie jest ptaszyną, tylko żabką wędrowniczą – sprostował drugi. – Co ty tu robisz? Co, ślicznotko?

– Przyszłam... Byłam ciekawa... – wyszeptała Masza.

– No, no, ładne mamy zainteresowania? – podłapał pasiasty. – Satanizm? Ofiary rytualne? Patrz, Olo, wzięła nawet świeczkę... Za wieczny odpoczynek? Czy za zdrowie szatana?

Pasiasty zarżał niekontrolowanie.

Olo w milczeniu zabrał świecę z jej rąk i zaśmiał się, podchwytyjąc dowcip:

– Nie, nie, mylisz się... Raczej chciała, żeby wam ktoś tę świeczkę potrzywał. A przy okazji sobie popatrzył. No chodź, nie każ jej czekać... – Wykonał ręką jednoznaczny gest.

Serce Maszy natychmiast zatopiło się w żołądku, a żołądek zawył w oczekiwaniu na koszmarny finał.

– Proszę, nie... – Rozwarła szeroko oczy.

– Pewnie, teraz to „proszę, nie” – zapiał, błaznując, Olo. – Wy, dziewczyny, jesteście takie kapryśne. A wolno tak łamać mężczyźnie serce?

Pasiasty złapał ją za ramiona i przyparł do ściany.

– Dasza! – wrzasnęła rozpaczliwie Masza. – Do diabła! – Miała nadzieję na wczorajszy cud.

Cud się jednak nie wydarzył. Jej krzyk wsiąkał w powietrze jak w watę: nie zaszła zbyt daleko, ale na tyle, że jej wołanie rozpraszało się, zanim zdążyło dotrzeć do ludzi. Wiedziała o tym...

– O, to jest tu jeszcze Dasza! – Drugi nie przestawał się zgrywać. – Daszko, Daszeńko, chodź tutaj, twoja koleżanka cię woła! Nie chce dawać za dwie!

Masza drgnęła histerycznie, gdy prawa dłoń pasiastego wsunęła się pod jej koszulę i odchyliła obwódkę stanika. Lewa splotła jej rękę od tyłu. Było to nieznośnie obrzydliwe, a jednocześnie paradoksalnie obojętne.

– Ło! jaki cudny cycz! – Pasiasty pociągnął gwałtownie koszulę Maszy, pokazując koledze pierś spoczywającą na jego dłoni. Ten roześmiał się niekontrolowanie. – A co ty tu, kochanie, ukrywasz?

Pospiesznie rozpiął zamek jej spodni.

– O, moja słodka... No dalej, mała, dalej... – Pasiasty z podniecenia zalał się potem, zaczął sapać i powalił ją na ziemię jak kłodę, przyciskając swoim długim cielskiem do podłoża. – Tylko nie drap, suko! Hej, ty, zostaw świeczkę i zdejmij jej spodnie!

Jej dzinsy zsunęły się aż do kostek, a pasiasty niecierpliwie rozsunął biodrami nogi Maszy i wcisnął się między nie.

– No, dalej, posuń ją! – krzyknął „człowiek świecznik”. – Nie jesteś sam... Innym też się chce!

Masza wydała z siebie konwulsyjny, beznadziejny szloch i gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu, jakby chciała wyblagać ocalenie u bezdusznego, półokrągłego sufitu kanału.

W tej samej sekundzie sufit groźnie pękł, rozpadł się, zapłakał maleńkimi kamieniami i wypluł z wnętrza ogromny, ostry odłamek.

Masza odruchowo zamknęła oczy.

Przyciskające ją męskie ciało zadrżało boleśnie, krzyknęło i odpadło od niej.

Z ulgą, instynktownie zaczęła wciągać spodnie, nie czując nic poza bezmyślną, dygoczącą histerią. Pasiasty wił się na ziemi i trzymał za krwawiącą głowę. Olo tańczył nad nim i wył przeraźliwie:

– Żyjesz?! Żyjesz?! Co to było?

– Co tu się dzieje? – zapytał władczo ktoś. Masza natychmiast rozpoznała ten głos.

Mir Krasawicki ze zdziwieniem zawisł w bramie. Patrzył na nią tak, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Masza nerwowo poprawiła koszulę.

– Kamień spadł na Kokę – wyjaśnił tchórzliwie Olo.

Pasiasty tylko cicho jęknął.

„Czy to możliwe, że Mir jest ich przywódcą?” – odezwał się koszmar Maszy. Wiedziała, że w końcu się rozpłacze. Ale nie płakała – zachrypiąca, zakrywając dłońmi zhańbioną twarz:

– Oni... Mnie...

– Zamknij się, suko! – Odskoczywszy od zakrwawionego mężczyzny, Olo rzucił się do niej.

– Zostaw ją! – krzyknął Mir. – Co z jej zrobiliście?

– Domyśl się!

Głowa Olega podskoczyła od uderzenia i poleciała na ziemię, ciągnąc za sobą resztę ciała.

– Domyśl się?! Zaraz sam zaczniesz myśleć! – Krasawicki wyszedł z siebie. – Tym razem głową! Wiesz, kim ona jest? To moja koleżanka z roku!

– Jeszcze jedna? – osłupiał uderzony mężczyzna.

– Tak, jeszcze... Jedna ci nie wystarczyła?!

„A oto nasza największa żmija...” – przypomniała sobie nagle Masza. I jakby w rzeczywistości zobaczyła, jak ciekawskie ucho Rity opiera się o podniecone usta jej przyjaciółki.

– Ziemia się pod nami pali, a ty... Masz tupet! – Przywódca gwałcicieli i morderców wpadł w szal. – A ty co tu robisz, Kowalowa? – chrząknął na nią z irytacją.

– A ty? Co ty tu robisz?! – krzyknęła histerycznie i groźnie. – To ty?! To wy wczoraj, mojego tatę i wujka Kole...?

– To był twój ojciec? – Twarz Mira poczerwiała.

Boże, on nawet nie próbował zaprzeczać!

– Tak – odpowiedziała beznamiętnie. – To był mój ojciec.

– Koniec ze mną – powiedział z przekonaniem Krasawicki. – To jest jak klątwa! Na pewno się do tego dokopią.

– Kto? – Przestała go rozumieć.

– Policja. – Mir zacisnął zęby. – Pierwsze ciało należało do Rity! Drugie do ojca innej koleżanki z grupy. Wszystko prowadzi do mnie! Nigdy się z tego nie wyplączę!

– Mój tata żyje, jego przyjaciel został zabity – sprostowała głucho Kowalowa.

– To nie ma znaczenia – odparł. – To dobrze, że twój ojciec żyje, ale... Oni i tak się do tego przyczepią! Dziś znów byli. Wszyscy, absolutnie wszyscy myślą, że to ja! My! – Spojrzał z nienawiścią na pokonaną drużynę. – Ale dzisiaj ja naprawdę kogoś zabiję!

Powoli podszedł do Oła.

Ranny skomlał żałośnie na ziemi i próbował się odczołgać. Drugi, uderzony, ostrożnie się wycofał.

– Przysięgam, że tylko się wygłupialiśmy – pisnął.

– Pieprzony żartowniś! – ryknął Mir. – Ona zaraz pójdzie was zgłosić, a śledczy przypną to do naszej sprawy. Posadzą nas za morderstwo... Jeśli nie w pierdłu, to w wariatkowie. Tam to sobie pożartujesz, suko!

Uderzył go.

Rozgniewany Olo otarł groźnie krew z ust i rzucił się na przywódcę. Ale był od niego wyraźnie słabszy – w furii Mira czuć było zgubę upolowanej bestii, która w swej wściekłości nie ma już nic do stracenia. Obydwaj potoczyli się po brudnej ziemi...

– Więc to nie ty?! Nie ty? – rzekła zdumiona Masza, wymawiając radośnie wszystkie samogłoski. – Stój, Mirze, proszę, stój! – krzyknęła.

Walczący zamarli jak na komendę: „Cisza na morzu...”.

– Ty też? Ty też myślałaś, że to ja? – wyrzucił jej pewnie, ale zaraz pokiwał głową ze rozumieniem, potępiająco. – Oczywiście, teraz już za nic mi nie uwierzysz...

– Wierzę! Wierzę! – Masza machała rękami, jakby miała zamiar latać. – Przysięgam!

– Jesteśmy kopaczami! Kopaczami, nie satanistami – powtarzał gorączkowo, uczepiwszy się jej spojrzenia jak liny ratunkowej. Wciąż bez przekonania, że ona naprawdę mu wierzy. – Miłośnikami historii, architektury, geologii. Nie poszedłem do szkoły historycznej przez przypadek... Po prostu nie lubię podręczników. Jestem badaczem. Boże, z kim ja się zadałem. Szumowiny. Szumowiny! – Mir z obrzydzeniem zwrócił twarz w ciemność.

Olo zakłopotany prychnął nosem.

– Co wy... Co ty tu robisz? – zapytała Masza (co tu robiło dwóch pozostałych, wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny).

– Prawdopodobnie to samo, co ty – mruknął Krasawicki. – Chciałem poznać prawdę.

– I? – rzekła z napięciem.

– Kimkolwiek by byli, sataniści rzeczywiście istnieją – relacjonował ponuro. – To nie jest fikcja dziennikarska. Tam – wskazał na bramę za sobą – znalazłem ich ołtarz. Jeszcze nikt o nim nie wie. Choć i tak mają wystarczająco dużo powodów, by o nich trąbić. Oglądasz telewizję?

– Nie – pokręciła głową Masza. – Co tam jest?

– Co, co... – mruknął cierpko. – Trzy dni powodzi na Frunze. Dwa morderstwa w cerkwiach w ciągu dwóch dni. Na Obołoniu dziś bez powodu zawalił się dom...

– No i jeszcze ten obraz – podrzucił przepaszający głos Ola.

– To nie ma nic wspólnego – zlekceważył go Mir i uprzejmie wyjaśnił koleżance: – W nocy ktoś próbował ukraść *Bohaterów* z wystawy Wasniecowa. Z tego powodu doszło niemal do międzynarodowego skandalu, ponieważ ten obraz jest narodową dumą Rosji.

– I sobór spłonął – wtrącił ponownie Oleg.

– Sobór monasteru Wydubickiego? – wzdrygnęła się Masza.

– Nie pamiętam nazwy...

– Wszystko jedno! Czy to nie apokalipsa? – zakończył Mir. – Prasa wrzuca wszystko na jedną kupę!

Masza przycisnęła palce do skroni, która pulsowała od natłoku informacji i skrajnych emocji. A kupa rzeczywiście okazała się spora, zwłaszcza gdy dodać do niej morderstwo Kyłyny i perypetie ich cierpiącej od dawna trójcy.

– W każdym razie – Masza potrząsnęła głową, usiłując pozbyć się myśli o domu, która przypadkiem tam utkwiała (domy w Kijowie walą się z godną pozazdroszczenia regularnością!) – wszystko zaczęło się tutaj, przedwczoraj, kiedy pękły rury i okazało się, że wejście do Cyryłowskich podziemi jest znowu otwarte. A ty mówisz, że tam jest ołtarz... Gdzie?

– Daleko, na samym końcu jaskiń – oświecił ją Mir. – Ci nawet nie doszli, narobili w spodnie. Na pewno jest tam niebezpiecznie, część ścian się zawaliła.

– A więc... to tutaj pękły rury. Tu jest ołtarz. To właśnie tu tata słyszał wybuch. – Mir, który słuchał jej uważnie i przytakiwał po każdym punkcie, uniósł pytająco brwi. – Tak, wybuch – potwierdziła. – A *Bohaterowie*, których według opowieści próbowali... hm... wykraść z muzeum, pokonali zmija także tutaj.

„I wtedy Prachow znalazł tutaj coś... Jakiś przedmiot z okresu paleolitu? Ale po co w takim razie miał oddać go do ławry?”

– W każdym razie – podsumowała Kowalowa – chodzi o jaskinie Cyryla!

– Dlaczego właśnie tu? – zapytał z naciskiem Mir. – Czego oni tak naprawdę chcą? Muszą mieć jakiś cel. Albo przynajmniej maniakalny pomysł.

– Albo rzeczywiście szukają skarbu hetmana. – Masza z powątpiewaniem powtórzyła przypuszczenie Daszy. – Albo... Nie, dokładnie! – Mimowolnie pochyliła się do przodu, świecąc błyszczącymi oczami. – Rozumiem! Oddają cześć żmijowi, którego utożsamiają z szatanem! Legenda głosi, że tunel węża prowadzi prosto do piekła! A według Biblii wąż to szatan!

– Tak – zgodził się Mir. – Skarbu zwykle szuka się po cichu. Nawet gdyby kogoś zabili, nie robiliby z tego widowiska w cerkwiach. Są szaleni. Tylko szaleńcy czczą kogoś tak, że mówi o tym całe miasto... Ale to nie ma znaczenia... Jeśli twoje słowa są prawdą, przyjdą tu jeszcze dziś wieczorem. A ja ich złapię. Ja ich po prostu...

– Nie! – zawołała wściekle Masza, przypominając sobie, jak podobny heroiczny zryw zakończył się dla jej ojca. – Nie rób tego! Błagam cię!

Tylko nie to!

– Masza! – dobiegało skądś. – Masza?!

– Daszo, jestem tutaj! – odparła Kowalowa.

Rozległ się rozpaczliwy tupot butów i krzyk:

– Idę!!! – A zza rogu, wymachując nad głową torbą z colą, nadbiegła Wstrząsająca Dasza Czub.

– Ręce precz od niej! Rozejść się, dranie! – krzyknęła i rozpoznawszy Mira, rzuciła się na niego, uderzając go butelką w ramiona i głowę.

Mir odskoczył, ale pechowo, bo uderzył tyłem głowy w rury.

– Nie! – pisnęła Masza, odciągając za top swoją spóźnioną obrończynię. – To nie on!

Górna część bluzki pękła na szwie. Czub pospiesznie ją złapała, by zasłonić piersi, i upuściwszy siatkę, niezdarnie nastąpiła butem na rękę pasiastego, który od dawna nie dawał oznak życia.

Pasiasty zawył. Olo, zdeterminowany, by zrehabilitować się w oczach Mira, rzucił się do znieruchomiałej Daszy.

– Stój – wysyczał Mir. – Stój, powiedziałem! – I zamilkł, gdyż Olo otrzymał już znakomite i przekonujące kopnięcie kolanem w pachwinę.

– Gdzie byłaś wcześniej? – Masza była szczerze urażona. – Prawie mnie tu... – Zmarszczyła brwi, zanim zdążyła dokończyć. Uraza zwinęła się w środku w ciasny węzeł, który ścisnął jej gardło: Dasza zostawiła ją z powodu jakiejś pierdoły! Czegoś przypadkowego, co odwróciło jej uwagę. Co za przyjaciółką była po czymś takim?

– Zgubiłam się! Błądziłam, błądziłam... – Wstrząsająca usprawiedliwiała się żałośnie.

– Zaznaczyłam wszystko krzyżykami!

– Skąd miałam wiedzieć, że to twoje krzyże? – zauważyła rozsądnie Dasza. – Jak się czujesz? – spytała Maszę, spoglądając na Mira

z nieskrywaną podejrzliwością.

Dasza z zasady nie lubiła przystojnych mężczyzn. Ale twarz Mira z bliska była jeszcze bardziej bezczelna niż na ekranie!

– Nie wierzę mu. Nie wierzę też w jego alibi! – ogłosiła bezceremonialnie.

– Prawidłowo – mruknął Mir, marszcząc nos i trzymając się ręką za skaleczony tył głowy. – Alibi jest lipne. Dziewczyny potwierdziły. – Opadł zmęczony na ziemię.

– A co ja ci mówiłam? – Czub oznajmiła z patosem głosiciela na barykadach. – Jakież dziwki!

– Lidia i Żenia – wyjaśnił. – Same przybiegły, gdy zorientowały się, że zabiły swoją przyjaciółkę.

– Jak to? – zamarła Masza.

Mir westchnął znużony.

– No cóż, Rita podchodziła do mnie sto razy, prosiła: weź mnie ze sobą, ja też chcę być kopaczem. Odmawiałem, z kimś takim to same kłopoty. Ona miała wszystko gdzieś, to był tylko pretekst...

– Taka to nogę podstawia i jeszcze na szyi się uwiesi – zgodziła się Dasza Czub, która kiedyś praktykowała podobny sposób uwodzenia.

– One dały jej liścik. Że niby ode mnie. Niby na żarty. Pisały: „Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak to jest być kopaczem, spotkajmy się o 19.00 pod cerkwią św. Cyryla. M. K.”.

„M. K., nie K. D.” – pomyślała z ulgą Masza.

– Dlaczego pod cerkwią Cyryla? – zapytała Dasza, która także pamiętała pełne imię Mira.

Mirosław znowu westchnął.

– Ponieważ tu pękła rura, a awaria była relacjonowana w wiadomościach. I od razu wspomnieli o kopaczach, nie wiem dlaczego,

bo nigdy nie schodziliśmy do podziemi Cyryła. Znaleźli ten liścik u Rity i wykorzystali go, żeby mnie przyspilić. Dzięki Bogu, że to nie było moje pismo. Żenia próbowała mnie podrobić, jak zwykle...

– Dlaczego nie powiedziały wszystkiego policji? – Czub paliła go nieufnym spojrzeniem.

– Dlatego, że to zwykłe suki! – Splunął ze złością. – Boją się oskarżenia o współudział. Swoją drogą, słusznie, gliny tak łatwo by z nich nie zeszyły.

– A to, że nie schodzą z ciebie, nie niepokoi ich?

– Jeszcze jak niepokoi – przyznał. – Kiedy mnie zatrzymali, pobiegły przerażone do moich rodziców i poinformowały ich, że spędziłem z nimi całą noc, z dwiema naraz. A teraz milczę, bo jestem dżentelmenem i bronię ich honoru. Moi rodzice natychmiast znaleźli adwokata i poszli do prokuratury...

– No dobrze – zdecydowała Dasza. – Daj mi ich numery telefonów, to sama się zapytam!

– Nie ma sprawy – rzekł ze złością Krasawicki. – 494-22-27, to do Lidii. Do Żenii nie pamiętam... Możesz zapytać Lidię. Tylko że one nic ci nie powiedzą!

– Liścik rzeczywiście był, tata mi opowiadał – Masza pospieszyła mu z pomocą.

– Mógł go napisać sam... Albo poprosić o to kogoś innego.

„Tylko wtedy by go nie zostawił” – uświadomiła sobie Dasza Czub. „Oczywiście, mógł go zostawić, żeby powiedzieć: nie jestem na tyle głupi, żeby go zostawić. Ale tego rodzaju podwójny blef sprawdza się tylko w amerykańskich filmach akcji. A nasi śledczy... Gdyby nie ten liścik, nawet by o nim nie pomyśleli!”

A potem:

„Myślisz, że Rita wciąż tam stoi...”

„To do niej niepodobne...”

„W takim razie dlaczego nie przyszła...”

Płaska jak deska szatynka i blondynka z twarzą uroczego pyzatego cherubina, które rozpoznała na instytutowym zdjęciu Maszy, już tej nocy w „O-Yo-Yo!” miały niepokojące przeczucie, że zwabienie koleżanki pod klasztor Cyryla mogło być błędem.

Czub niechętnie prychnęła, nie chcąc pogodzić się z tą myślą: „Tak, egoista, tak, totalny burżuj i skończony playboy – ale nie morderca!”.

– Nie słuchaj jej! – warknęła Masza, ostatecznie zaliczając Daszę do kategorii „nie przyjaciółek”.

– Maszo... – zaczęła pojednawczo Dasza.

– Odejdź od mnie!

Być może „odejdź” Maszy było zbyt ostre i głośne, bo z dziury w suficie posypał się deszcz okruchów.

– Obsuwa się! Uciekajcie! – wpadł w panikę Olo.

– To wynoś się! – odesłał go ze złością Mir. Splunął i zakaszłał, krztusząc się pyłem.

A kiedy Czub przecierała zakurzone powieki, Masza podniosła butelkę, która wypadła z siatki, i z miłością podała Mirowi colę. Krasawicki odkręcił zakrętkę. Przeczekał strumień bąbelkującej piany i łapczywie przycisnął usta do szyjki...

Oszołomiona Czub wybałuszyła swoje przetarte oczy.

Przystojniak zatrzepotał gwałtownie długimi rękami i oddając butelkę Maszy, zaczął je bezlitośnie pocierać obiema pięściami.

– Coś ci wpadło do oka? – zaniepokoiła się Kowalowa.

Krasawicki z trudem rozwarł powieki i spojrzał na nią zdumiony.

– Maszo – rzekł zaskoczony Mirosław. – Jaka ty jesteś piękna...

– Witaj, koniu, jestem Budionny, młody i napalony! – mruknęła wesoło Czub i z braku cytryny, zamknęła dłonią swoje zbyt uchachane usta. – Okej. – Pospieszyła się nagle. – Ja idę. Muszę jeszcze zajrzeć do klubu. A coca-colę – dodała wymownie – zostawię wam. Słyszysz mnie, Maszo?

Ale Masza jej nie rozumiała. A nawet jej nie słyszała. Patrzyła z niepokojem na Mira siedzącego u jej stóp i nie wiedziała, czy mu wierzyć, czy nie.



Początkowo Mir przypisywał swoje gorące uczucia do Maszy naturalnemu lękowi o własną skórę: jej oskarżenie o próbę gwałtu mogło być rzeczywiście ostatnim argumentem w długim, karawanowym ciągu poszlak przeciwko ich podziemnemu konglomeratowi. I wreszcie, odesławszy poturbowanego Ola wraz z wiszącym mu na ramieniu rannym Koką, pomyślał piskliwie, że każdy, kto chce być pierwszy, podświadomie wybiera sobie przyjaciół poniżej siebie, a między niskim a niskim jest często złudna różnica...

„Poza tym jest mi potrzebna. Dużo wie. I może pomóc. Zawsze była mądra, tego nie można jej odmówić”.

Co więcej, gdy natknęła się na jego pełnoetatowych przydupasów, nie wpadła w trzymiesięczną histerię, nie zagroziła skargą ojcu, prorektorowi i wujaszkom z policji, nie uciekła, kurczowo trzymając się swojej przyjaciółeczki, przeklinając siebie, że w ogóle się tu zapuściła. Ona pozostała z nim *tête-à-tête* i ponuro zażądała, by zaprowadził ją do jaskiń Cyryla i ołtarza satanistów.

I wtedy stało się coś dziwnego i zupełnie nielogicznego: kategorycznie nie chciał tego robić, a zgodził się – wbrew sobie i swojemu zdrowemu

rozsądkowi, który kazał przysiąc, że po wyjściu z podziemnego labiryntu nigdy więcej tam nie pójdzie!

– Są odcinki, które trzeba pokonać praktycznie na brzuchu. W każdej chwili może nas zasypać. Takie osunięcie było całkiem niedawno...

– Wczoraj – wyjaśniła ze smutkiem Kowalowa. – Ale i tak muszę go zobaczyć. Mogę pójść sama, tylko mnie pokieruj.

– Nie ma mowy! Jeśli coś ci się stanie...

„...po prostu tego nie przeżyję!” – zakończył ktoś w jego wnętrzu.

„Co-co?” – zapytał w myślach z zakłopotaniem.

Słyszał tę bezkompromisową przesadę wypowiedianą przez sto kobiecych głosów. I zawsze wydawało mu się to równie niedorzeczne, jak i niezmiennie: „bez ciebie umrę”, „nie mogę bez ciebie żyć”, „jesteś jedynym sensem mojego życia”, sparowane przez jego liczne i wynikające z doświadczenia: „nie umrzesz”, „możesz i to jeszcze jak”, „w takim razie twoje życie nie ma sensu”.

„I rzeczywiście” – pomyślał, wpatrując się w przepływające obok nich nierówne ściany jaskiniowego labiryntu – „nikt jeszcze nie umarł. Tylko ta, wiecznie w spódnicy w kratę, upiła się w zeszłym roku przeterminowanym demidrolem dziadka i głupio zasnęła podczas egzaminu z filozofii. A potem, jak pozostałe, przerzuciła się na kogoś innego”.

Ale teraz, gdy za nim szła uparta Masza, ze świecą naiwnie ściskaną w dłoni, nagle przeraził się, jak prawdziwe może być to uczucie: „Jeśli coś jej się stanie, umrę!”.

Samo założenie „Jeśli coś jej się stanie” sprawiało, że jego „ja” spadało w przepaść.

Mir obejrzał się za siebie ze zdziwieniem, próbując zrozumieć, dlaczego jej potrzebuje.

– Jak się masz? – zapytał szeptem.

– W porządku.

– Przed nami trudny odcinek. – Nowy adorator Maszy skinął surowo głową w kierunku nory o nieregularnym kształcie. Będziemy chodzić na czworakach, bardzo powoli. Jeśli się osypie, nie wpadaj w panikę, nawet nie drgnij, nie krzycz. I nie próbuj mnie ratować. Jeśli będziesz mogła się ruszać, spróbuj po cichu przeczołgać się z powrotem...

„A jeśli nie? Co będzie, jeśli coś jej się stanie?”

„...umrę” – potwierdził spokojnie jego wewnętrzny głos.

„Oczywiście” – warknął wewnątrz pogardliwie Mir. „Ponieważ jej śmierć zostanie przypisana mnie. A ja wolę umrzeć niż iść do więzienia!”

Ominął biodrem gliniany występ i wślizgnął się w ciemność zawalonej podziemnej jaskini. Masza schyliła się, wsunęła głowę i rękę ze świecą. Pozostając na czworakach, Mir ostrożnie i z zadziwiającą zręcznością zaczął wspinać się po nasypie grud ubitej tysiącletniej ziemi.

„Może to właśnie one wczoraj przysypały tatę” – pomyślała z niepokojem Masza i zdmuchnęła płomień.

Zrobiło się przerażająco.

Bojąc się oddychać zbyt głośno, powtarzała po kolei ruchy swojego przewodnika. Teraz światło pochodziło tylko od niego. Niezdarna latarenka na jej szyi wlokła się gdzieś pod brzuchem. Wyłączyła ją i nerwowo wsunęła do kieszeni na piersi. Jej kędzierzawe włosy nagle powchodziły jej do oczu. Niestabilne, ziemiste bryły kruszyły się pod palcami.

Masza poruszała się niemal po omacku, widząc jedynie, że wyrobisko wznosi się coraz wyżej, a plecy Mira dotykają sufitu – tego, który w każdej chwili mógł się zawalić.

Jej towarzysz odwrócił się, a promień z kasku trafił ją w oczy.

– Przepraszam – powiedział ledwo słyszalnie. – To jest najbardziej niebezpieczny moment. Szczelina. Chodź za mną. Ale poczekaj. Poświecę

ci.

Widziała, jak latarka na kasku Mira znika w podejrzanym otworze pod szczyżącym się groźnie świeżymi warstwami ziemi sufitem – światło zniknęło wraz z chłopakiem. Znalazłszy się w nieprzeniknionej ciemności, Masza tchórzliwie zamarła, nie ryzykowała nawet naciśnięcia przycisku swojej latarki. Wydawało się, że minęła mała wieczność, zanim światło powróciło do niej, wyraźnie zarysowując szczelinę – po drugiej stronie pojawiła się twarz Mira. Masza z krótkim westchnieniem podpełzła do niego jak do latarni morskiej.

„Zaraz mnie zasypie. Zaraz!” – pisnął tchórzliwy kłębek w głębi jej żołądka. Każdy ruch musiał być okupiony walką ze strachem, który ściągał ją jak krem napinający, którego Masza nigdy nie używała...

Jej oczy z nadzieją wczepiły się w twarz Mira – w tej smolistej czerni uosabiał jedyny sens jej życia!

Odwróciwszy się, żeby promień nie raził Maszy w oczy, kolega z roku chwycił ją mocno za ramiona i przyciągnął do siebie. Masza ostrożnie przebierała drżącymi nogami.

„Kto by pomyślał” – błysnęła niestosowna i do bólu spokojna myśl – „że on i ja... razem. Przecież zawsze o tym marzyłam”.

Przyciskając Maszę do siebie, Mir wyciągnął ją na zewnątrz. Ona opadła na niego całym ciałem i instynktownie chwyciła za szyję swojego wybawcy. On przez kilka sekund stał, oparty o gzymsy ściany, podczas gdy Kowalowa leżała na jego piersi, bezmyślnie wsłuchując się w szybkie bicie serc obojga.

„Kto by pomyślał, że ja i ona... Gdyby nasza grupa nas teraz zobaczyła! Nie uwierzyliby w to!”

Ale co grupa miała do tego? Tak po prostu się złożyło, a on musiał chronić, dbać o bezpieczeństwo, ułatwiać każdy krok tej chodzącej ściadze,

która zapuściła się z nim do piekielnej dziury. Bo jeśli coś jej się stanie...

Mir pogłaskał „ściągę” czule po głowie i nie otwierając ramion, szybko zszedł z nią po stromym, przepaścistym nasypie.

– To tyle! Najgorsze już za nami.

„Jeśli nie liczyć drogi powrotnej” – ale tego nie powiedział. Niech jego towarzyszka trochę odetchnie.

Przed nimi był nowy korytarz o posępnych, chwiejnych ścianach, ale teraz można było znów iść na własnych nogach.

Masza nagle uświadomiła sobie, że tajemnicze ziemne korytarze są jak piaskowy zamek o wyschniętych już na słońcu, kruszących się i wygładzonych ścianach – tylko powiększony stokrotnie. A jej podziemny przewodnik w niczym nie przypominał instytutowego przystojniaka Krasawickiego, tak rozleniwionego i arogancko niedostępnego. Tutaj, w głębi zamku z piasku, wydawał się prawie pokrewną duszą.

– No dalej, jeszcze jakieś dziesięć minut – rzekł surowo.

Sądząc po „Czajce” Maszy, Mir miał godne pozazdroszczenia wycucie czasu, bo dokładnie po dziewięciu minutach i trzydziestu siedmiu sekundach przewodnik powiedział:

– Proszę, to on. – Miał zmęczony, wyczerpany głos. Po dżentelmeńsku pozwolił Maszy wejść jako pierwszej do czarnej dziury.

Masza Kowalowa, ze wskrzeszoną świecą w ręku, przeszła przez łukowate – wygięte jak krzywik do rysunku technicznego – przejście do półokrągłej sali i od razu zobaczyła to, po co tu przyszła. Wysoki, surowy ołtarz z przepiłowanymi prawosławnymi ikonami, oparty o nierówną betonową ścianę.

– Mój Boże... – Podeszła bliżej i z mimowolnym, bolesnym współczuciem przejechała dłonią po rozczłonkowanych fragmentach.

Mirosław wpatrywał się zahipnotyzowany w jej rude włosy, oświetlone płomieniem świecy.

„Chyba chodzi o włosy” – próbował zrozumieć sam siebie. „One sprawiają, że jest naprawdę piękna. A nawet więcej...”

Było w niej coś przejmującego i niepokojącego: jak zapach ziół, jak ekscytująca i niebezpieczna podróż, jak tragedia, która rozgrywała się na twoich oczach.

– Matka Boża. Kolejna Matka Boża z Dzieciątkiem. Jeszcze jedna. – Masza próbowała sporządzić listę ofiar. – Jest tu tylko Najświętsza Panienka, żadnych innych ikon... Dziwne. – Delikatnie dotknęła jednej z trzech zardzewiałych pinezek wetkniętych w diabelski ikonostas. Na jego końcu znajdował się mały skrawek błyszczącego papieru. – Wisiał tam jakiś obrazek, ale został zerwany.

– Jesteś spostrzegawcza. Nie zauważyłem tego – skłamał Mir.

– Co to jest? – Masza przyłożyła świecę do palca wskazującego, włożonego między dwie dolne pinezki, i oświetliła brązowy, na wpół wyblakły napis „mia donna”. – „Moja pani” – tłumaczyła. – A może „Moja Madonna”?

– I mądra – pochwalił.

Litery rozsypały się pod jej dłonią.

– To krew! – westchnęła przerażona Masza. – Czy sataniści mają swoją Madonnę?

– Z tego, co wiem, LaVey, który założył oficjalny Kościół Szatana, ogłosił Marilyn Monroe satanistyczną Madonną.

– Myślisz, że to ona tutaj wisiała? – Kowalowa ostrożnie wypuściła spod pinezki kawałek błyszczącego papieru.

– I w dodatku piękna!

– A bo mało jest pięknych aktorek.

– Nie Marilyn, tylko ty! – Mir próbował odzyskać swój dawny głos, zachrypnięty i szyderczo zdystansowany, ale to jej się nie udało – słowa brzmiały zbyt ochryple i przekonująco. – Jesteś bardzo ładna – poprawił się. – Z tymi włosami.

– Dziękuję. – Podobnie jak poprzednim razem, także teraz Masza pospiesznie odrzuciła ten epitet jako fałszywą monetę, mając nikłą nadzieję, że pochlebstwo Mira jest podyktowane wdzięcznością, a nie ukrytą ironią. – Sądząc po pinezkach – rzekła nerwowo – ołtarz stoi tu znacznie dłużej niż trzy dni. Dlaczego dopiero teraz są aktywni? I skąd taki dziwny dobór ikon?

– Nie wiem – mruknął Krasawicki.

Masza poczuła niezwykły dyskomfort – raczej przyjemny niż nieprzyjemny, jak to było wcześniej – i jak klasyczna ukraińska niewiasta odruchowo szturchnęła betonową ścianę.

– Wasia mówiła, że w jaskiniach pod cerkwią św. Cyryła wylano beton. Wygląda na to, że ona jest tuż nad nami. W betonie chyba trudno kopać.

– Raczej trochę z boku – poprawił ją Mir bez większego zaangażowania.

– Czyli w tym miejscu odprawiali czarne msze. W cerkwi zabili Ritę i wujka Kołę.

– Jego znaleźli w ławrze.

– Ale zabili go tutaj. Cały kościół był zalany jego krwią.

Masza ponownie dotknęła ściany mającej powstrzymać szalonych poszukiwaczy skarbów, jakby chciała sprawdzić, czy jest wystarczająco mocna, i poczuła to, czego wcześniej tak bezskutecznie szukała: głębokie pęknięcie – nadawało się do dłubania.

– Mir! – zawołała, unosząc świecę nad głowę.

– Co, Maszo?

„Co” było bezbarwne i nieistotne, a „Maszo” – znaczące i zachęcające!

Ale kręte pęknięcie od podłogi do sufitu w jakiś sposób wzbudziło w niej zimny i niewytłumaczalny strach.

– A jeśli się pomyliliśmy? Oboje! – rzekła gwałtownie. – A satanizm nie jest wcale celem, lecz środkiem do odnalezienia skarbu? Są jak ci złodzieje, którzy zbezczęścili ławrę, aby nieczysty pomagał im się wzbogacić. Najpierw składają ofiarę w cerkwi, pod którą leży skarb. Następnie na Świętej Bramie, aby ściągnąć patronat szatana.

„A bohaterów cięli w tym samym celu, żeby zademonstrować, jak postępujemy z zaprzysięgłymi wrogami zła!”

– Rytuály? Skarb, szatan... Gdzie to wszystko wyczytałaś? Czy Wasia powiedziała ci o tym? – Wasilisa Andriejewna, przeładowawszy ją masą niepotrzebnej wiedzy, wyraźnie wzbudziła teraz głęboką dezaprobatę Mira.

– Nie – pokręciła głową Masza. – Na wykładach nie opowiada nam legend, tylko podaje fakty. Ale rytuały w ławrze są faktami historycznymi, miałam je w swoich ściągach, w piątym zestawie. Historia ławry. Nie czytałaś?

– Dostałem osiemnasty – odparł Krasawicki.

– Ale to nie ma sensu – przekonywała Kowalowa. – Czy oni naprawdę myślą, że są w stanie przebić się przez betonową ścianę? To nawet nie jest ściana, to solidna masa betonu!

Znów wpatrywała się w szczelinę.

Panika narastała. Ogarnęła jej głowę i wezbrała w piersi. A ona chciała uciekać. Natychmiast. Jak najdalej stąd.

– Maszo... – głos Mira nagle ucichł do jedwabistego szeptu. – Czy pamiętasz, co jestem ci winien?

– Co? – zwróciła się do niego błyskawicznie.

– Pocałunek wdzięczności. Za ściągi.

– Tak? – Zdążyła zapytać...

...zanim światło odbiło się w jej dłoni i Mir całkowicie przesłonił jej świat – świat mrocznych jaskiń, satanistycznych madonn, strasznych śmierci i nierozwiązanych tajemnic.

– Nie! – krzyknęła Masza, odsuwając od siebie ten nowy świat, dorosły i nieoczekiwany.

Ale między jej „tak” i „nie” minęła cała wieczność.

Z dziennika N

Fanatycy Diabła są takimi samymi idiotami jak wszyscy inni fanatycy! A diabeł jest taką samą nadętą primadonną jak każda inna gwiazda. Zbliżasz się do gwiazdy i widzisz zmęczoną istotę z wyśrubowanymi ambicjami i jeszcze bardziej wyśrubowanymi kompleksami, z wykolejoną psychiką i zaognioną przez zabiegi chirurgiczne, naciągniętą skórą; istotę cierpiącą na nerwowe biegunki i zaparcia. Tak małą i żalną jak ty.

„I ten człowiek był dla mnie symbolem sukcesu?” – ogarnie was nagle przerażenie.

Ale kto wam powiedział, że diabeł jest symbolem władzy? Wymyśliliście to, tak jak wymyślacie wszystkie swoje iluzje, podyktowane tylko własnym prymitywizmem!

Rozdział czternasty

w którym Masza odwiedza szpital psychiatryczny

Zakład Cyryla... Ludzie jeździli tam, żeby się zadziwiać, śmiać, patrzeć na szaleńców, wyśmiewać ich podskoki i głupią gadatliwość, a potem – konsultować się z miejscowymi wrózkami i prorokami na temat przyszłości.

~ „Kijowski Telegraf”, 1864

Zaparkowawszy motorower na parkingu przy tylnym wejściu, Dasza rozejrzała się uważnie i ukryła kluczyki do swojego dwukołowego przyjaciela w trawie, przykrywając je na wszelki wypadek charakterystycznym kamieniem.

Obeszła budynek z prawej strony i ruszyła w kierunku zewnętrznego tarasu. Teoretycznie próba baletu powinna trwać w najlepsze – wieczorem miało się odbyć przyjęcie i nikt nie odwołałby go z powodu zwolnienia Daszy. Klub już wcześniej wydał pieniądze na reklamę, kostiumy i inne drobiazgi.

„I tak nic im nie wyjdzie beze mnie!” – westchnęła mściwie Wstrząsająca.

I zakrztusiła się własnym westchnieniem.

Na plaży klubowej, pomiędzy gniazdami szalásów i stosami ułożonymi w zgrabne przysze ogniska Kupały i Krady, z przywiązaną nad sobą wypchaną kukłą inkwizycji, siedział na piasku rudowłosy amant!

Serce Daszy podskoczyło w piersi tak bardzo, że musiała je uspokoić dłonią.

„On szuka mnie! Szuka mnie!” – ta słodka myśl prześlizgnęła się po jej gardle do żołądka i spłynęła, rozgrzewając wnętrzności jak ciepłe mleko. Nogi nagle zapragnęły pędzić do niego – tak bardzo, jakby czekała na rudowłosego dosłownie całe życie, odliczając dni do spotkania i pospieszając przez telefon: „Kiedy, no kiedy przyjedziesz?”. I wreszcie zobaczyła go przed sobą.

Ale zamiast tego sprytne kończyny Daszy same się obróciły i na zgiętych konspiracyjnie kolanach podreptały do tylnych drzwi.

Pokazanie się rudowłosemu z nagą twarzą, niepomalowaną i posiniaczoną, w brudnym, zniszczonym ubraniu i kolorowej marynarce, którą już widział – lepiej od razu posłać go do wszystkich diabłów! Przynajmniej wtedy miałyby złudzenie, że sama go odprawiła, a nie że uciekł od niej, krzyząc z przerażenia, jak od skończonego kopciuszka.

„Pięć sekund, poczekaj pięć sekund! Proszę!!! Chociaż pomaluję rzęsy...” – błagała.

Wślizgnęła się przez drzwi i natychmiast przyłgnęła do ściany.

– No cóż, wszystko w porządku! – rozpoznała głos Aleksa. – Sam jestem kopaczem. Kiedyś się tym pasjonowałem. Szczęka mi opadła, gdy zobaczyłem ten reportaż! Oni nas oskarżają, wyobrażasz sobie? My satanistami?! Jestem tak nakręcony... Pójdę tam dzisiaj i im wyjaśnię, *who is who!*

– Odbiło ci? Iść na policję?! – odezwał się moralizatorski głos Zajadłej. – Tak łatwo się od ciebie nie odczepią!

Strażnik i fryzjerka, niewidoczni dla Daszy, stali na spoczniku schodów, który klub szumnie nazywał palarnią. Dasza przeklęła ich oboje w myślach: schody prowadziły do garderoby, gdzie leżały jej liczne rzeczy, a natknięcie się teraz na tę parę było równoznaczne z całkowitym załamaniem we wszystkich interesujących ją punktach.

– Ani się waż – upominała go dalej Zajadła. – Musisz zahaczyć się w nowej pracy. Szkoda, że to jednorazowa akcja, bo też bym się tam zakręciła. Tam jest zupełnie inaczej niż w tym źmijowisku!

„Po prostu spalcie i zjeżdżać!” – wściekła się Czub.

Rozległ się stukot puszki po kawie, na której Aleks musiał zbyt zamaszyście zgasić papierosa, i szuranie butów na schodach.

– Nie wiem, może masz rację. – Głos rozbrzmiewał już w korytarzu na piętrze.

– Oczywiście, że mam rację. – Oddalali się.

Uf!

Rozglądając się ostrożnie, Czub pospieszyła na górę i wskoczyła przez najbliższe drzwi, na których wciąż wisiało jej zdjęcie w kształcie gwiazdy.

– O, zguba! – Sani podbiegł do niej. Chwilę wcześniej siedział przy toalecie i wypełniał jakieś dokumenty. – Wszyscy tu wariujemy. Wszystko się rozpada! Uwierzysz, że zrzucili na mnie cały program... Przedłużyłaś włosy? Bardzo udanie! Wyglądają jak prawdziwe.

Dasza, bulgocząc nieskładnie, cisnęła nieświeżą marynarką i rzuciła się na kanapę, na której leżała torba z jej rzeczami.

– Wstrząs – mruknął tancerz – nie ma ich tam. Dyrektor dokonał wywłaszczenia. I ubrania, i telefon, i książki... Została tylko tiubietiejka. Twierdzi, że zostałaś ukarana grzywną!

– Co?! Wszystkie moje rzeczy?! – krzyknęła Wstrząsająca. Podbiegła rozpaczliwie do lustra i zaczęła gorączkowo nakładać makijaż pierwszą

rzeczą, jaką znalazła. – Masz jakieś kosmetyki?

– Już! Już! – Sani zaczął pospiesznie wyciągać z torebki swoją obszerną kosmetyczkę.

– Tam czeka na mnie chłopak! – jęknęła Czub, podnosząc rękę i pokazując mu swój popękany top, którego dwa brzegi były prymitywnie zawiązane. – A ja jestem w szmatach!

– Kto cię tak pociął? – zapytał ze współczuciem Sani, ostrożnie przyglądając się poszarzałym plastron Daszy.

– Wpadłam na szybę.

– Spotykasz się z nim? – Tancerz nie uwierzył w jej wyjaśnienia. – Trzymaj! Przynajmniej trochę się zakryjesz. – Ściągnął z wieszaka swój sceniczny płaszcz z czerwonych strusich piór.

– Dziękuję, jesteś prawdziwym przyjacielem! – podziękowała wzruszona.

Dasza pośpiesznie narysowała na twarzy pozory nieziemskiej urody, wyskoczyła z trzydniowych majtek i – bez żadnego wstydu przed zniewieściałym kolegą – zaczęła je prać nad umywalką.

– Macie pierwszą randkę? – uśmiechnął się porozumiewawczo Sani.

– Coś w tym stylu. I wiesz... nie chcę nawalić. Zaraz wysuszę je pod suszarką w łazience. Boże, żeby tylko poczekał!

– W takim razie lepiej idź bez – przekonywał tancerz. – Będzie jeszcze bardziej sexy.

– Jesteś geniuszem! – Czub rzuciła mokry zwitek bielizny na mydelniczkę i wskoczyła w puchate futro. – No, i jak mi? – Wstrząsająca z triumfem założyła na głowę odzyskaną tiubietijkę.

– Wstrząsająco!

Była dyrektor artystyczna klubu „O-Yo-Yo!” wyglądała cokolwiek ekscentrycznie. Ale oślepiająca, niemal namacalna aureola radosnego

oczekiwania na miłość sprawiła, że jej okrągła, zaniedbana twarz stała się niewypowiedzianie, nieodparcie pociągająca – przyciągała wzrok jak błyskotka!

Dasza nie miała szczęścia w miłości, ale parafrazując Churchilla, który twierdził, że sukces to konsekwentne przechodzenie od jednej porażki do drugiej z rosnącym entuzjazmem, całe życie Daszy było konsekwentnym przechodzeniem od jednego kretyńskiego romansu do drugiego – z coraz większym entuzjazmem.

– Świetnie! – Kolega zachęcająco skropił ją swoją wodą kolońską. – Świetny zapach. Uniseks! A ty już całkiem uciekasz? Muszę z tobą pogadać. Jestem naprawdę przygnieciony tą imprezą.

– Miałam podobnie – przytaknęła Dasza.

Odnalazła swoją siatkę i dyskretnie wsunęła zawiniątko z urokiem do kieszeni futra.

– Ale wybacz, nie wiem, co z tego wyjdzie.

Motorower, dla którego tu przybyła, był ulubionym zwierzakiem Daszy, ale nawet on nagle zbladł i stracił na znaczeniu w jej oczach w porównaniu z...

Nie! Nie można ich nawet porównywać! Miłość Daszy była bowiem czymś ogromnym, oślepiającym i niedefiniowalnym – nieskończonym, lśniącym monolitem szczęścia!

A luna tego wszechogarniającego ognia wznosiła się już nad Dnieprem.



Masza wyszła z włazu i pospiesznie wdrapała się – prawie wbiegła – na schody, nerwowo otrzepując brudne ubrania. Chciała jak najszybciej zapomnieć...

– Zaczekaj! – zawołał Mir.

Zatrzymała się w zamyśleniu. Z jakiegoś powodu było to strasznie krępujące, a stres sprawiał, że burczało jej w brzuchu.

„Dlaczego on, no dlaczego?!” – kotłowały się myśli. „Przecież on mnie nie kocha. To tylko stres, podziemia, świeca, strach. Niebezpieczeństwo jednoczy. Instykt samozachowawczy każe nam rzucić się sobie w ramiona. To freudowska wojna Erosa i Tanatosa!”

„To te kanały, świeca, nerwy na krawędzi” – pomyślał Mir. „Prawie się pieprzyliśmy. Szkoda, że nie... Rozładowałoby to napięcie. Gdybyśmy to zrobili, miłość by się skończyła... Właściwie, co ma do tego miłość? Skąd miałyby się wziąć?”

– Pojedźmy do mnie.

– Nie mogę – mruknęła Masza, odwracając się i łapiąc wzrokiem cerkiew św. Cyryla, która w tej chwili nie była jej do niczego potrzebna.

Wycieczka już się oddaliła, pop zniknął. Na placu cerkiewnym, otoczonym od zbrocza góry ogrodzeniem z prętami jak włócznie, nie było nikogo oprócz szalonego Mitii, który przykucnął i z rozdziawionymi ustami patrzył na coś w trawie.

– Maszo – rzekł błagalnie Mir, dotykając jej ramienia.

– Muszę wrócić do domu – uparła się i zrobiła unik.

„Nie!”

Na samą myśl, że ona zaraz odejdzie, jego głowa chciała eksplodować!

„A jeśli to miłość?” – pomyślał przestraszony. A przestraszył się jeszcze bardziej, bo czuł, że jest gotów stanąć na głowie, zrobić gwiazdę, poruszyć niebo i ziemię, ścisnąć, złapać i nigdy nie puścić – byleby tylko nigdzie nie zniknęła.

– Ale jeszcze niczego nie ustaliliśmy. – Mir znowu przytulił ją aluzyjnie. – Czy naprawdę chcesz mnie zostawić samego sobie? – spytał

błagalnie.

„Twoja miłość – twój problem!” – rzekł do siebie brutalnie. Tak samo okrutnie, jak mówił to innym.

Wiedział lepiej niż ktokolwiek: wszyscy zakochani to tępi, upierdliwi egoiści, wyobrażający sobie, że ich miłość do ciebie czyni cię ich osobistą własnością!

„Twoja miłość – twój problem!” – powtarzał im, odcinając się od ich miłości. „Wasz problem polega na tym, że chronicznie chcecie mnie widzieć, a widok mnie sprawia, że nogi wam się uginają i myśli rozpalają głowę. Wasz problem dotyczy mnie, ale to nie czyni go moim!”

Ale teraz Mir nagle rozumiał te wszystkie baby, które o trzeciej nad ranem bombardowały jego telefon, groziły samobójstwem, padały na kolana, krzycząc: „Nie odchodź... Nie mogę bez ciebie żyć!”. Nawet tę kompletnie szaloną, która pisała codziennie wiadomości, przysyłała do domu śmieszne kwiaty, urządziła pokazy hysterii jego rodzicom, a w końcu wspięła się po rynnie do okna jego sypialni.

„Nie dałem ci nawet powodu! Nic między nami nie zaszło. Jestem dla ciebie nikim!” – krzyczał, rozwścieczony nieustannymi próbami dotarcia do niego wszelkimi możliwymi sposobami.

Ale ją ciągnęło do niego, bo on był nią. W nim było więcej jej niż w niej samej. On był jej nadzieją i jej beznadzieją, jej radością i jej koszmarem, całym sensem jej pozbawionego teraz znaczenia życia.

Miał jej serce w swoich rękach, a ona desperacko pragnęła je odzyskać! Ale dopiero będąc przy nim, blisko niego, biedaczka czuła, że jej serce wróciło na miejsce.

Masza odsunęła się sceptycznie.

Serce Mira uparcie wymknęło się z jego piersi. Życie stało się puste i pozbawione sensu.

„Może to grypa? – Chłopak z nadzieją dotknął spoconego czoła. – A może oszalałem?” – Nawet to wydawało mu się lepsze.

– Czy wariatom wolno chodzić bez opieki? – zapytała Masza Kowalowa.

– O czym ty mówisz? – Mir wzdrygnął się i podążywszy smętnie za jej wzrokiem, natknął się na Mitię.

– Podejźmy do niego – zaproponowała.

– Dobrze – zgodził się z westchnieniem. Zdjął kask i wyjął z kieszeni na piersi białą chusteczkę, którą jej podał. – Masz, wytrzyj twarz. – Nuty kapitulacji wybrzmiały w jego słowach: „Będzie, jak powiesz. Tak, jak zechcesz”.

„Czy to właśnie jest miłość?! Całkowita bezradność, chwilowa utrata wszelkich punktów odniesienia i koszmarnie, upokarzające poczucie zależności, jakby łączyła cię z nią niewidzialna rurka z tlenem, a jeśli się trochę oddalisz, zadygoczesz i umrzesz...”

„Dlaczego, u licha, miałbym się nad tobą litować? Miłość nie jest bardziej godna szacunku niż czyrak na dupie!” – przypomniał sobie inne ze swoich ulubionych powiedzeń.

Ale trzeba było przyznać, że nawet czyrak na dupie może być przyczyną wielu nieprzyjemnych i bardzo bolesnych dolegliwości.

Gdy się zbliżyli, szalenie nie podniósł głowy. Kowalowa ostrożnie przykucnęła obok niego.

– Co tam masz? – zapytała z aprobatą. – Konika polnego?

Mitia ostrożnie dotknął ziemi dwoma palcami, jakby sprawdzając jej temperaturę.

– To jest zła ziemia – rzekł z powagą. – Dlatego właśnie nas tu umieścili. Kiedyś ludzie nie mieli litości dla takich jak my.

– Co? – mruknął z niedowierzaniem Mir.

– Kiedy z monasteru Cyryła zrobili szpital – wyjaśniła mu z napięciem Masza – panowały tu tak straszne warunki, że jego nazwa weszła do języka obiegowego. Kijowskie wyrażenie: „Wpaść do Cyryłówki” oznaczało wpadanie w poważne tarapaty. Zasadniczo chorzy byli tu po prostu przywożeni na śmierć.

– To jest zła ziemia. – Mitia spojrział na nią. A to, że był obłąkany, można było poznać po samym wyrazie jego oczu, niebieskich i niezmaconych żadnymi ziemskimi troskami, prymitywnych jak u zwierzęcia. – Ktokolwiek zbudował ten dom, sam został w nim uwięziony.

– Prawdopodobnie chodzi mu o inżyniera Gienszwenda – wytłumaczyła Masza. – Gienszwend budował nowe pawilony dla szpitala. W rezultacie sam zmarł w zakładzie dla obłąkanych, w jednym z zaprojektowanych przez siebie pawilonów. Taka ironia losu.

– Jak ty to wszystko pamiętasz? – Mirosław był szczerze zdumiony.

Nagle poczuł ulgę. Masza nie zamierzała odejść! Gdy usłyszał zaciekawienie w jej głosie, jego serce nieco się uspokoiło i chwilowo wróciło na swoje miejsce.

– Wujek Cyruś też ci o tym opowiadał? – Mitia zapytał Maszę prostodusznie. – I o malarzu, który nas namalował, a potem stał się taki jak my... Opowiadał? – Chłopak pociągnął ją niecierpliwie za rękaw.

– O Wrublu? – Masza spojrzała na Mira.

– On odrestaurował freski w cerkwi św. Cyryla? – Mir niepewnie wykazał się swoim historycznym wykształceniem.

– Tak – przytaknęła zachęcająco Masza. – Istnieje teoria, że do fresku *Zstąpienie Ducha Świętego* na chórze Wrubel wykonał szkice apostołów, wzorując się na mieszkańcach Cyryłówki. Pod koniec życia również popadł w obłąd. A tak w ogóle, to strasznie się bał, że zostanie tu umieszczony.

– Oczywiście, skoro warunki były tak okropne.

– Nie, wtedy warunki nie były gorsze niż w jakimkolwiek innym szpitalu.

– Jesteś skarbnicą wiedzy – uśmiechnął się z podziwem Mir.

– Wydaje się, że nie tylko ja. – Kowalowa przeniosła wzrok na podejrzanego wszechwiedzącego, który mógłby oprowadzać wycieczki po swoim osobliwym zakładzie.

– I nasz lekarz – rzekł radośnie Mitia, najwyraźniej uznając ją za idealną towarzyszkę, która doskonale go rozumie. – Nie wujek Cyruś, tylko inny. On teraz też jest właśnie taki. Bo ta ziemia jest zła!

– Bo tu jest skarb? – Masza ostrożnie próbowała go wybadać.

Chłopak skinął głową i powiedział z dziecięcą powagą:

– Złoto to moc, a wielka moc nie może być dobra.

– Wiesz, co się tu stało?

– Tak – przytaknął ponownie.

– Niedawno zginęła tu dziewczyna – ciągnęła delikatnie Kowalowa.

– Tak. – Mitia smutno spuścił oczy. – To moja wina. Nie chciałem tego.

– Dlaczego twoja wina? – Krasawicki błyskawicznie zareagował, kładąc się na trawie przed nim.

– Nie chciałem, żeby umarła – załkał żałośnie Mitia, patrząc na swój pępek. – Ale ona umarła. Bo jej nie kochałem. Sama mi to powiedziała... I zawołała mnie. Ale ja byłem zły. Nie chciałem!

– Ups! – rzekł Mir.

– Oto i ona! – Ręka obłąkanego z wyciągniętym palcem wskazującym poszybowała w stronę cerkwi, a Masza i Mir rozejrzeli się gwałtownie, przez chwilę sądząc, że rzeczywiście zobaczą martwą Ritę w zakrwawionej sukni.

Ale zobaczyli tylko ogromnego i ponurego czarnego kruka. Przechadzał się po szarych, nasłonecznionych płytach pod zamkniętymi drzwiami cerkwi św. Cyryla.



Na ścianie gabinetu wisiał stary gwaszowy plakat, jeszcze radziecki, sądząc po kwadratowych, ochrowych twarzach lekarza i lekarki, w pozach legendarnych „robotnika i kołchoźnicy”, podnoszących nad głowami miskę medyczną z wężem. Obok nich spokojnie egzystowała piosenkarka pop o wyglądzie dziewczyny „Playboya”, również nieco postrzępiona na brzegach.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał lekarz dyżurny, zerkając niespokojnie na dwa długie zielonkawe banknoty, które z tylnej kieszeni Mirosława przemieściły się na biurko.

Masza podzielała odczucia lekarza: jej rodzina nie była przyzwyczajona do takich pieniędzy, nigdy u nich nie gościły, a na ich widok dziewczyna czuła dziwną mieszaninę niepokoju i lękliwej wrogości.

– Ty jesteś wujek Cyruś, prawda? – zapytał Mir.

Doktor, Cyryl Snurowski, jeszcze bardziej się zaniepokoił i lekko skinął głową. Przybysze zdawali się go przerażać.

– Nie wiem, czy ogląda pan telewizję...

– Oglądam – wyjaśnił szybko lekarz. Był blady, z białymi brwiami i twarzą nieudacznika – absolutnie nijaką, pozbawioną charakteru i wieku. Mógł mieć trzydzieści lub czterdzieści lat. – Widziałem pana. Pan nazywa się Krasawicki. – Wymówił nazwisko gościa, ostrożnie przesuwając językiem po każdej literze, jakby nie potrafił powiedzieć, jak ona smakuje.

I Masza zrozumiała: nie jej się bał, tylko Mira. Ale nie wiedziała, dlaczego zgodził się na spotkanie z nimi, skoro strażnik przy wejściu podał mu przez telefon wewnętrzny onieśmielające nazwisko jej kompana.

– Czyli nie muszę wyjaśniać – uśmiechnął się skromnie pokryty kurzem przybysz – w jak... hm... trudnym położeniu się obecnie znajduję. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie ma pan najmniejszej ochoty pakować się w kłopoty. Przecież jeśli okaże się, że któryś z pana pacjentów... – Mir ostentacyjnie pominął koniec zdania. – Ale myślę, że zdaje pan sobie sprawę, że mój problem jest o wiele bardziej nieprzyjemny niż pański. Jestem podejrzany o morderstwo. A pana pomoc jest dla mnie bardzo cenna. Praktycznie bezcenna!

Psychiatra skrzywił się. Nie miał trudności z rozszyfrowaniem bardziej niż przejrzystej aluzji i zabębnił palcami po banknotach, nie spiesząc się jednak z ich przyjęciem.

– Innymi słowy – rzekł niechętnie – chce pan wiedzieć, czy któryś z moich pacjentów mógł popełnić te morderstwa?

– Wolno im chodzić po terenie szpitala, prawda?

– W ciągu dnia, nie w nocy – wyjaśnił Cyryl Snurowski.

– A w nocy są zamykani? Czy faszzerowani środkami nasennymi? – spytał bezczelnie Mir.

Podbródek lekarza niechętnie wysunął się do przodu.

– Nie przywiązujemy naszych podopiecznych do łóżek, niezależnie od tego, co się o nas mówi! Oczywiście, są wśród nich ci agresywni, lecz oni w żadnym wypadku nie byliby w stanie się stąd wydostać. Ale ostatnie dwie noce tutaj, proszę mi wybaczyć kiepski kalambur, to był prawdziwy dom wariatów. Masowa histeria. A policja – dodał zimno lekarz – wie wszystko. Wielu pacjentów wyskakiwało z łóżek, próbowało się ukryć, uciekało...

– Jak to wyjaśnić? – Masza była szczerze zdumiona.

– Jeśli chodzi o ludzki mózg, nikt nigdy nie jest w stanie niczego w pełni wyjaśnić – powiedział z humorem Cyryl Snurowski. – Nerki, wątroba, serce, jelita: to nieskomplikowani i zwyczajni robotnicy. Nawet jeśli postawisz złą diagnozę, anatomopatolog da temu radę...

Mir uśmiechnął się uprzejmie na żart brodatego lekarza.

– A umysł jest Bogiem! To odwieczna zagadka! – Doktor najwyraźniej osiodłał swój ukochany dyżurny temat i pogalopował na nim jak szalony. – Kim są moi pacjenci? No kim są? – zapytał z ożywieniem. – Niektórzy mówią, że są opętani przez demony, inni, że są błogosławieni przez Boga. Przed rewolucją ludzie, którzy nie byli z tego świata, byli czczeni jako święci i prorocy. Pewnie słyszeliście o chłopcu z Kurieniowki?

– Nie. – Nawet Masza się z tym nie spotkała.

– W domu dla obłąkanych mieszkał również najśłynniejszy moskiewski cudotwórca, Iwan Korejsza. A „kijowski Korejsza” – jurodiwyj Teofil, przepowiedział klęskę Mikołaja I w wojnie krymskiej! Jak ja mam to wyjaśnić? Jak? Osobiście uważam, że ci ludzie są podobni do zwierząt! Nie w złym tego słowa znaczeniu. – Surowo potrząsnął palcem. – Bez względu na to, jak bardzo człowiek chełpi się swoją wyższością, gdy chodzi o jego zwierzęcą siłę, intuicję, jego magnetyzm, jego seksualność, wszyscy w jednej chwili przypominamy sobie o naszym pokrewieństwie z braćmi mniejszymi. A wiadomo, że tacy ludzie – Michaił Snurowski wyraźnie unikał słowa „wariat” – potrafią być niezwykle przebiegli i owinać każdego zdrowego i rozsądnego człowieka wokół palca. Są obdarzeni ogromną mocą, której nie posiadali przed chorobą. Kiedy Mitia wpada w szal, nawet trzech sanitariuszy nie może sobie z nim poradzić! Tak jak zwierzęta wyczuwające zbliżający się pożar, zanim jeszcze ich nozdrza pocują

zapach spalenizny, tak oni wyczuwają zło, jakieś niezrozumiałe i nieuchwytnie dla nas fale. Nie widzę żadnego innego wytłumaczenia!

Masza i Mir mimowolnie spojrzeli na siebie.

– Jeśli dobrze pana rozumiem – podsumował Krasawicki – to z powodu tych niewyjaśnionych fal pańscy chorzy biegają po szpitalu od dwóch nocy i nikt nie może zaręczyć, że ten czy inny...

– A co, przepraszam, daje to teoretyczne założenie? – Lekarz przerwał mu konfrontacyjnie. – W Kijowie jest co najmniej milion osób, które teoretycznie mogły być w danym miejscu o danej porze. A diagnoza moich podopiecznych to jeszcze nie motyw.

– A skąd pana pacjent Mitia tak dobrze zna historię Pawłowki? – Mir poszedł na wojnę.

– I cerkwi – rzekła Masza, dorzucając swoje pięć groszy. – I skąd wie o skarbie?

– Jakim skarbie? – Twarz doktora nieprzyjemnie posepniała. – Staram się ich rozwijać. Nie muszą czuć się gorsi...

– I dlatego opowiada pan Mitii o innych godnych szacunku szaleńcach? I o tym, jak ludzie tacy jak on byli inspiracją dla malowideł apostołów? I jednocześnie o skarbie hetmańskim, i o złej ziemi? – Grymas Mira wyrażał wyraźną pogardę.

– O jaki skarb wam chodzi?! – oburzył się lekarz. – Nic nie rozumiem!

– Skarb hetmana w jaskiniach Cyryla – wyjaśniła nieśmiało Masza. – Uważa się, że Mazepa go tam zakopał.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. – Cyryl stał się zdecydowanie profesjonalny, rzeczowy. – A co za tym idzie, mój pacjent również. Sam nie czyta książek.

– Ale on nam powiedział... – sprzeciwiła się Kowalowa.

– Powiedział czy odpowiedział na wasze pytanie? – burknął sceptycznie Cyryl Snurowski.

– Znał zamordowaną dziewczynę – wtrącił Mir.

– Czy to właśnie powiedział: „Znam zamordowaną dziewczynę”? Czy też zapytałeś go o to, a on od razu zaczął bić się w pierś? Dla waszej informacji, matka Mitii zmarła zaledwie rok temu. Co takiego powiedział? „To moja wina... Nie chciałem, żeby umarła. Jestem zły”? Cały czas to powtarza.

Lekarz nagle z determinacją wyciągnął szufladę biurka i wrzucił tam pieniądze Krasawickiego.

– Za Mitię ręczę głową – rzekł z przekonaniem. – Wiem na pewno, że wczoraj wieczorem nie wychodził z budynku szpitala. Nie mam wątpliwości, że żaden śledczy nie potraktuje waszych założeń poważnie. Musicie zrozumieć, młodzi ludzie, że życie to nie amerykański thriller.

– Dlaczego tak bardzo go pan broni? I dlaczego nazywa pana wujaszkiem Cyrusem? Kim dla pana jest? – zapytał podejrzliwie Mir. – On jest pana...

– Nie, nie jest moim synem – odgadł podejrzenia Cyryl. – Ani nawet krewnym. Jest synem kobiety, którą kochałem. Jego własny ojciec porzucił go, ją także. Wydaje się jednak, że teraz ruszyło go sumienie.

– Jak ma na nazwisko?

– Mitia nosi nazwisko po matce, Chabrowski. Przykro mi, ale chyba nie mogę wam bardziej pomóc. Wszystkiego dobrego – uciał ostro, wstając.

W wyniku tej rozmowy Masza, wychodząc ze szpitala, miała bardzo ambiwalentne uczucia.

Z jednej strony typowe dla niej poczucie winy, z drugiej – bulgocząca i nieprzyjemna nieufność.

Z jednej – lekarz wytłumaczył im wszystko dosłownie, jak dzieciom. Z drugiej – wykazał nieskrywane zainteresowanie losem Mitii i nie wysuwał żadnych oskarżeń w jego kierunku.

Z innej jeszcze strony – podobał jej się jasnooki Mitia Chabrowski i po prostu nie mogła uwierzyć... Po prostu nie mogła!

Aż na koniec – pogubiła się całkowicie.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Mir i czuł teraz tylko jedno: „Tylko nie «muszę iść do domu»! Niech zostanie. Błagam!”.

Usiedli na szpitalnej ławce, a Kowalowa z żalem spojrzała na czubki swoich przedpotopowych tenisówek, które nosiła jeszcze w szkole na lekcjach WF-u. Serce Mira drgnęło z podniecenia, jakby szykowało się do skoku...

– Nie wiem – wycodziła, zastanawiając się. – Przypuśćmy, że lekarz przeczytał mu coś nie tak i Mitia wpadł na maniakalny pomysł. – Masza starała się, jak zwykle, umieścić wszystko na swoim miejscu. – Przypuśćmy, że mógł wyjść w nocy i wiedział, jak otworzyć cerkiew. Ciągle tam przesiadywał, mógł nawet ukraść klucz... Przypuśćmy, że spotkał Ritę, która przyszła na randkę z tobą.

– Na spotkanie – sprostował pośpiesznie Mir – które zorganizowały Lidia i Żenia.

– ...i zabił ją. – Masza nie zareagowała na jego słowa.

„Czym ja się denerwuję? Ona mi wierzy, wierzy mi” – zapewniał się z podekscytowaniem. „Jest we mnie zakochana od pierwszego roku studiów. Wszyscy o tym wiedzą, czyż nie?”

Niby wszystko się zgadza. Tylko logika nie zadziałała.

Z każdym gestem obawiał się, że jej się nie spodoba!

– Ale jak jeden człowiek, w dodatku szalony, mógł odwieźć wuja Kołę do bram ławry? On pewnie nie ma nawet pieniędzy – szepnęła Kowalowa.

– Tego nie wiemy – odparł apatycznie Mir. – Ma na sobie takie same ubrania jak ja, a jego „wujcio” wzdryga się na widok dwustu baksów. Prawdopodobnie Mitię wspomaga finansowo jego skruszony ojciec. I nie jest to biedny ojciec. Wiesz co... – Zdjął z paska telefon komórkowy, nacisnął przycisk połączenia głosowego i odezwał się: – Koka!

Masza spojrzała na niego pytająco, z wyrzutem. Serce Mira wykonało salto w tył.

– Nie mam kogo poprosić – wybełkotał. – A sam nie mogę. Lekarz już mnie zna. – Wreszcie odezwała się słuchawka, a Mir ryknął nazbyt groźnie: – To ja! Wracasz teraz do Pawłowki, żeby zapoznać się z jakąś pielęgniarką z oddziału psychiatrycznego... Nie widzę numeru. Jest tu pomnik i kwietnik. Tak, ten. Twoje zadanie: dowiedz się, kto odwiedza pacjenta Dmitrija Chabrowskiego, jak wygląda jego sytuacja tutaj, co robił i mówił przez ostatnie dwa dni, gdzie był przez dwie noce. Zrozumiałeś?

Masza poczuła przyływ duszących mdłości: sądziła, że Mir powinien na zawsze pożegnać się z jej gwałcicielami, nie chceć zamienić z nimi choćby słowa. Gorączkowo szukała w myślach alternatywnego sposobu wyjaśnienia prawdy – ale nie było żadnego. Oprócz wysłania do pielęgniarki Daszy. Ale gdzie teraz była ta Dasza? Może pojawić się dopiero wieczorem, a do tego czasu sataniści zabiją kolejną osobę...

A może nie sataniści, lecz szalenciec o chabrowym nazwisku i oczach, zdolny „owinąć każdego zdrowego i rozsądnego człowieka wokół palca”, który, gdy wpadał w szal, mógł obezwładnić trzech sanitariuszy?

– Pewnie masz rację – powiedziała, patrząc na swoje zakurzone tenisówki.

– Nie. Nie mam racji! – Wyraz twarzy Mira zmienił się nagle.

Zapomniał! (Zapomniał, że wtedy jeszcze jej nie kochał!) Ten drań dotykał JEGO dziewczyny! Albo pomagał drugiemu draniowi... I to

wspomnienie sprawiło, że tył głowy Mira rozplątał się i zaszumił, a oczy zaszklily się mętną nienawiścią.

– Odwołuję to! – Jego kciuk już wystukiwał wiadomość. – Sam to zrobię. Dam radę. Powinienem był go zabić na miejscu. Nie rozumiem, dlaczego ja...

– Przestań! – Masza niezdarnie wyrwała mu telefon z rąk. – Nie, Mirze, to są moje krzywdy. Ale masz rację, dajmy mu szansę. No wiesz, zrobić coś... zrehabilitować się.

– Zrehabilitować? – krzyknął Krasawicki. – Naprawdę? Jestem psycholem! Powinienem był zabić ich obu!

– Nie – rzekła ponuro Masza. – Musisz znaleźć zabójców Rity i wujka Koli. I Kyłyny – dodała.

– Jakiej Kyłyny? – zdziwił się jej psychorycerz.

Kowalowa zadrzała. Zdała sobie sprawę, że się wygadała.

– Dobrze – odetchnęła po chwili milczenia. – Muszę ci coś powiedzieć. Ale obawiam się, że mi nie uwierzysz.

Mir zamilkł, westchnął i odpowiedział:

– A czy ty mi uwierzysz, jeśli ci powiem, że cię kocham?



– Cześć! Czy przypadkiem mnie nie szukasz?

Rudy odwrócił się i uśmiechnął aprobowająco.

Wstrząsająca szła w jego stronę lekkim krokiem, kołysząc biodrami, delikatnie owinięta szkarłatnymi piórami. Elegancki płaszcz miał tylko jeden guzik, a zza jego krawędzi wylaniały się nierzucające się w oczy brzegi krótkiej spódniczki i opalony brzusek. Śnieżnobiałe, sięgające pasa afrykańskie warkocze leżały rozrzucone na jej ramionach...

– Jesteś gwiazdą! – To było pochlebstwo. – A mi powiedzieli, że cię zwolnili.

– Sama odeszłam! – Czub energicznie potrząsnęła białą grzywą.

– Tak, widziałem – zaśmiał się. – Wyrwałaś ze sceny tak spektakularnie, że wszyscy byli w szoku. Myślałem, że pogadamy, przyszedłem specjalnie dla ciebie... Dlaczego tak zwiłaś?

– Wiesz, tu jest tak gorąco... – Dasza usadowiła się dostojnie na siedzeniu słonecznego rydwanu (surowego dwukołowca, który już czekał na wieczornych klientów) i mądrze zwróciła się prawym profilem do „potencjalnego zalotnika”. – Czy uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedziała, że zostałam wiedźmą?

– Ty? – Objął ją spojrzeniem tak namacalnym, że Dasza pomyślała, że rudzielec przyciągnął ją do siebie na sekundę, a potem delikatnie postawił na ziemi. – Jasne!

– Nie, mówię poważnie... – ciągnęła. – Ty w ogóle wiesz, co dzieje się w Kijowie?

– Oczywiście, że wiem – rzekł poważnie. – Dziś o piątej rano na Obołoniu zawalił się dom. Dobrze, że ludziom nic się nie stało. Na szczęście nie był to budynek mieszkalny, mieli tam otworzyć supermarket. A w nocy spłonął Włodzimierski...

– Włodzimierski? Gdzie to jest?

– Na bulwarze Szewczenki. Wiesz, ten duży sobór, z niebieskimi kopułami i gwiazdami.

– Z gwiazdami? – Dasza otworzyła szeroko oczy. – Spłonął! Tej nocy? Jak? – I nagle zdenerwowała się: jakże mogłoby być inaczej, skoro Katia, która była odpowiedzialna za trzeci ogień, leżała w tym czasie w niemym i bezradnym omdleniu?

– Nie jest źle – pocieszał ją chłopak. – Malowidła nie ucierpiały. I w ogóle to był dziwny pożar. Na zewnątrz paliło się tak mocno, że przez godzinę nie mogli ugasić! Ogień wychodził ze wszystkich okien, mówili o tym w wiadomościach. A później okazało się, że w środku nic nie zostało naruszone: tylko świece stopione, dywan na posadzkach spalony i jakieś zasłonki na ikonach. Ale jeśli tamte rzeczy spłonęły, to musiały też płonąć ikony. A te są nietknięte! Podobnie malowidła. Nawet nie zajęły się ogniem. Mówią, że to cud Boży. Tak na marginesie – uśmiechnął się – Włodziemierski ma dużo szczęścia. Wiesz, że w czasie wojny nasi go zaminowali? Zamierzali go wysadzić w powietrze, podobnie jak Uspieński, żeby nie dostał się w łapy wroga. Ale Niemcy go rozminowali. Taki zwrot akcji.

– I Bogu niech będą za to dzięki! – Dasza odetchnęła z ulgą, natychmiast pozbywając się nagłego i nielogicznego poczucia winy. (Oczywiście sobór znajdował się o rzut kamieniem od muzeum, ale skąd one mogły wiedzieć? Skoro mowa o muzeum...) – A o tym, że sataniści już dwie noce z rzędu składają ofiary w cerkwiach, wiesz? – Podsunęła mu mimochodem pułapkę.

– Wiem – przytaknął rudzielec. – Najpierw pękły tam rury, a potem sam znalazłem ich podziemną świątynię.

– Co tam robiłeś? – Wstrząsająca udawała zdziwienie.

– Pracowałem tam wtedy, usuwałem skutki awarii – zaśmiał się.

– Tylko mi nie mów, że jesteś majstrem hydraulikiem! – zapała figlarnie Dasza, patrząc na niego jak na słodkiego piernikowego ludzika w witrynie świątecznej.

– A jeśli nawet jestem, to co? Nie będę pasował? – odgryzł się kawaler z piernika.

– Dla mnie to bez różnicy. Nie jestem taka! – rzekła z godnością. – Tylko od kiedy hydraulicy zajmują się organizacją wystaw?

– Skąd o tym wiesz?

– Wiem o tobie wszystko! – oznajmiła enigmatycznie Czub.

– Pewnie widziałeś w telewizji! – domyślił się rudowłosy. – No dobrze, powiem ci... – Zrobił pogardliwą kozią mordę. – Mój ojciec (morda była wyraźnie adresowana do niego) jest drugim merem miasta. Czymś w rodzaju cienia.

– Czyżby pracował u Omielczenki? Szara eminencja?

– Cóż, tak jakby. – Syn „eminencji” znowu zmarszczył swój nos. – Mnie też zatrudnił w służbie cywilnej. Wystawy, imprezy... Gdybyś tylko zobaczyła mnie pod krawatem!

– No i? – pospieszała go Dasza.

– Pożarłem się z nim i na złość pojechałem z pogotowiem hydraulicznym!

– Jak ja to dobrze znam! – ucieszyła się Wstrząsająca. – Też pokłóciłam się z matką. Od trzech miesięcy mieszkam w garderobie i nie zamierzam wracać do domu!

– Jak widać, ja nie jestem tak wytrwały – rzekł z żalem chłopak. – Wytrzymałem tylko dwadzieścia cztery godziny. Nie, nie chodziło o pracę... Nie jestem chłoptasiem tatusia i nie kozacę na mieście. Po prostu nie lubię patałaszyć rozpoczętych rzeczy. A gdybym nie wrócił, wystawa by zdechła.

„Wszystko jasne! Taki facet, kosmos!” – Czub oszalała z zachwytu. „A gdyby tak...?” – Ostrożnie sięgnęła do kieszeni po cenne zawiniątko.

„Tak dla pewności!”

– Hej, czy ty przypadkiem nie masz na imię Sasza? – mruknęła Dasza.

– Dlaczego Sasza? – uśmiechnął się. – Podobają ci się sami Sasze? No to przepraszam, jestem Jan.

„Cholera! Dlaczego zostawiła colę Musi?!”

– Dobra, idę – oznajmił nagle.

Poczuła, jakby jej serce zostało opasane gumką – na taki obrót spraw Dasza zupełnie nie była przygotowana.

Miała z nim przeżyć resztę swojego życia.

A przynajmniej resztę dzisiejszego dnia...

Jan poderwał się na nogi i strzepnął piasek z jasnych spodni.

– Cóż, żegnaj – rzuciła obojętnie Czub. Patrzyła na niego pełnymi pretensji oczami, które nie chciały przybrać dumnego i niezależnego wyglądu.

– Spotkajmy się jakoś bliżej wieczora – uśmiechnął się do niej.

Opaska uciskowa popuściła.

– Kiedy? – rozchmurzyła się Dasza.

– Wiesz, co tu się będzie dziś dziać? – Rudowłosy wskazał na ogniska Kupały otaczające ozdobione wstążkami suche drzewo i stracha na wróble w czarnej szacie.

– Noc Kupały. Święto. To był mój pomysł! – pochwaliła się Wstrząsająca.

– Myślałem, że jesteś młodsza o jakieś pięćset lat! – droczył się z nią. – A to co? – Kiwnął głową na Krađu ze strachem na wróble.

– Kukła inkwizycji! Nasza odpowiedź dla Chamberlaina! Kiedyś na Kupały palili czarownicę Marenę, a my inkwizytora. Za palenie czarownic!

– Kreatywnie – stwierdził zachęcająco. – Tylko że nie palili Mareny, a śmierć.

– Marenę.

– Jeden diabeł. Ale dopóki Marena płonie, nie ma śmierci.

– Co?
– Spotkamy się przy ognisku? O której się zaczyna?
– O dziesiątej. Tylko że ja już tu nie pracuję...
– Nieważne, kupię ci bilet! – obiecał radośnie. – Nosisz węża ode mnie?
– Oczywiście! – Dasza puknęła palcem w gąszcz ozdób, którym obrosła jej szyja. – Nigdy go nie zdejmę! – poprzysięgła z namaszczeniem Dasza Czub.

– Na pewno?
– Tak.
– Więc zobaczymy się na sabacie?
– Okej. Przed wejściem. Wpół do dwunastej. Wcześniej nie dzieje się tu nic ciekawego!

Rudowłosy kawaler skinął głową i posławszy Czub w powietrzu obiecujący pocałunek, oddalił się.

„Matko kochana...”

Szedł za szybko, był już przy bramie do klubu.

„...przecież my zostałyśmy zaproszone na dzisiejszy sabat!!!”

– Zaczekaj! – krzyknęła. – Nie mogę dziś! Janie!

Rzuciła się za nim, ale potknęła się i spadła z dwukołowego rydwanu słońca. Runęła na kolana w piasek. Poderwała się i znów zaczęła biec. Kiedy jednak dotarła do dwóch rzeźbionych słupów podtrzymujących żelazną bramę, na drodze nie było nikogo.



W drzwiach sklepu Safo Katerina Dobrzańska została zatrzymana przez zaniepokojoną ekspedientkę z garniturem Katii w rękach:

– Przepraszam, zapomniała pani tego z przymierzalni.

Kobieta odwróciła się. Miała na sobie białą sukienkę – prostą i sprawiającą wrażenie wyzywającej w połączeniu z niebieskawo-czarnymi, kędzierzawymi włosami, rozpuszczonymi z ciasnego wężła.

– Nie zapomniałam. Zostawiłam. Już go nie potrzebuję.

Kobieta miała brwi, które dobiegały do skroni, a w jej ciemnych, pozbawionych dna oczach czaiła się taka siła, że gdy sprzedawczyni trafiła na jej spojrzenie, nagle zakręciło jej się w głowie i pomyślała: „W tym życiu wszystko jest możliwe!”, nie próbując nawet uświadomić sobie, o jakie „wszystko” jej chodzi, bo to „wszystko” było rzeczywiście „wszystkim” i obejmowało tak nieskończenie wiele, że można by wymieniać latami.

Zastygła w bezruchu, patrzyła na oddalające się, dumnie wyprostowane plecy i myślała: „Co za kobieta! Co za kobieta...”. Bez zazdrości, ponieważ po pierwsze na świecie istniało piękno, którego po prostu nie można było zazdrościć, można było tylko kręcić głową ze zdumienia, że coś takiego w ogóle istniało! A po drugie, bo cenny garnitur, kupiony w ich własnym sklepie zaledwie dwa tygodnie temu, był dokładnie w tym samym rozmiarze co garnitur sprzedawczyni i nic nie stało na przeszkodzie, żeby na końcu „zostawiłam” postawić nie kropkę, lecz wymowny wielokropek, sugerujący: „dla pani”.

„Co za kobieta!” – pomyślała po raz trzeci. „Ona jest jak... jak...” – Nie mogła wymyślić, jak co.

Kierowca Giena stał przy samochodzie, z podekscytowaniem dopalając pomarszczonego peta. Papieros wypadł mu z dłoni. Giena nerwowo i z niedowierzaniem wyciągnął szyję. Próbował uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

– Co, nie przypominam siebie? – uśmiechnęła się Katia, wiedząc, że oduczyła go w okrutny sposób odzywania się jako pierwszy.

– Niece – wycedził oszołomiony.

Nie wyglądała jak ona od rana i wcale nie wyglądała jak ona, kiedy wyszła z domu numer 1, z ciężką torbą w rękach, butelką coli pod pachą i błogim, niezmaconym szczęściem na twarzy – takim, jakie widzi się u ludzi siedzących na leżaku na plaży, gdzieś daleko, daleko od prawdziwego życia, wpatrujących się pogodnie w skrzące się w słońcu promienie oceanu.

– Mam rowery – przypomniał jej, pochylając się w oczekiwaniu na kolejny cios.

– Rowery? – zapytała dość obojętnie Katerina Michajłowna. – Nie są mi już potrzebne. Zostaw je na podjeździe... Nie trzeba. – Przerwała próbę wyrwania z jej rąk ciężkiej torby. – Ja sama.

Jego monolityczna szefowa rozpadła się na niepasujące do siebie fragmenty: znajome usta wydające całkiem nieznanne polecenia, znajoma sylwetka poruszająca się niezwykle miękko, znajome, a nieznanne delikatne rysy. I po raz kolejny złożyło się to w zupełnie nową, zupełnie inną Katerinę – kobietę wykutą z czarnego metalu i wypchaną mieszanką wybuchową, wokół której roztaczało się pole minowe.

Tylko saper mógł bez obaw podejść do Katii z przeszłości. Sam fakt, że ktoś ośmielił się zauważyć, jaka jest piękna, dawniej wydawał się jej obelgą.

Dawniej...

– Jesteś bardzo piękna! – powiedział dziwnie nieśmiało i ze skruchą, nagle zawstydzony swoimi starymi, niepochlebnymi uczuciami do niej. – Bardzo!

Oczywiście zawsze wiedział, że jest piękna, ale ta wiedza była bardziej teoretyczna niż poznawcza i nagle przestała być wiedzą, a stała się

uczuciem, które ogarnęło jego umysł. Ponieważ nie była już śmiertelnością piękną stałą, która wisiała nad jego głową, ale stała się...

Nie wiedział, jak to powiedzieć.

Wiedział tylko, że doświadczył tego samego, gdy trzy lata wcześniej pojechał z rodziną do Ameryki, by odwiedzić matkę swojej żony i zobaczyć wodospad Niagara. Ogromny. Przyciągająco przerażający. Przerażająco piękny. Wodospad, który mógłby cię połknąć jak drzazgę, a i tak pozostałby najpiękniejszym wodospadem, którego nie sposób znienawidzić. Gdy bowiem na niego patrzysz, z góry uznajesz jego prawo do zabicia cię...

– Piękna? Czyżby? – Szefowa uśmiechnęła się figlarnie i nie czekając, aż otworzy jej drzwi, sama wsiadła do samochodu.

Giena spojrzał zdezorientowany na zaognioną, jeszcze nie do końca zagojoną bliznę na jej nagim ramieniu – nigdy wcześniej jej nie widział, ale teraz pomyślał, że to jedyna blizna, jaka pozostała po znienawidzonej i nienawidzącej Katerinie Dobrażańskiej, jakby cała jej istota nagle się w niej ukryła, stała się nią – krzywą i czerwoną szczeliną minionego bólu.

– Na Krieszczatik, do Château de Flers, parku kwiatów. Później zaparkuj samochód pod klubem i możesz wracać do domu. Nie będę cię już potrzebować.

– W ogóle? – zapytał przestraszony.

– Dzisiaj – zaśmiała się. – Odpocznij.

Zdziwiła się, gdy uświadomiła sobie nagle, że nie drażnił jej jak zwykle, lecz rozbawił swoim niedowierzającym, zaślepionym spojrzeniem.

Nie weszła do środka kawiarni. Usiadła na wiklinowym krześle na zewnątrz, zamówiła sobie świeży sok pomarańczowy i paczkę papierosów, mimo że rzuciła palenie wiele lat temu. Bez powodu – jedynie żeby po raz kolejny udowodnić, że nie ma nałogów, tylko decyzje. Teraz te odległe

próby udowodnienia sobie własnej niezwykłości wydawały się jej śmieszne.

Wyczerpana samodoskonaleniem dawna Katia odeszła w zapomnienie.

Leniwie oparła się łokciem o stół, przechyliła lekko głowę i „umieściła” na dłoni dom numer 15, po przeciwnej stronie Krieszczatiku, przecięty dwoma długimi balkonami.

„W imię Ojca mego...” – zaczęła mówić sama do siebie. I to wrażenie – że wystarczy wypowiedzieć jeszcze kilka słów, a ten elegancki siedmiopiętrowy budynek z pięcioma kokieteryjnymi mansardami i drogim sklepem ze szkłem na dole, zajmujący prestiżowe miejsce między Pasażem a stacją metra Krieszczatik, posłusznie się złoży, przykrywając setki ludzi wyobrażających sobie, że są wolni – powodowało, że jej wewnątrz ogarnął bezmiar i nieskończoność.

Kilka słów. Tylko kilka słów! A ileż tysięcy słów czeka na nią w księdze prawdziwej Mocy.

– Sok i papierosy – powiedziała kelnerka, podając jej zamówienie.

– Poproszę jeszcze kieliszek martini. Bianco.

– I proszę to doliczyć do mojego rachunku – odezwał się łagodny męski głos.

Katia powoli odwróciła głowę, już składając usta do szyderczej odpowiedzi zbyt pewnej siebie ofierze jej urody, ale zobaczyła nad sobą dwoje bladoniebieskich oczu i mruknęła ze zdziwieniem i zmieszaniem:

– A może lepiej odjąć?

– Myślę, że może nawet pomnożyć. – Blondyn uśmiechnął się bez cienia rozbawienia.

Jego dłoń z niebieskookim pierścieniem nieśmiało wyciągnęła do niej zapalniczkę. Odpalając papierosa, Katia spojrzała zaintrygowana w jego oczy – panowała w nich zawieja, zupełnie nieczuła na jej spojrzenie i twarz.

– Zdaje się, że już się spotkaliśmy – powiedziała Dobrażańska, choć to nie ona miała to powiedzieć, lecz on, który bezczelnie narzucił jej swoje sąsiedztwo. – W Centrum... Czarów. Na Padole. Czy poszedł tam pan zdjąć urok? – zaśmiała się szyderczo.

Dziwne: nagle przestała się czuć wszechmocna.

– A pani – uśmiechnął się elegancko – zapewne chciała rzucić go na swoich wrogów. Jestem pewien, że się to pani udało.

Katia spojrzała na niego spode łba. Próbowwała rozszyfrować groźne słowa, ale blondyn miał nieprzeniknione spojrzenie kogoś, kto tylko grzecznie podłapuje czyjś żart.

– Czy zajmuje się pan organizacją wystaw?

– Już pani wie? – nie zdziwił się wcale.

– Wiem o panu wszystko – odparła Katia. – Nawet to, że na pół etatu naprawia pan pęknięte rury.

– Ja? Rury? – Blondyn uniósł pytająco swoje srebrne brwi. – Przykro mi, ale nie rozumiem pani.

– Proszę nie robić zdziwionej miny – rozzłościła się nagle. – Przedwczoraj w Centrum poznałam dziewczynę... Stała w kolejce za mną. Ona mi powiedziała, że pan pracuje z jej ojcem. A jej ojciec usuwał skutki awarii na Frunze.

– A więc to tak... – Zimne oczy blondyna pokryły się od środka szronem. Ale ich właściciel, ku rozczarowaniu Katii, wydawał się bardziej zdziwiony niż zdemaskowany. – On naprawia rury – rzekł nieznośnie znudzony. – Ale czemu ja się dziwię?

– Jaki on? – zapytała z niedowierzaniem Katerina.

– Najwyraźniej mój brat.

– Proszę mi tylko nie mówić, że to pana bliźniak! – Katia w końcu przestała mu wierzyć.

– Tylko z wyglądu – zapewnił ją blondyn. – Poza tym jest moim zupełnym przeciwieństwem. Nie widziałem go od lat. – Zaciśnął wargi i jakby zastanawiając się nad czymś, wyjął z kieszeni koszuli złotego parkera, nabazgrał na serwetce siedem cyfr i podał ją Katii. – Jeśli to dla pani nie kłopot, proszę mu to przekazać przez pani znajomą. Nie sądzę, żeby się ze mną skontaktował. Ale w życiu wszystko może się zdarzyć...

– Obawiam się, że nieprędko ją zobaczę – odmówiła Katia, zaskoczona, że wersja z bliźniakiem nagle przestała być dla niej niewiarygodna.

– Nie spieszy mi się – rzekł obojętnie. – I bez niego mam wystarczająco dużo problemów.

– Skąd mam wiedzieć o pana problemach? – prychnęła wyzywająco Katerina.

– Ale sama pani powiedziała... Przepraszam, myślałem, że widziała pani w wiadomościach. Ktoś próbował dziś ukraść *Bohaterów* Wasniecowa. A ponieważ to ja zorganizowałem wystawę...

– Ach to... I co? – zainteresowała się mimowolnie Dobrzańska.

– Tajemnicza sprawa. – Pokrzywdzony organizator pokręcił głową. – Ale jeśli to panią interesuje...

– Tak, oczywiście.

– W muzeum jest naturalnie strażnik – zaczął blondyn. – Ale on spał, mimo wycia alarmu. Brygada, która zjawiała się na miejscu, musiała wejść do środka przez wybite przez złodzieja okno, bo strażnik im nie otworzył.

– Jest podejrzany o współudział?

– Ledwo go obudzili, ale nie doszedł do siebie, prawdopodobnie został otruty mało znanym gazem. To zupełny absurd – mruknął lekceważąco – bo to nie byli zawodowcy. Proszę sobie wyobrazić, że sprawca głupio wybił okno na parterze, wszedł do środka, z jakiegoś powodu zbił szybę na

obrazie i uciekł przez inne okno. Powie pani: po prostu nie zdążył zabrać płótna...

A Katia, która nie miała zamiaru nic takiego powiedzieć, przytaknęła beznamyślnie, czując się znowu jak na koniu: gdyby tylko blondyn wiedział, że wszystko było po trzykroć bardziej tajemnicze, natychmiast straciłby chłodny rozsądek.

– Ale złodziej po prostu nie mógł zdążyć – mówił dalej niedoinformowany mężczyzna. – To niesamowite, że udało mu się w ogóle uciec – policja przybyła na miejsce w ciągu kilku minut. Czego więc szukali? Czego chciały te dziewczyny?

– Dziewczyny? – Katia natychmiast straciła swój chłodny uśmiezek.

– Piętnaście minut temu – podzielił się blondyn – dostałem wiadomość, że zgłosił się taksówkarz, który tego wieczoru podrzucił do muzeum dwie młode damy. Czas się zgadza. Przy czym ślicznotki wezwały taksówkę do domu, chwilę pojeździły po mieście z trzecią dziewczyną, a potem poprosiły, żeby je zawieźć prosto do Tereszczunki. Przedstawiły się jako studentki szkoły teatralnej. Ich wygląd, sądząc po opisie, był naprawdę efektowny: jedna blondynka z afrykańskimi warkoczami do pasa, druga ruda. Tej pierwszej na pewno nie da się z nikim pomylić! Policja już do nich jedzie...

– Policja?

Nagle Katia znienawidziła swoją nową sukienkę. Czowała się w niej nieswojo i obco, zupełnie inaczej niż w pancernych garniturach.

– Ale dlaczego studentki szkoły teatralnej miałyby...?

– Właśnie! Dlaczego? – zapytał blondyn, patrząc na nią zmrużonymi oczami. – Na pewno nie po to, by ukraść. Ale w takim razie dlaczego? Jak pani myśli? – Wpatrywał się w nią bez mrugania, jakby miał nadzieję, że rzeczywiście odpowie na jego pytanie.

– Skąd ja mam wiedzieć? – wycedziła Katerina.

Po sukience natychmiast znienawidziła blond drania za to, że zwałił na nią tę – tak jej niepotrzebną – odpowiedzialność za dwa nic nieznaczące dla niej życia.

Gdy tylko dowiedziała się, że więzienie zagrażające ojcu Maszy było jedynie histeryczną hiperbolą jej matki, i przezornie powiadomiła Daszę, że znika dzisiaj z powodu zbliżającej się walki, Katia wyrzuciła swoje dwie przypadkowe sojuszniczki z pamięci. Jeśli nie na zawsze, to na bardzo, bardzo długo.

Ale wakacje zostały przerwane nagle i bez ostrzeżenia, gdy tylko...

„Policja już do nich jedzie!”

„Idiotki! Idiotki! Pojechały tam taksówką?!”

Teraz policjanci znają ich adres, numer mieszkania i telefonu. Przygotują zasadzkę i złapią je bez trudu. Kierowca je zidentyfikuje. A palce Daszy będą pasowały do odcisków na szybie muzeum. I śmieszne będzie nawet wspomnienie o istnieniu szaleńca z nożem. Nikt im nie uwierzy. Masza pójdzie jako współniczka... I to będzie koniec, bo w przeciwieństwie do Daszy nie przeżyje nie tylko w więzieniu – nawet w zwykłym areszcie, gdzie znajdzie się nie później niż za godzinę. Ponieważ...

„Policja już do nich jedzie!”

„A to suki!”

Przez całe życie Katerina Michajłowna Dobrażańska uważała się za sukę o rzadko spotykanej bezduszości. Inni też uważali ją za sukę, a ona była z nimi solidarna i pilnie wspierała ich i siebie w tym przekonaniu. Kochała siebie taką i była przekonana, że bycie żoną, która nie dba o nikogo i o nic, jest wygodne, opłacalne i sterylne dla duszy.

Ale jakimś niepojętym cudem naiwna studentka okazała się pierwszą i ostatnią osobą, która próbowała ją zrozumieć, pomóc i wesprzeć. Nie dlatego, że dostawała za to pieniądze, ale dlatego, że wierzyła: „Katia jest dobra”. Poza nią nikt nie uważał, że Dobrażańska jest dobra, łącznie z samą Katią. Problem polegał jednak na tym, że w obecności Maszy ona sama zaczęła postrzegać siebie jeśli nie dobrze, to przynajmniej nie aż tak źle... I bez względu na to, jak bardzo chciałyby teraz być obojętną i niewzruszoną suką o rzadko spotykanej bezduszności, już nią nie była!

„Ale co ja mogę zrobić, jeśli policja już do nich jedzie?”

„Poinformowano mnie o tym piętnaście minut temu”.

Piętnaście!

W końcu kelnerka przyniosła martini. Ale Katia nie była już w stanie go pić.

– Jednak bez względu na to, co chciały osiągnąć – ciągnął jej wyobcowany rozmówca – nie udało im się to. Ale to jeszcze nic, gorzej, że zwróciły na siebie naszą uwagę.

– Tak, to cholernie niedobrze – zgodziła się z nim z całego serca.

– Na siebie i ten obraz – zabrzmiał głos blondyna gdzieś na peryferiach jej świadomości.

– Co ma z tym wspólnego obraz?

Katerina usiłowała przypomnieć sobie numer telefonu na Wał Jarosława. 224... I co dalej? 224-12-22. Nie!

– Ale to nie jest zwykły obraz, to trzej *Bohaterowie*. Gdyby coś im się stało...

– Można byłoby panu tylko współczuć.

„Może 224-22-12? Masza mogła już wrócić... 224-22-17? A policja mogła jeszcze nie dojechać... Poinformowano mnie o tym piętnaście minut temu. 224-27-22. A ona ma sekundy!”

– Nie tylko mnie, ale nam wszystkim, całemu miastu, krajowi – mówił z przekonaniem bladooki mężczyzna, globalizując problem.

– Czy uważa pan, że popsułoby to nasze stosunki z sąsiadami?

Dłonie Katii były mokre z nerwów.

„224-72-27?”

„Nie! Nie! Nie! To koniec!”

– Istnieją problemy, których nie da się podzielić na „nasze” i „ich”. Choćby dlatego, że kiedy w Kijowie żyli trzej bohaterowie, tutaj też była Ruś. A to, co było, będzie zawsze – odpowiedział niezrozumiale. Stał się nagle stanowczy i poważny.

Katia nerwowo wytarła serwetką spocone dłonie i otworzyła papierowy zwitek. Zakrzywiony płatek papieru wpatrywał się w nią rozlanymi, atramentowymi cyframi. 311-72-21.

„224-72-21 – dokładnie. To jest ich numer!”

– Przepraszam, muszę wyjść. – Podskoczyła.

– Oczywiście...

Katia pośpiesznie zniknęła za drzwiami kawiarni i nie spuszczać wzroku z blondyna siedzącego tyłem do okna w drzwiach, próbowała dodzwonić się do nieszczęsnej wizytatorki Kijowskiej Galerii Obrazów. Numer odmówił połączenia. Blondyn spojrział na zegarek, położył banknoty na obrusie i wstał – krzyż na drogę! Nagle jednak zamarł. W tym samym momencie zamarł też palec Katii, wpisujący cyfry. I cały Krieszczatik, obramowany drewnianą framugą drzwi, zamienił się w jeden, zastygły i drżący nieruchomy kadr.

„Co się stało?” – zdziwiła się Katerina.

I natychmiast otrzymała odpowiedź.

Przez deptak Krieszczatiku pędził szokująco szkarłatny motorower, na którym siedziała zupełnie naga Dasza Czub z żółto -niebieską flagą

w rękach.

Katia wybałuszyła oczy z niedowierzania.

– Dziewczyno we fladze narodowej, stój! – Po drugiej stronie ulicy
poniósł się głos zniekształcony przez głośnik.

Dasza była ścigana przez policję!

Rozdział piętnasty

składający się prawie wyłącznie
z miłości

Szerwinski (poeta): A ty będziesz carycą Świata!!!

~ Z filmu *Dni Turbinych*

I co? – Sani stał na tarasie.

– Trzymaj... – Dasza podała mu futro. – O co chciałeś mnie zapytać, kochanie?

Westchnęła – nagle przestało jej się chcieć go uwodzić. Po prostu odechciało jej się, to wszystko! „Jeszcze piętnaście minut temu... Ale teraz, ledwo się z nim umówiłam, a już go zdradzam... Co będzie, jeśli Jan się dowie?”

Jednak to nie strach przed ujawnieniem zdrady był powodem zmartwienia Daszy – jako osoba, która przejmowała się problemami tylko wtedy, gdy one rzeczywiście się pojawiały, nigdy nie patrzyła dwa kroki do przodu – po prostu wydawało jej się obrzydliwe robić to teraz, gdy wszystko było tak szalenie wspaniałe!

A było naprawdę wspaniale, bo w drodze od bramy do „tego miejsca” Dasza zdołała podjąć jedyną słuszną i zawrotnie uroczystą decyzję, która dosłownie zaparła jej dech w piersiach:

Nawet jeśli Kijów się zawali, ona i tak pójdzie na randkę z Janem!

„Przecież” – pomyślała – „mogłabym wykupić moped od Zajadłej. Katia na pewno mi pożyczy. To równa babka!”

Sani przymierzył futro, jakby sprawdzając, czy się nie skurczyło. Uwielbiał swoje rzeczy i bardzo o nie dbał, a to, że pożyczył Daszy swój koronny strój, było jego osobistym wyczynem w stylu Kamo*.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytała. – Chcę, żeby impreza była wstrząsająca. Będziemy tu dziś wieczorem z Janem. Kupi mi bilet! Niezłe jaja!

– To jak pojawienie się Anny Kareniny w wielkiej operze! – ocenił odczytany Sani. – Dyrektor dostanie udaru.

– Zwłaszcza gdy sama wygram swoje konkursy! I odbiorę nagrodę...

– ...bezpłatny wstęp na pół roku. On padnie! Zobacz. – Sani podał Daszy jej własną książkę o świętach ludowych. – Dostałem ją od Witaliewicza. Ale tak tu nabazgrałaś... Nie rozumiem, po co nam namioty?

– Szalasy! Głównie po to, żeby można było powiedzieć: „Chodź, ślicznotko, na numerek”! Rozumiesz? Zobaczysz, że przed pierwszą w nocy wszystkie będą zajęte. Święto Kupąy to najlepszy czas na płodzenie dzieci...

– A kto to jest Koczerżnik? I jeszcze, co za szmatki będziemy palić?

– Gdzie? – Dasza otworzyła rozdział dotyczący Kupąy i przeczytała fragment zakreślony krzywo ołówkiem. Potem przeczytała go jeszcze raz, i jeszcze raz, a za trzecim razem miała wrażenie, że zaraz zemdleje. – To jest... To jest... – mamrotała. – Boże! Dzisiaj!!!

– Oczywiście, że dzisiaj – zdziwił się Sani. – Dostawczak z paprotkami przyjedzie za godzinę. Co mam z nim zrobić?

– Dzisiaj umrę! – Wstrząsająca przerwała mu, nie mogąc uwierzyć w sens swych drżących słów.

– Ja najwyraźniej też – westchnął ponuro tancerz. – Nie przeżyję tej imprezy. Odbiło mu, że cię zwolnił. Sam sobie zgotował ten koszmar.

– Nie zrozumiałeś, ja naprawdę umrę! – krzyknęła rozpaczliwie. – Przepraszam, muszę lecieć...

– Ale Wstrząs!

– Noo proszę, kogo przywiało! Gwiazda wątpliwego szczęścia! – Rzeczywiście, Zajadła miała rzadki talent do pojawiania się w najbardziej nieodpowiednim momencie. – Aleks! Aleks, chodź tu! – wrzasnęła fryzjerka.

– Nie drzyj się! – warknęła oszołomiona Czub. – Przegrałam. Oddam wszystko. Dziś wieczorem. Zapłacę. – Pobiegła do wyjścia.

– Zapłacisz? Skąd ty masz pieniądze?

Dogoniwszy ją, Zajadła złapała dłoń Daszy.

Ta z niesmakiem wykręciła nadgarstek i ruszyła w stronę drzwi, skąd dochodził niepokojący zapach spalenizny.

– Aleks!!!

Fryzjerka chwyciła obiema rękami ubranie Daszy: spódnicę i bluzkę. Plecy Daszy zrobiły unik...

– Aj...

Spódnica z powodzeniem rozdarła się do końca i zawisła w dłoni Zajadłej.

Czub zawyła histerycznie i kucnęła, zakrywając resztkami bluzki włosy między nogami. Długo oczekiwany Aleks wyłonił się zza sceny i zamarł z szeroko otwartymi ustami.

– Co, nigdy nie widziałeś mnie nago?! – rozgniewała się Wstrząsająca.

Jej ulubiony kostium kąpielowy, nie licząc skromnego paska stringów, nie zasłaniał wiele więcej. Ale strażnik z jakiegoś powodu spojrzał na nią oszołomiony, przełknął powoli ślinę i krzyknął, wydając z siebie dudniący krzyk:

– Co jej zrobiłaś, suko? Co ty jej, kurwa, zrobiłaś? Za coś takiego to tylko po mordzie! Co ty się do normalnej dziewczyny przyjebałaś?!

Dasza instynktownie wcisnęła głowę między ramiona w oczekiwaniu na krzyk w rewanżu: Aleks zasłużył sobie na tyle gniewu za swój przyływ sprawiedliwości, że lepiej było się po cichu wycofać.

– Boże, przebacz mi, Daszeńko! – zajęczała przez łyzy Zajadła. – Ja nie chciałam! Sani! Sani, daj jej...

I wreszcie Dasza zobaczyła tancerza, który stał jak porażony piorunem i trzymał w dłoniach rozwiązane zawiniątko z urokiem zostawionym w kieszeni czerwonego futerka.

– Źle się czuję – rzekł kwaśno, wpatrując się w pokruszoną masę. – Nagle jest mi tak źle... Coś takiego na odchodne! To straciło sens. Budzi niesmak. – Wydawało się, że Sani zaraz się rozpłacie. – Dlaczego to robicie? No dlaczego? Czy nie rozumiecie, że bez Wstrząsającej klubu nie będzie! Ona jest prawdziwą artystką! Ona jest gwiazdą! Po prostu jej zazdrościcie. Jesteście filistrami! Obornikiem! Jesteście tylko nawozem, na którym rosną takie kwiaty! – Wsunął ręce do kieszeni futra i zgiąwszy się, złożył je na brzuchu, jakby wił się z bólu.

Najwyraźniej naprawdę miał na imię Sasza.

– My jesteśmy nawozem? – Aleks zrobił się groźnie czerwony. – Gdyby nie ona, kazałbym ci... Daj dziewczynie futro! – Zacisnął pięści i ruszył w stronę Saniego.

„Aleks! To też Sasza!” – zgłupiała Czub.

– Daszeńko, weź to! Ci faceci... ciągle walczą... – Zajadła nagle bez wahania zadarła sukienkę, odsłaniając swoje piersi i podskoczyła, próbując uwolnić głowę z otworu.

„Zajadła? Co? Zajadła też?!”

– Jak masz na imię? – krzyknęła Dasza.

– Sasza – rozczochrana głowa wyskoczyła z sukienki, którą fryzjerka służalczo podała Daszy.

– Czemu odstawiasz szopkę? – Aleks podszedł do swojej kochanki, ściągając z siebie koszulę. – Daszo, weź to.

– Wstrząs, trzymaj, no masz... – Sani zatańczył, wyskakując z futerka.

– Co tu się dzieje? Dlaczego wszyscy jesteście nadzy?! – zagrział oburzony głos.

W drzwiach stał rozwścieczony dyrektor klubu.

Podwładni zamarli: Aleks z odsłoniętym torsem, Zajadła w samych majtkach, Dasza w samych butach w stylu Johnny’ego Deppa.

Sani ożył jako pierwszy i podbiegł do Czub, ostrożnie zarzucając na nią swoje futro. Dasza złapała je jak linę ratunkową.

– Proszę o wybaczenie – wystękała, zaplątawszy się w rękawy. – Aleksandrze Wital...

„O mamó! Aleksander!!!”

Wpatrywała się w niego zdumiona.

– Dasz-szo – bełkotał dyrektor, jakby zaschło mu w ustach. – Wróciła pani?

– Jak cholera, wróci, ty skąpigroszu! – krzyknął Sani. – Ja też odchodzę! Odchodzę z nią! I cały mój balet!

– A ja już zrezygnowałem! – warknął strażnik.

– Daszo, ale pani nie musi odchodzić – rzekł zszokowany dyrektor, wstrząśnięty własnymi słowami. Wpatrywał się tępo przed siebie, jakby

były one wstydliwymi bańkami mydłanymi, które z niewiadomych przyczyn wyskoczyły z jego szacownych ust. – Mogę nawet podwyższyć pani... pani... – Wargi dyrektora zacisnęły się boleśnie, napierając, by zrodzić straszliwą i całkowicie niemożliwą do spełnienia obietnicę.

– Daszo, nie odchodź, wybacz mi! To przeze mnie... – zawyła Zajadła i podbiegła do niej, błagając, zgięta w pół, z szeroko rozłożonymi rękami, jakby chciała chwycić kolana Daszy.

Czub mimowolnie odskoczyła na bok.

– Zjeżdżaj, zawistna suko! – Aleks gwałtownie odepchnął ukochaną. – Jak to możliwe, że mieszkałem z tobą cały rok! Daszo... – Podszedł do niej pewnym krokiem i złapał ją za ramiona.

Ta jęknęła przerażona, skuliwszy się.

– Zabieraj od niej łapy, prymitywie! Zjeżdżaj na swoją wioskę!

Sani z niespodziewaną nienawiścią wbił swoją silną baletową nogę w brzuch Aleksa.

Aleks przewrócił się na plecy.

Zajadła krzyknęła.

Dyrektor, spociwszy się w jednej chwili, podbiegł do Daszy i próbował ją odepchnąć w stronę drzwi dla personelu.

Strażnik poderwał się, zatoczył i ruszył w stronę tancerza.

„Zaraz zrobi z niego...” – Dasza nie zastanawiała się nad tym, co Aleks zrobi z Saniego, ale potrafiła sobie wyobrazić zakrwawione, połamane lico przyjaciela, który winien był jedynie tego, że pożyczył jej swoją ulubioną rzecz.

I wtedy, posłuszna jednemu natchnionemu instynktowi, zawołała:

– Saszo! Za mną! – I uciekła, nie widząc, ale wyczuwając drżącymi łopatkami, jak cztery ciała gwałtownie szarpnęły się za nią, jakby przywiązane do jej pleców stalowymi linami. Zapach spalenizny stał się

jeszcze bardziej wyczuwalny. Słyszała, że walka została przerwana, zanim się zaczęła, a czterech wojowników o tym samym imieniu pędziło za nią, zapomniawszy o waśniach, zjednoczonych wspólnym przekonaniem: „Zawołała mnie!”.

Upadła na kolana, wyciągnęła klucze spod kamienia i wskoczyła na siodełko.

– Da-a-szo! – Chór czterech sfrustrowanych głosów wbijał jej w plecy nóż, ale ona już wjeżdżała na kładkę.

„A Sani i tak by się ze mną nie przespał” – pomyślała z dziwną satysfakcją. „Kocha mnie wyłącznie jako gwiazdę – Raniewską i Pugaczową w jednym!”



Pierwszy samochód ruszył za nią, gdy tylko wyjechała z zarośli na Wyspie Aleksiejewskiej, nazwanej tak na cześć legendarnego carewicza. Kierowca peugeota zatrąbił na nią i pomachał z okna. Dasza nerwowo dotknęła swojego tyłka i wsunęła krótkie futerko pod pośladki – nie, nie było nic widać.

„Chyba po prostu mu się podobam!” – pomyślała z ulgą.

– Śliczna, jak masz na imię? – krzyknął. Jednak śliczna wcale nie miała ochoty na tę znajomość.

Na moście Metra historia się powtórzyła.

– Dziewczyno, poznajmy się! – Spocony koleś z zębami wątpliwej urody wyłonił się z okna zdezelowanego zyguli.

– Nie chcę!

– Ale ja chcę! Bardzo, bardzo, bardzo chcę... – wyjęczał.

– Ee, co się do dziewczyny przyczepiasz? – warknął ktoś z samochodu obok. – Dziewczyno, jeśli on cię zaczepia... – Chłopak z okazałym czołem i oczami bulteriera groźnie zmarszczył brwi.

Ale dziewczyna wyprzedziła ich po mistrzowsku, śmiejąc się z ich reakcji. Flirty na drodze były nieodłączną częścią życia Daszy – podrywał ją co dziesiąty. Ale widok tak onieśmielającej piękności, jak bosonoga blondynka w jaskrawoczerwonym futrze, z grzywą trzepoczącą na ramionach, musiał działać na niedojrzałe męskie umysły bardziej niż czerwona płachta na byka.

Na końcu mostu czekał na nią korek.

Dasza zatrzymała się. Surowy blondyn w szarym garniturze, siedzący za kierownicą mercedesa, szybko nabazgrał coś na błyszczącej wizytówce i w milczeniu podał ją jej. Wyglądał tak, jakby nie rozumiał, dlaczego to robi.

– Kobieto w czerwieni, jakże jesteś piękna! – zapiał bezceremonialnie głos z lewej.

Dasza spojrzała na wizytówkę.

„Aleksander Stolnikow... Sasza? Nie, to musi być zbieg okoliczności!” – Wsunęła kartonik do kieszeni i znalazła tam potargane zawiniątko z cuchnącym urokiem.

– Hej, *lady in red*, poznajmy się! – nalegał bezczelnie głos z lewej.

– Czy pan ma na imię Sasza? – zapytała nerwowo.

– Skąd pani wiedziała?! – zdziwił się playboy w czerwonej skodzie.

– Dziewczyno, czym ty pachniesz? – Podniecony gość z tyłu pociągnął nosem. – Nawet ja czuję ten zapach. Jak nazywają się te perfumy?

– Woda kolońska „Sasza”! – warknęła histerycznie, rozpędzając swój moped.

– Ja też jestem Sasza!

– I ja...

– Młoda damo, dokąd pani ucieka?!

Korek się rozluźnił, więc amazonka, z narażeniem życia, jechała slalomem między samochodami, chwilowo ogłuszona trąbieniem, a kiedy wjechała na szosę Nabierieżną, z irytacją wyrzuciła z kieszeni śmierdzącą szmatę i wyciągnęła jedwabną podszewkę.

Zapach spalenizny uderzył ją po nosie.

– Hej, futerko! – krzyczał ktoś z przeciwnego pasa ruchu.

Dasza była przerażona, gdy zobaczyła, jak ogromny, przypominający czołg hummer zawraca, łamiąc wszelkie przepisy, i pewnie siada jej na ogonie. Za nim znikąd pojawił się przygarbiony, niefrasobliwy żyguli z zapachową choinką za przednią szybą.

– Czerwony Kapturku, zjem cię! – zarżał spocony chłopak, odsłaniając rdzawe zęby.

Czerwona skoda już go wyprzedzała: twarz playboya za przednią szybą była gniewna i rozjuszona. Playboy uderzył w kierownicę, a jego rozgorączkowany klakson zatrąbił dla Daszy jak róg myśliwski.

Wstrząsająca jęknęła niesłyszalnie i pognęła w dół szosy, bojąc się obejrzeć za siebie.

Za nią rozległo się historyczne trąbienie klaksonów. Gdy okrążyła plac Pocztowy z Dworcem Rzecznym, zauważyła za sobą eskortę pięciu lub siedmiu samochodów. Napotykanii kierowcy zwalniali, a ich oczy zwięzały się ze zdumienia. Przechodnie zastygali nieruchomo na chodnikach.

– Dlaczego oni za panią jadą? – spytał kierowca hummera, który ją dogonił.

– A pan? – zawołała przerażona Czub.

I usłyszała gdzieś za sobą dwa lub trzy zderzające się samochody. Ktoś krzyknął...

Trzęsąc się ze strachu, biedny mechaniczny kucyk kłusował w dół Zjazdu Włodzimierskiego, który przecinał dwie góry. Po prawej stronie znajdowało się Wzgórze Włodzimierza, usiane nieznośnie stromymi podbiegami ceglanych ścieżek, wspinających się do żeliwnego Chrzyciela Rusi i przyczajonej obok niego Góry Czortowej. Po lewej stronie Góra Aleksandrowska schodziła do Dniepru, a pod niższym pomnikiem Włodzimierza krył się święty strumień chrzcielny.

A za nią było piekło.

Hummer uparcie trzymał się z boku, osłaniając Daszę swoją imponującą masą. Zdawało się, że tylko to uchroniło dziewczynę przed szaleńczą eskortą myśliwych, którzy gonili ją jak nieszczęsnego zająca. Niecierpliwa skoda playboya próbowała wyprzedzić ogromną terenówkę i zderzyła się z przypadkową mazdą na przeciwległym pasie. W histeryczną kakofonię wdarła się odległa syrena policyjna. Dwie rude wiewiórki z przerażeniem rzuciły się na zbocze Górki Włodzimierskiej... Zapach spalenizny nie zniknął. Pędził za nią. Cuchnęło każde piórko jej futra, a Dasza przeraziła się, że motorower płonie pod nią, że sparzy jej gołe łydki rozgrzanymi do czerwoności bokami.

„Przecież wyrzuciłam urok!” – jęknęła w myślach i ponownie wsunęła rękę do kieszeni. Trafiała palcem w jedwabną dziurkę.

„Mamo!”

Cholerna mieszanka z dodatkiem obciętych paznokci wpadła gdzieś pod podszewkę!

To koniec.

Nie odpuszczają...

Boże, ile Sasz jest w tym mieście?

– Młoda damo, czy potrzebuje pani pomocy? – Okrągła męska twarz wpatrywała się w nią z hummera. – Co pani im zrobiła?

– Proszę mi pomóc! Błagam! – krzyknęła w hysterii.

Po prawej widać już było jedyny na Włodzimierskiej dom numer 1. Nieubłagane nacierał na nią plac Europejski, wypełniony niezdarnym i rozległym tłumem demonstrantów, którzy powoli opuszczali Radę Najwyższą i zamierzali demonstrować na niedzielnym Krieszczatiku. Tłumnie zgromadzona demonstracja z flagami i transparentami zablokowała ruch uliczny, wypełniając cały plac. Powyżej, na Gruszewskiego, majaczyły nieruchome samochody. Na chodnikach rozsiane były chabrowe koszule policjantów.

„Mój Boże! Zaraz ich stratuja! Moi jadą na nich! Nie zdązą zahamować!” – Ta myśl zaświtała w głowie Daszy i zanim objawiona Helena Trojańska zdążyła się zastanowić, rozpaczliwie zerwała z siebie przekłete futro i odrzuciła je z siłą na bok.

Rozległ się pisk hamulców.

Zerknęła w górę i zobaczyła rogatego hummera po drugiej stronie drogi, blokującego przejazd innym. Zza niego wyjechał radiowóz z niebieskim kogutem na dachu i wściekle zatrąbił, zwracając się ku nagiej, odpowiedzialnej za przestępstwo kobiecie.

Wyrwawszy mimochodem z czyichś rąk opuszczoną flagę, Czub zignorowała pobliską ulicę Trzech Świętych i pognąła prosto przed siebie, wzdłuż deptaka Krieszczatiku. Manewrowała między mimami, sprzedawcami balonów, rodzinami i słodkimi parami, które oddalały się w popłochu. Miała nadzieję, że drogówka nie będzie przepychać ludzi. Zwolnią. Wycofają się. A ona ucieknie przed prześladowcami wzdłuż ulicy Prorieznej, która płynnie przechodzi w upragniony Wał Jarosława.

Czub w jakiś sposób owinęła się flagą jak ręcznikiem...

„Masza miała rację: z czarami nie ma żartów!” – Mordercza prawda z opóźnieniem wstrzeliła się w jej skroń.

– Dziewczyno we fladze narodowej, stój! – krzyknął z tyłu głos z megafonu. – Dziewczyno we fladze narodowej, stój!!!



– To jest to mieszkanie. – Masza odsunęła złotą, pluszową kotarę.

Jej towarzysz wszedł do okrągłego pokoju w wieży i spojrzał zdumiony na złocone półki z książkami i kominek z trzema marmurowymi kotami, które podtrzymywały uszami wysoką półkę nad paleniskiem. W zasięgu wzroku nie było żadnych żywych kotów. Na szczęście Mir czuł się całkiem dobrze bez gadających stworzeń.

– Wiem, że mi nie wierzysz... – zaczęła Masza.

– Nie, nie – rzekł zdenerwowany. – Nie żebym w to nie wierzył. – Mir niespokojnie opadł na kanapę. – Po prostu... Powtórzmy po kolei. Poszłyście do Centrum Czarów Starokijowskich na Padole, żeby spotkać się z niejaką Kyłyną. Tak miała na imię?

– Tak – przytaknęła Masza Kowalowa. – To niecodzienne imię.

– I ona umarła. Umarła na waszych oczach przedwczoraj po południu?

– Tak, czwartego.

– A umierając, przekazała wam swoją moc?

– Najwyraźniej – potwierdziła Kowalowa, przypominając sobie, jak Dasza nazwała ją czymś w rodzaju bohatera.

– A potem – kontynuował Mir – niejaki K. D. przysłał wam list i zaprosił tutaj. I zdałyście sobie sprawę, że zostałyście wiedźmami.

– Kijowicami – rzekła z naciskiem Kowalowa. – To nie jest to samo! To tak, jakbyśmy były obrończyniami Kijowa...

W jej słowach nie było zbyt wiele pewności siebie.

– I w pewnym sensie władacie nim?

– Tak jest napisane w księdze.

Masza była jeszcze mniej pewna swojej władzy nad czymkolwiek. O ile wymóg ochrony przynajmniej należał do znanej jej kategorii obowiązków, o tyle władza była pojęciem, którego nigdy nie zakładała – nawet niewytłumaczalna, ale już odczuwalna władza nad Mirem bardziej ją dezorientowała niż cieszyła.

– „Kijów ma nad wami władzę, tak jak wy nad nim” – ogłosiła. – Ale może to tylko przenośnia.

Mir potrząsnął głową. Bezskutecznie próbował ułożyć sobie tę rozległą kijowską fantasmagorię.

– A potem zobaczyłaś trzy czerwone światła na niebie? – Chłopak wyglądał absolutnie żałośnie.

– To też jest w księdze – wyjaśniła przeprasząco. – A światła wzywały nas do Wydubickiego, do domu Tereszczenki i na Górę Cyryła, gdzie zabili...

– Ale dlaczego myślisz, że Kyłynę też zabili oni? To nielogiczne!

– Dlaczego? – zdziwiła się Masza.

– Ponieważ – gdy tylko Mir podjął ten temat, znów poczuł pod stopami zbawczą pewność – morderstwa w cerkwi Cyryła nie były zwykłymi morderstwami, ale czymś w rodzaju składania ofiar. Odbywały się one według tego samego rytuału, w tym samym celu...

– Jakim jest skarb Mazepy!

– Tak, skarb – przytaknął posępnie. – A śmierć Kyłyny nie pasuje do tej koncepcji. Zabił ją ktoś inny... A już na pewno nie Mitia.

– Bo jak Mitia mógł się zakraść do muzeum? – Masza z radością zgodziła się na jego niewinność. – I to bez włączania alarmu. W końcu wyłączył się dopiero, gdy Dasza...

– Szczerze mówiąc... – Mirosław przerwał jej czule – w ogóle nie rozumiem, dlaczego łączysz muzeum z cerkwią. Oczywiście, można zostawić fałszywe tropy. Z drugiej strony... Policja może dostać dwa sygnały w tym samym czasie, ale to nie znaczy, że przestępstwa są ze sobą powiązane!

– Ponieważ – argumentowała Kowalowa – Kyłyna powiedziała: „Ja jestem pierwsza, ale będzie druga i trzeci, a on znowu odzyska moc, której został wtedy pozbawiony”.

– Kim jest „on”? – wzdrygnął się Krasawicki.

– Nie wiem, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

– Aha...

Zagubiony Mir nachmurzył się i Masza mogła tylko zgadywać, co się dzieje w jego przepelnionym, niemożliwym do ogarnięcia umyśle.

– Chwileczkę... – Potarła skroń z wyraźnym żądaniem wydobycia z pamięci zapomnianego słowa. Jej dociekliwe oczy mimowolnie szukały książki, a ręka z irytacją zrezygnowała z tych poszukiwań i pośpiesznie sięgnęła do kieszeni spodni. – Wczoraj wieczorem zrobiłam kilka notatek, aby móc je później przemyśleć. Zawsze tak robię – wyjaśniła, wyciągając złożoną kartkę. – To nie ma sensu: „To straszny obrzęd lub obrzęd niewykonalny”. A jeśli nie da się tego zrobić, to po co pisać, jak to zrobić? I co jest w tym niemożliwego? „Żeby odzyskać dawną moc, trzeba złożyć ofiarę ślepa, ślepcę i jasną Kijowicę, zgodnie z ich wolą...”

– Ślepa i ślepcę? – Mirosław zmrużył oczy.

– I w żaden sposób mi się to nie kojarzyło, bo przecież nikt nie zabijał ślepców! – wyjaśniła Masza. – I teraz pomyślałam: „ślepcami” książka nazywa zwykłych ludzi! Jest to po prostu synonim, podobnie jak „mieszkaniec”. Trzeba więc zabić kobietę, mężczyznę i Kijowicę. Obrzęd już się zakończył! – krzyknęła. – Ale kto w takim razie odzyskał moc?

Ściana w podziemiach była tylko pęknięta, pieniądze nie wydostały się na zewnątrz...

– Myślę, że nikt. – Mir schował twarz w dłoniach i głęboko westchnął. – To musiał być po prostu jakiś wariat... Słuchaj! – Nagle zmienił temat. – Muszę ci powiedzieć coś ważnego: naprawdę cię kocham. Nie wiem, jak to się stało. Jakoś nagle... A potem się zmieniłaś, strasznie się zmieniłaś... – Zamilkł, bo przypominał sobie, jak mistrzowsko okłamywał wcześniej kobiety. Im mniej czujemy, tym łatwiej jest nam kłamać, że tęsknimy. I mówić o naszych uczuciach. Ale miłość odbiera język nawet najbardziej wygadany. – Pewnie mi nie wybaczysz po tym, co ci zrobiłem... ty... wtedy... – Mirosław pogrążył się w rozpacz.

A Masza rozumiała: chodziło mu o jego głupi żart w instytucie. Ale ten żart był tak odległy i nieważny, jakby z poprzedniego życia – a jednak. Być może to właśnie ten żart, tkwiący jak kość w tylnej części jej gardła, powstrzymywał ją przed przełknięciem jego wyznań. To sprawiło, że odsuwała się od nich, a jej żołądek zaciskał się ze strachu.

Ale był też inny powód: jego miłość do niej była nie-logiczna! A jeśli już próbować wytłumaczyć to logicznie, to był to raczej jego paniczny strach przed tym, że zostanie teraz sam...

Jednak, w przeciwieństwie do szalonego mordercy, ta nielogiczność mogła poczekać!

„I odzyska moc, której został wtedy pozbawiony!”

„Kim on jest?”

– Jestem pewien, że zrozumiesz... możesz spróbować – mruknął Mir, wciąż patrząc w podłogę. – Bo naprawdę cię kocham. Słyszysz mnie?

– Słyszę. Nie, nie słyszę... – powiedziała prawdę.

Mir spojrzał w górę i uśmiechnął się ponuro.

– To nic, kocham cię nawet głuchą.

Z dziennika N

Jakim trzeba być ograniczonym betonem, żeby na serio zostać satanistą i składając ofiarę szatanowi, wierzyć, że w zamian da ci pieniądze i władzę?

Ich despotyczny Chrystus przynajmniej obiecał im swoją miłość. Ale co obiecał im diabeł, który bezkompromisowo przedstawiał się jako odwieczny morderca ludzi, ojciec kłamstwa i wróg rodzaju ludzkiego? Tylko jedno – nienawidzić ich, oszukiwać i zabijać. Jest szczery w swojej nieuczciwości. I nigdy nawet nie ukrywał swoich zamiarów, udzielając wywiadów na prawo i lewo! A prosić go o pomoc to tak, jakby zatrudnić złodzieja do pilnowania domu, a maniaka do ochrania życia...

Nie, to nie szaleństwo, to banalny debilizm fanatyków, którzy zarzynają bezpieczeństwa psy na cmentarzach i całując odwrócony krzyż, proszą: „Zostań moim panem, szatanie! – Nienawidź mnie, oszukaj mnie, zabij mnie!”.

Czy nie są palantami?

Najśmieszniejsze jest to, że nie... Chodzi o to, że nikt ich nawet nie znienawidzi, nie oszuka i nie zabije. Nikt poza nimi samymi, oszukującymi samych siebie. Ponieważ ich charyzmatyczny mizantrop po prostu nie istnieje w przyrodzie. Istnieje tylko masowy brak wiary pokolenia pepsi, którego wyobrażenia o szatanie wywodzą się z amerykańskich filmów z Jackiem Nicholsonem i De Niro, Alem Pacino i Billym Zanem, Elizabeth Hurley i Emmanuelle Signer.

Ale De Niro nie przyjdzie do ciebie, nie rób sobie nadziei! Nicholson też do ciebie nie przyjdzie...

Ten, którego wzywacie, jest teraz z wami!

** Kamo – bohater radzieckiego filmu wojennego Ostatni wyczyn Kamo.*

Rozdział szesnasty

w którym pojawiają się portale

Przestrzeń kijowska, jak się okazuje, ma bezpośrednie wyjścia do innych światów, wyjścia te są przez Bułhakowa przedstawione, ale nienazwane...

~ Miron Pietrowski, *Mistrz i miasto*

Przestań! – Masza przerwała Mirowi niecierpliwie, wręcz niegrzecznie.

Po pierwsze dlatego, że kiedy mężczyzna zaczyna wyznawać kobiecie swoją miłość, ta ma dziwne i całkowicie złudne poczucie, że to już na zawsze, a więc nie jest to nic aż tak istotnego.

Po drugie, co dla Maszy najważniejsze, na horyzoncie majaczył pewien rodzaj świadomości – czaił się gdzieś w pobliżu, a dziewczyna niecierpliwie pstrykała palcami, próbując go zwabić bliżej.

– Pamiętasz pisarza... Nie, to był historyk... Jak on się nazywał? Czereszyna opowiadała nam o nim, gdy mówiła o Kijowie, który Aleksander II nazwał naszą Jerozolimą.

Mir popatrzył na nią z takim szczerym zainteresowaniem, z jakim tylko prawdziwie zakochany mężczyzna może patrzeć na dziewczynę, która bredzi.

– Pietrowski! – Masza wreszcie przypomniała sobie nazwisko. Jej dłoń natychmiast się rozluźniła i zawisała w powietrzu jak na wpół rozwinięty kwiat.

Zamilkła i rozejrzała się ostrożnie po pokoju – enigmatyczna świadomość była teraz bardzo blisko, czaiła się, nie oddychając, w jednym z jego zakamarków. Była całkowita i zawierała absolutnie wszystko, jak matrioszka, której najmniejszym elementem – niepodzielnym i niekryjącym w sobie żadnych tajemnic – była sama Masza, umieszczona w innej, większej matrioszczce: zagadce dwóch i jeszcze jednego dnia, który dobiegł już za południe. Zaś trzecią macierzą, ogromną i bezkresną, był Kijów – miasto Kijów, gdzie działo się to wszystko, i działo się to zawsze.

– Wiesz, dlaczego... – oznajmiła podekscytowana.

Przerwał jej jednak ochrypli dzwonek staromodnego telefonu.

Zmarszczyła nos ze złości i gdy przyłożyła słuchawkę do policzka, usłyszała dziwnie wzburzony głos Katii:

– O, dzięki Bogu! Dodzwoniłam się! Zaraz będzie u was policja! Za kradzież z muzeum. Taksówkarz podał adres. Uciekaj!

– Gdzie? – Masza spanikowała.

– Do domu.

– Zostałam wyrzucona – pisnęła, zanim zdała sobie sprawę, że to nie jest powód do sprzeciwu.

Ale Katia już krzyczała:

– Klub „Kirke”. Jest na Puszkińskiej. Obok Teatru Bergonie. Będę czekać przy wejściu do wpół do trzeciej. Pośpiesz się!

– A Dasza?

– Już ją dopadli!

Słuchawka ponagliła ją pulsującymi sygnałami dźwiękowymi.

I znów zawyła, ledwo wróciwszy na swoją grzędę.

- Gdzie jesteś?! – Histeryczny krzyk Daszy uderzył Maszę w ucho.
- Jestem u nas w domu...
- Też jestem w naszym domu – rozpaczliwie wołała Czub. – Tylko że ciebie tu nie ma!



Dasza wyciągnęła z buta klucz z kocią głową (błogosławiąc się za ten głupi, żulerski zwyczaj noszenia klucza w skarpecie!) i wsadziła go w zamek, naciskając jednocześnie dzwonek. Klucz wpadł w pustkę, ale to nie miało znaczenia – drzwi już się otworzyły, a Wstrząsająca wcisnęła się przez powstałą szczelinę i wpadła na nieznanego łysego wujaszka ze zgrabnym, dobrze odżywionym brzuszkiem i pomarszczoną ze strachu twarzą. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i wpadł na szafę. Drżał całym galaretowatym ciałem.

– Kim pani jest?! – zaszlochał łyсы piskliwie, bezskutecznie starając się być groźnym.

– A pan? – wypaliła Dasza i w pośpiechu zatrzasnęła drzwi.

Zamek z jakiegoś powodu nie znajdował się na dole, lecz na górze, i wcale nie był stary. Czy raczej był stary, może nawet z lat sześćdziesiątych, ale w żadnym razie nie zabytkowy.

– Co się stało z zamkiem? – krzyknęła do łysego Czub. – Gdzie Masza?

– Tu nie ma żadnej Maszy! – Mężczyzna mruknął kozacko. – Kim pani jest?

Dasza zignorowała jego pytanie. Wbiegła do pokoju i stanęła jak wryta.

To nie był ten pokój! I nawet nie był okrągły, lecz prostokątny, a jego lewa strona wychodziła na inny pokój z półokrągłym wykuszem, wypełnionym starymi meblami z czasów, gdy Dasza była dzieckiem.

Przez chwilę miała nadzieję, że po prostu pomyliła piętro, choć pomylenie ostatniego piętra, nad którym był tylko strop poddasza, było bardzo trudne. Czub, uczepiwszy się tej racjonalnej myśli, wyszła na otwarty balkon i od razu zorientowała się, że on się nie zmienił – ta sama, pozbawiona poręczy betonowa platforma startowa ciągnęła się pod spiczastą czapką szarego dachu.

Odwróciła się histerycznie do grubasa i krzyknęła z bezradności:

– Kiedy pan się tu wprowadził? Kiedy?!

– W latach siedemdziesiątych – odparł cierpko gospodarz.

Zadzwoił dzwonek do drzwi.

– Proszę nie otwierać! – krzyknęła Dasza. – Oni mnie ścigają. Pana też zabijają!

Nie miała czasu na dobieranie odpowiednich słów.

Łysy zastygł, wpatrując się chmurnym i błagalnym wzrokiem w krzepką, wyrazistą pannę, owiniętą narodową żółto-niebieską flagą – szaloną i jednoznacznie gniewną!

Dasza pospiesznie sięgnęła po telefon, zmarszczyła nos i wybrała numer.

– Stój, powiedziałam! – krzyknęła, chwytając groźnie za trzonek flagi.

Łysy cofnął się cicho wzdłuż ściany w kierunku drzwi korytarza, które zdrząły od uderzeń i wrzasku dzwonka. Znów zamarł i rozpaczliwie zmrużył oczy, spoglądał gorączkowo w bok. Trzonek pociągnął za sobą płótno flagi, a spod niego wyłoniła się klatka piersiowa Daszy, optymistyczna i jędrna jak jabłko „Chwała zwycięzcom”^{*}.

– Halo! – Dasza usłyszała zdezorientowany głos Maszy.

– Gdzie jesteś? – Dasza wyła histerycznie, próbując złapać żółto-niebieski materiał nogami i wcisnąć go między kolana.

– Jestem w naszym domu.

– Ja też jestem w naszym domu. Tylko że ciebie tu nie ma! Jest tu tylko jakiś łyśy facet. Mieszka tutaj. Tu jest zupełnie inne mieszkanie!

– Pomyliłaś mieszkania? – zapytała ostrożnie Masza.

– Nie, nie myślę się, to jest nasze mieszkanie! Ale jest inne, a my tu nie mieszkamy!

Łysy skrzywił się żałośnie, próbując zwinąć się w kłębek.

– A więc to pani?! – jęknął z przerażeniem, dodając: – Boże, za co? To pani?!

– Ja, czyli kto? – zainteresowała się Dasza.

– Złodziejka! Naciągaczka! Przez panią... Ale jak? Jak pani tutaj? – Łysy zadrzał, wyraźnie chciał osiwieć (gdyby jeszcze miał czym siwieć).

– Zabiję cię, jeśli się ruszysz. Rozumiesz? – Czub warknęła drapieźnie, grożąc mu słuchawką telefonu.

Ale paskudny grubas, bulgocząc nieprzyjemnie ustami, rzucił się do drzwi.

– Policja! – zawołał. – Pomocy! Ona tu jest!

– Wymyśl coś, tylko szybko, oddzwonię do ciebie! – wysyczała Dasza i popędziła na balkon.

Przez chwilę stała na płaskiej platformie, ubolewając nad brakiem nieosiągalnej miotły, a potem owinęła się stanowczo sztandarem ojczyzny, weszła na gzyms i szła wzdłuż niego, przytulona do ściany, dzielnie starając się nie patrzeć w dół.



Masza rzuciła na stół słuchawkę jęczącą krótkimi sygnałami i pospieszyła („Zaraz wracam, Mir!”) na klatkę schodową.

– Daszo, Daszo! – zawołała, wychyliwszy się przez barierkę. Słowa rozplynęły się w ciszy.

Zaczęła schodzić po schodach. Jej myśli zawiesiły się jak obrazek na ekranie komputera z nieruchomym kursorem, niezależnym już od myszki. Kowalowa nigdy nie potrafiła szybko myśleć, a w ekstremalnej sytuacji, wymagającej natychmiastowej reakcji, po prostu głupiała na raz, dwa, trzy.

„Jest w naszym mieszkaniu, ale to nie jest nasze mieszkanie. Więc gdzie ona jest?” – Masza szamotała się z niejasną nadzieją, że ta niespójność zostanie jakoś łatwo rozwiązana i że uda jej się złapać przyjaciółkę na schodach piętro niżej.

Ale klatka była pusta i dziewiczo cicha. Z tego, co pamiętała, nigdy wcześniej nie spotkały innych lokatorów, gdy wchodziły do swojej wieży. Masza wybiegła na podwórko i zderzyła się nos w nos z motorowerem Daszy.

„Aha!”

Przemknąwszy przez nisko usadowiony łuk z ciężkimi drzwiami, znalazła się na zewnątrz, rozejrzała się i zamarła ze ściśniętym gardłem.

Na ich pozbawiony barierek balkon wypadali przez drzwi obcy ludzie, trzymali się bojaźliwie ścian i krzyczeli, wymachując niespokojnie rękami: „Wracaj! Wracaj tu!”. Wzdłuż gzymsu otaczającego wieżę, rozciągnięta przy ścianie, szła wstrząsająca Dasza w dziwnej, asymetrycznej, żółto-niebieskiej sukni. Miejska alpinistka, z jakimś kijem wciśniętym pod pachę, niezdarnie, ale nieustraszenie przeskoczyła na dach przylegającego dwupiętrowego budynku i wspięła się po jego stromej połaci do otwartego okna na poddaszu z podejrzenie nową, plastikową ramą.

Mężczyźni błyskawicznie ukryli się w drzwiach balkonu, a wieczna ospałość Maszy tym razem wyjątkowo się jej przydała: zobaczyła, jak jej

przyjaciółka błyskawicznie się rozgląda, cofa i jakimś niewytłumaczalnym cudem wspina na tylną ścianę wieży.

Doceniając tę sztuczkę, Kowalowa popędziła do wejścia z nadzieją wyprzedzenia prześladowców i galopem wbiegła klatką schodową, która nagle zaczęła dudnić, wypełniona oddechami i głosami. Na drugim piętrze spotkała znajome już osoby, wrywające się do czyichś niepewnych drzwi.

– Proszę otworzyć, na strychu jest niebezpieczna kryminalistka. Właśnie tam weszła... Proszę otworzyć!

Zdyszana Masza wbiegła na trzecie piętro zakończone platformą w kształcie litery L. Docierając do drzwi, które były szeroko otwarte, chwyciła się zielonej poręczy.

Za drzwiami znajdowało się czyjeś mieszkanie! W przejściu ukazał się świeżo wytapetowany i zagracony cudzymi rzeczami korytarz, a za nim nieznaną jej pokój, pośrodku którego z głową zatopioną w ramionach stał zupełnie nieszczęśliwy łysy grubas, potrząsany przez wściekłego, nerwowego chłopaka.

– Kim ona jest dla ciebie? Przecież mówiłeś, że jej nie znasz? – Gość zawisł nad łysym mężczyzną i nietrudno było zrozumieć, że mówi o Daszy.

Jednak zrozumienie całej reszty było o wiele trudniejsze – a raczej absolutnie niemożliwe.

Chłopak zostawił łysego, wybiegł i prawie przewracając Maszę, pogalopował w dół, nawet na nią nie patrząc. Grubas podszedł do drzwi i zatrasnął je przed nosem Maszy. Masza zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy: bez zastanowienia pobiegła na długi koniec litery L, gdzie ukryły się drzwi na poddasze wieży.

– Daszo, jeśli tu jesteś: to ja, Masza! – wyszeptała głośno.

Słysząc było pośpieszne kroki, najpierw stłumione i nie do rozszyfrowania, potem wyraźne i jakby znajome.

– Masza? – zapytały głucho drzwi.

– Tak, otwórz!

Drzwi otworzyły się i radośnie ukazały jej przyjaciółkę, oszołomioną, z gładkim buraczanym rumieńcem na policzkach.

– Dzięki Bogu, to ty! – cieszyła się. – Gdzie? Gdzie jest nasz dom?

– Zgubiłam go, kiedy ciebie szukałam.

Ale Dasza nie pozwoliła jej się wytłumaczyć.

– Więc szybko się stąd wynośmy. Później to rozwiążemy. Gdzie oni są?

Masza podbiegła do balustrady i zerknęła na klatkę schodową, mogącą pomieścić dwie lub trzy windy – prześladowcy Daszy zdołali sforsować niepewne drzwi na dole, a teraz zdawali się buszować po mieszkaniu poniżej.

– Szybko. – Masza złapała Daszę za rękę.

Dziewczyny popędziły w dół, przeskakując kolejne stopnie.

Chociaż Masza nie rozumiała, przed kim uciekają, starała się nadążyć za Daszą, owiniętą („Mój Boże, co jej się stało?!”) w ukraińską flagę.

– Mam nadzieję, że nie zabiorą mi motoroweru! – jęknęła przejęta Czub. – Ooo, nie!!!

Już przy samym wyjściu Kowalowa, nieprzyzwyczajona do tak żywiołowej aktywności, niefortunnie postawiła nogę i upadła na jedno kolano, uderzając o marmurowy próg.

Drzwi zagroziła wysoka, migocząca sylwetka.

Dasza wydała stłumiony okrzyk i odskoczyła.

Ale sylwetka nie popędziła w jej stronę, lecz rzuciła się ku Maszy i ostrożnie podniosła ją z podłogi.

– Gdzie ty się podziewałaś? – zapytał Mir niespokojnie, głosem pełnym miłości, przekrzykując dzwonek telefonu komórkowego rozdzierający jego kieszeń. – Nie było cię przed wejściem... Byłaś w innym mieszkaniu?

Wstawaj, kotku, czy coś cię boli? – Główka klucza w jego ręce boleśnie wbiła się w jej łokieć.

Ale Masza tylko niecierpliwie szarpnęła ramieniem, odrzucając jego troskę.

Nadal była na kolanach, pochylona nad marmurowym progiem, jakby przysła jej do głowy nieoczekiwana myśl, by właśnie tu i teraz pomodlić się o ich zbawienie.

– *Salve!* – krzyknęła studentka, wpatrując się w brudny marmur. – Rozumiem! Uciekajmy! Biegnijmy na górę. Chociaż teraz już nie musimy biec, już nas nie dogonią? Szybko, wprowadź motorower do domu!

– Co? – Czub nie zrozumiała.

– Skąd się wzięły rowery? – zdumiał się Krasawicki. – Nie było ich tu wcześniej.



– Co to było? – wrzasnęła Dasza Czub, gdy Masza wzięła od Mira klucz i otworzyła drzwi, za którymi znajdowało się ich mieszkanie.

Mir, który nie zauważył tej całej metamorfozy, zrzucił ze swoich ramion dwa owinięte w papier rowery, z powagą przyjrzał się ekranowi ucichłego telefonu komórkowego i rzuciwszy nieprzyjemne spojrzenie półnagiej Czub, poszedł oddzwonić do kuchni.

– Wiesz, kto cię gonił?

– Drogówka. Za wykroczenie!

– Nie zwykła drogówka, policja! Dzwoniła Katia. Dowiedziała się, że taksówkarz, który zawiózł nas do muzeum, podał nasz adres. To była zasadzka! Nawet nie wiem, jak udało mi się wymknąć, musieli się spóźnić o minutę...

– Musimy uciekać!

– Nie musimy! – Masza pospieszyła do gabinetu, przewróciła papiery i uroczyście wręczyła Daszy wczorajsze, sto razy zapomniane przez wszystkich, zaproszenie. Lepiej przeczytaj ostatnią linijkę!

– K. D. – mruknęła. – I kim jest ten K. D.?

– Nie, nie podpis, ale ostatni wers: „...jeśli będziecie dla niego uprzejme”! – Znacząco uniosła palec wskazujący.

– O czym ty gadasz? – warknęła Czub. – Nie rozumiem! A czas ucieka!

– Dla niego to znaczy dla domu! – ogłosiła uroczyście zaskakującą konkluzję Masza. – Dla naszego domu! Nie mogliśmy wejść do naszego mieszkania, bo zapomnieliśmy się z nim przywitać!

– A teraz się przywitałyśmy? – spytała zakłopotana Dasza.

– No tak! Przeczytałam na głos – *Salve*. *Salve* to po łacinie „bądź pozdrowiony”.

– Już to mówiłaś...

– Powiedziałaś wtedy coś w rodzaju: „Ty też witaj”. Przywitałaś się z nim, a on nas wpuścił! A potem, kiedy wracałam z rowerem, pamiętam dokładnie, że postawiłam go na progu, żeby odetchnąć, i znowu powiedziałam *Salve*, zupełnie automatycznie. Po prostu obce przyciąga wzrok. Pokazałam je też Mirowi. Ale w panice, gdy zobaczyłam cię na gzymsie, już nie rozglądałam się na boki...

– Katia rano też powiedziała *Salve* – przypomniała sobie Czub. – Więc kiedy się z nim przywitasz – dziwiła się Wstrząsająca nowo odkrytej prawdzie – dom cię wpuszcza! I każdy, kto powie zwykle „cześć”, może wejść... – zawahała się, a potem, nie znajdując lepszych słów, podsumowała: – Tam, gdzie nie można.

Zagadka wydała jej się teraz nawet zbyt prosta.

– Cóż, niewielu ludzi w Kijowie zna łacinę – pocieszała ją Kowalowa. – Ja też nie znam. Tylko dwa lub trzy słowa, kilka wyrażeń.

– Mimo to – skrzywiła się z uporem Dasza. – Przypadkowy profesor, który to przetłumaczy...

– Nie – domyśliła się w końcu Masza. – Nie przypadkowy. Potrzebny jest jeszcze klucz!

– Klucz – powtórzyła Dasza, jakby ją oświeciło.

Popatrzyły na siebie w milczeniu i pognały korytarzem do szafki z tajemniczymi kluczami.

Dasza szarpnęła drzwiczki i z fascynacją rozejrzała się po sięgającej sufitu przestrzeni, wypełnionej chyba tysiącem tysięcy haczyków:

– To znaczy, że mamy naprawdę dużo mieszkań. A to, że w tym momencie mieści się tam czyjeś biuro, nie ma najmniejszego znaczenia...

Masza wyjęła na chybił trafił jeden z kluczy.

– Ulica Wielka Podwalna 32 – odczytała z kartonika z adresem na obrączce.

– Wielka Podwalna 9. – Dasza chwyciła kolejny klucz.

– Wielka Podwalna 15.

– Wielka Włodzimierska 28. Po co nam tyle? Gdzieś już to słyszałam... Całkiem niedawno. – Czub spojrzała z niepokojem na przyjaciółkę.

– 28! – Masza bezceremonialnie wyrwała klucz z rąk Daszy i wpatrywała się w niego wybałuszonymi oczami. – Przecież to jest kijowski adres Wasniecowa! Czytałam ci o tym dziś rano.

– Racja – rzekła Dasza. – Znowu on! A my mamy gabinet w jego mieszkaniu?

– Gabinet. – Masza z podekscytowaniem wpatrywała się w klucz. – A co, jeśli... Chociaż to zupełnie niemożliwe! Ale to, co się z nami dzieje,

jest również niemożliwe, absolutnie! A jeśli – wypaliła – to jest klucz do jego mieszkania?

– A co ja powiedziałam? – obraziła się Czub.

– Nie. Jeśli to jest klucz do jego mieszkania sprzed stu lat?! Zobacz! Włodzimierska 28: Wasniecowa. Podwalna 32: Lesia Ukrainka. W domu numer 9 mieszkał pisarz Paustowski, w piętnastym twój Sikorski. To nie są przypadkowe klucze...

– A Wielka Podwalna?

– To dzisiaj Wał Jarosława! Tutaj, na podwórzu piętnastego domu, Sikorski testował swój pierwszy helikopter...

Masza wpatrywała się w Daszę okrągłymi oczami, oczekując jej zdroworozsądkowej reakcji, ale ta, o dziwo, nie wykazała się teraz swoim talentem do argumentacji.

– A co, jeśli to prawda! – rzekła z uczuciem. – Niezła uliczka! Lesia Ukrainka z czarownicą Mawką i Sikorski z helikopterem – naoglądali się i powymyślali. Mogli rzeczywiście coś widzieć, wyobrażasz sobie? – Czub wczepiła się w ramię Maszy. – Widzieli, jak Kijowice z balkonu... Wyobraź sobie, jak zdębiałby Sikorski, gdybyśmy teraz do niego przyszły? Szkoda, że nie znamy hasła. Nie wydaje mi się, żeby to było *Salve*.

– A może znamy... – Masza wskazała na szczyt szafki, która podpierała sufit, gdzie znajdowała się matowa metalowa tabliczka, otoczona misternie wyrzeźbionymi zawijasami. – Potrzebujemy drabiny, inaczej jej nie przeczytamy.

Dziewczyny pobiegły razem do pokoju po drabinę przypisaną do podniebnych półek z książkami, a już pięć minut później Masza, stojąc na ostatnim stopniu, rzekła wieloznacznie:

– „W imię Ojca mego rozkazuję, daj mi to, co muszę wiedzieć!”

– „Anegdota, parsuna, czas” – dokończyła Dasza. Patrzyła na wewnętrzną stronę drzwi, gdzie wisiała nowa, wydrukowana komputerowo kartka. Zadarła pytająco głowę.

– Myślę – rzekła jej przyjaciółka, schodząc ze schodów – że kiedy wypowiadasz hasło, musisz dokładnie określić, co chcesz wiedzieć. „Czas” w znaczeniu dnia lub godziny. „Parsuna”: persona...

– Albo żart.

– Nie. – Kowalowa z ulgą przyjęła wyciągniętą rękę Daszy i zeskoczyła na podłogę. – Anegdota nie musi być żartem. To staromodne określenie ciekawej opowieści.

– Musimy to kiedyś wypróbować. Tylko nie teraz. W tej chwili, uwierz mi, nie mamy czasu na helikoptery! Nie wiesz, czego się dowiedziałam. Informacje za milion dolarów! – oświadczyła impulsywnie Czub. I zamilkła: w świetle ostatnich burzliwych i bogatych wydarzeń jej odkrycie wydało się zbyt hipotetyczne i banalne. – W każdym razie, Marusiu, myślę, że dzisiaj umrzemy.

– Dzisiaj? – zdziwiła się Masza. – Dlaczego?

– Pamiętasz, że „umrzemy, zanim owrzodzona stanie się miłością, a ból będzie płonął w ogniu”? Otóż Kyłyna miała na myśli święto Iwana Kupały. Uważa się, że myjąc twarz rosą Kupały, można pozbyć się wszelkich pryszczycy i innych syfów, a także stać się wstrząsająco piękną kobietą. A w ogniu Kupały wraz ze starymi rzeczami ludzie palili swoje kłopoty, choroby, ból męczący ich dusze. Ogień w ogóle ma oczyszczającą moc: od zła, od złego oka. W dawnych czasach, gdy nasi pradawni książęta szli na wojnę z Tatarami, obowiązkowo przeskakiwali przez oczyszczające ognisko... Czytałam o tym wcześniej, kiedy przygotowywałam się do imprezy, ale jakoś nie pasowało mi to do niczego. A teraz wszystko się

ułożyło! A dziś jest noc Kupały. I sabat też jest dzisiaj, ten, na który zostałyśmy zaproszone...

– Ale czarownice nie umierają w noc Iwana Kupały – rzekła Masza. – Chyba że z przepicia. Przecież to jedno z trzech najdzikszych świąt czarownic.

– Dobra. Powiedziałaś ci, a ty zrobisz, co chcesz! – skrzywiła się Czub.

– W porządku. Co jeszcze wiesz o Kupale? – Przyjaciółka próbowała znaleźć w tym coś sensownego. Wiedziała o Iwanie Kupale jedno: nazwa święta w zaskakujący sposób łączyła w sobie chrześcijańskiego świętego Jana Chrzciciela i pogańskie bóstwo Kupajło, co według Maszy Kowalowej było jednoznacznym dowodem mądrości prawosławia, publicznie surowego, ale przyznającego skrycie: prawda jest pośrodku.

– Wszystko! – oznajmiła z zadowoleniem Wstrząsająca. – Noc przed świętem Chrzciciela to nasze słowiańskie Halloween, kiedy to wszelkiego rodzaju złe istoty, takie jak ty czy ja, mogą robić, co tylko zechcą.

– Co jeszcze?

– No cóż, paproć kwitnie. Węże, nawet te niejadowite, zyskują na sile. Nie wolno pływać bez amuletów, ponieważ wodny solenizant wciągnie cię do siebie: prawdopodobnie wszystko, co wpada do wody w tym dniu, on bierze za prezent. Kiedyś pogaanie topili na to święto dziewczyny w charakterze ofiary. I organizowali miłosne grupy na brzegu – nie było to wtedy uważane za grzech, a za idealną noc do poczęcia dzieci.

– Co masz na myśli? – Mir wyszedł z kuchni z zatroskaną, zdystansowaną miną. – Muszę iść. – Zwrócił wzrok na Maszę. – Nie na długo. – Próbował oderwać wzrok, ale nie mógł. – Poczekasz na mnie? Zaczekaj, proszę! My... – Przeciągnął teatralnie palcem po szyi. – Musimy dokończyć rozmowę! To ważne.

– Co się stało? Gdzie idziesz? – zainteresowała się jego zaniepokojona ukochana, która nie wysłuchała do końca tak ważnego wyznania miłości.

– Dzwonił Koka. Poderwał stażystkę ze szkoły medycznej i siedzi z nią w kawiarni.

– I co mu powiedziała?

– Mnóstwo ciekawych rzeczy – odpowiedział Mir, patrząc podejrzliwie na Czub.

Dasza odpowiedziała mu równie nieprzyjemnym spojrzeniem. Chociaż już nie podejrzewała Krasawickiego, zbyt przystojni mężczyźni wywoływali u Daszy mniej więcej takie same uczucia, jak u Maszy – nie ta liga.

„A Masza nic nie wie o uroku” – uświadomiła sobie z przerażeniem. – „Auć!”

– Możesz mówić przy niej, jesteśmy w tym razem – rzekła Masza do ukochanego.

– W porządku – zgodził się niechętnie. – Jest solidny punkt zaczepienia. Stażystka potwierdziła, że w ciągu ostatnich dwóch nocy pacjenci zachowywali się jak prawdziwi wariaci. Wczoraj jej tam nie było, ale opowiadali jej. Przedwczoraj, kiedy miała dyżur, zebranie ich wszystkich i uspokojenie zajęło kilka godzin. Na przykład Mitię znaleziono dopiero nad ranem, pod schodami, za skrzyniami z nowym sprzętem. A na jego ubraniu była krew. Pomyśleli, że się zranił i natychmiast zabrali go do Snurowskiego...

– Czy Mitia to ten czubek, którego spotkałyśmy dziś rano...? – podekscytowała się Wstrząsająca.

Mir z niezadowoleniem skrzywił się do niej. Wprowadził ją lakonicznie i znów bez wahania skierował wzrok na Maszę.

– Mitia – zauważył – jest tam naprawdę na uprzywilejowanych warunkach. To książę następca wariatkowa. Po pierwsze płaci, jego skruszony ojciec wpłaca co miesiąc dużą kwotę. Po drugie lekarz „wujek Cyruś” obchodzi się z nim jak z jajkiem. Ale nie to jest najciekawsze. – Krasawicki sposepniał bardziej niż najczarniejsze chmury. – Stażystka powiedziała, że wśród innych historycznych bzdur, które nasz książę lubi powtarzać, twierdzi też, że jego ród wywodzi się od hetmana Mazepy.

* Jabłko „Chwała zwycięzcom” – odmiana jabłek charakteryzująca się wysokim plonem.

Rozdział siedemnasty

opowiadający o tym, że ludzie umierają za metal

[...] niebieski płomień buchnął z ziemi; jej środek się rozświetlił – jakby wylany z kryształu – a wszystko, co było pod ziemią, stało się widoczne jak na dłoni. Czerwońce, kamienie drogocenne, w skrzyniach, w kotłach... Chwycił nóż jak szaleniec, a niewinna krew zalała mu oczy... Diabelski śmiech grzmiał z wszystkich stron.

~ Mikołaj Gogol, *Wieczór wigilijny Iwana Kupały*

Skarb hetmana! – krzyknęła Dasza. – Wszystko pasuje! W noc Kupały dają się odkryć skarby! Ale tylko temu, kto zaprzeda duszę nieczystemu, pamiętacie? Jak u Gogola! Dlatego nie boi się betonu: ma nadzieję, że po wszystkich obrzędach skarb sam mu się objawi. Mówiłam ci o skarbie! I pierwsza wskazałam Mitię: to on!

– Powiedziałaś, że to mógł być każdy, „nawet on” – mruknęła Masza. Z jakiegoś powodu wyglądała na niezadowoloną. – Posłuchaj – rzekła wzburzona do Mira – musisz dowiedzieć się od tej dziewczyny, czy Mitia ma czerwoną wiatrówkę. Tata widział wczoraj wieczorem kogoś w takiej kurtce... A jeśli nie Mitia, zapytaj, czy przypadkiem lekarz nie ma podobnej.

– Ale to jeszcze nie wszystko. – Mir spojrzał ponuro na swoją ukochaną. – Przedwczoraj wysłano stażystkę, żeby zawołała Mitię na obiad, a ona zastała go przed cerkwią Cyryla, gdy rozmawiał z jakąś dziewczyną. Ładną i dobrze ubraną dziewczyną. W sandałach z karmazynowymi kwiatami...

– Z Ritą?! – zawołała oszołomiona Masza.

– Prawdopodobnie.

– Musisz pokazać pielęgniarce jej zdjęcie! – Masza pobiegła po plecak i wróciła wolnym krokiem, niepewnie ściskając w dłoni zdjęcie grupowe; widać było, że nagle poczuła niechęć do oddania go.

Po chwili wahania Mir wziął fotografię z jej rąk i zamarł. Wpatrywał się w czerwone serce, które otaczało ich twarze.

– Maszo – rzekł gorzko. – Maszo... Już nigdy więcej cię nie skrzywdzę. Obiecuję, że już nigdy więcej nie będziesz przeze mnie cierpieć!

Daszę przeszedł nieprzyjemny dreszcz z powodu zdania, które słyszała już kilkadziesiąt razy.

„Dlaczego tak jest” – jęknęła doświadczona – „że wszyscy mężczyźni zaczynają miłosne związki od obietnicy, że nie zrobią ci nic złego? I dlaczego dopiero po dwudziestym piątym razie uświadamiamy sobie, że jeśli on nagle przysięga, że nie zrobi ci nic złego, gdy się zakocha, to znaczy, że zrujnował już życie wielu kobietom? Nie musi nic mówić, ma to wypisane na twarzy – dużymi literami!”

Dasza coraz bardziej nie lubiła Krasawickiego. Nie dlatego, że był taki zły, ale dlatego, że był żywym, jawnym uosobieniem jej winy.

„Za kilka godzin urok minie, a co potem...? Ona go kocha i już uwierzyła, że on ją też! Może trzeba go regularnie podpajać?”

Szczerze mówiąc, dla swojej przyjaciółki Czub była gotowa zrobić nawet to.

– Co w nim widzisz? – zapytała, gdy drzwi się za nim zamknęły. – W Mirze nie ma nic poza ładną buzią!

– Nieprawda! – Masza stanęła w jego obronie.

– A co? – Wstrząsająca rzuciła się do ataku. – Pieniądze? To pewnie kasa jego rodziców. On nigdzie nie pracuje, prawda?!

– Prawda.

– Widzisz! Co, no co ci się w nim tak podoba? A może nie podoba ci się już tak bardzo? – ciągnęła z nadzieją.

– Kocham go! Zawsze go kochałam – krzyknęła żarliwie Masza (ale w jej głosie wybrzmiało jakieś zdradzieckie zwątpienie). – Jest mądry!

– Jesteś od tego dziesięć razy mądrzejsza!

– I odważny.

– My jesteśmy odważniejsze! Pamiętasz, co było wczoraj...

– On też jest historykiem, mamy wiele wspólnego! Tylko że on nie jest taki jak ja. On wie, jak się zachować. Ma godność, pewność siebie, dobre maniery i zawsze dobrze się ubiera...

– Ona pokochała go za spodnie, a on ją za nieskazitelny gust! – rzekła z pogardą Czub. – Myślisz, że naprawdę cię kocha? To tylko... Tylko...

Nie, nie mogła tego wiedzieć.

Później. Potem – jak najbardziej!

Ale nie teraz.

– Po prostu – szukała jakiegoś wykrętu – on przyczepił się do ciebie jak rzep. Jesteście jak dwoje na bezludnej wyspie, nikt oprócz ciebie mu nie wierzy i go nie rozumie. A kiedy jego problem się rozwiąże...

– Wiesz, ja też tak myślę – zgodziła się nagle i wbrew logice Kowalowa. – Bo z jakiegoś powodu mu nie wierzę. To znaczy wierzę, że nie kłamie – zapewniła – ale nie wierzę w jego miłość! Wydaje mi się, że się myli, jakby tylko myślał, że mnie kocha, ale potem okaże się, że to

pomyłka. Cała jego miłość jest jak za szybą witryny sklepowej lub telewizora. Dwa kroki ode mnie, ale nie ze mną. Rozumiesz?

– Tak – odrzekła Dasza, zszokowana intuicją Maszy. I zachwycona nią. – Masz rację! Nie wierz! Wkrótce mu przejdzie! Może nawet do wieczora.

– Ale teraz jest mu bardzo ciężko – westchnęła ze współczuciem Masza.

– To nie jest miłość, tylko litość – odcięła się Czub. – Jeśli masz zamiar kochać wszystkich, którzy mają kłopoty, lepiej pokochaj siebie. Dzisiaj umrzemy. Zapomniałaś?!

– Ach, tak... – przytaknęła znużona.

– A-a-ła-a-a! – Czub krzyknęła, gdy dziesięć pazurów nagle wbiło się w jej dwa i tak już obolałe kolana.

Izyda Puszek podpełzła na tylnych łapach, kładąc przednie u stóp Daszy i dając namacalną sugestię, by wziąć ją na rękę.

– Świrusko, skąd się tu wzięłaś? – Dasza podniosła przysadzistą kotkę. Izyda z entuzjazmem przycisnęła mordkę do jej ust. – O, buziaczki! No to buziaczek... Ależ ona jest zabawna! Widzisz, pokochała mnie!

Czarny kot Behemot wskoczył na kominek, usiadł wyprostowany i zastygł jak wielki posąg.

– Gdzie byliście? – spytała bez większego zainteresowania Masza.

– Był tu jakiś gość – rzekła miarowym głosem Belladonna. Wynurzyła się spod złotego pluszu i z godnością podeszła do sofy. – Chory.

– W dodatku pl-l-rogr-l-esywny – mruknęła Izyda.

– Mir jest chory? – zaniepokoiła się Masza. – Na co?

– Wy już wiecie najlepiej – rzekł sztywno biały kot.

– *Amour!* – mruknęła z entuzjazmem rudowłosa, mrużąc oczy pod ręką Daszy.

Dasza, chichocząc, drapała ją po szyi, ale zaraz przestała się śmiać.

– Cóż, miłość nie jest niebezpieczną chorobą – wtrąciła pośpiesznie.

– W szóstej godzinie następuje kryzys – zauważyła Belladonna. –
A przed trzynastą możliwy jest śmiertelny skutek.

– Co wy gadacie! – ucięła wściekła Czub (nie wiedziała, jak uciszyć gadatliwą bestię, gotową wypaplać wszystko). – Nikt jeszcze nie umarł z miłości! To my jesteśmy w prawdziwym niebezpieczeństwie! Umrzemy, bo na sto procent dziś w nocy na wzgórzu Cyryła zapali się czerwona gwiazda, a my wejdziemy jej w drogę. Kto cię będzie wtedy karmił?! Wiec lepiej się zamknij!

Belladonna spojrzała głęboko w jej oczy i zasmuciwszy się, odeszła.

– Czekaj, więc to prawda? – Masza w końcu przestraszyła się przepowiedni.

– Kyłyna nigdy nie kłamała! – Behemot ryknął histerycznie z kominka.

– Że niby Mitia zabije nas trzy? To absurd! Widziałas go przecież...

– A słyszałaś, co się dzieje w tym szpitalu, o trzech sanitariuszach? Przynajmniej wszystko zostało wyjaśnione – podsumowała filozoficznie Czub, z żalem odkładając kotkę na podłogę.

– Nie, zdecydowanie nie wszystko – zaprotestowała pilna studentka. – Nadal nie wiemy, co oznaczały sny Katii. Dlaczego uważała się za żonę Prachowa? Co Prachow znalazł w jaskiniach Cyryła? Czemu satanistyczny ołtarz, który odkryliśmy z Mirem w jaskiniach, składał się z pociętych ikon Matki Bożej? Dlaczego ktoś chciał poćwiartować trzech *Bohaterów*? Dlaczego konieczne było zabicie Kyłyny i przekazanie nam jej mocy? A przede wszystkim kim jest K. D.?

– Łał! – uruchomiła się Wstrząsająca.

I zaczęła:

– Dlaczego? Dla gówna psiego. Co? Pstro. Kiedy? Jak były szwedy! Jak? Srak! Po co? To się nogi nocą, a czasami pod pachami! Czemu? Bo nie ma dzemu, ale są śliwki robaczywki! Poza tym, na dwa odwieczne pytania egzystencjalne: „Kto zawinił?” i „Co zrobić?” istnieją dwie odwieczne odpowiedzi: „Nikt!” i „Nic nie robić!” – odparowała błyskawicznie. – Dobra, nie świruj, to tylko efekty uboczne szołbizu... Okej, poskładajmy te puzzle w całość!

Dasza Czub rozwinęła flagę, która w tej chwili stanowiła całą jej garderobę, i po raz kolejny bez kompleksów zapoznawszy Maszę ze swoją pulchną anatomią, rezolutnie oderwała materiał od trzonka i zawiązała żółto-niebieską flagę na krzyż, na wzór plażowego pareo.

– A więc – z przekonaniem zacisnęła węzeł na karku – jest tam pewien szaleniec o miłej aparycji, bogaty tatuś i oświecony lekarz. Gość wyobraża sobie, że jest spadkobiercą hetmana i aby zdobyć skarb rodowy, rozpoczyna rytuał: buduje ołtarz szatanowi i zabija dwoje ludzi, którzy zawędrowali tam w swoich sprawach.

Uwolniła spod węzła paciorkową instalację i ostrożnie rozprostowała pogniecione druciane wąsy.

– Ale mógł przecież rozmawiać z Ritą za dnia – zauważyła Masza.

– Możliwe – przytaknęła spokojnie Dasza – że najpierw poszła wybadać teren. Randka pod Pawłówką nie jest randką w pasażu. Chciała zobaczyć, dokąd zaprowadzi ją Mir. Niezły z niego agent... był kiedyś. Teraz jest już okej, można go znieść. Ale Mitia, latawiec, jest przyzwoicie ubrany i wydaje się lgnąć do wszystkich dziewczyn. Dlatego gdy wieczorem znów do niej podszedł, nawet się nie przestraszyła. Twój wujek też się nie przestraszył. Mitia uderzył go w głowę. Wypuścił z niego krew. Złapał okazję, powiedział, na przykład, że to jego pijany ojciec, i poprosił o podwózkę do ławry, a tam...

– Założmy – przytaknęła Kowalowa.

– Założmy – podnieciła się Czub.

I opadła na sofę.

Izyda Puszek natychmiast wskoczyła w jej ramiona, zaczęła mruzczyć i pocierać brzuch Daszy. Brzuch zatrzęsł się jej ze śmiechu – myśli o śmierci najwyraźniej nie zaprzętały umysłu Daszy.

– No cóż, mamy też trzy wstrząsające i krzepkie panny, które przypadkiem znalazły się na odwróconym Zjeździe św. Andrzeja. Ale to już zupełnie inna historia, o tym, jak stały się wiedźmami...

– Kijowicami.

– ...i muszą teraz powstrzymać „to, co może pogwałcić Prawdę”. Wygląda na to, że tego, co „może pogwałcić” nie skumały, a mimo wszystko zatrzymały. – Czub chyba jednak dała się porwać wersji Krasawickiego. – A tam, w muzeum, to wcale nie był Mitia, tylko ktoś wysoki, szczupły i długowłosy, podobny do Mira. Ale nie Mir – zaznaczyła, próbując uniknąć walki. – Gdyby to był Mir, nie próbowałaby udowodnić, że to nie Mitia!

– Ale bohaterowie walczyli ze zmiem w jaskiniach Cyrylowych – próbowała podsumować Masza.

– Rycerze Chrystusa? – fuknęła Czub. – To bzdura! Tak tylko palnęłam. – Sądząc po królewskim spojrzeniu, z jakim Dasza przyznała się do błędu, po tym wyznaniu miało nastąpić niezwykle pochlebne dla niej podsumowanie. – Nie chodzi o *Bohaterów*, tylko o Wasniecowa. Nie wiesz jeszcze, że dziś w nocy płonął sobór św. Włodzimierza!

– Co?! – krzyknęła Masza. – Mój Włodzimierski? Nie!

– Nie martw się – uspokajała ją Czub. – Tylko mury. W środku wszystko ocalało: freski, ikony, wewnątrz jest nienaruszone. Cud Boży!

A przy okazji, nasza wszechwiedząca, jego kopuły są niebieskie w złote gwiazdki.

– Tak, prawda. – Zapominalska studentka zawstydziała się. – Dopiero niedawno zostały pomalowane. Wcześniej przez wiele lat były szare. Sobór pozostał w mojej głowie z szarymi kopułami z przeszłości.

– A masz coś współczesnego w głowie? – zadrwiła Dasza. – Jak ja? Halo, Maszo? – Machnęła ręką, patrząc w oczy przyjaciółki jak w obiektyw kamery filmowej.

Masza nadęła się urażona.

– W każdym razie – rzekła Wstrząsająca – Katia go widziała. Te dwa ognie są zdecydowanie połączone. Freski na ścianach soboru Włodzimierza też malował Wasniecowa. I nie ma tam żadnych bohaterów! Nie chodzi więc o nich, ale o to, że i *Bohaterów*, i freski malował w Kijowie.

– A więc – rzekła zdenerwowana Masza – te dwa ognie są połączone, a trzeci jest zbędny! Przecież Prachow znalazł w podziemiach Cyryła...

– Skarb – wypaliła po prostu Dasza. – I jako szlachetny człowiek podarował go monasterowi!

– Z archeologicznego punktu widzenia nie było to zbyt szlachetne – zaprotestowała przyszła historyczka.

– Kto wie. – Dasza marzycielsko przewróciła oczami. – Może były tam jakieś ikony. W złocie, z diamentami. Przecież stare ikony...

– ... ikony pisane były nawet na złotych płytkach. – Kowalowa musiała się zgodzić.

– Właśnie! Tylko Mitia o tym nie wie. I głupio czeka, aż dziś, w noc Kupały, odkryją się przed nim nieprzebrane skarby. Nawet jeśli to szaleństwo, to...

– Ale ściana już pękła!

– Nie, Maszo – rzekła pouczająco Czub. – Wybacz, ale zwisa nam pęknięta ściana. Co nam zaś nie zwisa, to fakt, że dziś wieczorem zabije trzecią ofiarę.

– Ale Kyłyna nie żyje! Obrzęd dobiegł końca. Tak jest napisane w księdze.

– Czy Mitia ją czytał? – zapytała ironicznie Dasza. – Nikt nie mógł jej przeczytać, oprócz nas. Rytuał został zamknięty przez przypadek. W tej historii wszystko jest dziełem przypadku. Przypadkiem przyszliśmy do Centrum Czarów. Ofiary przypadkiem przyszły do mordercy. I jeśli ten K. D. naprawdę istnieje, to musi być samym diabłem. „D” to diabeł, „K”: koszmarne!

Masza otworzyła szeroko usta, najwyraźniej zamierzając powiedzieć coś bardzo ważnego i doniosłego, ale po zastanowieniu się tylko wybąknęła:

– A jednak wszystko to jest w jakiś niepojęty sposób połączone. To właśnie portret Prachowej wisi w cerkwi św. Cyryla! I to właśnie jej mąż zaprosił Wasniecowa do malowania soboru św. Włodzimierza w Kijowie, gdzie namalował również *Bohaterów*, którzy walczyli w jaskiniach Cyrylowskich ze zmijem, któremu Mitia składał w ofierze ludzi, aby zdobyć skarb, który Prachow, mąż Katii, znalazł już we śnie.

– Tak...

Dasza podrapała się po nosie w zamyśleniu. Następnie za kocim uchem. Skrzywiła się, spojrzała na zegarek Maszy i zdziwiona stwierdziła, że jest dopiero trzecia, po czym uśmiechnęła się złośliwie:

– Mamy mnóstwo czasu! Może przejdziemy się do mieszkania Wasniecowa? Dlaczego by go nie zapytać, co takiego zmalował, że wciąż próbują to zniszczyć? Gdzie mieszkał twój Prachow?

– Tu – rzekła zdziwiona Masza. – Za rogiem, na Włodzimierskiej.

– Przecież to tuż obok! Odwiedzmy obu – podsumowała z nonszalancją Czub, jakby mówiła o wizycie u dwóch kumpli mieszkających po sąsiedzku. – Dobrze. Poszukaj drugiego klucza. Pójdę po jakieś ciuchy. Wiem, gdzie znaleźć odpowiednie, skoczę na jednej nodze.

– Co robisz? Przed wejściem czeka policja!

Czub ponownie podrapała się znacząco po nosie. Nos optymistycznie zwrócił się ku górze:

– A ja polecę ze strychu! Na miotle!

– W dzień?!

– Spadochron! Dlatego leży w szafie! Będę udawać, że lecę na parolotni! Założę się, że tak właśnie robiła Kyłyna

– Daszo – mruknęła Masza. – Co do kluczy, to tylko założenie! To się prawdopodobnie nie uda.

– Jak się nie uda – rzekła Czub, wzruszywszy butnie ramionami – to się nie uda. Niczego nam nie ubędzie, prawda? Zresztą już dawno zdałam sobie sprawę, że... wszyscy mówią: „Pomyśl, najpierw pomyśl”. To bzdura! Zanim coś zrobisz, lepiej nie myśleć o konsekwencjach. Bo jak się zastanowisz, na pewno dojdiesz do wniosku, że lepiej tego nie robić! Całe życie przesiedzisz, nic nie robiąc.



Katia z rozpaczy położyła głowę na kierownicy i zawyła:

– Do diabła...

– Co loszkaasz, pani? – odezwał się natychmiast służalczy głos z tyłu.

– Cholerna idiotka! Jestem diabelnie głupia! – Katerina przeklinała siebie z nienawiścią.

– Dla mnie to żaszczyt! – pisnął z entuzjazmem diabeł.

– Idiota! – Katia odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego. – Zapomniałam, zapomniałam, że mogę...

Czekała na Maszę na Puszczyńskiej ponad godzinę, nie odchodząc ani na krok od samochodu i skutecznie przegapiła spotkanie z właścicielką klubu, z którą zamierzała omówić kilka niuansów pojedynku. A raczej powoli i smacznie rozkoszować się oczekiwaniem na swoje przyszłe fantastyczne zwycięstwo. Ale teraz Katia nie była nawet pewna, czy pójdzie „zabić Madame Dinozaurycę” i czy nie wrzuci butelki z przeklętym eliksirem zwycięstwa do pierwszego napotkanego rowu.

Masza się nie pojawiła.

Katia zadzwoniła do niej zbyt późno.

Dopiero kiedy „za późno” stało się zupełnie niezaprzeczalne i wypełniając wnętrze samochodu, przygniotło swoim ciężarem klatkę piersiową Katii, dziewczyna z rozpaczą opuściła głowę na kierownicę i przypomniała sobie, że jest Kijowicą!

– Maszę złapała policja. Za późno ją ostrzegłam, nie zdążyła uciec...

– Ale, moja Jaszna pani, po co? – zapiał po babsku diabeł. – Nie wolno im pomagać! Inaczej...

– Nie pytałam cię o zdanie! – Katia zrobiła się biała jak papier i warknęła, nie wdając się w szczegóły: – Masza jest moja!

Dla Katii „moja” było pojęciem absolutnie wyczerpującym, które nie wymagało dookreśleń: „przyjaciółka” czy „bratnia dusza”. I nikt na całym świecie nie ośmielał się ruszać tego, co Dobrzańska uważała za „swoje”!

– Możesz ją wydostać z rąk policji? Tak czy nie? – ryknęła, wczuwając się w rolę, władczyni diabłów. Osobistego diabła wpisała już do stałej obsady swoich podwładnych.

– Jak loszkaszesz, Jaszna Kijowiczo – skomlał z pretensją sługus.

– To co się tak rozsiadłeś? Szybciej!

Diabeł błysnął jej przed oczami. Katia zamruwała nerwowo i rozchyliła usta, żeby krzyknąć jeszcze głośniej, ale błyskające stworzenie doniosło sumiennie i pospiesznie:

– Pani Masza jeszt w wieszcy, moja Jaszna pani. A sz nią jeszt da druga, ta która nie jeszt pani!

– Czub? Więc policja nie zdążyła? – zdziwiła się pani.

– Panowie policzjanci otoczyli wieszę. Czekaają, asz Kijowicze wyjdą sz wieszcy. Czy chce pani uratowacz je obie? – spytał ponuro.

– Nie rozumiem?! Dlaczego nie zabrali ich od razu?

– Och, moja Jaszna pani...

Diabeł, sepleniąc, zaczął pospiesznie wyjaśniać w długi i mało zrozumiały sposób: o niedostępnym dla „szlepczów” „wiecznym szawsze”, z powtarzającym się „nie wolno im pomagacz”, „nie wolno im mówicz”, „inaczej...”.

Katia zaś krzywiła się i boleśnie pocierała prawą skroń, wmasowując w nią swoje sensowne wyjaśnienie:

„Masza nie zdążyła uciec, ale Dasza zdążyła – przez dach. Dopóki Masza i Dasza siedzą w wieży Kijowic, nic im nie grozi. Dopóki Masza jest z Daszą, dopóty ta pierwsza nie ucieknie bez tej drugiej. A Masza i Dasza to już za dużo...”.

– To wszystko, koniec tematu – mruknęła i uruchomiła silnik.

– Nie szmuć sze, moja pani – zatrzeszczał czekoladowy diabeł. – Losz nam szpszyja! Niech tam szedzą, asz sztaniesz sze pławdą...

– Dam sobie radę bez ciebie – rzekła Dobrażańska. Jej volvo ruszyło z miejsca.

Pół godziny później, po odwiedzeniu kilku bazarów i jednej księgarni, Katia stała się szczęśliwą posiadaczką bujnej peruki z setką blond warkoczy, pary jedwabnych rękawiczek, używanego drogiego telefonu na

kartę, kijowskiej książki telefonicznej i osobno zapisanego numeru telefonu nieszczęsnego łysego, który mieszkał w wieży Kijowic na dostępnym dla „ślepych” metrażu.

Przez kolejne piętnaście minut Katerina Dobrażańska, z palcami zabezpieczonymi jedwabiem, radośnie uzupełniała folder „Numery prywatne”. Numerem łysego, który otrzymał imię „ZDRAJCA”. Numerem mężczyzny, który podpisał się nożem na jej przedramieniu, nazwanego „SWOŁOCZ-PAPA”. Numerem telefonu z biurka ochroniarza Kijowskiej Galerii Obrazów, nazwanego bez żadnych ozdobników po prostu „MUZEUM”. I jeszcze kilkunastoma numerami restauracji, salonów fryzjerskich i innych miejsc, w których Katia nigdy nie bywała, ale które często odwiedzała inna młoda kobieta z poprzedniego życia Katii.

Ta młoda dama nosiła takie samo nazwisko jak jej „SWOŁOCZ-PAPA” i była nawet gorsza od hałaśliwej Daszy Czub, przypadkiem studiowała też (niecały rok) na uniwersytecie teatralnym. Ta dziewczucha kiedyś przekonała swojego rozwiedzionego ojca przy pomocy chronicznych anonimowych telefonów, że suka Katia Dobrażańska sypia z nim tylko po to, żeby podpisał jej biznesowe papiery, i że robi to nie tylko z nim.

Mimo że paszkwil ten do ostatniego słowa był kłamstwem, w dodatku szytym grubymi nićmi, Katia nigdy nie zdołała się usprawiedliwić, choć w ciągu całej historii ich związku nigdy nie błagała kochanka o podpis, nigdy nie zamierzała go błagać i każdą „noc cudzołóstwa” spędzała wyłącznie z nim.

 Nie uwierzył jej.

 I nie wierzył w winę swojego małego bachora.

Może właśnie ten brak wiary, a nie skaleczenie, które oszpeciło jej prawe ramię, sprawił, że nigdy nie zdołała mu wybaczyć.

Ustawivszy automatyczną sekretarkę, Dobrażańska dzwoniła z najbliższego automatu na swój świeżo zakupiony numer i gdy zapełniła „nieodebrane” przychodzącymi połączeniami, wystękała z wrzaskliwą i szkodliwą rozkoszą:

– To ja! Wszystko się udało! Twój łysy ma przejebane! Po prostu trzymaj się od niego z daleka. Na miejscu jest policja. Sama widziałam! Dorwiemy go później. I twojego ojca też! Tak jak wtedy jego czarną sukę... Ha! Dobrze im tak!

– Diable – zawołała, gdy z powrotem wsiadła do samochodu. I nie odwracając się za siebie, rozkazała jasno i wyraźnie: – Biała peruka musi spaść z dachu, przez który uciekła Dasza. Tak, żeby to zobaczył jeden z policjantów...

– Lobi sze, Jaszna Kijowiczo.

– Komórka powinna znaleźć się na strychu. Historyjka brzmi następująco. Dwie durne laski postanowiły wrobić łysego grubasa. Co on im zrobił, niech sami się domyślą, tacy nie potrzebują wiele... Zadzwończyły z innego numeru i wezwały taksówkę pod adres łysego. Potem pojechały zdemolować muzeum. Numer telefonu naszej wieży nie pasuje do numeru telefonu grubasa. Znaki szczególne zostają unieważnione. Jeśli jedna nosiła perukę, to druga pewnie też... To oczywiście idiotyczne, ale przecież one są idiotkami!

– Taka jeszt twoja wola, moja Jaszna pani.

– Moja. Moja! – Katia nagle zarżała histerycznie, uderzając czołem o kierownicę. Klakson zawył nieznośnie. – Gdy tylko dowiedzą się, gdzie pracuje jej „SWOŁOCZ-PAPA”, załatwią go na cacy. Od roku szuka swojej SWOŁOCZ-CÓRKI po różnych melinach. I dobrze! Niech teraz wie, kogo wychował! A on mi nie wierzył! Tylko co, jeśli taksówkarz przypomni sobie o mnie...

– O, moja Jaszna pani – włączył swoją ulubioną płytę lizus diabeł – kiedy zdobędziesz plawdziwą władzę, to będzie koniec...

– Kiedy ją zdobędę?

Katia obejrzała się gwałtownie.

– Szybczej, nisz myszlisz – rzekł z radością diabeł.



Dasza rzeczywiście załatwiła wszystko na jednej nodze. W dłoniach trzymała dwa duże plastikowe worki, a na jej pulchnej twarzy z pełnymi ustami malowało się ogromne zadowolenie.

– I co, znalazłaś? – Czub z impetem rzuciła torby na sofę.

Masza Kowalowa siedziała na podłodze okrągłego pokoju i wpatrywała się beznamiętnie w klucz w swoich rękach – jakby miała przed sobą nieodnaleziony Święty Graal, niewynaleziony kamień filozoficzny, eliksir młodości, perpetuum mobile i zaginioną głowę Włodzimierza Wielkiego, nagle znalezione przez nią w jednej skrzyni.

– Pytam, czy go znalazłaś? – krzyknęła Czub. – To ten?

– Znalazłam klucz do Zjazdu św. Andrzeja 13 – powiedziała zahipnotyzowana Kowalowa, nie odrywając wzroku od cudownego klucza.

– A kto tam mieszkał?

– Bułhakow – Z ust Maszy to zabrzmiało jak „Pan Bóg”. – Żywy Bułhakow, wyobrażasz sobie?! Czy to naprawdę możliwe, żeby zobaczyć żywego Bułhakowa?

– A reszta kluczy? – oburzyła się niezadowolona Czub. – Co uzgodniłyśmy?! Po co nam, do cholery, Bułhakow? Potrzebujemy Prachowa i Wasniecowa!

– Nie ma Prachowa – rzekła obojętnie Masza. – Przejrzałam wszystkie breloczki. Jest tylko ulica Trzech Świętych 10, gdzie mieszkał Wrubel.

– Ten, który namalował portret Katii? – upewniła się Dasza. – Skoro jest Wrubel, to będzie Wrubel! – Wyglądało na to, że to sama afera ją fascynowała, bez względu na rezultat.

– Nie – rzekła do swojego klucza Masza, ni to entuzjastycznie, ni to błagalnie. – To niemożliwe. To by było zbyt piękne. To tak nie działa! Nie wyjdzie.

– Jeśli nie wyjdzie, to przynajmniej będziemy miały się z czego śmiać! Lepiej zobacz, co znalazłam! W Muzeum Jednej Ulicy! Na naszym diabelskim Zjeździe.

– Na naszym Zjeździe św. Andrzeja? – Studentka w końcu oderwała wzrok od klucza i z niedowierzaniem spojrzała na Wstrząsającą Daszę.

Maszę zaskoczył nie tyle fakt, że Czub już bezpiecznie przywłaszczyła sobie siedemset pięćdziesiąt metrów Wzniesienia św. Andrzeja, tylko to, że służba szanowanego muzeum oddała cenne eksponaty podejrzanej dziewczynie w sukience z flagi narodowej!

– I dali ci je tak po prostu?!

– Nie tak po prostu, ale za kaucją. Dobrze, że Katia zostawiła nam pieniądze... Powiedziałam, że potrzebuję naturalnego retro do teledysku piosenkarki Wiki. – Czub bezceremonialnie wyjęła zawartość toreb.

– I oni ci uwierzyli? – Masza tego nie pojmowała.

– Dlaczego nie? – Wzruszyła ramionami. – Pracowałam jako jej reżyser. Zrobiliśmy dla niej sesję zdjęciową w muzeum.

– Reżyser? To ty nie jesteś piosenkarką?

– Reżyserem, piosenkarką i złotą rączką – zapiała Dasza Czub. – Och, kim ja tylko nie byłam! I u Wiki, i jako dziennikarka w gazecie, i... No cóż, lepiej żebyś nie wiedziała. No dalej, przymierz! – Dasza potrząsnęła

triumfalnie długą czarną suknią z jedwabiu. – To jest dla ciebie, ja się w nią nie zmieszczę. I jeszcze pantofelki do tego. Czaderskie, prawda?

Masza wpatrywała się w sukienkę i poruszała zdeorientowana ustami.

– Ale to nie pasuje – oświadczyła tragicznie.

– Dlaczego? – dziwiła się Czub.

– Jest bez turniury!

– Bez czego?

– Turniura to taka wielka pupa! – Masza wyjaśniła najlepiej jak potrafiła. – Tkanina była zbierana w plisy, a z tyłu robiło się podwyższenie. Takie suknie nosiło się na początku wieku.

– Ale powiedziano mi, że ta jest przedrewolucyjna! – Czub broniła swojego wyboru.

– Uważasz, że przed rewolucją moda ani razu się nie zmieniała? – oburzyła się przyszła historyczka. – Buty w latach osiemdziesiątych XIX wieku też nosiło się inne, nie z okrągłymi noskami, ale z wydłużonymi!

– Mam coś jeszcze – rzekła nerwowo Dasza.

Rozwinęła kolejne zawiniątko i oczom Maszy ukazało się coś w rodzaju czarnej sukmany z kapturem.

– Strój zakonnicy. A do tego jest jeszcze nakrycie głowy! – pochwaliła się Wstrząsająca. – Czy może zakonnice też przejmowały się modą?

– Zakonnice nie dbały o modę – spochmurniała jeszcze bardziej Masza. – Tylko po co zakonnica pójdzie do malarza?! Mam lepszy pomysł! Jedna z nas przyjdzie i zamówi sobie portret, a druga przyniesie od modelarza pudło na kapelusze. Pudełko przecież mamy... A Wasniecowa mieszkał w Kijowie z żoną, ona mogła zamówić kapelusz.

– Zakonnica z pudłem na kapelusze wydaje mi się nieprzekonująca – zaniepokoiła się Dasza.

– Bogata klientka bez turniury też! – odcięła się Masza. – A tym bardziej bez kapelusza. Tylko prostytutki chodziły wtedy bez kapeluszy!

– Mam chustkę – usprawiedliwiła się zdobywczyni, wyjmując z torby czarną chustę z koronki. – Wisiała na manekinie z twoją sukienką... I w ogóle – zezłościła się – w muzeum nie było innych damskich ubrań, tylko sutanny popa i męskie garnitury. Nie musimy przecież nigdzie iść. Nie pali się!

– Dobra...

Masza nadęła wyniośle policzki. Demonstracyjnie wyciągnęła sznurowadło z tenisówki i zawiesiła na nim święty klucz do domu Bułhakowa, a sznurówkę – na szyi. Następnie odsunęła się o dwa kroki od Daszy i zmierzyszy od stóp do głów wstrząsającą przyjaciółkę, wymówiła z nieodgadnioną profesorską miną:

– Zapamiętaj! Albo jeszcze lepiej, zapisz to sobie. Nie mów „gówniany”, mów „haniebny”, nie „chujowy”, tylko „marny”. Nie mów „ale jaja”, mów „wielkie nieba” albo „istny kabaret”. Nie mów „fajny”, tylko „osobliwy”, „niezwykły” lub „zadziwiający”. I nigdy nie mów „łał” czy „wstrząsające”, po prostu „Panie, przebacz nam niegodnym!”.

– A jeśli „łał” w dobrym znaczeniu tego słowa? – zapytała z powagą Czub.

– To wtedy: „Pochwalony bądź Panie!”.

– Okej.

– Nie „okej”, ale „zgadzam się w pełni”.

– Rozumiem – przytaknęła niecierpliwie. – A co mam mówić pomiędzy tym?

– Powiedz Wiktorowi Michajłowiczowi Wasniecowskiemu – zaczęła wymyślać studentka historii – że jesteś z monasteru Florowskiego na Padole.

– Mniszka?

– Nie, lepiej nowicjusz.

– Jakie to ma znaczenie?

– Mniszka złożyła już śluby – tłumaczyła cierpliwie Kowalowa. – A nowicjuszka może w każdej chwili zrezygnować... Powiedz, że masz dar do malowania i że marzeniem twojego życia jest malowanie ścian świątyni. Ale Matka Przełożona nie błogosławi temu pomysłowi i nie zada ci takiej pokuty. Uważa, że powoduje tobą duma, a to nie przystoi kobiecie. Dlatego chcesz opuścić monaster i przychodzisz błagać go, aby zarekomendował cię w szkole malarskiej Mikołaja Muraszko.

– Łał! – Czub z podziwem potrząsnęła swoimi warkoczami.

Masza zmrużyła prawe oko, próbując przymierzyć koleżankę do wymyślonej przez siebie purytańskiej historyjki.

– Przeżegnaj się – poprosiła z powątpiewaniem.

– Umieć się przeżegnać, moja mama chodzi do cerkwi! – Dasza z dumą zademonstrowała swoją umiejętność.

– Siniak to nic takiego... Powiesz, że Matka Przełożona rozgniewała się, bo ośmieliłaś się jej zaprzeczyć, i powiedziała, że każdy dar ludzki jest Boży i Bóg nie chce, aby zginął. Wiktor Michajłowicz powinien cię zrozumieć! Sam zamierzał zostać księdzem, ale na ostatnim roku rzucił seminarium i zapisał się do Akademii Sztuk Pięknych.

– No taaak!

– Nie „no tak”, tylko „zaiste”. I zmyj ten makijaż!

– Jasna cholera... – westchnęła Czub.

– Nie „jasna cholera”, ale „z całego serca się zgadzam”, w skrajnym przypadku „to oczywiste”. Wyjmij kolczyk z nosa! Obetnij paznokcie!

Dasza spojrzała z żalem na resztki luksusu na lewej dłoni i po raz drugi cicho westchnęła.

– Spuść wzrok. Cały czas trzeba patrzeć w dół. Nowicjuszek nie rozglądają się na boki i prawie nigdy nie patrzą rozmówcy w oczy. Dlatego właśnie są służebnicami, mają pokazywać posłuszeństwo.

Czub ziewnęła głośno i z oburzeniem, ale posłusznie wbiła wzrok w noski swoich butów.

– Jeśli ziewasz, zakryj usta, żeby nieczysty nie miał dostępu do twojej duszy. Nie! Nie patrz w górę! Przyzwyczajaj się! Przytakuj i się zgadzaj. Tak lepiej! – zlitowała się surowa mentorka.

– A co, jeśli, nie daj Bóg, poprosi mnie o narysowanie czegoś? – spytała z niepokojem Dasza, uważnie podziwiając deski podłogowe.

– To narysujesz.

– Co?! – Czub błagalnie zwróciła się do parkietu. – Kółko, kółko i kreseczka, tu laseczka, tam laseczka? Co mi powie po czymś takim?

– Jeśli powie coś nie tak, płacz, mdlej, krótko mówiąc, graj na zwłokę! – rozkazała stanowczo i zupełnie nieoczekiwanie Masza Kowalowa. – Nie jest jasne, co i od kogo powinniśmy usłyszeć. Naszym zadaniem jest więc usłyszeć jak najwięcej. I zapisz to na kartce, bo inaczej zapomnisz: „W imię Ojca mego, rozkazuję ci, daj mi to, co muszę wiedzieć”.

– Nie boisz się? – rzekła niepewnie Dasza Czub i podrapała się po nosie – Że nasz ojciec jest... no, że nie jest naszym Bogiem?

Z dziennika N

Jest też popowski diabeł, rogaty, z ogonem i bezpięty... Ale jest nudny i od dawna nie pretenduje do miana gwiazdy popkultury. Diabeł popowski to brudny, śmierdzący i zafiksowany starzec, zbyt prymitywny w swoim gniewie. Zszedł ze sceny i dożywa swoich dni w przykościelnym domu starców.

Ale gdybyście zadali sobie trud przejrzenia kilku księzek, wiedzielibyście, do kogo się modlić!

Czytajcie książki, panowie idioci, po prostu czytajcie czasem książki, a wtedy dowiecie się, że odwrócony krzyż wcale nie symbolizuje Szatana...

Zwyczajnie zapomnieliście, kogo ochrzczono Diabłem tysiąc lat temu!

Rozdział osiemnasty

w którym Masza spotyka Mefistofelesa

Widok był więcej niż niezwykły: na tle prymitywnych wzgórz Cyryła stał za mną jasnowłosy, prawie biały blondyn, młody, z bardzo charakterystyczną głową, z małymi wąsikami, również prawie białymi. Był niewysoki, bardzo dobrze zbudowany i ubrany... to w tamtym czasie mogło mnie najbardziej uderzyć... cały w czarny aksamitny garnitur, z pończochami, krótkimi pantalonami i butami. W sumie był to młody Wenecjanin z obrazu Tintoretta lub Tycjana.

~ L. Kowalski, *Michaił Wrubel*

Przed wejściem nikt na nie nie czekał.

Ulicą Sofijowską, która oddziela Włodzimierską 28 – gdzie studentka rozstała się z nowicjuską monasteru Florowskiego – od Dziesięcinnej 14 (przed rewolucją była to ulica Trzech Świętych 10), którą przemierzała nieproszona gościni pana Wrubla – Masza maszerowała jak skazaniec po ścieżce zdrowia, choć przechodnie spoglądali na przebraną dziewczę jedynie z leniwym zaciekawieniem. W centrum kijowskiego Akropolu znajdowało się wiele lokali, których pracownicy nosili stroje retro, a ona

wyglądała jak jeden z nich. Ale Masza, która nigdy nie była w żadnym z tych miejsc, nie znała ich zwyczajów i teraz bardzo cierpiała.

„To się nie uda” – pomyślała z żalem, zatrzymując się przy dość nowych drzwiach z ryflowaną szybą, które zaskoczyły ją dwiema złoconymi tabliczkami:

Rada Narodowa Radiofonii i Telewizji Ukrainy

Państwowy Komitet Ukrainy ds. Rodziny, Dzieci i Młodzieży

„Nie wpuszczą mnie tu. Jest zamknięte! Weekend”.

Masza, całkowicie pewna porażki, patrzyła ze smutkiem na biegnący w dół Zjazd św. Andrzeja, sięgający do znamienitego trzynastego domu, i z westchnieniem, ociężale popchnęła drzwi – „W imię Ojca mego rozkazuję: daj mi to, co muszę wiedzieć! Anegdota, parsuna, czas!” – ale łatwo się poddała.

Hol wejściowy był pusty i ponury. Jednak Masza, pierwszy raz w tym miejscu, nie potrafiła stwierdzić, czy coś się zmieniło, czy też mimo sąsiedztwa „narodowej” i „państwowego” hol pozostał taki jak do tej pory – na Starym Mieście było wiele domów, których próg przekraczało się, jakby cofając się o sto lat.

Studentka nie znała numeru mieszkania. Ze strzępów informacji zebranych od czasu, gdy przestudiowała pierwsze pytanie z czternastego zestawu egzaminacyjnego, wynikało jedno: „Pracownia profesora malarstwa Włodzimierza Orłowskiego, z pokojem i balkonem wychodzącym na Dniepr, którą Wrubel wynajmował za trzydzieści rubli miesięcznie, znajdowała się na ostatnim piętrze”. To znaczy nie na parterze czy pierwszym piętrze, a w tej części budynku, której okna wychodziły na

dzieliniec flankowany wysokimi schodami Góry św. Andrzeja, biegnącymi do wielkiej rzeki.

Przebrana Masza weszła po schodach, wyjęła z kieszeni klucz i spróbowała włożyć go do zamka – nie udało się. Ale cisza była uspokajająca. Półtorej godziny temu, gdy tylko wypowiedziała słowo *Salve*, ich wejście znów stało się wymarłe i puste, a ona miała niejasne wrażenie, że droga od drzwi wejściowych do drzwi mieszkania zamienia się w jakiś portal poza czasem i przestrzenią – jeszcze nie tam (bo żeby się znaleźć tam, trzeba było otworzyć kluczem drugie drzwi), ale już nie tutaj (bo pierwsze drzwi już minęła).

Przy czwartej próbie klucz bez trudu wsunął się do dziurki od klucza i bezgłośnie obrócił się w rękach Maszy. Zamarła z niedowierzaniem. „Czy to naprawdę zadziałało?!” Czuła, jak niewiarygodne przejęcie rozpiera jej klatkę piersiową od środka. Zrobiła głośny przerywany wydech, szybko schowała klucz do kieszeni i nie mogąc odnaleźć wzrokiem przycisku dzwonnka, zapukała niepewnie.

Nie było odpowiedzi, a wizytatorka przebierała w miejscu nogami, zbierała się na odwagę. Nerwowo poprawiła naciągniętą na głowę chustę. „Czas, który miała zobaczyć”, mógł być czasem, w którym gospodarza nie było w domu, a nawet w mieście. I strasznie chciała, żeby tak się stało – żeby sztuczka się udała, żeby za drzwiami nie znaleźć kolejnego gabinetu kota i magii, tylko to samo mieszkanie za trzydzieści rubli, w którym mogłaby się spokojnie rozejrzeć i potem bez przygód uciec.

Na wszelki wypadek zapukała jeszcze raz, a gdy znów odpowiedziała jej cisza, powoli nacisnęła klamkę i wzdrygnęła się ze zdziwienia. Ktoś po drugiej stronie pociągnął drzwi do siebie, wyrywając klamkę z jej ręki, a w otworze ukazał się blondwłosy młodzieniec o zatroskanej, nerwowej i niezadowolonej twarzy oraz niespokojnych aksamitnych oczach.

– Ooo... – wystękała Masza, zaokrąglając usta, oczy i dźwięki.

Bo to z pewnością nie on stał przed nią, lecz ktoś niewyobrażalny i niemożliwy. W czarnej aksamitnej kamizelce, pończochach, pantalonach i sfatygowanym berecie Mefistofelesa – kostiumie z początku XVI wieku, równie nie na miejscu pod koniec XIX wieku, jak jej suknia z początku XX.

„Ale takich rzeczy w ogóle nie noszono w Kijowie!” – wycofała się przestraszona. „Kiedy takie rzeczy noszono poza Kijowem, w Kijowie królowały tureckie szarawary”.

– Me... Me... Me... – jęczała Masza.

– Michaił Aleksandrowicz – przedstawił się Mefistofeles i rzekł twierdząco, bardzo niechętnie: – A pani to Nadieżda? Od Włodzimierza Fiodorowicza? Spodziewałem się pani jutro! – Jego niezadowolenie zostało wyjaśnione. – A drzwi z jakiegoś powodu są otwarte... – mruknął do siebie. – Proszę za mną!

Michaił Aleksandrowicz odsunął się na bok, pozwalając jej przejść. Masza-Nadieżda minęła ciemny przedpokój, który niegościnnie stuknął ją okutym rogiem jakiejś skrzyni, i podążyła na niezginających się nogach do „pracowni profesora Orłowskiego”, którą chciwie objęła oszołomionym wzrokiem.

Sztaluga nakryta niezbyt czystą szmatą. Na ścianach szkice ołówkiem, a wśród nich jeden z Hamletem w tym samym dużym, zmiętym berecie i z długonosą Ofelią nad nim. Mnóstwo książek i papierów. Farby, pędzle, ołówki... Masza mimowolnie rzuciła ciekawskie spojrzenie na balkon „z widokiem na Dniepr” – ale ku swemu głębokiemu zdumieniu w wąskiej szczelinie odsuniętych zasłon zobaczyła tylko szary zmierzch.

„Czyżby się rozpadało? Dziwne...”

Na stole stała już zapalona lampa.

„Lampa gazowa Auera czy olejowa Carcela? Ciekawe, który to rok? Tysiąc osiemset osiemdziesiąty który?”

Coś tu było nie tak – nie tak, jak sobie wyobrażała. I w jednej sekundzie Kowalowa zrozumiała: wszystkie rzeczy były nowe!

Wszystkie odłamki XIX wieku, które zauważyła, a które pieczołowicie przechowywano w Muzeum Jednej Ulicy, narodowym muzeum i cenionym Domu Turbinów – pozółkłe akwarele i fotografie; pianino z wyblakłym czarnym lakierem; nierealistycznie wąskie rękawiczki damskie z wysuszonej skóry, z wysmakowanymi rozcięciami i guziczkami na nadgarstkach; zmęczona koronka kościanego wachlarza teatralnego; łuszczące się puszki po herbacie i karmelowych cukierkach Karaneli – były to rzeczy, które wyblakły i przeżyły swoje, które przetrwały burze stulecia. Rzeczy z tajemniczą przeszłością. I to z nich utkała w myślach obraz tego pięknego czasu.

Schyłek XIX wieku wydawał jej się pozółkły i nieco podniszczony, wzruszająco kruchy, jak stare dokumenty rozpadające się w rękach; wyszukany jak cienkie atramentowe pismo z zawijasami i „jaciami”, aksamitnomorelowy, o nostalgicznie stonowanych barwach. I była zupełnie nieprzygotowana na to, że w bieżącym 188(?) roku papier był biały! A puszka *Czekolada i chałwa. G. I. SZYK W KIJOWIE, Górny Wał № 12*, stojąca na stole, była tak samo jaskrawa, prymitywna i niewyszukana jak puszka cukierków *Bisca Roses* sprzedawanych na straganie przed jej domem.

– Nadzieja? – zapytał pośpiesznie młody człowiek.

– ...Włodzimierzówna – rzekła szybko, pamiętając, że w tamtych czasach nie tylko osoby starsze i szefowie byli nazywani po imieniu ojcowskim.

– Jest pani... wdową? – Jego niespokojne, aksamitne oczy patrzyły ze zdziwieniem na wątpliwy ubiór gościa, jedyną rzecz w pokoju, która pod względem tajemniczości, podniszczenia i pozółcenia odpowiadała jej wyobrażeniu o tamtych czasach.

Masza skrzywiła się. Być może „biedna wdowa” była jedynym logicznym wnioskiem, jaki mężczyzna z końca XIX wieku, nawet ubrany w garnitur z XVI wieku, mógł wyciągnąć, gdy patrzył na kobietę ubraną w mającą sto lat czarną suknię z początku XX wieku.

Chociaż w zasadzie on i ona byli wyraźnie jak dwa buty z jednej pary.

Przytaknęła nieprzekonująco – żeby później móc zaprzeczyć. „Nadzieńda od Włodzimierza Fiodorowicza” była albo niespodziewanym darem losu, albo niebezpiecznym haczykiem.

– Cóż... – ciągnął żałujący Michaił Wrubel – może mógłbym zapłacić pani trochę więcej.

Z zakłopotaniem i wyraźnym współczuciem spojrział na zaokrąglone, tępe noski jej znoszonych jedwabnych pantofelków. Potem, już bez żenady, obrzucił jej sylwetkę pełnym dezaprobaty spojrzeniem – jej drobna budowa również budziła w nim spore wątpliwości. (Nic dziwnego. Zgodnie z kanonami piękna ciała z przełomu wieków, z każdej ich „smukłej baletnicy” można było zrobić co najmniej dwie „kościste” Masze.)

„Biedna i zagłodzona” – podsumowała zamiast niego.

– Nie robiła pani tego wcześniej – rzekł, upewniając się, znowu ze współczuciem.

– Nie – odpowiedziała Masza, zdrtwiała ze strachu.

„Czego TEGO?!”

Młody mężczyzna skierował swój wzrok na jej zastygłą twarz. Wpatrywał się w nią tak intensywnie i głęboko, że Maszy na sekundę zaparło dech w piersiach. Następnie wykrzywił się w stanowczym

i groźnym grymasie. Wyjął z kieszeni kamizelki srebrny zegarek w kształcie cebulki i po przyjrzeniu się tarczy głośno zatrzasnął dekielek.

– Jeszcze godzina i kwadrans – mruknął. – Zdążymy, jeśli się pospieszymy. Ale to niezręczne... Nadzieźdo Włodzimierzówna, proszę się rozebrać! – Malarz z determinacją rozpiął guziki aksamitnej kamizelki.

– Co? – Nadzieźda Włodzimierzówna cofnęła się jak oparzona, obarczając się winną za to, że zdała się na przypadek. Protegowana Włodzimierza Fiodorowicza okazała się zwykłą prostytutką. Dokładniej mówiąc, nie zwykłą, a „półjedwabną”*. To jednak nie poprawiło samopoczucia Maszy. – Jestem uczciwą kobietą! – wyszeptwała. – To musi być pomyłka! Ja... Ja... Pan...

Wrubel zmienił się na twarzy i zrobił gwałtowny krok w jej stronę.

Masza cofnęła się i oparła plecami o ścianę. Przypominała sobie nagle, że pod koniec życia Wrubel postradał zmysły, a w młodości był uważany za dziwaka.

– Jak pan może? – zawołała. – Malować świętych w cerkwi Cyryla, a w tym samym czasie... Czy pan wie, że prawdziwi ikonopisarze modlą się miesiącami, zanim wezmą do ręki pędzel! – „I mieli rację, że nie dali panu malować mojego soboru Włodzimierskiego!”, chciała dodać ze złością, choć do dziś szczerze żałowała, że w jej najpiękniejszym na świecie Włodzimierskim geniuszowi Wrublowskiemu zlecono tylko namalowanie ornamentu w nawie południowej.

Ale nie zdążyła.

– Nie zrozumiała mnie pani! – usprawiedliwiał się zakłopotany malarz. – Zapewne Włodzimierz Fiodorowicz niczego pani nie wyjaśnił? A pani pomyślała... Zaiste, bałwan ze mnie! Nie jestem dziś sobą. I pani zjawiła się tak niespodzianie... Szukam modelki! Twarz! Obraz! A Kijewicki powiedział, że przyśle panią, bo jest pani znajomą

Włodzimierza Fiedorowicza. Pomyślałem, że jest pani w potrzebie i dlatego zgadza się pozować. Proszę o wybaczenie!

Masza odchyliła głowę, wpatrując się w jego zrozpaczone i pełne wyrzutów sumienia oczy. Wewnątrz niej jakby pękła ciasna bańka, zrobiło jej się lżej i poczuła wstyd.

„Boże, jestem idiotką... Przecież to artysta. Dobrze, że nie lapnęła o Włodzimierskim. On tak przeżywał, że nie pozwolono mu namalować *Lamentu nadgrobnego*. Może nawet jeszcze nie wymyślił żadnego «lamentu», którego nie pozwolono mu namalować...”

– Przepraszam, źle pana zrozumiałam – rzekła zgodnie z prawdą.

Rysy Wrubla w niewytłumaczalny sposób rozjaśniły się.

– Proszę pozwolić – szepnął skonfundowany, nieśmiało dotykając jej policzka i odwracając głowę lekko w prawo. Zrobił krok do tyłu. Jego palce automatycznie chwyciły za brodę, kciuk marszczył zdenerwowaną twarz, a w oczach pojawiło się dziwne, poszukujące, niespokojne spojrzenie, jakby nie chciał w coś uwierzyć.

– Tak, Kijewicki miał rację... To pani – rzekł w końcu. – Teraz sam to widzę. Na początku tego nie dostrzegłem, była pani zbyt przestraszona. Ale, proszę mi wierzyć, nie musi się pani mnie bać. Nie wyrządę pani żadnej krzywdy. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, to zaledwie kilka szkiców... Potrzebuję pani twarzy! – poprosił.

– Dobrze – zgodziła się Masza, kiwając głową. – Dobrze! Co mam robić?

Wszystko złożyło się jak najlepiej! Nawet nie w tym rzecz. Na samą myśl, że zostanie namalowana przez Wrubla i że być może po powrocie do domu znajdzie szkic swojej twarzy ołówkiem w albumie o sztuce, który wpadł jej w ręce z rana, czuła łaskotki w brzuchu z radości i przerażenia.

„Żeby tylko nie zmienił zdania...”

– Zgadzą się na wszystko!

– Doskonale. – Uśmiechnął się z dystansem, pochłonięty już czymś własnym, gorączkowym i entuzjastycznym. – Proszę wziąć sukienkę, tam za parawanem. I materiał na głowę... – mówił bardziej do siebie. – Ciemny. Jak pani chusta... Proszę, Nadieżdo Włodzimierzówna, przejść do drugiego pokoju. – Wskazał na drzwi. – Proszę się nie niepokoić, nie wejdę tam.

Podeksytowana tak samo jak artysta, Masza pospieszyła z wykonaniem polecenia. W sąsiednim pokoju znajdowała się sypialnia, urządzona raczej ascetycznie, bez pozorów komfortu. Żelazne łóżko, zaścielone byle jak, stołek i kilka ubrań wiszących na gwoździach wbitych w ścianę. Z jakiegoś powodu było tu okropnie zimno. Ale zrzucając chłód ze zniecierpliwionych ramion, Masza pospiesznie rozwiązała jedwabną szarfę i wydołała się z sukienki. Bała się nie tyle tego, że gospodarz przyłapie ją nago, ile tego, że zobaczy jej rajstopy, stanik i majtki, które miały tyle samo wspólnego z XIX wiekiem, co ona sama.

Z niesfornymi z powodu nadmiernego podniecenia rękami – „Boże, czy to dzieje się naprawdę?!” – modelka rozłożyła wydany jej strój: sięgającą do podłogi koszulę o luźnym, lejącym się kroju.

Ta koszula budziła w niej przerażające skojarzenia:

„Mamo, on chce zrobić szkice Matki Bożej!”

Zamarła, przyciskając do zmarzniętej piersi ciemną suknię Matki Bożej ze św. Cyryla. Nie wiedziała, jak się wydostać z tej historycznej pułapki. Machinalnie odnotowała, że skoro Maryja nie została jeszcze namalowana, ale była już w planach, to musiał być rok 1884, a lampa musi być jeszcze Carcela – jej światło zostało przyjęte jako nowa jednostka oświetlenia równa 7,4 angielskiej świecy spermacetowej...

Z tym że ta lampa była teraz najmniejszym zmartwieniem!

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi wejściowych. Nastąpiło niechlujne i nerwowe upuszczenie jakiegoś przedmiotu. A do jej pokoju, bez pukania czy ostrzeżenia, wpadł sam artysta z przerażoną twarzą.

– Pani... – zawołał rozpaczliwie stłumionym szeptem.

– Aj! – pisnęła Masza, zakrywając swoją niestosowną bieliznę ciemną szatą z kapturem.

– ...nieubrana!!! – W jego krzyku była ogromna rozpacz. – Na litość boską, proszę być cicho, ani jednego dźwięku, ani jednego... Zapłacę pani – zdawał się padać przed nią na kolana. – Jeśli ONA przyłapie panią w mojej sypialni bez odzienia...

– Jestem cicho – wyszeptała Masza.

– Boże, jeśli to ona! Och! – Wrubel potrząsnął gorączkowo głową, wyskoczył z sypialni i pobiegł najszybciej jak potrafił na korytarz.

Masza podeszła na palcach do nie całkiem zamkniętych drzwi i stanęła pod ścianą, przysłuchując się temu, co dzieje się w pracowni. Czuła, że nadszedł „czas, o którym powinna coś wiedzieć”.

– Emilio Lwowna – rozległ się czołobitny głos Wrubla. – Obiecała pani być o piątej.

„Emilia Lwowna! Żona Prachowa!” – Masza zadrżała. „W której jest zakochany... O mamó, udało się!”

– Czy przyszedłam nie w porę? – odparła kobieta, a w tym grzecznym pytaniu Masza wyraźnie usłyszała histeryczny, sprężysty i dziecinny despotyzm księżniczki.

– Jak pani może pytać o coś takiego? – rzekł zakochany cicho. – Kiedy pani obiecała, że do mnie przyjdzie...

– Widzę, że pomyślał pan sobie Bóg wie co! – odparła dumnie dama. – Musi pan wiedzieć, że przyszedłam do pana tylko ze współczucia i wyłącznie jako pański przyjaciel. Dobry przyjaciel. Nawet Adrian już zauważył, że

dzieje się z panem coś złego. Trzeciego dnia po pańskiej wizycie Adrian Wiktorowicz stwierdził, że jest bardzo zaniepokojony pańskim stanem depresyjnym i nie rozumie jego przyczyn. Wygląda na to, że wypłaci panu hojną zaliczkę i wyśle do Wenecji na koszt publiczny...

„No tak” – zaskoczyło w pamięci Maszy – „profesor Prachow wysłał Wrubla do Wenecji, aby namalował obrazy do ikonostasu! Jest rok 1884! Turniury w pełnym rozkwicie!”

– On się o pana troszczy – upominała artystę profesorowa. – Gdyby tylko znał prawdziwą przyczynę pańskiej melancholii!

– Jest pani dla mnie okrutną – odpowiedział młodzieniec ściszym głosem.

– Nie, to pan jest wobec mnie niesprawiedliwy! – sprzeciwiła się. – Dostarczyłam to, o co pan prosił.

Rozległ się intrygujący, delikatny szelest papieru, a artysta wydał z siebie cichy, radosny pomruk:

– Zrobiła to pani specjalnie dla mnie? Emilio Lwowna, proszę mi wierzyć, że tam, daleko stąd, pani twarz będzie mi jedyną pociechą i jedynym przyjacielem!

– Mam nadzieję – odparła bez wahania żona profesora – że moja twarz będzie służyła wyższemu celom. Jeśli portret fotograficzny to za mało, jestem gotowa osobiście panu pozować. Proszę wpaść dziś na kolację...

– Chce pani, żebym namalował pani portret? – odpowiedział niepewnie Wrubel.

– Chcę – oznajmiła dama z niezrozumiałą powagą – żeby stworzył pan arcydzieło życia, którego oczekuje od pana mój mąż. A jeszcze bardziej pragnę, by odzyskał pan prawdziwą wiarę. Proszę pamiętać, że jestem od pana dużo starsza – rzekła – że jestem matką trójki dzieci i żoną pańskiego mentora i opiekuna.

– Ale proszę mi pozwolić – wykrztusił. – Chyba nie chce pani, żebym namalował panią jako Matkę Bożą?

„To jest dokładnie to, czego ona chce!” – pomyślała pogardliwie Masza.

„...w wizerunku Najświętszej Paniienki artysta przedstawił żonę profesora Prachowa, Emilię, w której był beznadziejnie zakochany”.

„A więc portret Katii namalował sam Wrubel?”

Niedoszła modelka pana Wrubla nagle poczuła ukłucie zazdrości:

„Co Katia ma do tego? A co ze mną? A jeśli teraz jej odmówi? Odmówi!”

– Ale to jest nie do pomyślenia. Pani... – Masza usłyszała w jego głosie szczery strach.

– Jestem zbyt świecką! – „Katia” lub „nie-Katia” skrzywiła się ze złością. – Przyjaciele mojego męża, proszę nie zaprzeczać, ja to wiem!, uważają mnie za nadmiernie ekscentryczną, niezrównoważoną i kapryśną! I obawiam się, że zakochał się pan we mnie tylko dlatego, że uznał mnie pan za zbyt dostępną. Czyż nie tak?

– Nie, nie... – jęknął żałośnie.

– Ale nie jestem taka! – wykrzyczała w afekcie. – I chciałbym, aby uczucie, które, jak pan twierdzi, żywi do mnie, nabrało dla pana wyższego znaczenia. Proszę się zastanowić, jak poświęcam się dla pańskiej sprawy. Gdybym była pańską tajną ukochaną, ryzykowałbym znacznie mniej! To publiczny skandal! Ileż plotek i ploteczek na świecie wywołałby taki portret! Ale dla pańskiego dobra – rzuciła wyzywająco – jestem gotowa to zrobić. Wierzę bowiem, że to błogosławione dzieło uleczy pańską niezdrową pasję i skieruje ją na inne tory. To sprawi, że spojrzysz pan na mnie innymi, czystymi oczami. I zobaczy światło tam, gdzie teraz widzi tylko ciemność i rozpacz nieodwzajemnionej miłości.

„Ona jest psychologiem!” – pomyślała Masza, mimowolnie nabrawszy szacunku dla krzykliwej żony profesora. „To nie jest Katia! Katia nigdy by tak nie powiedziała!” Jeśli studentka historii dobrze pamiętała, Maria o twarzy Emilii Lwowny rzeczywiście wywołała wiele podejrzanych plotek, które kazały wątpić w wierność profesorowej. Zdaje się, że później nawet się rozstali...

„Nie ma powodu, żeby się tak poświęcała!” – powiedział ktoś nagle. Masza nerwowo szarpnęła głową, bo ten jękający się głos wewnątrz niej był jej własnym, nieznanym i raniącym głosem. „Niech mnie namaluje i wszystko będzie okej!”

– Czy mnie słyszysz, Michaile Sanyczu?

Jednak w odpowiedzi elokwentna ofiara własnej szlachetności otrzymała jedynie ciężkie i pełne napięcia milczenie. Masza, nie mogąc się powstrzymać, pchnęła drzwi i zajrzała przez szparę.

Dama, która stała odwrócona do niej plecami, w gorsecie i z tą samą uwodzicielską jedwabną tiurniurą pod spodem, w niczym nie przypominała Katii – była o wiele pełniejsza i niższa, miała włosy blond w odcieniu słomy.

Jej głowa w uroczym kapeluszu była dumnie uniesiona, podczas gdy oblicze grzesznika, który „pożądał żony bliźniego swego”, próbującego wejść pod wpływem swojej ukochanej na drogę prawości, było speszone i rozczochrane.

Wahał się tak wyraźnie i boleśnie, że jego jasna twarz z rozdziawionymi z bólu ustami, cienkim, dumnym i tragicznym nosem oraz załzawionymi oczami pod jasnymi brwiami zdawała się rozpadać na wiele kawałków, walczących zaciekle między sobą. Jego twarz stała się jak jego przyszłe obrazy, malowane zadziornymi, mozaikowymi pociągnięciami. I Masza

nagle zrozumiała: Wrubel nie chce z niej rezygnować! W środku zrobiło jej się ciepło, pochlebnie, ale też i strasznie.

Masza chciała być Marią!

„Ale wtedy” – syczała z pasją historyczka Masza – „zmienisz historię. Nie możesz tego zrobić!”

„I co z tego? No co? Co to za różnica?” – przekonywała nowa, wredna i uparta Masza.

– Jeśli zrobisz, o co cię proszę, pozwolę ci pisać do mnie z Wenecji – rzekła łagodnie Emilia do ikonopisarza. – Sama wszystko wyjaśnię Adrianowi Wiktorowiczowi. Obiecuję.

I, jak się wydaje, to załatwiło sprawę. Artysta przytaknął znużony. Masza z rozczarowaniem odwróciła wzrok od szczeliny i zamknęła na chwilę zasmucone oczy.

– Ach, jaki pan jest wspaniały! – Głos damy rozkwitł. – Wiedziałam, że uda mi się pana przekonać. Zrozumie pan, że ja tylko życzę panu dobrze i naprawdę w pana wierzę. Czy możemy się pana spodziewać dziś wieczorem? Kolacja jest jak zwykle o ósmej, ale zapraszamy wcześniej... – zagalopowała się, ale po chwili znów przybrała obyty ton. – Czy to pański najnowszy obraz? Czy pozwoli pan zerknąć?

– Nie, proszę...! – rozległ się krzyk.

Potem kolejny – kobiecy. I dźwięk uderzenia w twarz.

Masza wzdrygnęła się zaskoczona i ponownie przyłożyła ucho do szczeliny.

– Jak śmiesz?! – W głosie kobiety słychać było afekt. – Kiedy pan to namalował? To szaleństwo? Skąd pan to wziął?!

– Sam nie wiem – rzekł Wrubel stłumionym głosem.

– Skąd? Skąd? – Kobieta wpadła w kompletną histerię. – Rozkazuję panu natychmiast zniszczyć tę ohydę! Jeśli odważy się pan to pokazać...

Ach!

Masza usłyszała gorączkowy stukot obcasów pędzących do drzwi. I jego: „Proszę o wybaczenie, Emilio, błagam panią, Emilio Lwowna, sam nie wiem, co robię. Trawi mnie gorączka!”. Poniósł się szelest w korytarzu i dźwięk zamykanych drzwi.

Masza zaczęła pospiesznie zakładać na siebie ubranie, zaintrygowana ostatnim, niezrozumiałym i dziwnym fragmentem, jakimś cudem zapięła haftki na jedwabnych plecach i dyskretnie zajrzała do pracowni.

Artysta stał przy sztalugach i z ostrą, gorącą nienawiścią obciągał obraz znajomą tkaniną z tłustymi śladami farby olejnej.

– Przepraszam – odezwała się Masza.

Odwrócił się szybko i spojrzał na nią tak, jakby spodziewał się zobaczyć w kącie samego diabła!

– A, to pani – rzekł z niejasną ulgą. Nagle znów się skrzywił, wyraźnie jak od bólu zęba, i spojrzał na nią groźnie. – Nie będzie sesji! Nie potrzebuję już usług modelki. Ale zapłacę, jak obiecałem. Przyjechała pani, straciła czas... Błagam panią, Nadieżdo Włodzimierzówna, proszę nie mówić nikomu o tej scenie. Zwłaszcza nie Włodzimierzowi Fiodorowiczowi.

Ale samozwańcza Nadieżda Włodzimierzówna nie miała zamiaru nic mówić nieznanemu jej Włodzimierzowi. Patrząc, jak nerwowa ręka Wrubla mechanicznie przeszukuje kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy, w milczeniu zerkała na brudną szmatę przykrywającą intrygujące płótno. Próżno szukała pretekstu, żeby ją zerwać, nie było żadnego powodu, by to zrobić.

Artysta już wręczał jej zmięty banknot, po czym niechybnie nastąpiłoby wyrzucenie jej z czasu, „który powinna znać”. Chociaż najważniejsza

z należnych rzeczy z pewnością wciąż była ukryta pod szorstką i tłustą szmatą.

– Nie potrzebuję tych pieniędzy – powiedziała z ledwością Masza, by zyskać na czasie, i skinęła głową w stronę sztalugi. – Czy mogę go zobaczyć?

– Po co to pani? – zapytał nerwowo artysta.

– Zastanawiam się tylko, co sprawiło, że Em... emocje tej damy wzięły górę! – Masza w samą porę znalazła wyjście. – Tam musi być coś strasznego! – próbowała wytłumaczyć swój impuls zwykłą prostoduszną ciekawością.

– To nic takiego... Nie ma takiej potrzeby! – uciął ostro Michaił Sanycz i pośpiesznie położył rękę na stole, przyciskając palcami leżącą tam odwróconą fotografię.

Masza wpatrywała się w jej brązowawy grzbiet, na którym widniały medale i herby „WŁODZIMIERZ WYSOCKI, KIEW” z zakładu fotograficznego na Krieszczatiku imiennika wielkiego barda o kijowskich korzeniach. I nagle zrobiło jej się żal Sanycza – tak bezbronnego wobec niej. Tajemnicę, którą tak nieśmiało starał się utrzymać, mogła poznać, wychodząc z jego mieszkania i przechodząc jedną przecznicę dalej, gdzie za rogiem, na ulicy Wielkiej Żytomierskiej mieściła się Biblioteka Sztuki w Kijowie.

„A tak przy okazji, to dobry pomysł” – zauważyła mimochodem. „Warto przyjrzeć się tej Emilii «nie-Katii» i zrozumieć, co ona ma wspólnego z Katią, a Katia z nią”.

– Proszę, jeśli pani pozwoli. – Wrubel wskazał jej nieuprzejmie na drzwi.

Masza zebrała się w sobie. Pozostawały tylko dwie możliwości. Powrót do domu, albo ulubiony sposób Daszy – iść na całość!

– Nie powinien pan mi odmawiać – ciągnęła, marszcząc czoło. – Nie chce pan przecież, żebym wszystko opowiedziała...

Masza zawahała się, zastanawiając się, kogo wymienić: konkretnego Prachowa czy abstrakcyjnego Włodzimierza Fiodorowicza?

Ale artysta zdecydował za nią.

– Kijewickiemu! – Zzieleniał na twarzy. – O Boże, jestem zgubiony! Czego pani chce? Pieniędzy? Teraz je mam! Oddam pani wszystko – skomlał Wrubel. – Wszystko, tylko...

– Proszę jedynie pokazać mi obraz. To wszystko! – wyjaśniła ze wstydem Masza.

Znów zrobiło jej się go żal – tak żal, że mimowolnie zagryzła wargę: „Biedactwo, biedactwo!”. Spojrzał na nią histerycznie i niezrozumiale i w swoistej szaleńczej desperacji zerwał zasłonę z płótna. Od razu stało się jasne, że szantaż nie był wart świeczki – nawet z artystycznego punktu widzenia. Z płótna wyzierała bowiem ohydna, szara, odpychająca, wielkogłowa i grubonosa twarz artysty, w której z łatwością można było rozpoznać jeszcze nieforemne, nieudolne oblicze słynnego *Demona* Wrubla, które narodziło się z ciemności.

Ale Masza wiedziała, że pierwszego *Demona*, który później został zniszczony, Wrubel namalował tutaj, w Kijowie.

– Podobny... – rzekła, jękając się.

– Podobnym?! – Malarz zadrzał. – Naprawdę tak wyglądam? Och! Nie!

– O czym pan mówi?

Masza chciała tylko powiedzieć, że wyglądał zupełnie jak ten, który wisiał w Trietiakowce – w niebieskich spodniach, z mięsistym nosem, smagłą, granitową buzią i łzą na policzku. Tylko ten był zły i ostry, z czarnymi jak wilcze jagody oczami bez dna...

Ale krzyk Wrubla nagle ujawnił inne, ukryte wrażenie: ten pierwszy *Demon* naprawdę był podobny do kogoś ze znajomych, niedawno widzianych, może nawet bliskich.

Zmarszczyła brwi, chciała sobie przypomnieć. Ale on jej przerwał.

– Proszę o natychmiastowe wyjaśnienie! Kim pani jest? Dlaczego pani wypytuje o to wszystko? Kijewicki panią przysłał? Czego on chce? Dlaczego mnie dręczy? – krzyczał Wrubel. – Między mną a Emilią nic nie było. Nigdy. Sama pani słyszała. Z naszej rozmowy jasno wynikało, że...

Był rozgorączkowany ze strachu, miał zbolące i mokre czoło. Przewrócił oczami, szarpnął za brzegi aksamitnej kamizelki i ciężko dysząc, zaczął bezmyślnie rozpinać guziki koszuli. Masza zobaczyła, że jego biała klatka piersiowa jest poznaczona umyślnymi, długimi i głębokimi cięciami.

– Michale Sanyczu! – jęknęła nieszczęsna szantażystka. – Nie mam złych zamiarów! Nie znam żadnego Kijewskiego! Przysłał mnie Włodzimierz Fiodorowicz. Chciałam powiedzieć, że przypomina... Przypomina *Demona* Lermontowa! – Wymyśliła wybieg, ale od razu zorientowała się, że nie najlepszy.

– Skąd pani wie, że to demon? – wyszeptał obsesyjnie Wrubel, jakby bardziej przestraszony niż dotychczas.

Masza zacisnęła wargi, próbując wymyślić, jak może, a jak nie może odpowiedzieć na to pytanie. I nic nie wymyśliła.

– Niedawno czytałam poemat pana Lermontowa. I wydawało mi się, że... Proszę wybaczyć! Byłam tylko ciekawa, czego się tak przestraszyła ta dama – powtórzyła przepraszająco. – Czas na mnie... I proszę się nie niepokoić, na Boga, nikomu nic nie powiem! – dodała, by go pocieszyć, bo wiedziała, że jej mała groźba będzie go dręczyć jeszcze wiele miesięcy

i dni, rodząc obawy, że naraził na szwank honor zameężnej kobiety. – Powiedziałam to z urazy... Niech się pan na mnie nie gniewa.

– Więc pani... nie zna Kijewickiego? – opamiętał się.

Masza potrząsnęła przecząco głową i wycofała się ku drzwiom – do swojego XXI wieku. Z jakiegoś powodu zarzuciła na włosy chustę z koronki, zupełnie niepotrzebną poza tą zamierzoną epoką.

– Proszę zaczekać. – Wrubel zatrzymał ją. – Błagam panią, Nadieżdo Włodzimierzówna! Chcę pojąć! Jest pani szczególną osobą. Przez chwilę zdawało mi się, że jest pani moim wybawieniem. Poczułem to tak wyraźnie, tak namacalnie... A teraz znowu spojrzała pani na mnie tym dziwnym wzrokiem, jakby wiedziała o mnie wszystko i współczuła mi mojej udręki, z której sam jeszcze nie zdaję sobie sprawy. Takie spojrzenie winien mieć Zbawiciel. Od jak dawna jest pani wdową? – zapytał z nagłym zainteresowaniem.

– Od dawna. – Masza machnęła niewyraźnie ręką, ze wstydem spuszczać „ten dziwny wzrok” na podłogę. – Powinnam wracać do domu. Przepraszam.

– Kim są pani rodzice? Gdzie pani mieszka? – Masza czuła, że malarz zapędza ją w róg.

– Jestem sierotą. Mieszczanką. Ale i porządną kobietą! – wypaliła od razu wszystkimi znanymi jej frazesami.

– Niepotrzebnie odmówiła pani pieniędzy – rzekł ciepło.

– Nie mogę przyjąć zapłaty, która nie jest uzyskana uczciwą pracą – odparła Masza, używając frazesu numer cztery.

– Może chce pani...

„...jeść” – domyśliła się niewypowiedzianego słowa po tym, jak zawstydził się zauważalnie, najwyraźniej bojąc się upokorzyć ją tym pytaniem. Zaraz jednak wyprostował się podekscytowany.

– Może pozwoli pani się zaprosić? Bez żadnych dwuznaczności. Porozmawiamy o Lermontowie... Czy była pani kiedyś u Semadeniego na Krieszczatiku?

– Nie – przyznała szczerze. – I nie sędzę, że kiedykolwiek będę.

W myślach Masza stała już na zewnątrz – już biegła ulicą Włodzimierską do Wału Jarosława, marszczyła brwi i szukała w szufladkach pamięci tej właśnie twarzy... Czując, że to w niej – tak przerażającej dla profesorowej Prachowej – tkwił sekret czasu, który już był za nią.

– Zapraszam panią! – oznajmił stanowczo Michaił Sanycz. – Proszę zrobić mi ten zaszczyt. Nie, proszę o wspaniałomyślność. Po prostu muszę z kimś porozmawiać w tej chwili. A pani od razu zaufałam. Natychmiast. Nagle! Jak własnej siostrze. Mam przyrodnią siostrę, Niutę. Opowiem pani o niej. Pójdziemy, Nadieżdo Włodzimierzówna? – W jego pytaniu był jakiś rodzaj lekkomyślności, jakby wykonywał desperacki ruch... Ale to nie miało znaczenia.

Nie potrafiła mu niczego wytłumaczyć, a najlepszym wyjściem było po prostu zgodzić się, opuścić z nim dom przy ulicy Trzech Świętych 10 oraz jego życie przy ulicy Dziesięcinnej 14 i zniknąć w innym czasie i przestrzeni. Zeszli po schodach, a jej towarzysz podał jej rękę z tym samym, wyraźnie zdeterminowanym spojrzeniem. Kiedy wkładała swoją niezadbaną, pozbawioną rękawiczki dłoń w łagodny łuk jego ręki, Masza nagle zrozumiała, że decyzja, by traktować mieszczańkę bez grosza przy duszy, w wyświechtanej sukni, jak światową damę, jest prawdziwym wyczynem. I dotarło do niej nagle, że żal jej się z nim żegnać.

Przerażające jest pozostawienie go tutaj samego – tak niespokojnego, nieszczęśliwego, samotnego, genialnego, miłosiernego – nieuchronnie

skazanego na zaliczenie do dwunastu apostołów, skopioowanych z Cyrylowskich szaleńców.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z nagłym, szczypiącym bólem.

„Czy nie da się już nic zmienić?”

Zamarł, zatrzymując jej spojrzenie i rozpluwając się w uśmiechu:

– Dlaczego pani tak na mnie patrzy? Co pani widzi?

Ale ona tylko pokręciła głową, szepnęła jakby do siebie „żegnaj” i przestąpiła próg.

– Potknęła się pani. – Malarz ujął ją pod rękę. – Dlaczego pani krzyknęła? Zabolało?

Opadł na kolano, próbował wybadać jej pozbawioną czucia kostkę.

– Łał! – wyrwało się Maszy.

I dziewczyna nie była już w stanie myśleć o tym, jak bardzo amerykańskie „łał” Daszy było niestosowne tu i teraz, ponieważ...

* Półjedwabna – specjalne określenie prostytutki pracującej w Kijowie pod przykrywką modystki, uczennicy, kursantki.

Rozdział dziewiętnasty

w którym odwiedzamy kawiarnię „Semadeni”

Wieczór zimowy... Nudnawy...
Lampy rzuciły obrys cieni...
Mam nastrój do zabawy...
Pójdźmy do „Semadeni”...

~ B. A. Semadeni, *Zima*

Przed nią rozciągał się plac pod cerkwią św. Andrzeja, pokryty sypkim, głębokim śniegiem! Śnieg spadał z nieba wielkimi bawełnianymi płatkami. Na środku płonął ogień, a przy nim, ogrzewając swoje ogromne dłonie, stał brodaty i tęgi woźnica w armiaku i wełnianym pasie, znany jej z czarno-białych rycin w gazetach. A za jego plecami, na Górze Starokijowskiej, wznosiła się cerkiew Dziesięcinna z pięcioma grubymi cebulastymi kopułami, z ciężkim kamiennym korpusem, z księciem Włodzimierzem w kamiennej trumnie, również znanej z czarno-białych fotografii. Prawy bok świątyni okrywał białym kocem ośnieżony ogród Murawiowa, opiewany przez Tiutczewa, który teraz królował w miejscu bezdennej jaru. Ten sam, w którym...

*...słodko odpocząć.
Wieje tu ciszą.
Horyzont niezmierny, daleki.
I wyżej snem ufny niesiona,
Nie widzi nic między niebem a sobą
Dusza na chwilę powstała.*

I który był znajomy z czarno-białych wersów poety odwiedzającego – wśród innych znamienitych gości – majątek nieżyjącego już i pochowanego w fundamentach cerkwi św. Andrzeja generała stanu.

Teraz w oknach domu pierwszego od cerkwi św. Andrzeja i ostatniego pod względem numeru – z których to okien wieczne dzieło Rastrellego podziwiał zasiadający obecnie na tronie Aleksander III, i z których trzydzieści lat później będzie je podziwiał jeszcze nienarodzony nastoletni Bułhakow, zamieszkujący tu ze swoją jedyną żoną Tasią Lappą – paliło się światło.

Światło ciepłe i żółte. Armiak na woźnicy był za to ciemnoniebieski. A obok przechadzała się dama w niebieskim, obszytym futrem płaszczu i czepku z fioletowymi wstążkami, niosąc ostrożnie liliowy jedwabny karton i odruchowo strzepując z niego śnieg zarumienioną z zimna dłonią.

Czas czerni i bieli był czasem koloru!

A wszystko to razem było tak „niezmiernie dobre”, tak niemożliwe i pożądane, że Masza zapomniała, że zamierzała wyjść z tych drzwi w zupełnie innym dniu i o innej godzinie. Wręcz przeciwnie, złapała się na szalonej, ale upajająco radosnej myśli, że wreszcie jest w domu! I że gdyby teraz, latem w XXI wieku, wyszła z domu, nie wiedziałyby, jak nazywa się kawiarnia po lewej stronie i co sprzedaje się w sklepie po prawej. Ale wie na pewno, że w dwóch drewnianych dworach na ostrym zakręcie ulicy, w miejscu niewybudowanego jeszcze czerwonego domu numer 34, mieszkają spadkobiercy pisarza Michała Grabowskiego, który blisko znał

się z Szewczenką, Kostomarowem i Kuliszem. A cerkiew św. Andrzeja stoi teraz na innej, skalnej cerkwi św. Sergiusza z Radoneża, znajdującej się w dwupiętrowym piwnicznym budynku pod nią, a w tym budynku jest dokładnie szesnaście pokoi...

– Zmarznie pani, Nadieżdo Włodzimierzówna. – Michaił Wrubel wyciągnął ją na światło. Na jej ramionach spoczywał męski płaszcz, którego wcześniej nie zauważyła. – Mamy wczesną zimę... Hej! – zawołał kawaler do tańczącego przy ogniu woźnicy z nosem zaczerwienionym od wódki. I najwyraźniej nie mogąc doczekać się zapominalskiego klienta, dorożkarz ruszył w ich stronę.

Masza zrobiła krok w puszysty i sypki śnieg i uświadomiła sobie, dlaczego jej jedwabne buty wprawiły artystę w zakłopotanie. Stopa zapadała się w śnieg aż po kostki. A Masza Kowalowa natychmiast wpadła w przeszłość, która nagle stała się mokra, zimna, wielobarwna, pachnąca terażniejszością. Jej zbuntowana dusza wyrывała się, rosła, rozpuszczała, tańczyła w wesołych płatkach śniegu, nie zamierzając wracać do Maszy ani do wieku, który ją stworzył.

– Na Krieszczatik do cukierni „Semadeni” – przykazał woźnicy Michaił Aleksandrowicz.

– To będą dwa ruble, panie – mruknął niepewnie woźnica. Mrużył oczy na dziwnego pana w białych pończochach. Wydawało mu się, że żąda niewyobrażalnie wysokiej ceny. Ale pan tylko machnął na niego ręką i podsadziwszy swoją towarzyszkę do siedziska, pośpiesznie okrył ją kocem aż po brodę.

– Łatwo można się rozchorować. Przyszła pani do mnie z Padołu? – Twarz Wrubla wygładziła się całkowicie, wyglądał jak dziesięcioletek, który z radością niańczy głupiego i niezdarnego podwórkowego szczeniaka.

– Można, można! – wyszeptała Masza z niepohamowanym szczenięcym zachwytem, dusząc się mroźnym, czystym i niewiarygodnie nowym powietrzem. – Czy możemy przejechać przez Bibikowski? Pr-r-r-roszę!

– Słyszałeś, co rozkazała barysznia? – zaśmiał się Wrubel. – No dalej!

– Jazda! – Woźnica popędził rudą klacz lejcami. – Uważaj!



To była najpiękniejsza podróż w jej życiu. Nie, w ogóle najpiękniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek zdarzyła się w życiu Maszy. Piękniejsza niż mapa gwiazd paląca niebo! Piękniejsza niż przelot nad miastem! Piękniejsza niż cokolwiek innego!

Kijów szybko rzucił się jej w ramiona.

Zwalił się na nią ogromną, nielubianą przez kijowian, quasi -bizantyjską cerkwią Dziesięcinną, zbudowaną na wzór najwyższej na świecie prawosławnej moskiewskiej świątyni Chrystusa Zbawiciela i zburzoną, również jak ona, w latach trzydziestych.

Koń puścił się kłusem w objęcia placu Sofijskiego, na którym nie było jeszcze Bogdana Chmielnickiego, a odwróciwszy pośpiesznie głowę w lewo, Masza zdołała dostrzec w oddali prawdziwy Monaster św. Michała Archanioła o Złoty Kopułach. I pomyśleć, że tam, w dziewięciofuntowym, bajecznym, srebrnym grobowcu, pod czternastofuntowym srebrnym baldachimem leży męczennica, prześladowczyni wiedźm Barbara (na dekorację której hetman Mazepa wydał część swojego skarbu!), zaś na jej dłoni płoną drogimi kamieniami pierścienie carów, którzy wymieniali się nimi ze świętą. Nad nią wisi napisana na złotej płytce ikona patrona Kijowa, Archanioła Michała, wysadzana trzema tysiącami brylantów, подарowana przez Aleksandra I na

część generała -gubernatora kijowskiego Michaiła Illarionowicza Kutuzowa, zwycięzcy wojny z 1812 roku! Dwie cenne relikwie, które zniknęły i na zawsze zostały utracone dla jej Kijowa, a których opis zawsze pobudzał do głębi wyobraźnię Maszy.

„Czy możemy się zatrzymać?” – chciała krzyknąć. „Tylko rzucę okiem! Tak o tym marzyłam!”

Ale sanie wiozły ją już ulicą Wielką Włodzimierską, która wcisnęła Maszę na tył sań w niewiarygodny sposób: stare budynki, z których starannie budowała swój „prawdziwy” Kijów, nie były jeszcze zbudowane! Nie wzniesli jeszcze kawiarni „Markiz” w okazałym budynku na rogu ulicy Proriecznej, nie wymyślili zamku przy Wale Jarosława ani nie zaplanowali obecnego teatru operowego na miejscu jeszcze niespalonego Teatru Miejskiego.

Ale jej uniwersytet już był!

„Witaj, mój najdroższy!”

Czerwono-czarny. Imienia św. Włodzimierza! Zbudowany za czasów generała-gubernatora Dmitrija Gawryłowicza Bibikowa.

I było Gimnazjum nr 1! „Czteropoziomowy statek, który niegdyś przewoził na pełnym morzu dziesiątki tysięcy istot ludzkich...”

Był tam też bulwar Bibikowski!

A kiedy skręcili, rzucili się w dół, na Krieszczatik – ten, którego Masza nigdy wcześniej nie widziała.

Krieszczatik Maszy, poza niewielkim skrawkiem od Bibikowskiego do Funduklejewskiej, był w tym samym wieku, co moskiewskie „drapacze chmur”. Krieszczatik Bułhakowa – marzenie Maszy zniszczone przez bomby wielkiej wojny ojczyźnianej – miał reputację europejskiego dżentelmena, z jego zmanierowaną „nowoczesnością”, szykownymi wagonami tramwajowymi typu „pullman”, atramentowymi lokami

elektrycznych latarni... Ten gazowy Krieszczatik, niski i tak szalenie młody teraz, zaledwie od szesnastu lat ze swą oficjalną nazwą, otoczył ją młodzieńczym uściskiem i roztoczył przed oszołomioną młodą damą setki eleganckich szyldów, wiszących jeden nad drugim i zasłaniających fasady domów.

A kiedy, zatoczywszy pełne koło na drugą stronę, sanie zawiozły ją w kierunku placu Dumskiego, Krieszczatikowego („Jak on się teraz nazywa?”), Masza tylko szeroko otworzyła usta, jakby się bała, że nie zdąży przełknąć jakiegoś wrażenia. I podobnie jak sławetny obżarciuch Robin Bobin Barabek, połknęła od razu legendarnego pierwszego osadnika Krieszczatiku – dwupiętrowy budynek w stylu klasycznym, zbudowany w 1797 roku w zupełnie pustej dolinie Krieszczatej. Po prawej stronie jeszcze bardziej legendarny dwór profesora Meringa, a za nim rozległy majątek z szerokim stawem. W 1897 roku z pomocą architekta Horodeckiego podzielony na ulice: Bankową, Olgowską, Meringowską i Nikołowską, które sto lat później nazwano na cześć samego Horodeckiego. Po lewej, wypełniając bezwstydnie cały plac („Ach, tak, Niepodległości!”), stał majestatyczny budynek Dumy Miejskiej, z niebiańskim patronem miasta wznoszącym się na trzypiętrowej iglicy wieży. I „Nowa szwajcarska cukiernia B. A. Semadeniego” po przeciwnej stronie. I jedyny znajomy Maszy, położony na górze nad „ulicą tysiąca sklepów”, Instytut Panien Szlachetnie Urodzonych, którego architekt i zarazem jeden z ojców Kijowa, Vincent Beretti, jeszcze czterdzieści lat temu wyobrażał sobie, że buduje go w jednym z najbardziej odludnych i cichych zakątków miasta.

Koń poszedł stępem i zatrzymał się przed domem Stiflera, ozdobionym znakiem słodkiego Szwajcara, znanego na całym świecie z wynalezienia mentolowych kropli na kaszel.

Woźnica mruknął coś spod kudłatej futrzanej czapy. Kowalowa rzuciła ostatnie niezaspokojone spojrzenie w dal – na plac Europejski, który przed narodzinami Maszy zdążył zmienić nazwę kilkakrotnie i powrócić do tej pierwotnej. Chciwie pożarła pozbawioną życia misę fontanny „Iwan” i kawałek Wzgórza Włodzimierskiego, pod którym nie było dawnego Muzeum Lenina ani obecnego Domu Ukraińskiego, lecz stał „Europejski” hotel syna architekta Vincenta. Pochłonęła wzrokiem nowy budynek zgromadzenia kupców, znany jej jako Stara Filharmonia. Bezskutecznie i rozpaczliwie próbowała zwrócić oczy za róg, marząc, by ujrzeć dopiero co (!) otwarty park kwiatów Château de Flers w miejscu zupełnie niepotrzebnego Maszy stadionu „Dynamo”, którego teren był teraz pięknym jeziorem, otoczonym ogrodem różanym ogrodnika Karla Christianiego...

A potem, z lekkim westchnieniem, przyjęła wyciągniętą dłoń Wrubla, pocieszając się myślą o drodze powrotnej.

„Oby przez Michajłowski! Żeby zerknąć na rękę Barbary z pierścieniami. Dlaczego teraz ich nie sprzedają? W końcu mogliby we Włodzimierskim... Boże! Boże!” – Dziewczynie kręciło się w głowie.

Malarz stanowczo otworzył przed nią drzwi cukierni „Semadeni”. Dopiero tutaj młoda dama mogła w pełni docenić szaleństwo swojego kawalera: wszystkie twarze natychmiast zwróciły się na nich, pogardliwe, zdumione, niedowierzające, wyłącznie męskie. Kowalowa boleśnie próbowała przypomnieć sobie datę, której, niestety, jej nauczyciele nigdy nie uwzględnili w zestawach egzaminacyjnych: kiedy kobiety – porządne, nie prostytutki! – zaczęły uczęszczać do publicznych kawiarni? Chyba jeszcze w latach sześćdziesiątych... Choć nie miało to znaczenia, bo żaden z obecnych tu panów, oburzonych, spoglądających na nich spod „Sankt-Petersburskich wiadomości” i „Kijowskiego telegrafu”, nigdy nie uznałby

za godną szacunku pannę, która pojawiła się w miejscu publicznym w męskim płaszczu w towarzystwie blondwłosego Wenecjanina z obrazu Tycjana.

„On naprawdę jest szalony!” – pomyślała cicho i radośnie. „Niesamowite. Wspaniałe! I po co mu ta Prachowa?”

Ekstrawagancki towarzysz uroczyście podsunął Maszy krzesło, a ona, usiadłszy przy trójnożnym stoliku przy oknie, zacisnęła dziesięć namiętnie rozłożonych palców na okrągłym marmurowym blacie i pochyliła się nad nim, ledwie mogąc się powstrzymać przed pocałowaniem go na oczach zdumionej publiczności.

„Znam to miejsce! Czytałam o nim w autobiografii Paustowskiego! Tylko w tamtym czasie blaty były pokryte liczbami! Obok kawiarni już jest giełda, a biznesmeni liczyli zyski przy tych stolikach”. Masza uśmiechnęła się od ucha do ucha i prawie podzieliła się tym z Wrublem, ale w porę ugryzła się w język.

– Prachowowie zawsze zamawiają ciasta w „Semadeni”, a tort u Georges! Ale ceny tutaj są całkiem rozsądne, proszę się nie krępować, Nadieżdo Włodzimierzówna. Co mogę pani zaproponować?

Maria Włodzimierzówna słodko przywołała stronę ze znanej jej książki.

– Lody pistacjowe! – oznajmiła z radością.

I pomyślała, mrużąc oczy z zachwytem: „Te, które zamawiał Paustowski! On też uczył się w I Gimnazjum Cesarskim, razem z Sikorskim i Bułhakowem. A Wrubel to też Misza...”

„Mamo, jestem w domu!”

Przystojny dżentelmen przy sąsiednim stoliku zmrużył na nią swoje oprawione w złote binokle oczy, a z jego opuchniętej twarzy Masza przeczytała coś zupełnie przeciwnego: „Kim ona do cholery jest? Za kogo się uważa? Wyprowadźcie ją natychmiast...”.

„Jeszcze czego!” – odparła w myślach. „Ta kawiarnia nie jest restauracją w «Europejskim». Jest demokratyczna, «dla wszystkich rodzajów młodzieży» i dżentelmenów prostszego pokroju. Wiem to bardzo dobrze!”

„Też Misza” spojrział na nią z rozbawieniem.

– Nie jest mi zimno! – zaśmiała się niekontrolowanie Masza. – Naprawdę! – Trzęsa się. – To z nerwów. Ze szczęścia. – Podobnie jak na Górze Starokijowskiej, ogarnęła ją gwałtowna histeria szczęścia, pomnożona przez dokładnie 1884!

– Tegom się nie spodziewałem. Pani pierwszy raz w saniach? – zdumiał się dżentelmen, składając zamówienie u skonfundowanego kelnera („Czym mogę służyć? Czy mogę podać coś jeszcze? Dla trzeźwej klienteli są herbaty, kawy, czekolady, gazowane lemoniady...”), który równie niechętnie przyjął je od tak dziwnej pary, ale i tak wręczył im jasnoniebieską kartkę.

– Nidy wcześniej nie jeździłam! – Masza Kowalowa prawie się rozplakała. – I nie widziałam miasta! Prawie nic. Tak się złożyło. Wie pan, Misz... Michaile Sanyczu – dziewczyna nie zdecydowała się na takie spoufalenie – kocham Kijów! Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo go kocham!

– Ja też – pochylił się ku niej, rozszerzając swoje błyszczące oczy. – Ja też kocham to miasto... Przynajmniej przez kilka pierwszych miesięcy. Nigdzie, nigdy nie byłem szczęśliwszy. Ani w domu w Charkowie, ani tym bardziej w Petersburgu. W Charkowie jest moja rodzina, ojciec nigdy mnie nie rozumiał... Petersburg jest zimny, szary. A Kijów to miasto rozległych zielonych wzgórz i białych cerkwi, pogodne, jak obrazek z bajki. Otwarte, naturalne, kapryśne niczym żywa istota! Gdy tylko zobaczyłem go z okna wagonu, pomyślałem, że jestem w bajce, i wiedziałem, że jestem w domu.

– W domu? – powtórzyła za nim Masza jak zaklęta, wsłuchując się w ciche stukanie kul z sąsiedniej sali bilardowej.

„Najlepszy bilard w Kijowie był u Semadeniego!”

Z wdzięcznością wyjrzała przez okno ubrane w zasłonę zamieci, czując się jak spokojna bohaterka wiersza szwajcarskiego cukiernika, reklamującego swoje ukochane dzieło prostą poezją własnej kompozycji:

*Wypiję filiżankę kawy lub czaju,
pomarzę godzinę...
Spędzę wcale nie znudzony
zimowy wieczór uśpiony.*

„Jak tu cudownie!”

– Pamiętam, jakżem pisał siostrze – wspomniał gorąco Misza – „Kijów jest wspaniały. Jakaż szkoda, że tu nie mieszkam!” Codziennie chodziłem do Cyryłowskiej od Afanasjewskiej.

– Od... – („Dzisiaj to Franki!”) – To bardzo daleko! – zdumiała się Masza.

– Szedłem Lwowską, Łukjanówką, szlakiem przez Repjachowy Jar, aż do Góry Cyryłowskiej. O tym wzgórzu krążą złe plotki. Ale Adrian Wiktorowicz dowiódł naukowo, że to bzdury! Po raz pierwszy wykonywałem ważne zlecenie, byłem za coś odpowiedzialny, byłem kimś istotnym. Stałem na czele całego artelu, a uczniowie Muraszki mieszały farby według moich receptur, kopiowali moje szkice... Ale przede wszystkim po raz pierwszy w życiu robiłem coś wartościowego, wcześniej tylko rzeczy nieistotne i bezwartościowe. Nawet teraz z goryczą dostrzegam, jak wiele muszę nad sobą pracować.

– Powiedzie się panu! – zapewniała go Masza Kowalowa. – A pewnego dnia, za sto lat, pańską drogę nazwą pewnie „Zjazdem Wrubla”! – obiecała,

żałując ogromnie, że nie może powiedzieć prawdy: „Przecież nazwali!”.

– Czemuż pani tak myśli? – zapytał artysta, patrząc jej uważnie w oczy. – Czyżby widziała pani moje prace w soborze Cyrylowskim?

– Tak. Proszę mi zaufać! O!

Przeszedł ją dreszcz, gdy usłyszała gdzieś w oddali trzeszczący i niezwykle dźwięk telefonu Bella – pierwszego w Kijowie – zainstalowanego w postępowym lokalu „Semadeni” („W 1884. Teraz! Niedawno!”) na długo przed globalną telefonizacją miasta. Ale ogromny jak zegar podłogowy aparat „dla potrzeb wewnętrznych” musiał być schowany gdzieś w środku.

„Jaka szkoda!”

Przystojny sąsiad w szarym surducie nadal wpatrywał się podle w niestosownie wiercącą się Maszę, nie mógł oderwać od niej oczu: „Kokotka?” – zapytywało lewe oko. „Kursantka?” – sprzeciwiało się prawe. Natomiast sąsiad sąsiada, wykorzystując zamyślenie na jego twarzy, wyrwał mu spod łokcia długo oczekiwaną gazetę.

*...Zimą to miejsce przytulne.
Ciepła sala światłem lśni,
Czytam tam gazety różne
W niepogodne dni...*

„Jak dobrze! Jak dobrze!”

– Tak bardzo chciałbym pani wierzyć!

Wrubel spojrział na nią i pokręcił głową.

– Jednak – rzekł do siebie Michaił Sanycz – ona też we mnie wierzy. Kiedy przyjechałem do Kijowa, prawie zamieszkałem z ich rodziną. Odbywaliśmy pozorowane bitwy w ich daczy, oblewając się wodą. Zakładaliśmy nasze tułupy wywrócone na drugą stronę i strasziliśmy

kucharkę, udając dziada borowego. Graliśmy w szarady. Mojej – chwalił się dziecinnie – nikt nie odgadł! Położyłem się na ziemi z zamkniętymi oczami i próbowałem złapać coś ustami. A słowo to brzmiało „Wasniecowa”!

– Wiktor Michajłowicz?

– We własnej osobie: „wa”, „śnie” i „cowa”!

– „Cowa?”

– To takie nieznanne owady! Oczywiście nikt poza mną ich nie zna – roześmiał się. – Byłem takim szczęśliwym! Takim szczęśliwym! I wtedy jakbym zachorował... – Zamilkł i z wahaniem spojrzał na Maszę i zaczął: – Nie zadaje się takich pytań damom, ale pani... Pani ma już doświadczenie!

– Może pan być ze mną całkowicie szczery! W żaden sposób mnie pan nie zafrasuje, przysięgam! – Masza wyrwała z pamięci zawile słowo, myśląc po czasie, że jak na przyzwoitą mieszczańkę z Padołu stała się nad wyraz energiczna i dość *bon ton*.

Zwinny posługacz z godną pochwałą zręcznością postawił na ich stole pucharek z lodami pistacjowymi i szklanekę lemoniady-gaz, a przed sąsiadem w binoklach butelkę wina Bolgatur.

Masza słodko nabrała białą lodową mieszankę...

– Proszę powiedzieć, czy kiedykolwiek pragnęła pani kogoś tak bardzo, że cała pani natura, wszystkie myśli i uczucia stały się jednym nieposkromionym pragnieniem?

Zawahał się, jakby obawiając się reakcji na to zbyt szczere, wręcz bezwstydne pytanie. Ale Masza zastanowiła się tylko chwilę, ssąc łyżkę i przymierzając do tych słów swoją miłość do Mira, po czym pokręciła pewnie głową:

– Nie. Nie tak.

– I Bogu niech będą za to dzięki! – rzekł żarliwie. – Nikomu nie powiedziałem, nawet mojej siostrze, a jesteśmy bardzo blisko... Ale pani

i tak już wszystko wie. Słyszała pani naszą rozmowę. Pewnie się pani domyśliła: ona jest wspaniałym człowiekiem!

– Tak? – Kowalowa zmarszczyła z niechęcią brwi.

– Wcale nie przypomina innych dam – zapewnił, coraz bardziej podekscytowany. – Choć jest niezwykle inteligentna, wykształcona i ukończyła konserwatorium w klasie fortepianu. Pobierała lekcje u samego Liszta! Ale nie jest hipokrytką, nie jest pruderyjna, ona żyje. Jest szczerą. Nie ma w niej nic z praktyczności, którą powinna mieć matka trójki dzieci. Nieustannie przeciwstawia się wszelkiej praktyczności! Ona jest jak dziecko. Tak jak ja! Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Pewnego razu, proszę sobie wyobrazić, zdenerwował ją gość, żona rzeźbiarza Antokolskiego. Emilia wylała więc na jej głowę wiadro wody! Czy pani to sobie wyobraża?! – Jego twarz rozjaśnił entuzjastyczny uśmiech, naprawdę wyglądał jak chłopiec, który opowiada o odwadze innego, starszego towarzysza, marząc, by być jak on. – A to, że uderzyła mnie w twarz, było słusznym posunięciem!

– Pan wręcz ją czci – rzekła ze smutkiem Masza.

– Tak – odparł, a oblicze mu pociemniało. – Ale gdy tylko się w niej zakochałem, doznałem dziwnego i dręczącego uczucia, jakbym stał na skraju przepaści i miał popełnić coś nieodwracalnego, co na zawsze zrujnuje moją duszę, a czego nie da się już naprawić! Kijów jest dla mnie pułapką, pułapką zastawioną przez mój los! Ale co ma z tym wspólnego Kijów? To takie naturalne, bo to przecież żona mojego dobroczyńcy, czymże bym był, gdyby nie Adrian Wiktorowicz... A jednak, co najdziwniejsze, w Kijowie, tym mieście cerkwi, nagle zdałem sobie sprawę, że tracę wiarę. Bo istnieje taka miłość, która sama w sobie jest wyzwaniem rzuconym Bogu. Ponieważ jest tak wielka, że w sercu nie ma miejsca dla dwóch bogów. A ty mimowolnie wyrzucasz stamtąd niebiańskiego

Stwórcę. Bogiem staje się ten, kogo kochasz! Ten, do kogo należysz, do kogo się modlisz, w kim pokładasz ufność, kto jako jedyny może dać ci szczęście i smutek, zniszczyć cię i nagrodzić. I każde jego słowo staje się dla ciebie większe i bardziej znaczące niż wszystkie słowa Chrystusa. Każdy drobiazg wzięty z jego rąk jest rzeczą świętą!

Malarz spojrział na Maszę i zmarszczył czoło. Poluzował kołnierz swojej kamizelki i wsunął rękę za pazuchę, pociągając za jakiś cienki sznurek na szyi.

Za sznurkiem wynurzyła się mała sakiewka, która spadła na przezornie wyciągniętą dłoń Maszy.

– Proszę zobaczyć, co teraz noszę na szyi zamiast...

„Krzyża” – domyśliła się Masza.

Z wahaniem otworzyła amulet w postaci woreczka i zobaczyła w środku coś, co wyglądało jak zakurzona ziemia z resztkami wysuszonego igliwia.

– Co to jest? – zapytała.

Wyswobodził gwałtownie szyję ze sznurka, jakby wypowiadając żarliwą spowiedź, na sekundę uwolnił się od tych uczuć i przemówił sarkastycznie, wyniośle:

– Ziemia. Ziemia, po której stąpała jej noga! Ależ to jest frazes! W domku letniskowym, kiedy graliśmy w szarady, ja udawałem rycerza, a ona piękną damę mego serca. Powiedziałem: „Proszę pozwolić mi ucałować ziemię, po której stąpała pani stopa”. A ona się roześmiała: „O nie, rycerzu, z twoją podagrą to zbyt niebezpieczny wyczyn!”. Słowo „podagra” było tym, które należało rozszyfrować. „Po”, czyli Poe, był nowomodnym pisarzem, Emilia właśnie przeczytała jego powieść *Kruk*. „Da” to zgoda. I „gra”. Ja w tej scenie byłem panem, grałem na fujarce... Emilia Lwowna mówi więc: „Lepiej sama ją podniosę i zaszyję

w woreczku. Jak najdzie pana ochota, będzie mógł pan ją wyjąć i pocałować”. Potem, dla żartu, zaszyła ją i mi dała. Śmiała się: „Jesteś teraz moim rycerzem i złożyłeś mi przysięgę na wieki”. Najpierw i ja się roześmiałem... A potem przestałem się śmiać.

Masza ze smutkiem wetknęła palec w ziemię z daczy Prachowych – chciało jej się płakać. I wtedy dotarło do niej, że ona też ma na szyi nie krzyżyk, ale klucz do domu numer 13. A to, oczywiście, nie było dobre...

Bezmyślnie wykopała z ziemi poźółkłą sosnową igłę, pamiętającą jeszcze radosnego Miszę, i złamała ją w dłoni.

– Ciąłem sobie klatkę piersiową – rzekł nagle.

– Co? – spytała Masza, patrząc na artystę rozszerzonymi z przerażenia oczami.

– Do krwi. Brzytwą. – Odciągnął brzegi kamizelki, a litościwe spojrzenie Maszy ponownie spoczęło na długich, świeżych nacięciach na jego piersi. – Przyćmić jeden ból drugim! Najgorsi ludzie na tym świecie to ci, których kochamy, Nadieżdo Włodzimierzówna! Jakkolwiek piękni są... A później pojawił się on!

– Kto? – zapytała przeraźliwym szeptem Masza.

– Demon. Nie *Demon* pana Lermontowa, tylko mój własny – wyjaśnił wymownie Wrubel. – Dementy Kijewicki, przyjaciel profesora Prachowa.

– Dementy Kijewicki?

„K. D.? Ale nie” – przekonywała samą siebie – „ta informacja jest dla nas nieaktualna o jakieś sto lat. A dokładnie sto dwadzieścia”.

– Ale dlaczego nazywa go pan demonem?

– To ona, ona go tak nazywa! – rzekł z chorobliwą autoironią. – Z kpiną. Bo nie ma w nim nic demonicznego. Jest zwykłym bogaczem i dandysem, lubi żartować i wydaje mu się, że interesuje się historią. Tylko czy ma dosłownie jak kot, który, mruczając na kuchence, nie odrywa

wzroku od myszy. Od Emilii Lwowny... Na początku uważałem go za rywala, myślałem, że on też coś do niej czuje! Ale nie, jest coś innego... Nie rozumiem. Jest między nimi jakaś więź, niezależnie od tego, czy on boi się jej, czy ona jego. I nie wiem, dlaczego ja też zacząłem się go bać, a jego obecność stała się dla mnie nie do zniesienia. Niedawno spotkałem go w Château de Fleurs. Podszedł do mnie i powiedział z uśmiechem: „Słyszałem, że szuka pan objawienia czystego geniuszu piękna dla obrazu Matki Bożej. Cóż, mam pewien pomysł. Ma na imię Nadieżda. Włodzimierz Fiodorowicz ją zna. Poproszę go, żeby was zapoznał. Ona nie jest modelką. Ale jeśli się panu spodoba, obiecuję, że sam rozwiążę wszelkie trudności. Myślę, że Nadieżda jest dokładnie tym, czego pan teraz potrzebuje”. Dziwne, że pani go nie zna – urwał zamyślony. – Myślałem, że to jeszcze jeden z jego dowcipów. Ale dziś Włodzimierz Fiodorowicz przysłał mi list. Napisał, że jutro przyjedzie do mnie Nadieżda. Jakie to szczęście, że przyjechała pani wcześniej!

– Szczęście? – powtórzyła Masza, wpatrując się w jego smętne, regularne, zniekształcone przez dni bólu rysy. – W czym to szczęście?

– W tym, że w przeciwnym razie właśnie dziś wieczorem powiedziałbym panu Kijewickiemu u Prachowych, że będę musiał odwołać tę wizytę. I nigdy bym pani nie poznał, Nadieżdo Włodzimierzówna! – Artysta pośpiesznie położył ręce na spoczywających na stole dłoniach Maszy i spojrzał w jej oczy z niezrozumiałą, pełną napięcia prośbą. – Ale ja nie pójdę do niej teraz! Emilia Lwowna jest piękną, wspaniałą kobietą. Jest gotowa złamać zasady, byle tylko mi pomóc. Ale jeśli sam zapanuję na własną żądzą, ten projekt będzie zbyteczny. Czyż nie?

– Prawdopodobnie – rzekła Masza. A w brzuchu natychmiast poczuła łaskotanie, słodkie i jednocześnie nieznośnie krępujące.

I to sprawiło, że chciała uciec od niego, a razem z nim od wszystkich – jednocześnie!

– Kocham ją. Ale nigdy nie wziąłbym jej na modelkę, są ku temu powody, proszę mi wierzyć! Nawet teraz widzę panią jako Matkę Bożą. Może dlatego, że w ogóle pani nie znam i nie kojarzę pani z żadnymi pani myślami czy uczynkami. I dlatego tak łatwo jest mi być w pani towarzystwie! Tak łatwo, jak wtedy, gdy przyjechałem po raz pierwszy do Kijowa, gdy poczułem, że wróciło do mnie szczęście. Pani mi przecież nie odmówi, Nadieżdo, prawda? – Usłyszała, jak teraz jej pożyczone imię nabrało dla niego innego, prymarnego znaczenia. Nadzieja na powrót do zdrowia. Nadzieja na kolejne życie. Nadzieja na szczęście.

Odwróciła się.

„Ciekawe” – myślała gorączkowo, patrząc przez okno na wciąż jeszcze dwupoziomowy budynek Dumy Miejskiej, przez który plac Krieszczetik naprzeciwko przestał być placem i zrównał się z ulicą o tej samej nazwie – „kim ona jest, ta prawdziwa Nadia, Nadieżda, polecona mu przez jego «demoną»? I to dobrze czy źle, że współczująca, nieprzewidywalna i ekscentryczna do granic możliwości Emilia Prachowa nieświadomie pokrzyżowała mu plany? I dlaczego tak się przestraszyła, gdy zobaczyła na portrecie znajomego dowcipnisa?”

Ale to wszystko, szczerze mówiąc, zajmowało Maszę tylko teoretycznie, jak zadanie domowe. Nie bardziej niż zaśnieżony wąsacz w fantazyjnym płaszczu, przechadzający się niespokojnie za szybą, z głową wciśniętą w ramiona. Dziewczyna, którą mimochodem nazwała pensjonarką, wielkooka, z twarzą otuloną szerokim pasem kapelusza, zatrzymała się na chwilę i spojrzała na nich zdezorientowana. Baba w chustce...

Zajmowało ją tylko jedno: co by się stało, gdyby się zgodziła? To uchroniłoby nieustraszoną profesorową od pustych plotek, a Wrubla od sporu z Prachowem. I ten nie zawiesiłby go w pracy w soborze św. Włodzimierza. A przez to Włodzimierski byłby jeszcze piękniejszy! A może Misza zostałby w Kijowie, tak jak sobie wymarzył...

– Błagam panią, proszę nie odmawiać! – Wrubel uśmiechnął się żarliwie. – Proszę nie odchodzić, nie zostawiać mnie samego! – krzyknął rozpaczliwie, a Masza, zbyt niedoświadczona w tej materii, wycofała się, nie mogąc zrozumieć, dlaczego tak usilnie prosi ją o pozostanie, skoro teraz siedzi przed nim i nie ma zamiaru odchodzić. – Jeśli zostanie pani dziś ze mną, nie pójdę do niej. Proszę mnie ratować, błagam! Jest pani kobietą, pani może to zrobić. Wiem, że proszę o rzecz niemożliwą, ale...

Dopiero wtedy Masza zrozumiała, o co dokładnie prosił malarz. I że słowo „kobieta” nie oznacza przynależności do słabszej płci, ale brak niewinności. Jej żołądek zaczął się rozplýwać, a w kolanach nagle jakby zniknęły kości – stały się płynne i miękkie.

– Proszę mnie nie zostawiać!

Ścisnął ręce Maszy tak mocno, że ciepło jego dłoni rozlało się na nadgarstki, łokcie, przedramiona. A chłód natychmiast przebiegł po jej plecach i ramionach, otulił je puchowym szalem. Masza skostniała i nerwowo potrząsnęła ramionami. W środku nieoczekiwanie i w niewytłumaczalny sposób pojawiło się pragnienie, ciągnące niczym płynny karmel, by się poddać, ulec, zmięknąć i powiedzieć „tak”.

Zamarła, widząc już w marzeniach, jak pędzi w saniach po zaśnieżonym Krieszczatiku, w górę, ulicą Trzech Świętych, obok monasteru św. Michała Archanioła, obok domu Prachowych, z powrotem na Zjazd św. Andrzeja, do domu przy schodach cerkwi, do pokoju z żelaznym łóżkiem. Już czując na swojej skórze tuż pod skronią jego

suche, spierzchnięte usta, zastygłe teraz pół łokcia od niej – jeszcze nieosiągalne, jeszcze niemożliwe!

I nawet pomyślała: „Może utrata dziewictwa sto lat temu, zanim jeszcze się urodziłam, nie liczy się tak naprawdę?”.

– Błagam panią! – szepnął gorączkowo i bez nadziei, spuszczać oczy.

A Masza poczuła, że pępowina łącząca ją z szóstym lipca, z dwudziestym pierwszym stuleciem, została nieodwołalnie przerwana. Kijów śnieżny, Kijów patriarchalny, z setką jeszcze niezburzonych cerkwi, z gazowymi latarniami i lampami Carcela, łuskający słonecznik i kupujący suche konfitury do herbaty, przyłgnął do niej, otulił ciężkim aksamitem i morą, olibanum i saszetkami z lawendą, uwodząc ją wielkanocnymi konwaliami, damskimi prunelowymi pantofelkami, złotymi orzechami bożonarodzeniowymi i perfumami „Ulubiony bukiet cesarzowej”, które jeszcze nie zostały przechrzczone na „Czerwoną Moskwę”.

Przytulił ją mocno do siebie, szeptał do ucha: „Jesteś moja, jesteś w domu, tak miało być! Potrzebuję cię!”.

– Potrzebuję pani! Wiem, że to brzmi szalenie. Pani mnie nie zna, a ja nie znam pani. Ale czuję, proszę mi wierzyć, czuję, że właśnie teraz, w tej sekundzie, cały mój los wisi na włosku!

„Ma rację!”

„Mamo, mamo...”

Ale nie było mamy. Ona nie istniała! Miała się urodzić dopiero siedemdziesiąt lat później, w nieistniejącej jeszcze przyszłości.

– Jestem biedny, nie mam nazwiska, tytułu ani szczególnych widoków na przyszłość. Sam nie wiem, co się ze mną stanie jutro, z moją nieumiejętnością gospodarowania czasem, niewybaczalnym lenistwem, chorągiewatością, bałaganem w głowie. Może nawet jestem beztalenciem i nie wyjdzie ze mnie nic wartego uwagi...

– Co pan mówi?! – zaprotestowała gorączkowo Masza. – Nie zna pan swojej wartości! Będzie pan genialnym malarzem. Obiecuję to panu! Cały świat się o panu dowie!

– Nie potrzebuję świata. Potrzebuję pani! Teraz!

Masza odchyliła się na oparcie krzesła, wyrrywając przerażone ręce z dłoni Wrubla.

Mir! Zupełnie o nim zapomniała!

Ale nawet przypomniawszy sobie, nie doświadczyła niczego poza poczuciem jego całkowitej niepotrzebności. Nagle, beznamiętna i obojętna, uświadomiła sobie, że nigdy nie kochała Mira Krasawickiego i że jej miłość do niego była tak samo niedorzeczna, nieprawdziwa i zafiksowana, jak jej wcześniejsze dziecięce zauroczenia postaciami literackimi i filmowymi. A kiedy Mir, żywy i prawdziwy, dotknął jej, ona chciała tylko jednego – wyrwać się i uciec! Teraz odsuwała się tylko dlatego, że pragnęła zostać, aż do szaleństwa!

– Proszę o pani rękę!

– CO?

Masza łapczywie chwyciła ustami powietrze.

„Karambol!” – krzyknął ktoś doniośle w sali bilardowej...

– Odłożę moją podróż do Wenecji.

– O!

– Proszę powiedzieć „tak”!

Tak!

Ona za niego wyjdzie! Wezmą ślub w cerkwi św. Mikołaja Dobrego na Padole, jak Bułhakow i Tasia Lappa. Kupią obrączki z ręki świętej Barbary, jak Nadieżda i Osip Mandelsztam. Zaopiekuje się nim, będzie troszczyć o niego i nieustannie powtarzać, że jest utalentowany, genialny, że jego

sława jest nieunikniona. On nie postrada zmysłów! Zamieszkają na Zjeździe św. Andrzeja...

„Zmienisz historię!”

– Nie! – wykrzyknęła Masza ostatkiem sił.

I pobięła do wyjścia.

– To jest niedopuszczalne! To jest szanowany zakład, proszę państwa! – wybuchnął wreszcie właściciel binokli i butelki wina Bolgatur.

Masza słyszała, jak Misza poderwał się z miejsca, chcąc ją dogonić. Wiedziała, że biegnie za nią, zaledwie dwa kroki od niej, i że zaraz wyciągnie rękę i dotknie jej ramienia, aby ją zatrzymać, a gdy tylko to zrobi, ona zatrzyma się i zostanie z nim! Tutaj. Na zawsze. Bez żalu zrezygnuje ze swojego życia w XXI wieku. Bo tu jest jej dom. Właśnie z nim. Ona go uratuje!

„No dalej!”

Prawe ramię przeszył ciągnący ból oczekiwania na jego dłoń...

Ale dłoni nie było. Zatrzymała się więc i odwróciła.

Michaił Wrubel zeszywniał, chwycił się oparcia krzesła i wpatrywał wściekle w okno, za którym stał w wysokim, czarnym, oprószonym śniegiem eleganckim cylindrze, machając nerwowo laską, imponujący brunet z niebieskookim sygnetem na palcu serdecznym.

Ten sam. Ale tak samo mało podobny do tego przyjaznego, słonecznego, beztroskiego chłopaka w białym dżinsowym garniturze, jak i do tego drugiego, wielkoustego, szerokonosego...

A jednak od razu zrozumiała, dlaczego wyrazista Emilia Lwowna natychmiast go rozpoznała i przestraszyła się – gniewnego i ostrego, o oczach jak wilcze jagody, bez dna.

„Demon!” – eksplodowało w jej głowie.

Masza pociągnęła drzwi gwałtownie na siebie.

I zawirowwała z syczącym, rozdzierającym krzykiem.

Nie było już dwupiętrowego budynku Dumy Miejskiej! I trzypiętrowego budynku, dobudowanego później! I iglicy z patronem Kijowa, Archaniołem Michałem, pokonującym mieczem diabelskiego węża! I piętnastego domu cukierni Bernarda Andriejewicza Semadeniego, wynalazcy miętowych landrynek „Katy-Bos”! Ani tatarsko-mongolskiego bruneta w ośnieżonym cylindrze!

A na jego miejscu stały dwie panny, oblizujące topiące się lody, ubrane w takie same wściekle kolorowe sukienki i wielkie korale.

– Patrz, patrz! – rzuciła jedna z nich i wskazała na kobietę w kostiumie teatralnym.

– No i co z tego? – odcięła się z niezadowoleniem ta druga, już upačkana, bezskutecznie próbując zetrzeć słodkie krople z gorsetu.

Masza histerycznie uniosła dłonie w błagalnym geście, jakby miała nadzieję, że teraz ten czas rozplynie się pod jej rękami i tamten świat wpuści ją z powrotem.

Ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Jakaś chora, idziemy! – Poplamiona dziewczyna pociągnęła ku sobie swoją towarzyszkę. Pozostali spacerowicze również z ukosa spoglądali na Maszę. Z ciekawością, ale bez większego zadziwienia: mało to takich? I tylko Instytut Panien Szlachetnie Urodzonych smutno mrugnął do Maszy z góry: „Rozumiem cię...”.

– O nie!

Kowalowa z nienawiścią odepchnęła wzrokiem koryncką kolumnę z połączoną „Ukrainą” w stroju ludowym, szklarniane budki sklepowe, żelazny most donikąd, przerzucony między ulicami Instytutową i Dziewiczą, i zawyła od wzbierającej złości.

„Idiotka, jestem idiotką! Mogłam się zatrzymać wcześniej! Odwrócić się, powiedzieć mu!” – płakał brzuch Maszy, jej pierś, nogi i lewa ręka, podczas gdy prawa gorączkowo sięgała do kieszeni, próbując znaleźć cenny klucz. „Muszę wrócić, trzeba zacząć wszystko od nowa!”

– „Ty pamiętasz, Krieszczatiku, wszystkie moje troski i straty...” – zaciągał uliczny grajek na wysepce pośrodku przejścia dla pieszych, męcząc swoją niemłodą gitarę.

A palce Maszy gorączkowo przeczesywały kieszeń. Nie chciała przyznać, że klucza tam nie ma!

– Mamo – rzekła Masza do Krieszczatiku. – Straciłam go!

Straciła swoje życie, już je sobie wyobraziła aż po horyzont, rozległe, bezkresne, szczęśliwe i nieszczęśliwe...

I wpatrując się teraz rozpaczliwie w to obce, przeszklone, z płynącymi fontannami, brązowymi Kijem, Szczekiem, Chorywem i ich łabędzią siostrą Łybedzią – nie mogła sobie nawet przypomnieć, po co jej było kiedykolwiek potrzebne takie życie?

Rozdział dwudziesty

w którym Dasza Czub przywołuje ducha Wiktora Wasniecowa

[...] tablica pamiątkowa przy ul. Włodzimierskiej 28, jak wykazał miejscowy historyk M. Kalnicki, została zamontowana omyłkowo.

~ L. Fiodorowa, *Ulica Włodzimierska*

Dasza wspięła się na najwyższe piętro, trzymając klucz w ręku.

„Dzień dobry, czcigodny Wiktorze Michajłowiczu... Przyszłam prosić o pana błogosławieństwo i wstawiennictwo... Mam marzenie... Od małego rysuję... W panu pokładam nadzieję... Od zawsze na zawsze Boga proszę o pana wstawiennictwo ... A ta suka stara, Boże, przebacz, matka przełożona nie daje mi się samorealizować!” – powtarzała w myślach. „Ech! To się nie uda. Do cholery, jaka ze mnie nowicjuszka?! To Masza jest jak siostra zakonna. A ja bardziej przypominam tłustą krowę! Gdybym zmieściła się w normalną sukienkę, nie musiałabym...”

Dasza, bez względu na to, jak dziarska była, umierała teraz ze strachu, że na pewno nie zda egzaminu ze staroświeckiej mowy, gdy tylko pytanie Wiktora Michajłowicza Wasniecowa wykroczy poza dwadzieścia zapamiętanych zwrotów.

„Nie mów «dziewczyna», tylko «młoda dama». Nie «dotąd», a «dotychczas». Ani też «jaja», tylko «wielkie nieba», bo nowicjusze nie wypada mówić «beka» i «masakra»... Panie, zmiłuj się! Poważnie! Proszę!”

Czub naprawdę się przeżegnała i głośno westchnąwszy trzy razy z rzędu, bezgłośnie włożyła klucz do jednego z zamków, od razu nastawiając się na wejście do „sali egzaminacyjnej”. Czuła, jak klucz łatwo obraca się wokół własnej osi, a drzwi ustępują bez skrzywienia.

Dasza otworzyła drzwi. Zamierzała je natychmiast zamknąć i nacisnąć dzwonek, ale skrzydło samo wyrwało się do środka. Za nim rozciągał się szeroki i ciemny korytarz. Zza drzwi w oddali padało jasne światło – układające się na podłodze w formie skośnego dywaniku – i dochodziły ożywione głosy. Dasza poczuła znajomy i bliski sercu zapach tłumnego przyjęcia.

„Wydaje się” – zawahała się ponownie – „że moja nowicjuszka będzie zupełnie nie na miejscu. W najlepszym wypadku odprawi mnie i powie, żebym przyszła innego dnia. Nie ma mowy, żeby mnie dzisiaj przyjął. Wtedy uklęknę. Będę błagać o wybaczenie! Zapewnić, że więcej się nie ośmielę!”

Schyliwszy się i wyciągnąwszy szyję w kierunku świegoczącego światła, nowicjuszka zrobiła kilka chwiejnych kroków. I wcisnęła głowę w ramiona, gdy usłyszała, jak z odświętnego zgietku wykryształizowały się dwa męskie głosy. Cienie postaci upstrzyły „dywanik”.

– Figiel najnieprzyjemniejszy. Za kogóż on się uważa?! Były telegrafista ze stacji Popielnia! – rzekł jeden z nich.

– Tegom się nie spodziewałem, nie w smak mi pana słowa – zaprotestował drugi.

I zanim Dasza zdała sobie sprawę z nieodwracalności swoich kroków, skryła się w ciemnym pokoju naprzeciwko, posłuszna jedynie instynktowi przetrwania, który podpowiedział jej, że nie ma trzech dodatkowych sekund, by wiać z powrotem przez drzwi!

– Jegomość Sambor to okrutnie pasjonująca persona. Najlepsze medium z mocami pozaziemskimi! A mediumizm i energia mediumistyczna to zaprawdę fakty naukowe.

Głos drugiego mężczyzny był coraz bliższy. Czub histerycznie przebiegła oczami po przestronnym salonie, zastawionym sofami, fotelami i długonogimi stojakami na kwiaty, i rzuciła się pod stół przykryty aksamitnym obrusem z frędzlami zwisającymi do podłogi. Ledwo zdążyła, a w pokoju niemal natychmiast rozbłysło światło elektryczne.

– Niepodobna zaprzeczyć takiemu zjawisku jak elektryczność, prawdaż? – kontynuował drugi, gorączkując się.

– W najmniejszej mierze – zapewnił go kpiąco mężczyzna.

– W dzisiejszych czasach i dziecko wie o tem, że stykając się palcami małymi, spirytyści siedzący przy stole mogą tworzyć obwód elektromagnetyczny. Za jego pomocą nawiązują kontakt ze światem duchowym, którego istotą są dusze zmarłych i nienarodzonych ludzi. Może dojść nawet do całkowitej materializacji przywołanego ducha. Zmarły może wziąć pana za rękę, dać jakiś przedmiot z innego świata...

– Tak, jużem słyshał – przerwał mu sarkastycznie pierwszy – co duchy pana Sambora nawyprawiały w „Metropolu”! Hultajskie dusze! Stół podnosiły i na skrzypkach grały, i gościom czapki zakładały na głowy. A potem w tym samym czasie wyciągnęły spod gości wszystkie krzesła i...

– Niedopuszczalna to rzecz! – zaniepokoił się drugi. – Gdyby była tam obecna dama?! Trzeba nam ostrzec Pawła Andriejewicza. Nie daj Bóg,

Barbarze Andiejewnie przytrafiłaby się podobna potworność! Wyzwę pana Sambora na pojedynek!

– Pan jesteś romantyk – mruknął spoufalenie pierwszy z nich. – Zwłaszcza gdy rzecz dotyczy Barbary Andiejewny.

– Ale pan żeś sam nieobojętny, jak rzecz do Barbary się odnosi – rzekł nieśmiało mężczyzna.

– Jam co innego. Cyniczny jestem – mruknął bezczelnie adwersarz, chełpiąc się swoją elegancką obojętnością. – Dla takiego posagu poszedłbym nie tylko za Barbarą Andiejewną. Jużciżbym mógł ożenić się z panną o świńskiej twarzy. Zwłaszcza że Paweł Andiejewicz daje za siostrę tylko sto tysięcy, a pani ta jest podobno milionerką! – dodał bez wstydu pierwszy mężczyzna, który najwyraźniej uważał się za Pieczorina. Chociaż jeśli chodzi o powyższą tyradę, raczej trącił Gołochwastowem.

– I pan mówi to do mnie? Do mnie? – rzucił z oburzeniem romantyk, który najwyraźniej był po uszy zakochany we wspomnianej Barbarze.

– Proszę zauważyć – zniżył głos Pieczorin-Gołochwastow – mówię to bez najmniejszego ryzyka. Barbara Andiejewna doskonale wie, co pan czuje. Jeśli pan jej to powie, com mówił, pomyśli, żeś pan oczernił swego nieszczęsnego rywala i nie da wiary w ani jedno słowo. Kimżeś pan jest, a kim ja?

– Nie za wiele wiesz pan o sobie? – wybuchnął zakochany, zgadzając się z filozofią życiową Daszy.

– Rozumiem damy więcej niż pan – ciągnął nieznośnie arogancko Pieczorin. – Pan, Iwanie Iwanyczu, na pewno marzysz, że Barbara Andiejewna kiedyś doceni pańską duszę, piękną i jej oddaną. Tak właśnie kobiety zwykły prawić tylko o duszy, a doceniają piękno! I nawet nie piękno, a urodę, pozłacaną galanterię. O duszy mówią, bo jakże ładny to temat. Pokażcież mi jedną młodą damę, która zazdrości pięknej duszy swej

siostrze. Jeśli twarz, talia, suknia lub zaprzęg rywalki są ładniejsze od ich własnych, gotowe targnąć się na swoje życie. Także wybierają swoich ukochanych, malują w myślach piękne obrazy na żurnalową manierę. Czy z nas przystojna para? Czy on będzie do mnie pasował? Dopasowują męża do kapelusza. I tylko w wyjątkowych przypadkach kapelusz do męża!

A Dasza, która naprawdę narysowała już w swoich snach kilkanaście komiksów na temat „ja plus Jan”, natychmiast zagotowała się z powodu tak niezasłużonej zniewagi i w pozycji łokcie-kolana, z policzkiem przyciśniętym do dywanu, wlepiła z oburzeniem wzrok w galanteryjnie piękne, lakierowane sztyblety nieprzyjemnego Pieczorina, gorączkowo próbując wymyślić jakiś zabójczy kontrargument.

„Co z tego, że maluję! Co z tego? To jeszcze nie znaczy, że go nie kocham!”

– Zastanów się, mój drogi Iwanie Iwanowiczu – ciągnął swe wynurzenia Swirid Pietrowicz Pieczorin – jakież są pańskie szanse? Jam szlachcic z urodzenia. A pan żeś jest pracownikiem gazety, ubranym *demodé*. Nazwisko też pan masz niewyjściowe: Moczalkin. Podobnie jak nieosobliwą aparycję. Miłość pana luźną jest, nieforemną. A barysznie wierzą tylko pięknej miłości! Pan Barbarze Andriejewnie rozstraja nerwy swymi nieszczęsnymi westchnieniami. A ja patrzę na nią wzrokiem pożyczonym z pracowni kupidyna. Ja obdarowuję ją bukietami i cukierkami w bombonierce, a pan dajesz wiersze. Proszę zważyć, że nawet pańskie pismo jest najnieprzyjemniejsze dla oka! Przepraszam...

– Niechże i tak będzie! Niech nigdy mnie nie pokocha. Ale jeśli pan w imię posagu... Na to nie pozwolę! – jęknął rozzłoszczony romantyk.

– Proszę, proszę dalej, panie Samborze. Panowie, proszę! – Dziewczęcy głos rozbrzmiał różnymi tonami. – O czym tu panowie, panie Rokotow, z Wanieczką potajemnie rozprawiacie?

– O damie ze świńską mordą, Barbaro Andriejewna – zapiął karmelowo przebiegły kawaler. – Iwan Iwanowicz opowiadał mi przed chwilą, że do „Kijowianina” przyszedł nowy list. Znalazł się kolejny zalotnik. Napisał: „Jeśli milionerka o świńskiej mordzie naprawdę istnieje i jest wciąż niezamężną, proszę o przekazanie mi jej adresu, ponieważ mam najpoważniejsze zamiary”.

– W rzeczy samej – potwierdził nieszczęśliwy romantyk. – Proszę pozwolić, panie Rokotow, list jeszcze nie był opublikowanym. Skąd pan o nim wie? Ja tylko powiedziałem... – rzekł Wanieczka, szczerze zaskoczony, zakochany i najwyraźniej trochę tępy.

– Co pan? Pan żeś mi wszystko sam opowiedział. Pan żeś już o tem zapomniał? – odparował bezczelnie podły oskarżyciel kobiet.

Wania nagle z oburzeniem parsknął. Podobnie Dasza, ale w swoją dłoń: „Ach tak, Gołochwastow! Totalnie on. *Za dwoma zajęciami!* Nie, w tym przypadku – świniami!”

– Biedna dama – westchnęła żałośnie Barbara Andriejewna. – Czy jest jakaś większa męka niż urodzić się z taką twarzą?

– Oto są słowa prawdziwej kobiety – rzekł Gołochwastow słodko, jak komplement, z paskudnym podtekstem skierowanym tylko do Wańki.

– Masz całkowitą rację, Barbaro Andriejewna – wykrzyknął żarliwie zakochany. – On nie idzie za nią, on za posagiem goni, a potem będzie się jej wstydził! Torturował. Ludzie opowiadają w naszej gazecie, że w przeszłości pokazywano ją za pieniądze, jako model deformacji fizycznej, dopóki jakiś frymuśny milioner nie poślubił jej z cynizmu. A wspomniany dziś alfons to szlachcic dobrze urodzony, ón roztrwonił swój majątek i teraz...

– Jestem pewnym, że dama o świńskiej twarzy nie istnieje! Któż roznosi takie słuchy? – spytał czyjś wesoły bas.

Tymczasem liczne stopy okrążyły stół Daszy.

– Cóż, panie Samborze, wszyscyśmy do pańskiej dyspozycji – rzekł bas bez większego szacunku.

– Proszę wszystkich obecnych o zajęcie miejsc! – zarządził nowy tenor, starający się sprawiać wrażenie wyjątkowego. – Panowie, którzy pragnęliby się przekonać, że zjawiska spirytystyczne nie są sztuczkami i oszustwem wykreowanym przez samo medium, proponuję, żebyście usiedli obok mnie. W ten sposób przez cały czas trwania seansu będziecie trzymać mnie za rękę i dotykać swoimi stopami moich stóp.

– Rozumiem, że będzie pan hipnotyzować siebie? – Głos Gołochwastowa rozciągnął się leniwie, udając ironicznie znudzenie.

– I apeluję do wszystkich obecnych, ażeby nie robili sobie z tego żartów! – wybuchł nerwowy tenor, należący najwyraźniej do byłego telegrafisty ze stacji Popielnia. – Proszę nie zadawać duchom żadnych humorystycznych zagadek.

– Słyszeliście państwo tę anegdotę? – rzekł nad Daszą jeszcze nieznany jej baryton. – Pani domu zadaje pytanie: „Duchy, powiedzcież, ile mam dzieci?”. „Czworo”, odpowiedziały duchy. Mąż gospodyni, dla żartu, pyta: „Duchy, powiedzcież mi, ile ja mam dzieci?”. „Dwoje”, rzekły. Więcej już z duchami nie żartował!

– Powiem panu tak, Sergieju Wasiljewiczu, cały ten mediumizm jest nowomodnym przesądem. Dawniej wierzono w czarownice i diabły, a to jest zaledwie nowa diaboliczna odsłona...

Las drewnianych nóg i stóp, w większości męskich, napierał hałaśliwie nad Daszą. Damskich były tylko dwie pary. Jedna, najbardziej czarującego rodzaju, usadowiła się dokładnie naprzeciwko Daszy – a buty, trzeba przyznać, nie były ze ściętymi noskami, lecz wydłużone, wykonane

z jasnoróżowego jedwabiu i wyszywane pastelowymi kolorami – nie buty, a cukierki.

Na lewo od nich spoczywały dobrze znane lakierowane sztyblety, a na prawo nerwowe, niepewne trzewiki.

„To na pewno Basieńka, między Wanieczką a Gołochwastowem. A ta druga kobieta – tak, to żona Wasniecowa. A Wasniecow – bas – brzmi jak pan domu!”

W każdym razie bajka o nowicjuszcze, która od dziecka przejawia talent malarski, już upadła. Historyjka o nowicjuszcze z monasteru Florowskiego, która została tam zamknięta przez troskliwych rodziców za nieodparte zamiłowanie do kradzieży i włamań, była teraz jedyną, która pociągała Daszę.

„Koniec ze mną” – pomyślała Dasza, kurcząc się w kłębek na maleńkiej, otoczonej przez nogi wysepce, na której ledwo się mieściła. Dziewczyna zamknęła oczy, nagle rozumiejąc swoją całą duszą afrykańskie strusie – z zamkniętymi oczami naprawdę nie było tak strasznie!

– Proszę zgasić światło – rzekł dostojnie pan Sambor.

Ktoś pośpiesznie tupiąc, najwyraźniej służący, wyłączył żarzącą się elektryczność.

– O nie, to straszne – szlochała Barbara. – Zapalcie świeczkę!

– Proszę się nie bać, Barbaro Andriejewna – uspokajał ją swym głosem Gołochłostow.

– Ciemność jest jednym z najważniejszych warunków, w których przejawia się energia mediumistyczna – wyjaśniał z humorem były telegrafista ze stacji Popielnia. – Nie mam jednak nic przeciwko jednej świecy. Proszę spleść małe palce. Musimy utworzyć spirytystyczną figurę „koło magiczne”! I zachęcam państwa, abyście, gdy będę śpiewał, śpiewali razem ze mną. Przyciągnie to jednego z duchów...

– Nie, nie – przerwał mu ponownie wzburzony głos Barbary Andriejewny. – Chciałabym przywołać bardzo konkretnego ducha: męczennicę Barbarę. Moją orędowniczkę!

Przy stole zapanowała niezręczna pauza, a Dasza otworzyła oczy. Buty u wezłowania stołu nerwowo tańczyły na obcasach – wyglądało na to, że pan Sambor nie był przygotowany na taki obrót spraw.

– Ależ czy tak przystoi, Barbaro Andriejewna? – zadrżał przestraszony głos Wanieczki. – Czyż wolno nam niepokoić świętą dla rozrywki? Cerkiew potępia obcowanie z duszami zmarłych...

– Wiem, że jest jedyną, która powie mi prawdę! – rzekła z patosem Barbara. – Jest jedyną, której ufam! Muszę zadać Barbarze ważne pytanie: co czuje do mnie kawaler, o którym myślę?

Zdaje się, że zagadka ukryta w tym pytaniu nie była dla nikogo tajemnicą. Jej stopy stały się nerwowe, a lakierowana para, która spoczywała obok jej jedwabnych pantofli, została śmiało zarzucona jedna na drugą.

– W takim razie – podjęły wyzwanie lakierowane sztyblety – ja również chciałabym świętej zadać pytanie. Kiedy dostanę odpowiedź od niewiasty, która skradła moje serce?

– Ale Barbara jest pogromczynią czarownic, wojowniczką wszelkich odmian obskurantyzmu – rzekł Wańka, czy to z pobożnego lęku, że obrazi świętą, czy też z obawy, że niewiarygodna Barbara udzieli pozytywnej odpowiedzi Gołochłostowowi.

– *À propos*, czy słyszeliście państwo o skandalu, który w zeszłym tygodniu przydarzył się Barbarze w soborze Włodzimierskim? – ożywił się baryton, który wiele słyszał. – Malarz przedstawił wielką męczennicę z twarzą Leli Prachowej. Gubernatorowa wpadła w histerię i zażądała, aby przepisał ikonę. Zadała pytanie: Czemuż ma się modlić do Leli Prachowej.

– Byliśmy u Wasnieców, on sam nam opowiedział – wtrąciła nieśmiało para nóg przypisanych przed Daszę żonie Wasniecowa.

„Jak to u Wasnieców?! To kto tu mieszka?” – zdziwiła się Dasza Czub. „Przecież przed wejściem jest tablica, sama widziałam!”

– Drodzy państwo – krzyknął z oburzeniem telegrafista. – Przypominam, że to nie jest jarmark ani przedstawienie!

„Tablica przy wejściu!” – wtórowała mu w myślach nowicjuszka Florowskiego. „W tym domu w latach 1885-1889 mieszkał i pracował wybitny rosyjski artysta Wiktor Michajłowicz Wasniecow. I jego portret, i trzech *Bohaterów*”.

– Panie Samborze – odezwał się bas – ponieważ na prośbę mej siostry zaprosiłem pana do przeprowadzenia prywatnego seansu, czy byłby pan łaskaw spełnić jej życzenie?

– Nie jest to możliwe.

„To jest zupełnie niemożliwe!!! Zarówno w biografii, jak i w przewodniku po Kijowie – Włodzimierska 28!”

– Niech będzie, wedle życzenia – mruknął nieszczęśliwie mediumista, zadławiwszy się czymś niemym spojrzeniem. – Proszę położyć ręce na stole i złączyć swoje małe palce – zaczął hipnotyzującym głosem. – Wzywam ducha wielkiej męczennicy, świętej Barbary. Barbaro...

„Wasniecow!” – wołała Dasza, wzywając każdym włóknem swej istoty innego ducha, rosyjskiego i wybitnego. „Gdzie więc jest Wasniecow?”

Nagle, zgodnie z przewidywaniami Gołochwastowa, gdzieś rozległ się pisk skrzypiec – liczba sztuczek spirytystycznych była ograniczona. Kolana mężczyzn po prawej i lewej stronie pana Sambora natychmiast przyłgnęły do niego, sprawdzając najwyraźniej jego uczciwość. Chociaż gdyby umiał grać na skrzypcach za pomocą kończyn dolnych, prawdopodobnie

zarobiłby na tym o wiele więcej niż na demonstrowaniu wątpliwych zjawisk spirytystycznych.

„Potrzebuję Wasniecowa! Boże, nie mam czasu... Możemy dziś umrzeć!”

– Coś poczułem – rzekł zszokowany i niedowierzający bas. – Jakiś rodzaj pchnięcia.

„Potrzebuję Wasniecowa!”

– I ja – wydyszała słabo Barbara.

– Ona tu jest! – obwieścił spirytualista i zrobił znaczącą pauzę. – Wyczuwam, że w tym pokoju unosi się duch wielkiej męczennicy! Duch Barbary chce przemówić...

„Gdzie mieszka Wasniecow?!”

– Aaaa! – przestraszyła się głośno panna.

– O!

– Boże miłosiwny...

– Panie! Święty, święty! – Jeden z gości się przeżegnał.

Bo tuż nad głową medium z ciemności wyłoniła się nagle blada twarz kobiety.

– Wzywajcie mnie! – rzekła przerażającym głosem z zaświatów Dasza Czub.

A widok odwróconych, przerażonych twarzy wpatrujących się gorączkowo w ciemną postać w mnisich szatach, która pojawiła się znikąd, dał jej natychmiastowe poczucie determinacji.

Zawsze świetnie wczuwała się w nastrój publiczności!

– Posłuchaj mnie, Barbaro! – rozkazała bez rozchylenia ust. (Kolega z umiejętnościami cyrkowymi próbował nauczyć ją kiedyś brzuchomówstwa, ale nie zrobił tego wystarczająco dobrze. Przez brak profesjonalizmu wyszło jeszcze lepiej – słowa były rozciągnięte

i wyjące). – On! – Czub wskazała wyciągniętym palcem, na szczęście już bez manicure’u nieodpowiedniego dla świętej, na pobladłego Wanieczkę. – On zna odpowiedź na twoje pytanie! Jego ustami wyjawię ci smutną prawdę! A tobie – zwróciła palec na podłego oskarżyciela kobiet – miłośniku srebrników i pustomówco, wyznaczam na żonę damę ze świńską mordą!!!

– Więc chodzi mu o posag? – zapłakała przestraszona Barbara. – Wiedziałam!

– Napisał do niej, nie mógł wiedzieć o liście, który przyszedł do redakcji, sam się do tego przyznał... – stwierdziłznaczony przez świętą Wanieczka.

– A teraz – krzyknęła Dasza, machając palcem w poszukiwaniu Wasnieców – ujawnijcie, gdzie mieszka ten nieszczęśnik, który dopuścił, żeby moją podobiznę namalować z małej Prachowej? Spadnie na niego kara Boża!!!

– O Boże, nie wiem! – przeraził się śmiertelnie wąsaty dżentelmen z drugiego końca stołu, podczas gdy gruba pani po jego prawicy gorączkowo się żegnała, przewracając oczami i bezgłośnie otwierając usta.

– Ja jestem Wasniecowa... On jest na Wielkiej Włodzimierskiej 42!

– U-u-u-u-u – wyła przeraźliwie Dasza Czuba i rozłożywszy ręce jak samolot, rzuciła się do wyjścia.

Ale gdy tylko zrobiła krok naprzód, Basieńka z pasją chwyciła się za serce i zataczając się gwałtownie, upadła na podłogę razem z krzesłem. Przed i tak już oszołomionym spirytystą uniósł się wir z gęstych halek i dwie kobiece nogi w czarnych pończochach i falbaniastych pantalonach.

– Barbaro Andriejewna! – krzyknął rozpaczliwie Wanieczka.

Ale Dasza zdążyła już precisnąć się przez drzwi wejściowe, których nikt nie zamknął, i tyle ją widzieli.



W rozwianym i rozłożystym jak żagle na wietrze habicie Dasza Czub wleciała niczym tajfun do mieszkania na Wale Jarosława i pognała do szafy.

– U-u-uuu! Ile was tu jest! – załkała oburzona z rozpaczliwą niecierpliwością.

Tysiące kluczy i tysiąc tekturowych breloczków, których sprawdzenie zajęło Maszy godzinę, pobrzękiwało przed nią, zaniepokojone zbyt gwałtownie otwartymi drzwiami.

– Nie łaż mi tu teraz! – zrzuciła z siebie łapki Izydy Puszek, która chciała się wspiąć na jej ręce. – Włodzimierska 42, gdzie ona jest? Aaa!

Puszek, z pazurami wbijającymi się w skórę pod sukmaną, wspięła się po plecach Daszy jak po drzewie i wczepiła się w ramię.

– Wynoś się!

Wstrząsająca wzdrygnęła się, upuściła kota na podłogę i boleśnie uderzyła łokciem o drzwiczki szafki.

Klucze z brzękiem spadły na podłogę. Dasza, wyjąc, padła na kolana i zaczęła je pospiesznie zbierać. Puszek natychmiast wskoczyła na jej wygięty kręgosłup w kształcie wygodnej ławki i zaczęła się łąsić, mrucząc przy tym tak głośno i entuzjastycznie, że Dasza, która doświadczała uczuć diametralnie przeciwnych, ryknęła w głos:

– Odejdźże ode mnie! Widzisz, co narobiłaś? Jak ja teraz... Odejdź! Zejdź mi z oczu!

Puszek z urażonym sykiem osunęła się na parkiet, popatrzyła z wyrzutem na Czub, cofnęła się o kilka kroków i z wyraźnie obojętnym spojrzeniem zaczęła bawić się „myszką” o kartonowym ogonku.

– Nie waż się! Oddaj! – Dasza próbowała zabrać klucz.

Izyda zwinnie chwyciła zdobycz w zęby i wycofała się.

– Oddaj, powiedziałam! Jestem twoją panią! Jeśli nie oddasz, nawet do mnie nie podchodź! Już cię nie Kocham! Słyszysz? To koniec!

Kot zmrużył oczy z niechęcią, po czym, po dłuższej chwili namysłu, podszedł do Daszy i delikatnie włożył klucz w jej wyciągniętą dłoń.

Gospodyni wlepiła w niego wzrok, nie wierząc własnym oczom.

– Przecież to 42... Skąd wiedziałaś? Chciałaś mi pomóc? Och, ty mój Puszku! Ty mięciuszku, ty! Moje małe smyranko! Mój najlepszy kotku na świecie! Mój mały kłębuszku... Chodź, mamusia cię wycaluje! – Izyda zamruczała z namaszczaniem, odwróciła się i patrzyła na Daszę kokieteryjnym wzrokiem. – No chodź, moja mała, rudowłosa dziewczyneczko... – Wstrząsająca rzuciła się na swoją pomocnicę i przycisnęła ją do piersi. – Mój ty grubciu! Mamusia niedługo wróci i kupi kotkowi myszkę... Będę niedługo, za chwileczkę, to dwa kroki stąd.



Gospodyni niespecjalnie skłamała. Może nie dwa, ale dokładnie dwieście dwa: dom numer 42, przylegający do Złotej Bramy, można było, jeśli ktoś chciał, zobaczyć z okna na Wale Jarosława.

Klucz pasował... Czub przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała, czy ktoś jest w domu – ale dom nie dawał żadnych oznak życia! Rzuciła nieprzyjazne spojrzenie na dzwonek elektryczny, ostrożnie uchyliła skrzydło i wcisnęła się do środka. Rola jeśli nie wszechwiedzącego, to przynajmniej wszechsłyszającego ducha świętego przemawiała do niej o wiele bardziej niż pomysł z nowicjuską kaleczącą mowę. W każdym razie ranga była wyższa.

Jednak zanim nieposłuszna służebnica zdążyła zrobić kilka cichych kroków, rozległ się dzwonek do drzwi. Podskoczywszy z zaskoczenia,

Dasza wpadła do pierwszego pokoju na swojej drodze i oniemiała.

Patrzyli na nią trzej ogromni bohaterowie – dobrze jej znani od dziecka i tak nieodłącznie związani z jej dzieciństwem, jak słowo „mama” – uratowani przez nią w nocy!

„Wspaniali!”

Ponownie zadzwonił dzwonek. Gdzieś z tyłu domu dobiegały ciężkie, niespieszne kroki. Dasza, nie zastanawiając się zbyt długo, wpełzła w wąską szczelinę między ścianą a wspartym na niej płótnem naciągniętym na blejtram.

– Adrianie Wiktorowiczu! Proszę wejść, proszę do środka – rozległ się gruby i solidny męski głos. Słysząc w nim było zadowolenie. Najwyraźniej gość był równie miły dla grubogłosego mężczyzny, jak dla Daszy Czub, która błyskawicznie zareagowała na rzadkie imię.

„Profesor Prachow! Dzięki Bogu! A ten, to chyba sam...”

– Otóż, Wiktorze Michajłowiczu, pomyślałem, że pana odwiedzę – poinformował Wasniecowa energiczny profesorski głos. Dasza z radością wdychała powietrze, gotowa na kolejne słuchowisko. – Chyba się pan okrutnie rozchorował. Proszę mnie nie winić, że nie zatelefonowałem. Sam pan jesteś świadom, co się wyprawia z połączeniami przez te tramwaje. Oto wielkie dzieło techniki! He, he... – zaśmiał się gość.

– I słusznie pan postąpił, bardzo dobrze! Aleksandra Włodzimierzowna zabrała dzieci do parku Włodzimierskiego na spacer. A ja prawie zdrowy, doktor zarekomendował mi wino dobre dla rekonwalescentów...

– St. Raphael z apteki Marcinczyka? Idealne dla pana, nasz Raphaelu! – zażartował zachęcająco profesor. – Nasza Kaplica Sykstyńska nie może się pana doczekać. Nasz sobór będzie najważniejszy w Kijowie, wspomni pan moje słowa.

– Proszę tędy, Adrianie Wiktorowiczu...

„Niech przyprowadzi go tutaj, no proszę!” – błagała Dasza.

Nie znała się na XIX wieku, ale jedno wiedziała na pewno: że w tamtych czasach domy budowano z tak grubymi ścianami, że nie można było usłyszeć, co się dzieje w drugim pokoju!

Gorące wołanie znowu zostało wysłuchane: Adrian Wiktorowicz i Wiktor Michajłowicz ruszyli w jej stronę.

– Zacni! – Głos profesora był nagle niebezpiecznie blisko, po drugiej stronie obrazu. – Zaprawdę kunsztowni! Tylko pan mogłeś stworzyć coś podobnego. Wie pan, przywykłem do nich. Odwiedzam pańskich *Bohaterów* już od prawie dziesięciu lat. Jeśli przyjdzie panu do głowy przewózka, będzie mi to nie w smak.

– Co pan – uśmiechnął się dobrodusznie Wasniecowa. – Mój najmłodszy syn, Misza, nawet nie myśli o życiu z dala od nich. Odkąd pamięta, w domu zawsze byli *Bohaterowie*. Dla niego to coś więcej niżli obraz, są nieodłączni, jak obiad, sobór, siostra, matka i ojciec. A tę szczelinę – Czuba z przerażeniem zobaczyła, jak duża i spracowana męska ręka z wyciągniętym wskazującym palcem wślizgnęła się do jej ciasnej dziupli – dzieci nazywają między sobą „za bohaterami”. Różne gry tam urządzają. Bóg jeden wie, jak długo jeszcze *Bohaterowie* tu pozostaną – westchnął.

– Niech pan zapomni o wszelkich obawach z tym związanych. Tworzy pan wspaniałe dzieło! – Energiczny głos profesora oddalił się i usadowił w jednym miejscu, najwyraźniej na krześle. – Wszyscyśmy byli zachwyceni wystawą pańskich szkiców soboru Włodzimierskiego w Galerii Trietiakowskiej. Czegóż chcieć więcej? A jeśli pański przyjaciel Polenow uważa pracę w soborze za niegodne przedsięwzięcie dla współczesnego malarza, to, proszę wybaczyć dosadność, jest to jego nieszczęście.

„Mówią o naszym soborze św. Włodzimierza” – pomyślała Dasza.
„Robi się ciekawie!”

– To nasze wspólne nieszczęście – rzekł z przejęciem grubogłosego mężczyzna. – Pan, Adrianie Wiktorowiczu, besztasz tramwaje – wyskoczył ni z gruchy ni z pietruchy. – A kiedy przyjechałem do Kijowa z pańskiej łaski, nie mieliście nawet tramwajów konnych! Na Krieszczatiku paliły się latarnie gazowe. A teraz wszędzie jest elektryczność, tramwaje i telefonia. Pamięta pan anegdotę o chłopie i kolarzu? Dopiero co tu zamieszkałem, a on już został „Kijowianinem”.

– Mówisz pan o Emilu Falerze, który został pomyłony z demonem przez chłopca na drodze i zbity pałką?

– W tym samym roku ustanowił swój pierwszy rekord. Międzymiastowy wyścig kolarski z Kijowa do Żytomierza. A ostatnio, jak czytamy w gazetach, ustanowił nowy: na rowerze z Kijowa do Paryża!

– I co z tego? – nie rozumiał profesor.

– A chodzi o to, mój drogi Adrianie Wiktorowiczu, że gdyby nie pan, to może bym skończył ze sobą!

„O rany!” – zdziwiła się Dasza Czuba. „Co on z tym rowerem?”

– Z powodu postępu technologicznego i osiągnięcia pana Falera? – zdumiał się profesor razem z Daszą.

– Tak, znam siebie! Jesienią, kiedy wiesz, mam spadek energii i chęci, wyglądam przez okno i mówię: „Przez te lata, kiedy byłeś w Kijowie, świat się zupełnie zmienił, ludzie wymyślili niesamowite cuda, a ty, nędzniku, nie potrafiłeś skończyć choćby jednego obrazu! Czy można po tym wszystkim uwierzyć w siebie?”

„Ach, o to ci chodzi!” – zrozumiała podsłuchująca służebnica Boża, która sama niejednokrotnie płakała, że w jej wieku nieznacząca Britney Spears już przyćmiła Madonnę, o której przebiciu Dasza zawsze marzyła.

– No dobrze, dobrze, mój drogi kolego – rzekł zakłopotany gość. – Co to za myśli? Czyż nie pan rzekł: „Co mnie obchodzi, czy mój talent jest

wielki czy mały, dam z siebie wszystko”? Wtedy bardzo mnie to urzekło. Używam tego w charakterze przykładu dla innych. Jest w tym pokora. To rzadka cecha u człowieka sztuki! Najrzadsza! Wszyscy są dumni i marzą o wielkości.

– A wie pan, okrutnie, okrutnie trudno jest pozbyć się marzeń i złudzeń – odparł poważnie Wasniecowa. – Proszę się nie przejmować, drogi panie, że trochę markotnym i marudnym, to już za mną – wyjaśnił lekko. – I mówię o tym tylko z panem, żebyś pan wiedział, jak bardzo jestem zobowiązany...

– Wręcz przeciwnie, Wiktorze Michajłowiczu. – Adrian Wiktorowicz odzyskał swój optymistyczny ton. – Musi mnie pan winić za to, że swoim Włodzimierskim zabrał panu dziesięć lat z życia. W Kijowie chyba nie bawiliście się zbyt dobrze.

– Tak... nie najlepiej.

„A czemu nasz Kijów się panu nie podoba?!” – oburzyła się patriotka Czub.

– Pamiętasz pan, jakieś planował wykonać wszystkie prace w ciągu trzech lat? A proszę, jak wyszło – wyjaśnił Daszy profesor Prachow. – Tylko pan, z tak wyjątkową siłą woli i samodyscypliną, mogłeś zrealizować tak wielkie zamówienie. Któż inny mógłby mieć natchnienie i żar płonący w duszy dla czterech tysięcy łuków? Czteryście szkiców, a jeszcze nadzorowanie innych i praca nad *Carewiczem* i *Bohaterami*!

– Tak ściśle między nami, Adrianie Wiktorowiczu, mój duch był czasami tak zawstydzony, że się stawał po trosze moralnym tchórzem. To był grzech! – Malarz z przekonaniem wyraził skruchę. – Grzechem było malować świątynię Bożą i fantazjować o rzeczach próżnych i małostkowych! Ogarnęła mnie duma, o której pan żeś mówił. Cała ta fantazja bardzo nad miarę była kosztowna i przytłoczyła mnie. Chodziłem

jak w gorączce od tego oczekiwania furory na wystawie. Marzyłem o dokończeniu *Bohaterów* zarówno w pierwszym, jak i w drugim roku i o wysłaniu ich na wystawę objazdową Pieriedwiżników. Byłem też ciekaw, jak Moskwa będzie na nie patrzyła: kto, co i jak?

„Moskwa, Moskwa, Moskwa!” – skandowała w myślach zirytowana Wstrząsająca. „To są, tak nawiasem mówiąc, nasi bohaterowie. Kijowscy!”

– Ale moje siły, wyczerpane ciągłym wymyślaniem, nie pozwoliły mi na udaną pracę nad obrazem – irytował się dalej grubogłósy. – Musiałem wyrwać z mojej wyobraźni, a nawet z mojej duszy, oko, nos lub całą głowę świętego, apostoła, proroka, męczennika, i przykleić ją do ściany. Ale w mojej duszy było ponuro i deszczowo! Źle na duszy. Siedzę tutaj – pomyślałem – dzieło mego życia stoi, *Bohaterowie* pokrywają się kurzem. Kiedy nadszedł trzeci rok, poczułem takie znużenie umysłu i ciała, że... Bóg jeden wie, com panu winien! A Bóg widzi wszystko. On ukazał mi cud!

„Cud? To już coś...” – skoncentrowała się podsłuchiawczka.

– Wystarczy już, batuszko – rzekł profesor.

– Nie o tym teraz mówię. To był drugi cud. Pierwszym było moje cudowne ocalenie, kiedy spadłem z rusztowania... Z piętnastu arszyn. Mogłem zginąć!

„Z piętnastu arszyn. Ile to jest?” – Dasza zmarszczyła brwi.

– Tak, miałeś pan szczęście.

– Nie, nic podobnego! – odparł Wasniecowa. – To Matka Boża mnie uratowała! Ta, którą namalowałem tymi rękoma, a sam... Ona mnie uratowała! Ona mi wybaczyła. Od tego jakbym odzyskał wiarę. Nie bez powodu ludzie przemierzają tysiące kilometrów do Kijowa, aby oddać cześć świętym relikwiom. Nic dziwnego, że nazywają miasto świętą kolebką prawosławia. Nie bez powodu nazywa się Kijów elementarzem

prawosławia! To nie grzech, lecz rzecz warta uwagi współczesnych cyników, czytać ten elementarz.

„I o to chodzi!” – Czub pomyślała z zadowoleniem, odrzucając swoje pretensje do prorosyjskiego malarza.

– Ale nawet to nie wystarczyło Błogosławionej Dziewicy. Ona nie tylko mnie ocaliła i przebaczyła winy, ale mnie pocieszyła jak dziecinę. A już dnia następnego pan żeś mi ofiarował tak bezcenny dar. Emilia Lwowna miała rację, to może być pierwsza świątynia Kijowa!

„Chwila. Stop. Emilia – Katia? Mówi o skarbie!” – wzdrygnęła się Dasza na myśl o intrygującym przeczuciu „tego, co powinna wiedzieć”!

– Nie wiem, jakże mam pana od tego odwieść – rzekł profesor historii sztuki. – To wszystko bajka, Wiktorze Michajłowiczu. Przyznaję, że wciąż zdumionym, że metropolita wziął to na poważnie i umieścił go w Uspienskim. Czego tylko nie wymyślają o jaskiniach Cyryla... Sam pan wie, jakim ciemnym i nieświadomym jest nasz lud.

„Co niby jest bajką? Dlaczego bajki, skoro przecież sam znalazł skarb?” – zdziwiła się Dasza.

– Nie, nie, Ilja, Dobrynia i Alosza nie są fikcyjnymi bohaterami! – rzekł z natchnieniem Wiktor Wasniecowa. – Kiedym wziął go do ręki, ogarnęło mnie takie duchowe uniesienie, że nie potrafię nawet tego opisać. Panie, jeśli to jest ten sam, mojego głównego bohatera!

„Co ten sam? Tak trudno to po prostu powiedzieć?” – zirytowała się Dasza.

Bo jeśli chodziło o coś, co należało do bohatera, to nie był to skarb. Skarb był hetmański...

„W takim razie co takiego trzymał w rękach?”

– Kiedym po raz pierwszy zobaczył wizję tego obrazu, naumyślnie tu przyjechałem, by zobaczyć stopy naddnieprzańskie – patrzałem na ich

rozległość, rozmach przestrzeni! Prawdę Gogol napisał: „Czy bohaterowi miejsce nie tu?”. Narysowałem szkic... Ale potem żem o tem zapomniał. Tutaj wszystko momentalnie zeszło się na jednym. Czemuż to uskarżam się na los złowrogi, skoro on doprowadził mnie w to samo miejsce, gdzie w podziemiach ławry leży mój najświętszy Ilja? A w Dziesięcinnej Włodzimierz, któremu on wiernie służył! Moja ulica prowadzi na Górę Starokijowską, gdzie bohaterowie moi ucztowali w jego książących komnatach. Czyż wszystko, czym żem od dawna otoczony, nie jest tożsame z wysokim, surowym zadaniem zleconym mi w soborze Włodzimierskim? Jakże bym mógł odseparować jedno od drugiego, skoro mój pierwszy bohater i Włodzimierz to jedno?

– Cóż, jeśli tak pan to widzisz... – zaczął członek komitetu do spraw projektu wnętrza katedry św. Włodzimierza, wyraźnie zamierzając zakończyć tę podniosłą debatę, której jednak nie udało mu się sprowadzić na ziemię.

– Tak! Tak! – przerwał uroczyście Wasniecowa. – Po wielokroć z panem rozprawialiśmy, jak uderza nas głębia, bezpośredniość i szczerść dawnych ikonopisarzy, jak w pełni i bez lęku wypełniali swoją posługę! Skąd brali pełnię i odwagę? Zaprawdę proste to zadanie. W dawniejszych wiekach wszyscy ludzie wokół nich, wielcy i mali, wierzyli! Tłum był podekscytowany i radował się dziełami swych artystów. A kto teraz oczekuje od nas wzniosłych objawień? Nasze zadanie: zabawiać tłumy, jak błazen sezonowy, hipnotyzer, Zucchi, Sarah Bernhardt. Sami mierzymy się furorą wystaw i pochwałami gazet. Na ich potrzeby chciałem stworzyć moich *Bohaterów*! Spieszyłem się, zadęczałem...

– Jesteś pan boleśnie dla siebie surowym – westchnął pojednawczo Adrian Wiktorowicz. – A dla innych wcale nie mniej. Pamiętasz pan, jak

generała-gubernatora Odessy, co przyszedł do soboru nacieszyć oczy, siłą stamtąd wygnano? Czy to dozwolone?

Ale Dasza nie zgadzała się z profesorem – coraz bardziej podobał jej się wujaszek, szczery i niekonwencjonalny. Miał całkowitą rację: nie można tworzyć muzyki pop tylko dla zaspokojenia publiczności. I wszyscy ci szefowie ni cholery nie mają prawa ingerować w proces twórczy!

– I dla Michaiła Wasiliewicza... – ciągnął profesor-nudziarz.

– Niestierow nie powinien był malować pańskiej Leli do ikonostasu – mruknął w odpowiedzi Wasniecowa i stało się jasne, że już nieraz wyrażał to przekonanie i nie zamierza go zmieniać.

„Aha, chodzi im o moją Barbarę! Więc i mnie powiesili w ikonostacie? To znaczy: wisi tam moja podobizna. Wspaniale!”

– Co pan nie powie – zgodził się z nim tym razem wesoło profesor Prachow. – Nie bez powodu nasza rodzina w Kijowie uważana jest za wzór ekscentryczności... Nie domownicy, a jakaś rodzina święta! Żona: Matka Boża u Cyryla, z naszym własnym dzieckiem na kolanach. A Michaił Wasilicz najpierw podziwiał arcydzieło Michaiła Sanycza, a potem sam poszedł w ślady jego. Pierwszy z nich zakochał się w mojej żonie, drugi w córce. Niestierow poprosił również o rękę Leli. A jakże, wdowiec z dwójką dzieci! Z klasy kupieckiej...

„No, to ładnie, dziadu, niedoszacowałeś” – zauważyła sarkastycznie Dasza Czub. „Założę się, że kiedy Niestierowa odznaczyli nagrodą Stalina, twoja córka zebrała po sąsiadach! A mogła się wołgą wozić! I to z artystą i koneserem sztuki...”

Czub naprawdę uważała ludzi sztuki za najwyższą i jedyną godną kastę, a za filisterski stosunek do nich chętnie rozszarpałaby gardło rozmówcy. (Niestierow z niewiadomych przyczyn był ulubionym artystą jej matki).

– A kiedy dostał odmowę, sportretował ją jako świętą Barbarę – zakończył opowieść profesor – ignorant lekceważący sztukę, niemający pojęcia, że pozbawił córkę wołgi, a nawet niezdający sobie w ogóle sprawy z istnienia jeszcze wówczas niewynalezionej wołgi.

– Durna to rzecz – rzekł Wasniecow. – Co innego carównę albo ptaka Sirin. Tu każdy może fantazjować wedle życzenia. Ale żeby pisać ikony świętych z ukochanych...

– Czy sam pan żeś nie malował obrazu Matki Bożej Włodzimierskiej ze swojej drogiej żony Aleksandry? Któż pana uratował? Niebiańska Królowa czy...

– Najświętsza Panienska! – sarknął zbyt surowo Wasniecow. – Wszystko inne to plotki i spekulacje. Tak, ten pomysł przyszedł mi do głowy, kiedym ujrzał, jak mój syn, Miszka, będąc niemowlęciem w ramionach swej matki, zobaczył niebo i chmury, i wyciągnął do nich ręce, jakby chciał objąć cały świat... To był impuls! Myśl przewodnia! Moja żona nie jest bowiem Matką Boską. A mój syn nie jest Chrystusem. Nie przystoi mieszać jednego z drugim. To grzech.

– Grzech i grzech... Nic tylko o grzechu i biedzie klepiecie! – Głos profesora zaskrzeczał, ściągwszy się z boskim kalamburem.

– Nie obwiniam o nic Emilii Lwowny – rzekł podekscytowany Wasniecow. – Jest kobietą, a one uwielbiają skupiać na sobie całą uwagę. Każda skłonna myśleć o sobie jak o Marii i Kleopatrze w jednym.

– Wiem o tem dobrze – skarżył się profesor. – Pan jej nie lubisz. I ja nieraz nie pojmuję jej kaprysów. Czasami urządza harce, śpiewa i tańczy, potem w histerię wpada, a potem nagle w taką pobożność, żem sam od tego więcej nieswój. Jakby nie była sobą... Tak. Niech pan mi wierzy! – Głos Prachowa był szczerze zatroskany. – Jest osobą o najwyższych walorach moralnych, oddaną matką i żoną. Nieważne, co o niej ludzie roznoszą, ale

sama Emilia Lwowna była zafrapowana, kiedy Wrubel z Wenecji jej portret przywiózł! Szalał za nią... Dlatego wysłałem go do Włoch, żeby nie zrobił się z tego skandal. A tu coś takiego! Przywiózł! Któż się spodziewał... Ciągle u nas bywał, portrety malował. I mój, i dziewczynek...

– Emilia Lwowna wiedziała – rzekł stłumiony grubogłosey.

– Litości, skąd miała wiedzieć o tem? – zagrział małżonek.

– Tylko Michaił Sanycz nie powinien był malować jej jako Niepokalanej Dziewicy i Królowej Niebios – rzekł wymijająco artysta. – Tak jej powiedziałem. Wszystko powiedziałem, gdy Emilia Lwowna mi to zaproponowała...

– Moja małżonka panu zaproponowała? – spytał profesor łamiącym głosem.

– Tak – potwierdził Wasniecowa, a po chwili milczenia dodał: – A gdybym na to przystał, ona by mnie nie uratowała.

– Tak. Tak – rzekł Adrian Prachow. I Dasza poczuła, jak w jednej chwili jego wizyta przestała być przyjemna.

Nastąpiła niezręczna pauza.

– Co z Wrublem? – spytał w końcu Wasniecowa.

– Maluje teraz same demony – odezwał się z niechęcią profesor. – Kiedy po powrocie z Wenecji Emilia Lwowna przywołała go do porządku, stało się to dla niego czymś w rodzaju obsesji. Wcześniej już bywał okrutnie dziwnym. Pojawiał się z zielonym nosem. Przebierał w stroje renesansowe. Ale to... Ech! Patrzył spode łba. Albo nawet znikał. Nikt nie wie, gdzie był, co robił. Sam chyba nie jest tego świadom. Nazywał tę grę „luki w pamięci”. I jeszcze ta absurdalna historia z wymagowanym pogrzebem ojca, na który rzekomo się udał! Tylko że, jak się okazało, ojciec jego żyje i ma się całkiem dobrze. Proszę zapamiętać moje słowa, on źle skończy!

– Słyszałem, że Michaił Aleksandrowicz niedawno się ożenił. Ze śpiewaczką operową – powiedział zamyślony Wiktor Michajłowicz.

– Cóż, daj mu Boże – skwitował bez przekonania Prachow.

Rozdział dwudziesty pierwszy

w którym autorka propaguje
dziewiętnasty wiek

Znowu? I poświęciwszy kwiatostanom
fortepianu dźwięczny rytuał,
całym dziewiętnastym stuleciem
paść na stary trotuar.

~ Borys Pasternak

Myśli Maszy krążyły po głowie jak ludzie miotający się po swoich mieszkaniach, wyrzucający rzeczy z szafek na podłogę, histerycznie próbujący odnaleźć to, co zawieruszone i ważne. I kiedy Masza przemknęła przejściem dawnego placu Krieszczatickiego-Dumskiego, by skręcić za rogiem – w dawną i obecną „najfantastyczniejszą ulicę świata” – znalazła to, czego szukała.

Dwa klucze – na haczyku w szafce wisiały dwa klucze! Tak jak na tym haku, na którym znaleziono cenny klucz do legendarnej Andriejewskiej 13, a pod nim mniej legendarny, ale nie mniej ważny klucz do

Andriejewskiej 38, gdzie Bułhakow mieszkał ze swoją młodą żoną Tasią Lappą.

A jeśli tak, to prawdopodobnie drugi klucz, z adresem, który nic jej nie mówił, sąsiadującym z ulicą Trzech Świętych 10, również miał coś wspólnego z kijowskim życiem Michaiła Wrubla.

Cóż, z tysiąca niezidentyfikowanych adresów na kartonowych breloczkach przynajmniej jeden należał do przyjaciela, znajomego lub nawet osoby postronnej, która mieszkała tu w tym samym czasie co on. Oznacza to, że jeśli Masza tam dotrze, będzie mogła go namierzyć. Jeśli nie w Kijowie, to w Charkowie. Jeśli nie w Charkowie, to w Moskwie. System jest jasny: kiedy wychodzisz na zewnątrz z kimś z przeszłości, zostajesz z nim w jego czasach, a jeśli wychodzisz sam... Gdyby tylko wiedziała o tym od razu!

Podnosząc jedwabny dół sukni, Masza wbiegła na pochyłe zbocze Małopodwalnej i ruszyła na stromą Prariezną. Suknia była nieznośnie gorąca i ciasna, a bieganie w niej skutkowało zrywaniem się haftek. Dziewczyna z zadyszką dotarła do świateł i zatrzymała się zziębnięta, trzymając rękę na piersi.

„Nie” – pomyślała z rozpaczą – „potrzebuję konkretnego dnia i godziny. Ani wcześniej, ani później. On wtedy właśnie mnie potrzebuje! Muszę go uratować. Później będzie za późno...”

– Hej! Maszo! Maszo!!! – Dźwięk dobiegł jej uszu, w tym momencie pozbawionych połączenia ze świadomością.

Omijając slalomem hamujące samochody, ignorując rozpaczliwe trąbienie przerażonych kierowców i dwa przejścia dla pieszych, przez skrzyżowanie – skosem w stronę Maszy – przebiegła zdenerwowana zakonnica z dwiema markowymi torbami ze sklepu Safo. Można się było

tylko domyślać, jakie wrażenie wywarła na sprzedawczyniach w butiku „służebnica boża”, fachowo wybierająca markowe szmatki.

Spotkanie dwóch panien przebranych w czarne sukmany wywołało wzmożone poruszenie. Niektórzy przechodnie zatrzymywali się, przysłuchiwali i próbowali ustalić, czy dziewczyny urwały się z trupy teatralnej, czy może konduktu pogrzebowego.

– Ale spotkanie, co? – prychnęła podekscytowana Dasza. – Widziałam tam takie rzeczy! To zadziałało! Tylko nie we właściwym miejscu!

– Jesteście z teatru? – spytał beczelnie niski, bezwąsy chłopak, obwąchujący podejrzliwie Czub swoim piegowatym nosem. – Czy można się z panią umówić?

– Sasza? – Dasza Czub z dezaprobatą wbiła wzrok w jego nos.

– Skąd pani wiedziała?

Wstrząsająca nerwowo pogładziła swój czepek nowicjuszki i wymacawszy luźny pukiel na czole, zgrabnie wcisnęła go z powrotem.

– Panie, przebacz swemu grzesznemu słudze Aleksandrowi – wyszeptała nagle, spuszczać oczy. – Idź w pokoju, chłopcze! Nie jesteśmy z teatru, jesteśmy z klasztoru Florowskiego na Padole. Zbieramy datki dla biednych... – Czub potrząsnęła swoją markową torbą, obdarowując chłopaka pouczającym spojrzeniem.

– Aaa, to ja przepraszam. – Wymoczek pokręcił nerwowo głową, patrząc na datki dla biednych z kijowskiego butik, do którego nie chodziła nawet większość zamożnych obywateli, i oddalił się szybkim krokiem.

– No już, idziemy, pospiesz się – ciągnęła koleżanka Maszę. – Byłam w XIX wieku, wyobrażasz sobie? A wiesz, co z tego jest najbardziej wstrząsające? Jeszcze tego nie skumałaś?! A patrzyłaś na zegarek?

Masza beznamiętnie wyciągnęła z kieszeni swoją „Czajkę”.

Na zegarku była 17.04.

– Widzisz? – krzyknęła Dasza. – A z domu wyszłyśmy przed wpół do piątej! Byłam zszokowana, gdy w sklepie spojrzałam na zegar. Czas się zatrzymał! Czas, który jest tam, nie liczy się tutaj! Wchodzisz o 16.30 i wracasz o 16.30! A jak u ciebie? Ty też? – spytała z entuzjazmem Dasza.

– Zgubiłam klucz – rzekła grobowo Masza.

– Cóż, sieroto! – oburzyła się Czub. – Gdzie go posiałaś? W drodze?

– Nie – rzekła stłumionym głosem dziewczyna. – Prawdopodobnie w sypialni Wrubla. Kiedy ściągałam sukienkę...

– COOO! – Czub była wyraźnie zadziwiona. – Czy ty... Przespałaś się z nim?! – Jej oczy zaokrągliły się z zachwyty i spojrzały na Maszę ze szczerym i prawdziwym szacunkiem.

– Nie... – Masza zacisnęła powieki, a przez powstałe szczeliny natychmiast wyciekła ciepła wilgoć. – On mi się oświadczył! Ja chciałam! A potem nagle bum! I znowu jestem na Krieszczatiku. I nie mam klucza... Nie mam pojęcia, jak tam wrócić.

– O łał! – Dasza zadrżała. – A jak trafiłaś na Krieszczatik? Przecież on mieszkał na Andriejewskiej!

– Och, Daszo! – Masza rzuciła się przyjaciółce na szyję, urzeczona jej niespodziewanym współczuciem i zrozumieniem, i z ulgą wsunęła nos w czarną sutannę. – Ty rozumiesz... Ale ty nawet nie wiesz! Pojmiesz, jak ci opowiem...

– Tak – rzekła zaintrygowana Dasza Czub. – Wracamy do domu! Tam mi o wszystkim opowiesz.



– Słuchaj... – rzekła Dasza.

Masza z twarzą rozpaloną miłością biegała wokół półek z książkami jak koń wokół cyrkowej areny, wyciągając jedną książkę za drugą i odkładając je z oburzeniem:

– Gdzie ona jest? Była tutaj! Książka o Wrublu? Wypadła razem z albumem Wasniecowa. Pamiętam... Nie mogę iść przypadkowo, muszę wiedzieć o nim wszystko. Wszystko, co się z nim stanie, zanim tam wrócę.

– A to co? – Czub stanęła na czworakach, wsunęła głowę pod kanapę i wyciągnęła podartą książkę. – Tego szukasz? Tak, cóż...

Masza łapała gorączkowo powietrze, przyciskając drugi klucz do piersi.

Nad książką, najwyraźniej zostawioną przez nią na podłodze, z właściwą znajomością tematu pracowały czyjeś fachowe zęby i pazury. Kartki, które szeleściły jak myszy, zostały podarte i wyrwane. Tylko początek i koniec pozostały mniej więcej nienaruszone.

– Który z was to zrobił? – krzyknęła groźnie Dasza.

Czarny kot, siedzący wciąż na swoim ulubionym kominku, w milczeniu szczyrzył żółte kły, zdając się nie zważać na zaczepki. Puszek, która do tej pory wiernie ganiała wokół nóg Daszy, usiadła na pulchnym tyłku i spojrzała na nią ze zdziwieniem okrągłymi bursztynowymi oczami. Belladonna była nieobecna.

– Dajmy spokój – pocieszała Maszę koleżeńska Czub. – Co można wyczytać z książek? Cała historia to jedno nieustające oszustwo! Nikt nie wie, ile lat ma Kijów. Tabliczkę z Wasniecowem zamontowali na przypadkowym domu. I nikt się nawet nie zastanowił, że przez nich mogę trafić diabli wiedzą gdzie. Dobrze, że chociaż do mieszkania... A nie do burdelu! – zganiła nieodpowiedzialnych historyków, nie myśląc o tym, że historycy z pewnością nie mogli wymyślić takiego przebiegu zdarzeń.

– Na Włodzimierskiej nie było burdeli, przynajmniej nie legalnie... Musimy skoczyć do biblioteki, zanim ją zamkną! – Masza maniakalnie

obrała kierunek na drzwi.

– Posłuchaj! – Czub zablokowała przejście. – Twój Wrubel żył w XIX wieku!

– I co z tego? – zapaliła się studentka. – Lubię XIX wiek! Podoba mi się o wiele bardziej niż...

– Nie o to chodzi – przerwała jej spokojnie Dasza. – Mam na myśli to, że jego czas już był, a więc on nigdzie się nie wybiera! Rozumiesz? Tam nie można się spóźnić! A jeśli wiemy, jak się tam dostać, możemy to zrobić jutro i pojutrze.

– To ma sens. – Kowalowa zamrugła w zamyśleniu, powoli przyswajając informacje. Co dziwne, ten prosty wniosek po prostu nie przyszedł jej wcześniej do głowy!

– Chodzi o to, że ty, jak każda kobieta, chcesz tego teraz i natychmiast. Ja cię bardzo dobrze rozumiem. – Czub wyraźnie podkreśliła trzy ostatnie słowa. – Mam podobnie! Obiecuję ci, że jutro dowiemy się o nim wszystkiego, poczytamy, popytamy i odpowiednio się przygotujemy. A jeśli zechcesz, będziesz mogła z nim zostać. Dlaczego nie? – rzuciła z entuzjazmem. – Jeśli czas tutaj dla ciebie stanie w miejscu, możesz przeżyć z nim całe życie, a potem wrócić tu i przeżyć kolejne. Czy to nie jest czadowe? Czadowe! Tylko teraz mamy do załatwienia inny problem... Dzisiaj umrzemy. Pamiętasz? Chociaż... – Czub z przyzwyczajenia podrapała się po nosie. – Gdybyśmy naprawdę miały dzisiaj umrzeć, to może ucieczka do innej epoki jest jakąś opcją. Tylko co miałybyśmy tam robić? Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi... Zdechłybyśmy.

– No co ty! – zapewniła ją z wyraźną fascynacją w głosie Masza. – Koniec XIX i początek XX wieku to był najlepszy czas na świecie! Były już tramwaje i samochody. Ale nadal jeździli w powozach i saniach! Był już telefon i prysznic Charcota, ale damom nadal całowano dłonie, noszono

je na rękach i kłaniano się im jak boginiom, tylko dlatego, że były kobietami! Nosiliśmy kapelusze i gorsety, a te, które nie miały na to ochoty, zdejmowały je, obcinały włosy, paliły papierosy i kształciły się. Ty prawdopodobnie zostałąbyś sufrażystką. Albo studentką... I byłabyś pierwszą kobietą, która przejechała przez Kijów na rowerze!

– A telewizja? – Czub nie podzielała tego entuzjazmu. – A Internet? A kino?

– Był już kinematograf!

– I co można było oglądać? Nadjeżdżający pociąg?! W dodatku niemy! Dziękuję!

– W latach dwudziestych pojawili się Rudolph Valentino i Charlie Chaplin. Trzeba tylko trochę poczekać...

– A Tarantino? A duet Wachowskich? A Coppola?

– Jeśli chcesz – zaproponowała niepewnie Kowalowa – to zabierzemy ze sobą magnetowid i spróbujemy go jakoś rozhuścić? Przecież była już elektryczność! Nie, ty nic nie rozumiesz – wyszeptała gorąco, przewracając oczami. – Dopiero teraz pojęłam, że tam jest mi o wiele lepiej niż tutaj. Znam tam wszystko, a tutaj...

– Ni cholery – dokończyła Dasza, mimowolnie wykrzywiając usta. – Też mi nowina! Gdybyś mnie zapytała, to samo bym ci odpowiedziała.

– Dlatego poszłam na historię. Boże, mam, ja nie chcę! Nie chcę tu żyć!

– Nie chcesz, to nie będziesz. – Dasza wzruszyła ramionami. – Nikt cię nie powstrzyma! Ale skoro jeszcze jesteś tutaj, zrobmy wszystko, żeby rozwikłać tę zagadkę, jeśli nie masz nic przeciwko. *À propos* – zapiła kusząco, zaglądając do albumu – Wasniecowa urodził się piętnastego maja, podobnie jak Bułhakow. Piętnastego chyba było jakieś święto, prawda?

To tylko pogorszyło sprawę!

Masza z nosem na kwintę zaczęła płakać.

– Wszystko rozumiem – przypomniała Czub. – Ale, błagam cię, Masiu, odłóżmy na później prysznic Charcota i wykorzystajmy zdobyte informacje... Opowiedziałam ci wszystko! A ty? Czy poza tym, że ci się oświadczył, wydarzyło się coś ciekawego?

– Tak! – Masza, zanurzona w głębi własnej fantasmagorii, ostatek sił wypłynęła na powierzchnię, przypomniawszy sobie nagle najważniejsze: to, co sprawiło, że tak bezmyślnie wybiegła z kawiarni oraz to, co mogło sprawić, że życzliwa Dasza Czub w jednej chwili straci swoją koleżeńską wyrozumiałość. Zacisnęła palce na skroniach tak mocno, że obawiała się eksplozji swojej głowy. – Najpierw rzeczy najważniejsze – zaczęła tchórzliwe podchody. – Pod koniec XIX wieku w Kijowie mieszkała rodzina profesora Prachowa, pierwszego profesora historii sztuki, aktywnego działacza, „Jego Ekscelencji” i imprezowicza...

Dasza z zadowoleniem skinęła głową, usiadła na kanapie, złożyła ręce po mnisiemu na kolanach i przyjęła pozę do słuchania. Puszek wdrapała się na oparcie kanapy, wiernie położyła dwie przednie łapki na ramieniu swojej pani i wtuliła się jednocześnie w kanapę i plecy Daszy.

– Na początku lat osiemdziesiątych Adrianowi Wiktorowiczowi powierzono kierownictwo artystyczne nad pracami konserwatorskimi w cerkwi św. Cyryla i wystrojem wnętrza soboru św. Włodzimierza na bulwarze Bibikowskim – wyrecytowała Masza treść czternastego zestawu egzaminacyjnego. – W tym celu profesor zaprosił do Kijowa Michaiła Wrubla, który właśnie ukończył studia na Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. I Wiktora Wasniecowa, wówczas również jeszcze niezbyt wybitnego. To znaczy, on był już uznanym mistrzem z talentem w malarstwie historycznym, ale to sobór św. Włodzimierza i *Bohaterowie* byli dziełami jego życia, osobistym monumentem, Kolumną

Aleksandrowską. Po nich Wasniecowa stał się „twórcą nowego cerkiewnego i narodowościowego malarstwa, fenomenem, idolem Rusi, przed którym należało klękać i modlić się do niego”.

– Tak?! – zdziwiła się Dasza „szczerym wujaszkiem”.

– Tak jak kariera Wrubla zaczęła się od cerkwi św. Cyryla i *Demona* – ciągnęła Masza. – Przed nimi nie namalował niczego poważnego. – Zamyślona spojrzała na początek książki, przeglądając prace studenckie Miszy. I jęknęła żałośnie, zobaczywszy akwarelę *Hamlet i Ofelia*. – Co ciekawe, Wasniecowa najpierw męczył się życiem w Kijowie, a dopiero potem, po cudownym ocaleniu...

– Kiedy spadł z rusztowania. Ile to jest piętnaście arszyn?

– Nieco ponad jedenaście metrów – wyliczyła w myślach Kowalowa.

– Jak z trampoliny basenowej? Ale na kamienną posadzkę! Więc to naprawdę był cud – rzekła z uznaniem Czub.

– Wrubel natomiast z początku kochał to miasto... I rzeczywiście, pamiętam z zestawu egzaminacyjnego, jego biografowie pisali: pierwsze pół roku w Kijowie było najjaśniejszym okresem w całej jego tragicznej i strasznej egzystencji... – Głos studentki zadrżał jakby miał się załamać.

– Jak ty to wszystko zapamiętałaś? – zachwyciła się Dasza.

– Ale co ja takiego pamiętam! – Masza wybuchła nagle gniewem. – Tylko lata kijowskie i niewiele po nich! Nie uczyliśmy się dalej, bo następny okres to nie była nasza sztuka końca XIX i początku XX wieku, tylko ich, rosyjska! Nawet nie pamiętam, co doprowadziło go do szaleństwa! On nie powinien był zachorować! – jęknęła. I niespodziewanie, w końcu oderwawszy się od uzgodnionego tematu, sarknęła brzęczącym i wielosłownym oburzeniem. – Co z tego, że był nerwowym! Po prostu był zakochany i cierpiał! Co z tego, że lubił się przebierać? Był człowiekiem

kreatywnym. – Masza spierała się nie wiadomo z kim (najwyraźniej z samą historią!).

– A ten zielony nos?

– Powinni zobaczyć, w czym ty chodzisz! Oszaleliby! On nie jest bardziej nienormalny niż ty! Jasne?! Muszę, muszę tam wrócić! Beze mnie on postrada zmysły!

– To ja przez ciebie zwariuję! – Czub straciła cierpliwość. – Przez was obie! – Ostatnia uwaga była skierowana do Puszek, która opadła głową w dół na kolana swojej pani.

Zrobiwszy fikołka, kotka zjechała swoją przysadziłą pupą po nogach dziewczyny. Koci tyłek dotknął podłogi, a jego właścicielka zawisła, wczepiona pazurami w sutannę Daszy.

– Czy choć przez chwilę potraficie skoncentrować się na jednym temacie? – krzyknęła z gniewem Dasza, biorąc Puszek na ręce. – Profesor nie znalazł w jaskini skarbu! To było coś, co należało do głównego bohatera.

– Do głównego, to znaczy do Ilji Muromca?! – Studentka wyrównała kurs.

– Siadaj, piątka! – mruknęła Czub. – Bez ciebie nigdy bym na to nie wpadła! Choć, oczywiście – dodała pospiesznie, chcąc osłodzić swój kąśliwy atak – we wszystkich pozostałych rzeczach jestem całkiem durna. Nigdy nie połapię się w tych cerkwiach, soborach, ławrach, obrazach i profesorach.

– W jaskiniach ławry faktycznie znajdują się relikwie świętego Ilji Muromca – westchnęła Masza. Jej głos wreszcie się wyrównał i stracił histeryczny ton. – Na tej podstawie przekazanie do ławry Peczerskiej rzeczy, która rzekomo należała do Ilji Muromca, jest całkiem logiczne. Kiedy Prachowowi powierzono odrestaurowanie cerkwi klasztornej

św. Cyryla, kijowianie już przekopali tunele pod cerkwią, a on musiał tam zejść. A może nawet nie zszedł. Poszukiwaczy skarbów interesowały tylko kosztowności; wszystkie inne rzeczy wyrzucali razem z ziemią. To musiał być wyjątkowo unikatowy przedmiot, a nie hełm czy uprzęż. – Masza podeszła do biurka, gdzie leżał ocalały album, i spojrzała na błyszczącą okładkę. – Na przykład słynna maczuga Ilji, ważąca czterdzieści pudów. To... – pomnożyła w myślach przez 16,3 kilograma – są 652 kilogramy!

– Aha! – ożywiła się Dasza. – Wiesz, to bardzo możliwe! To bardzo prawdopodobne! Mów dalej...

– Podsumowując – rzekła Kowalowa – Prachow znalazł w jaskiniach Cyrylowskich coś w rodzaju maczugi Ilji Muromca, a profesorowa poprosiła, żeby odniósł znalezisko do monasteru. Mniej więcej w tym samym czasie Wrubel zakochał się w żonie Prachowa i...

– Namalował portret naszej Katii do cerkwi św. Cyryla.

– Nie portret, lecz obraz do ikonostasu! I to wcale nie jest Katia. Profesorowa jest blondynką!

– Jakby Katia nie mogła zostać blondynką...

– A tak w ogóle to chciał, żebym to ja pozowała!

– Może cię jeszcze namaluje – wtrąciła grzecznie Czub. – Katii na tym nie zależy, a tobie tak. Nie wiem tylko, czy powinien pisać ikonę Matki Bożej, wzorując się na wiedźmie?

– Jesteśmy Kijowicami!

– To bez znaczenia, Wasniecowa i tak uważał to za złe – uparła się Dasza, zauroczona grubogłosem malarzem. – Potępił też Emilię za prowokowanie Wrubla...

– Chciała mu tylko pomóc! – Kowalowa stanęła w obronie ukochanej swojego ukochanego. – Była bardzo szczerą, gwałtowną, poruszona i nie do końca nad sobą panowała! Jak ty! Ale była kobietą wierną i wierzącą.

– Potępił też jej córkę, której podobizna miała posłużyć Niestierowowi do namalowania świętej Barbary! Faktycznie była bardzo wierząca – mruknęła sarkastycznie Czub. – Moim zdaniem obie szukały rozgłosu. Robiły z siebie Bóg wie kogo. Nie prześpię się z tobą, więc namalujesz mnie jako świętą! – Dasza wymyślała niestworzone brednie. – Twoja głęboko wierząca dama podwalała się też do Wasniecowa. Jedna ikona jej nie wystarczyła! W końcu cerkiew św. Cyryla jest gdzieś na peryferiach, ze szpitalem psychiatrycznym obok. A sobór św. Włodzimierza... – on nie mógłby być już bardziej w centrum. I Matka Boża w nim jest na całą ścianę, aż po sufit. Tylko że on jej odpowiedział, o tak! – Wyrzuciła lewą rękę do przodu z agresywnie zaciśniętą pięścią i uderzyła się w prawy nadgarstek (choć Wiktor Wasniecowa prawdopodobnie wyraził swoją odmowę z większym szacunkiem).

– Twój Wasniecowa był ortodoksyjnym chrześcijaninem! – odszczekała niechętnie Kowalowa. – Dziedzicznym kapłanem. Powinien był trafić na parafię, gdyby nie porzucił seminarium dla akademii. Był wstecznikiem!

– Nie, on jest prawdziwy! – zbuntowała się Dasza. – Jego Maria też jest prawdziwa i uratowała go od śmierci. A dziś wieczorem ocaliła też sobór św. Włodzimierza od ognia! I wojny. I ja w to wierzę! A Wrubla zgubiła jego Maria. Czy chcesz wiedzieć, kiedy oszalał? Powiem ci: jak tylko przywiózł jej portret z Wenecji! Dostała, czego chciała, i natychmiast zatrzasnęła przed nim drzwi! A on zapadł się pod ziemię. Gdy wrócił, zaczął malować demony!

– A więc, jeśli chodzi o *Demona* – zaczęła groźnie Masza, rozgniewana bezczelnością Daszy – Wrubel namalował pierwszego *Demona* w Kijowie!

– Wiem.

– Skąd?

– Myślisz, że jestem całkiem głupia?! – oburzyła się niezbyt logicznie Dasza. – A tak w ogóle, to skończyłam Glière’a. Przerabialiśmy tam operę Rubinsteina *Demon*. Mój wykładowca powiedział, że Wrubel, zobaczywszy sztukę w Operze Kijowskiej, namalował pierwszego *Demona*. A *Demon* to nie niedźwiadki z *Poranka w sosnowym lesie*. Zna go cały świat. Widziałaś *Wywiad z wampirem*? Brad Pitt i Antonio Banderas rozmawiają na tle *Demona* Wrubla. Robi wrażenie?

– Robi – zgodziła się Masza, która nigdy nie widziała tego filmu, nie kojarzyła Pitta, i nie wierzyła, że status hollywoodzkiego tła jest oznaką artystycznej wspaniałości. – Tylko że opera, wybaczn, nie ma z tym nic wspólnego! Ani Prachowa. Tu nie chodzi o *Demona* Lermontowa, tylko o naszego *Demona*. Misza go znał. I powiedział mi, jak się nazywa: Dementy Kijewicki. K. D.! I to...

Westchnęła gwałtownie, z góry żałując ciszy, która miała zapanować po oburzonej krzyku Daszy, i dokończyła, przekonująco, bez ogródek:

– Nasz chłopak z pierścieniem. Ten sam!

– Nasz chłopak? – Czub zmrużyła oczy. – Ale to jest totalna bzdura! On wcale nie przypomina demona! I ma na imię Jan! Nie opowiadałam ci, nie było okazji. Spotkałam go dziś w klubie. Wyjaśnił mi wszystko, absolutnie wszystko! Jego ojciec jest grubą rybą i zaprzęga go do pracy w merostwie. Ten wyskok z pracą w kanałach był na złość ojcu. I było jasne, że nie na zawsze.

– Ale ja go widziałam.

– Kogo widziałaś?! – zawyła Dasza. – Kiedy? Sto lat temu? Czy mało jest podobnych do siebie ludzi?!

– A pierścień...

– I podobnych pierścieni – na pęczki! Cały czas na niego najeżdżasz! Od samego początku! Musiało ci się przewidzieć...

– Mogę przysiąc!

– Lepiej nie. Bo się pokłócimy! – zagroziła ponuro Wstrząsająca, patrząc na Maszę wzrokiem człowieka gotowego natychmiast wymazać ją ze swojego życia. – Zapamiętaj raz na zawsze, Maszo, życiową zasadę: nigdy nie naskakuj na chłopaka swojej przyjaciółki! Dopóki ona sama nie zacznie go krytykować. Bo kiedy chodzi o faceta, to kończy się koleżankowanie!

– To on już jest twoim chłopakiem? – przygasła Masza.

– Już! – warknęła groźnie Czub i zmieniła temat: – W każdym razie robi się późno, a my znalazłyśmy się w ślepym zaułku. Niepotrzebnie się przebierałyśmy. Cała zaparowałam pod tymi szmatami. Jediną użyteczną informacją jest to, co ja przyniosłam. O maczudze. I skarbie. On nadal tam jest! Ale to niczego nie zmienia. Dobrze, że przynajmniej czas się zatrzymał... A tobie się oświadczone. Czyli twój Mir idzie w odstawkę? – mruknęła Dasza.

Masza zacisnęła usta i ze łzami w oczach pokręciła głową, najpierw przecząco, potem zgodnie.

– Wiem, że to złe... Najpierw z jednym, potem z drugim. Nieładnie wyszło. Powinnam była od razu powiedzieć mu, że go nie Kocham... Ale byłam tak przyzwyczajona do tego, że go Kocham, i nie miałam ani chwili, żeby pomyśleć, że tak naprawdę to nie. A jeśli on naprawdę mnie Kocha, to... Matka miała rację, naprawdę jestem ostatnią prostytutką!

– Skończoną – poprawiła ją spokojnie Dasza. – Nie jesteś żadną prostytutką. Nawet na miano zwykłej musiałabyś się jeszcze ostro napracować. Jeśli chcesz wiedzieć, on...

Ale jej próbę dojrzałego przyznania się do przestępstwa „przez przypadek” przerwał nieuprzejmy czarny telefon. I ku przerażeniu

i zażenowaniu Maszy, stłumiony głos zdradzonego Mira poprosił, aby zeszła po niego do holu wejściowego.

– Mamusiu... – jęknęła przerażona Masza.

– Dobra! – Dasza się wreszcie uspokoiła. – Przygotuj się, a ja po niego zejdę. – I dodała pojednawczo: – Od czego są przyjaciółki?

– Poczekaj... – pisnęła z wdzięcznością Kowalowa. – Czy myślisz, że Misza naprawdę mi się oświadczył? Przecież był w niej zakochany... A ja nawinęłam mu się zupełnie przypadkiem... – powiedziała płacząco, błagając o usprawiedliwienie.

– Nie zawracaj sobie tym głowy! – Dasza natychmiast udowodniła swoją przyjaźń. – Był w niej zakochany psychopatologicznie. – Bez skrupułów przeinaczyła medyczny termin. – Z tego teraz się leczą! Ta Prachowa w ogóle do niego nie pasowała! Był roztrzęsiony, podłamany. Tacy ludzie potrzebują leżeć w wacie. A ty jesteś jego wata!

– Naprawdę? – ucieszyła się Masza z tego wątpliwego komplementu.

– Uwierz mi, wiem, o czym mówię! – zapewniła ją Dasza Czub.



Mir nawet nie zapytał o pochodzenie habitu Daszy, tylko zerknął na nią zamyślonym, czarnym spojrzeniem. Biorąc pod uwagę, że za pierwszym razem zobaczył Czub w łachmanach, a za drugim owiniętą we flagę, miał czas, żeby pogodzić się z jej ekstrawagancją w stylu hegemonia vulgaris.

Na Maszę, która witała go już w cywilizowanym ubraniu, też nie spojrzał. Usiadł na kanapie z opuszczoną głową, ramionami i dłońmi i bez słowa wbił wzrok w podłogę.

– Co się z tobą dzieje? – spytała Masza.

Mir poruszył się delikatnie, zerkając ukradkiem na Czub. Bez dawnej pogardy, bezbarwny i nieczuły, jakby to spojrzenie było zaledwie śladem dawnego życia, które przepadło bez śladu.

Ale Dasza i tak się wkurzyła:

– Nie chcesz mówić przy mnie, mogę wyjść!

– Nie – machnął ręką. – To bez znaczenia.

– A co ma znaczenie? – zapytała Czub po chwili milczenia, nie czekając na ciąg dalszy.

– Zdobyliśmy numer ojca Mitii.

– Telefonu?

– Tablicy rejestracyjnej. Przyjeżdżał do niego w odwiedzin. Ten numer zapada w pamięć.

– A można wiedzieć, czyje to auto? – zapytała z ożywieniem Wstrząsająca.

Rudowłosa Puszek, która wraz z przybyciem gościa straciła dostęp do kolan Daszy, stanęła na straży i, z przednimi łapkami wysuniętymi w błagalnym geście, wyciągnęła się do swojej pani. Ale ta się od niej opędziła.

– Można, ale nie trzeba. – Mir znów wpatrywał się w podłogę nieobecny wzrokiem człowieka tonącego we własnych myślach. – Ten samochód stoi pod domem. Przyjechałem nim...

– To twój samochód? – nachmurzyła się niepewnie Dasza.

– To samochód mojego ojca. Mitia jest moim bratem. Dmitrij Krasawicki.

– To tyle w temacie K. D.! – Czub zadygotała z zaskoczenia. – Współczuję! Szczerze! – Nagle dopadły ją ludzkie uczucia do niego: teraz, kiedy jego obecność nie groziła Maszy rozczarowaniem, a jej demaskacją użycia czarów, Dasza zaczęła mu szczerze współczuć. – Nieślubny? Ojciec

o niczym nie powiedział, prawda? Boże, jakie to straszne, dowiedzieć się czegoś takiego o sobie! Wyobraź sobie, że ja teraz dowiaduję się, że mam obłąkaną siostrę...

– Czyli – przeraziła się równocześnie z nią Masza – jeśli chcesz się oczyścić z podejrzeń, musisz oskarżyć własnego brata? A co z twoim ojcem? On tego nie zniesie!

– Nie zamierzam nikogo oskarżać – rzekł ledwo słyszalnie Mir. – Pójdę na policję. Powiem, że to byłem ja.

– Głupiek – stwierdziła Dasza, rzuciwszy się do obrony Mira przed nim samym. – Twojemu bratu nic się nie stanie! On jest chory! Przeniosą go na oddział zamknięty o zaostrożnym rygorze. I dobrze! Gdyby nie ten wasz zakochany lekarz, pozwalający mu na wszystko... On wypuścił maniaka do ludzi!

– Przyjął nas, bo pomyślał, że to twój ojciec! Przestraszył się, gdy cię zobaczył. Zdawał sobie sprawę, że nie wiesz o swoim bracie – wystękała Kowalowa, skupiona na poprzednim wątku.

– Musimy natychmiast powiadomić o tym fakcie śledczego prowadzącego dochodzenie! – podsumowała zdecydowanie Czub. – Póki nie zabił nikogo więcej. Skarb, jak się okazuje, nadal tam jest.

– Skarb – westchnął smutno Mir, jakby chciał powiedzieć: „To bez znaczenia”, ale wymamrotał niezrozumiale: – Niech będzie przeklęta ta miłość! Żeby kochać, trzeba być silnym, słabi nie są zdolni kochać! A ja jestem silny. Przynajmniej ja jestem silny...

– Co ty gadasz? – najeżyła się Dasza. Domyślała się już, w czym fatalny sęk.

– Gdybym powiedział, że to Mitia, Masza by mi nie wybaczyła. – Mir potwierdził jej najgorsze podejrzania. – On się jej spodobał. Widziałem to. Bronił go...

Dasza gwałtownie chwyciła Maszę za rękę i spojrzała na zegarek. 17.40. Urok wszedł w fazę terminalną!

– A może to faktycznie nie on? – Masza natychmiast potwierdziła najgorsze przeczucia Mira. – Może to sam „wujek Cyruś”! Jeśli on jest oddany pacjentowi – wyjąkała pośpiesznie – to czy możecie sobie wyobrazić, jak bardzo oddany jest mu Mitia? Ma dobrego lekarza, czego chcieć więcej! Dlatego cokolwiek lekarz mu powie, to Mitia robi. A jak sprawa wyjdzie na jaw, Snurowski umyje ręce i powie: „Czego chcecie, przecież jest obłąkany”. Wykorzystał go na ślepo. Wysłał do Rity... Albo i nie. Sam zabił Ritę i Mikołaja Pietrowicza! Wiedząc, że w razie niepowodzenia zrzuci winę na pacjenta!

– Przecież twierdzisz, że doktor bardzo kocha Mitię! – zaprotestowała z oburzeniem Czub.

– I co z tego? Co grozi Mitii? – Masza Kowalowa w przypływie uczucia do chabrookiego Chabrowskiego stworzyła całkiem spójną wersję. – Ten cały oddział o „zaostrzonym rygorze” będzie pod mięką ręką tego samego wujaszka! Gość celowo naszprycował Mitię informacjami. A jeśli go naszprycował, to znaczy, że wiedział: o skarbie i hetmanie. Interesuje się historią! Sam jest szalony! Psychiatrzy często popadają w obłąd. Snurowski jest fanatykiem szaleństwa! Uważa, że szaleńcy są wybrańcami! Że widzą i czują rzeczy, których inni ludzie nie pojmują.

– Może jednak to nie on jest K. D.! – rzekła Czub i zaatakowała Maszę wzrokiem.

– Czy naprawdę myślisz, że Mitia pisał do nas listy? – spytała pogardliwie Masza i zażądała wyjaśnień od Mira: – Ma czerwoną wiatrówkę?

– Nie.

– A lekarz?

– Pielęgniarka nie wie.

– Właśnie!

Dasza mocno szarpnęła za ramię dyskutantkę:

– Co „właśnie”? Lekarz, pacjent, jaka różnica?! Niech ich obu aresztują. Po prostu natychmiast powiedz temu idiocie, że mu wybaczasz i każ mu zgłosić się do prokuratury!

– Ale jeśli Mitia jest niewinny i zostanie aresztowany, pobity – załkała obrończyni jasnookiego szaleńca – a aresztowany lekarz nie będzie mógł mu pomóc? Lepiej się nie spieszyć, tylko iść tam w nocy, we czworo...

– Żeby nas wszystkich zabili? – zdziwiła się Wstrząsająca. – Mało ci było koleżanki z roku? Przyjaciela taty mało? Nie wystarczy, że trzecia będzie Kijowica? Same też idziemy na ubój? Do wyboru do koloru! Trzy kretyнки wedle upodobania! My same tam pójdziemy! Same! Jak tych dwoje, „z własnej woli”! Przez przypadek! Tylko oni nie wiedzieli, a my wiemy, jak ten przypadek się skończy!

– Nie wy-ba-czy mi – rzekł Mir, sylabizując, jakby podpisywał swój własny wyrok śmierci.

– Dwoje kretyńców! – zapiszczała jak porażona Czub. – Pawłówkę mamy na chacie! Jeśli nie chcecie, sama pójdę na policję... Teraz!

– Nie! – Mir nagle ożywił się i skoczył do Daszy, chwytając ją mocno od tyłu za rękę. – Będzie tak, jak ona mówi. Cokolwiek powie, tak właśnie będzie.

„I każde jego słowo staje się dla ciebie większe i bardziej znaczące niż wszystkie słowa Chrystusa” – przypomniała sobie Masza i złękła się tej nadmiernej władzy.

„A ja go nawet nie kocham!” – przeraziła się.

– Co robisz, durniu?! – wrzasnęła gniewnie Dasza, próbując wyswobodzić się z perswazyjnego uścisku Mira. – Myślisz, że ona cię

kocha? Ona kocha innego! No, powiedz mu! Chociaż to możesz mu powiedzieć?!

– Nieprawda! – Mir ścisnął ją tak mocno, że Czub krzyknęła z bólu. – Jeśli będzie trzeba, ona odda za mnie życie. A ja za nią!

– Oddam – potwierdziła szczerze Masza, rzeczywiście gotowa natychmiast umrzeć za karę, że go nie pokochała.

– To boli! – zapłakała Czub. I prawie się przewróciła, gdy Mir z krzykiem rozluźnił uścisk.

Z sykiem przypominającym wybuchający grzejnik ciężka Izyda Puszek zeskoczyła ze szczytu spiralnych schodów na głowę Mira i poleciała na podłogę, odbijając się od jego czoła czterema łapkami.

Mir cofnął się, zasłaniając podrapane czoło. Izyda syknęła dziko i wygięła się w łuk.

– Jeś-ś-śli jesz-sz-szcze l-raz dotkniesz-sz-sz matkę!!!

– Wiecie co? Co mogę wam powiedzieć? – krzyknęła z płaczem kocia mama. – Ta wasza miłość to bzdura! Chociaż jest bardzo mocna. Kochasz ją, prawda? Nie możesz żyć bez jej przebaczenia? Za cztery godziny ci przejdzie. Ale będzie już za późno! Jesteś pod wpływem uroku. Wypiłeś eliksir miłości! Przypadkowo. Elikسير był w coca-coli! Zrobiłam go dla siebie, ale wy...

Mir spojrzał na nie obie oszalałym wzrokiem. Bezgłośnie złapał ustami powietrze i zacisnął martwe wargi. Z zadrapań w kształcie krzyża na czole wypłynęła krew.

– Tajemna mikstura? Ale dlaczego? – szlochała Masza, mimowolnie szukając plecaka, z którego wypchanego boku wystawała czerwona nakrętka po coli Daszy.

– Przecież ci mówię, że dla siebie! – ryknęła rozczochrana Czub. – Zrobiłam go dla Saniego! Kiedy wyszłaś rano, razem z Katią

przyrządziłyśmy napary. Ja miłosny. Katia eliksir zwycięstwa...

– Miło-o-sny? – Mir zatoczył się, zanosząc się od przeciągłego, dość mrocznego śmiechu, z szeroko otwartymi ustami. – Taka miłość? Łyknąłem ziółka! To boli... Niewiarygodne... Wszystko, wszystko, wszystko. Nie mam już siły! Nie mogę już tego znieść! Nie mogę. To koniec...

Upadł kolanami na dywan i potrząsnął głową ze zmęczonym, mokrym i czerwonym czołem oraz czarnymi włosami rozrzuconymi na twarzy:

– Koniec. Koniec. Koniec... Co to jest? To jest nie do zniesienia. Dłużej już nie wytrzymam! Nie mam już siły tego znosić! Czy oni wszyscy tak bardzo cierpieli? Jeszcze cztery godziny... cztery godziny. I odpuści. Jest już za późno. To nie działa! Co się stało, to się nie odstanie. Gdyby nie to, nie wiedziałbym, że...

– Mówisz o swoim bracie? – Dasza z bólem załamała ręce. Patrzyła zrezygnowana na dzieło swojej niefrasobliwości. – Co cię obchodzi ten szaleniec? Teraz wiesz już wszystko! Pielęgniarka jest świadkiem! Nie będziesz podejrzany! – Dasza próbowała powiedzieć coś, by go pocieszyć. – Zaczekaj do rana, a potem idź na policję. Zapomnij o Maszy. I wiedz, że masz szczęście. Trzeba było widzieć, co się stało z tymi, którzy nawąchali się mojej mieszanki z paznokci! Gonili mnie jak obłąkani po całym mieście. Dwie stłuczki. Ledwo przeżyłam...

Pospiesznie podniosła i przytuliła Puszek, która dzielnie rzuciła się do obrony swojej pani, i wtuliła nos w jej futro.

– Mówiłam ci pl-rzecież – mruknęła kotka cicho do jej ucha. – Dl-rugi żywioł, merd. Powietl-rze jest niekontl-rolowalne. Miłość staje się nienol-rmowana. Droga kl-ropelkowo-powietl-rzna jest dobl-ra tylko w zamkniętych pomieszczeniach.

– A to wszystko przez paznokcie, gołębie jaja, zioła, pieprz i ziemię – usprawiedliwiała się zawstydzona Dasza, obserwując załamanego

Mirosława.

– Jaką ziemię? Skąd? – spytała oszołomiona Kowalowa.

– Stąd – wyjaśniła Czub z zakłopotaniem. – Była w szafce, w słoiku. Puszek mi pokazała. Tam jest sto rodzajów ziemi! Z cmentarza Bajkowa, cmentarza Łukjanowskiego, cmentarza Sołomińskiego, z Czarnobyli. Mamy nawet prochy człowieka, który zmarł z powodu nieodwzajemnionej miłości.

– Co jeszcze? Co jeszcze tam było?! – przerwała Masza, nagle zapominając o Mirze. – Czy były tam igły? Igły sosnowe?!

– Były – odpowiedziała po chwili zastanowienia Czub. – A co to?

– Rzuciła na niego urok! – zawołała gorączkowo studentka. – Ona dała mu ziemię! Dla żartu. W woreczku. Ona jest wiedźmą!

Dasza, która dzięki doskonałemu kobiecemu detektorowi rozpoznała wielką literę w „Niego”, doskonale wiedziała, kim jest „Ona”.

– Prachowa? – Czub pokręciła przecząco głową. – Niekoniecznie... Znam trzy dziewczyny, które w ten sposób zdobyły facetów. Oczywiście nie tak gwałtownie jak my, ale też produktywnie. Zwykle dziewczyny. To u nas taka tradycja ludowa. Wszystkie kobiety są czarownicami, w ten czy inny sposób...

– Wy! Wy wszystkie! Wy wszystkie! – Mirosław rozwarł szeroko oczy.

– Przykro mi, Mireczku! Wybacz! – Dasza błagalnie zwinęła usta w dziubek do całowania. – Ty też mnie skrzywdziłeś, ale ja ci wybaczam... Nie pamiętasz, czy w książce jest przepis na antidotum? – zawołała do Maszy niespokojnie. – Nie mogę patrzeć, jak on się męczy!

Wstrząsająca machnęła współczująco w stronę Krasawickiego, który zgiał się wpół, jakby skręcało go w żołądku.

– Było coś takiego – rzekła Kowalowa. – Susz z ziół zebranych w święto Kupały.

- Do Kupąły on sam będzie suszem! – zezłościła się Czub.
- Gdzie jest nasza książka? – zaciekała się Kowalowa.
- Książkę wzięła ta tl-rzecia – Puszek mruknęła cicho.
- Jak to wzięła? – wypaliła Czub. – Czy to rodzaj fiksacji? Obsesja na punkcie kradzieży książki? Czy nie wystarczył jej pierwszy raz?
- Może chciała poczytać... – zasugerowała Masza.
- Gdyby chociaż czytała książki, które kradnie! To nie żarty! Czary to nie żarty! – Dasza zatrzepotała warkoczami. – Wszystko tutaj jest na granicy życia i śmierci! Nie wyobrażam sobie, co będzie się z nią działo w ringu. Katia i tak nie jest Królową Śnieżką, a teraz to już na pewno kogoś zabije. I nie ma sposobu, żeby ją ostrzec. Powiedziała mi, że wyłączy swój telefon. Nie dała mi nawet numeru...
- Na ringu?
- Tak, dziś wieczorem ma walkę w prywatnym klubie.
- Klub „Kirke”? Na Puszczyńskiej, obok Bergonie?
- Obok kawiarni „Dom Bergonie”? – podekscytowała się Czub.
- Przy dawnym Teatrze Bergonie.
- Teatrze Lesi Ukrainki? Przecież to jest to samo. Wiecznie wszystko komplikujesz!
- Czekala tam na mnie! – Masza była zszokowana własną nieodpowiedzialnością. – A ja zapomniałam! Zupełnie zapomniałam! Później wszystko się zaczęło...
- Ty z tym twoim Wrublem, jakbyś się z choinki urwała! Lepiej się pośpieszmy! Trzeba ją ostrzec, inaczej... Dasza nie dokończyła myśli, przerzuciła Izydę przez ramię i chwyciwszy swoje torby z Safo, pognęła do łazienki, żeby się przebrać.
- Masza spojrzała na milczącego Mira. I dokonała strasznego odkrycia: w duszy jest miejsce na ograniczoną ilość uczuć!

Strach z podziemi Cyryła wyparł resztki awantury domowej, a Oleg i pasiasty zostali natychmiast zapomniani pod wpływem nieoczekiwanego spotkania z Krasawickim. Jednak z powodu natłoku burzliwych wydarzeń miłość Mirosława nigdy nie zdążyła zakraść się do jej serca. Po prostu nie było dla niej miejsca. Nie tylko dla niej.

Musiała martwić się o Mira, bezlitośnie odurzonego magiczną miksturą Daszy i załamane wiadomością o istnieniu chorego brata. O Mitę, niewinnego i oszukanego. O jego ofiarę, jeżeli okazałoby się, że dała się zwieść jego błękitnym oczom. O ojca, dobitego śmiercią przyjaciela i rannego po osunięciu się ziemi. O Katię, próbującą ją ratować i porzuconą przez Maszę, przekonaną o jej aresztowaniu. Musiała przejmować się możliwością aresztu, wiszącą nad nimi jak miecz Damoklesa, a jeszcze bardziej – śmiercią obiecaną im „już dzisiaj” i zbliżającą się z każdym tyknięciem jej wiernej „Czajki”.

Ale w rezultacie nie czuła nic poza żalobnym znieczuleniem, które ogarniało ją na widok pięknego, pożądanego i niegdyś nieosiągalnego Mira Krasawickiego, wyglądającego teraz jak zepsuta i wyrzucona lalka. Patrzyła na jego podrapane czoło, na czarne włosy oblepiające mu twarz i ukryte pod nimi zupełnie chore oczy. Ale myślała nie o nim...

Ponieważ jej myśli zajmowała podła wiedźma Prachowa, która otruła bezbronno Miszę ziemią cmentarną. W drugiej kolejności myślała o czarnookim demonie w oprószonym śniegiem eleganckim cylindrze i o upartej Daszy, która stanowczo odmawiała przyjęcia do wiadomości niebezpieczeństwa, jakie z niego emanowało i nieubłagane się do nich skradało.

A w jej głowie nie było już miejsca na trzecią myśl...

Z dziennika N

Kobieta jest naturą. Kobieta jest ziemią. Ewa zdradziła Boga z wężem nazwanym później szatanem. I Bóg przeklął kobietę i ziemię. A diabeł został nazwany Wielkim Architektem wszechświata i Księciem tego świata...

Kobieta jako pierwsza się zbuntowała, zbuntowała się przeciwko utopijnemu Edenowi, w którym nie było miejsca na śmierć!

Bo nieśmiertelność to śmierć, bez śmierci nie ma życia, a w śmierci jest życie i tylko w tym jest zawarta formuła nieśmiertelności. W wiecznych narodzinach nowego i śmierci starego, śmierci najsłabszych i zwycięstwie najsilniejszych. Czy powiesz mi, że nie na tym polega świat?

Ale buntowniczką była mądrzejsza od Stwórcy: jego wody i skały, zwierzyzna, ptaki, drzewa i kwiaty nigdy nie były posłuszne Bożym prawom.

Sam Pan, który zdołał zmusić morze, żeby się rozstąpiło, nigdy nie nawoływał: „Nie zabijaj!”. Nigdy też nie namawiał lwa, aby nadstawił drugi policzek i „modlił się za tych, którzy go prześladują i dręczą”, ani nie powiedział królikowi, żeby „nie pożądał” samicy króliczej, ani wiewiórcę zbierającej orzechy na zimę, żeby „nie zabiegała o chleb powszedni”.

On próbował tylko odciągnąć człowieka od ziemi. Ale prawo ziemskiej grawitacji było przeciwne!

Cokolwiek by mówiono o naszej miłości i miłosierdziu, w naszym przywiązaniu do bliskich jesteśmy bardziej podobni do zwierząt chroniących swoje młode i ich matki, do wielorybów i delfinów podtrzymujących zranionego kolegę, niż do wielkiego miłosierdzia Chrystusa...

Natura uczy nas bowiem walczyć i przetrwać.

Natomiast Bóg uczy nas jedynie przyjmować śmierć bez skargi.

Panie i Panowie, jesteście zwierzyną! I w tym tkwi wasze szczęście...

Rozdział dwudziesty drugi

w którym Masza pojmuje wartość prawdziwej miłości

Oj, nie chodźże, Grzesiu, ty na wieczernice,
bo na wieczernicach dziewczki czarownice [...]
Kiedy przyszedł wtorek – zielska nawarzyła,
A już w środę rano Grzesia otrawiła.
Na dzionek czwarty – Grzesiu był umarty.

~ Marusia Czuraj

Oto on – rzekła Masza.

Dasza wysiadła z samochodu Mira i zatrzymała się, przytrzymując drzwi i wydymając usta – rezydencja obok dawnego Teatru Bergonie, w której obecnie mieści się kawiarnia o tej samej nazwie, nieprzyjemnie zaskoczyła ją złotą lustrzaną tabliczką z napisem: „Wstęp wyłącznie dla członków klubu”.

Mir, niemy, z martwą twarzą, wysiadł i mechanicznie podał rękę Maszy. Ujęła ją, spuszczać oczy – myśli o biednym Miszy i K. D. z tajemniczym niebieskookim pierścieniem nagle gwałtownie ustąpiły i poczuła się straszliwie zawstydzona. Tak bardzo, że żołądek jakby przykleił się do jej

pleców, a oczy próbowały udawać ślepotę, byle tylko nie widzieć go TAKIM!

Wyszedł za nimi z domu automatycznie, dotrzymywał im kroku, a żadna z nich nie miała odwagi, żeby odprawić niepotrzebnego, zauroczonego chłopaka. Obie posłusznie usiadły na tylnym siedzeniu jego samochodu z kompromitującymi go tablicami rejestracyjnymi, a w drodze na Puszczińską litowały się nad nieruchomym tyłem jego głowy i błagały się wzajemnie o przebaczenie.

– Nie chciałam... Ta butelka była dla Saniego... – wyszeptwała zapłakana Czub.

– Wiem. To ja...

– Przecież nie wiedziałaś!

Ale fakt, że obie były teoretycznie niewinne, wcale nie dodawał im otuchy. A potem, stuknąwszy nagłaco palcem po swoim nosie, Dasza pocieszała się krótkotrwałością cierpień Mira: „Tylko trzynaście godzin. Jaki problem?! To tak, jakby zatruć się zielonymi morelami. Czy biłabym się w piersi za przypadkowe podanie mu zielonej moreli? Trochę bólu brzucha, trochę mdłości... Może nawet dobrze by mu to zrobiło. Będzie wiedział, jak to jest zakochać się w ten sposób!”.

Masza próbowała ukryć się w tym zakątku umysłu, gdzie mieszkała jej beznamiętna logika, spokojnie udowadniająca: nie ma żadnej zbrodni w tym, że się w nim nie zakochała – bo w ogóle nie było żadnej miłości. Istniało tylko romantyczne wyobrażenie o niej, które przybrało postać przystojnego kolegi z roku i wypełniło niekończącą się pustkę w jej życiu, zaludnionym przez te same eteryczne fantomy innych uczuć. Mir był cieniem z przeszłości, w której ogromne dawki literackich „miłości” i przygód całkiem zastąpiły jej prawdziwe życie, a ona połykała książki

jedna po drugiej, jak tabletki przeciwbólowe, które chory z odpowiednim stażem zażywa, zanim jeszcze zacznie się atak...

Lecz co najważniejsze, nie było żadnej miłości Mira, którą mogłaby zdradzić. Bo już za cztery godziny przystojny Krasawicki będzie się wstydził na samą myśl, że „kochał” nieszczęśnicę Maszę Kowalową. Natomiast Misza Wrubel... Z Miszą to było prawdziwe. Misza widział prawdziwą JA!

Gdy tylko Masza wysiadła z samochodu i zobaczyła załzawione oczy Mirosława, i tak poczuła wstyd i obrzydzenie, że znowu próbuje się usprawiedliwiać.

– Okej – mruknęła pod nosem Dasza i z przesadną determinacją ruszyła w stronę drzwi klubu. Masza z wahaniem zajęła pozycję na ogonie, a Mir jak cień podążył za nią.

Popchnąwszy drzwi, Czub znalazła się w holu wykończonym czarnym marmurem. Odwróciła się do ochroniarza przy wejściu, rozwarła szeroko usta do natchnionego kłamstwa, ale zaraz je zamknęła, wydymając pulchne wargi.

– Dasza? – zdziwił się ochroniarz klubu „Kirke”.

– Aleks? – Dasza była równie zdumiona. – Co ty tu robisz?

– Pracuję tu teraz. Dziś pierwszą noc... – Chłopak patrzył na nią, jakby nie mógł uwierzyć we własne szczęście, a jednocześnie nieśmiało i niespokojnie. Jego wzrok w połączeniu z niedelikatnymi rysami twarzy, jakby malowanymi plakatowymi pociągnięciami pędzla, i sylwetką Kingpina był niemal komiczny. – A ty? – wyjąkał kolejny „oczarowany” eliksirem miłości. – Czy ty tu... w klubie?

– Tak! – rzuciła dumnie. – Boks już się zaczął?

– Dawno. Już się rozkręcił. A ty...

– Co, chcesz zobaczyć moją plakietkę? – spytała wyzywająco. – No dalej! Nie wystarczy, że twoja dziewczyna rozebrała mnie do naga?! Nie wystarczy, że prawie pobiłeś mojego przyjaciela?! Że przez was prawie zginęłam na drodze?! – Oczywiście nie było żadnej logiki w tak nagłej zmianie tematu, ale Dasza, w przeciwieństwie do Maszy Kowalowej, doskonale wiedziała, że ludzie kochają i boją się wcale nie w zgodzie z logiką.

I dlatego w jednej sekundzie wygrała.

Plebejska twarz Aleksa wyrażała zagubienie i smutek, jego ogromne ramiona zbiegły się lękliwie, a masywna sylwetka błagalnie zwróciła ku niej.

– Prawie zginęłaś? Przez nas?! Na mopedzie? – Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać: „A co my mamy z tym wspólnego?”.

– Dobra już... – rzekła prawie martwa Dasza. – Później o tym pogadamy. Musimy iść do sali. Gdzie to jest?

– Tam... – Ochroniarz nie pomyślał też, by oskarżyć ją o rażącą nieznajomość układu pomieszczeń w klubie. Przytaknął niewolniczo, spojrzął na jej towarzyszy, stojących samotnie przy drzwiach, i otworzył usta w osłupieniu:

– Co robisz z Mirem?

– Znasz go? – „Ach, tak”, przypomniała sobie Czub, „jest byłym kopaczem”. – To chłopak mojej przyjaciółki – oznajmiła z wyrazem głębokiej wdzięczności na twarzy.

– A przyjaciółka to kto? – Aleks zmarszczył brwi, patrząc na niereprezentacyjną koszulę taty Maszy.

„Cóż, jestem wstrętna. Mogłam kupić coś też dla Musi!”

– Wiedźma – prychnęła Dasza z nadzieją, że prawda zabrzmi jak wyczerpujące „odwal się”. – Spieszmy się – przypomniała groźnie.

– Nie mogę – powiedział z dreszczem, kłaniając się i modląc o przebaczenie w jej wyniosłych oczach. – Mężczyźni nie mają wstępu. Takie są zasady – wchodzi same baby. Nawet jeśli go wpuszczę, to i tak wyproszą go z sali...

– W porządku – zgodziła się błyskawicznie Dasza, wręcz z ulgą. – Maszo, chodźmy. A ty, Mirze, zaczekaj proszę w samochodzie... Faceci nie mają wstępu... – wyjaśniła delikatnie.

Mir w milczeniu spojrział na Maszę i posłusznie wyszedł.

„Jak tresowany” – pomyślała Czub.

Nikczemna i z pewnością zakazana przez Konwencję Praw Człowieka mikstura miała, trzeba przyznać, swój niezaprzeczalny urok.

– Podejź do mnie później, muszę powiedzieć ci coś ważnego – mruknął błagalnie Aleks.

Ale tego typu podjazdy już się Daszy przejadły.



Pulsujący, magnetyczny, niemal namacalny szum setki podekscytowanych głosów rozchodził się po pustym korytarzu, a Dasza mimowolnie poczuła przypływ ciekawości i przyspieszyła kroku.

– Wygląda na to, że dzieje się tam coś ciekawego...

Czub ochoczo wkroczyła do sali i zatrzymała się, przytłoczona wrażeniem, jakie wywarło na niej otoczenie.

Pośrodku ogromnej sali wznosił się opasany czerwonymi i niebieskimi sznurami ring, otoczony dziesiątkami okrągłych, pustych i nieuporządkowanych stolików, przy których nikt nie siedział. Wszyscy stali, podskakiwali, wyciągali napięte szyje, machali rękami, wznosili ochy i achy, krzyczeli i ryczeli – setka, a może dwie setki bab: blondynek,

brunetek, szatynek i rudowłosych, wystrojonych jak modelki na wybiegu i podekscytowanych jak pijani kibice na stadionie Dynamo.

– No dalej! Dawaj! – wrzasnęła jedna, pochylając się i wyrzucając do przodu zgięte w łokciach, zadbane ręce, ubrana w mocno niepasujący do tej nieeleganckiej pozy elegancki malinowy kapelusz z delikatnymi piórkami, kołyszącymi się jak kłosa.

– No! No! – Blondynka obok tupała kokieteryjnie nogą w złotym obcasie.

Sala nagle wydała się Daszy oślepiająco jaskrawym klombem z trującymi, zamorskimi, ogłupiająco drapieżnymi kwiatami...

– Ka-tia! Ka-tia! – skandował tłum. Sala podrygiwała, kobiety machały rękami, niektóre do rytmu, niektóre nie.

– Katia, dawaj!!! – Dasza nie powstrzymała się i podskoczyła w miejscu, wczepiwszy się zachwyconym wzrokiem w ring, w którego narożniku toczyła się koszmarna, obrzydliwa i porywająca rzecz:

ŚMIERĆ.

Jeden człowiek zabijał drugiego.

Katia, o rysach wykrzywionych skupieniem i gniewem, z czarnymi oczami bez dna, ubrana w czarną koszulkę i szorty oblane ciemną i lepłą krwią, była o głowę niższa i trzy razy chudsza od przeciwniczki – niemożliwie ogromnej baby o zdecydowanej kwadratowej twarzy i masywnym, ale silnym i gładkim, lśniącym od potu ciele.

I ta bolesna dysproporcja, ta nierówna przewaga tęgiego i wielkiego nad szczupłym i smukłym, ujmowała, mroziła, porywała serca. Gdyby Katia miała do czynienia z mniejszym lub równym sobie przeciwnikiem, jego otwarte usta, pełne oślepiającej, szkarłatnej krwi, rozcięty łuk brwiowy, zalewające się ciemną mazią oślepione oko, wzbudziłyby litość. Ale widok gigantycznego, zapędzonego w kozi róg dinozaura, cofającego się przed

nieustraszonym i tak niemożliwie kruchym przeciwnikiem, wywoływał tylko oszołomione, niesamowite, natchnione, mrozące krew w żyłach zwierzęce podniecenie.

– Katia, dawaj! Dawaj Dinozaurzycę! – wrzasnęła chuda dama, mimowolnie i namiętnie zrywając z szyi grona różnokolorowych plastikowych koralii. Duże paciorki rozsypały się i potoczyły po podłodze.

– A! A! A! – krzyczała, jak podczas seksu, złotonoga blondynka z każdym uderzeniem Katii. Jej zwiewny strój w tęczowe paski zmiął się, przypominał gałgany.

– No dalej! Dalej! – wyła błagalnie chudzina, jakby nie mogła uwierzyć w zwycięstwo Katii, nie widząc, że z pyska biednego dinozaura bryzga śmierć. Dinozaura już skazanego na zagładę, niezdolnego do obrony, tylko kręcącego bezwolnie i bezradnie głową, która odskakiwała pod ciężarem szybkich, błyskawicznych, przerażająco pięknych ciosów Katii.

– Dawaj, dawaj, Katia! – zawołała Czub, całkiem nieświadoma, że przysłała tu w zupełnie innym celu. – Katio, jeszcze tylko trochę! No dalej!!!

„Lewy prosty w tułów, prawy podbródkowy, lewy sierpowy! Łał!!!”

Ręce Katii przyprawiły ją o zawrót głowy.

Jej gładkie, czarne z granatowym odcieniem włosy rozsypały się i tańczyły na czarnych, zdawało się niewiarygodnie wąskich i drobnych plecach, a ona sama nagle wydała się Daszy gargantuicznym węzem stojącym na ogonie i wykonującym niespotykane piękny, zwierzęcy taniec śmierci.

Dasza uwierzyła, że tak powinno być! Tak to działa – wygrywa silniejszy. Taki był zamysł Boży. Katia jest piękna i szczerą w swej nieustępliwości, w swej nieposkromionej, zwierzęcej żądzy zabicia

trzykrotnie większego od siebie przeciwnika! W przerażającym i uczciwym pojedynku.

Ale wtedy nagle ktoś postronny, z włoskami na rękach stojącymi dęba, wczepił się w dłoń Daszy i potrząsnął nią z całej siły, a dziewczyna, odwróciwszy się z oburzeniem, ujrzała twarz Maszy – bladą, chorą i oszalałą z bezsilności.

– Tam, tam – mruknęła Masza.

W miejscu za czerwono-niebiesko-białymi linami ringu, na które wskazywał z rozpaczliwą nadzieją palec Maszy, stała dama ze srebrnym wiaderkiem, z którego wystawała czerwona nakrętka litrowej coli. Masza pokładała nadzieję w Daszy, nadzieję tak namacalną i błagalną, że myśli dziewczyny natychmiast wyparowały z jej głowy. Pozostała tylko jedna:

„Nie, nie w uczciwym!”

Dasza gwałtownie odwróciła Maszę plecami do siebie, warcząc, pociągnęła za zapiniec plecaka i wyjęła z niego butelkę z ciepłą miksturą, która zgubiła Mira.

Przycisnęła do siebie butelkę i zaczęła stanowczo przepychać się przez tłum. Odrzucano ją ze złością, lekceważąc niczym najbardziej niefortunną i przypadkową przeszkodę. W ogólnym krzyku nie słyszała nic, nawet własnych myśli. Wewnątrz Daszy nie czały się jednak żadne trzeźwiące wnioski, tylko fale, które rozchodziły się po jej ciele, omiatając ogromny pokój i prowadząc do celu.

– Niech się napije zimnego! – wymamrotała bezmyślnie i wyciągnęła ze srebrnego wiadra opróżnioną do połowy butelkę zwycięstwa, by zastąpić ją butelką miłości.

Spojrzenie panny trzymającej wiadro było równie bezmyślne, ale zgodne, chociaż cola, którą przyniosła Dasza, była, szczerze mówiąc, prawie gorąca.

„A co, jeśli” – odezwała się druga, przerażająca myśl – „to jest walka bez zasad i bez przerw? Wtedy wszystko na próżno...”

Odpowiedział jej brzęczący gong, oznajmiający koniec nieznanej rundy i bezpodstawność obaw Daszy.

Katia posłusznie odsunęła się od swojej przeciwniczki.

Publiczność westchnęła z rozczarowaniem.

Trzy panie w klubowych uniformach skoczyły do zaszczutego, słaniającego się dinozaura, i zaczęły przemywać mu przekrwione oko, zaklejać rozbitą brew.

Dama z wiadrem, w towarzystwie dwóch innych z ręcznikami i szlafrokami, pospieszyła do narożnika Katii, ale Dobrażańska nie spieszyła się do nich – stała i rozglądała się triumfalnie po sali, podczas gdy ta skandowała ogłuszająco, wielbiąc ją i błagając o śmierć jej rywalki. Publiczność marzyła o zobaczeniu upadku tytanicznego ciała i jego śmierci na deskach. Ktoś obok Daszy szepnął gniewnie, sapiąc:

– Przecież jest umowa! W przypadku ofiary śmiertelnej klub zainscenizował...

– Tak jak z Olgą! Biedaczka, nie doszła do siebie po Dinozaurzycy.

– To, co tu robimy, to nie zabawa!

– Dobra robota, Katio. Wszyscy mają Dinozaurzycy po dziurki w nosie.

Czub biegła przez urywki rozmów, nie oglądała się za siebie i nie wsłuchiwała w sens słów. Masza stała w drzwiach, patrząc na ring z napiętą, wyczekującą miną.

– Wypiła? – spytała Dasza.

– Tak.

– Dużo?

– Więcej niż Mir... Co teraz?

– Nie wiem.

- To po co...
- Nie wiem. Czy ona na nią patrzyła? Na przeciwniczkę?
- Chyba tak. Czy to ważne?
- Wydaje się, że ma to znaczenie. Czy Mir na ciebie patrzył...

Uderzył gong. Na ringu znikąd pojawił się facet o marmoladowym uśmiechu i muskularnym, sprężystym ciele, ubrany w trójkątny bandaż ze sznurem pereł w tyłku. Striptizer niósł nad głową prostokąt z cyfrą pięć.

Katia nie ruszyła się z miejsca.

Ożywiona Dinozaurzyca zmierzała w jej kierunku, z mętным spojrzeniem bez wyrazu, ale i ze zwierzęcym uporem. Przycisnęła zgiętą lewą rękę do klatki piersiowej jak pies zranioną łapę. Niezatamowana krew znów znalazła ujście i delikatnym strumieniem spłynęła po policzku. Katia szła nieśmiało w stronę przeciwniczki, zwalniając znacznie przy każdym kroku. To było oczywiste – Dinozaurzyca wystarczy już tylko jeden cios. Właśnie dla tego legendarnego, ostatecznego ciosu została wrzucona na ring. I była gotowa go przyjąć, nie miała zamiaru prosić o litość.

– Nie – rzekła nagle głośno i wyraźnie Dobrażańska, wypluwając ostro plastikowy ochraniacz na zęby. – Ona musi trafić do szpitala!

Publiczność szepnęła z niedowierzaniem.

– Trzeba być człowiekiem! – krzyknęła autorytatywnie, choć niezbyt pewnie Katia. – Nie widzicie, że ma złamaną rękę! I żebro!

Ludzie ryknęli z oburzeniem – nie chcieli być ludźmi. Nie teraz! Później, po walce. W tej chwili było to dwieście wściekłych kotów, wyrywających sobie sprzed nosa słuszny kawałek długo oczekiwanego tłustego mięsa.

Dinozaurzyca potrząsnęła gniewnie głową i rzuciła się na Katię, ożywiona zachęcającymi okrzykami.

– No dalej!

- Dowal jej!
- Sprowadź Dobrażańską na ziemię!
- Katia, dawaj!
- Dalej!

– Nie mogę! – jęknęła przestraszona Katerina, przerażona samą sobą. Stała z opuszczonymi, osłabionymi rękami, wpatrując się z lękiem w zbliżającą się przeciwniczkę. – Nie mogę jej uderzyć! Nie...

Dinozaurzyca zamachnęła się i zadała cios.

Katia cofnęła się, wykrzywiła usta, z których wypłynęła karmazynowa ślina.

Sala ucichła.

Dasza krzyknęła z bólem:

- Co ja narobiłam! Teraz ona zabije Katię!

Dinozaurzyca ryknęła i znowu rzuciła się na rywalkę, używając jedynej sprawnej ręki.

Katia uchyliła się tchórzliwie. Dinozaurzyca poleciała na deski. A Katia, która mimowolnie próbowała złapać upadające ciało, zwała się razem z nią – wyjąca boleśnie, bo najwyraźniej uderzyła w złamaną lewą rękę. Sama też zawyła w odpowiedzi, impulsywnie przycisnęła do siebie zwalistą, paskudną tuszę i głaskała współczująco jej ramiona własną wykręconą rękawicą.

– Aniu, wytrzymaj... Aniu... Dlaczego to robimy, nie rozumiem! No, no... Uspokój się... – Katia pośpiesznie zakołysała brzydką, grymaszącą głową, przytuliwszy ją do piersi. – Lekarza! Lekarza! – krzyknęła. – Wytrzymaj jeszcze trochę, kochanie, dobrze... – Matczynię, z żalnością dziobała wargami szorstki policzek i przyciskała usta do cierpiącego tyłu głowy. Jej oczy napęłniły się łzami. – Nie rozumiem, dlaczego to robimy?

– Ona za chwilę ją przeleci! – krzyknęła z nienawiścią długowłosa kobieta obok Daszy.

– Lekarza!

– Usunąć Dobrzańską z klubu!

– Lekarza!

– Won!

– Zjeżdżaj!

– No dobij ją!

Do uszu Daszy dobiegł krzyk. Kobiety rzuciły się na ring – spocone, pachnące drogimi perfumami, w różnokolorowym niekontrolowanym porywie żądy – by własnoręcznie dobić niedobitą Dinozaurycę i zdrażczynię pokładanych w niej nadziei, która tego nie zrobiła! Katia chwyciła się za gardło obrzmiałą rękawicą i przełykała gorączkowo, jakby próbowała powstrzymać atak mdłości. Ale nie mogła. Otworzyła usta i przewróciła się na bok, wijąc się w ataku przytłaczających i przerażających wymiotów.

„Chyba miłość i śmierć są nie do pogodzenia!” – pomyślała Dasza. To była czwarta myśl, która przyszła jej do głowy w ciągu ostatnich piętnastu minut. I ostatnia w ciągu następnej pół godziny, bo dalsze wydarzenia rozwijały się z prędkością, która przewyższała szybkość jej myśli.

Wypluwając z ust oślizgłą, brązową maź, Katia przywitała Daszę błyszczącym, polerowanym nienawiścią spojrzeniem. Podskoczyła, odepchnęła od siebie jęczącą Dinozaurycę i zawyła:

– Czego chcecie? Tego?!

I zadała oślepiający prawy sierpowy pierwszej wściekłej kobiecie, która wdrapała się na ring. Ta upadła i zamarła. Tłum ustąpił, cofnął się. Z łoskotem przewrócił się jakiś stół. Za nim kolejny. Okrzyki przestały być oburzone, stały się stłumione i strachliwe.

A Katia, przeskakując przez liny ringu, mknęła już w stronę drzwi na przeciwległym końcu sali.

Dasza przytuliła się do Maszy. Butelka ze zwycięską mieszanką spadła na podłogę, a ktoś natychmiast się o nią potknął. Tłum napierał na nie, na siebie nawzajem i poniósł dziewczyny w dół korytarza. A ponieważ stały przy wejściu, nagle znalazły się z przodu szalejącej, popychającej, kopiającej, depczącej im po piętach „lokomotywy”.

– Ty suko...

– Nie waż się...

– Nie dotykaj mnie...

– Głupia, zraniłaś mnie pierścionkiem! Ty...

Tak ryczał i szalał „parowóz”.

– Daszo! – Masza zobaczyła, że Aleks rzuca się z za stołu i pędzi ku nim. Ale „parowóz” już wypchnął je na zewnątrz.

A tam, na drugim końcu przecznicy, Dasza zauważyła volvo Katii wyjeżdżające z parkingu. Samochód zawrócił niefrasobliwie i ruszył w ich kierunku, atakując ogłuszającym wyciem klaksonu. Wtedy Dasza dostrzegła Maszę, jak wybiega na drogę, z napiętymi rozłożonymi rękami, jakby samochód Katii był głupim ptakiem uciekającym z kurnika, którego można złapać. I przerażoną twarz Katii za przednią szybą... A także szybko zmniejszającą się odległość między nimi.

Ręce Maszy instynktownie wysunęły się do przodu, bezbronne dłonie odpychały nadchodzącą śmierć, a stopy zamarły, jakby przymarznięte do ziemi.

Dasza bezwiednie zamknęła oczy, żeby nie widzieć nic więcej, i usłyszała pisk hamulców, huk, krzyk, chrupnięcie – a kiedy otworzyła oczy ponownie, Masza leżała na ziemi, wsparta na obdartych łokciach, i krzyczała bez opamiętania. A na drodze, odrzucone kilka metrów do tyłu

przez maskę samochodu Katii, leżało powykręcane i połamane ciało Mira Krasawickiego.

– Pogotowie! Mężczyzna został potrącony przez samochód. Puszkińska... – krzyknął Aleks do telefonu przyciśniętego do policzka. – Płatne pogotowie. Będą tu za minutę – rzekł pocieszająco i szybko.

– Jak? – wydyszała ochryple Dasza.

– Wypchnął ją spod kół. Sam nie zdążył... Potrąciła go. On poleciał. A ona go po prostu objechała! Objechała i pojechała dalej. Suka! Daszo... – Aleks podbiegł do niej.

A Dasza do Mira.

Leżał na opustoszałym przejeździe – zbyt nieskładnie, by mógł być żywy. Ale on wciąż był żywy i tak piękny – za piękny, by umrzeć. A jednak umierał. Jego niewiarygodna twarz drgnęła lekko w jej stronę, a ona usłyszała coś zadziwiającego:

– On istnieje. To...

Masza wciąż krzyczała i krzyczała.



A potem zamilkła, jakby mechanizm w jej gardle się zepsuł.

Milczała, kiedy Mir został zabrany do karetki, milczała przez całą drogę do szpitala, siedząc z tyłu jego samochodu, którego nie miały prawa prowadzić, ale nikt się nawet nie zająknął – Dasza po prostu wepchnęła przyjaciółkę do środka i zająwszy miejsce za kierownicą, przekręciła pozostawione w stacyjce kluczyki. Aleks wskoczył na fotel obok, nie myśląc o tym, że wyjeżdżając z nią, automatycznie traci nową pracę.

– Policja? – znów zaczął rozmawiać ze swoim telefonem. – Mężczyzna został potrącony przez samochód. Na ulicy Puszkińskiej. W pobliżu klubu

„Kirke”. Już zabierają go do szpitala. Jesteśmy świadkami...

– Nie – warknęła Dasza.

– Ja jestem świadkiem. Aleksander Tarasow. Nieszczęśliwy wypadek... Numer samochodu? – zwrócił się do Czub.

– Nie widziałam – odparła, zacisnąwszy sztywno wargi, wciąż niezdecydowana, czy wydać uciekinierkę Katię. Absolutnie nie zamierzała decydować o tym teraz.

Teraz jej prawa półkula, odpowiedzialna za umysł, była wypełniona umierającym Mirem, a lewa – Maszą.

– Boże, jakie to głupie! – Aleks nie rozmawiał już z telefonem, tylko z Czub. – Tak głupio wpaść pod koła. Po co się tam pchałaś, po co wjechałaś na drogę? – warknął do tyłu na milczącą Maszę.

– Nie waż się na nią krzyczeć! – wrzasnęła Czub.

I wtedy czas został nagle rozdarty i powstało w nim wiele dziur i luk. Biegali po szpitalu i wypytywali wszystkich, lecz nikt nie odpowiadał im w sposób zrozumiały – tylko uspokajająco, bezsensownie, a przez to irytująco, co jeszcze bardziej wpędzało ich w panikę. Dasza była wściekła i cały czas krzyczała na Aleksa, bo nie mogła pozbyć się męskiej eskorty, tak prestiżowej w innych okolicznościach, a teraz tak im niepotrzebnej, i w hysterii z jakiegoś powodu ogłosiła się narzeczoną Mira. Zaś bezmyślna lunatyczka Masza łąpczywie ścisnęła jego skórzaną saszetkę – którą spokojnie można było zostawić w samochodzie – i nie reagowała ani na dźwięk, ani na światło, ani na dotyk.

Potem Aleks gdzieś przepadł, a one długo siedziały razem na dużej narożnej kanapie – czerwonej i skórzanej, a na stoliku przed nimi leżały nudne ulotki reklamowe firmowych medykamentów. Mir musiał przeżyć, chociaż jego stan na pewno był bardzo poważny, a operacja mogła trwać nawet kilka godzin.

– Przepraszam, czy przyjechały panie z Mirosławem Krasawickim?

Dasza spojrzała gwałtownie w górę i zobaczyła przystojnego mężczyznę po czterdziestce w turkusowym kitlu i czepku lekarskim. Dwa kroki za nim stała równie turkusowa pielęgniarka.

– Tak! Co z nim? Przeżyje? – Dasza podskoczyła jak sprężyna.

– Pani jest jego narzeczoną? – spytał lekarz powoli i sztywno, patrząc nie na nią, ale na martwą i milczącą Maszę.

– Ja jestem narzeczoną – wyjaśniła Czub. – Co z nim?

– Trudno mi to mówić. Ale pani narzeczony zmarł piętnaście minut temu. Nie dotarł nawet na salę operacyjną...

– Jak to nie dotarł?

– Jak się pani czuje?

– On umarł? Umarł?! Jest pan pewien? – Dasza spojrzała histerycznie na Maszę.

Lekarz, wcale niezdziwiony jej brakiem zrozumienia, zaczął na nowo wyjaśniać współczującym, opiekuńczym głosem, opłaconym według kursu dolara 1 do 5,3.

– Naprawdę nie żyje? – spytała po raz dziesiąty Czub. – Czy na pewno nic się nie dało zrobić?

Pytania młodej narzeczonej były sprężyste i suche, tragiczna śmierć młodego narzeczonego nie wywołała u niej przerażenia – to, mokre i lepkie, pojawiało się w jej spojrzeniu dopiero gdy spoglądała na rudowłosą nieślubną.

Lekarz jeszcze raz spojrzał na pozbawioną uczuć Daszę wyczekującym wzrokiem, licząc na spóźnioną reakcję – i przekonawszy się, że Dasza uparcie nie zamierza płakać, szaleć i mdleć, spytał cicho:

– Czy to jego krewna?

– Nie – wyszeptała zamroczona Dasza. – Ona...

– Ja jestem winna jego śmierci! – rzekła Masza, wyraźnie i przekonująco, z precyzją wymawiając każdą literę.

– Może zastrzyk? – zasugerował delikatnie lekarz.

Dasza uświadomiła sobie, że Masza cały czas powtarzała to jedno zdanie!

– Nie ma potrzeby – odparła Czub. – Same sobie poradzimy...

– Tak, tak – ciągnął zamyślony lekarz. – Policja jest w holu. Chłopak już składa zeznania. Czekają na panie.

Skinął rozkazująco stojącej nieopodal turkusowej pielęgniarence, zostawiając ją na straży ich hysterii, i oddalił się w skupieniu, wsunąwszy rękę do kieszeni.

– Maszo... – wyjąkała Dasza.

– Nie wierzę w to – powiedziała obojętnie Masza. – On żyje.

– Nie. – Przyjaciółka ze współczuciem załamała rękę. – Nie żyje. Katia go potrąciła. Nie mogła nie potrącić. Wybiegłaś... – urwała nagle, uświadamiając sobie, że wspomnianie o tym było teraz bardziej niż niepotrzebne. Wręcz przeciwnie, na tyle, na ile знаła Maszę, musiała wymyślić jakąś wymówkę, zanim ta rzuci się z najbliższego okna.

– Tak – potwierdziła dziewczyna służbowo. – To wszystko moja wina.

– Nie, nie! – Dasza przytuliła się do przyjaciółki, przycisnęła ją do siebie.

Ale nie było żadnego usprawiedliwienia! To, co zrobiła Masza, było niemądre i zgubne. Kusiło ją, by zapytać z gorzkim, pełnym wyrzutu bólem: „O czym ty myślałaś? Czego się spodziewałaś?”.

– Nie myśl o tym! Słyszysz, nie myśl! – poprosiła, gładząc dłonią jej puszyste włosy.

– Chciałam ją zatrzymać. Stało się z nią... coś złego. Nie powinniśmy pozwolić jej odejść.

– Tak! Tak! – odparła z gotowością godzenia się na wszystko na świecie Dasza.

– Jestem winna jego śmierci.

– Nie! Co ty?! Nie!

– Nie.

Masza powoli, ale stanowczo wyswobodziła się z przyjacielskiego uścisku Czub i odrzuciwszy głowę do tyłu, rzuciła Daszy miazdzące spojrzenie.

– Nie – powtórzyła stanowczo. – Nie ja, tylko ty! To wszystko twoja wina! Gdyby nie twój eliksir... Mówiłam ci, tłumaczyłam, że nie wolno! – krzyknęła przez korytarz, z nienawiścią odpychając Czub obiema rękami.

Dasza wpatrywała się w nią w milczeniu, oszołomiona tym nagłym wyrzutem. Miała wrażenie, że jej klatka piersiowa stała się zimna od środka:

„I ma rację...”

– On mnie nie kochał! – Masza z pasją uderzyła dłonią w jej tors. – On nigdy mnie nie kochał! Gdyby nie urok, który na niego rzuciłaś, nigdy by do tego nie doszło...

– Ale ty byś umarła!

– To moja sprawa, czy umrę, czy nie! – wrzasnęła. – Słyszysz mnie, to moja własna sprawa! On nie musiał za mnie umierać! On nie musiał umrzeć za moją głupotę! – krzyczała tak, że turkusowa pielęgniarka mimowolnie zrobiła krok w ich stronę, wsuwając do kieszeni rękę ze sterczącą strzykawką.

Spowalniało ją tylko niewyjaśnione ludzkie oszołomienie: co to za dziwna rozgrywka między nielogicznie pobłażliwą narzeczoną a oburzoną jej człowieczeństwem sprawczynią śmierci przystojnego narzeczonego?

– To ja powinnam była umrzeć, nie on! A ty, przyjmij to do wiadomości, zmusiłaś go do tego! Wbrew jego woli! Nigdy nie myślisz, zanim coś zrobisz. Dla ciebie wszystko jest żartem! Ludzie są zabawkami! No co, doigrałaś się?!

Splunawszy na logikę, turkusowa pielęgniarzka skoczyła do niej.

– Nie można tak do tego podchodzić! – błagała rozpaczliwie Dasza spazmatycznie płaczącym głosem. – Jeśli tak – usprawiedliwiała się beznadziejnie – to nie moja wina, tylko tego, kto to wszystko zaczął. Gdyby nie on, nigdy nie sięgnęłabym po tę książkę...

Ze zręcznością zawodowego magika ręka siostry szybko wyciągnęła z kieszeni strzykawkę i zdjęła nasadkę z igły.

– Musi się pani uspokoić. Poczujecie pani ulgę. Proszę podwinąć jej rękaw... – zwróciła się do Daszy.

– Nie trzeba, same sobie poradzimy – odszczeknęła ta, bo Masza nagle uspokoiła się bez żadnych zastrzyków. Patrząc z oświeceniem w pustkę, wczepiła się palcami w swoją prawą pierś.

– Trzeba...

– Nie trzeba! Wszystko w porządku. Już wychodzimy!

Po chwili zastanowienia pielęgniarzka grzecznie ustąpiła, przez sekundę boleśnie nienawidząc papuaskiej narzeczonej z białymi warkoczami, która najwyraźniej nie kochała swojego pięknego partnera, ale zaraz złagodziała ludzkie odczucia profesjonalnym: „Jest w szoku, biedaczka. Nie wie, co mówi...”.

– Książka – wyszeptęła podekscytowana Masza, pochylając się ku spiętej przyjaciółce. – Tam jest wskrzeszenie!

– Wskrzeszenie?

– Potrafimy wskrzeszać umarłych! – szeptem wykrzyczała do niej Kowalowa, otwierając szeroko oczy.

– Tak? – spytała Dasza. Nie wiedziała, czy to tylko urojenie zaburzonej wyobraźni Maszy, czy też kolejna niewiarygodna prawda. – Ale Katia ma książkę – stwierdziła.

– To nie ma znaczenia... – zapiała gorączkowo Masza, a Dasza uświadomiła sobie, że ona wcale nie trzyma się za pierś, tylko za kieszeń na piersi pasiastej koszuli ojca, z której teraz wyciągała niejasne, małe i zgrabne karteczki.

– Co to?

– Ściągi. Z księgi. Zrobiłam rano.

– Po co? Domyśliłaś się, że Katia ją ukradnie? – wyszeptała ze zdumieniem Czub.

– Nie. Po prostu zawsze piszę ściągi, żeby lepiej zapamiętać – wyjaśniła szybko, rozkładając jedną z nich. – Tutaj! „Wskrzeszanie zmarłego lub umierającego”, „z prochu lub za pomocą drogi wzrokowej”...

Dasza poczuła ukłucie w żołądku.

– Maszo, to się nie uda – rzekła grobowym tonem. – Za pierwszym razem to działa tylko trzynaście godzin! Wróci do życia tylko na trzynaście godzin. Przykro mi.

Masza wpatrywała się w nią z taką nienawiścią, jakby chciała ją uderzyć.

– Tak powiedziała Belladonna – ciągnęła z udręką Czub. – Kiedy czarownice po raz pierwszy wypróbują zakłęcie lub eliksir, to nigdy nie trwa dłużej...

– W takim razie – stwierdziła niezachwianie Masza – wskrzeszę go na trzynaście godzin. A potem jeszcze raz. I jeszcze jeden. I jeszcze! Gdzie kostnica?

– Maszeńko... – zapłakała ledwo słyszalnie Dasza, gotowa zabić się za gestapowskie okrucieństwo.

Uderzyła palcem w karteczkę Maszy, na której na końcu przepisanego zaklęcia znajdowało się zdanie podkreślone ręką Maszy:

„Nie można wskrzeszać dwa razy!”

– Chodźmy do niego – rzekła przerażająco Masza.

– Daszo! – Aleks podszedł do nich z zasepioną miną, sugerującą, że wiedział już o wszystkim. – Jak się masz? – spytał zaniepokojony.

– Twój przyjaciel umarł – powiedziała markotnie Dasza.

– Mój przyjaciel? – powtórzył ochroniarz z nieprzyjemną nutą. – Mir nigdy nie był moim przyjacielem.

– Chodziło mi o to, że on jest kopaczem i ty też jesteś kopaczem – wyjaśniła zmęczona.

– Mir nigdy nie był kopaczem. – Twarz Aleksa wykrzywiła się w brzydkim grymasie. – On jest satanistą! Był satanistą – sprostował posepnie.

– Nie! – oburzyła się Kowalowa.

– Tak! Przeraziłem się, gdy zobaczyłem go w telewizji. I usłyszałem, jak próbuje się pod nas podszyć!

– Ale to ty wezwałeś do niego karetkę... – zmieszała się Czub.

– Co ja jestem, nieczłowiek?! – ochroniarz był szczerze zdumiony. – Umierał. I uratował dziewczynę. Poza tym ty przyszedłeś z nim. Przestraszyłem się, że ty z nimi... Ale jeśli nie, lepiej trzymaj się z dala od tej wiedzy! To właśnie miałem ci powiedzieć. Dziś rano chciałem pójść na policję i powiedzieć im, kim naprawdę jest ten ich Krasawicki... Czy to normalne, żeby oskarżać nas o dwa morderstwa?! Nawet jeśli ja już w tym nie siedzę jak kiedyś, to co z tego? W mieście już nikt nie został, wszyscy wyjechali do Odessy! Ale Zajadła mnie od tego odwiodła. Jestem głupi, powinienem był iść... Tym gliniarzom powiedziałem wszystko.

Wszystko! – Aleks wskazał kciukiem za siebie. – I o wypadku. I o ofierze. Jeśli będzie trzeba, powiem o tym też innym!

– Kłamiesz! – Masza z pasją uderzyła dłonią w powietrze.

– Jesteś pewien tego, co mówisz? – Czub zmrużyła oczy z niedowierzaniem.

– Pewnie – mruknął ponuro. – W mieście jest dużo ludzi, ale pod ziemią jesteście tylko my. Co, przyjaciółka ci nie opowiadała, jak odprawiają czarne msze w podziemiach? A o orgiach z dziewczynami? Baby całymi tabunami lgnęły do niego, zgadzając się na wszystko...

– To nieprawda!

– Twój chłopak był skończony! – wściekł się Aleks. – Wszyscy o tym wiedzą! On był obłąkany! Zawsze żył na krawędzi, wchodził do jaskiń, do których nikt normalny by nie wszedł, bo kichniesz i już po tobie! Głosił, że jest potomkiem Mazepy. Co, normalny człowiek powiedziałby coś takiego?

– To nie on tak mówił... – wyciszyła się Masza.

– Mają tego samego ojca! – krzyknęła Dasza.

Dziewczyna gorączkowo szarpnęła za zapomnianą saszetkę Mira i wściekle wysypała jej zawartość na sofę. Długopis, pieniądze, prezerwatywy, notatnik, zapalniczka i stara znajoma Maszy, zmięta chusteczka do nosa, trafiły na jedną niezdarną stertę.

Czub wzięła do ręki czarny skórzany notes i otworzyła go w środku.

– Maszo, czy to nie jest twoje pismo? – zdziwiła się.

Przyjaciółka w milczeniu wzięła do ręki dobrze znaną kartkę, zapisaną schludnymi i uporządkowanymi krągłymi literami.

5 zestaw. Hist. ławry.

Pięć zdań, zwięzłe opowiadających o przedrewolucyjnych satanistycznych obrzędach kijowian, którzy zbeczcili pierwszy monaster

Rusi, aby zadowolić nieczystego, zostało zakreślonych krzywą i tłustą kreską. A na marginesach widniały cztery rozległe i pospieszne wykrzykniki.

– Daszo – rzekł zakłopotany Aleks – policja czeka tam na was. Muszą spisać protokół. A później może pójdziemy się przewietrzyć?

– Nie – ucięła Czub, nawet na niego nie patrząc.

– Może mogę ci jakoś pomóc? – zapytał litościwy mężczyzna, a w jego głosie słyhać było znajomy Daszy, dręczący strach.

„W siódmej godzinie następuje kryzys... A przed trzynastą możliwy jest śmiertelny skutek!”

– Przestań, Aleksie – rozkazała. – Obiecuj mi szybko, że nie skończysz ze sobą!

– Dobrze... – zdziwił się chłopak.

– Wiedz, że nie mogę bez ciebie żyć! – skłamała z rozmachem Wstrząsająca. – Kocham się w tobie od zawsze! Ale milczałam. Byłeś z Zajadłą...

– To prawda?! – osłupiał zakochany.

– Tak. Daj mi swój telefon... Nie numer, tylko komórkę, głupku – moja została zabrana! A jeśli chcesz, żeby między nami coś było, natychmiast wracaj do klubu! Jeszcze mi tego brakuje, żeby cię zwolnili! Słuchaj: członkini klubu, Katerina Dobrzańska, potrafiła pieszego. A ty przyjechałeś tutaj, żeby zaświadczyć, że nie zawiniła. Troszczysz się o interesy klubu! Rozumiesz?! I powiedz policjantom, że nie możemy z nimi rozmawiać! Jesteśmy wstrząśnięte! Jesteśmy w stanie ciężkiego szoku! Niczego nie rozumiemy. Po prostu siedzimy tu przybite i odchodzimy od zmysłów, i nie wiadomo, kiedy dojdziemy do siebie!

Rozdział dwudziesty trzeci

w którym grożą nam apokalipsą

Ognisty wąż zwykle fruwa w powietrzu... Ale gdy tylko znajdzie się w izbie, natychmiast przemienia się w miłego młodzieńca o niewypowiedzianej urodzie. Dziewczyna, która ma zaszczyt gościć takiego przybysza, zakochuje się w nim do szaleństwa i bez pamięci, a wkrótce więdnie i umiera.

M. Orłow, *Historia kontaktów człowieka z diabłem*

O n istnieje! Diabeł istnieje!

A ja jestem bratem obłąkańca! Ja jestem obłąkańcem, który wyobraził sobie, że własnym umysłem może ogarnąć wszechświat. Jestem tym samym głupcem, który wyobrażał sobie Bóg wie co, a w rzeczywistości błagał Ojca Kłamstwa, aby mnie zwiódł. I on mnie okłamał. Ponieważ najgroźniejszym kłamstwem Diabła jest twierdzenie, że on nie istnieje.

Ale on jest.

A ja znam jego twarz. On jeden jest w trzech osobach, on jest kłamstwem. Pomógł mi i... zamienił moje baksy w kawałki rozbitych glinianych naczyń!

Najpierw Kyłyna. Byłoby lepiej, gdyby powiedziała prawdę: potrzebna jest trzecia. Ona bała się umrzeć, a i tak umarła. Potem Rita i to gówno z liścikiem... Potem mój brat.

Mogłem zabić własnego brata! Prawie go zabiłem. Zabiłbym go, nawet gdybym wtedy wiedział, że to mój brat. Teraz rozumiem, dlaczego nie przyszedł. Wyczuł niebezpieczeństwo. Jest bliżej natury niż ja, był mądrzejszy i silniejszy. Nawet Rita nie potrafiła go uwieść. Ale gdybym mógł, zabiłbym go i nie cierpiałbym z tego powodu, ponieważ on jest odrzutem natury.

Ale okazało się, że to nie on jest wybrakowany, tylko ja. Bo nie mogę jej zabić. Nie mogę jej nawet sprawić bólu. Jestem pomyłeńcem, który cały swój dziennik zapisał teoriami, a sam... Muszę to zrobić! To konieczne! Jestem u celu... Ale czuję, że w moich trzewiach skryła się bestia, która rozrywa mi wnętrze. Kto ją wymyślił?! Na pewno nie Bóg. On wzywał do ofiar, nie do miłości do kobiety. Miłość do kobiety to grymasna małpa, koszmarna parodia jego miłości.

A najgorsze jest to, że ta miłość nie istnieje. Jest takim samym fantomem, jak diabeł...

Ale diabeł istnieje. Właśnie dlatego, że nie ma miłości! Duszę się... Wiem, kim ona jest! Powinienem. Ale łatwiej mi...

– ...samemu umrzeć – zakończyła cicho Masza.

Odłożyła dziennik i rozejrzała się niewidzącymi oczami.

– I stanie się koniec... to dziś? – spytała przyziemnie Dasza Czub.

– Co? – Kowalową zmroziło.

– Cóż, diabeł powstanie z piekła...

– Dzisiaj? Skąd wiesz? – zadrzała.

– Tak mówi program... I stanie się koniec ze Schwarzeneggerem, dziś o 21.10. Od dawna chciałam to zobaczyć. Mówią, że straszna szmira. Szkoda, że znowu nie obejrzę.

Czub w nowych ażurowych majtkach siedziała na podłodze przed telewizorem, trzymając przed sobą program telewizyjny. Ubrania z Safo –

długa kolorowa spódnica i czerwona bluza – były starannie rozłożone na krześle. Nieopodal leżały dwa wykastrowane rowery i jedna miotła z dwoma nowymi siodełkami rowerowymi. Spokojna Izyda Puszek flirtowała z bosą stopą swojej pani, leniwie łapiąc ruchliwe palce Daszy. Behemot usadowił się na swoim koronnym miejscu... Z daleka wydawało się, że siedzi na kolanach niebieskiej „bizantyjki”.

– A ty co, przeczytałaś już? – Czub wychyliła się do Maszy. – I co takiego napisał?

– To on – mruknęła czytelniczka. – Powinnam była się domyślić. Pamiętasz, jak Mir powiedział, że Żenia i Lidia umówiły się z Ritą na spotkanie w cerkwi św. Cyryla, bo rano zobaczyły reportaż o awarii? I to był pierwszy raz, kiedy wspomniano o kopaczach...

– No i?

– Ja też widziałam reportaż tamtego ranka – rzekła bezbarwnie. – I nie było w nim ani słowa o kopaczach.

– Lepiej mi powiedz jedno. – Czub zacisnęła usta, z zakłopotaniem ssąc ślad po kolczyku w policzku. – Dlaczego zostawił liścik? Dlaczego sam rzucił na siebie podejrzenia? Gdyby nie liścik, nigdy bym mu nie uwierzyła!

– Nie zostawił go. – Masza stuknęła smutno palcem po kartce. – Zapomniał o nim. Po prostu zapomniał. Nie był przecież zawodowym zabójcą. Zabił pierwszy raz...

– Po co w ogóle go napisał?

– Nie napisał – rzekła obojętnie Kowalowa. – I nie kłamał. Prawie. Rita była najbardziej wyrazista i najbardziej aktywna z całej trójki. Mir zawsze ją wyróżniał. Ona sama się wyróżniała. A Żenia i Lidia były zazdrosne. W końcu, jeśli chodzi o chłopaków, to przyjaźnie dziewczyn się kończą. Westchnęła. – Tego dnia Rita poprosiła, żeby znów poszedł z nią do

podziemi, a Mir opowiedział wszystko jej koleżankom... – Masza zbliżyła notatnik do twarzy i nonszalancko przeczytała z kartki: – „Ona uważa, że w życiu wszystko można załatwić pierściami w rozmiarze C. Czasami aż się człowiekowi cofa na widok tego, co ona z siebie robi. Gdybym nie był dżentelmenem, umówiłbym się z nią dziś pod cerkwią przy wariatkowie. Przettrzymałbym ją tam do zmroku. A sam bym się nie pojawił... Bo mam tego dość! Sto razy jej odmawiałem, a ona wciąż się prosi”. Musiał im wszystko opowiedzieć – wyjaśniła Masza. – Wiedział, że Lidia wiecznie robi jakieś podjazdy i umie podrabiać pismo. One też były pierwszymi, które mogły zacząć go podejrzewać o zabicie Rity. A on zawczasu zrobił ze swoich wrogów przyjaciół. Co więcej, uczynił dziewczyny odpowiedzialnymi za śmierć Rity. I nawet kiedy nawalił z liścikiem, wykorzystał to jak najlepiej... Był sprytny.

– Tak, nie był głupkiem. Po pierwsze przekonał nas, a po drugie zdobył alibi. – Czub zagięła dwa palce. – A gdyby go przycisnęli, to przynajmniej wydałby te dwie idiotki razem z ich psikusem. Po prostu alibi było dla niego bardziej opłacalne niż ich przyznanie się do winy... Tylko skąd mógł wiedzieć, że na pewno to napiszą?

– Mógł! – Masza zacisnęła usta. – Od Rity. Tego popołudnia spotkali się pod cerkwią św. Cyryla, a ona pewnie pokazała mu liścik. I śmiała się z koleżanek. Ponieważ równolegle Mir sam umówił się z nią na randkę.

– Po kryjomu?

– Po kryjomu – potwierdziła Masza. – A on z kolei poprosił ją, by dla żartu zaprosiła na randkę szalonego Mitę. Czujesz ten czarny humor: jedna ofiara zaprasza drugą na spotkanie?!

– Mitia ofiarą? – zdumiała się Dasza.

– Tak. Wujek Kola naprawdę był przypadkową ofiarą. To Mitia miał zginąć następnego dnia. Mir mógł zabić własnego brata.

Nagle złapała się na tym, że mówi jakby o kimś innym – o jakiejś abstrakcyjnej i nieznannej osobie. Mir, którego znała – Mir zakochany, Mir, który wędrował z nią przez ciemne i niebezpieczne jaskinie Cyryła; Mir, który zginął tak tragicznie z jej winy, wyciągając ją spod kół samochodu Katii – nie miał i nie mógł mieć nic wspólnego z tym koszmarem!

– Ale w szpitalu wybuchła panika i Mitia uciekł. Był w cerkwi. Widział martwą dziewczynę. I poplamiał się jej krwią...

– Dlatego się przestraszył i nie przyszedł!

– Myślę, że chodzi o coś innego – zasugerowała kwaśno Kowalowa. – Widząc swojego pupila we krwi, lekarz tak się przestraszył, że ten mógł popełnić morderstwo, że zamknął go na noc. Stażystka o tym nie wiedziała, bo to nie był jej dyżur... A kiedy następnego ranka znaleziono kolejne ciało, Snurowski zrozumiał, że Mitia nie miał z tym nic wspólnego. Dlatego powiedział nam: „Mogę ręczyć za niego głową – nie opuszczał budynku szpitala”. A Mitia szczerze cierpiał, przekonany, że piękna dziewczyna zginęła, bo on „jej nie kochał”, „był podły” i nie przyszedł na randkę z nią. On jest chory i fakt, że dzień wcześniej została zabita, nie miał dla niego żadnego znaczenia.

– Dobrze – rzekła Dasza i z zadowoleniem podrapała się po nosie. – A jak Mir dowiedział się o „strasznym obrzędzie”?

– Od Kyłyny... – przyznała z przygnębieniem Masza. – On ją znał. Może przyszedł do niej, tak jak my. A potem przeczytał moje ściagi i nawet skorygował rytuał pod siebie, dodając do niego zbeczeszczenie ławry. Chociaż nie rozumiem, dlaczego Kyłyna mu o tym powiedziała? A jeśli już powiedziała, to dlaczego milczała o trzeciej ofierze?

– I ty mnie o to pytasz? – spytała arogancko Czub. – Pewnie zakochała się w nim, jak wy wszystkie! Zanim rzuciłam na niego urok, wykorzystywał kobiety i traktował je jak wycieraczki!

– Ale Kyłyna sama mogła nawarzyć ziółek dwadzieścia razy.

– Nie chciała – przekonywała stanowczo Dasza. – Ja też bym nie chciała, gdybym kogoś naprawdę kochała. Wiesz, to okropne uczucie, kiedy kogoś na twoich oczach tak skręca. Podczas gdy prawdziwa miłość jest inna, w tym szaleństwie jest coś świętego i ogromnego, jakaś tajemnica... A tutaj jest to proste jak wymioty. Nie wiem, jak to powiedzieć... Miłość powodowana zaklęciem jest jak proteza: coś nierzeczywistego, nędznego, żalosego. I przerażającego! To tak, jakby wyrwać komuś duszę. Teraz już wiem, że Mir był mordercą i satanistą, ale kiedy o tym myślę, to aż się trzęsę! Mrok! – przyznała szczerze Wstrząsająca. – Mimo wszystko – zmieniła ton – Kyłyna nie była tak głupia, jak ty! Tylko skończony dureń wmawiałby komuś, że żeby zdobyć skarb, mój drogi, musisz mnie, pardon, zabić! Co prawda i tak ją zabił... Głupio, po prostu była świadkiem. To kolejne przypadkowe zdarzenie. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak musiał zdębieć, kiedy dałaś mu wszystko na tacy, a on zrozumiał, że przypadkowo dokonał niemożliwego obrzędu, ale i tak nie może zdobyć skarbu, bo teraz pojawiły się trzy Kijowice, żeby mu w tym przeszkodzić! Nawet nie rozumiesz, że naraziłaś nas wszystkich na niebezpieczeństwo!

– On nie mógł mnie zabić! – Masza wyciągnęła dłoń z niepodważalnymi dowodami zawartymi w czarnym notatniku. – I moich przyjaciół też nie mógł! Chciał mi wszystko wyznać! Teraz rozumiem, co zamierzał mi powiedzieć tego popołudnia... Zmienił się. On mnie uratował!

– Tak – fuknęła Dasza. – Powinnaś mi podziękować za zrobienie eliksiru. To on go zmienił! Gdyby przypadkiem się w tobie nie zakochał... Kyłyna nas przed nim ostrzegła! Miał nas zabić jeszcze przed nocą Kupały i mógł to zrobić bez najmniejszego problemu, same zaprosiłyśmy go do domu. To cud, że jeszcze żyjemy po tym, jak spędziłyśmy z nim pół dnia!

Na marginesie, od razu mówiłam: to on! Pamiętasz? A w muzeum chyba go rozpoznałam. A ty co? – Czub nie wystarczyło jedno moralne zwycięstwo. – Próbowałam udowodnić, że to mój Jan!

– Uważasz, że Mir naprawdę był obłąkany? – zasmuciła się Masza.

– Całkiem możliwe – odparła obojętnie Czub.

– I pisał o sobie w trzeciej osobie: „mój geniusz mówi”, „mój geniusz nie kłamie”.

Dasza mlasnęła językiem i potrząsnęła głową:

– W takim razie na pewno był czubkiem. Wszyscy maniacy myślą, że są geniuszami! Uratowałam was przed nim! – Z pełnym przekonaniem podkreśliła wagę swoich zasług. – Dzięki Bogu, że to już koniec. Przy okazji, spotykam się z Janem o wpół do dwunastej. Aleks powinien do tego czasu oprzytomnieć... Jak dobrze, że wszystko wróciło do normy.

– A sabat?

– Słuchaj, nie psuj mi randki! – zezłościła się wstrząsająca Dasza Czub. – Zasluguję na to! Potraktuj to jak wakacje! Na Starokijowską się nie dostaniesz, bo święto, a na imprezę... A tak w ogóle, to ustaliłaś w końcu, która to góra numer jeden? Nie? To o czym my rozmawiamy?

– A skarb? – zapytała nieśmiało Masza. – W końcu w nocy...

– ...jaskinie odkryją przed nami nieprzebrane skarby – dokończyła Dasza. I zawahała się.

Skarb, za który można kupić cały Kijów! Cóż, nawet jeśli niecały, nawet jeśli tylko jedną setną – to i tak sporo! Przyjemnie byłoby na oczach Jana stać się bogatą narzeczoną! A jego ojciec, szara eminencja, już nie miałby nic do powiedzenia, bo inaczej – to i bez wróżki jasne – narzeczona miałaby z nim problemy! Tylko...

– Cóż, skoro jaskinie coś odkryją, to później to ukryją! – rzuciła dobitnie Czub, opierając się pokusie. – U Gogola historia ze skarbem

bardzo źle się skończyła. Nie potrzebujemy ich trupich pieniędzy. U nas wszystko okej!

– A Katia? – Masza zatrzepotała zatroskanymi rzęsami.

– Tak, ona jest dziwna – zgodziła się Czub. – Dlaczego się nie zatrzymała? Uciekła. Przecież nie jest niczemu winna, to ty z Mirem rzuciliście się na rzeź, jak dwoje Matrosowów. Może bała się, że zabierzemy jej książkę? A niby czemu miałybyśmy za nią biegać? Przecież jutro wieczorem sama przybiegnie na górę... W końcu nie jesteśmy jej niańkami!

– A K. D.?

– Tylko znowu nie zaczynaj! Nie chcę tego słyszeć! – wyszczerzyła się złośliwie Czub. – Dobra, biegnę pod prysznic... Głupia, zapomniałam kupić żel do mycia! Znowu muszę użyć mydła gospodarczego. – Dasza machnęła z żalem ręką i wyszła z pokoju.

– Mydło...

Masza wstała.

Potem z jakiegoś powodu podążyła za Czub do korytarza, otworzyła melancholijnie szafkę na miotły, wzięła do ręki mętną, brązową kostkę i powąchała ją zamyślona. Uśmiechnęła się. Przygryzła dolną wargę. Wróciła do okrągłego pokoju w wieży i przesuwając dłonią po grzbietach książek, wyciągnęła kolejny słownik.

„Geniusz – bóg, uosobienie wewnętrznej siły i zdolności człowieka” – doniósł leksykon. „Wierzono, że nie tylko ludzie, ale i miasta mają swojego geniusza. Geniusz odpowiada greckiemu demonowi (zob. demon)”.

Kowalowa posłusznie przeniosła się na odpowiednią stronę:

„Podobnie jak inni pogańscy bogowie, w ujęciu chrześcijańskim demon stał się obrazem złej siły lub protoplastą samego zła (zob. diabeł)” – powiedział słownik.

Ale tym razem Masza nie była mu posłuszna. Zamarła, wpatrując się w książkę z otwartymi ustami, potrząsając głową, trawiąc ostateczną świadomość.

– Tak mi się wydawało – skwitowała z jakiegoś powodu na głos. – Tak dużo o tym myślałam, ale nigdy nie pomyślałam o tym...

„Tak, najlepszym sposobem na ukrycie prawdy jest mówienie o niej na lewo i prawo! Najtrudniej jest znaleźć to, co jest na widoku!”

Ta myśl nie przyszła do niej sama, ale w towarzystwie pytania zadanego Wasylisie Andriejewnie na Górze Starokijowskiej i niezbyt uprzejmej odpowiedzi historyczki w stylu: „Dlaczego? – bo tak!”

„Bo i tak wszyscy o wszystkim wiedzą!”

Ale teraz Masza rozumiała: zdanie, które na pierwszy rzut oka wydawało się tylko nieciekawą próbą zbycia czytelnika, było wyczerpujące i genialnie logiczne. Tajemnica, którą wszyscy znają, nie jest interesująca. Powszechna prawda jest zbyt nudna! Przyzwyczailiśmy się, że prawda jest przed nami ukrywana poprzez zakazy i tabliczki z napisem „Niebezpieczne dla życia”. Ale ani teraz, ani przed rewolucją, ani w czasach władzy sowieckiej nikt nie ukrywał, że Kijów jest stolicą czarownic, a Łyse Góry były wymieniane w przewodnikach i poradnikach... Właśnie dlatego kijowianie się nad tym zbyt nie zastanawiali – po co myśleć o czymś, co i tak wszyscy wiedzą?

– Co z tobą?

Kowalowa podniosła oczy.

Dasza Czub stała w drzwiach, odświeżona i zaróżowiona, energicznie rozplątując na szyi dżunglę z dżetów i paciorków.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytała Maszę, która wpatrywała się w jej klatkę piersiową ciężkim, nieruchomym spojrzeniem. – Znowu coś

wymyśliłaś? Daj sobie z tym spokój! Jutro pójdziesz do biblioteki i do swojego Wrubla...

– Skąd to masz? – zachrypiała Masza, wskazując nerwowo palcem na piersi Daszy, gdzie lśnił mokry, łuskowaty wąż, którego złote zęby chwytają się własnego ogona.

– Podoba ci się? – Dasza rozkwitła z radości. – Twój demon mi go dał. Jeszcze w Centrum. Piękny przedmiot!

Masza wzruszyła wyzywająco ramionami, rzuciła słownik na sofę i zaczęła z uporem rozpinać prymitywny kołnierzyk pasiastej koszuli ojca.

– Skąd to masz? – krzyknęła Czub.

– On mi go dał! Dokładnie taki sam łańcuszek! Powiedział, że to na szczęście. I żebym go nie zdejmowała!

– Mnie też o to prosił... Czyli co? – przejęła się do głębi Wstrząśnięta. – Zabiega o nas obie? Z dwiema jednocześnie?!

– Nie – mruknęła niemilo Masza. – Z trzema! – Triumfalnie wyciągnęła z kieszeni dzinsów trzeci łańcuszek, który spokojnie tam drzemał. – Ten nosiła Katia! Zerwała go przypadkiem, gdy zemdląca. Wtedy, na górze...

– Ale Katia widziała go tylko raz! W Centrum...!

– We śnie – dodała Kowalowa. – Kiedy była Emilią Prachową!

– Wygląda na to, że tak połączył naszą trójkę! – streściła Dasza.

– Nie, wygląda na coś zupełnie innego. Zanim wszedł do Kyłyny, rozdał każdej z nas łańcuszek!

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym od razu?! – zawyła Czub.

– Co? Mało jest takiej samej biżuterii? – przerwała ze złością Masza. – Pomyślałam, że skoro Katia ma taki sam łańcuszek, to musi być drogi, a on powiedział, że to tandeta.

– Jakie to jest tandetne! – krzyknęła Dasza, wyraźnie nie mając na myśli łańcuszka. – Nigdzie nie idę! Cholera! – Czub prawie się popłakała

z powodu tej obelgi. – Jest zwykłym babiarzem, żadnej nie przepuści... Katię jeszcze rozumiem, każdemu na jej widok opada szczęka. Ale ty?! Ty! Wtedy byłaś jak ćma! On chyba ma dużo tych węży... Założę się, że równie dużo ma dziewczyn!

– Panny żmija! – krzyknęła histerycznie Masza, chwytając się za gardło. – To wszystko się składa w całość! Miałam rację, że w to nie wierzyłam... Czy poświęciliby trzy osoby dla jakiegoś głupiego skarbu?

– Tak! Ludzie potrafią zabić za butelkę – skwitowała Dasza. Ściągnęła łańcuszek z szyi i sfrustrowana pociągnęła nosem.

– Kto? – krzyknęła Masza. – Pijacy, kryminaliści, bandyci! Ale nie Kijowice! Już sam fakt, że „straszliwy obrzęd” w księdze Kijowic obejmuje ofiarę z samej Kijowicy, mówi: to jest coś niezwykłego, coś „niemożliwego”, nadzwyczajnego! Chciałam o tym powiedzieć Mirowi. Ale potem zadzwoniła Katia, później ty i Koka, potem Mir powiedział mi o Mitii... Pomyślałam, że jednak nie mam racji.

– Czasem ci się zdarza – zgodziła się ponuro Czub.

– Posłuchaj! – przerwała jej Masza. – Tylko raz w życiu mi nie przerywaj, to ważne! Trudno w to uwierzyć, choć wszyscy o tym wiedzą. To jest jak z „dzień dobry”, które wszyscy mówią, ale nikt nie zdaje sobie sprawy, że to nie zwykłe powitanie, tylko życzenie dobrego dnia.

– Tak – odparła Dasza. – Ja też się nad tym jakoś szczególnie nie zastanawiałam. Choć pewnie wszyscy o tym wiedzą. To już jest myślenie przestarzałe.

– Właśnie. – Masza uczepiła się ostatniego słowa. – Przestarzałe! Przez tysiąc lat wszyscy, od Dymitra Rostowskiego po cesarza Aleksandra II, nazywali Kijów naszą Jerozolimą.

– Co to znaczy, że tu chrzcila się Ruś? – napięła się Czub.

– Stąd stare powiedzenie: „Język i do Kijowa dopyta”. To znaczy mniej więcej tyle: „Kto pyta, ten daleko zajdzie”. Kijów od zawsze był Mekką! – konstatowała Masza. – Przybywały tu i wędrowały tysiące pielgrzymów, od chłopów po carów! Zobaczenie miasta, w którym narodziła się wiara, było dla wielu celem życia! Rocznie ławra gościła sto tysięcy pielgrzymów, podczas gdy w samym Kijowie było zaledwie dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Kijowska ławra zarabiała miliony! Nie milion, ale miliony rubli w czasach, kiedy obiad kosztował szesnaście kopiejek. Każda ulica prowadziła do cerkwi. Miasto składało się praktycznie z samych cerkwi. Były wszędzie, przy każdym szpitalu, dworcu kolejowym, cmentarzu, gimnazjum, uniwersytecie... Nieopodal – ciągnęła, wymachując rękoma we wszystkie strony – na placu Lwowskim była cerkiew Ofiarowania Pańskiego; tu, niedaleko Złotej Bramy cerkiew św. Jerzego; na Chorewicy cerkiew Świętej Trójcy; na Szczekawicy cerkiew Wszystkich Świętych; na Starokijowskiej Dziesięcinna, na Dziesięcinnej Trzech Świętych Hierarchów i św. Joannicjusza. Przy pierwszym gimnazjum cerkiew św. Mikołaja z Miry, przy drugim św. Aleksandra Newskiego, przy uniwersytecie przyszkolna cerkiew św. Włodzimierza...

– Nieźle – zdumiała się szczerze Czub. – Po co aż tyle?

– Kijów był nazywany elementarzem prawosławia, miejscem narodzin i kolebką wiary, duchową stolicą państwa! – rzekła z patosem Kowalowa. – Nie wydaje ci się to dziwne?

– Oczywiście, że tak – zgodziła się z powątpiewaniem Dasza, która zawsze pozostawała w tyle, jeśli chodzi o poważną wiedzę akademicką. – Nie sądziłam, że to było na taką skalę!

– Nie o tym mówię! – przerwała jej studentka. – Czy nie uważasz, że to dziwne, że miasto, które zostało uznane za stolicę wiary, zostało również mianowane stolicą czarownic?

– Uuu... – wyjąkała zaskoczona Czub. – Ale dlaczego? I dlaczego nigdzie o tym nie piszą?

– Bo – powiedziała uroczyście Masza – wszyscy już to wiedzą! Ten paradoks już od stu lat jest przestarzały. Cerkwie zostały zburzone, a pielgrzymi już nie jeżdżą do Kijowa. A na święto Kupały nie organizują karnawałowego pochodu czarownic na Krieszczatiku, żeby przyciągnąć turystów. Jeśli chodzi o pierwsze „dlaczego”, to po prostu wymienię fakty, a ty sama sobie odpowiesz. No dalej, odginaj palce.

Czub z wahaniem wysunęła przygotowaną pięść.

– Najstarsza legenda o Kijowie mówi, że jeden z trzech braci, księżę Kij, pokonał żmija zamieszkującego ten region, a następnie założył tu miasto. To po pierwsze. – Masza zaczęła odliczanie.

Dasza w milczeniu wyprostowała kciuk.

– Druga rzecz: byliny mówią, że za panowania księcia Włodzimierza Krasne Słoneczko żmij pojawił się tu ponownie. Porywał kobiety, żeby były jego żonami, i uprowadził siostrzenicę księcia, Zabawę Putiatisznę. Wtedy pokonał go jeden z trzech bohaterów!

Dasza posłusznie wyprostowała palec wskazujący.

– Po trzecie, i to już nie są mity, ale fakty: latopisy o rytuałach kobiecych z udziałem węzopodobnej jaszczurki zostały potwierdzone przez wykopaliska archeologiczne. Amulety rytualne i te z wizerunkiem węża. – Masza potrząsnęła wymownie swoim łańcuszkiem. – W średniowieczu ludzie oddawali mu cześć! Jednak w XIX wieku kijowianie bali się węża, który rzekomo mieszkał pod cerkwią w grotach Cyryła. Makarow o tym pisał! – Masza przymrużyła oczy i wyrecytowała – „Większość kijowian XIX wieku wierzyła w historyczność wielkich wojowników z węzami i w istnienie węża ludojada. Gdy tylko kijowscy chłopcy znaleźli dwa boa, które uciekły z cyrku i zdechły z zimna (tak przynajmniej głosiła oficjalna

wersja), w mieście wybuchła panika”. Dlaczego więc – rozchyliła szeroko powieki – stolicą wiary była stolica słowiańskich czarownic? I dlaczego zamieszkują one właśnie te tereny? Nie w Moskwie, nie w Petersburgu, nie w Kiszyniowie, ale w Kijowie?

– Dlaczego? – powtórzyła bezradnie Dasza, trzymając przed sobą dłoń z żałośnie wystającym, nieświadomym małym palcem.

– Bo czarownice są zawsze tam, gdzie diabeł! Nie bez powodu Archanioł Michał, pogromca szatana, został wybrany na obrońcę Kijowa!

– Szatan?

– Szatan. Demon. Woland. Belzebub. Lucyfer. Wąż!

Masza podbiegła do czarnego biurka i pośpiesznie narysowała na czworokącie kartki jakiś diagram.

Oczy Czub wybałuszyły się w niemym osłupieniu.

– Spójrz. – Kowalowa wymachiwała kartką podekscytowana. – Wąż pełźnie przez całą historię Kijowa od pierwszego dnia założenia miasta! A cerkwie zawsze budowano tam, gdzie trzeba było zablokować zło. Potrzeba było dwustu cerkwi i tysięcy miejsc świętych w nich, żeby zatrzymać go pod ziemią... Ale cerkwie rozebrano, wysadzono, zburzono, a miasto straciło dawną siłę.

– I co, zmij pojawia się raz na tysiąc lat? Jak w filmach? Chcesz przez to powiedzieć – w końcu dotarło do Daszy – że on naprawdę istniał?

– Nie „istniał”. Istnieje – odparła. – Sama przecież mówiłaś, że w noc Kupały węże zyskują moc...

– A ty mówiłaś – ripostowała nerwowo Czub – że legendy o zmiju są naszą pradawną pamięcią o dinozaurach! Nie! – Sprzeciwiła się podekscytowana. – Czy naprawdę wierzysz, że dziś w nocy z ziemi wypełźnie smok z trzema głowami?

– Oczywiście, że nie – obruszyła się Masza. – Twierdzą, że demon, diabeł, Mefistofeles, zmora lub, jak go nazywali w Ukrainie, Ognisty Żmij, istnieje. I nie jest abstrakcyjnym złem. On...

– O, nie! – Czub zrozumiała aluzję. – Jan może i jest draniem, ale to zwykły chłopak! Dwie ręce, dwie nogi i, uwaga, tylko jedna ognista głowa!

– W jakim znaczeniu „ognista”? – zdziwiła się Masza.

– Jest rudy – wybełkotała Dasza. – A może uważasz, że to brunet?

– Oczywiście, że brunet. – Masza nie zrozumiała sarkazmu. – Czarne włosy, czarne oczy...

– Czekaj, czekaj – zapowietrzyła się Wstrząsająca od uderzenia nagłej nadziei. – Więc może to wcale nie był on? Nie on do ciebie podbijał? Mój Jan jest rudzielcem! Ma jasne oczy! Mówimy o zupełnie innych osobach!

– I ci różni ludzie dali nam takie same łańcuszki? To niemożliwe! Nie! Przyszłam do Centrum... – Kowalowa próbowała rozwikłać zagadkę.

– Po mnie i Katii. – Czub aktywnie wspierała ją w jej analizie.

– A przed drzwiami Kyłyny siedział chłopak.

– Tak, zgadza się.

– Młody.

– Tak, młody.

– Na palcu miał pierścień z dużym niebieskim kamieniem.

– Tak, z niebieskim... – Dasza zmarszczyła brwi.

– Czytał *Mistrza i Małgorzatę*!

– Tak. – Czub zgłupiała.

– I był brunetem.

– Nie! Był rudy. Czekaj! Katia mówiła, że widziała blondyna... I była tego pewna, tak jak ty teraz. – Dasza potrząsnęła gorączkowo swoimi białymi warkoczami. – Brunet, rudzielec, blondyn. I to wszystko w jednym miejscu.

– On ma trzy głowy – trzy hipostazy jednocześnie! Wąż z trzema głowami! „On jeden jest w trzech osobach, on jest kłamstwem!” – Masza wzięła z kanapy dziennik Mira i podsunęła go przyjaciółce pod nos. – Przeczytaj! „On jeden jest”. „Znam jego twarz”. „Pomógł mi i... zamienił moje baksy w kawałki rozbitych glinianych naczyń”. To on zmusił go do pójścia do Kyłyny, a potem ją zabił! On, nie Mir. Obiecał Mirowi skarb, a sam go wykorzystał!

– To niemożliwe – powiedziała z niedowierzaniem Czub. – Gdyby Jan chciał, już tysiąc razy mógłby nas zabić.

– On nie potrzebuje nas zabijać – wydyszała nagle Masza i wychodziła już z siebie. – Do przeprowadzenia rytuału potrzebował tylko jednej Kijowicy. A my... Widział nas kolejno, jak zajmowałyśmy za sobą kolejkę, rozmawiał z każdą z nas i wiedział, że następczynie Kyłyny nie będą w stanie powstrzymać go przed odzyskaniem dawnej władzy.

– Dawnej władzy?

– „On znów odzyska moc, której został pozbawiony”, to słowa Kyłyny. Przecież dawno temu, jeszcze przed założeniem Kijowa, ta ziemia należała do niego.

– Kiedy to było!

– Racja. Tak właśnie powiedział: „Moi przodkowie mieszkali w Kijowie jeszcze przed powstaniem Rusi Kijowskiej”.

– Ale dlaczego wcisnął nam te łańcuszki?

– A dlaczego zakuwa się ludzi w łańcuchy? Żeby uczynić z nich niewolników. Nie wiedział, która z nas wejdzie do Kyłyny jako pierwsza, więc zawczasu nałożył nam trzem kajdany. On zakuł coś w naszych wnętrzach...

– Co?

– Moc.

– Jeśli tak, to nie jesteśmy takie bezsilne – stwierdziła Wstrząsająca, marszcząc czoło.

Dasza wpatrywała się niechętnie w swojego węża, zastanawiając się boleśnie, czy rzucić go na podłogę, czy jeszcze nie? Wsłuchiwała się w siebie: w środku nie było wielkich zmian. Wciąż pozostawała tylko pustka, rozczarowanie i cicha nadzieja, że Masza się myli i że Jan był po prostu Janem, a jego prezent był po prostu prezentem.

Ale gdyby się myliła, to byłoby jeszcze gorsze! Jeśli Masza była ukrytą daltonistką niepotrafiącą odróżnić rudzielca od bruneta, to Jan nie był strasznym i groźnym demonem, lecz jawnym i podłym kobieciarzem, a Dasza – nie tragiczną ofiarą, lecz banalną i kompletną idiotką!

– Nazwał go jakoś. Ca... Carun... Całun... – próbowała sobie przypomnieć.

– Święta Chusta, to ręcznik z odciśniętą na nim twarzą Chrystusa. Obraz, którego nie uczyniły ludzkie ręce! – mruknęła przysza historyczka.

– Czyli musiał to nazwać jakoś inaczej...

Masza zdjęła swój łańcuszek z węzem i ostrożnie przyjrzała się mu ze wszystkich stron, jakby obawiała się, że ożyje i ją ukąsi w odwecie za zdemaskowanie.

– Jeśli nie musi nas zabijać, to dlaczego my musimy dzisiaj zginąć? – spytała niechętnie Wstrząsająca.

– My nie umrzemy – stwierdziła z radością Kowalowa. – Po prostu Kyłyna była prawdziwą Kijowicą. A kiedy przekazywała nam swoją moc, wiedziała, że jej spadkobierczynie będą chronić miasto. Wiedziała, że jeśli staniemy na jego drodze, zginiemy, bo niczego jeszcze nie wiemy ani nie umiemy. Wyciągnęła wnioski z własnych doświadczeń i nawet nie przypuszczała, że możemy po prostu stać z boku i nic nie robić.

– Chcesz powiedzieć – podłapała z zainteresowaniem Dasza – że jeśli nie będziemy się wtrącać i nie zdejmujemy łańcuszków, to nic nam się nie stanie? Mi to pasuje... – Szybko założyła węża, nie czując ani przyjemnej, ani bohaterskiej ulgi. Potem ze złością zrzuciła swoje ubrania wyjściowe z fotela i usiadła w nim, kładąc triumfalnie na swoich kolanach Izydę Puszek, z miną kogoś, kto jest zdecydowany spędzić wieczór w domu przy kominku, pogodzony z własnym wątpliwym „ja”.

– W końcu – usprawiedliwiała się nerwowo – świat i tak należy do diabła. Nawet Biblia tak mówi. Czyż nie? „Oto nadchodzi książę tego świata, ale nie ma on nic we mnie”.

– Tak – zgodziła się surowo Masza.

– Więc po co się męczyć?

– To ma sens...

Rozdział dwudziesty czwarty

w którym Masza rozczarowuje się rycerzami

Kupała – w mitologii wschodniosłowiańskiej główna postać święta przesilenia letniego.

~ Słownik mitologiczny

Puszek mruknęła na powitanie.

Z drzwi balkonu wyłoniła się blondynka Belladonna, najwyraźniej wracająca ze spaceru po gzymsach. W zębach niosła coś, co Masza w pierwszej chwili pomyliła z myszą, którą porządne koty, złapawszy, przynoszą swoim ukochanym panom. Ale to coś okazało się nieznaną Kowalowej rośliną, zmiętą, zielonkawą i nieestetyczną, a kot wcale nie chciał jej oddać.

Belladonna wypuściła zdobycz z pyska i nagle warknęła zaciekle, zjeżyła swój stojący pionowo ogon, w dwóch skokach pokonała drogę na półkę nad kominkiem i natychmiast przejechała oburzoną, szponiastą łapką po bandyckiej mordzie Behemota. W jednej sekundzie kot i kotka splekli się w pędzący czarno-biały motek, który spadł z półki na podłogę, rozpadł się, zasyczał i znów się skleił.

Masza biegła przestraszona, bojąc się włożyć rękę w warczący i drapiący koci tajfun. Czub zrzuciła z kolan zupełnie obojętną Izydę Puszek i podbiegła do stołu, na którym stała trzecia, nieużywana przez nikogo butelka coca-coli.

Ale i ona się przydała. Nagrzana w ciągu dnia brązowa ciecz z sykiem wyrwała się z szyjki, obryzgując wszystko dookoła, a Czub z niesmakiem skierowała lepki i niekontrolowany strumień porowatej piany na walczące bestie.

Behemot natychmiast odskoczył, otrzepał się z pogardą i wyszczerzywszy gniewnie żółte kły, wybiegł na balkon. Wyglądająca jak zmokła kura Belladonna warknęła i z niezadowoleniem polizała swój żółty, zmarniały bok. Nagle wygięła się w łuk i zawyła histerycznie, wpatrując się w kominek i kładąc uszy.

Puszek wskoczyła na oparcie fotela. Pochyliła się tchórzliwie i wyciągnęła przerażoną szyję w stronę niebieskiej „bizantyjki”.

– Boże, popatrz na fresk! – krzyknęła Masza.

– No...? Zawsze tu był... – zaczęła Dasza. Ale nie dokończyła.

Teraz, gdy kominek był pusty, Czub mogła zobaczyć: pręty wagi w rękach na wpół startej damy stały niemal pionowo, a dolna szalka opierała się o krawędź obrazu.

– Co to znaczy? – Dasza uparcie drapała swój nos.

– Ona zdobyła władzę! – syknęła stłumionym głosem Belladonna.

– Ona? – Dasza wskazała palcem na niebieską bizantyjkę.

– Ta, która była z wami! Trzecia! Moc jest w niej!!!

– Moc? – powtórzyła zagubiona Dasza. – W Katii? O mamó, ona zerwała węza... – dotarło do niej. – I natychmiast zaczęły ją nawiedzać sny! A Behemot się jej słucha. I diabeł! Do diabła! Widzicie, widzicie?! – Czub podskoczyła. – Nieważne, ile razy klnę, diabeł się nie pojawia. I dom!

Pamiętacie, jak zawałił się budynek jej konkurencji? A co ze „Zburzę więzienie własnymi rękami”? Dziś zawałił się dom na Obołoniu! Jan nie mówił o tym bez powodu. To ona! Potrącenie Mira nie było przypadkowe! Wyczuła, kim on jest. Zdobyła prawdziwą władzę! Stała się prawdziwą Kijowicą!

– Musimy ją jakoś znaleźć, ostrzec – zmartwiła się Masza.

– Już za późno. Nie posłucha cię! – Oczy Belladonny rozbłysły.

– A diabeł? Żmij? – zapytała smętnie studentka.

– On będzie z nią. A ona z nim...

– Co to znaczy? – wzdrygnęła się Dasza.

– To oznacza – powiedziała Belladonna, starannie wymawiając każdą sylabę – że dziś w nocy zginie miasto!

– Nasze? – spytała naiwnie Masza.

– A my? – spytała naiwnie Dasza.

Kotka wróciła do przyniesionej przez siebie rośliny i trzepnęła nieprzyjaźnie najpierw przednią, a potem tylną łapką, co w kocim języku gestów oznaczało skrajną pogardę.

– To wietlica – mruknęła. – Znalazłam dla was. Ale już za późno.

– WIETLICA? To?! – Dasza, pochylona nad nieestetycznym zielonym kwiatkiem, zmrużyła oczy, jakby nagle stała się beznadziejnie ślepa i krótkowzroczna. – Czy to kwiat paproci?! Prawdziwy? Ale on kwitnie tylko o północy! Jedną sekundę! A teraz...

– Bzdury – prychnął kot. – Paproć nie rośnie z zegarkiem w ręku! Kwitnie, gdy jest dojrzała... Formuje się w dniu przesilenia.

– Ale przesilenie jest dzisiaj, w noc Kupały! Tak właśnie jest napisane w książce! – odparła Dasza.

Masza pospieszyła po kalendarz naścienny z gabinetu, aby z dowodem w garści udowodnić niepiśmiennemu kotu, o co im chodzi.

– „Szósty lipca. Zachód słońca 21.10. Długość dnia 16 godzin i 15 minut” – przeczytała i zdumiała się, gdy przewróciła poprzednie strony: – Spójrz, to naprawdę nie jest dzisiaj! Najdłuższe dni są w czerwcu! Dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego. Długość dnia wynosiła 16 godzin i 27 minut. Może coś pokręcili... A może nasi przodkowie nie mieli sekundomierza i musieli zgadywać w przybliżeniu. I trochę się pomylili.

– I przez tysiąc lat nikt nie pomyślał, żeby to poprawić? – jęknęła Wstrząsająca. – Nikomu nie można ufać, do cholery! Nigdy nie wiadomo, co jest faktem, a co bujda. Wszyscy historycy to frajerzy! I ty też! To jest nauka?!

– Przeżujcie wietlicę – zasugerowała ponuro Belladonna. – Tylko że i to wam nie pomoże.

Puszek żałośnie miauczała, tuląc się do stóp Daszy.

– To tyle, jeśli chodzi o koniec świata o godzinie 21.10! – zapłakała razem z nią Dasza. – Jedna dobra rzecz, że i tak go zobaczę! Tylko że ja nie jestem Arnoldem Schwarzeneggerem...

– Aby go pokonać, trzeba być prawdziwym bohaterem. Muromcem – zakończyła smutno Masza, oplakując w myślach swoją śmierć w kwiecie wieku.

– Co? Co? – Czub skrzywiła się potwornie, złapała się za nos i zataczając wzrokiem szerokie koło, poderwała się z miejsca: – Nie jęcz, Puszku, mamusia wszystkich uratuje! Zbieraj się, Marusiu! Pośpiesz się! I nie zapomnij o swoich zapiskach! Tych o wskrzeszaniu z prochów...

– Po co? – zdziwiła się Masza i nagle, zszokowana, uświadomiła sobie niewiarygodny zamiar Daszy. – Chcesz wskrzesić Ilję?! O mój Boże! Nie!

– Tak! – rzekła zaciekłe Czub. – Skoro byliśmy już w przeszłości... Zaufaj mi! Co nam pozostaje?! Wóz albo przewóz! Czuję to swoim

tyłkiem, wszystko się uda! – Dasza zaciekle chwyciła miotłę z dwoma siodełkami.

A Masza nie miała innego wyjścia, jak tylko zaufać przeczuciom Daszy.



Mijając wejście główne do Świętej Ławry Peczerksiej, gdzie tego ranka na bramie znaleziono martwego Mikołaja Pietrowicza, Masza doznała chwilowego ataku tępego bólu.

Brama zniknęła za zakrętem, ale w trzustce pozostał nieprzyjemny, nieuformowany osad – nieokreślone uczucie jakiejś ukrytej niefortunności tego, co się działo, zrodzone jednak, całkiem możliwe, z niezniszczalnej goryczy przeżutej i cudem połkniętej wietlicy. Masza czuła się jak kompletna idiotka, gdy ją konsumowała.

Motorower zwolnił przy bramie do pobliskich podziemi. Jeźdźczyńnię zsiadły z konia. Dasza pośpiesznie, Masza irytująco wolno.

– Gdzie leży Ilia? – zapytała Czub, opierając się na swojej miotle. – Wiesz?

– Nie wolno wchodzić do ławry z miotłą – odparła Masza, patrząc na nią spode łba.

– A co, mam ją tu zostawić? Ukradną!

– Nie możesz. To jest ławra!

W tej samej sekundzie uświadomiła sobie nieuformowaną i gorzką niezręczność, która stała się przez to jeszcze bardziej nieprzyjemna.

Nie można przybijać ludzi do Świętej Bramy! Nie wolno wchodzić z miotłą czarownicy do Ziemi Świętej! Do wskrzeszenia relikwii wielebnego nie należy używać zaklęć magicznych...

Nie wolno – kropka!

To niewłaściwe. Nawet jeśli zginie miasto!

– Ruszamy! Nie zwalniam.

Nie czekając na nią, Dasza ruszyła szybkim krokiem w stronę bramy.

– Mamo, co mam robić? Co mam robić, mamo? – Masza szeptała szaleńczo do siebie. – Powiedz mi...

Instynktownie odskoczyła w bok, krzycząc.

Czub, kiedy dotarła do białej bramy, nagle cofnęła się, jakby została oparzona wrzątkiem, i z wrzaskiem złapała się obiema rękami za czoło.

Miotła z łoskotem upadła na asfalt.

Dasza wyła, pochyliwszy głowę:

– Y-y-y-y-y-y-y-y-y!

– Co? Co? – Partnerka rzuciła się do niej, próbowała spojrzeć jej w twarz.

– To kłuje! Pali... – mamrotała, jęcząc z bólu. Lekko rozchyliła ręce, a w powstałej szczelinie Masza mogła zobaczyć czerwono - różowy pasek na czole.

Jej czoło było spalone! Poparzone!

Oznaczone wypalaniem znakiem: WIEDŹMA!

„Nie!”

Przerażona Masza, nie mogąc w to uwierzyć, patrzyła histerycznie na drogę biegnącą w dół, do jaskiń, dostępną i otwartą dla wszystkich. Próbowała dostrzec w niej niewidzialną i niemożliwą do pokonania barierę, postawioną tylko dla nich.

Po chwili wahania ruszyła w tamtą stronę z wyciągniętą ręką i drgającym ze strachu palcem wskazującym.

– Stój! – zawołała gorzko Czub. – Nie rób tego! Pamiętasz trzecią zasadę dziadka? Mojego dziadka, w książce? Wiedźma nie może wejść do cerkwi!

– Ale my nie jesteśmy wiedźmami, jesteśmy Kijowicami... – mruknęła zagubiona Kowalowa.

– Nie, Maszo, jesteśmy wiedźmami – wyszeptała Dasza, nadal opierając czoło na dłoniach. – To wszystko. Nie możemy tam iść.

– „Moje Miasto nie jest dla was darem, lecz przekleństwem! Umrzecie, zanim owrzodzona stanie się miłością, a ból będzie płonął w ogniu, bo wasze zbawienie jest tam, gdzie nie macie powrotu...” – wypowiedziała słowo po słowie Masza.

A nieprzyjemny osad podniósł się i zalał jej wnętrzności po same piersi.

One były złe. Były złe i kropka, czegokolwiek by sobie nie wymyśliły! A bycie złym było bardzo nieprzyjemne...

– „Ten bowiem, kto stoi między ciemnością a światłem, nie może należeć ani do światła, ani do ciemności” – zakończyła Kowalowa.

– Mhm – podsumowała smutno Czub. Z wahaniem spuściła czoło, a nawet spróbowała je zmarszczyć, ale zaraz wydała z siebie bolesny jęk: – To boli! Co ja tam mam?

– Jest czerwone. – Masza zdjęła plecak, podparła go kolanem i wyjęła z niego małe lusterko.

Czub ponuro obejrzała swoje spalone czoło, nie przejmując się aż tak samym okaleczeniem, a bardziej niepowodzeniem swojego pięknego planu. Była bowiem taką osobą, która umierając, nie myślała o swoich strasznych grzechach, a tylko o tym, jak się wykręcić i jednak nie umrzeć.

– Mówiłaś, że to zadziała – zgañiła ją Masza, jakby w akcie desperacji.

Studentka wyciągnęła z kieszeni przygotowaną ściągę z zaklęciem i zgñiotła ją rozpaczliwie w pięści, szukając udręczonym wzrokiem urny.

– Wiesz, często myślę przecucia mojego tyłka z jego pragnieniem przygody – przyznała skruszona Wstrząsająca. – A poza tym mój tyłek jest wiecznym optymistą. Wszystko było tak dobrze zaplanowane... Tu

Muromiec, tam zakłęcie. Wszystko się zgadzało! – Delikatnie dotknęła głowy zranionej nieuzasadnionym optymizmem przeciwległej strony ciała i gwałtownie, niecierpliwie machnęła ręką, przerywając sama sobie. – Stój, stój, stój! – Wczepiwszy się w pięść Maszy, Czub nerwowo wyrwała z niej ściągę. – Patrz, tam było coś jeszcze! O „drodze wzrokowej”. Możesz wskrzesić człowieka na podstawie obrazu! To znaczy z fotografii!

– Tylko Ilja Muromiec zapomniał sobie zrobić zdjęcia na kodaku... – mruknęła żałośnie Kowalowa.

– Obraz, nie rozumiesz, obraz! – wrzasnęła Czub, zapominając od razu o czerwonej i bolesnej owrzodzonej pieczęci na czole. – Dlatego właśnie próbowali go zniszczyć! Można go użyć do wskrzeszenia bohaterów! To nie jest bajka! Trzej bohaterowie naprawdę istnieli!

– Istnieje teoria, że tak było – poprawiła ją Masza.

– Nie obchodzą mnie wasze wersje! Tak powiedział Wasniecowa! A jemu wierzę. On na sto procent chodził do ławry do swojego Ilji! Namalował go naprawdę! Jak Matkę Bożą! Zbieramy się, zawiozę cię do muzeum...

– A ty? – zdębiała Kowalowa.

– A ja idę do cerkwi św. Cyryła!

– Po co?

– Po to, żeby właśnie tam odbył się rytuał! To tam jest ołtarz, przy którym go wzywano. Według legendy tam mieszkał. I na sto procent to właśnie tam Jan przyjdzie odzyskać swoją moc!

– Ale Jan to nie Jan. – Masza zmrużyła oczy.

– Ale też nie smok z trzema głowami, tylko normalny człowiek! To znaczy, może nie człowiek, ale normalny...

– Jesteś ranna!

– Oczywiście, jestem wrażliwą dziewczyną, chociaż o ile nie zaczniesz walić moją głową o podłogę, to wszystko inne jakoś przeżyję...

– Jeśli pójdziesz tam sama, to zginiesz. Przepowiednia się spełni!

– I co z tego? – Czub stanęła na baczność w patriotycznej pozie. – Ona i tak się spełni, co zrobić? Proletariat nie ma nic do stracenia oprócz swoich łańcuchów. I nie zamierzam tak po prostu umrzeć. Myślisz, że ja się go boję?! Ani trochę!

– Ale ja się boję! – krzyknęła Masza. – Nie mogę tego zrobić sama! Nie zostawiaj mnie! Dlaczego nie możemy pójść razem do muzeum...

– Bo inaczej nie zdążymy na czas. – Dasza zmrużyła oczy i spojrzała w niebo. – Musimy się rozdzielić.

– Ale do dwunastej jest jeszcze mnóstwo czasu – przekonywała ją Kowalowa.

– Ale z ciebie dziecko, Maszo – mruknęła smutno Dasza Czub. – Jeszcze nie dotarła do ciebie wietlica? Tylko w bajkach wszystko zaczyna się o dwunastej! A w prawdziwym życiu tylko Nowy Rok. Noc, Maszo, zaczyna się, kiedy robi się ciemno... A dziś zacznie się ściemniać o 21.10. Patrz! – Czub wymownie wskazała na blade niebo, jeszcze nie szare, ale coraz ciemniejsze, tak że patrzącemu wydawało się, że jego oczy są zmęczone dniem, i powiedziała: – Musimy się pospieszyć!



Przeskoczywszy przez teren Pawłowki, Dasza przypięła motorower do bramki. Był wieczór. Jeszcze jasno, ale światło przybrało już śmiertelnie szary odcień umierania. Samotna cerkiew, będąca pozostałością po najstarszym monasterze na Rusi, sprawiała wrażenie cichej i obojętnej – niezaangażowanej w nic. I chociaż Dasza już dawno straciła kontakt

z rzeczywistością, osierocona dwunastowieczna cerkiew i „chłopak” Daszy, który wyznaczył jej spotkanie o wpół do dwunastej przed wejściem do klubu, nagle wydały się zbyt realne, by się ich lękać. Przez chwilę bała się, że głupio i żałośnie się pomyliła i że nie będzie żadnego „końca świata”! To znaczy będzie, ale tylko w telewizji. Może zmij tu mieszkał zgodnie z legendą, ale Jan raczej nie mieszka w kanałach. A moc uwięziona w zalanych betonem jaskiniach, podobnie jak śmierć Kościeja w jajku, jest tak samo baśniowa jak sam Kościej.

A potem przestraszyła się, że boi się daremnie: Kijów przepadnie, a ona miała niecałą godzinę, by zrobić nie wiadomo co, mogące zapobiec straszemu nieuniknionemu kataklizmowi...

Sekundę później przestraszyła się jeszcze bardziej, bo ktoś za nią powiedział skrzeczącym głosem:

– Nie idź tam!

Czub odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Mitię stojącego dwa kroki od niej.

– Co ty tu robisz? – odezwała się, gubiąc połowę liter ze zdziwienia i zastanawiając się, jak udało mu się podejść tak bezszelestnie.

– Nie idź tam – powtórzył. – Oni tam są.

Dasza mimowolnie zerknęła na „tam” i ze zdziwieniem otworzyła usta, bo równocześnie z jej ustami otworzyły się cicho drzwi nieczynnej cerkwi. Jakby czekając na wprowadzenie Mitii, wyłoniło się dwóch uczestników – jeden w pasiastej koszuli, drugi w czerwonej (!) wiatrówce – których natychmiast rozpoznała.

– Stójcie! – krzyknęła bezmyślnie. – Jak was zwali?! Koka! Oleg!

Zidentyfikowani mężczyźni pobiegli w kierunku przeciwległego wejścia od zbocza góry. Za żerdziami płotu mignęła czerwona wiatrówka. Wbiegli do jaskiń. Czub szybko, ale ostrożnie położyła miotłę wzdłuż linii

ogrodzenia i popędziła za nimi. Mitia pobiegł za nią. Ale gdy tylko zrównała się z otwartymi drzwiami cerkwi, Dasza natychmiast zapomniała o satanistycznej bandzie zmarłego Mira i obróciwszy się o dziewięćdziesiąt stopni, popędziła właśnie tam.

Do miejsca, gdzie w półkolistym przejściu zobaczyła płonąca bezbożnie czerwoną posadzkę cerkwi, oświetloną światłem niezliczonych świec!

Dasza, gdy tylko wbiegła do środka, od razu zobaczyła Katię.

– O nie! – zapłakała.

Mitia jęknął żałośnie za jej plecami.

Katia leżała w ognistym trójkącie, twarzą do ziemi. Leżała przerażająco schludnie, jakby ktoś próbował ułożyć jej ciało w określony wzór. Jej nieruchome, spoczywające w formie krzyża ręce i nagie nogi w sportowych spodenkach, niemal opierające się tenisówkami o ikonostas, tonęły w lśniącej kałuży krwi. Zakrwawione włosy oklejały twarz.

– Katio – zawyła gorączkowo Dasza. – Nie! Tylko nie to!

I znów wrzasnęła, bo martwa Katia z wysiłkiem podniosła z podłogi ciężką głowę i spojrzała na Daszę nieobecny, ślepy wzrokiem. Jej twarz była brudna od krwi.

– Mój Boże, Kateńko, ty żyjesz... – jęknęła Dasza, pędząc w jej stronę i przewracając butami świece.

Głowa Katii opadła. Dasza uklękła we krwi i pochyliła się do ziemi, by delikatnie dotknąć ramienia dziewczyny. Mitia płakał jak porzucone dziecko. Czub zarzuciła uległe ramię Katii na swoją szyję i objąwszy ją w pasie, postawiła ją na kolana. Rozpaczliwym szarpnięciem poderwała się na nogi, dźwigając na siebie bezwładne ciało.

– Chodźmy, Kateńko. Obok jest szpital. Może nie najlepszy, ale zawsze szpital... Kateńko, proszę. – Jej stopy ślizgały się we krwi.

Nie udało im się przejść nawet pięciu kroków, gdy ciało Katii zwiotczało i zaczęło osuwać się ciężko na kolana. Dziewczyna zwała się na podłogę. Dasza próbowała ją przytrzymać, ale nie zdołała – po prostu na nieco zgiętych, napiętych nogach przyciągnęła ją do ściany i runęła obok niej.

Katia jęknęła, przyciskając słabe ręce do mokrego brzucha.

– Jesteś tam ranna? Nie możesz chodzić? Boli? – pytała czule Czub, choć i bez odpowiedzi było to jasne.

Bez nadziei przymierzyła się do podźwignięcia wysokiej Katii, ale przerzucenie jej przez ramię było niemożliwe z powodu rany na brzuchu. A w ramionach nie byłaby w stanie donieść jej nawet do wejścia do cerkwi...

– Katiuszko, podczołgaj się. Zbierz się w sobie. Spróbuj! – Dasza błagalnie dotknęła jej dłoni.

– Nie trzeba – wyszeptała ledwo słyszalnie Katia. – Już za późno...

– Głupia, no co ty – zawodziła Dasza, dławiąc się łzami. – Nie umrzesz. – Histerycznie wyciągnęła z kieszeni telefon Aleksa. – Kurwa! – Lewy górny róg ekranu był pusty. – Brak sieci. Mitia! – Szalencie wybuchnął głośnym płaczem. – Nie płacz. Na miłość boską, biegnij do szpitala. Sprowadź lekarza! Ona nie może chodzić!

Chłopak skinął głową i pojękując, ruszył do drzwi.

– Będą tu za chwilę – lamentowała Dasza. – Głupia, po co tu przyszaś? Po co? Zdjęłaś łańcuch i myślałaś, że jesteś wszechmocna? Te dranie... Zapomniałyśmy, że Mir nie był sam! Chwila. Jak ty tu w ogóle weszłaś? – zainteresowała się, choć równie dobrze mogła zapytać samą siebie. – Czarownice nie mogą...

– Za późno – powtórzyła Katia. – Krew. Jest jej zbyt dużo.

Nagle Dasza uświadomiła sobie: krew! Trzy morderstwa to zbyt wiele, by cerkiew mogła pozostać świętą.

A po ścianie, teraz poplamionej krwią Katii, podnosił płonący ogniem miecz przyszły pogromca bestii, Archanioł Michał, trzymający w lewej ręce okrągłą tarczę:

*Przybywającym z nieczystym sercem do tego czystego domu Bożego, wyciągam
miecz nieubłaganie...*

Ale niebiański obrońca Kijowa, który przez setki lat krążył nad miastem diabła, groził na próżno – nie obronił Katii! I nie wyciągnął swego miecza na bestie, które przyszły z nieczystym sercem do jego czystego domu.

– Nie! Nie! – zaprotestowała gorąco Czub. – Przeżyjesz... Ty nie miałaś umrzeć. To był przypadek. Durny przypadek!

– Nie. – Katia pokręciła głową. – Nie ma żadnych przypadków...

– Spóźniłam się! Źle się stało... Trzecia ofiara jest niepotrzebna!

– Wy wiecie?

– Ty nic nie wiesz. A my wiemy wszystko. Jesteś jak kot, który przybiegł za myszą... Sama nie wiesz, po co tu przyszłaś... Ale Masza zaraz tu będzie! Z bohaterem. W książce jest zaklęcie. Wskreszenie!

– Ale książka...

– A-a. – Pokiwała Czub. – Nic nie szkodzi, że ją ukradłaś... Musia zrobiła ściągę ze wszystkich zaklęć! Ona jest teraz w muzeum. Wskresza Ilję, wykorzystując obraz Wasniecowa. Możesz to sobie wyobrazić? Tylko spróbuj! – Dasza w pozorowanej radości rozciągnęła usta na całą szerokość twarzy.

– Bohatera z obrazu? – Katia uśmiechnęła się do niej półprzytomnie, jakby usłyszała gaworzenie naiwnego dziecka. – Głuptaski, głuptaski... Boli. Jak to boli!



Masza ze smutkiem szarpnęła ciężkie drzwi muzeum z wyrzeźbionymi na nich lwimi pyskami – ku jej zaskoczeniu lwy posłusznie ustąpiły pod jej ręką. Tchórzliwie wcisnęła się do środka i natychmiast spotkała się z nieufnym spojrzeniem strażnika.

– Przyszła pani na spotkanie z Dmitrem Władysławowiczem? – spytał z powątpiewaniem.

Masza skinęła twierdząco głową.

– Tamtędy, w lewo. Czeka na panią. – Pokierował ją strażnik.

Masza wydała z siebie przerywane westchnienie – trochę z przerażeniem, trochę z ulgą. Z ulgą, bo chciała iść w lewo, a gdyby wspomniany Dmitrij czekał na nią na pierwszym piętrze, to nikt nie pozwoliłby jej tam skręcić. A z przerażeniem, bo nieznanemu Władysławowiczowi, co zrozumiałe, wcale nie czekał na nią. I w przeciwieństwie do Czuba, Masza nie miała pojęcia, jak skłamać na swoje usprawiedliwienie, kiedy zostanie przyłapana na oszustwie.

Krótki korytarz po lewej stronie doprowadził ją od razu do ostatniej sali, gdzie na centralnej ścianie wisieli znani *Bohaterowie*, dosiadający trzech koni – białego, czarnego i rudego.

Sala była pusta. Masza zerknęła podejrzliwie na drzwi dla personelu, spodziewając się podstępu. Ale nie było czasu na strach. Pośpiesznie okrążyła szeroką drewnianą ławkę, podeszła do płótna i wygładziła zmiętą w pięści kartkę.

Nogi drżały. Kolana dygotały zdradziecko.

Oko Kijowicy winno zobaczyć to, co zmartwychwstanie...

Oko Kijowicy niezdarnie przymierało się do centralnego bohatera, patrzącego surowo w dal spod ciężkiej ręki. Tuż pod nim stał jednonogi

stojak z kartką papieru oprawioną w szkło, choć zwykle takie objaśnienia historii eksponatu były ukryte w odległym kącie muzeum.

Oko mimowolnie złapało kawałek tekstu:

...Wiele bylin przedstawia go jako głównego z trzech bohaterów. On jest jedynym, który zdołał pokonać samego Ilję Muromca, choć ich walka zakończyła się rozejmem. Według niektórych źródeł Dobrynia był bratankiem księcia Włodzimierza. W innych rękopisach jest to jego wuj. Najśłynniejszym wyczynem Dobryni Nikiticza było zwycięstwo nad żmijem. Pojedynek, który rozpoczął się nad legendarną rzeką Poczajna, przebiegał w kilku etapach i zakończył się całkowitym zwycięstwem bohatera w jaskiniach Cyryla. Chociaż ukochana Dobryni, czarodziejka, sama zdradziła go ze żmijem...

Oczy Maszy błysnęły z niedowierzaniem i zaokrągliły się ze zdziwienia. Ramiona skurczyły się i stały się zimne.

„O, mamó” – załkała w duszy Masza. „Jak mogłam?! Mieliśmy to na pierwszym roku... Dobrynia! To właśnie on pokonał żmija. Dasza mnie zmyliła opowieściami o głównym bohaterze”.

Nie było jednak czasu na samobiczowanie czy szukanie winnego, nie było też czasu na strach. Kijowica migiem pochłonęła tekst i zwróciła spojrzenie ku najbliższemu krewnemu Księcia Chrzciciela, siedzącemu na dumnym, wymachującym grzywą, śnieżnobiałym koniu Biełuszce, wyciągającym ostrzegawczo do połowy swój potężny miecz.

– Ty, który przychodzisz na tę ziemię, poproś Tego, kto cię posłał, oddaj mi to życie, w imię grodu mego, i dobra ziemi jego, i nieba jego, i jego grzesznych dzieci ...

Nagle ją zamroczyło.

– Ty, po mojej lewicy, zapytaj Matkę Ziemię, kim się stał...

Jej oczy zaatakowało ukłucie niewyobrażalnego bólu powodujące niekontrolowany wypływ ochronnej wilgoci. Masza bezlitośnie rozchyliła powieki palcami, które z góry i dołu utworzyły bolesną oprawkę „okularów”, zmuszając się do patrzenia na „to, co zmartwychwstanie”.

Zobaczyła, jak obraz się poruszył, a sekundę później zdała sobie sprawę, że to nie obraz się rusza, lecz człowiek na białym koniu.

– Ojcie na niebie...

Spokojna, wpatrzona gdzieś w bok twarz bohatera wyrażała zdziwienie, a jego rysy zadrżały.

– ...racz oddać cześć Temu, co stoi po mojej lewej ręce...

Oczy Dobryni nagle utkwily w Maszy, palce bohatera poruszyły się, błysnęło zdobienie wykute na jego mieczu.

– ...i wróć mi życie raba... aaa!

Kijowica krzyknęła, cofając się natychmiast, i wpadłszy na ławkę dla zwiedzających, upadła, przetoczyła się przez nią i uderzyła głową o podłogę.

Coś dużego runęło na ziemię. Rozległ się jęk – nie Maszy, lecz mężczyzny. Masza przewróciła się na bok, wstała na drżących, wacianych nogach i złapała się za obolałą głowę, zapominając w jednej chwili, że boli.

Koń na obrazie stał, wciąż dumnie prostując szyję. Nie zauważył, że został pozbawiony jeźdźca. Na podłodze za to leżał duży, obficie brodaty mężczyzna w ciężkiej, matowej zbroi. Jego miecz, teraz całkowicie pozbawiony pochwy, leżał nieopodal. Hełm potoczył się w kąt. Brodacz podniósł się na rękach i wpatrywał się pustym wzrokiem w tę, która go wskrzesiła.

– Ktoś ty? – spytał kurtuazyjnie grubym, dudniącym głosem.

– Ja? – dopytała oszołomiona Masza. – Już panu wszystko wyjaśniam! – („Boże, on nie rozumie współczesnego języka!”) –

W Kijowie, w stołecznym grodzie Kijowie – mówiła nieudolnie – jawił się zmij jako ognisty płomień! Idol pogański! Demon przeklęty! Usłysz moje błaganie, Dobrynio, jak słońce zajdzie, to on nas wszystkich zabije! A kiedy nas wszystkich zabije, to już będzie koniec wszystkiego! Czcigodny Dobrynio, musisz go pokonać. Musisz z nim walczyć! Rozumiesz?

Jednak brodacz najwyraźniej nic nie zrozumiał. Z zakłopotaniem rozejrzał się po pokoju w domu Fiodora Artemjewicza Tereszczenki, który w niczym nie przypominał książęcych komnat z XI wieku, i znów wbił w nią wzrok.

– Ktoś ty, barysznio? – powtórzył błagalnie. – Czy to wystawa moja? Jam tu zasłabł? To pewnie przez rozstrojone nerwy... Czemuż tak tu pusto? Gdzie odwiedzający? Gdzie Paweł Michajłowicz?

– Jaki Paweł Michajłowicz? – Masza otrząsnęła się z zaskoczenia, kurcząc się z powodu straszego przeczucia.

– Trietjakow. Gdzie jestem?

– W Kijowie. – Głos Maszy zadrżał.

– Tegom się nie spodziewałem... Pamiętam, że byłem w Moskwie. Czyniłem przygotowania do wystawy. A co to za niecodzienny strój, który pani ma na sobie? A co ja mam na sobie? – Skończył, z zakłopotaniem patrząc na swoją zbroję. – Czy to jaka parada? Proszę mi wybaczyć śmiałość, kim pani jest?

– Wiedźmą. – Masza zamknęła zmęczone oczy, czując, że zaraz zemdleje z przerażenia i absurdu tego, co się stało. Załamana wypowiedziała swoje przypuszczenie, które stało się pewną i straszną odpowiedzią: – Wiktor Michajłowicz Wasniecowa?

– Więc się znamy? – Brodacz usiłował się uśmiechnąć. – Proszę mi wybaczyć, nie pamiętam...

– Czy naprawdę namalował pan Dobrynię na swoją podobiznę? – Masza jęknęła z udręką. – Boże, pan też!

– Pani wie też o tem? Ach tak, to przez moje przebranie. – Wiktor Michajłowicz zrozumiał.

– I ożywiłam pana – zakończyła Masza, marząc o zapadnięciu się pod ziemię. – O Boże, co ja teraz z panem zrobię?

– Ożywiła pani? Byłem niezdrów? – zaniepokoił się Wiktor Wasniecowa. – Proszę mi pomóc wstać i wybaczyć staruszkowi... Ogarnął mnie chwilowy stupor...

Masza z przekonaniem podeszła i wyciągnęła rękę do zmartwychwstałego artysty, aby go wesprzeć. Wasniecowa wstał i chrząkając, opadł ciężko na ławkę. Nie przestawał mówić i najwyraźniej chciał zatrzeć nieprzyjemne wrażenie:

– Więc jam jest Dobrynią, a pani wiedźmą Kijowa? Jak miło. Czyż to nie czarodziejka Marinka zdradziła mego Dobrynię z węzem? Przeoryginalny ubiór... Czy tak właśnie nasza współczesna młodzież przedstawia czarownice?

– Marinka? – zapytała Masza.

„Jakiś mężczyzna z brodą...”, „Nazwał mnie czarownicą i z jakiegoś powodu Marinką”, „I jeszcze jakby mnie zdradził z jakąś kobietą, i byłam zła”. – Masza usłyszała poranne słowa Katii.

– A z kim pan... To znaczy, z kim on, Dobrynia, ją zdradzał, wie pan? – zapytała zdenerwowana.

– Z wiarą prawosławną, moje dziecko – odparł z powagą Wasniecowa. – To właśnie sprawiło, że od zawsze był moim głównym bohaterem! On w pewnym sensie stanowi mój autoportret, chciałbym być tak silnym w swojej wierze. Zawsze chciałem, ale nie zawsze było mi dane... I dużo, dużo o nim myślałem. Rzecz nawet nie w tym, że był prawą ręką księcia

Włodzimierza i z mieczem w ręku walczył za wiarę, ale w tym, że być może był pierwszym mieszkańcem Rusi, który umiłował Boga ponad miłość ziemską. A jego piękna Marinka była zapewne równie ładna co pani... Ale była czarownicą, poganką! Czyż sama miłość nie jest aktem pogańskim? – spytał. Masza przytaknęła ponuro z przekonaniem. – Nie ta do żony, dzieci czy ojczyzny – ciągnął malarz – ale ta, która potrafi zniszczyć serce i ognisko domowe, być ponad obowiązkiem i honorem... Ona nie jest fizyczna, wymaga innego rodzaju siły, o wiele większej. Miłość jest silniejsza niż jakikolwiek bohater! Nie, Ilja to siła fizyczna, przyjął ją od ziemi. Alosza: pomysłowość, spryt i rozum ludzki, najśłabszy z nich. Nasze umysły są bowiem często słabe i zdradliwe i to, co możemy nimi pojąć, jest nic niewarte. Potrzeba duszy, żeby przyjąć świat ze wszystkimi jego tajemnicami. A Dobrynia to dusza tego towarzystwa, proszę wybaczyć mi ten niestosowny kalambur. Dlatego tylko on jedyny pokonał Ilję. Pokonał, ale nie skrzywdził, lecz wymienił się z nim krzyżami i stał się jego bratem w Chrystusie! – Wasniecowa uniósł dłoń wymownie w stronę drużyny bohaterów i zamarł, marszcząc czoło ze zdumienia.

– A pozostali dwaj bohaterowie – spytała bez nadziei Masza – czyje twarze mają?

– Ilję Muromca malowałem od woźnicy Iwana, jeśli się nie mylę, Pietrowa. Alosza Popowicz to syn mojego przyjaciela Sawwy Mamontowa, Andriuszy... – odparł automatycznie i grzecznie Wiktor Michajłowicz i nagle krzyknął jak w prawdziwym koszmarze: – Ale przepraszam, gdzie jest mój Dobrynia? Malowałem trzech! To niemożliwe!

– Woźnica i syn milionera? – Masza uśmiechnęła się z niedowierzaniem, zupełnie nie przejmując się krzykiem ich stwórcy. – Niezli rycerze Chrystusowi. To koniec! Oni mi nie pomogą. – Zakryła twarz dłońmi.

– Bóg z panią, młoda damo, dlaczego pani płacze? – zmartwił się rozkochany w ludziach malarz. – Jeśli potrzebuje pani mojej pomocy, jestem do dyspozycji! Co mogę uczynić...

– Nic!

– Nikt nie może jej pomóc – potwierdził z przekonaniem sztywny i nieproszony głos.

W drzwiach wejścia służbowego stał czarnooki brunet.

I przez jedną absurdalną chwilę Masza myślała, że ukazał się jej taki, jakim pozostał w jej pamięci od czasu ich ostatniego spotkania – w czarnym ubraniu z minionego stulecia, z surową, przesywającą i porażającą twarzą – ale już po chwili dostrzegła swoją pomyłkę! Miał na sobie banalne spodnie i koszulę, nie czarną, a w kolorze głębokiego granatu nocy. Długie włosy spoczywały na jego ramionach. Ciemna postać równie z ciemnymi włosami spiętymi w kucyk, która skryła się przed Daszą dwadzieścia cztery godziny temu w tych samych drzwiach, z których teraz się wyłoniła, wreszcie przestała być bezimienna...

– Panie Kijewicki! – wykrzyknął podekscytowany Wasniecowa. – Pan tutaj? Jak to dobrze się składa... Pan też uczestniczy w maskaradzie? Pan, zapewne, jest przebrany za demona? A może jesteś pan Mefistofelem?

Boże, malarz naprawdę myślał, że to żart!

– Pan? – westchnęła Masza przestraszona nie na żarty, cofając się pod ścianę i mrużąc oczy na wątpliwego obrońcę obok.

– To jest Dementy Władysławowicz – przedstawił go pośpiesznie Wasniecowa. – Przyjaciel profesora Prachowa. A to jest...

– Znamy się z Marią Włodzimierzówną – poinformował cicho brunet. – Spodziewałem się jej przybycia. I uprzedzałem o jej przyjściu.

– Pan... – powtórzyła Masza.

– Jestem organizatorem wystawy – dokończył za nią.

– Mojej? – zmieszał się malarz. – Został pan mecenasem sztuki? Panie Dementy Władysławowiczu, stało się ze mną coś takiego, że pan sam nie uwierzysz! Straciłem przytomność, małom nie oszalał. W głowie mi się pomieszało... Gdyby nie ta miła młoda dama...

– Ta miła dama niepotrzebnie pana niepokoi – przerwał mu groźnie K. D., unosząc wyprostowaną lewicę. – Proszę się uspokoić, Wiktorze Michajłowiczu... Spokojnie. – Szybko, z kłaśnięciem wyciągnął lewą dłoń do prawej, jakby zrzucając z niej jakiś niewidzialny przedmiot.

A Masza, która nie zrozumiała jego dziwnego gestu, mimowolnie rozejrzała się, by zobaczyć, jakie wrażenie zrobił na Wiktorze Michajłowiczu – i zobaczyła, że obok niej nie ma żadnego Wiktora Michajłowicza. A oni zostali sam na sam...

Rozdział dwudziesty piąty

w którym Bułhakow wspomniany jest w niemiłych słowach

...nieprzyjacielu wiary, wrogu rodzaju ludzkiego, przyjacielu śmierci, złodzieju życia, burzycielu sprawiedliwości, źródło zła, korzeniu niegodziwości, uwodzicielu ludzi, zdrajco narodów, źródło zazdrości, przyczyno chciwości, źródło niezgody, roznosicielu nieszczęść – słuchaj, o szatanie, i bądź posłuszny!

~ Liturgia *Rituale Romanum*

Pan jest diabłem? – rzekła językiem suchym jak wiór. – Teraz mnie pan zabije, prawda?

– Więc chciała pani wskrzesić bohatera, żeby zabić diabła? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Ale taka odpowiedź była absolutnie wyczerpująca: „A czego się spodziewałaś, skoro chciałaś mnie zabić?!”.

A Masza, która w jednej chwili poczuła, że znajduje się na krawędzi życia, nagle pomyślała nie o matce i ojcu, nie o Katii i Daszy, których nie zdąży ostrzec, nie o zamordowanym Mirze i ukochanym Miszy Wrublu, do których już nigdy nie wróci, ale o Michaile Afanasjewiczu Bułhakowie, który tak strasznie oszukał ją i samego siebie!

Bo gdyby nie on i jego nieistniejący, mądry i sarkastyczny Woland, wiecznie tęskniący za dobrem i dobro czyniący, którego pragnęła spotkać nie mniej niż zamknięty w samotności Bułhakowowski Mistrz, nigdy nie spotkałaby tego – nocookiego, ponurego i straszego – który teraz pojawił się przed nią, stojąc nad przepaścią jej życia.

– Po co, w końcu jest pani człowiekiem... – rzucił z żalem, jakby potrafił odczytać jej niepewne myśli. – Proszę się nie martwić, nie zabiję pani. Ale, niestety, nie mogę też pani pomóc.

– Więc jest pan dobry czy zły? – zapytała wprost Masza.

Pytanie było dziecinnie pospieszne i dziecinnie czarno-białe, ale w środku nie miała już miejsca na wstyd. Przepęłniał ją strach, który powoli i niepewnie ustępował.

– Nie mogę odpowiedzieć na pani pytanie, ponieważ dobro i zło nie istnieją – odpowiedział jej znudzony Pan Zła.

– Co, co? – Masza znalazła nawet siłę, by się oburzyć.

– Jest tylko ziemia i niebo, dzień i noc, cisza i sztorm... – wyliczał beznamiętnie. – A to, co ludzie nazywają złem, to tylko naturalne prawa życia. Czy zło wyrządza kot zjadający mysz albo sztorm połykający statek? Czy złem jest trzęsienie ziemi zmiatające miasta z powierzchni ziemi...?

– Tak – potwierdziła z przekonaniem.

– Więc pani Bóg uczynił zło, zsyłając je na Sodomę i Gomorę?

– Nie wiem...

– Jeśli nawet nie jest pani pewna, czy pani Bóg jest dobry, to o jakim dobru i złu pani w ogóle mówi?

– Zabójstwo Rity i wujka Koli jest złem! – wrzasnęła fanatycznie Kowalowa. – Ty zabiłeś Kyłynę! Jej śmierć...

– Śmierci nie ma – przerwał jej spokojnie protoplasta śmierci.

– Co jest z panem nie tak, czego się nie dotknę, tego nie ma! – wyszczała z nienawistnym skwierczącym sarkazmem i powiedziawszy to, uświadomiła sobie nieprawdopodobny paradoks: w tym ich niecodziennym sporze ona była zadziwionym diabłem, a diabeł zatwardziałym materialistą Bezdomnym i Berliozem w jednej osobie!

– Znowu ten pani Michaił Afanasjewicz... – ciągnął diaboliczny rozmówca tonem znudzonego literaturoznawcy. – Ale ja już pani mówiłem: to nie jest moje ulubione dzieło. Nie ma żadnego diabła, moja droga Mario Włodzimierzówna – oznajmił stanowczo diabeł.

– Co? – otworzyła usta.

– Diabeł to Santa Claus – odmruknął niezadowolony brunet.

– Co? – zacocowała się Masza Kowalowa, zastanawiając się nerwowo: które z nich właśnie postradało rozum?

– Święty Mikołaj – wyjaśnił uprzejmie szalony szatan – którego twarz uśmiecha się na wszystkich kartkach świątecznych, wystawach sklepowych i pudełkach z prezentami... Jest tak popularny, że kiedy odprawiacie rytuały na jego cześć, większość z was po prostu zapomina, czyje urodziny tak naprawdę obchodzi.

– Boże Narodzenie? – Masza niczego już nie rozumiała!

– Wspomniała pani o nim dokładnie dwadzieścia razy, odkąd panią poznałem. I ani razu nie miała go pani na myśli.

– Boga? Więc kim pan w końcu jest? – Masza nie wytrzymała tej kołowacizny. – Ognistym Żmijem? Wolandem? Demonem?

– Może mnie pani tak nazywać – przerwał jej znudzonym gestem ręki – jeśli to pozytywnie wpłynie na pani samopoczucie. Demon. Dmitrij, Damian, Jan... Przyzwyczailem się już do tego. Ale ja jestem tylko duchem tego miasta. Z pewnością nie jest to tak interesujące, jak to, co pani sobie wyobraziła: Ognisty Żmij, przemieniający się w przystojnego młodzieńca

uwodzącego młode panny i składającego krwawe ofiary. Ludzie nie są w stanie dostrzec prawdy, ponieważ jest ona zbyt...

– Straszna – wyszeptała Masza.

– ...zbyt nudna – zachichotał bez cienia rozbawienia. – Nuda to główny problem współczesnych homo sapiens. Zawsze powtarzałem to Kyłynie. Ale nie wierzyła mi. Bo za bardzo wierzyła w ludzi i nie chciała zrozumieć: oni się zmienili, nie są już zdolni do przyjęcia prawdy.

– Jakiej prawdy? – Masza nieprzeciętnie się zaplątała. – Ty jesteś ojcem kłamstwa! Zgubiłeś Mira. Napisał o tobie! Opisał cię: „Jeden w trzech osobach, on jest kłamstwem”!

– On opisał ciebie – konstatawał ze znużeniem trójlicy. – Nadal pani tego nie rozumie, prawda, droga Mario Włodzimierzówna? Był pewien, że to pani jest diabłem! Trzy pomagające mu więdźmy. Które go zgubiły!

– Och... – Masza skurczyła się.

– Chce pani zobaczyć diabła? – roześmiał się szyderczo i rozpiął ciemnogrnatową koszulę, odsłaniając skórzaną sakiewkę na piersi, prawie taką samą jak ta Miszy.

Nocooki szarpnięciem zerwał ją z szyi i położył na swojej dłoni. Poluzował sznurek. Zaintrygowana Masza wyciągnęła szyję i zobaczyła, że w skórzanym sześcianie kryje się niezrozumiała, brązowa i krucha grudka.

– Co to? – spytała, znając już odpowiedź.

– Ziemia.

– Z cementarza – kiwnęła ze zrozumieniem.

Nocooki pokręcił głową.

– Z kapiszcza? Z Czarnobyła? Zła ziemia z cerkwi Cyryła? – Masza poczuła się jak głupia uczestniczka talk show. – A może prochy mężczyzny, który zmarł z nieodwzajemnionej namiętności... Nie. – Oświeciło ją. – To urok! Magiczna mieszanka! Mir miał rację! Diabeł jest miłością!

– Mówiłem już – skinął z satysfakcją brunet – że zawsze jest pani głodna czegoś intrygującego, ekscytującego, zakazanego, przerażającego! Ofiary, krwi, występku, śmierci i pasji... Albo popada pani w drugą skrajność i prosi swojego Boga o zbawienne cuda, darmowe dary, promienne znaki. Dlatego wymyśla pani diabły i Dziadków Mrozów, inaczej jest pani znudzona... Ale to po prostu ziemia.

– Po prostu ziemia – powtórzyła Masza.

– Ta sama, którą ma pani pod stopami! Tysiąc lat temu ludzie składali jej ofiary i świętowali dni, w których budziła się na wiosnę. Starali się ją przebłagać, wiedząc, że tylko ona może ich ukarać głodem albo ozłocić urodzajem. Kochali ją jako matkę, która dała im życie, i jako część siebie, bo kiedy kończyli swoją ziemską wędrówkę, stawali się nią na nowo.

– Chce pan przez to powiedzieć, że wszystkie rytuały satanistyczne są tylko pozostałościami pogaństwa? – Studentka historii skrzywiła się z niedowierzaniem.

– Czy nie wiedziała pani o tym od zawsze? Czy nie tego uczono panią od pierwszego roku? Ale to takie nudne... To prawie nie do zniesienia akceptować takie banalne, przyziemne, prozaiczne prawdy... – Mężczyzna zrobił krótką pauzę i potrząsnął głową z zakłopotaniem. – Nie, nie mogę zrozumieć tej narcystycznej pewności, że gdy tylko cud zostaje wyjaśniony, przestaje być cudem. Nie potraficie nawet zsyntetyzować komórki! Dlatego nazywa się was ślepcami: bo nie widzicie tego, co macie pod nogami, i szukacie swojego diabła w książkach, które sami napisaliście, a Boga na sufitach waszych świątyń, zamiast po prostu patrzeć w niebo.

– I budujemy samoloty, zamiast latać...

– Tak. – Uśmiechnął się do niej i po raz pierwszy w całej tej rozmowie jego uśmiech miał temperaturę co najmniej pokojową, jeśli nie wyższą. – Jesteście ślepcami, którzy wynaleźli tysiące kul ułatwiających chodzenie.

Ale ty już jesteś wiedźmą. Wiesz, czego oni nie wiedzą. Teraz musisz nauczyć się widzieć. I przestań zadrećzać się niekończącymi się pytaniami i męczyć się brakiem odpowiedzi na nie, podczas gdy wszystko, co musisz zrobić, aby znaleźć odpowiedzi, to rozejrzeć się wokół...

Masza mechanicznie rozejrzała się dookoła, ale zamiast licznych odpowiedzi na swoje pytania zobaczyła tylko leżący na podłodze miecz, który najwyraźniej upuścił Wasniecowa podczas powrotu na własne płótno.

– Trzeba go oddać. – Zmartwiła się o integralność arcydzieła.

– Kogo? – spytał potulnie jej rozmówca.

– Miecz. Widzi pan, upuścił go przypadkowo...

– Nie ma żadnych przypadków – odparł z irytacją i typową dla siebie manierą.

Tym razem jednak Masza dostrzegła w jego abstrakcyjnej wypowiedzi coś całkiem konkretnego i obiecującego:

– Czy chce pan powiedzieć, że...

– Nie chcę nic powiedzieć – przerwał jej nader gwałtownie. – Z wyjątkiem tego, co już powiedziałem. Proszę się rozejrzeć dookoła, litości! – wybuchnął. – Czy naprawdę nadal pani uważa, że mogła zdobyć władzę przez przypadek? Że ktoś przez przypadek wypił eliksir magiczny? Czy stojak mógł przypadkowo tam stanąć?

– Pan postawił go pod obrazem? – zadręczała uradowana Kowalowa. – Chciał mi pan pomóc?

– Nie ja! – rozzłościł się jeszcze bardziej.

– Byliny nazywają go wodzem trzech bohaterów. – Masza zwróciła oczy na stojak, który wydał jej się bardziej uprzejmy od jej rozmówcy. – „Kiedy trzymałem w rękach miecz naczelnego bohatera...” Prachow znalazł w jaskiniach miecz... Ten! Ten sam, którym Dobrynia pokonał zmija w podziemiach Cyryla! – Masza zbliżyła się do miecza i spróbowała

go podnieść. Udało jej się to z wielkim trudem: miecz ważył niewiele mniej niż czterdziestopudowa maczuga Ilji. – Pokazał go Wasniecowski. A ten namalował miecz na podobieństwo prawdziwej broni bohatera. Wskrzesałam go. Ale kogo za jej pomocą pokonał? Ziemię? – To założenie wydawało się całkowicie absurdalne. – Kim więc był żmij?

Znowu rozejrzała się z zakłopotaniem i nagle zamarła, a jej usta otworzyły się ze zdziwienia. Odpowiedź na jej pytanie znajdowała się przed nią, na sąsiedniej ścianie. Widniało na niej pięć płonących głów i biała tabliczka z czarnymi, imperatywnymi literami: „Walka Dobryni Nikiticza ze żmijem Gorynyczem”.

– Ale to niemożliwe. Niemożliwe! – mruknęła, patrząc na nieznany obraz Wasniecowa. – To jest żmij. Żmij Gorynycz – przecież to bajka! Proszę mi tylko nie mówić, że...

– Osobiście nic pani nie powiedziałem – rzucił sucho brunet i spojrzał wymownie na swój zegarek.

– O rany! – rzuciła przerażone spojrzenie na swoją „Czajkę”. – Nie mam już czasu! Dasza czeka! A jeśli Ognisty Żmij to naprawdę OGNISTY ŻMIJ...

Żmij, ogromny i słabo wyobrażony, a przez to jeszcze straszniejszy, bezkresny i bezkształtny zlepek ogłupiającego strachu, natychmiast zajął całą jej głowę, a strach gwałtownie pęczniał, ściskając czaszkę bezwymiarową czarnością.

– Proszę nam pomóc, na litość boską!

– Na litość boską. – Brunet mimowolnie skrzywił się na to określenie, które wymknęło się z jej ust. – Proszę mi wybaczyć... Już pani powiedziałem, że nie mogę pomóc. Od teraz jest tylko pani... I Miasto!

– Ale dlaczego? – zadrżała Masza. – Pan nie chce?

– Chcę. Przecież teraz moje wybawienie jest w pani rękach – odpowiedział bez stanowczości, nie pokładając zbyt wielkich nadziei w jej słabych i nieudolnych kończynach. – Stary władca nie będzie dłużej tego tolerował, a jego ziemia znów stanie się jego niepodzielną własnością...

– Dlaczego więc?

– Bo ciemność nie może zniszczyć ciemności! Może ją tylko pomnożyć. Tylko światło może pokonać ciemność.

– Mamo! – spanikowała Masza, łapiąc się tylko na jednym: nie ma co liczyć na pomoc! – Co zrobić? Nie chodzi przecież o miecz! Takich mieczy były tysiące! Chodzi o to, kto nim walczył. A my nie jesteśmy bohaterami! Nie jesteśmy nawet podobne do bohaterów! A jeśli dziś spod betonu wypełźnie żmij, to nie potrzebujemy miecza, tylko granatnika... Trzeba wezwać policję! Musimy im nakłamać... Dasza na pewno coś wymyśli! Musimy otoczyć cerkiew Cyryła kordonem!

– Siła nie pokona siły – mruknął brunet tak ostro, piskliwie i beznadziejnie, jakby była kompletną idiotką, której nigdy nie udało się wytłumaczyć elementarnego „dwa plus dwa”. – Ale wy jesteście ślepe i głuche. Jesteście zbyt ludzkie. Wy trzy... A jednak po raz pierwszy pomylił się w swoim wyborze... Nie – dodał po długiej pauzie. – Ojciec nie mógł się pomylić. Żegnaj!

– Ojciec? – szlochała Masza. – Czyj?

Ale jej rozmówca już zniknął.

A Masza, przykuta do ciężaru swojego miecza, nawet nie próbowała za nim biec.



Masza z trudem wsunęła miecz z powrotem do pochwy. Miecz był masywny i ciemnosrebrny, a pochwa złocona i wzorzysta, zbyt piękna – z innego wieku. Przecież Wasniecowa umieścił starą, autentyczną broń z grubo ciosanego dziesiątego stulecia w jej bajkowo-złotym, fantazyjnie zdobionym wyobrażeniu o niej. A pasek przy pochwie był całkiem nowy. Masza jednym zwinnym ruchem przerzuciła broń przez ramię, chwyciła plecak za uchwyt i powoli ruszyła w stronę wyjścia. Zadumany strażnik przyglądał się jej, nawet nie próbując zatrzymać dziewczyny. Najwyraźniej Dmitrij Władysławowicz go uprzedził, że wśród eksponatów, których strzegł w Kijowskiej Galerii Obrazów, nie było zabytkowych mieczy.

Przygnębiona Kowalowa dotarła do skweru Mikołajewskiego, nakreślonego niegdyś przez ogrodnika Christianiego, i bez energii opadła na ławkę. Jej ciało i ruchy były jakby odrębne, istniały poza nią, podczas gdy jej nabrzmiały i waciany umysł przyglądał się im z boku. Niekończący się gęsty i lepki strach stwardniał i zamienił się w ciężką, przygniatającą do ziemi bezsilność. Powinna była złapać taksówkę, popędzić na pomoc Daszy... Ale w czym jej pomoże, przynosząc ze sobą rzadki i legendarny kawałek żelaza, którego żadna z nich nie może użyć w walce? Masza nie wiedziała, kogo nocem uważał za swego nieomylnego ojca, ale wiedziała na pewno: tym razem się mylił!

Trzech książąt! Trzej bohaterowie! I kto?

Kto?!

Zmęczona życiem piękność, szalona piosenkarka z klubu „O-Yo-Yo!” i słabeusz-mól książkowy, który śmiał zapomnieć o elementarnej przypowieści: żmija pokonał Dobrynia!

Masza ze smutkiem spojrzała na uniwersytet, do którego kiedyś nie odważyła się zdawać – pomalowany w barwy wstążki Orderu Świętego Włodzimierza – czerwony z czarnymi detalami.

Bo Masza Kowalowa mogłaby żyć bez Świętej Kijowskiej Ławry Peczerskiej, a może i bez wszystkich niezliczonych kijowskich cerkwi – tych istniejących, zniszczonych i odbudowywanych na nowo. Ale myśl, że nigdy nie będzie mogła wejść do najpiękniejszego soboru na świecie, sprawiła, że poczuła się skazana, bez nadziei na odkupienie. I nagle uświadomiła sobie całkiem jasno: wszystkie cuda, którymi tak hojnie obdarzył ją los, były niczym. Nie! Były nieodwołalnym i potwornym przekleństwem, jeśli ceną za nie miał być brak możliwości wejścia do JEJ NAJPIĘKNIEJSZEGO NA ŚWIECIE SOBORU ŚW. WŁODZIMIERZA!

„Ale co ja takiego zrobiłam?! Co?!” – zawodziła.

„Jeszcze pytasz?”

Z radością rzuciła się w otchłań, ciesząc się, że spełniają się jej marzenia i sny...

„Ale nie cieszcie się z tego!”

Wzięła w ramiona swoje wieczne miasto, które wydało jej się bajkowym pudełkiem pełnym prastarych i pięknych cudów...

„Moje Miasto nie jest dla was darem, lecz przekleństwem!”

„...bo wasze zbawienie leży tam, gdzie nie macie powrotu”.

W cerkwi!

W poprzednim życiu!

I teraz nagle zrozumiała w oślepiająco jasny sposób, dlaczego jej surowooki rozmówca tak się rozzłościł, gdy usłyszał nieskładny bełkot o broni i kordonie wokół cerkwi św. Cyryla.

„Tylko światło może pokonać mrok”.

A ona nigdy już nie wejdzie do soboru św. Włodzimierza!

„Nigdy! Nigdy! Nigdy!”

Masza wreszcie zalała się łzami. Płakała żarliwie, wykrzywiając dłońmi twarz. Nie płakała od dnia, w którym dowiedziała się o śmierci Rity. To

było przedwczoraj. Ale od tego czasu minęła cała wieczność. Nie opłakiwała Mira, wujka Koli, nie płakała też po haniebnym incydencie w podziemiach Cyryła. Stała się silna, nawet tego nie zauważając, i była silna, dopóki nie zrozumiała: ta siła była złudna, była oszustwem! Kradzieżą!

„To wymaga innego rodzaju siły, dużo większej...”

Była bezsilna, najslabsza i najuboższa ze wszystkich ludzi, dlatego że nawet najslabsi i upadli mogli wejść do cerkwi i prosić o przebaczenie. Ale nie ona!

Zrobiła coś nieodwracalnego, przekroczyła jakąś nieznaną granicę, poza którą nie ma przebaczenia!

Nawet u tego, który przebacza katom, gwałcicielom i mordercom!

To było tak straszne, że reszta nie miała znaczenia... Niech miasto trafi do piekła. Niech wyjdzie żmij. Ognisty. Z pięcioma, ośmioma, dwudziestoma głowami! Niech wszyscy zginą. Ona, Dasza, Katia – wszyscy. To nie ma znaczenia! I tak nie ma po co żyć, bo już nigdy w życiu nie będzie mogła wejść do soboru św. Włodzimierza. Odtąd bowiem sobór jest jej własnym sądem ostatecznym, wymierzonym przez pogromcę ciemnych mocy, Włodzimierza, który przyjął u siebie usunięte z soboru św. Michała relikwie prześladowczyni czarownic Barbary, a ją samą Bóg już skreślił z listy ludzi, nazywając ją wiedźmą!

„To dlatego nazywają was ślepymi – szukacie Boga na sufitach waszych świątyń, zamiast po prostu patrzeć w niebo...”

Masza bez nadziei patrzyła w niebo przez mętne soczewki z łez – niebo ciemniało, nie widziała tam Boga.

„Teraz musisz nauczyć się widzieć. I przestań zadręczać się niekończącymi się pytaniami i męczyć się brakiem odpowiedzi na nie,

podczas gdy wszystko, co musisz zrobić, aby znaleźć odpowiedzi, to rozejrzeć się wokół...”

Masza rozejrzała się dookoła – ludzie na pobliskich ławkach patrzyli na nią, niektórzy z zaciekawieniem, inni z dezaprobatą, a jeszcze inni ze współczuciem. A obok jej ławki zatrzymały się dwie dziewczyny, rówieśniczki Maszy, które patrzyły na nią tak, jakby jej płacz łamał im serca.

– Co się stało? Potrzebujesz pomocy? – spytała jedna z nich, gdy tylko Masza skrzyżowała z nią spojrzenie.

Miała na sobie niebieską sukienkę i jaskrawoczerwone buty.

– Ktoś cię skrzywdził? Zgubiłaś pieniądze? A może ktoś jest chory? – Druga, bardzo młoda, może nawet młodsza od Maszy, zwróciła się do niej uprzejmie.

Ich współczucie wydawało się Maszy nielogicznie jawne, co sprawiło, że zaczęła podejrzewać dobrotliwą parkę o przynależność do jakiejś pseudochrześcijańskiej sekty.

– Idź i zapal świeczkę za zdrowie... – zaproponowała pierwsza, potwierdzając przypuszczenia Maszy.

Dziewczyna nieśmiało wyciągnęła współczującą dłoń w kierunku czubka głowy Maszy. Masza odsunęła się od niej wrogo i ryknęła jeszcze głośniej niż dotąd, kręcąc przecząco głową:

– Świeczkę! Jaką świeczkę! Gdzie...?

– A może chcesz, żebym ja poszła za ciebie? – zaproponowała błyskawicznie pierwsza z nich, nie dotykając włosów Maszy. – Sobór św. Włodzimierza jest za rogiem. Tylko powiedz, jak nazywa się chory?

– Masza. Maria... – chlipnęła Masza. – Naprawdę możesz? Zanieście, proszę! – Masza zaczęła nerwowo szukać pieniędzy, nagle nabierając złudnej nadziei na nielegalny cud.

– Nie trzeba, no co ty. To pięćdziesiąt kopiejek – rzekła zdziwiona dziewczyna w czerwonych butach, odrzucając zmiętą, nieświeżą hrywnę. – I tak zmierzałyśmy w tamtym kierunku. Więc Masza, tak? – Kiwnęła rezolutnie głową. – Ja też jestem Masza, jak twoja matka. A może przyjaciółka? Nie martw się, wyzdrowieje...

– Nie sądzę – szlochała cicho wiedźma. Nie zdołała wykrztusić z siebie nic więcej, ale poruszyła wargami.

– Na pewno wyzdrowieje! – zapewniła ją optymistycznie druga, zerkając pod łzawe drzenie rudych rzęs. – Dziś w nocy sobór św. Włodzimierza płonął! Słyszałaś? Ale nie spłonął. Wyobrażasz to sobie? Takie cuda się zdarzają...

– Jesteście wierzące? – upewniła się ostrożnie Masza.

– Cóż, jak wszyscy – ciągnęła druga.

– Chodźcie do cerkwi?

– Nie to, że od razu chodzimy... Czy czujesz się już lepiej? Pójdziemy już. Dobrze? – Pierwsza uśmiechnęła się do niej i jednak pogłaskała po tyle głowy. – Nie płacz. Dobrze?

Masza patrzyła, jak odchodzą. Jej gardło nagle oczyściło się z łez, a wewnątrz, jak to po deszczu, było mokre i lepkie, ale czyste.

Niepokojąco, ale nie beznadziejnie. Zadziwiająco...

„Przecież szły tam w swoich sprawach. Są tacy ludzie... Nie okłamały mnie, zapalą! I on być może mnie usłyszy, i...”

„Boże, jaka ja jestem głupia!”

„On przecież usłyszał!”

W żołądku poczuła ciepło i gorzycz, jak po kieliszku cierpkiego czerwonego wina, i znowu chciało jej się płakać, ale w inny sposób. Wpatrywała się w oddalające się plecy dziewcząt. I nagle wyobraziła sobie, że siedem minut później wejdzie za nimi do swojego najpiękniejszego na

świecie soboru św. Włodzimierza przez ogromne czarne drzwi z masywną płaskorzeźbą świętego Włodzimierza i jego nie mniej świętej babci Olgi, aby zrobiwszy pięć kroków od wejścia, odwrócić się i zobaczyć *Sąd Ostateczny* i węża ognistego wijącego się w piekle. A potem spojrzeć w lewo – na moment chrztu grzesznego i ślepego księcia, który przyjął wiarę po tym, jak został ukarany ślepotą za grzech. (Według jednej z wersji był to gwałt na córce cara Korsunia. Kto to teraz sprawdzi?). A na prawo – na księcia, który był już prawie święty, z koronowaną głową otoczoną aureolą, stojącego na pokrytym wzorzystym dywanem brzegu rzeki Poczajna, chrzczącego w niej pierwszych przerażonych Rusinów i wyciągającego ręce z darem do nieba – gdzie w złotych obłokach stał Andrzej Apostoł, otoczony aniołami, z wielkim i ciężkim pierwszym krzyżem w rękach!

Widziała to tak wyraźnie, że dostrzegła również niebieską koszulę Andrzeja. I bogato haftowane, wyszywane drogocennymi kamieniami złote szaty książęce. I wzór zielonego dywanu z utkanym na nim pawiem o długim ogonie. I tego samego ponurego, brodatego bojara, stojącego niedaleko księcia, w zielono-złotym stroju z długimi połami, trzymającego wielką dłońią rękojeść miecza w złotej pochwie.

Chrzest kijowian był wypełniony niezliczoną rzeszą twarzy, surowych, poważnych, przestraszonych, wstrząśniętych, zmieszanych, ale tylko ta jedna, marszcząca się, domagała się od niej odpowiedzi...

„Przecież to mój Dobrynia!” – Masza nagle rozpoznała twarz głównego bohatera. „Dobrynia-Wasniecow!

To właśnie dlatego sobór św. Włodzimierza płonął! Dobrynia i miecz zostali namalowani dwukrotnie!”

„Dobrynia i miecz zostali przedstawieni dwukrotnie!”

Ale...

„Tu nie chodzi o miecz!”

„Nie chodzi o to, że był prawą ręką Włodzimierza i z mieczem w ręku walczył za wiarę, ale o to, że być może był pierwszym Rusinem, który kochał Boga ponad miłość ziemską”.

Podczas gdy sam chrzciciel być może przyjął wiarę tylko po to, by poślubić piękną księżną bizantyjską Annę. Albo gorzej...

Tak!

To było pytanie, które dręczyło Dobrynię-Wasniecowa! Nic dziwnego, że Wiktor Michajłowicz postawił pytanie obok Włodzimierza w soborze św. Włodzimierza!

Masza Włodzimierzówna nagle wbiła wzrok w zmiętą hrywnę w dłoni, z żółtą twarzą Włodzimierza Wielkiego w tłoczonej koronie, i spojrzała w górę na „chrześcijański” plac Uniwersytetu św. Włodzimierza, gdzie według planu gubernatora i metropolity miała stanąć świątynia św. Włodzimierza, oddzielona od uniwersytetu ulicą Wielką Włodzimierską.

„Włodzimierz!” – Jakby ktoś obsesyjnie szeptał jej to imię do ucha przez trzy dni z rzędu.

„Czy pani jest od Włodzimierza Fiodorowicza?”

Zamordowany metropolita ławry był również Włodzimierzem.

I zakład fotograficzny WŁODZIMIERZ WYSOCKI, KIEW!

I tata... I jego imiennik śledczy...

I Wasniecow mieszkał na ulicy Włodzimierskiej. A „Aleksandra Włodzimierzówna zabierała dzieci na spacer do parku Włodzimierskiego...”

W miejscu, gdzie na Górcie Włodzimierskiej pod pomnikiem Clodta anonimowy K. D., który przestał być anonimowy, umówił się z nimi na spotkanie... Umówił się i nie przyszedł, bo nie mógł im pomagać... I wcale

się nie umówił! zaproponował „spacer o zachodzie słońca”. A one od razu uznały to za coś intrygującego i niepokojącego... Chociaż wszystkie kwieciste słowa bruneta o ciemnych jak noc oczach należało rozumieć całkiem bezpośrednio. Mir leżał u jej stóp, dosłownie. Domowi należało grzecznie powiedzieć „dzień dobry”. A łańcuszka nie należało zdejmować, bo... To już nie miało znaczenia. Ale było coś jeszcze... Najważniejsza rzecz!

„Nie bójcie się, Włodzimierz nie zrobi wam krzywdy. On pomoże!”

Masza pośpiesznie rozpakowała plecak, chcąc włożyć na szyję tajemniczego węża. Ale plecak, z którym na dobre opuściła dom, był zbyt wypchany i do tej pory nie raczyła go opróżnić – musiała wyjąć stertę zapasowej bielizny, zapalki i resztkę świecy, klucze i podarowanego jej przez bruneta Bułhakowa, którego, przyzwyczajona do literackiego ciężaru dźwiganego na plecach, spokojnie nosiła przez te wszystkie dni.

Strona wciąż była zagięta w miejscu, w którym spokojny i beztroski brunet przerwał czytanie jej swojego ulubionego cytatu: „Nad Dnieprem, z grzesznej i krwawej, ośnieżonej ziemi, wznosił się w czarną, mroczną wysokość północny krzyż Włodzimierza. Z daleka wydawało się, że poprzeczna belka zniknęła – złała się z pionem, i w ten sposób krzyż zamienił się w groźny, ostry miecz”.



– Wytrzymaj, wytrzymaj, za chwilę tu będę. – Dasza patrzyła z nadzieją na drzwi, próbując uwierzyć we własne słowa. – I lekarz, i Masza, i bohaterowie...

Teraz ucieszyłaby się nawet z obecności Jana! Ale jego też nie było. To jasne, że po raz kolejny się pomyliła. Na niebie zapadał zmrok. Światło się

rozproszyło. A szyby w wąskich oknach stały się prawie czarne. Opowiedziała już Katii wszystkie przygody z całego dnia, ale ta po piętnastu minutach przestała reagować na słowa. A w dwudziestej Dasza z rozpaczy podarła na strzępy nową spódnicę za dwieście dolarów i pamiętając o szkolnych lekcjach pierwszej pomocy, zabandażowała ranę Katii.

Tylko że to nie pomogło... Katia odchodziła. Powoli i nieubłaganie, wraz z dniem za półkolem drzwi. A jej twarz nie była już piękna.

– To był błąd – powiedziała nagle.

– Co? – Dasza ucieszyła się z jej reakcji.

– Muzeum. Mój błąd... On ma rację! Nie wolno było zwracać na siebie uwagi. Ale wy i tak tego nie zrozumieliście. I tak...

– O czym ty mówisz, Kateńko?

– Nie wiedzieliście, że to ja – wymówiła zaskakująco wyraźnie.

– Gdzie? W muzeum? Ale to niemożliwe... – Dasza zdała sobie sprawę, że Katia majaczy.

– Prawdopodobnie... Na diable. Jest szybciej, niż...

– Taksówką? – Nie, to nie było majaczenie! Oczy zszokowanej Daszy rozszerzyły się: wysoka postać z ciemnymi włosami zebranymi w kucyk to była Katia! Ale... – Ale dlaczego? – Czub oniemiała. – Oprzytomniałaś? Widziałaś we śnie? Nie powiedziałaś nam wszystkiego? Ten bohater to Ilja?

– Inny... Dob...

– Dobrynia?

– I we Włodzimierskim.

– To ty podpaliłaś sobór św. Włodzimierza?! – Wstrząsająca była autentycznie zdumiona. – Ale dlaczego? Dlaczego miałbyś to robić?

– Żeby być pierwszą... jedyną... naj! – wydyszała Dobrażańska. – On nadchodzi. Jest już blisko...

– Kto? – Dasza rozejrzała się dookoła. – Mówisz o Janie? O chłopaku z pierścieniem? Przeczytałaś o tym rytuale w książce? Wiesz, co tu się dzieje? Specjalnie potrąciłaś Mira?

– Nie... Ale tak jest lepiej. Urok. On mógł wam wszystko powiedzieć o...

– Żmiju?

– On nie wiedział... Myślał, że to skarb. Już nie mógł tego znieść... Nie mógł zabić... Ale mógł przeszkodzić. Im.

– Swojemu gangowi? Ale oni nie musieli nikogo zabijać! Rytuał jest już zakończony.

– Nie. Potrzebna jest Kijowica... Tutaj. Jej krew... To o nią chodzi. On chce krwi.

– Jan chce krwi? – Dasza znów się odwróciła, patrząc bezradnie na drzwi.

Nie mogła być zła na umierającą Katię, która zapłaciła zbyt wysoką cenę za wiarę we własną wyższość. Nie na darmo Mir przekonywał je, że śmierć Kyłyny i incydent w muzeum nie pasują do ogólnego krajobrazu. W istocie wiedział na pewno, że nie on za tym stoi! Zdawał sobie również sprawę, że aby zakończyć rytuał, jedna z nich musi zostać zabita. Zrozumiał, że nie może zabić Maszy. A nawet jej przyjaciółki, tylko dlatego, że to była JEJ przyjaciółka!

Jakże straszną rzeczą jest miłość, skoro łatwiej było mu samemu umrzeć...

– Boli – powtórzyła Katia. – Umieranie jest bolesne... Ale wtedy bolało jeszcze bardziej. Widziałaś...

– Co?

– Jak bardzo może boleć. W Centrum...

Po cerkwi poniósł się szelest kroków i odwróciwszy się z niepokojem, Dasza poczuła ulgę, gdy zobaczyła zbliżającą się Maszę.

– Maszo! – krzyknęła radośnie. – Gdzie są bohaterowie? – spytała już mniej radośnie.

– My jesteśmy bohaterami – odpowiedziała surowo.

– Co, nie zadziało? – wrzasnęła Czub.

– Boże, co z nią? – Masza zrzuciła ciężar z ramion i zapominając o wszystkim innym, podbiegła do rannej, padła na kolana i wyciągnęła do niej błagalnie ręce.

– Przeżyje, przeżyje! – powtarzała jak modlitwę Dasza. – To nie Jan. To sataniści. Już ją zabandażowałam. Wysłałam Mitię. Za chwilę będzie lekarz...

– Kogo wysłałaś? – zawyła tragicznie Kowalowa. – Mitię? On jest obłąkany! Nikt mu nie uwierzy! Nikt nie przyjdzie, bez względu na to, jak bardzo będzie ich prosił!

– O Boże! – zawołała z rozpaczą Czub, oszołomiona własnym błędem. – Zaraz wracam – rzekła. – Szybko to załatwię!

– Stój, nie masz na sobie spódnicy!

– Nie obchodzi mnie to!

– Sama wylądujesz w wariatkowie!

– Za późno... – powtórzyła Katia.

I Masza zrozumiała: naprawdę było już za późno. Coś nieokreślonego, co nazywało się życiem, już gasło w czarnych oczach Katii, parowało z jej skóry, wymazywało się z jej ust. A Archanioł Michał stojący nad Katią, z dołem szaty splamionym jej krwią, z twarzą kobiety i dwiema czerwonymi wstążkami we włosach, był tak bezlitosny jak sama śmierć.

– Nie! – Masza zatrzymała swoją przyjaciółkę, która dobiegła już do drzwi. Chwyciła zimne i pozbawione życia ręce Katii i przemówiła z pasją,

najpierw niepewnie i niezdarnie, potem płynnie i żarliwie, wierząc coraz bardziej z każdym wypowiedzianym słowem: – Ty, który przychodzisz na tę ziemię, proś Tego, kto cię posłał! – Wiedząc teraz, kogo prosi, Ojca-niebo i Ziemię-matkę, mówiła dalej: – Oddaj mi to życie, w imię grodu mego, i dobra ziemi jego, i nieba jego, i jego grzesznych dzieci!

Katia głośno jęknęła. Głęboko, przejmująco, bojaźliwie, wyginając się w bolesny łuk i odrzucając głowę i ramiona do tyłu. Zadrżała jak po uderzeniu w klatkę piersiową, skręciła całe ciało i upadła do tyłu, opuszczając brodę.

– Czy to jest to? – mruknęła Dasza. – Na trzynaście godzin?

– Nie... – wyszeptała błagalnie Masza, ledwo poruszając wargami. Prosiła o cud! Przecież był już pierwszy raz... Masza opuściła głowę i spojrzała z obawą w twarz Katii.

Ta uniosła się i spojrzała na nią z mocnym, wymagającym, intensywnym pytaniem – nieprzyjemnym, ale żywym! Absolutnie żywym, odkupującym każdą wrogość!

– Katio... – uśmiechnęła się radośnie i płaczliwie Masza. – Katio! Jak się czujesz...?

I wtedy Katia wybuchnęła długim, histerycznym śmiechem i wyrwała rękę z niespokojnych dłoni Maszy, mrużąc swoje szalone oczy. Otworzyła je i znów roześmiała się z ich zdziwionych, powykrzywianych fizjonomii.

– Diabeł! – krzyknęła roztrzęsiona.

– Co loszkasz, pani? – Z ciemnego zakątka cerkwi błyskawicznie wyłoniła się ciemna postać.

– Ławka!

Diabeł błyskawicznie opadł na czworaka, wygiął plecy i uniósł posłusznie tył. Nie przestając się śmiać, trzymając się ścian, Katia

podniosła się z kamiennej podłogi i jak gdyby nigdy nic usiadła na włochatej ławce o najbardziej naturalnym wyglądzie.

– Katio! – Dasza wreszcie odzyskała mowę. – Przeżyłaś! Katio...

– Katio, Katio, Kateńko – mruknęła szyderczo Katerina. – Jaka ona jest piękna! Jakby uszyta na mnie, dokładnie na moją figurę... – Ręce Katii z zachwytem zsunęły się od piersi, po bokach, aż do ud, jakby układały długą jedwabną suknię. – Dumna, mądra, zbuntowana, piękna! Królowa! Zwycięzczyni! – ciągnęła, z jakiegoś powodu uparcie mówiąc o sobie w trzeciej osobie.

– Coś jest nie tak... – wyszeptała Czub, przybliżając się do Maszy. – Coś jest nie tak... Ona oszalała!

– Ale z Wasniecowem wszystko się udało.

– Z kim?

– Potem...

Katia je usłyszała.

– Tak – zgodziła się radośnie. – Twoja Katia postradała zmysły! Jak tylko rzuciłaś się pod jej koła. Ty – zwróciła się Dobrażańka do Daszy – powstrzymałaś ją przed zabiciem ślepej na ringu. Nie trzeba było jednak długo czekać na nową ofiarę. Ludzie tacy jak ona zawsze są o dwa kroki od zabicia, ponieważ nie mogą nie wygrać, za wszelką cenę! Powiedzenie jej, że będzie pierwsza, danie jej posmaku prawdziwej władzy...

Milcząca do tej pory futrzana ławka mruknęła z zadowoleniem, potrząsając kudłatą głową. A Katia podrapała czarnego nieumytka za uchem.

– Tak, tak, dobry chłopiec. Nie przeszkadzaj mamie...

– To on! – zdenerwowała się Czub. – On ci nagadał! Przez niego prawie zginęłaś! On cię oszukał!

– Czyżby? – Katia uniosła wesoło brwi. – Czy nie ona stała się pierwszą? Kim więc jestem JA?!

Katia z niespotykaną dla siebie kokieterią, powoli i z rozmysłem przejechała językiem po górnej wardze, figlarnie wydeła usta, spojrzała na dziewczyny z boku, złośliwie napiętym, otulającym spojrzeniem spod opadających powiek i nagle przerzuciła je jak piłkę w stronę zakrwawionego ikonostasu za ich plecami.

Próbując nadążyć za jej wzrokiem, obie słuchaczki nagle rzuciły się tam w tym samym czasie, omijając straszną kałużę z obu stron.

– To portret żony profesora Prachowa. Ten sam?! – Dasza otworzyła oczy ze zdumienia, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczyła. – Ale to nie jest Katia, tylko Kyłyna! Tylko jej oczy są ciemne...

– Ale to on! – zawołała Masza, zdruzgotana jeszcze bardziej. – To jest demon! Demon Wrubla! Tylko że on jest kobietą! Wrubel namalował pierwszego *Demona*, wzorując się na Prachowej! Madonnę i demona jednocześnie! Mój Boże...

– A więc Kyłyna była żoną profesora? – Czub całkowicie się pogubiła. Wpatrywała się w wielkooką i wielkonosą twarz kobiety, która znajdowała się między dwiema bliźniaczymi kolumnami, splecionymi w marmurowy „węzeł gordyjski”, bezskutecznie próbując go „przeciąć”.

– Tak, byłam jego żoną! Szkoda, że nie na długo – rozległ się pogardliwy głos Kateriny.

– We śnie?

Dasza odwróciła się zdumiona i zobaczyła, że Katia stoi, oddzielona od nich czerwonym dywanem z własnej krwi. Przeciągała się słodko jak wielki i zadowolony kot.

– A jak myślisz? – zapiąła złośliwie. – Dlaczego ta dziewczyna śniła moje sny?

– Ty? – spytała ze strachem Masza. – Ty?!

– Ja – uśmiechnęła się Katia, która już nie była Katią.

– Kyłyna! Ale to niemożliwe! Ty umarłaś!

– Nie ma śmierci – rzekła arogancko zmarła.

– Tak, oczywiście – zgodziła się z trudem Kowalowa. – Ale jak? Jak?!

– Gdy tylko zerwałam jego głupi amulet...

– Jak mogłam się nie domyślić! – jęknęła Czub, do której wreszcie dotarło, co się dzieje. – Belladonna powiedziała, że kocur jest posłuszny tylko Kyłynie! Ale to niemożliwe!

– Nie, nie – potrząsnęła głową Masza. – Katia próbowała mi pomóc... W ciągu dnia była prawdziwa!

– Ale nie w nocy – wyjaśniła spokojnie Katia. – Nie w nieświadomości. I tylko tak długo, jak długo była niewinna. Musiała zabić...

– Dwa bycze serca. To przedawkowanie! – szlochała żałośnie Dasza Czub. – To Behemot! To on podarł książkę...

– ...bo tam był twój portret! – dokończyła za nią Masza, wskazując z wyrzutem na nieprawdopodobny ikonostas.

– Nie – uśmiechnęła się do niej nie-Katia. – Ponieważ tam nie było mojego portretu!

– Satanistyczna Madonna? – zasugerowała pewnie Kowalowa, a po wyrazie jej twarzy poznała, że trafiła w dziesiątkę.

– On ją znalazł. Znalazł moją świątynię! I próbował mnie powstrzymać... Ale nigdy nie doceniał ludzi. Bóg wie – mruknęła słodko Katia – jak ja kocham ludzi! Nawet was... Tylko ze względu na takich jak wy pracowałam w tym nieszczęsnym Centrum Czarów... Jakaż to radość patrzeć, jak dla małego zysku, małej miłości, okazjonalnej żądzy, natychmiast odrzucacie całą tę chrześcijańską otoczkę i staje się tacy,

jakimi stworzyła was Matka. On nigdy, nigdy was nie zmieni! Nieważne, ile kłamstw wam powie... – przemówiła wyzywająco do okrągłego sufitu.

– Czy mówisz o Mirze? – spytała cicho Masza. – Ty dałaś mu klucze do cerkwi? Jeden z naszych kluczy...

– Chciał zdobyć skarb – wyjaśniła z zadowoleniem kobieta. – I dostałby go w zamian za to, czego chciałam ja. Dwie ślepe...

– Kłamiesz! Okłamałaś go!

– Naprawdę? – Jej uśmiech był złośliwy. – Czy nie dostałyście wszystkiego, po co do mnie przyszłyście? I ty, i ty, i ona... – Nie-Katia lekko stuknęła palcem w klatkę piersiową Katii. – Czy nie pozbyła się konkurencji? A czy mężczyzna, którego kochałaś, nie pokochał ciebie? I czy to nie ty rzuciłaś urok na swojego przyjaciela, a wraz z nim na chłopaka „tej suki”? I czyż „nie poszło jej w pięty”?! – Kyłyna zaśmiała się ustami Katii w twarz niepewnej Daszy. – Macie wszystko, o czym marzyłyście! – podsumowała bezsprzecznie. – I uczciwie zapłaciłyście swoje rachunki. On też zapłacił. I jego kolesie, którzy wbrew jego rozkazom postanowili dokończyć rytuał i mnie zabić, również za to zapłacą! Ale nim to nastąpi, dostaną, za co zapłacili!



– To wszystko. Najgorsze już za nami – odezwał się pierwszy Oleg.

W jego słowach wybrzmiała ulga. Koka zdał sobie sprawę, że chodzi mu nie tyle o „najstraszniejszy” fragment podziemia, który mieli już za plecami, ile o śmierci, straszne i duszne. I o tę ostatnią, najstraszniejszą!

– Była ładna, prawda? – ciągnął skruszony Oleg.

– Tak, ładna – wycedził przez zęby Koka. – Szkoda... że nie było czasu, żeby ją przelecieć – wydyszał z prawdziwym żalem. – Taka babka

przepadła...

– Tej pierwszej ci nie szkoda?

– Tak, ale tamta była głupia – odparł. – Krzyczała i groziła, że jej ojciec nas znajdzie. Pamiętasz? Idiotka!

– A ty wierzysz? Wierzysz, że teraz... – Pasiasty wykrzywił niezadowolone usta. – Wierzysz w ten skarb, prawda? – wycodził.

– Nie wiem. A ty?

– Ja też nie wiem – mruknął z frustracją Oleg.

– Ale Mir wierzył – rzekł Koka. – Naprawdę wierzył. Co mu nagle odbiło... Przecież ściana już pękła!

– Tak właśnie powiedział.

– Przekonajmy się sami! Zobacz!

Przed nimi rozciągała się czarna paszcza. Mir nazwał to kaplicą – głupie słowo... Dwie wiązki z „gwiazd” na kaskach przecięły się jednocześnie i nurkując w głąb wraz z właścicielami ochronnych nakryć głowy, prześlizgnęły się po szarej betonowej powierzchni – ścianie poszarpanej głębokimi ranami pęknięć.

– Co to?! – Koka rzucił się na ścianę i głaskał ją namiętymi, niesamowitymi, pełnymi uniesienia ruchami, jak kobietę. – To beton, na pewno beton! Co on...?

Ściana słodko kruszyła się pod jego dłonią, wpuszczając go w swoje bruzdy. Beton osypywał się powoli, niczym zbutwiały muszlowiec, gdy tylko wywierał na niego nacisk. A kobieca giętkość niedostępnego muru przyniosła mu nagle głębokie i ostre erotyczne szczęście.

Pasiasty ostrożnie, z niedowierzaniem przejechał dłonią po ścianie – o dziwo, nie była ani grobowo zimna, ani wilgotna – była gorąca, jak rozgrzany do czerwoności wiejski piec.

– A ty nie wierzyłeś! – wycedził osłupiały Oleg. Chociaż to nie on powinien był to powiedzieć, tylko ktoś jemu.

– Boże, jaka ty jesteś gorąca! – Koka z entuzjazmem chuchał na opuszki palców, które zbyt głęboko weszły w pomarszczone fałdy.

Jego palce były czerwone. Nie, były poplamione czymś czerwonym...

– Jaki „Boże”? – rzucił sarkastycznie Oleg. – Mir by cię...

– Do diabła, jakie gorące!

Ręce Koki zagłębiły się w ścianę po łokcie. Zaczął wybierać kruszący się beton, tańcząc i głośno dmuchając na dłonie. Oleg mu wtórował, mimowolnie krzycząc z bólu.

– No, chodź już do nas. On tam jest! – krzyknął, pobudzając do działania Kokę i siebie.

Dopiero gdy prawie godzinę później płaski brzuch betonu zapadł się do środka w głęboki, nierówny dół, ogarnęło go nerwowe otrzeźwienie.

Nie było tu żadnego zapachu skarbu! Pachniało inaczej.

Krwią...

Wpatrywał się w swoje czerwonobrazowe dłonie zakłopotanym, nierozumiejącym wzrokiem. Czuł niekontrolowane, gniewne rozczarowanie.

Kopali przez godzinę, jak dwóch kopaczy! I co z tego? Co to za zapach, naprawdę...

„Gwiazda” na czole Olega nagle zaszumiała i zgasła.

– No co ty? Myślisz, że to nic? Na pewno tam jest, to tam! – jęknął Koka. – Ściana jest popękana!

– Zaraz ja pęknę! Nie, poczekaj, poświeć tutaj, trochę na prawo... – Oleg podskoczył. – Tutaj, o tu...

Pozbawiony światła chłopak natychmiast upadł na kolana, aby podnieść z ziemi jakiś drobny przedmiot.

– Co? Co to jest? – mruknął podekscytowany Koka.

Światło kasku omiotło Olega i wylądowało po prawej stronie.

Przez kilka sekund obaj wpatrywali się w ciemny krążek metalu leżący spokojnie w jego dłoni, pod ukośnym promieniem latarni – prastarą monetę ze startym wzorem.

– Czy to jest ten skarb? – spytał załamany Koka.

Oleg zacisnął mocno pięść i powąchał palce.

– Słuchaj, myślę, że powinniśmy się stąd wynosić... – rzekł.



Dasza i Masza w milczeniu wpatrywały się w dwukrotnie zmartwychwstałą, zdruzgotaną jej morderczym życiorysem, który miał w sobie dziwną, bezwzględną i niehumanitarną szczerą: morderca zapłacił życiem za zabójstwo. Katia – za swe pragnienie niepodzielnej władzy – utratą władzy nawet nad sobą. Dasza za szaleństwo, które prawie zrujnowało innych, zapłaciła szaleństwem innych, które prawie zrujnowało ją samą. Masza – za stworzoną miłość – miłością odwzajemnioną, równie fałszywą, co fatalną...

– Ten, w którym się szczerze zakochałaś, zapłacił cenę za swoje szaleństwo. Ta cerkiew jest przeklęta! To jest jej klątwa!

Podbródek nie-Katii drgnął, a Masza znów spojrzała w czarne, płaskie oczy demona-Madonny.

Demon, do którego modlono się i wstawiano za nim, a w cerkwi palono dla niego świece.

– Ale jak mogłaś? Sto lat temu? – Masza skrzywiła się z bólu. Znała odpowiedź. A ta, która nie była już Katią, wiedziała, że ona wie.

– Tak jak ty. Przyszłam do niego! A on wziął mnie za nią. I przyjął ode mnie ziemię.

– Stałaś się jego demonem! Ty, a nie Kijewicki! – krzyknęła nieszczęśliwa Kowalowa.

– Ale czy powinna mnie upominać ta, która stała się diabłem dla mojego Mira? – Katia rozpląnęła się w przerażająco przyjaznym uśmiechu. – Czym ty się ode mnie różnisz? Czyż przypadkiem obaj na to nie zasłużyli? Otworzyli przed nim drzwi! I zapłacił za to cenę...

– Czym? Czym? – Masza przestraszyła się o Miszę Wrubla.

– Więc Jan jest normalny? On nie ma z tym nic wspólnego? – Dasza usłyszała tylko jedno. – Jan nie jest diabłem?!

– Nie ma żadnego diabła! Nie ma zła i dobra! Istnieje tylko ziemia i niebo, które zawsze będą ze sobą walczyć!

Dopiero teraz Masza zauważyła, jak gorąco było w małej cerkwi. Tak gorąco, że czuła, jak jej zdenerwowana i nieszczęśliwa skóra styka się z porowatym materiałem pasiastej koszuli ojca...

Kyłyna nie-Katia nagle straciła swój pogodny spokój i sapnęła fanatycznie, dławiąc się ogromnym szczęściem:

– Ilu przede mną próbowało rozwiązać tę zagadkę! I moja babka, i prababka, i praprababka... „Straszny obrzęd lub obrzęd, którego nie można wykonać”! Ślepą i ślepcę z łatwością można zabić. Ale Kijowicę, to znaczyło zabić siebie. Sprytne, prawda? Jak, skoro żadna z nas nie może nawet wejść do tej cerkwi?! I jaki jest sens, jeśli będąc martwą, nie można korzystać ze zdobytej mocy? Okazuje się jednak, że nie ma rzeczy niemożliwych! I nie ma śmierci! – Jej oczy błyszczały namiętnością. – Tak brzmi odpowiedź. Uroboros! Mój koniec jest moim początkiem! Prawdziwa дума tkwi w pokorze. Bo w przyrodzie nic nie ginie, tylko przepływa jedno w drugie... A dziś, w noc Iwana Kupały, Ognisty Żmij znów powstanie

z ziemi. I to miasto znów będzie należało do niego, tak jak tysiące lat temu! Odzyska ziemię, którą zabrał mu mój przeklęty pradziadek! Będzie nią rządził, on i ja, jego oblubienica!

– Nie rozumiem, kto powstanie? – Dasza nerwowo nachyliła się do ucha Maszy.

– Nikt! – Masza była niewypowiedzianie zachwycona, gdy odkryła oczywistą logiczną niespójność w żalonym monologu Katii. – Nic się nie stanie! – zawołała triumfalnie. – Nie ma trzeciej ofiary! Nie tutaj! Wskrzesiłyśmy ją!

– Ach, jakie my jesteśmy dziecinne – huknęła ze złością była Katerina. – Nadal wierzymy w Świętego Mikołaja i Dziadka Mroza? Dlaczego chłopci składali ofiary wodnikowi? – Wyciągnęła szyję i spojrzała na Wstrząsającą.

– Żeby dał im ryby – Czub z automatu wyrecytowała prawo Kupały.

– I on im je dawał, prawda? – Kobieta zmrużyła oczy. – Bo ryby przyływały jeść padlinę! W przyrodzie nie ma cudów, i wszystko jest cudem, a wszystkie jej cuda są bezwzględne i genialne w swym okrucieństwie! Każde życie karmi się poprzednią śmiercią! Ale tu nie chodzi o śmierć, tylko o ciało i krew... On idzie do krwi. Po prostu straciwszy tyle krwi, nikt nie pozostałby przy życiu. Nawet Kijowica. I nie będzie nikogo, kto by ją wskrzesił, bo nie można tego zrobić samemu.

– Można, jeśli są trzy Kijowice – protestowała uparcie Masza.

– To niczego nie zmieni! – Katia-Kyłyna nagle się rozzłościła, jakby w tej niewinnej cyfrze kryło się jakieś straszne zło. – Nic! Słyszycie, budzi się!!!

– Kto? – zaniepokoiła się Dasza i rzeczywiście usłyszała niewytłumaczalny, wibrujący szum krwi, podobny temu w muszli morskiej,

zwykle mylony z odgłosem przyboju. Tylko że teraz tą muszłą przystawioną do ucha było mroczne wnętrze średniowiecznej cerkwi.

Cerkiew dudniła.

– Co to jest?

– Wkrótce sama się przekonasz! – wyjaśniła nie-Katia. – Nie trzeba długo czekać. On idzie! Nikt mnie teraz nie powstrzyma!

– Kto idzie? – Dasza z niepokojem patrzyła na drugą Matkę Bożą, w półkolu absydy nad ikonostasem, bezlitośnie „zdekapitowaną” Matkę Bożą z odciętą dłonią lewej ręki. I na „odcięte” stopy nieznanego jej świętego obok...

Pomyślała z narastającą nieprzyjemną tęsknotą, że to było złe! Cerkiew powinna być cerkwią – cała!

Niecerkiew zadrżała.

– A właśnie że powstrzyma! – Masza, trzęsąc się ze strachu, popędziła z ochryłym krzykiem buntu do wzorzystych metalowych stopni przy wejściu, tam, gdzie leżał upuszczony przez nią zbawczy ładunek.

– Co się dzieje?! – krzyknęła Dasza.

Ściany cerkwi zaczęły się trząść.

Nie-Katia zamarła, wpatrując się w Maszę, nie mrugając, jakby rozwiązywała w myślach jakiś skomplikowany problem matematyczny.

– Miecz, pani, ona ma miecz! – Diabelska „ławka”, piszcząc, poderwała się z czworaków i pognała po cerkwi, jakby oblana wrzątkiem.

– Miecz... – powtórzyła za nim Katia, nie odrywając ciemnego, przenikliwego spojrzenia od Kowalowej, zastygłej na stopniach między płonącymi, zgrzytającymi głowami grzeszników a namalowanym na ścianie po prawej stronie brązowym, błonoskrzydłym, kościstym diabłem, wyciągającym szponiastą łapę w kierunku grożącego mu palca sprawiedliwego.

– Miecz Dobryni... Zabił nim żmija!

– Kim jest ten żmij? – krzyknęła z irytacją Czub, czując, że głuźnie od gęstniejącego huk.

– Żmij to żmij!

– Czyli?!

– Dosłownie!

– Smok z trzema głowami?

To nie cerkiew drżała.

Archanioł Michał płakał z pasją, a kawałki farby spływały z jego twarzy. Dasza zawyła.

– Z pięcioma! Zaufaj mi! Oto kogo tu zamurowali! Zalali beton! Postawili cerkiew!

Nie wiedząc, dlaczego to robi – jedynie z czystej potrzeby zrobienia czegoś – Masza wyjęła broń z pochwy. Trzymała oburącz rękojeść, szarpnęła miecz w górę, świadoma, że nie zdoła go utrzymać, a on zaraz spadnie czubkiem na podłogę.

– Czy smok wyjdzie spod ziemi? – Dasza wpadła w panikę. – Teraz?

– Słyszysz ich, ojcze?! – zawołała nie-Katia w przypiływie nagłej radości, rozwiązawszy swoją zagadkę. – I z pewnością płaczesz, widząc, że twoje obrończynie są żalonymi ślepcami! Nie dlatego, że są trzy! Tylko jedna z nich była godna zostać Kijowicą. I tak się stało, prawda? Ona stała się mną!!! On idzie do mnie! Jego moc jest ogromna!

Robiło się coraz głośniejsze. Huk wypełniał uszy.

Masza zmarszczyła czoło i podeszła do Katii, cudem utrzymując w rękach balansujące ostrze.

– Czy chcesz mnie zabić? I ją?! – W głosie Katii, co było do niej niepodobne, zabrzmiała nutka szacunku, całkowicie pozbawiona strachu. – Ale – zakipiała sarkastycznie, odrzucając możliwość jakiegokolwiek

zagrożenia – to i tak niemożliwe! Tak, tak, to diabelnie śmieszne! – zaśmiała się ta, która nie była Kateriną. – Ja nie mogę cię zabić, a ty nie możesz zabić mnie! Bo wszystkie jesteśmy Kijowicami! I nikt nie ma władzy, by odebrać nam życie wbrew naszej woli. Nikt, oprócz...

– Demona.

Miecz Maszy z brzęczącą rozpaczą spadł na kamienną posadzkę.

Podłoga pod jej stopami dudniła z oburzeniem. Czuła, że posadzka przestaje być bezdusznym kamieniem – coś pod nią, nakarmione ludzką krwią, już żyło, pulsowało i krzepło. I robiło mu się tam ciasno.

– Uciekajmy! – wrzasnęła Czub.

Płyta pod nią zaczęła się chwiać jak bolący ząb. Niecerkiew zapłakała czterema ścianami. Nie-Katia z satysfakcją roześmiała się na całe gardło.

I wtedy Masza zobaczyła, jak jej usta otwarły się szeroko niczym mroczna jama, oczy wywróciły się. Z ust wydobywało się straszliwe sapanie, bo Dasza Czub, która stała za nią, nagle i zupełnie nieoczekiwanie zarzuciła jej na szyję złotą pętlę własnego łańcuszka w kształcie węża i ze złością zatrzęsnęła zamek...

Maszy wydawało się, że Katia rozpadła się na dwie Katie: jedną cielesną i zwartą, która natychmiast skuliła się jak rzucone na podłogę, wymęczone ubranie i drugą – rozmytą i roztrzęsioną, wrzeszczącą:

– Już za późno! Słońce zaszło! On już tu jest!

Ale nic więcej nie zrozumiała.

– Aaaaaa!!! – zawyła Wstrząsająca, gdy ziemia pod nią zatrzęsała się i popękała w długie, rosnące szczeliny.

Z sufitu posypał się suchym tynkiem Jezus Chrystus otoczony skrzydlatymi aniołami. Masza cofnęła się w samą porę; w tej samej sekundzie w miejscu, w którym stała, spadł kawałek muru z częścią fresku i płaskie bizantyjskie oko wpatrywało się w nią bladą, nieruchomą źrenicą.

„Archanioł Gabriel. Miszy” – pomyślała i pobiegła. Dasza już ciągnęła Katię, pozbawioną zmysłów i jakby znów stającą się Katią, w stronę wyjścia – nogi się jej trzęsły, a ona sama gwałtownie kręciła głową. Masza zatrzymała się, próbując odnaleźć wzrokiem swój plecak, i mimowolnie spojrzała ostatni raz w ogromne oczy Madonny-demonia, aby dostrzec w nich smutek.

„To nie twoja wina, Emilio! Nie możesz tu być...”

Okienna szyba pękła w drobny mak kalecząc boleśnie policzek Maszy.

„Do diabła z plecakiem!”

Przeklęty diabeł piszczał jak przeklęty, skacząc po przeklętej cerkwi.

– Masza!

„Misza...”

– Maszo, uciekaj!!!

Diabeł z fresku przy drzwiach pękł, upuścił pazurzastą łapę, która spadając na podłogę, jednak dosięgła już upadłej ręki sprawiedliwego...

Zdenerwowana Masza rzuciła się do bizantyjskiego ikonostasu, próbując ratować Madonnę Miszy.

Dasza krzyczała.

Ale chwilę później zamilkła – nie dało się już krzyczeć z powodu gęstych, wchodzących w usta, mdlących kłębow zaduchu, które z prędkością bomby gazowej wydobywały się z poszerzających się szczelin w podłodze.

„Miszo, przepraszam... Nie dałam rady... Przepraszam...”

Kowalowa płakała żałośnie i biegła do drzwi, wlokąc po posadzce swój miecz, którego nie dało się podnieść, i krzywiąc się, żeby tylko nie oddychać. Drzwi wzywały ją rozpaczliwie swymi rozchyłonymi skrzydłami i głosem Daszy. Już stojąc w nich, Masza widziała, jak średniowieczny

anioł Apokalipsy zwija blade, bezgwiazdne niebo w rulon... I upada na ziemię razem ze ścianą.

Rozdział dwudziesty szósty

w którym wszystko się pali i wali

Nalewam kawę do filiżanki z miśnieńskiej porcelany i słucham bicia dzwonów cerkwi
św. Andrzeja.

~ Andriej Kurkow, *Ostatnia miłość prezydenta*

Masza wybiegła na zewnątrz, łapczywie łapiąc powietrze, i pognała przez kwietnik na trawnik przy płocie.

– Maszo, szybciej! Co tam robisz? – Z okien i drzwi za nimi wypęłał czarny, waciany dym.

– Co mi jest? – bełkotała Katia. – Gdzie jesteśmy? Co to? Pożar?

– Skąd wiedziałaś o łańcuszku? – spytała z jakiegoś powodu Masza, chociaż odpowiedź na to pytanie nie interesowała jej aż tak bardzo.

– Pomyślałam, że skoro weszła, kiedy go nie miała, to jeśli zrobić na odwrót i go jej założyć... O, mamusiu!

Dasza dziko przewróciła oczami.

Płyty betonowe przy wejściu do cerkwi zaczęły podskakiwać w powietrzu jak latające ryby. Jedna z nich zrobiła salto w powietrzu i rozpadła się na trzy części. Druga leciała w ich stronę... Spod ich stóp wydobywała się biała para.

– To koniec. Z nimi już koniec – wydyszała Dasza.

– Z kim?

– Z satanistami. Są w jaskiniach.

– Przecież trzeba...

– Za późno.

– Wezwać straż pożarną! – krzyknęła Katia. – Straż pożarną! Co to jest?!

– Ognisty Żmij... – wysyczała Masza z drżącą szczęką.

– Czy to prawda z tym dinozaurem? – spytała Czub, wpatrując się w cerkiew, której białe ściany były ledwie widoczne w kłębach czarnego dymu. – Chcesz mi powiedzieć, że zaraz wypełźnie stamtąd ziejący ogniem smo-o-o-k-k-k-k?

Jej zęby szczękały.

Masza instynktownie cofnęła się i osłupiała, a za nią osłupiała Katia.

W miejsce dymu pojawił się czerwony ogień, który przytulił się gorąco do białej cerkwi i zapalając korony sąsiednich drzew, w ciągu sekundy dotarł do pięciu zielonych kopuł, by polecieć w niebo długimi, ostrymi, szybkimi strzałami płomieni. W drzwiach pojawiła się utkana z ognia postać kobiety i powoli ruszyła w ich stronę.

– Co tak stoicie, dlaczego nie próbujecie jej zabić? – roześmiała się Kyłyna.

– Zabić ogień? – zaszlochała Masza. – Jak? – Plecami oparła się o kamienną ścianę.

W ich kierunku szła kobieta o twarzy ognistego Wrublowskiego demona. Jej stopy podpalały trawę...

– Do wyjścia! Damy radę! – Czub mocno szturchnęła Katię w plecy. Chwyła Maszę za rękaw i pociągnęła ją za sobą, ta zaś uparcie wlokła miecz Dobryni, który był zupełnie niepotrzebny.

Kyłyna roześmiała się.

Niepohamowanie.

Bez końca.

I jakby pod wpływem jej śmiechu ogień z nową siłą buchnął w niebo i rozpalił je.

Niebo zniknęło.

Ogromny namiot płomieni rozciągał się nad nimi jak płasające, trzepoczące żagle. Znajdowały się w samym środku fali nieznośnego żaru, ale pot, który w jednej chwili oblał ich ciała, był lepki od strachu.

– Jest miotła... Zostaw już to żelastwo!

– Nie!

Kyłyna odwróciła się od nich, otwierając szeroko swoje płonące ramiona w stronę ognia.

– Wejdź we mnie, mój mężu! – jęknęła głośno. – Stań się mną, a ja stanę się tobą! Moc nie potrzebuje ciała, tak jak burza go nie potrzebuje! Ogień! Trzęsienie ziemi... Ziemia, która została ci odebrana, dziś znów będzie twoja!

I ogień ją usłyszał.

Zadrzał i popędził w jej kierunku, pochłaniając ją – smukła postać połączyła się z gigantycznymi płomieniami, które wznosiły się w niekończącym się słupie, obojętnie pozostawiając za sobą zwęglony, poczerniały kościół i spalone drzewa. Przerażeni ludzie wybiegli z budynków szpitalnych. Góra Cyryła krzyczała jednym, ogłuszającym strachem...

Cała trójka zamarła za płotem – Masza z niekończącym się pytaniem w środku, Katia budząca się z niebytu w czarno-czerwonym piekle i Dasza, która już trzymała w ręku swoją cenną i sprawdzoną miotłę – nie mogąc

oderwać wzroku od płonącego nieba, hipnotyzująco strasznego, przerażającego i pięknego.

Na ich oczach bezkształtne i pozornie niekończące się, złoto -czarne wirujące płomienie zyskały krawędzie i kształty. Dwa tytaniczne skrzydła. Długi lśniący ogon. I pięć gigantycznych smoczych głów...

Ognisty smok zatrzepotał ogromnymi skrzydłami i poleciał na południowy wschód.

– Boże! Zapomniałam dezodorantu! – zawyła Czub.

Katia i Masza wpatrywały się w nią jak dwa baranki, próbując uwierzyć w prawdziwość tej nielogicznej uwagi i jeszcze bardziej nielogicznej rozpacz w okrągłych oczach Daszy.

– Z goryczuszką! – huknęła Dasza, patrząc na ich rozciągnięte twarze. – To koniec! Nie wzbijemy się! On odleci!

– Głupia! – przeklęła bezpardonowo Kowalowa. – Mydło jest z tych samych ziół. Przecież się nim umyłaś...

– Umyłam! Hurra! – Dasza zawyła jak syrena. – Wszyscy na miotłę! Katia na tylne siodło! Masza na ramę przede mną! Zgubimy go!

– Nie zgubimy – rzekła z udręką Masza. – Wiem, dokąd poleciał. Na Górę Starokijowską.



Leciały w smudze gorącego powietrza, które nawet na wysokości dwustu metrów było tak ciepłe, jak w kominach gigantycznego pieca. A Kijów pod nimi, urozmaicony niezliczonymi wzgórzami, wydawał się nieskończenie długim podziemnym korytarzem wyrytym przez żmija – jak kretowisko zachowane w krajobrazie wiecznego miasta od czasów Kija.

– Do diabła... Do diabła... Do diabła... – mruknęła bezsensownie siedząca z tyłu Katia. A jej słowa unoszone wiatrem wydawały się odległe jak fragmenty zapomnianego snu.

– Diabeł tu nic nie pomoże! – odparła Czub, nie odwracając głowy. – Jest i on!

Krajobraz przed nimi był przerażający.

Nie było już Góry Starokijowskiej. Góra stanęła w płomieniach. Zamieniła się w ogromny słup ognia, który pochłonął budynek Muzeum Historii Ukrainy z szarego kamienia, trzystupięćdziesięcioletnią lipę zasadzoną przez Piotra Mohyłę oraz fundamenty pierwszej cerkwi prawosławnej, zbudowanej przez Księcia Chrzciciela. Wyły syreny tłoczących się na placu wozów strażackich, które zjechały się tam spłoszonym tabunem z remizy przy skrzyżowaniu ulic Włodzimierskiej i Wielkiej Żytomierskiej. Płonęły oszalałe okna domów numer 34 i 30... Ludzie wyrzucali przez nie swój dobytek. Biegli wzdłuż Zjazdu św. Andrzeja. Tłoczyli się wokół czerwonych samochodów, próbując pomóc i jednocześnie przeszkadzając zrozpaczonemu strażakom.

Dasza zdecydowanie zanurkowała, obierając za cel kopułę cerkwi św. Andrzeja, odzianą w szmaragdowo-złotą koronę. Przerazona Masza natychmiast wcisnęła się tyłkiem we wnękę pod królewską kopułą i gorączkowo chwyciła złote skrzydło tynku. Psychicznie już spadała i traciła przytomność od gwizdzącego strachu. Kopuła była pochyła, a takie lądowanie można było sensownie wytłumaczyć tylko chęcią skończenia ze sobą, od razu i bez dalszych męczarni.

– Dlaczego tu wylądowałaś? – Katia wyraziła swoje myśli, siadając obok.

– Zastanów się! – Czub usadowiła się cicho po lewej stronie Maszy, kładąc miotłę na sześciu kolanach.

– Nie wiem.

Sądząc po jej głosie, Katia była nadal oszołomiona i oszalała. Ten stan udzielił się Maszy, gdy tylko się tu znalazła. Podparta z dwóch stron zacisnęła mocno oczy, wczepiwszy się w trzonek miotły jak w poręcz balkonu. Zrobiło jej się trochę lepiej. Ale tylko trochę.

– Bo to jest cerkiew! Normalna, a nie przekłeta. Jesteśmy tu bezpieczne!

Masza tak nie uważała.

A Katia po prostu nie wiedziała, co myśleć.

– Dlaczego nic nie robimy? Będziemy tu tak beczynie siedzieć?! – krzyknęła poirytowana Czub, która jako jedyna zachowała entuzjizm i trzeźwe spojrzenie na to, co się dzieje. – I dlaczego on na nas dmucha? – skomlała z powodu gorzkiego upadku „ich” sprywatyzowanej góry.

– W samym sercu – szepnęła Masza w pustkę – na Górze Starokijowskiej stał pierwszy zamek trzech braci i książęcy zamek Włodzimierza. Ucztowali tu kiedyś trzej bohaterowie. I my trzy... To jest serce ziemi, którą wywalczyliśmy od Ognistego Żmija.

– To jest nasza góra! – zezłościła się Wstrząsająca.

– Zobaczcie, jakie to dziwne... – rzekła Katia.

Masza jeszcze mocniej zacisnęła powieki. Dasza otworzyła szeroko oczy. Białe pasma piany wylatujące z kilkunastu węży strażackich nagle zmieniły kolor na pomarańczowy, a sekundę później Czub zrozumiała: woda się pali, jakby ktoś wcześniej dolał do niej benzyny.

„A może właśnie dolał?” – pojawiła się myśl.

Ale natychmiast odrzuciła tę zbyt realistyczną wersję jako zbyt nierealistyczną.

– Ech... – jęknęła, zaciskając pięści. – To my powinniśmy były go powstrzymać i zapobiec temu wszystkiemu! A teraz...

– Ale jak można mieczem zabić ogień? – Kowalowa usprawiedliwiała się żałościwie, nie otwierając oczu.

– Co twój miecz ma wspólnego z czymkolwiek! – zezłościła się Dasza. – Skąd go wzięłaś? Gdybyś wskrzesiła bohatera, tak jak cię o to prosiłam...

– Co, co? Kogo? – spytała zszokowana Katia.

– Wskrzesiłam! – Masza z powodu oburzenia lekko rozchyliła powieki i spojrzała na równie oburzony, okrągły policzek Daszy, starannie odcinając wszystko inne krawędzią oka. – To jego miecz! I nie jest to zwykły miecz! Ten był kiedyś krzyżem, który Andrzej tu przyniósł!

– Andrzej Apostoł? – Dobrzańska starała się ją wesprzeć, więc chwyciła się pierwszej dostępnej frazy.

– Widziałaś Dobrynię we śnie. – Masza odwróciła się do Katii i zatrzymała wzrok na jej bezpiecznym podbródku. – On cię pytał...

– Czy to jest to.

– Pytał o broń!

– A co z nią? Tą, z którą mnie zdradził?

– Chodziło o wiarę!

– I co, złe moce boją się krzyża? Jak w amerykańskim thrillerze klasy B?! – wściekła się Dasza Czub na ich demagogiczną retorykę. – No to pomachaj do niego, może zgaśnie! Ogień nie dba o twój krzyż i miecz! To jest ogień!

Pożar powoli trawił opuszczony dom numer 38 na terenie dawnej posiadłości Murawjowa. Nie spieszył się, delektując się każdym skrawkiem swojej ziemi, jej zapomnianym i cennym smakiem. Przeżuwszy pustostan numer 36, lizał słodko zaokrąglony bruk chodnika i całował czerwoną ścianę wysokiego, mieszkalnego teremu...

– Ale jakoś udało im się pokonać żmija – powiedziała Masza z żalem. – Jeśli udało się to w pierwszym wieku i w dziesiątym, to czemu miałyby się nie udać teraz?

– Nic nie rozumiem! Co ma do tego żmij? – Katia całkowicie się pogubiła.

– Ognisty Żmij jest metaforą! – wyjaśniła Kowalowa.

– Tak, metaforą! – przytaknęła sarkastycznie Czub.

Ta metafora podpała już lewą stronę domu numer 34 i głęboki jar, który kiedyś był ogrodem opiewanym przez Tiutczewa. Płonęły pracownie artystyczne i galerie, płonęła panorama miasta za nimi, płonęły czarne kamienie Zjazdu św. Andrzeja, które – zdawać by się mogło – w żaden sposób nie mogły płonąć.

Ale świątynia św. Andrzeja na Świętej Górze wciąż stała jako bastion nie do zdobycia, nieśmiało spoglądając z góry na ogień...

– Żmij to ogień, burza, trzęsienie ziemi. Siła natury. Jej magia! – przemówiła Masza do podbródka Katii. I nagle, jakby upewniwszy się, że odzyskała dar sensownej mowy, wybuchła dźwięcznym, jąkanym monologiem: – Legendę o Kiju, który pokonał żmija, trzeba interpretować inaczej! On pokonał władzę tej ziemi, budując na niej miasto! Ale Kij nie zabił żmija, tylko go sobie podporządkował, zaorał na nim ziemię. To znaczy, że pozostał poganinem! I dopiero tysiąc lat później, gdy spełniło się proroctwo apostoła i w Kijowie zapanowało chrześcijaństwo, żmij został ostatecznie pokonany. Przecież nie bez przyczyny Poczaj, rzeka, nad którą Dobrynja walczył ze żmijem, to ta sama Pochajna, w której Włodzimierz ochrzcił pierwszych chrześcijan!

– I co mamy teraz zrobić? Polewać ogień wodą święconą?! – parsknęła gniewnie Czub. – Całe szczęście, że mamy obok cerkiew św. Andrzeja.

A dokładniej: pod nami. Tylko że my nawet nie możemy wejść do cerkwi. Siedzimy jak głupie na dzwonnicy!

– Dlaczego nie możemy? – zdziwiła się Katia.

– Dzwonnica! – ryknęła Masza. – To jedyna cerkiew bez dzwonnicy!

– Jak to bez dzwonnicy? – Dasza rozchyliła kolana i spojrzała z zakłopotaniem na kopułę pod tyłkiem. – Pamiętam dokładnie, jak dzwonieli... W filmie *Za dwoma zającami*, podczas ślubu.

– Poza kadrem! A tak naprawdę dzwonnica nie istnieje!

– Dlaczego?

– Dlaczego jej wtedy nie zapytałam?!

Masza nagle bez lęku otworzyła oczy, wpatrując się w ścianę ognia, która pochłonęła przeciwną stronę Zjazdu, bo rozpacz, niezrozumiała i abstrakcyjna, natychmiast wyparła strach. W niewytłumaczalny sposób wydawało jej się, że w tym niezadanym pytaniu kryje się niezwykle prosta odpowiedź na łamiącą głowę i pochłaniającą wszystko zagadkę.

– Kogo nie zapytałaś? – spytała Katia.

– Wasylisę! Andriejewnę! Ona...

– To zadzwoń i zapytaj! Masz numer? – Dasza zerknęła z niechęcią na głuchą komórkę Aleksa i zaszcebiotała: – Jest zasięg!

Bez wahania podsunęła komórkę przyjaciółce.

– Do Wasi? W nocy? I jak mam jej to wytłumaczyć? – odmówiła.

– Powiedz, jak jest! Kijów zdechł! – wyjaśniła wprost Dasza. – Czy nie widzisz, co się dzieje?!

– Nie dam rady wybrać numeru!

– Co ja z tobą mam! Dyktuj!

Dasza z determinacją wybrała siedem cyfr, a po chwili oczekiwania wydała z siebie najsłodszy głos:

– Wasyliso Andriejewna? Nie obudziłam pani? To ja, Masza Kowalowa! – skłamała nieładnie. – Tak, telefon zniekształca. Proszę mi powiedzieć, dlaczego w cerkwi św. Andrzeja nie ma dzwonów? Co, co? Aaa, jestem w talk show! W nocnym programie... Co? Od uderzenia krzyża? Czy naprawdę? Naprawdę?! Bardzo dziękuję! Wygląda na to, że dzięki pani wygrałam! Jesteśmy uratowani! – Czub skończyła rozmowę i z triumfem rozejrzała się po twarzach oczekujących. – W cerkwi św. Andrzeja nie ma dzwonów, ponieważ pod jej ołtarzem płynie źródło! Mówi się, że wytrysnęło w momencie, gdy Andrzej wbił swój krzyż w ziemię. A zgodnie z legendą przy pierwszym uderzeniu w dzwon woda obudzi się i zaleje nie tylko Kijów, ale i cały lewy brzeg... No co? Nie rozumiecie? – zapytała triumfalnie Dasza. – Woda pod ołtarzem jest wodą święconą!

– Ale tu nie ma dzwonów! – załkała Masza.

– Ale mamy krzyż!

– I gdzie go wetkniemy? Na górze jest teraz cerkiew!

– Nic nie szkodzi. – Głos Kateriny Dobrażańskiej, znajomy i królewski, zbił wszelkie wcześniejsze wątpliwości. – We śnie krzyż nie znajdował się dokładnie tutaj – uderzyła pięścią w kopułę – ale tam, trochę z boku. Na tym zboczcu.

– Na miotłę! – zarządziła Wstrząsająca.



– Na trzy – rozkazała podekscytowana Dasza Czub. – Raz! Dwa!
Chwyciwszy rękojeść trzema dłońmi, na „trzy” wbiły miecz w ziemię.
I... nic się nie stało.

Stały na grani Góry św. Andrzeja, ciemnej, spalonej z prawej strony falą pożaru, z wykrzywionymi twarzami, bojąc się powiedzieć to głośno.

I nawet później Masza nie rozumiała, skąd wzięła się ta cała woda. Nagle coś pociągnęło ją w dół. Masza widziała wyciągniętą rękę Katii, ale była nieodwracalnie daleko od niej, najpierw wleczona po ziemi, potem niesiona nad nią. Dopiero gdy się zakrztusiła, zrozumiała, że to woda. A potem woda stała się jedyną rzeczą, która ją otaczała.

Pluła wściekle, miotała się, machała rękami i nogami, wynurzała się i znów opadała, czując pod stopami kocie łby Zjazdu św. Andrzeja. Silna i autokratyczna woda niosła tę, która ją uwolniła, jak jakąś przypadkową szczapkę. Obracała nią, przewracała do góry nogami i obijała o czarne latarnie, nie zostawiając ani chwili, by zacisnęła na czymś palce i czegoś się uczepiła. Masza dostrzegła w oknie mijanego domu numer 30 czyjąś współczującą, przestraszoną i oszołomioną twarz. Woda uderzyła Kijowicą o drewniane ogrodzenie zamku Ryszarda, skręciła ostro i wciągnęła ją do środka, zatykając nos, zatykając uszy, wdzierając się do gardła. Opierając się nurtowi ostatkiem sił, Masza pędziła w dół krętym, stromym zejściem przypominającym literę S, wiedząc już, że woda jest jeszcze silniejsza i że kiedy dotrze do końca, nie będzie już czarownicą, lecz topielicą...

Jej dłonie chwyciły jakiś pręt. Masza z całej siły zacisnęła palce. Na kilka sekund cała zamieniła się w palce, chwytające się życia aż do krwi. Bolało, ale to nie miało znaczenia – jej ciało nie rozumiało już bólu, rozumiało tylko, że chce żyć za wszelką cenę, i uparcie wspinało się nogami po ceglany murze, walcząc z wodą niweczającą te wysiłki.

Masza z bólem podciągnęła się wyżej: prawa stopa trafiła na gzyms, lewe kolano na kamienną podporę. Jej ręce delikatnie przesuwały się w górę po rzeźbionych, powyginanych prętach. Chwilę później Masza

wisiała już na poręczy balkonu. Stała się jedną ogłuszającą świadomością: „Ocalona!”.

Powoli przeczołgała się na drugą stronę i opadła na płaską, moką i błogą w dotyku posadzkę. Przestraszona podkuliła nogi, złożyła poranione dłonie pod policzki i z ulgą zapadła w długo oczekiwany spokój nieprzeniknionego, czarnego niebytu...

– Maszo! Krzyk wyrwał ją znikąd. – Maszo! – Dziewczyna opierała się, nie chciała wypływać z sennej toni. – Maszo! Ty żyjesz?! Maszo!

Masza poruszyła się niezadowolona i podrapała się po nosie. Łaskotały ją spadające krople deszczu, a jedna z nich, duża i mokra, trafiła prosto w oko. Z dachu wprost za jej kołnierz spływała drażniąca strużka.

Masza powoli usiadła. Świat zakołysał się przed jej oczami. A wraz z nim kołysały się one dwie, unoszące się w deszczowym powietrzu, Katia i Dasza, usadowione jedna za drugą na dwuosobowej miotle, teraz niezwykle do siebie podobne, niechlujne, brudne, bose, z tymi samymi przestraszonymi, uradowanymi twarzami.

– Złapałaś się balkonu? Zuch dziewczyna! – krzyknęła rozhisteryzowana i zapłakana Dasza Czub. – Mogłaś umrzeć! – oznajmiła z nieuzasadnioną radością. – Tak tobą rzucało!!! Boże...

– Nie zdążyłam cię złapać – przeprosiła przerażona Katia, zsuwając się z miotły. – Co za szczęście! Gdybyś umarła...

– Moja przyjaciółka! Moja dziewczynka! Moja Marusia! – Czub wskoczyła na balkon i zaczęła namiętnie ścisnąć i tulić Maszę w ramionach.

– Przecież prosiłam... – wyszeptała zmęczona.

– Już nie będę! Obiecuję. Maszeńko! Kochanie, co ja bym bez ciebie zrobiła? Jesteś niesamowita... Ta kręta droga cię uratowała. – Dasza wypuściła swoją ulubienicę z ramion i rozejrzała się ze świadomością

godną znawcy po przestrzeni pod nimi. – Widzisz? Od tej strony pierwsze piętro jest prawie jak parter. Łał! I co ty na to?! – rozchmurzyła się jeszcze bardziej. – No cóż, to zabawne. I spróbuj po tym wszystkim nie wierzyć! Maszo, czy ty wiesz, czyj to jest balkon?

– Nie. I nie krzycz tak... – poprosiła z ledwością.

– Przecież to dom twojego Bułhakowa! – krzyknęła na cały głos Dasza. – Tam, popatrz! Widzisz tablicę upamiętniającą?! Jeśli ją dobrze powiesili...

Podpierając się na ramieniu Czub, Masza podniosła się na nogi i spojrzała w dół. Zobaczyła brązowy czubek głowy Michaiła Afanasjewicza, nie miała wątpliwości co do jej prawidłowego położenia. Położywszy automatycznie rękę na piersi, wymacała tam ciężki wielkogłowy klucz do cenionego domu numer 13, który miał dwa i ćwierć piętra z lewej, dwa z prawej, a od podwórza – jedno.

Ale to najwyraźniej była już inna historia...

Masza była zaskoczona tym, jak bardzo nie zaskoczył jej ten „przypadkowy zbieg okoliczności”. Nic więcej jej nie zdziwiło, nawet to, że wielka i przeogromna woda spływała teraz niewinnymi i licznymi strumieniami po czarnym bruku Zjazdu św. Andrzeja. Odwróciwszy głowę, Masza próbowała dostrzec ogień na szczycie Górnego Miasta.

– Nie martw się, wszystko już ugaszone! – Czub odgadła źródło jej niepokoju. – Nagle jak pękło! Od dołu! I deszcz z góry. Ledwie zdążyliśmy z Katią chwycić miotłę, a ona nas wyciągnęła... Zupełnie jak w dowcipie. Żona: „Chyba zapomniałam wyłączyć żelazko”. Mąż: „To nic, ja zapomniałem zakręcić wodę!” – zarżała Dasza. – Ledwo uniknęliśmy własnego zbawienia...

– A lipa się uratowała? Lipa Piotra Mohyły? Miała trzysta pięćdziesiąt lat! Spaliła się?

Co dziwne, Masza nie czuła zwycięstwa. Tylko zmęczenie i pustkę.

– Cóż, naprawdę chcesz wszystkiego naraz! – Czub odrzuciła jej pesymizm. – Wiesz, co jest najzabawniejsze? Kupała to święto ognia i wody! I tak właśnie świętowałyśmy!

– Słyszycie? Skąd dochodzi ten dźwięk? – zasłuchiwała się Katia.

*Na świat przyszły trzy czarownice
Na Piotra i na Iwana...*

Skądś dobiegała cicha pieśń, utkana z wielu głosów.

*Pierwsza czarownica
Prawo łamie,
Druga czarownica
Krowy woła,
Trzecia czarownica
Zator burzy...*

Cała trójka wychyliła się przez ażurową balustradę, wpatrując się intensywnie w dal.

Tam, na porośniętym drzewami szczycie piątej, nieoficjalnej Góry Zamkowej, widać było światła.

– Czy to o nas? – spytała Katia.

– To przecież nasz sabat! – zapaliła się Wstrząsająca. – Ten na naszą cześć. Od razu mówiłam, że to ta góra! Chociaż, nie – ochłonęła nagle. – Nie wydaje mi się, żebym to mówiła.

– Tak – fuknęła ironicznie Katia. – Teraz idziemy tylko na bal, jak królowe!

Katerina Dobrzańska spojrzała oceniająco na swoje przesiąknięte krwią i wyprane przez powódź szorty oraz resztki rozciętej nożem koszulki, przyklejone do klatki piersiowej. Następnie przeniosła swój sarkastyczny

wzrok na Daszę Czub w jej brudnych koronkowych majtkach pełniących rolę spódnicy i z fioletowym siniakiem pozostawionym przez jej pięść na kości policzkowej, pełniącym rolę wakacyjnego rumieńca.

– Ta... Zwycięzców się nie osądza! – Czub wzruszyła nonszalancko ramionami. – A poza tym tradycją na Iwana jest polewanie wszystkich wodą i błotem! Jesteśmy więc dokładnie takie jak trzeba! Prawie w strojach narodowych! Lećmy już...

Ale nie udało im się polecieć.

– Boże, a to co?! – Dasza zarzuciła wstrząśniętą głową, gdy od Zamkowej-Florówki-Chorewicy-Łysej Góry do zbocza góry Uzdychalnica, u podnóża której stał trzynasty, Bułhakowowski dom, przerzucony został wąski i długi most łańcuchowy.

– Skąd to się wzięło? – spytała z drżeniem Dasza, wciąż nie przestając się dziwić, że potrafi się dziwić.

– Był tu w XVII wieku. – Masza skinęła na niego głową jak na starego przyjaciela. – I Misza był, i żmij, i trzech bohaterowie... A to, co było, już zawsze jest. I założę się, że na jego końcu czeka na nas zamek.

Rozdział ostatni

w którym wszystko kończy się na
zawsze i zaczyna na nowo...

Jesteś, jednym powietrzem oddychamy.
Twoja obecność jest jak miasto,
Jak cichy Kijów za oknami,
Który w żar promieni się oblókł.

~ Borys Pasternak

Zamek był niegdyś centrum administracyjnym miasta, z piętnastoma strzelistymi, czteropiętrowymi wieżami, których spiczaste dachy górowały na tle jedwabście błękitnego nieba. Po przejściu przez Bramę Drabską, zniszczoną trzysta pięćdziesiąt lat temu przez Kozaków Bogdana Chmielnickiego, do której prowadził most, równie wiekowy, co starokijowska lipa, zobaczyły, że dziedziniec zamkowy jest wypełniony ludźmi.

– Wasze Wysokości, Jasne Kijowice! – Ogłuszająca wrzawa wiwatującego tłumu podniosła się natychmiast.

Otaczały je kobiety – pobudzone, o płonących ognistych oczach, z długimi, rozczochranymi włosami nieugładzonymi przez fryzjera, które

owijały ich nagie ciała, plątały się w ciężkich, złotych naszyjnikach, majaczyły na odsłoniętych piersiach ze sterczącymi sutkami.

– Niech moc będzie z wami, sprawiedliwe Kijowice! – Z tłumu wyłoniła się dorodna naga postać, która skłoniła się im w pas, potrząsając ogromnymi piersiami, na których znajdowały się niezliczone rzędy złotych dukatów.

Masza pomyślała, że w tym mieście można się dziwić bez końca i że być może nigdy nie wyczerpie ono swoich tajemnic – tego, co straszne, dziwne, śmieszne i zupełnie niemożliwe...

Bo teraz stała przed nią zupełnie naga nauczycielka.

– Wasyliso Andriejewna – jęknęła Masza. – Czy to pani?

– Wasza uniżona sługa, Mario Włodzimierzówna. – Po raz kolejny ukłoniła się przed nią ta, która była postrachem i dumą instytutu. – Czarownice Kijowa witają Waszą Wysokość na Górze Kijowicy!

– Przepraszam, co pani powiedziała? – spytała zdezorientowana Kowalowa.

– Kijowica. – Wasylisa wyprostowała się i w jej pełnym niezwyklej czci głosie zabłysła znajoma nuta upomnienia. – To pierwsza nazwa Góry Zamkowej.

– A ja ciągle próbowałam sobie przypomnieć – mruknęła uczennica, pilnie odwracając wzrok od nagiego ciała nauczycielki. – Kijowska, Kijowianka... Jak mogłam zapomnieć?!

– Niech mądrość będzie z wami, Jasna Kijowico! – Do jej uszu natychmiast dotarł rozzwierający krzyk.

– To znaczy, że Kijowice mieszkały obok góry żmija jeszcze zanim została nazwana Starokijowską... – Masza pogładziła z namysłem czoło. W tym spostrzeżeniu była jakaś nieprzyjemna logika, ale nie potrafiła jej

dostrzec. – A to jest Dasza i Katia. – Studentka niepewnie przedstawiła swoje towarzyszek.

– Trzecia władza w rękach Trzech! – zawyły czarownice. – Ogień dla Mareny!

– Marena... Która jest godzina? – zdenerwowała się nagle Dasza.

Masza tępo wpatrywała się w swój zegarek, który przetrwał tak intensywną kąpiel:

– Nie ma jeszcze nawet dwunastej. Nieźle...

– Jan czeka na mnie pod klubem! Zmykam! – Wstrząsająca zaczęła się zbierać. – Przepraszam. Wy macie swój sabat, a my swój! Dziękuję bardzo... Swoją drogą, jeśli któraś ma ochotę... Nigdy nie wiadomo, czy sabat jest lepszy!

– Pan czeka na was, Dario Andriejewna. – Wasylisa Przemądra zgięła się wóół, wskazując prawą ręką w kierunku bramy za sobą.

– Jan? On jest tutaj? – Dasza nie rozumiała. – Czyli chodziło mu o ten sabat? No tak... – Twarz Czub się rozjaśniła. – On jest demonem!

– Pan nie lubi, gdy się go tak nazywa, tylko ludzie używają tego określenia – wyjaśniła czule Wasylisa. – A Mistrz nie lubi ślepców...

– A my co, już nie ludzie?! – oburzyła się Wstrząsająca.

– Wszystko jest gotowe na Drugie Święto roku! – oznajmiła z powagą królewskiego mistrza ceremonii Wasia. – Komnaty już czekają, Jasne Kijowice!

Masza zmrużyła oczy. Od zamku niosła się muzyka. Działa wystrzeliły, niemiłosiernie rozsadzając jej bębenki. Jej ubranie było mokre, a chłód ciasno otulał ciało, przyklejając niewidzialne bandaże do bioder, brzucha, stóp. Musiała się wysilać, by zmusić się do ruchu i iść dalej przez tłumy, które się rozstały, krzycząc, podskakując, tańcząc, machając rękami.

Teraz zauważyła, że między zarumienionymi i rozczochranymi głowami kobiet przemykają tu i ówdzie futrzane i spłaszczone twarze diabłów. Wasylisa szła nieco z boku, zachowywała pełen szacunku dystans. Przed nimi, posuwając się małymi kroczkami, szły trzy pochylone czarownice, niosące duże, przypominające żagiel płótno, na które ze wszystkich stron sypały się złote monety, pierścienie z wielkimi oczkami, bransolety szerokie jak mankiet, łańcuchy, tiary, kolie i tradycyjne naszyjniki z monet.

– Co to jest? – wymamrotała Masza, wyprężywszy się.

– Wasza Wysokość – odpowiedziała Wasia, idąca z prawej strony. – I my uznajemy waszą moc – dodała z naciskiem. – To jest złoto naszego Ojca, zebrane w noc Kupały... A to, co jest naszego Ojca, jest wasze.

– Skarby? – zdziwiła się Czub.

– Mamy się tym podzielić? – Katia przecisnęła się do przodu.

– Mhm... – rzekła obojętnie Masza.

Chciała tylko jednego: położyć się albo chociaż gdzieś usiąść. Z utęsknieniem przypominała sobie, że we wszystkich porządnych bajkach po zwycięstwie szanowani przez autorów bohaterowie dochodzą do siebie, leżąc w łóżku. Podczas gdy ci, których bohaterowie ratują, przykładają palce do ust i szepczą do siebie: „Cicho, cicho... Muszą odpocząć”.

– Cześć i chwała! Chwała tym, które pokonały zmija! – Wiedźmy wznosiły okrzyki.

Głowa Maszy pochylili się mocno na bok. Krzyki, dzwonienie, ruch, cienie... Otarcia na rękach bolały. Zimno, zimno, zimno...

Ciepło. Zapach, ostry i znajomy, przywrócił ją do rzeczywistości. Masza kichnęła i obudziła się. Siedziała na ciepłej, pokrytej futrem ławie w pokoju z niskim sufitem i podłogą wyścieloną złotem. Tuż nad jej twarzą unosiła się szeroka misa z parującym, ciepłym wywarem.

– Proszę się napić – rzekła Wasylisa Andriejewna.

Na wprost plątała się Dasza Czub, jak zwykle naga. Była pokryta od stóp do głów liśćmi babki lancetowatej, wesoła i jakby pijana, czy to z radości, czy z przepicia – w każdym razie miała w rękach dokładnie taką samą miskę.

– Za dziewczyny o czarującej urodzie! Kto widział najładniejsze, niech się zachwyca! – Wstrząsająca wzniosła brawurowo toast, trzymając przyklejony do lewej kości policzkowej liść i stukając się misami z równie nagimi czarownicami. – Wszyscy mężczyźni – wybełkotała – powinni dostawać przy wejściu rogi i ogony! A balet zatańczy diabelskiego kankana! To jest cooóś! Chłopcy w przysiadzie i taniec ogonów! A na stosie spalimy kukłę inkwizycji! Oni nas, a my ich! Prawda, dziewczyny? No dalej! Za nas i chuj z nimi!

Czarownice chętnie wznosiły toasty. Katerina Dobrażańska stała w pewnej odległości, otoczona przez co najmniej dziesięć pochlebczyń. Dwie z nich starannie suszyły puszystym ręcznikiem jej czarne włosy. Pięć z pietyzmem owijało wielkie, mokre prześcieradło wokół jej wysokiego i smukłego ciała. Trzy inne stały u jej boku.

– A *Płoń, płoń jasno, żeby nie zgasło* to pieśń na święto Kupały, a nie z bajki *Dwanaście miesięcy!* – rzuciła Dasza.

– Rosa w święto Kupały usunie wszelkie dolegliwości, a ogień... – oznajmiała Dobrażańskiej służka o splątanych miedzianych włosach.

A spojrzenie Katii, stojącej na stosie złota w komnatach spalonego w XVII wieku zamku wojewody, odbierającej królewskie honory od stada czarownic z obnażonymi piersiami, było tak zadowolone i spokojne, jakby wszystko wreszcie znalazło się na swoim miejscu.

– Wypij to, moja Jasna Pani.

Masza posłusznie przyjęła gorącą czarękę z rąk Wasylisy i gdy tylko wzięła naczynie, zauważyła, że jej ręce są owinięte liśćmi i szmatami, a ból

ustąpił.

– „Matko Ziemio, pobłogosław zielnych braci, a ziołem jestem ja” – mruknęła od niechcienia Wasia. – Proszę pić – powtórzyła. – To nalewka z wietlicy, znowu pani pomoże. Gdyby nie ona... – westchnęła Wasylisa Andriejewna. – To była straszna próba, pójść na wojnę, zanim potęga Kijowic zdążyła w was dojrzeć.

– Dojrzeć? – zdziwiła się Kowalowa.

– Jak krzew. Jak drzewo – wyjaśniła nauczycielka. – Nic w przyrodzie nie powstaje za jednym pstryknięciem palca. Wszystko wymaga czasu. Nawet trawa nie jest w stanie wyrosnąć z nasionka w trzy dni... Wygląda na to – zadumała się – że w całej historii Kijowic tylko jedna została poddana podobnej próbie. Ale ona była czarownicą dziedziczną i wyssała z mlekiem matki to, co wy z trudem czytałyście sylaba po sylabie. I ona zginęła. Wraz ze swoim miastem.

– Kiedy to było? – spytała cicho Masza.

– Inwazja Batu. – W odpowiedzi Wasi znów wybrzmiał wymagający ton nauczyciela.

– 1240 rok – powiedziała instynktownie Kowalowa. – Ze stu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców Kijowa przeżyło zaledwie pięćdziesięciu. Cerkiew Dziesięcinna została zniszczona. Ruś Kijowska rozpadła się, rozpoczęło się jarzmo tatarsko-mongolskie...

– W porządku, zaliczam... Oj, proszę o wybaczenie, Jasna Pani! – przestraszyła się nie na żarty nauczycielka. – Dziś egzamin państwowy absolwentów. Nic nie pamiętają, nic nie wiedzą, jakby byli z głębokiej Syberii. Nie wiedzą nawet...

– A więc Kijowice to więdźmy – przerwała jej Masza. Ale to nie było pytanie, tylko wymęczone stwierdzenie.

– O nie, nie jesteście ani wiedźmami, ani świętymi – odparła zachęcająco nauczycielka. – Jesteście jednocześnie jednym i drugim, co oznacza, że nie jesteście żadnym z nich – dopowiedziała niezrozumiale.

Masza zrozumiała jednak bez trudu:

– Jak Kijów?

– Tak, jak nasze miasto. – W słowach Wasi była duma.

– Stolica czarownic...

– Stolica czarownic.

– I stolica wiary... – powiedziała cicho Masza. – Nie pójdę na sabat, Wasyliso Andriejewna. Ja tak nie umiem... Lipa Piotra Mohyły, muzeum, dworek Murawjowa, cerkiew św. Cyryla, prace Miszy... wszystko spłonęło...

– Czy rozkaże pani je wskrzesić? – spytała wprost czarownica.

– To możliwe? – zdziwiła się uczennica.

– Proszę się nie martwić, Jasna Pani, i my potrafimy to zrobić. To nie to samo, co wybłagać o utracone życie Ziemię i Niebo. Tylko Kijowice mogą składać takie prośby.

– Jaka pani jest piękna, Katerino Michajłowna!

Masza odwróciła głowę. Na drugim końcu niskich komnat stała niewiarygodnie piękna Katia. Wyglądała niczym bóstwo. Jej nagie ramiona, nadgarstki, przedramiona, talia, szyja, włosy, uszy były pokryte ciężką, mieniącą się kolorowymi kamieniami biżuterią.

– A ja... ja też tak chcę! – Czub zaczęła pospiesznie obierać się ze zmiętych liści babki. – A wy co? Ubrałyście ją we wszystko, co najlepsze? Powinno być sprawiedliwie, dla wszystkich tak samo! Chodźcie, dziewczęta, wypijmy po ostatnim – zwróciła się do swoich towarzyszek. – Niech płaczą wszyscy, których nie chcieliśmy i niech zdechną wszyscy, którzy nas nie chcieli!

- Jestem zmęczona... – tłumaczyła się grzecznie Kowalowa.
- Proszę wypić napar – przypomniała ostrożnie Wasylisa.
- Nie mogę świętować. – Masza dotknęła palcem swojej piersi.
- Kto tam jest? – spytała z półuśmiechem Wasylisa Przemądra, zawisając nad nią ogromnym biustem.
- Tam... – Masza zamknęła oczy i westchnęła płacząco.
- Właśnie o to chodzi. – Wasylisa Andriejewna uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Proszę to wypić, Mario Włodzimierzówna, będą pani potrzebne siły... On czeka na panią!



Masza uważnie obejrzała swoją twarz w maleńkim lusterku, które cudem zachowało swoje kruche życie w jej kieszeni.

Lustro się nie stłukło – to wróżyło szczęście! Szczęście, tak bliskie, przytłoczyło ją do tego stopnia, że na jej skórze pojawił się delikatny ślad gęsiej skórki. Policzki jej płonęły. Teraz czuła smak zwycięstwa. Tak ogromnego, jak nagroda za nie.

„On czeka na panią!”

Zamknęła powieki. Miała wrażenie, że klucz w ręku wyrywa się do drzwi, a kiedy szła przez ciemną przestrzeń starego domu, niegdyś gospody dla klasy średniej, znalazła je bez trudu.

Za nią była ciemność, przecięta światłem księżyca.

– Nadziejo? – Ciemność wołała do niej z zachłanną nadzieją. – Czy to ty?

– Ja!

Siedział zgarbiony przy stole, ale gdy tylko weszła, pochylił się ku niej, a jego blond włosy wydawały się w świetle księżyca srebrne.

– Czy pan mnie pamięta? – Masza prawie się rozpląkała.

– Pani?!

– To ja, Miszo. Nadieżda Włodzimierzówna!

– Nie znam pani!

Coś w środku pękło i krwawiło. Jej gardło zacisnęło się z goryczą. Zapomniał o niej w ciągu tych dziewięciu godzin, które upłynęły od ich spotkania... Nawet jej nie poznał!

Artysta poderwał się z krzesła, odskoczył, uderzył czarnym cieniem o ścianę obok – zapaliło się światło. A ona się wycofała. Bo i ona nie poznała jego.

Przed nią stał stary, niski mężczyzna w pomarszczonej i zaniedbanej czarnej marynarce. Jego włosy już nie wydawały się siwe – były prawie srebrne. Twarz, suchą jak stary papier, miał wykrzywioną i rozdartą bladym strachem.

Masza potrzebowała nie więcej niż trzydzieści sekund, żeby oddzielić tę obcą, beznadziejną, nieznośnie nieszczęśliwą twarz od warstwy czasu, który ją wysuszył, wyczerpał, znęcał się nad nią, i znaleźć pod tą okropną i pożółkłą maską resztki swojego Miszy – młodego, pięknego, blondwłosego, pełnego nadziei! – o regularnych rysach i łagodnym, aksamitnym spojrzeniu...

– Kim pani jest? – spytał siwowłosy mężczyzna, jakby sama jej obecność w tym pokoju sprawiała mu niewyobrażalną przykrość. – Gdzie jest moja żona?

– Nadieżda?

– Czy pani wie, gdzie ona jest? Odeszła. Nie zdołałem jej powstrzymać! – rzekł z nieznośną tęsknotą, przebijającą się przez szczeliny liter w każdym jego słowie.

– Pana żona ma na imię Nadieżda? – zrozumiała Kowalowa, poczuwszy nagłe uderzenie bólu w podbrzuszu.

– Tak. Gdzie ona jest? Proszę powiedzieć!

– Nie wiem...

Był żonaty. I kochał swoją żonę. Zastąpiła ją inna Nadieżda. Masza przyszła za późno... Beznadziejnie późno! Spóźnić się jeszcze bardziej można było już tylko na jego pogrzeb.

– Nazywam się Nadieżda Włodzimierzówna. Pewnie mnie pan nie pamięta. Spotkaliśmy się w Kijowie. Dawno temu – przedstawiła się smutno. – W 1884 roku, przed wyjazdem do Wenecji.

– W osiemdziesiątym czwartym? – Wrubel spojrzał na nią z gorzkim oszołomieniem, rozpalonym, lecz nadgryzionym już przez mole dawnym aksamitem oczu. – Dziewiętnaście lat temu? Czy przyszła pani okazać mi współczucie? Kondolencje... Jestem wdzięczny – dodał sucho. Jego spojrzenie było jednocześnie puste i boleśnie wyczekujące momentu, kiedy zostanie sam.

„Odejść tak po prostu?!”

Nie mogła tego zrobić.

Stała oniemiała, przygnieciona ciężarem prawie dwudziestu lat, które na nią spadły, gdy wpatrywała się w nierozpoznawalnego, roztrzęsionego, zagubionego, siwowłosego mężczyznę, przybitego kłótnią z ukochaną żoną i odczuwającego jedynie zmęczoną irytację na widok Maszy.

Próbowała przekonać samą siebie: to już nie jest on!

Jej Miszy już nie ma, a jej nie pozostawiono wyboru – musi wrócić do domu...

– Byliśmy w kawiarni „Semadeni”. Miał pan na sobie kostium Tycjana. Zaprosił mnie pan. Pamięta pan? – Masza z jakiegoś powodu usiłowała mu

przypomnieć, wiedząc doskonale, że wspomnianie tego nie ma już dla niego sensu i nie powinno mieć go dla niej.

Nie miała już czego u niego szukać – starego, osowiałego, skomlącego i nieszczęśliwego...

Ale to pękające, krwawiące i lepkie uczucie bulgotało w niej, zalewając wnętrzności aż po ściśnięte gardło i nie pozwalając zrobić ani jednego kroku. Nagle gorąca fala zalała jej mózg, a ona wreszcie zrozumiała... Przez dziewięć szybkich, przerażających, nieprzewidywalnych godzin myśl o nim – o jej Miszy! – zamknięta w pudełku w jej duszy, była dla Maszy główną wartością, dla której warto było znieść wszystko, aby ją ocalić, przynieść mu ją i oddać całe swoje życie, aż po horyzont. Powiedzieć mu „tak”, które nie wybrzmiało u Semadeniego i dać mu wszystko, o co prosił.

Ale wszystko to, już przecież ofiarowane nieskończenie i na zawsze, nie było mu potrzebne. I teraz nie wiedziała, co z tym wszystkim począć – ze swoim życiem, ze swoim spóźnionym o dziewiętnaście lat „tak”, z samą sobą – poza tym, żeby to wszystko wyrzucić, pójść do najbliższego kosza i wywalić, a potem usiąść na ławce i płakać. Nie było już jej Miszy, dlatego że dla Miszy nie było żadnej Maszy!

A to znaczy, że w ogóle jej nie było!

Bo ona żyła już tylko dla niego.

– Semadeni? Maskarada. Pamiętam... – rzekł z zakłopotaniem Michaił Wrubel, wpatrując się rozognionymi źrenicami w głąb siebie. – Ta dziewczyna... Nadieżda. Ale czy to była pani? Jest pani tak młoda.

– Pamięta mnie pan?!

– Wcale się pani nie zmieniła, Nadieżdo.

Jego słowa brzmiały trochę jak pytanie. Wrubel nieśmiało przeniósł wzrok na jej twarz – usta, skórę w okolicach oczu, błagalny podbródek –

jakby wciąż nie wierząc, że to ona, że kobieta, która stoi teraz przed nim, jest prawdziwa.

Ale to nie miało znaczenia!

Bo ona BYŁA!

Nawet jeśli to tylko puste, na wpół wyblakłe wspomnienie...

– Często panią wspominałem. Często... – Uśmiechnął się zawadiacko. – Miała pani przyjść. Czekałem...

– Czekał pan na mnie? – „Dwadzieścia lat później?!”

– Wiedziałem, że nie zniosę tej nocy – rzekł Wrubel, jękając się. – Tylko nie do Cyryla! – Zmienił się na twarzy. – Tylko nie tam!!! Och...

Odkoczył od niej. Wpadł na stół. Krzyczał i biegał po pokoju, chwytając i upuszczając bezradnie różne rzeczy: portret kobiety w skórzanej oprawie, podniszczoną walizkę podróżną, brudną brzytwę z pianą zaschniętą na ostrzu.

– Michaile Sanycz!!!

– Nadio! Nadio! – krzyczał, biegnąc wokół Maszy z obsesyjnym, błędzącym wzrokiem. – Musimy wyjechać! Natychmiast. Z tego miasta. Nadio, gdzie jesteś? On mnie zabije!

– Michaile Sanycz! – zwróciła się do niego przestraszona Kowalowa.

– Nie pojedę do Cyryla! Nie dotykaj mnie! – zawołał, osłaniając się przed nią drżącymi rękami. – Wolałbym się zabić!

Chwyił upuszczoną brzytwę.

On był szalony! Już był. Teraz to zobaczyła.

A ona była dla niego... zjawą!

Czymże innym mogła się stać, pojawiając się dwadzieścia lat później jako śmieszna dwudziestoletnia dziewczyna?

– Michaile Sanycz, nie pojedzie pan tam, obiecuję! – Masza szlochała ze strachu i straszliwego poczucia winy, które przygniatało jej ramiona.

– Obiecuje mi pani? Na pewno?

– Przysięgam na Boga! – potwierdziła pospiesznie, nie rozumiejąc, dlaczego jej abstrakcyjna obietnica nagle go uspokoiła.

– Wierzę pani! – Szaleniec stał nieruchomo i oddychał ciężko, oparty zgiętymi plecami o tanią tapetę hotelową. Szaleństwo ustępowało. – Pamiętam, że obiecała mi pani, kiedy jeszcze byłem nikim... – rzekł zdezorientowany. – Przypomniało mi się to później. Sprawdziło się... Nadieżdo?! – zawołał gwałtownie, patrząc niewidzącym wzrokiem w innym kierunku.

– Jestem tutaj – pisnęła Masza.

– Tak, jest pani tutaj – powiedział z zadowoleniem. Wciąż patrzył nie na nią, lecz w głąb mgły własnego zmęczonego umysłu, z którego, jak mu się wydawało, wyłoniła się jego Nadieżda. – I to nie przypadek, że właśnie dziś wieczorem Nadieżda mnie zostawiła... Nie powinna była zostawiać mnie samego. Ale nie mam jej tego za złe. Nie. To zbyt wiele. Śmierć ojca, choroba matki, szaleństwo męża... Przez pół roku nie dopuszczali jej do mnie... A Sawwoczka. Nasz biedny chłopiec. Od jego śmierci Nadia nie odezwała się ani słowem. Tylko milczała... Zostałem sam. Wszystko musiałem sam załatwić. I trumnę, i pogrzeb. A potem odeszła, nie wiem dlaczego... Ona mi nie wybaczy. Śmierć syna... Nie powinienem był. Nie powinienem był tu przyjeżdżać. To wszystko przez niego. On mi go zabrał... I głos Nadii. Nie będzie już mogła śpiewać. A ja nie przeżyję tej nocy... Wiem, że rano zabiorą mnie do Cyryła. Ale skoro mi pani obiecała... Tak, Nadieżdo?!

– Przyrzekam, Michaile Sanycz – obiecała ze smutkiem Masza, pogrążając się w bezradnym osłupieniu, gdy pojęła, czego miała się dowiedzieć w ciągu jednego dnia – dnia pogrzebu jego syna!

Okazało się, że zmarł w Kijowie... Masza, dotykając nerwowo jedwabnego gorsetu, nagle uświadomiła sobie: jej czarna żałobna suknia, tak niestosowna wtedy, wczesną zimą 1884 roku, teraz doskonale i okropnie pasowała zarówno do czasu, jak i do wydarzenia. Jak gdyby ktoś postanowił zrobić jej czarny kawał, zaaranżować obecne spotkanie właśnie pod wybrany przez nią strój.

– Nie pojedzie pan do szpitala Cyryła – powtórzyła.

„Nigdy nie byłeś leczony w szpitalu Cyryła, wiem to na pewno!”

Artysta skinął głową, jakby spodziewał się, że ona to powie, i opadł na sofę z rękami zwisającymi na kolanach.

– Tak się cieszę, że pani przysłała – rzekł ze znużeniem. – Nawet jeśli pani tu nie ma... Ja wiem... Uratuje mnie pani. Muszę tylko wyjechać. Po prostu wyjechać – ciągnął upokorzonym głosem. – A tam już wszystko jedno... Wiem, że na to zasłużyłem. To jest moja kara. I Sawwoczka, i Nadia. Nie powinienem był malować Matki Bożej...

– ...z twarzą kobiety, która stała się pana demonem – zakończyła z rezygnacją Masza Kowalowa.

– Wie pani o tym – nie zdziwił się, wręcz odczuł ulgę. – Oczywiście, że pani wie. Bo pani jest moim szczęściem. Tym, które mogło być...

Mogło.

Masza przycisnęła się do framugi drzwi i zamknęła oczy.

Jego głos się nie zmienił. Jego głos dziewięcioma srebrzystymi szwami nagle zszył nieprzezwyciężoną przepaść dziewiętnastu lat. Jego głos przywrócił ją z zapomnienia i nadał jej imię:

„Ponieważ pani jest moim szczęściem. Tym, które mogło być”.

Oboje byli dla siebie nawzajem, nie tutaj, ale tam. Byli. I teraz trzeba się od siebie już tylko odwrócić, bo tutaj ich już nie było!

– Często myślałem o tym... Nie, ja byłem szczęśliwy. Z Nadieżdą byłem całkowicie szczęśliwy. Szczególnie wtedy, gdy moja klątwa mnie opuszczała. – Głos Miszy posmutniał. – Uciekłem do Moskwy. Ale on był przy mnie... A co najgorsze, kochałem go. Bo mój demon był moim geniuszem! Matka Boża w cerkwi św. Cyryla, od niej wszystko się zaczęło... Zauważono mnie, mówiono o mnie... Dostawałem pochlebne recenzje w gazetach. Tylko ja znałem jej sekret. Ale nikomu go nie wyjawiałem. Tylko pani.

– Mnie? – Masza otworzyła oczy.

I nagle przyłapała się na tym, że nie zauważa już w nim żadnych zmian.

To był oczywiście on – biedny, nieszczęśliwy, umęczony, zagubiony, genialny – jej Misza, tak przypominający duże, niepewne siebie dziecko. Tylko teraz to dziecko było zmęczone, śmiertelnie zmęczone i chore, przecież przeżyło śmierć swojego jedyne go syna...

– Często z panią rozmawiałem. Z panią, nie z nią – zapewnił żywołowo. – Przestałem bywać w ich domu.

– W domu Prachowów?

– Zupełnie przestałem – usprawiedliwił się żałośnie Wrubel. – Ale pisałem do niej. Znowu. Wyjazd nie pomógł. Przez całe życie płodziłem tylko demony. Czy wie pani, ile ich zrobiłem? Oczywiście, że pani wie... Pani wie wszystko. Przecież pani powiedziałem... Malowałem je... I nazywano mnie geniuszem. Wtedy poznałam Nadieżdę Iwanownę Zabelę. Ale było już za późno. Próbowałem... Pani wie, że próbowałem... Później urodził się Sawwa... I namalowałem *Demona pokonanego*. Chciałem się z nim rozliczyć... Ale było już za późno. On już stał się mną. Obraz wisiał na wystawie, a ja byłem w szpitalu psychiatrycznym. Zamknięty z dala od wszystkich... W obłądnie. Wiedziałem, dlaczego tam jestem. On pociągnął mnie za sobą... Zwabił mnie tutaj. Do Kijowa... On, on... *Demona* kupił

von Meck... Pojechaliśmy do jego majątku w guberni kijowskiej, zatrzymaliśmy się tam... Cóż to był za błąd! Jak mogłem tego nie rozumieć?! Nie powinienem był przywozić Sawwy do miasta, w którym oddałem duszę! Czekał na mnie... Niech będzie przeklęta! Przeklęta!

– Emilia Lwowna nie jest winna – zaprotestowała cicho. – Proszę jej nie przeklinać.

– Tak, tak – zgodził się posłusznie Wrubel. – Ma pani rację. Ja sam... Ja jeden... I zapłaciłem za wszystko. Ale byliśmy tu tylko przejazdem, na jeden dzień, w hotelu. I nagle Sawwa zachorował. Zgasł w ciągu dwóch dni... Tak mały, że ledwo zaczął mówić. Nadia zamilkła... A ja... Dlaczego mnie pani wtedy zostawiła, Nadieżdo? – zapytał nagle ze smutkiem i bez wyrzutów. – Wiem, to była moja wina – zaczął znowu w niewyczerpanym przypiływie samokrytyki.

– Nie, to moja wina – rzekła z żalem Masza. – Okłamałam pana. Nie mam na imię Nadieżda. Jestem Masza...

– Maria? – opuścił czoło i po raz pierwszy spojrzął na nią uważnie. Pytająco zmierzył wzrokiem jej smutną sukienkę. – Tak, wiem – powiedział zamyślony. – Wszystko się zgadza... Od razu to wiedziałem... Maria. Nawet wtedy. Mogłem panią kochać... Rozumiem, dlaczego pani do mnie przyszła. Chce się pani pożegnać... Bo to koniec. Przyszła mi pani powiedzieć, że wszystko mogło być inaczej... Nie pojedę do Cyryła, bo... Niech tak będzie. Niech tak będzie.

– Nie, to nie tak! – krzyknęła Masza, czując, że jej oczy zalały się łzami. – Przyszłam powiedzieć, że pana kocham! – zawyła gorąco i żałośnie. – Wiem, że przyszłam za późno, ale...

„Zmienię wszystko” – pisnęło coś w środku. „Wiem jak. To się nie stanie! Nie będzie tego dnia ani tego wieczoru. To nie może się TAK skończyć!”

– Kocha mnie pani? Dlaczego? – zdziwił się słabo. – Nie można mnie już kochać...

– A pan? Pan?! – Masza rzuciła się w jego stronę, wyciągając błagalne ręce.

Dotknął ich zgaszony i spojrzał na nią z zakłopotaniem.

– Kochał mnie pan? Choć przez chwilę? Tam, w kawiarni „Semadeni”. Pamięta pan, Miszo? Sanie?! Krieszczatik w śniegu?! Lody?! Zamówiłam lody, pamięta pan? Wtedy kochał pan Emilię. Potem swoją żonę... A mnie? Czy kiedykolwiek mnie pan kochał? Proszę, muszę wiedzieć! – Łapczywie obmacywała jego zwiotczone dłonie.

„Wszystko zmienię, tylko mi powiedz!”

– Czy mogłem pani nie kochać? – rzekł Wrubel, jękając się i ze łzami w oczach dotykając palcami jej rąk. – Jakże mógłbym nie kochać mojego zbawienia? Jak mógłbym nie kochać czegoś, czego nigdy nie będzie?

– A jeśli będzie? – Natychmiast zbliżyła twarz do jego twarzy i z pasją wpatrywała się w jego oczy.

– Już za późno... Sawwa, Nadia... – skrzywił się żałośnie Wrubel.

– A co, jeśli nie jest „za późno”?! –

– I ja nie umrę? – spytał zdezorientowany po długiej pauzie.

– Pan nie może umrzeć! Nie oddam pana! Słyszysz mnie pan!

Przytuliła gorączkowo jego głowę do piersi i zatopiła usta w jego siwych włosach, które pachniały cerkiewnym kadzidłem z pogrzebu.

– Nie oddam mu ciebie!

Ale gdy to mówiła, sama nie wiedziała, komu. Wiedziała tylko, że nie odda go nikomu. Nikomu. Ponieważ ona była sądem najwyższym tego miasta. I nikt nie mógł odebrać jej tego, za co sama była gotowa zapłacić...

Każdemu. Każdemu. Każdemu!

– Będziesz żył, obiecuję! Nie oszalejesz, obiecuję! To, co zrobiłeś, było złe. Ale tego już nie ma. Wszystko zostało naprawione. Twój demon nie żyje! Został pokonany. Pokonałam go.

– Emilię? – zaszlochał wtulony w jej brzuch Misza.

– Twojego demona! Już go nie ma. Jesteś wolny. Wszystko będzie dobrze, uwierz mi! – szepnęła Masza. Nie wiedziała, czy kłamie, czy mówi prawdę, ale rozpaczliwie pragnęła, żeby to była prawda i żeby miała siłę... – Wierzysz mi? – spojrzała w jego zdezorientowane oczy. – Wierzysz mi, prawda? Widzisz, że to ja. Nie jestem przywidzeniem, Miszo, jestem żywa.

Wyciągnął do niej usta, niewymagające, niepewne, dziecinne. Pochyliła się do przodu, dotykając ich – były miękkie i bezbronne. Jego ręce, muskające jej szyję, były błagalne i nieśmiałe. Jego oczy ze zniszczonego przez mole aksamitu zapytały ją...

– Tak – wyszeptała z dziewięciogodzinnym i dziewiętnastoletnim opóźnieniem Masza.

I zamknęła oczy.

Epilog

Jak na ulicach Kijowa-Wija
Szuka męża nie wiem czyja żona.

~ Osip Mandelsztam

Masza stanęła na wrośniętym w ziemię, wysłużonym kamiennym stopniu przy ogrodzeniu grobowca i z goryczą policzyła bezimienne krzyże wokół.

Nad Kijowem wstawał czwarty dzień jej nowego życia, z całym pięknem ich nowej władzy.

Dookoła, przylegając do ziemi, rozciągał się bezkresny cmentarz Bajkowa. Świt wydobywał z mroku granitowe bloki, przekrzywione żelazne ogrodzenia, płyty nagrobne pokryte liśćmi. Wędrowała tu całymi godzinami, w wymagającym, gorączkowym szaleństwie, co chwilę błądząc w ślepych zaułkach alejek utworzonych z żałośnie ściśniętych grobów, jak z ludzi w zatłoczonym tramwaju, i zadzierając dół sukienki, podnosząc wysoko nogi, przechodziła przez białe, srebrzyste, rdzawe ogrodzenia gryzące ją cmentarnymi pokrzywami, by przebić się na kolejną alejkę. Ale nie mogła znaleźć tego, po co przyszła.

Na krzyżu usiadł czarny kruk. Masza spuściła oczy.

Czuła się naga pod sukienką. I nie czuła samej sukienki – za to czuła jego usta na swoim brzuchu, ramionach, piersiach. I nie czuła swoich warg – jej usta pozostały na nim. Musiała po niego wrócić...

– Powiedz mi, czy teraz już możesz nam pomagać? – spytała ciężkiego ptaka, rzucając mu zdecydowanie spojrzenie.

– Tak – odpowiedział jej demon.

– Więc oddaj mi klucz! – rozkazała.

– Który z nich?

– Wiesz dobrze, który! – rzekła z uporem. – Oddaj mi go! Teraz!

– Nie mogę tego zrobić – oznajmił stanowczo. – Ale mogę odpowiedzieć na twoje pytania.

Masza uniosła głowę. Stał oparty o wysoki, czarny płot ażurowy, gdzie spoczywali rodzice innego Miszy:

Anastazy Iwanowicz Bułhakow

Profesor Kijowskiej

Akademii Duchownej

Barbara Michajłowna Woskriesienska-Bułgakowa

Kiedyś chciała ich odnaleźć. I znalazła teraz... Przypadkiem. Uciekając z objęć niezliczonych, nieznanych zmarłych i doznając chwilowej ulgi płynącej ze spotkania z jedynym bliskim jej pomnikiem, na chwilę pogodziła się z losem. Ale trzymając się ogrodzenia przy czarnym marmurowym krzyżu, spytała:

„Gdzie on jest? Powiedzcie, gdzie? Wy wiecie!”

Ale pomnik nie odpowiedział...

– W porządku – zgodziła się szybko. – Powiedz mi, gdzie jest grób jego syna? Zmarł w maju 1903 roku, miał dwa lata. Jest gdzieś tutaj. Grób musi być dość mały...

– Nie znajdziesz go.

– To nie jest odpowiedź! – rzuciła rozzłoszczona Masza.

– Nie możesz go wskrzesić.

Słońce wschodziło. Świt rozpościerał swoje ramiona nad miastem. Letnie promienie łagodnie głaskały jej zrozpaczoną twarz i czarny marmurowy krzyż. Ale Masza siedziała nieprzyjaźnie odwrócona plecami do milczącego krzyża, wpatrując się niecierpliwie w ten drugi – bezimienny.

„Może ten?”

Do dziś nie miała pojęcia, jak wiele takich krzyży znajduje się na centralnym cmentarzu miasta, z metalowymi tabliczkami oczyszczonymi z nazwisk przez czas. Ile ich było, skoro choćby wokół Atanazego i Barbary naliczyła aż siedem? A może pod tamtym, z białą farbą odchodzącą płatami z rdzawego ciała, które wyglądało jak żelazna brzoza, albo pod tamtym, malutkim, niebieskim, z małym dziecięcym kopczykiem, albo pod tym kopczykiem, całkowicie zarośniętym, na którym szeroki krzew bzu odsunął krzyż, leżał maleńki Sawwa Wrubel, wymazany z tablicy i z pamięci Kijowa?

– To nie tu – rzucił demon.

– A ten? – spytała żywo Kowalowa.

– Ani ten... Ani tamten. Nie znajdziesz go.

– Znajdę! Jest pochowany na cmentarzu Bajkowa! – odparła, rzucając mu z pasją pod nogi resztki podartego przez Behemota albumu. – Przejrzę księgi rejestrowe!

– Spłonęły. Jeszcze w latach czterdziestych...

– Przeszukam cmentarz metr po metrze! – wysyczała Masza. – Zrobię listę wszystkich bezimiennych grobów! Ustalę wiek każdego krzyża. Jeśli będę musiała, to... Jeszcze mnie nie znasz! To ona! To Kyłyna złożyła ofiarę z jego syna! Ona dała Miszy ziemię z Bajkowa! A jego syn zmarł, gdy tylko przybył do Kijowa...

– Jakie te wasze cmentarze są straszne – skrzywił się obojętnie jej rozmówca, rozglądając się z obrzydzeniem dookoła.

– To prawda. – Masza musiała mu przyznać rację. – To straszne. Tak nie można! Nie można... To jakby wymazać ich wszystkich. I jego syna też... Ale ja tego tak nie zostawię. Wszystko zmienię! Sprowadzę go...

– Taka twoja wola, Jasna Kijowico – powiedział demon w sposób elegancki i powściągliwy.

– Więc pomożesz mi? – Masza rozbudziła swoje nadzieje.

– To nie jest w mojej mocy.

– A co jest? – odparła.

Nerwowo szarpała brzegi jedwabnej, żałobnej i tak obrzydliwie tu stosowanej sukienki – czyjś czarny żart zataczał kręgi! Wiedźma i demon! Spotkanie na opuszczonym cmentarzu, gdzie mieli się połączyć na wieki...

– Jeśli nie chcesz pomóc, to won! – zbuntowała się Kijowica.

Podniósłszy sfatygowany album, skierowała się zdecydowanie w stronę drogi. Grób po prawej stronie był zavalony cmentarnymi śmieciami aż po szczyty ogrodzenia. Wykorzystywano go w charakterze śmietnika na stare deski, gałązki, fragmenty pomników, damskie buty, które nie wiadomo jak się tu znalazły...

„A jeśli to ten?”

– Nie.

Usłyszała za sobą chrzęst kroków. Szedł za nią. I nagle w jej piersi pojawiła się histeryczna rozpacz, przykryta warstwą beznadziei i posypana ostrymi okruchami zdrowego rozsądku.

„A jeśli rzeczywiście nie znajde? Czy kiedykolwiek nas okłamał? Jak w takim razie wróce do Miszy...?”

Intensywnie przyglądała się każdemu metrowi. Lewa część cmentarza Bajkowa uważana był za „starą”. Ale stare, przedrewolucyjne groby

zmieszane były w dzikim koktajlu z tymi nie aż tak sędziwymi, a co trzeci znajdował się w plugawym, zarośniętym spustoszeniu porzucenia, niechcenia, samotności. I chyba po raz pierwszy Masza nie mogła znieść myśli, że pewnego dnia umrze i okaże się, że jej istnienie, podobnie jak istnienie tych setek i setek tysięcy innych osób, jest nikomu niepotrzebne i nie ma żadnego znaczenia.

Jakże nędzne wydawało się ludzkie życie, warte podsumowania jednym, nieuchronnym rezultatem – zaśmieconym, zaniedbanym grobem...

– Ciekawa koncepcja znaczenia bytu – skomentował demon, a Masza, przyzwyczajona do tego, że jej myśli są czymś ściśle intymnym, wzdrygnęła się, tak jakby bezceremonialnie chwycił ją za ramiona. – Zbuduj sobie większy pomnik! – Wskazał na czyjś zwalisty nagrobek, miażdżący swoim marmurowym ciałem czas i samotność. – Jak faraonowie. Największe nagrobki na świecie wystarczą, by z nazwisk ich właścicieli uczynić kult.

– Nie – zaprotestowała Masza. – Trzeba zrobić coś pożytecznego, coś, co jest potrzebne.

– Potrzebne? Weźmy generała majora Bajkowa, bohatera wojny 1812 roku – rzekł demon tonem świeckiego sofisty. – Wręczając mu Order Świętego Jerzego, cesarz zerwał odznaczenie z własnej piersi. Nazwisko „Bajkow” zostało wyryte na ścianach świątyni Chrystusa Zbawiciela. Ale wszystko to obróciło się w proch... A jedyną pamiątką po bohaterze jest cmentarz nazwany jego imieniem. Zabawne, prawda?

– Nieprawda! – rozgniewała się. – O takich ludziach trzeba pamiętać! Nie mogą stać się po prostu nawozem! W przeciwnym razie wszystko traci sens...

– Każde życie ma sens – odparł demon.

– A kiedy dziecko umiera w wieku dwóch lat? – spytała z bólem. – Jaki był sens życia małego Sawwy? Czy potrafisz powiedzieć?

– Tak. Miał stać się ziemią, nawozem.

Kpił z niej!

Masza zamilkła.

„Wowk, Bondarienko, Kowal, Gaduła, Kozin, Tuzik, Chochmacz...” – przeczytała uważnie w myślach. Dziwne, że zabawne nazwiska pozostawały przy zmarłym nawet po śmierci – tam, gdzie już wcale nie było zabawnie je oglądać.

– Dlaczego jest was troje? – spytała po dłuższej chwili milczenia, tylko po to, by o coś zapytać.

– A dlaczego on jest w trzech osobach? – Podniósł palec wskazujący.

– Ale jakie jest znaczenie triumwiratu? Wiktor Michajłowicz mówił, że jego bohaterowie to ciało, umysł i dusza...

– A może siła, odwaga i honor? Pragnienie wiedzy, radość życia i wola władzy? Korzyść, honor i chwała? Nie wiem – podsumował bez zainteresowania. – Wybrałem tylko jedną z was.

– Którą? – Masza zatrzymała się, wpatrując się w niego z nagłą, nieplanowaną ciekawością.

– Ciebie – stwierdził bez cienia komplementu. – Jako jedyna mogłaś tu wejść. Miałaś na to całe pięć minut.

– Ale dlaczego ja? – zdziwiła się Masza.

– Wyłącznie dlatego, że cię tam zobaczyłem. W cukierni „Semadeni” – wyjaśnił grzecznie. – Widziałem cię sto lat temu, a tam byłaś już Kijowicą. Ale zatrzymałaś się przed drzwiami... Dlatego zrobiło się was trzy.

– A Kyłyna? Czy ją też tam widziałeś?! – Kowalowa zadrzała.

– Niestety – przyznał z żalem nocooki mężczyzna. – Po prostu wiedziałem, że coś jest nie tak... Gdy tylko Adrianowi Michajłowiczowi

zlecono odrestaurowanie cerkwi św. Cyryla, poczułem kłopoty. Coś było nie tak z jego żoną. I zbyt późno zdałem sobie sprawę, że to nie ona... Emilia Lwowna była tylko boczną gałęzią rodu Kijowic i to nie jej wina, że sto lat później urodziła się jej praprawnuczka, tak bardzo do niej podobna.

– Chwila... Kyłyna zmieniła historię?! – Masza zaniemówiła z powodu nagłego objawienia. – Wszystko miało być inaczej? Misza nigdy nie pisał do Prachowej? On nie był w niej zakochany! To był urok! Tak?

– Teraz nigdy się tego nie dowiemy – podsumował beznamiętnie demon. – Wiemy bowiem tylko to, co jest.

– Nie mogłeś nic zmienić?! – Kijowica tupnęła nogą.

– Próbowałem – usprawiedliwił się ponuro. – Wysłałem mu Nadieżdę, jego przyszłą żonę Nadieżdę Zabelę. Mieszkała tu, w Kijowie, kiedy uczyła się w Instytucie Panien Szlachetnie Urodzonych. Chodzili po tych samych ulicach. Skończyła osiemnaście lat. I gdyby Wrubel spotkał ją osiem lat wcześniej, zostaliby ocalony... Dokładnie tak – odpowiedział na jej jeszcze niewypowiedziane pytanie. – Prawdziwa miłość neutralizuje siłę uroku. Ale było za późno. Dzień przed umówionym spotkaniem powiedział, że nie potrzebuje już tej znajomości i odmówił zobaczenia się z moją podopieczną. Wprost.

– Bo Emilia przyszła się z nim zobaczyć – ciągnęła rzeczowo Kowalowa. – Ta, która była przy mnie u Miszy, nie była Kyłyną. Naprawdę chciała mu pomóc. Ona nie była zła. A Adrian Michajłowicz powiedział, że jego żona nie przypomina siebie. Przecież Prachowa nie mogła wiedzieć, że pół wieku później ławra zostanie splądrowana, Uspienska wysadzona w powietrze, a miecz zginie razem z nią. To Kyłyna poprosiła profesora, żeby zaniósł miecz do ławry...

– Tak – przytaknął z przekornym uśmiechem. – Prachowa była tylko kobietą. Tak samo sprzeczną i nieprzewidywalną jak jej córka. Jak wy

wszystkie... Wszystkie chciałybyście zostać uwiecznione na ikonie. – Demon spojrzał wprost na Maszę, która ponuro patrzyła w jego oczy. – I wszystkie uwielbiacie ratować mężczyzn, których zgubiłyście. I gubić ich, ratując.

– Nie chciałam go zgubić! Uratowałam go! – odpowiedziała z pasją Kowalowa. – Byłabym z nim! Możesz to zrobić, prawda?! Potrafisz? – Spojrzała z nadzieją w nieprzeniknione oczy. – Oddaj mi klucz! Dobrze?

– Nie – uciął niegrzecznie.

– Zatrula mu życie! – zawyła Masza. – Przez całe życie ją malował! I pierwszego *Demona*. I drugiego, tego, którego widział jego ojciec. – Masza potrząsnęła podartym albumem. – Spójrz, tak napisał w swoim liście, *Demon* Miszy był „złą, zmysłową, odrażającą starą kobietą”! Misza go zniszczył. I portret Prachowej na ciemnoniebieskim koniu. Ale nie mógł się już zatrzymać... Zdawał sobie sprawę, że *Demon* go rozstawi. Wszystkie jego demony były nią! I jego *Muza*, i *Wiosna*, i *Bez*... Wszystkie wielkonose, okrągłookie, pulchnouste. Tysiące razy ten sam obraz! Prachowa, Prachowa, Prachowa... Tylko że to nie Prachowa. To Kyłyna!

– Posłuchaj... – Demon Maszy pochylił się w jej stronę i nagle jego bezduszny głos stał się bardziej przyjazny i ludzki. – Miłość odbiera człowiekowi siły, ale nie odbiera mu woli. To, co nazywacie „swoim demonem”, jest wyborem, którego nie chcecie zaakceptować.

– Próbował! – odparła z oburzeniem Kowalowa. – Namalował *Demona pokonanego*. Miał nadzieję, że ocali swoją duszę, tak jak Tamara z dzieła Lermontowa, która po śmierci odmówiła pójścia z demonem i przytuliła się do anioła! Co z tego wynikło? Postradał zmysły! A jego syn... Twoja Kyłyna to diabeł. Diabeł!

– Znowu ona? – uśmiechnął się, wyprostował. – Myślę, że powinnaś zrozumieć najważniejszą rzecz: Kyłyna nie chciała dla swojej ziemi źle.

– Bo zło nie istnieje! – zadrwiła z niego Kowalowa.

– Ponieważ to, co nazywasz „złem” i „dobrem”, zbyt często się zmienia. W roku osiemsetnym od narodzin Chrystusa czarownice były uznawane za zło, a dziś inkwizytorzy zostaliby spaleni na stosie jako mordercy i heretycy. Dziś stawiacie carów na piedestale, a jutro strącacie ich jako symbol zła, zaś na ich miejsce stawiacie poetów, którzy dla cara byli uosobieniem zła. Rozliczacie się walutą, za którą jeszcze wczoraj wsadzano do więzienia na dwanaście lat. I uważacie, że dobrem jest odbudowywanie świątyń, które sami zniszczyliście, wierząc, że to jest dobre... Perun, bóg ognia, na miejscu którego Włodzimierz zbudował pierwszą kamienną świątynię, dla niektórych też był dobrem, a Jezus demonem.

– Bóg demonem? – drgnęła Masza.

– Przecież Kijów był miastem pogańskim. – Demon wyjaśnił cierpliwie. – A Kyłyna jest spadkobierczynią Kijowic, dla których Ognisty Żmij był jedynym prawdziwym bogiem.

– Czy wiesz... – spytała Masza, w której nagle odezwało się zainteresowanie historyczki – czy to prawda, że Włodzimierz ochrzcił Ruś tylko po to, by poślubić bizantyjską księżniczkę Annę? Czy może druga wersja jest prawdziwa? – Zmarszczyła nos, zanim dokończyła.

Nocooki rzucił jej długie, przenikliwe spojrzenie, jakby sprawdzając jej głębię i odpowiedział z chytrym i raniącym półuśmiechem:

– A jeśli powiem ci, że tak, to czy przyznasz, że nie ma czegoś takiego jak „zło” i „dobro”? A wszelkie „dobro”, które czynisz, jest tylko odwrotną stroną „zła”?

– Ruś została ochrzczona ogniem i mieczem – przypomniała sobie z zakłopotaniem Masza, zachmurzywszy się.

Okazuje się jednak, że ogień i miecz wcale nie są metaforą...

– „Nie pokój wam przyniosłem, lecz miecz”. – Jezus powiedział prawdę, a ona skrzywiła się, czując, jak jej „zło” i „dobro” znów zlewają się w jeden lepki bałagan.

– Tak – zgodził się z Bogiem demon. – Ich krzyże zamieniły się w miecze na długo przed tym, jak wykuto miecz Dobryni.

– Ale dlaczego krzyż Andrzeja został przekuty na miecz? – Masza tchórzliwie zmieniła temat. – Jeśli żmij jest bezcielesny?!

– To dlatego – odpowiedział poważnie – że ludzie polegali tylko na swojej władzy i nie wiedzieli, że siły nie można pokonać siłą. Cóż warte są wszystkie świątynie i krzyże, jeśli ich dusze nie mają tej samej wiary, za którą ginęli? A kiedy na rozkaz Włodzimierza Dobrynia wykuto miecz do walki ze żmijem, Marina wiedziała, że jest skazany na zagładę. Że umrze. Gdyby pomogła mu wygrać, jej miasto straciłoby dawną potęgę.

– Czarodziejka Marinka? Ukochana Dobryni? – Zaintrygowana Masza Kowalowa nachyliła się do niego.

– Była Kijowicą i jego żoną – sprostował z szacunkiem. – Pogańską, nie chrześcijańską.

– Co wybrała? – Maszy nagle zaparło dech w piersiach. – Miłość? Oczywiście, w przeciwnym razie miałyby...

– Nie – przerwał stanowczo i ostro. – Prawdę.

– To jest w ogóle jakaś prawda?

– Prawda jest pośrodku – oznajmił z niezrozumiałym dla niej triumfem.

– Waga? Niebieska „bizantyjka”? Czy to Marina?!

– Tak zdecydowała – wyjaśnił demon. – A mąż zapieczętował starożytną moc krzyżem. Na nim zaś zbudowano cerkiew. I wiele innych cerkwi...

– Bo świątynie buduje się zawsze tam, gdzie trzeba zablokować zło – podsumowała Masza.

– Bo prawda jest jak cerkiew, która straciłaby sens, gdyby zabrano jej niebo, i zawałiłaby się, gdyby zabrano jej ziemię, na której stoi. Nawet cerkiew nie może pozostać bez ziemi...

– A dobro bez zła?

Masza potarła czoło z powątpiewaniem i wydeła wargi. Stali na nieregularnym, trójdrożnym skrzyżowaniu, przy strzałce wskazującej drogę do grobu Lesi Ukrainki, zagubionej w tłumie innych, nieznanych, do których ścieżki już dawno zarosły trawą. Masza znów pomyślała o małym Sawwie Wrublu, który nigdy niczym się nie stał. Nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego „dobra”, które mogłoby usprawiedliwić śmierć dwuletniego dziecka.

– Nie, to nie jest w porządku. Tak nie może być... Jeśli się do tego przyznać, jak później żyć? Zaakceptować, że zło musi istnieć?! Że ma do tego prawo? – rzekła nieszczęśliwie na głos.

– Że on nie istnieje.

– Ale przecież istnieje.

Osunęła się na ziemię pod pomnikiem z białego marmuru:

Elena Osiewna Garnowicz

Zmarła 8 listopada 1916 roku, mając 23 lata

Ta dziewczyna była w jej wieku. Jej rodzice musieli płakać tak samo jak biedny Misza...

– A co czuliby twój, gdybyś została w listopadzie 1884 roku? – przeczytał znów w jej myślach.

– Moi? – Masza nie zastanawiała się nad tym.

– O ile pamiętam twoje chwiejne prawdy – kontynuował kpiąco demon Maszy – cudzołóstwo jest nadal uważane za „zło”. A ty uwiodłaś małżonka nieszczęsnej Nadieždy Iwanowny Zabeli...

– Ale Misza był załamany! – Masza przestraszyła się, próbowała zaprzeczyć. – Już jej nie było. Był sam! Jego syn zmarł! Nie mógłby...

– A więc twój „grzech” stał się „święty”? – uśmiechnął się.

– Nie, nie stał się! – Masza odwróciła się z urazą i mocniej przycisnęła kolana do brzucha. Nie myślała o swoim działaniu w ten sposób, miała dobre intencje, chciała pomóc...

Jej towarzysz usiadł na trawie obok niej.

– To dziwne – powiedziała Masza po krótkiej pauzie, odrzuciwszy jego pytania jak wstydlive rzeczy, które niechcący wypadły na podłogę z szafy. – Wszystkie bajki okazują się prawdziwe, jeśli umie się je czytać. „Marinka zdradziła Dobrynię ze żmijem”. Ma to sens, w końcu z punktu widzenia chrześcijan, którzy setki lat później pisali te bajki, wierność pogaństwu była zdradą. „Żmij porywał kobiety”, to oznacza, że po chrzcie kijowian w Poczajnie, to jest po pierwszym zwycięstwie nad wężem nad rzeką Poczaj, kiedy Dobrynia ułaskawił go w zamian za obietnicę, że „nie będzie walczył na wieki wieków”, ludzie nadal składali mu ofiary z innych ludzi. I chcieli złożyć siostrzenicę księcia, Zabawę... A „Dobrynia, jedyny, który pokonał Ilję”, „pokonał, ale nie zniszczył, lecz wymienił z nim krzyże i stał się jego bratem w Chrystusie”. To także alegoryczne odniesienie. Ilja jest mocą ziemską! Uważa się nawet, że jego protoplastą był sam Perun. Ale nie o to chodzi, tylko o to, że Dobrynia próbował pogodzić pogan z wiarą. Obrzędy pogańskie z prawosławnymi. Kupałę z Chrzycielem. Siebie z Mariną...

– Niektórzy jednak nigdy się nie pogodzili.

– Kyłyna. I jej babcia. I jej praprapra... – westchnęła Kowalowa.

– Od tego czasu wiele z nich dostrzegło sens życia w odzyskaniu dawnej potęgi, pokonując ortodoksyjne zło, które zniewoliło ich miasto.

I przeklinali dziadka, który zdradził wiarę ich ojców, i Marinę, która pozbawiła ich dawnej mocy. Mocy zbyt wielkiej, by jej nie pragnąć.

– Tak, oczywiście – westchnęła ponownie Masza.

– To, co kwitujesz słowami „tak, oczywiście” – uśmiechnął się sarkastycznie – jest niczym w porównaniu z tym, czego nigdy nie miałaś okazji zobaczyć. Ten, kto jest w stanie kontrolować siły ziemi, trzyma świat w swoich rękach. Czy tak trudno to zrozumieć?

Masza nieśmiało próbowała zrozumieć, co dokładnie zawiera się w pojęciu „ziemia”. I uświadomiła sobie: wszystko. Woda i powietrze, plony i połów, a także ogień, który płonie wiecznie w jej głębi. Tej samej, która posłużyła za prototyp ognistego piekła.

„Jama źmija była tak głęboka, że mówiono, iż sięga aż do piekła”.

To niesamowite, że ludzie wiedzieli o piekle na długo przed tym, zanim anatomia ziemi trafiła do podręczników szkolnych...

– Ci, którzy uwięzili prawdziwego władcę, zbudowali wiele barier. Ale Kyłyna konsekwentnie niszczyła je wszystkie – rzekł demon.

– Cerkiew św. Cyryla przestała być święta, miecz został zakopany w podziemiach ławry. Nie przewidziała jednego: że Prachow pokaże go Wiktorowi Wasniecowskiemu – podsumowała zamyślona Kowalowa.

– I że Wiktor Michajłowicz zdoła się jej oprzeć – zakończył.

– Chwileczkę – nie zrozumiała. – Chcesz powiedzieć, że Wasniecowski też?! Ona była u niego? Próbowała z nim? Też? Uroku?

– No cóż – fuknął. – Kyłyna była kobietą...

„Tak jej powiedziałem. Wszystko, tak jak jest, kiedy Emilia Lwowna mi zaproponowała...”

„Przecież ona była czarownicą, poganką! Czyż sama miłość nie jest aktem pogańskim? Nie ta do żony, dzieci czy ojczyzny, ale ta, która potrafi zniszczyć serce, stać ponad obowiązkiem i honorem”.

A więc Wiktor Michajłowicz wiedział, o czym mówi! Nie na darmo Dobrynia stał się jego alter ego.

„Chciałbym być tak silnej wiary...”

„Przecież jego piękna Marinka na pewno była równie dobra jak...”

Prachowa!

Prachowa!

Prachowa!

Tylko sama Prachowa nie miała z tym absolutnie nic wspólnego.

– Miłość odbiera człowiekowi siły, ale nie odbiera mu woli – powtórzył demon Maszy. – Wszystkie wasze demony żyją tylko w was. Nie mają własnej mocy. A miłość, jakakolwiek by nie była, wyrzuca na brzeg tylko to, co jest w was.

– A Mir? Mir Krasawicki? – Masza wzdrygnęła się, wywoławszy zapomniane uczucie z głębi duszy. – Rzucił się pod koła. To znaczy...

– Tak – zgodził się spokojnie jej towarzysz. – W głębi duszy bał się, że stanie się taki jak przedtem.

– I zabije mnie. A żeby nie zabić... Nie był taki zły, prawda?

Demon skrzywił się teatralnie.

– Tak, tak, wiem – zażartowała Masza. – Ale ty? Dlaczego nie powstrzymałeś Kyłyny wcześniej? Wiedziałeś wszystko! Sto lat temu wiedziałeś wszystko. Dlaczego wtedy jej nie powstrzymałeś, nim zgubiła Mira?! Zmusiła go do zabicia Rity, wujka Koli... Zabiła Sawwę! Miał tylko dwa lata... To nie jego wina, że jego ojciec...

– ...Był szalony.

– Nie!

– I tak przeczytasz to w jednej ze swoich książek – rzekł pojednawczo demon. – Dziadek ze strony ojca Michaiła Wrubla był alkoholikiem,

a dziadek ze strony matki maniakiem. Sawwa Wrubel urodził się z zajęczą wargą. Był skazany na zgubę...

– Żył do czasu, aż nie przyjechał do Kijowa – mruknęła. – A ja już nie wierzę w przypadki!

– O tak, Jasna Kijowico – uśmiechnął się z zadowoleniem. – I nie ma przypadkowych billboardów za oknami twojego samochodu. Ani przypadkowej kostki brukowej, o którą się potykasz. Nie jest przypadkowym kamień, który nagle spada na głowę kogoś, kto próbował cię skrzywdzić. Ani balkon, ani zgubiony klucz, ani sufit spadający na głowę...

– Kamień spadł na tego pasiastego... – Kijowica próbowała zrozumieć. – Kiedy on mnie... A sufit? Sufit zawalił się na Kyłyne!

– Ponieważ nikt nie może odebrać życia Kijowicy wbrew jej woli. Nawet wtedy, gdy naruszyła granice między światłem a mrokiem. Nikt nie może tego zrobić, z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem? – Masza podchwyciła jak zahipnotyzowana.

– Boję się – rzekł demon Maszy, marszcząc brwi – że jeśli ci odpowiem, nie będziesz mogła kochać tego, kogo powinnaś kochać bardziej niż swoje życie.

– Chyba nie masz na myśli siebie?! – spytała z gniewnym i nerwowym sarkazmem.

– Nie. – Demon chłodno odrzucił tę miłość. – Mówię o twoim Ojcu. Twoim Mieście. Mieście, które doprowadziło cię na Zjazd św. Andrzeja. I chroniło cię, gdy miałaś kłopoty. I przemówiło do ciebie. Nawet jeśli ty go nie słuchałaś...

– Kyłynę zabiło miasto? – spytała Masza, którą w jednej chwili dosłownie zmroziło. – Nasze miasto? Kijów? I Mira? Poślizgnął się! –

wyjąkała. – Wypił magiczną miksturę, gdy z sufitu spadł kamień! A więc to... miasto? Miasto żyje?

– Twój Ojciec cię uratował – rzekł demon moralizatorskim tonem. – Gdyby nie on, już byś nie żyła. Ty sama opowiedziałaś o strasznym rytuale. O tym, dlaczego Kyłyna musi być tą trzecią. Trzecią powinna być Kijowica! A kto jeszcze był idealny do tej roli? Kto na słowa: „Ona umrze za mnie” odpowiedział: „Umrę”, potwierdzając swoją wolę? Najbardziej obawiałem się twojej miłości do niego. Miłości skłonnej do składania zbyt wielu obietnic. Ale na szczęście nie tylko ja obawiałem się twojej miłości...

– Miłość? Klucz? – Masza osłupiała. – Miasto zabrało mi klucz!

– Ojciec nie mógłby cię oddać mężczyźnie – powiedział surowo. – Kijowice należą tylko do swojego miasta. A twoje miasto potrzebowało twojej pomocy.

– Odebrał Miszy jedyne dziecko? Jako karę za...

– Sama wiesz – wtrącił demon Maszy – że to, co się dzisiaj stało, było jego winą!

– Ale gdyby pozwolił mi zostać, nic by się nie stało! N-i-c – wypowiedziała z namaszczeniem każdą literkę. – Ani nawet to, co wydarzyło się dzisiaj! Kijów nie zginął! Za co więc kara? Tak okrutna! Syn, głos żony...

– Za życie.

– Życie? – zamarła Kowalowa.

– Przecież prosiłaś, żeby Ojciec mu je zostawił – powiedział stanowczo nocooki mężczyzna. – I Ojciec oddał ci je. Zostanie wyleczony. I będzie żył. Demon go opuści. Ale tak samo opuści go geniusz...

Masza pospiesznie otworzyła sfatygowany album, próbując znaleźć datę urodzenia i śmierci: „1856-1910” – Misza będzie żył jeszcze siedem lat!

– Bo ty go kochasz – rzekł demon.

– Bo ja... – wyszeptała Masza.

„Będzie żył...” – To było dobre.

Cudzołóstwo jest złem!

Geniusz jest dobrem, a demon – złem.

Zło to rzucony urok, który wyciągnął dobro z Mira. A miasto zabiło Mira, życząc jej dobra. Tak jak Kyłyna, zabijając ludzi, życzyła dobra miastu, które ją zabiło, ponieważ jego „dobro” nie było już tożsame z „dobrem” jego Kijowicy.

– Nie wiem, czy rozumiesz to teraz. Czy kiedykolwiek zrozumiesz. Ale od tej chwili wy trzy zostaliście wybrane, aby stać między światłem a mrokiem, wiedząc, że na świecie nie ma innej prawdy niż równowaga – przemówił demon, a w jego intonacji Masza mogła usłyszeć żałobne współczucie.

– Klucz... – Padła na kolana. – Daj mi klucz, bo... sama nie wiem co! Po prostu daj mi go. Bo w przeciwnym razie... spalę to miasto! Nigdy ci nie wybaczę. Po prostu nie mogę. Słyszysz mnie? – zawodziła, omiatając wzrokiem korony cmentarnych drzew. – Nigdy nie wybaczę ci śmierci Sawwy! I że nas rozdzieliłeś. Że ci na mnie nie zależało!

– Jasna Kijowico, o co prosisz? – spytał arogancko demon. – O klucz do listopada 1884 roku? Czy o życie dziecka?

– Ale...

Upadła.

Nagle uświadomiła sobie, że chcąc naprawić WSZYSTKO, co dla niej było dwoma wydarzeniami jednego dnia, chciała naprawić to pierwsze, co jej się z pewnością uda – a wtedy drugiego nie będzie! Bo kiedy zostanie z nim zimą 1884 roku, zastępując spóźnioną o dzień i osiem lat Nadię

Zabelę, nie będzie syna Sawwy. A gdyby oddała im ukochanego syna Sawwę, nie będzie miejsca dla niej.

„Ale jeśli nie będzie syna, to kto by się przejmował jego śmiercią? To znaczy, że nie umrze, bo go nie będzie! Będziemy mieli z Miszą inne dzieci”.

Ale...

Problem polegał na tym, że Sawwa już był. Już był. A to, co było trzy godziny temu, nie mogło stać się abstrakcyjną przyszłością w kawiarni czekoladowej „Semadeni”. A „inne dzieci” były abstrakcją nie do ogarnięcia. Misza miał już syna. I on nie żył. To nie było słuszne, nie było sprawiedliwe... To było „złe”.

– Syna – odpowiedziała z ledwością.

– Czy klucz?

– Przecież tata i mama oszaleliby z rozpaczy... – mamrotała żałośnie Masza.

– Syn czy klucz?

– Przecież Misza kochał swoją żonę i był z nią szczęśliwy. A kiedy nie był... On sam wybrał. Stał się geniuszem. – Prawie załkała, zdając sobie sprawę, że jej decyzja jest przesądzona, a pytanie o wybór retoryczne.

Ten, kto zabrał jej klucz, wiedział, kogo ona wybierze.

– Sawwa nie miał wyboru. Nie jest winien. Jego śmierć jest niezasłużona!

– Nie ma śmierci – przypomniał zmęczony demon. – Ona nie istnieje. W naturze.

– To co to jest? – Masza machnęła ręką w stronę białego marmuru Eleny Osiewny Garnowicz.

– To wasz egoizm, strach i marność – wyliczył z godnością. – Za bardzo cenicie swoje „JA”. Wznosicie pomniki, aby zachować przynajmniej

pamięć o nim, i płaczenie, gdy są one zrównywane z ziemią, ponieważ nie ma nic straszniejszego dla waszej dumy niż myśl, że staniecie się pokarmem dla robaków. Ale Kyłyna zrozumiała prawdę... Prawdziwa duma tkwi w pokorze!

– To jest sedno? – zmieszała się Masza.

– Uroboros. – Sięgnął do jej szyi. – Wąż, który pożera własny ogon! Symbol nieśmiertelności przyrody, która wiecznie rodzi się, umiera i odradza. Wszystko jest w równowadze. I wszystko jest jednym, i nie jest śmiercią stać się ziemią, robakiem, ogniem... Tylko wy sami oddzielacie się od Wielkiej Matki. Wymyśliliście śmierć, bo nieśmiertelność jest poniżej waszej godności!

„...i trawa to ja!” – W głowie błysnęła myśl.

– Tylko Kyłyna stała się siłą. Ogniem – wycodziła z pełnym wyrzutem wrogim szacunkiem. – A kim stał się mały Sawwa Wrubel? Robakiem, którego zjadła ryba. Rybą, którą zjadł człowiek... „Gałązką”, z której wyrzeźbiono „sopiłkę”? – Spojrzała na grób Lesi Ukrainki. Ona, w przeciwieństwie do swojej Mawki, stała się pomnikiem, a nie „sopiłką”! – Nie, to nie pociesza. – Zmęczona Masza zasłoniła oczy dłonią i potrząsnęła głową. – Życie ludzkie jest życiem ludzkim. A miasto odebrało życie jego dziecku...

– On je odebrał – fuknął z powagą demon. – I co postanowisz? Pozwolisz żyć jego dziecku?

– Jego dziecku? – spytała zdenerwowana Masza. – Sawwie Wrublowski? Więc mogę?

– Sawwie Wrublowski, jeśli taka będzie twoja wola. – Demon Maszy spuścił głowę.

– Pokażesz mi jego grób? – zerwała się na równe nogi.

– Po co szukać pod ziemią czegoś, co żyje na ziemi.

– Jego syn żyje? – Masza nie wierzyła.

– Jego i twój.

– Mamo! – zrozumiała w końcu. – Ale ja nie mogę. Co ja powiem mojej matce?! Że jestem w ciąży ze... zmarłym? Skąd ty w ogóle to wiesz? Ooo...

Masza natychmiast wyciągnęła z kieszeni lusterko i zbliżywszy je do oczu, zobaczyła dwa ogniste czerwone płomienie w głębi swoich źrenic.

W przygotowaniu
kolejne tomy
Wiedźm Kijowa